

Glenn Meade

BRANDENBURG

przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Warszawa 1997

Tytuł oryginału: Brandenburg

Copyright © 1994 by Glenn Meade All rights reserved

Projekt okładki: Jerzy Matuszewski

Opracowanie graficzne: Barbara Wójcik

Fotografia na okładce:

Nico Keulers/via Schluck Agency

Redaktor prowadzący serię i opracowanie merytoryczne: Jan Koźbiel

Opracowanie techniczne: Elżbieta Babińska

Skład komputerowy: Andrzej Piątkowski

Korekta: Jadwiga Przeczek

Seria „Skorpion” Wydanie I

Prószyński i Ska

Moim rodzicom Tomowi i Carmel

Wiosłujemy twardo naprzód, pod prąd, który bez przerwy znosi nas wstecz, ku przeszłości.

F. Scott Fitzgerald "Wielki Gatsby"

Podziękowania

Składam serdeczne podziękowania wszystkim w Europie i Ameryce Południowej, którzy służyli mi pomocą w trakcie zbierania materiałów do tej książki. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się następującym osobom: w Berlinie - personelowi Ośrodka Dokumentacji przy Misji USA, a zwłaszcza dyrektorowi Daidowi Marwellowi i doktorowi Richardowi Campbellowi, którzy udostępnili mi oryginalne materiały źródłowe; Axelowi Wiglinsky'emu z Biura Ochrony Reichstagu; doktorowi Bose i Hansowi Christophowi Bonfertowi z berlińskiej Komisji Spraw Wewnętrznych; personelowi berlińskiego Urzędu Ochrony Konstytucji; personelowi Biura Informacyjnego Wehrmachtu; w Wiedniu - zarządowi Głównego Cmentarza Miejskiego; w Strasburgu - JeanPaul Chauuetowi; w Paragwaju - Carlosowi Da Rosa.

Dziękuję także Janet Donohue oraz profesorowi Jimowi Jacksonowi z Trinity College w Dublinie.

Jest jeszcze wiele osób, zarówno w Europie, jak i Ameryce Południowej, które okazały mi daleko idącą pomoc, ale pragną pozostać anonimowe. Tą drogą im również składam gorące podziękowania. Dziękuję memu wydawcy, George'owi Lucasowi, za jego profesjonalizm, niesłychany entuzjazm oraz serce, jakie okazywał tej książce, Billowi Masseyowi zaś za wnikliwe i wręcz nieocenione uwagi.

Prolog

Był środek lata. Błękitna woda lśniła w promieniach słońca, ale na plaży było pusto. Młody lekarz i chłopiec stali przy drzwiach domu; dzieciak drżał z lęku i

niepewności, ale jego oczy były suche.

Kiedy na wąskiej piaszczystej drodze pojawił się niewielki, szary austin, serce chłopca zaczęło uderzać mocniej. Mama miała na sobie błękitną bawełnianą sukienkę i wyglądała naprawdę prześlicznie, ale gdy wysiadła z samochodu i zdjęła przeciwsłoneczne okulary, natychmiast zorientował się, że niedawno płakała.

Ruszyła w stronę willi, a wtedy chłopiec puścił rękę mężczyzny, podbiegł do matki i przycisnął twarz do błękitnego materiału, ona zaś pochyliła się, aby go pocałować. Czuł nie tylko zapach jej perfum, lecz także ciepło miłości, jaką go darzyła, i od razu poczuł się lepiej.

- Wszystko w porządku, Josephie. Mama już jest z tobą. Wszystko w porządku.

Zbliżył się młody lekarz.

- Jestem doktor Rhys, pani Volkmann - przedstawił się, wyciągając rękę. - Czy możemy porozmawiać?

Kobieta skierowała wzrok na niewielką willę o białych ścianach, stojącą w pobliżu plaży. Jedno z okien było otwarte, dzięki czemu chłodny, wiejący znad morza wiatr wpadał do środka, poruszając kolorową zasłoną, lecz inne okna, w tym także to należące do sypialni, w której leżał pogrążony we śnie ojciec chłopca, były zamknięte. Przez otwarte okno widać było lśniącego steinwaya oraz ustawione na okapie kominka fotografie w srebrnych ramkach.

Matka chłopca ponownie spojrzała na lekarza.

- Jak się czuje mój mąż?

- Dałem mu kilka tabletek nasennych. Powinny działać co najmniej przez osiem godzin.

Kobieta mocno ścisnęła dłoń chłopca, jakby chcąc dodać mu otuchy, po czym cała trójka ruszyła w stronę plaży. Fale rozbijały się z hukiem na skałach, promienie słońca zaś spływały łagodnie na kamienisty brzeg.

- Obawiam się, że to coś poważnego - ciągnął lekarz. - Dlatego do pani zadzwoniłem. - Uśmiechnął się do chłopca. - Ten mały dżentelmen spisał się

znakomicie: pobiegł aż do wsi po pomoc. - Lekarz pogłodził chłopca po włosach i przeniósł spojrzenie na kobietę. - Proszę opowiedzieć mi o swoim mężu, pani Volkmann. Czy zawsze miał te problemy?

- Doktor Mansfield nic panu nie powiedział?

- Nic. Jest teraz na urlopie, a ja tylko go zastępuję. Chciałbym jednak wiedzieć, na co mam być przygotowany, gdyby coś takiego wydarzyło się ponownie.

Tutaj, na skraju plaży, huk fal roztrzaskujących się o skały był wręcz ogłuszający. Młody lekarz usiadł na zboczu najbliższej wydmy; po chwili matka chłopca uczyniła to samo, po czym otworzyła torebkę, wyjęła papierosy i zapaliła jednego.

- Od bardzo dawna. Ataki nie powtarzają się często, ale następują zupełnie niespodziewanie.

- Co je powoduje?

- Czasem artykuł w gazecie, czasem jakaś audycja w radiu lub telewizji, niekiedy po prostu pogoda albo pora roku. Ciężar staje się wtedy zbyt wielki i mąż tonie jak kamień.

Lekarz sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego.

- Przyznam, że nie bardzo rozumiem... Jaka jest konkretna przyczyna, pani Volkmann?

W tej chwili niemal jednocześnie rozbiły się dwie ogromne fale, przez co chłopiec nie usłyszał słów matki - nie zdołały się przedrzeć przez huk przyboju i donośny szum wody spływającej po kamienistej plaży - bez trudu natomiast dostrzegł wyraz przerażenia na twarzy lekarza.

- Mój Boże, nie miałem pojęcia... To naprawdę okropne. - Doktor długo zdawał się szukać właściwych słów, po czym powiedział: - Przypuszczam, że znajduje się pod opieką specjalistów?

- Doktorze, można starać się przywyknąć do koszmarnych wspomnień, ale nie sposób je wymazać. Proszę mi wierzyć, wiem coś na ten temat.

- Pani jednak dała sobie radę, choć ma za sobą równie ciężkie przeżycia.

Matka chłopca potrząsnęła głową.

- Owszem, dałam sobie radę, ale to, co oni zrobili mojemu mężowi, nie da się nawet opisać.

- Proszę mi wybaczyć. Staram się pomóc najlepiej, jak potrafię.

- Jemu już nie można pomóc, doktorze, ale dziękuję panu za dobre chęci. - Skierowała na chłopca spojrzenie błyszczących brązowych oczu. - Tylko Joseph nam pomógł. Dzięki niemu oboje poczuliśmy się znacznie pewniej.

Lekarz wyglądał na zupełnie bezradnego i znacznie młodszego niż w istocie. Kolejna fala uderzyła o skalisty brzeg, po czym zapadła cisza. Wreszcie mężczyzna spojrział niepewnie na kobietę i powiedział:

- Kiedy wyjaśniłem przez telefon organizatorowi koncertu, co się stało, od razu wiedział, że pani odwoła występ. Musi pani być bardzo ciężko... Naturalnie myślę o pani mężu.

- Wcale nie, ale jeśli coś się dzieje, Joseph i ja jakoś dajemy sobie radę.

- Kiedyś słuchałem pani w Londynie. Grała pani wspaniale, pani Volkmann.

- Jest pan bardzo miły. Dziękuję, że zajął się pan moim mężem.

Lekarz podniósł się i otrzepał spodnie z piasku.

- Niestety muszę już wracać. Gdyby działo się coś niedobrego, proszę dać mu dwie pastylki. - Wręczył jej szklaną fiolkę. - Powinny działać co najmniej przez osiem godzin. W razie potrzeby proszę mnie natychmiast zawiadomić. Do zobaczenia, pani Volkmann.

Uścisnął jej rękę i ruszył w kierunku samochodu. Po chwili zasiadł za kierownicą, uruchomił silnik i odjechał piaszczystą drogą.

Kiedy chłopiec spojrział ponownie na matkę, przekonał się, że właśnie wyrzuciła nie dopalonego papierosa i w zadumie patrzy na morze.

- Mamo...

- Słucham, kochanie?

- Co oni zrobili tatusiowi?

W brązowych oczach kobiety pojawiły się łzy. Objęła chłopca i mocno

przytuliła do piersi.

- Coś strasznego, Josephie. Coś naprawdę strasznego. Dlatego tak bardzo potrzebuje naszej opieki i miłości.

- Czy tobie też to zrobili, mamusiu?

Dopiero teraz spojrzała na syna, ale natychmiast odwróciła wzrok. Chłopiec poczuł, że matka przytula go jeszcze mocniej, a kiedy wreszcie odpowiedziała, w jej głosie słyhać było ogromny ból.

- Tak, Josephie. Mnie także.

Chłopiec odsunął się nieco, wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po twarzy.

- Już nigdy tego nie zrobią, mamusiu. Ani tobie, ani tacie. Ja się wami zaopiekuję.

Matka otarła łzy i uśmiechnęła się blado, ale kiedy odpowiedziała, jej głos brzmiał niemal tak samo jak głos ojca, kiedy był zupełnie zdrowy.

- Oczywiście, najdroższy.

Odgarnęła mu włosy z czoła, pocałowała go, jeszcze raz otarła łzy spływające jej po policzkach, a wreszcie podniosła się z piaszczystej wydmy.

- Chodźmy, Josephie. Zobaczymy, jak się miewa tata. Chłopiec wyciągnął rękę, matka zaś chwyciła ją mocno i pozwoliła poprowadzić się do domu.

Część 1

Rozdział 1

Asunción, Paragwaj Ameryka Południowa

Kiedy lekarze ze szpitala Świętego Ignacego powiedzieli Nicolasowi Tsarkinowi, że niedługo umrze, starzec ponuro skinął głową, zaczekał aż wszyscy wyjdą, wstał z łóżka, ubrał się, po czym nie odzywając się do nikogo ani słowem wsiadł do mercedesa i pojechał na skrzyżowanie z Calle Palma, trzy przecznice od swego domu.

Zaparkował samochód przy krawężniku, wszedł przez obrotowe drzwi do niewielkiego banku mieszczącego się na rogu ulicy i oznajmił kierownikowi zmiany, że pragnie dostać się do swojej skrytki. Kierownik natychmiast polecił jednemu z urzędników, by zszedł z señorem Tsarkinem do podziemi. Bądź co bądź, señor Tsarkin należał do najstarszych i najlepszych klientów.

- Niech pan mu powie, żeby zostawił mnie tam samego - zażądał starzec w charakterystyczny dla siebie, obcesowy sposób.

- Oczywiście, señor Tsarkin. Jak pan sobie życzy. - Kierownik złożył jeszcze jeden głęboki ukłon. - Buenos dias, señor Tsarkin.

Jak zwykle miał na sobie niebieski garnitur i jak zwykle niezmiernie irytował Tsarkina swymi nie kończącymi się ukłonami oraz przymilnym złotozębnym uśmiechem.

Buenos dias... Co takiego dobrego było w tym dniu? Przed chwilą powiedziano mu, że ma przed sobą najwyżej czterdzieści osiem godzin życia, ból w żołądku stał się zaś tak silny, że prawie nie do wytrzymania. Co prawda zażył silny

środek uśmierzający, ale od pewnego czasu leki właściwie przestały na niego działać, w dodatku zaś był słaby jak dziecko. Czy to powód, żeby się uśmiechać albo życzyć komukolwiek dobrego dnia?

Jednak mimo wszystko Nicolas Tsarkin odczuwał także coś w rodzaju ulgi, że już nie będzie musiał więcej kłamać.

Podążając za urzędnikiem do podziemnego skarbcza, przyjrzał się swemu odbiciu w błyszczących stalowych drzwiach. Miał osiemdziesiąt dwa lata i jeszcze pół roku temu wyglądał najwyżej na siedemdziesiąt. Znajdował się wtedy w wysmienitej kondycji fizycznej, jadł to co należy, w ogóle nie palił i nie nadużywał alkoholu. Wszyscy byli przekonani, że dociągnie do setki.

Mylili się.

Lśniące stalowe drzwi powiedziały mu, jak teraz wygląda: szczupły, właściwie wychudzony, niewiele różniący się od trupa. Wraz z krwią sączącą się bez przerwy do żołądka wypływały z niego siły życiowe. Jednak bez względu na ból, bez względu na przepowiednie lekarzy, musi zrobić jeszcze parę rzeczy. Dopiero kiedy się z nimi upora, będzie mógł spokojnie zasnąć. Już na zawsze.

Chyba że jednak istnieje Bóg i życie pozagrobowe, bo wtedy czeka go pokuta za grzechy, ale Tsarkin mocno w to wątpił. Po tym, co kiedyś robił, żaden Bóg nie pozwoliłby mu tak długo cieszyć się dostatnim, pozbawionym trosk życiem. Nie, człowiek po prostu umiera i zamienia się w proch. Nie ma bólu, nie ma nieba ani piekła. Jest tylko nicość.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Urzędnik otworzył stalową kratę i wprowadził go do niewielkiego, pozbawionego okien pomieszczenia. Od wyłożonej marmurowymi płytami podłogi ciągnęło chłodem. Urzędnik zerknął na przywieszkę przy kluczu, przesunął ręką po metalowych drzwiczkach, znalazł skrytkę Tsarkina, otworzył ją, wyjął pojemnik i postawił go na drewnianym stole pośrodku pomieszczenia. Zaraz potem wręczył starcowi klucz, sam zaś wyszedł.

Tsarkin doskonale znał obowiązujące zwyczaje; kiedy będzie gotów, naciśnie

przycisk umieszczony pod blatem stołu, a wtedy urzędnik zjawi się ponownie, by wyprowadzić go z podziemi. Tymczasem był tu zupełnie sam.

Nagle przyszło mu do głowy, że w pomieszczeniu jest zimno i cicho jak w kostnicy. Zadrżał na tę myśl. Wkrótce tam właśnie się znaję, uświadomił sobie. Wkrótce nic już nie będzie mnie boleć. Usiadł na jedynym krześle, przysunął metalowy pojemnik, otworzył go kluczem, podniósł wieko i rozłożył dokumenty na wypolerowanym blacie.

Była w nich jego przeszłość. Na chwilę ogarnęły go wątpliwości, czy aby na pewno podjął słuszną decyzję, ale bez trudu je odegnał. Zrobi to, o czym marzył od dłuższego czasu. Ból był już nie do zniesienia, on zaś uważał, że życie jest po to, by korzystać z jego uroków.

Starannie złożył papiery, włożył do dużej szarej koperty i zgiął ją w pół, potem zaś nacisnął przycisk.

Już niedługo, pomyślał, słysząc kroki urzędnika. Już bardzo niedługo.

Metalowa krata otworzyła się z cichym trzaskiem. Nicolas Tsarkin wziął do ręki kopertę, wstał z krzesła i ruszył w kierunku wyjścia. Na stole został niepotrzebny już klucz od skrytki.

Dom stał przy Calle Iguazu, na obrzeżach miasta. Miał białe ściany, był ogromny i otoczony wysokim murem, zasłaniającym go przed wzrokiem ciekawskich. Tsarkin mieszkał w najbogatszej, najdroższej dzielnicy Asunción. Za pomocą pilota otworzył bramę z kutego żelaza, przejechał wiodącą szerokim łukiem alejką i zatrzymał mercedesa na żwirowym podjeździe.

Burknął coś pod nosem do służącego, który zjawił się nie wiadomo skąd, by otworzyć drzwi samochodu, po czym udał się prosto do gabinetu i zamknął za sobą drzwi na klucz. W pokoju, którego ściany i sufit były obite boazerią, panowała wysoka temperatura. Bardzo wysoka. Stojąc przy zajmującym całą ścianę oknie, za którym zaczynał się wspaniale utrzymany, malowniczy ogród, starzec rozpiął dwa górne guziki koszuli. Był właścicielem kilku nieruchomości w Asunción oraz trzech farm w głębi kraju, ale najbardziej upodobał sobie właśnie tę posiadłość.

Po chwili usiadł za biurkiem z czereśniowego drewna, wyłożył zawartość koperty na lśniący blat i zaczął uważnie przeglądać dokumenty.

Na wierzchu leżał paszport. Nicolas Tsarkin. Znakomicie. Tyle że on wcale się tak nie nazywał. Jego prawdziwe imię i nazwisko... Boże, prawie zapomniał, jak brzmią naprawdę. Powiedział je teraz na głos i aż się uśmiechnął, bo wydały mu się zupełnie nierealne. Tyle lat kłamstw, tyle lat fałszu... Odłożył paszport na bok.

Kiedyś poszukiwano go listami gończymi w co najmniej dziesięciu krajach. Kiedyś, jeszcze pod tym dziwnie brzmiącym, obcym nazwiskiem, dopuścił się straszliwych czynów, zadając ludziom śmierć i cierpienie, ale kiedy przyszło co do czego, okazało się, że sam nie jest w stanie znieść bólu...

Nie pora na filozoficzne rozważania, skarcił się w myślach. Zrób, co masz zrobić.

Mozolnie przekopywał się przez stare, zniszczone dokumenty, świadczące o jego przeszłości. Czytał je wszystkie od początku do końca i zagrzebane głęboko obrazy stopniowo stawały się coraz wyraźniej, niczym senne koszmary odtwarzane na podstawie strzępów wspomnień. Przerazenie malujące się na twarzach ofiar, krew, okrucieństwo... Mimo to nie czuł skruchy. Zrobiłby to wszystko jeszcze raz. Z całą pewnością.

Wreszcie odłożył ostatni dokument, z szuflady biurka wyjął kilka czystych kartek oraz białą kopertę i zabrał się do pisania.

Kwadrans później postawił ostatnią kropkę, włożył kartki do koperty, zakleił ją i wsunął do kieszeni, po czym zgarnął z biurka dokumenty przechowywane przez wiele lat w bankowej skrytce, zaniósł je do kominka i ułożył na palenisku. Podpalił stos papierów zapalką z pudełka, które zawsze leżało na okapie kominka, następnie podszedł do obrazu, za którym był ukryty ścienny sejf, odsunął płótno na bok i otworzył stalowe drzwiczki. Z sejfu wyjął kolejną porcję dokumentów, które dołożył do płonących w kominku. Przyglądał się, jak ogień pożera papier, a kiedy został tylko popiół, rozgarnął go pogrzebaczem, aby upewnić się, że nie ocalał ani skrawek papieru.

Potem wyszedł z domu, wsiadł do samochodu, pojechał na pocztę i wysłał list ekspresem. Wróciwszy do rezydencji, wprowadził mercedesa do garażu i znowu skierował się do gabinetu.

Zrób to. Zrób to natychmiast - powtarzał mu jakiś natarczywy głos.

Nie chciał myśleć o bólu, nie chciał myśleć o niczym. Z górnej szuflady biurka wyjął colta kaliber 45 o długiej lufie, upewnił się, że w bębunku są pociski, włożył lufę do ust, a kiedy poczuł jej dotyk na podniebieniu, nacisnął spust.

Nawet nie usłyszał wystrzału. Pocisk wyleciał z tyłu głowy, rozrywając czaszkę na kawałki, martwe ciało runęło na podłogę, a bryzgi krwi, fragmenty kości i strzępy mózgu zachlapały kosztowny dywan i elegancką, ciemną boazerię. Wszystko trwało niespełna sekundę.

Takiej właśnie śmierci pragnął Nicolas Tsarkin: szybkiej, łatwej i bezbolesnej.

Rozdział 2

Asunción, Paragwaj środa, 23 listopada

R udi Hernandez palił papierosa i z aprobatą taksował wzrokiem sylwetkę dziewczyny stojącej przy stanowisku odpraw. W budynku dworca lotniczego roiło się od pasażerów, on jednak gapił się tylko na nią.

Nie zapominaj, kto to jest, powtórzył sobie w myślach po raz nie wiadomo który, lecz bez rezultatu. Czy to jego wina, że dziewczyna ma wspaniałe, opalone nogi oraz kształtny tyłeczek opięty krótką, czerwoną spódniczką z cienkiego materiału? Tak, widok był naprawdę wspaniały. Hernandez uśmiechnął się pod wąsem; lubił kobiety, a szczególnie Erikę.

Wreszcie uporała się z formalnościami, zgarnęła z lady paszport i bilet, po czym wzięła ręczny bagaż, odwróciła się i obdarzyła go pogodnym uśmiechem. Wkrótce potem znalazła się przy nim.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Erika skinęła głową.

- Mam jeszcze kwadrans do odlotu. Myślisz, że zdążymy napić się kawy?

- Jasne.

Wziął jej torbę i ruszył przodem w kierunku baru usytuowanego po przeciwnej stronie hali. Wyszukawszy wolny stolik, zamówił dwie kawy i dwie brandy. Kelner szybko przyniósł napoje, dzięki czemu Hernandez mógł przez dłuższą chwilę obserwować dziewczynę, pijącą kawę małymi łyčzkami, zastanawiając się, czy powinien powiedzieć jej o swoich uczuciach.

- Mam wrażenie, że coś cię gnębi - przerwała milczenie Erika. - Chodzi o tę sprawę, nad którą pracujesz?

Niewiele brakowało, a Rudi Hernandez pokręciłby głową. Nie, nie chodzi o żadną sprawę, tylko o ciebie, a raczej o to, co do ciebie czuję.

Dziewczyna miała dwadzieścia pięć lat, a więc była o pięć lat młodsza od niego, i za każdym razem, kiedy widział ją po dłuższej przerwie, wydawała mu się jeszcze piękniejsza. Niedawno obcięła długie, jasne włosy; nowa fryzura pasowała do uroczej twarzy o nieco wystających kościach policzkowych. Odniosł wrażenie, że od ich ostatniego spotkania zmieniła się nieco także jej figura, stając się pełniejsza, bardziej kobieca. Zauważył również, że Erika nosi teraz dyskretny makijaż jeszcze bardziej podkreślający jej urodę.

W ostatniej chwili zapanował nad sobą i skinął głową.

- Tak, właśnie o to.

Skłamał, ale czy mógł powiedzieć prawdę? Istotnie, przez cały czas myślał o artykule, nad którym obecnie pracował, lecz w jej obecności myśli te uciekały gdzieś daleko, stanowiąc jedynie tło dla innych, dotyczących Eriki.

- Musisz mi obiecać, że będziesz ostrożny - powiedziała zupełnie poważnie. - Obiecujesz?

Obdarzył ją pogodnym uśmiechem.

- Ja zawsze jestem ostrożny, Eriko. Czasem nawet zbyt ostrożny.

Ze swymi jasnymi włosami tak bardzo różniła się od południowoamerykańskich kobiet, czarnowłosych i ciemnookich, że przyciągała

liczne spojrzenia. Indianka sprzedająca kwiaty na Calle Estrella zapytała, czy może dotknąć jej włosów, twierdząc, że to najlepszy sposób na zapewnienie sobie pomyślności.

- Jest piękna - szepnęła, po czym spojrzała na Rudiego. - Przyniesie nam obojgu szczęście. Zobaczysz.

Przede wszystkim jednak gapili się na nią mężczyźni. Rudi bez trudu mógł odgadnąć ich myśli, ale nie miał im ich za złe, ponieważ kiedyś sam myślał tak samo. Wrócił pamięcią do dnia, który spędzili w porośniętych lasem górach na granicy z Brazylią. Jak blisko siebie wtedy byli, jak niewiele brakowało, żeby...

- Może powinieneś poprosić Mendozę o pomoc? - zapytała z troską w głosie, wrywając go z zamyślenia.

Rudi wzruszył ramionami.

- Po co? Sądzę, że ta nić doprowadzi mnie do czegoś naprawdę wielkiego, ale nie mani dowodów, Eriko. Żadnych dowodów. Tylko słowa Rodrigueza, no i te zdjęcia.

Poprzestał na tym, ponieważ nie chciał jej jeszcze bardziej niepokoić, ale bez trudu przypomniał sobie widok zwłok Rodrigueza spoczywających na metalowym stole w szpitalnym prosektorium oraz uczucie pustki w żołądku, jakiego doznał, kiedy jeden z ubranych na biało ludzi zdjął prześcieradło, odsłaniając posiniąte, zmalretowane ciało. Po grzbiecie przebiegły mu mrówki strachu, ale odepchnął od siebie obawy i pochylił się w stronę dziewczyny. Słodki zapach jej perfum działał na niego jak najsilniejszy afrodyzjak.

- Muszę poruszać się powoli i ostrożnie, mając nadzieję, że natrafię na coś więcej. - Wyciągnął rękę i delikatnie poklepał ją po przedramieniu, choć w tej chwili najbardziej na świecie pragnął przygarnąć dziewczynę do siebie i pieścić całe jej ciało. - Obiecuję ci, że nie zrobię żadnego głupstwa.

Uśmiechnęła się do niego, a on poczuł, że gdyby byli teraz sami w hotelowym pokoju, niemal na pewno odważyłby się chwycić ją w objęcia, pocałować, kochać się z nią. Ciekawe, jak by zareagowała; czy odwzajemniłaby pieszczoty, czy raczej

spojrzałaby na niego ze zdumieniem i powiedziała: „Rudi, przestań się wygłupiać!”

Ujęła kieliszek w obie ręce i podniosła go do ust.

- A co z tymi, którzy zabili Rodrigueza?

- Niby co z nimi ma być?

- Nie będą cię szukać? Nie przyjdzie im do głowy, że możesz zgłosić się na policję?

- Na pewno nie - odparł Hernandez stanowczym tonem, pragnąc uwolnić ją od obaw. - Po pierwsze, mordercy Rodrigueza nie znają mnie i nigdy mnie nie widzieli. Nie wiedzą nawet, że w ogóle istnieję. Po drugie...

- Dowiedzą się, kiedy sprawa nabierze rozgłosu.

Rudi Hernandez wypił łyk kawy. Była gorzka. Skrzywił się i odstawił filiżankę.

- Jeśli do tego w ogóle dojdzie. Mogę przecież zastrzec, żeby nie podawano mego nazwiska. To nie problem. Po drugie, mam w policji kilku przyjaciół, którzy w razie potrzeby zapewnią mi ochronę.

Sięgnął do kieszeni, wyjął pęk kluczy i zaczął bawić się nimi od niechcienia.

Rudi Hernandez był bardzo przystojnym mężczyzną. Często się uśmiechał, jakby uważał, że życie to znakomity żart. Dzięki kasztanowym włosom i chłopięcej fryzurze wyglądał na młodszego niż był. Nie szpeciła go nawet wyraźna blizna, biegnąca ukosem przez prawy policzek - wręcz przeciwnie, dodawała mu tajemniczego uroku. Erika przez dłuższą chwilę przyglądała się jego silnym palcom, bawiącym się kluczami.

Rudi zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się pogodnie.

- Jak powiedziałem ci wczoraj wieczorem, materiały ukryłem w bezpiecznym miejscu. Nie martw się, Eriko. Wszystko będzie w porządku.

Mimo to nadal wpatrywała się w niego z troską, a po chwili delikatnie dotknęła jego dłoni. Pospiesznie schował klucze do kieszeni. Była tak blisko, tak bardzo blisko...

- Eriko...

- Słucham?

Otwierał już usta, by powiedzieć jej o swoich prawdziwych uczuciach, ale właśnie wtedy metaliczny kobiecy głos poinformował przez głośniki, że pasażerowie są proszeni o zajmowanie miejsc na pokładzie samolotu. Erika cofnęła rękę i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Chciałeś coś powiedzieć, Rudi? Potrząsnął głową.

- Nic takiego. Musisz już iść.

Odprowadził ją aż do stanowiska kontroli paszportów i dopiero tam oddał jej torbę.

- Pozdrów wszystkich ode mnie.

Przez sekundę, może dwie, dwoje błękitnych oczu spoglądało prosto w jego twarz.

- Oczywiście.

Wspięła się na palce, by pocałować go w policzek, ale on ujął jej twarz w dłonie i pocałował w usta - miękkie, ciepłe, pachnące, rozkoszne jak całe ciało, którego tak bardzo pożądał.

- AufWiedersehen, Rudi.

- AufWiedersehen, Eriko. Przyjemnego lotu.

Przy wyjściu na płytę lotniska odwróciła się jeszcze raz i pomachała, by zaraz potem zniknąć za obrotowymi drzwiami.

Niezadowolony z siebie Hernandez pokręcił głową i westchnął głęboko; powinien był wreszcie powiedzieć Erice, że ją kocha.

Głośniki ożyły ponownie, ale tym razem w przestrzeń hali dworca lotniczego wyemitowały inną wiadomość:

- Señor Rudi Hernandez proszony jest o zgłoszenie się do stanowiska informacji. Powtarzam: señor Rudi Hernandez proszony jest o zgłoszenie się do stanowiska informacji.

W informacji czekał na niego świstek z nagryzmołonym nazwiskiem Mendozy, redaktora wydania, oraz jego numerem telefonu. Rudi nie zwlekając

podszedł do najbliższego wolnego automatu, wrzucił monetę i wykręcił podany numer. Mendoza odebrał po pierwszym sygnale.

- St?

- To ja, Rudi. Dzwonię z lotniska.

- Buenas tardes, amigo. Nie ma co, niektórym dobrze się powodzi! Inni muszą pocić się w cuchnącym biurze, żeby zarobić na kromkę chleba.

Rudi uśmiechnął się pod wąsem.

- Dostałem wiadomość, że mam się z tobą skontaktować. O co chodzi?

Jedną ręką wyjął z kieszeni pudełko papierosów, otworzył je, sprawnym puknięciem wysunął jeden papieros, włożył go do ust i zapalił.

- Już dałeś spokój tej seksownej, jasnowłosej panience?

- Ejże, trochę więcej szacunku! Nie zapominaj, o kim mówisz! Dobra, żarty na bok. Co dla mnie masz? Byle coś ciekawego.

- Wybieraj: kradzież z rozbojem na Calle Enrico albo samobójstwo starego, bogatego jegomościa. Lada chwila powinien zgłosić się Victor Estrel, a mnie właściwie jest wszystko jedno, jak się tym podzielicie, ale po starej znajomości dam ci możliwość wyboru.

- Wielkie dzięki - odparł Rudi. - Ciekaw tylko jestem, kiedy pozwolisz mi wybierać między konkursem piękności a mityngiem przedwyborczym?

Bez trudu wyobraził sobie szeroki uśmiech na twarzy Mendoza.

- No, w tym wypadku w grę wchodzi staż pracy i hierarchia służbowa. Poza tym ładne dziewczyny nie pozwalają człowiekowi skupić się na robocie. Kto jak kto, ale ty chyba wiesz coś na ten temat... Dobrze, co bierzesz?

- Jak wygląda ta sprawa z rozbojem?

- Jakiś szczeniak zaatakował nożem turystę i ukradł mu portfel. Gówniarz jest teraz w areszcie, agringo w szpitalu z raną ciętą ramienia.

- A samobójstwo?

- Dwadzieścia minut temu dostałem cynk od jednego z naszych przyjaciół w policji. Pewien staruszek palnął sobie w łeb w swojej rezydencji.

Rudi Hernandez wyjął z kieszeni notes, zastanawiając się intensywnie, którą sprawę wybrać. Po dziesięciu latach pracy w gazecie było mu właściwie wszystko jedno; widział już wszelkie możliwe zbrodnie, znał wszystkie sposoby popełniania przestępstw. Szaleni Indianie i mestizos w barrios dźgali się nożami, wypiwszy za dużo cany, skorumpowani politycy rżnęli nieletnie panienki, dzieciaki wychowane na ulicy kradły turystom portfele na Calle Palma... Co dzień to samo. Między innymi dlatego tak bardzo zależało mu na sprawie, nad którą obecnie pracował.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytał Mendoza ze zniecierpliwieniem. - Nie mogę czekać do wieczora!

- Masz coś więcej o tym samobójcy?

- Tylko nazwisko i adres... Zaczekaj, gdzieś to zapisałem.

Hernandez zaciągnął się głęboko. Co wybrać? Napad czy samobójstwo? Ech, jakie to właściwie ma znaczenie... Weźmie to, co wydarzyło się bliżej lotniska.

- Staruszek nazywał się... Jezus, Maria, ale nazwisko! Tsarkin. Nicolas Tsarkin. Mieszkał przy Calle Iguazu dwadzieścia trzy.

Hernandez znieruchomiał jak posąg.

- Nicolas Tsarkin? Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Tak właśnie mam zapisane. Jak sądzisz, ilu facetów o takim nazwisku może mieszkać w Asunción?

Do krwiobiegu Rudiego trafił potężny zastrzyk adrenaliny. Może jednak Mendoza coś pomylił?

- Podaj jeszcze raz adres.

- Calle Iguazu dwadzieścia trzy. O co chodzi? Znasz klienta?

- Nie - skłamał Rudi. - Co z policją?

Czuł pot spływający grubymi kroplami po czole, karku i grzbiecie. Na zewnątrz temperatura sięgała czterdziestu stopni, ale w klimatyzowanym wnętrzu dworca lotniczego z pewnością nie przekraczała dwudziestu pięciu; mimo to miał wrażenie, że znalazł się w łaźni.

- Jak to, co z policją? - zdziwił się Mendoza.

- Są już tam?

- Myślę, że tak, choć nie wiem na pewno. - Po drugiej stronie linii zapadła na chwilę cisza. - No więc, co bierzesz?

W głowie Hernandeza zapanował całkowity mętlik. Był tam, zatrzymał samochód po przeciwnej stronie ulicy i obserwował wjazd na teren posiadłości, ponieważ tak poradził mu Rodriguez. Robił nawet zdjęcia. Rozległy dom o białych ścianach, w którym mieszkał bardzo stary człowiek. Rodriguez powiedział, że należy go śledzić.

A teraz obaj nie żyli: starzec i Rodriguez.

- Rudi, do kurwy nędzy! - wybuchnął Mendoza. - Co się z tobą dzieje? Zdecyduj się wreszcie! Nie mogę przez cały dzień wisieć na telefonie!

- Biorę Tsarkina - powiedział Hernandez nie swoim głosem. - Wkrótce się do ciebie odezwę.

Rozdział 3

Strasburg, Francja 23 listopada

Była to jej ostatnia noc w Strasburgu i Sally Thornton wiedziała, że pragnie ją spędzić z Joe Volkmanem.

Kiedy wyszli z restauracji przy Operze i w strugach ulewnego deszczu wsiedli do taksówki, która miała zawieźć ich do jego mieszkania, Sally pomyślała, że zapewne zostanie tam do rana. Mężczyźni nie zapraszają dziewczyny w środku nocy na drinka tylko po to, żeby potem odesłać ją taksówką do domu; w każdym razie, nie ci mężczyźni, których do tej pory zdążyła poznać.

Miała na sobie szmaragdowozieloną, związaną w tali bluzkę, która podkreślała szczupłość jej sylwetki i doskonale pasowała do koloru oczu. Do tego czarne, cienkie pończochy na smukłych nogach. Była niezbyt szeroka w biodrach, ale za to miała bujne, jędrne piersi. Doskonale zdawała sobie sprawę, że za taką figurę

wiele kobiet oddałoby pół życia, ale niewielu było takich, których zdecydowała się obdarzyć swymi wdziękami. Nie oznaczało to wcale, że zależało jej na trwałym związku; po prostu mogła pójść do łóżka wyłącznie z kimś, kto jej się bardzo, ale to bardzo podobał.

Wielu mężczyzn zatrudnionych w centrali DSE wpadało na pogawędkę do jej pokoju. Wystarczyło spojrzeć im w oczy i na twardą wypukłość w spodniach, aby domyślić się ich prawdziwych intencji. Joe Volkmann nie zajął do niej ani razu i być może dlatego wzbudził jej zainteresowanie.

Pracowała w wywiadzie od pięciu lat, czyli od ukończenia studiów w Oxfordzie, i traktowała roczny pobyt w DSE jako coś w rodzaju przetarcia przed skierowaniem na pierwszą poważną placówkę do Nowego Jorku. Kiedy Volkmann zaofiarował się, że pomoże jej przy pakowaniu, natychmiast zrozumiała, iż jest to poważna oferta, a nie tylko grzecznościowa propozycja.

Całe popołudnie spędzili w jej mieszkaniu w Petite France, wkładając do drewnianych skrzyń sprzęt stereofoniczny oraz zabytkowe bibeloty, które kupowała w antykwariatach. W ramach rewanżu zaprosiła go na obiad do restauracji, ale on przebił jej ofertę; bez wahania zgodziła się na spektakl w Operze oraz na kolację w pobliskim lokalu.

Podczas przedstawienia obserwowała go ukradkiem. Zdawał się chłonać muzykę całym sobą i choć często uśmiechał się do niej, cały wieczór zaś upłynął w bardzo romantycznym nastroju, nie objął jej ani razu, nie pocałował w szyję ani nie otarł się, pozornie niechący, o jej pośladki. Tego rodzaju „zaloty” stanowiły specjalność Włochów urzędujących na trzecim piętrze.

Jednocześnie nie był oziębły ani nie sprawiał wrażenia znudzonego. Po prostu wyglądał na człowieka, który nie stara się za wszelką cenę dopiąć swego, a to czyniło go jeszcze bardziej interesującym. Kolejny powód, dla którego postanowiła go zdobyć.

Dwupokojowe mieszkanie - jak na mężczyznę, Joe utrzymywał je w nienagannym porządku - znajdowało się w eleganckim budynku przy Quai Ernest.

Okna oraz balkon wychodziły na niewielkie, wybrukowane kamienną kostką podwórze. W kącie stała wieża Pioniera, na półkach zaś trochę książek w twardych oprawach oraz mnóstwo kaset i płyt kompaktowych, większość z muzyką klasyczną. Oprócz dzieł najslawniejszych kompozytorów dostrzegła także płytę z utworami Dvořáka oraz kilka kompaktów zupełnie jej nie znanych rosyjskich kompozytorów. Były także fotografie - niektóre w ramach, inne w przezroczystych plastikowych okładkach.

- Czego się napijesz, Sally?

Usiadła na kanapie i założyła nogę na nogę. Uśmiechnęła się lekko, pochwycając spojrzenie, jakim obrzucił jej smukłe łydki, kolana i częściowo odsłonięte uda.

- Masz whisky?

- Oczywiście.

- Wobec tego poproszę. Z lodem i colą.

Skinął głową i wyszedł do kuchni. Na pewno nie był przystojny w klasyczny sposób, ale akurat na niej wywierał spore wrażenie: wysoki, ciemnowłosy, dobrze zbudowany, bardziej przypominający Francuza niż Anglika. Miał trzydzieści siedem lat, lecz wyglądał młodziej. Tak, bez wątplenia miał w sobie coś, czego na razie Sally Thornton nie potrafiła jeszcze zidentyfikować. Chyba coś w łagodnych brązowych oczach; takie same oczy miała kobieta na jednym ze zdjęć ustawionych na półce.

Wyglądał na mężczyznę, który potrafiłby zaopiekować się kobietą, ale podobne wrażenie sprawiali wszyscy mężczyźni pracujący w tym zawodzie: oficerowie, funkcjonariusze wywiadu i specjaliści od narkotyków udający zwyczajnych policjantów. Poza tym ona nie potrzebuje opieki. Na szczęście potrafi sama zatroszczyć się o siebie.

Może więc zainteresowała się nim dlatego, że wzbudził jej zaufanie? Nie zachowywał się jak kogut, nie starał się za wszelką cenę zaprezentować z jak najlepszej strony, jego delikatny uśmiech pozwalał zaś podejrzewać, iż pod pancierzem chłodnego profesjonalizmu kryje się wrażliwy człowiek.

Wrócił z kuchni i podał jej drinka. Zdążył już zdjąć krawat i rozpiąć kołnierzyk. Sobie otworzył piwo - pił z butelki - Sally zaś przemknęła przez głowę myśl, że jeszcze nigdy nie widziała go tak rozluźnionego.

Zdawała sobie sprawę, że ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku. Wiedziała doskonale, iż jej szczupłe nogi znakomicie prezentują się w pantoflach na wysokim obcasie, czarnych pończochach oraz krótkiej obcisłej spódniczce; teraz, kiedy Sally siedziała na kanapie, spódniczka powędrowała jeszcze wyżej, odsłaniając nogi niemal do połowy uda. Joe włączył tuner i z kolumn popłynął głos Edith Piaf śpiewającej „Je ne regrette rien”. Deszcz bębnił w parapety i spływał strużkami po szybach.

- Będzie ci mnie brakowało, Joe?

- Jasne.

- Więc czemu się uśmiechasz?

- Bo wiem, że w Nowym Jorku oszaleją na twoim punkcie.

- Kto? Ludzie z ambasady?

- Oni też, ale przede wszystkim Amerykanie. Mężczyźni będą dobijać się do twoich drzwi.

- Dziękuję za komplement. Wpadniesz mnie odwiedzić?

- Jeśli sobie życzysz...

Uśmiechnęła się, zagrzechotała kostkami lodu w szklance, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

- Opowiedz mi o sobie, Joe.

- Co chcesz wiedzieć? Wzruszyła ramionami.

- Wszystko. Pracuję z tobą prawie od roku, a ty wciąż stanowisz dla mnie jedną wielką zagadkę. Na przykład, od jak dawna jesteś w DSE?

- Osiemnaście miesięcy.

- I co, zadowolony?

- Oczywiście.

- A przedtem?

- SIS.

Wyprostowała nogi, żeby mógł je lepiej widzieć.

- Byłeś kiedyś żonaty?

Skinął głową i pociągnął łyk piwa.

- Raz. Jestem po rozwodzie. Nie mieliśmy dzieci.

- Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

Przeniosła wzrok na fotografie na półce. Dwie z nich przedstawiały mężczyznę i kobietę z małym chłopcem. Jedno zdjęcie zrobiono przed willą o białych ścianach, drugie na plaży. Chłopiec bardzo przypominał Volkmana, należało się więc domyślać, iż towarzyszące mu osoby to jego matka i ojciec. Na półce stało też zdjęcie kobiety. Była bardzo ładna, wręcz piękna, siedziała przy fortepianie, na podłodze u jej stóp stał zaś kosz pełen kwiatów. Uśmiechała się do obiektywu. Sally doszła do wniosku, że Volkman odziedziczył po matce nie tylko oczy, lecz także uśmiech.

- Ojciec umarł pół roku temu, ale matka ma się całkiem dobrze.

- Czy to ona jest na tym zdjęciu? Gdzie je zrobiono?

- W Albert Hall, wiele lat temu. Była koncertującą pianistką, nawet całkiem niezłą.

- Nie chciałeś pójść w jej ślady? Ponownie przyłożył butelkę do ust.

- Nie. Zabrakło mi talentu. Cieszysz się, że wyjeżdżasz? - zapytał, zmieniając temat.

- Cieszę się, że przenoszą mnie do Nowego Jorku. Amerykanie nie mają przed nami nic do ukrycia, podobnie jak my przed nimi, więc w gruncie rzeczy będę pełnić funkcję łącznika, ale to bardzo dobra posada, a w dodatku nieźle płatna. Z drugiej strony, nie jestem pewna, czy potrzebna; przypuszczalnie ambasador podczas jednego lunchu może dowiedzieć się więcej niż nasi ludzie przez cały rok.

- Niedawno dzwonił do mnie Dick Wolsley. Podobno Niemcy i Francuzi zamierzają wycofać się z przedsięwzięcia.

- Masz na myśli DSE?

Volkmann skinął głową, w zamyśleniu obracając butelkę w dłoni.

- Do ciebie też dotarły jakieś plotki?

Sally Thornton wzruszyła ramionami. Już od dłuższego czasu palce jej prawej ręki manipulowały przy górnym guziku bluzki.

- Słyszałam, że należy się liczyć z taką możliwością. Gdyby okazało się, że to prawda, nic nie wyjdzie z planów nawiązania ścisłej współpracy między agencjami wywiadowczymi. - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Tak czy inaczej, to tylko marnowanie pieniędzy podatników, nie sądzisz? Przypuszczam, że przepowiednia Wolsleya okaże się prawdziwa również z innych powodów.

- Jakich?

- Wszyscy mają kłopoty finansowe: Francuzi, Niemcy, Włosi, my zresztą też. Na giełdach trwa zamieszanie, kursy walut zmieniają się raptownie w zupełnie nieprzewidywalny sposób, a w takiej sytuacji każdy troszczy się przede wszystkim o siebie.

- Czy Ferguson miał jakieś wiadomości na ten temat?

- Szczerze mówiąc, prawie z nim nie rozmawiam - odparła Sally z uśmiechem.

- Ten człowiek przypomina nadęty balon.

- APeters?

- Peters powtarza tylko bez przerwy, że mam ładne nogi i że chętnie poszedłby ze mną do łóżka. - Przerwała na chwilę, by Volkmann zdążył zerknąć na jej uda. - I że jesteś znakomitym oficerem wywiadu. Czy jednak musimy rozmawiać o pracy? O której masz samolot?

- Punktualnie o dwunastej

- Po południu. Tęsknisz za Londynem, Joe?

- Rzadko.

Sally Thornton wyciągnęła ręce za głowę i wyprężyła się kusząco.

- Ja wcale. Ani odrobinę. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym już nigdy nie musiała tam wrócić. - Pochyliła się do przodu, oparła łokcie na kolanach i spojrzała Volkmannowi prosto w oczy. - Joe, czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Jak bardzo osobiste?

- Czy chcesz pójść ze mną do łóżka?

Volkmann uśmiechnął się, a ona odstawiła szklanę.

- Tylko pamiętaj, że muszę wstać przed ósmą.

Siedzieli na ławce w niewielkim parku, zasypnym jesiennymi liśćmi.

Na ten listopadowy weekend przyjechał do domu z kursu, który odbywał w Szkocji. Słońce świeciło na bladoniebieskim, bezchmurnym niebie. Był to jeden z tych wspaniałych jesiennych dni, kiedy powietrze jest tak czyste i świeże, że aż chce się oddychać. Ojciec otulił się szczelnie starym tweedowym paltem, które zawsze sprawiało wrażenie, jakby było na niego o numer za duże, i skierował na syna spojrzenie wilgotnych brązowych oczu.

- Matka powiedziała mi, że wysyłają cię do Berlina. Syn skinął głową. Znał ten wyraz twarzy ojca.

- To dobra placówka, tato. Być może uda mi się wpadać do domu nawet co miesiąc.

- Czy będziesz zajmował się czymś niebezpiecznym?

- Nie, tato - odparł z uśmiechem. - Moja praca polega głównie na zbieraniu informacji. Nie musisz się niepokoić. Na pewno nie poślą mnie z pistoletem maszynowym na drugą stronę muru. O czymś takim można przeczytać w książkach, ale życie wygląda zupełnie inaczej.

- Matka wspomniała, że byłeś tam już w zeszłym miesiącu.

- Wysłali mnie na trzy dni, żebym przyjrzał się wszystkiemu na miejscu. Chyba chcieli sprawdzić, czy na pewno zależy mi na tej robocie.

- I co, zależy ci? Wzruszył ramionami.

- Zawsze to lepsze niż przekładanie papierów w Century House.

- A co z Anną?

- Przyjedzie do mnie za kilka miesięcy.

- Jak tam teraz jest?

- W Berlinie? Trochę jak w Nowym Jorku, przy zachowaniu odpowiednich

proporcji, ma się rozumieć. Mnóstwo dobrych restauracji i bujne nocne życie dla tych, którzy to lubią. Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy nadali miastu zupełnie inny charakter, niepodobny do tego sprzed wojny.

Stary człowiek spoglądał obojętnie na nagie gałęzie drzew, ale Joseph Volkmann nie dał się zwieść pozorom; doskonale wiedział, co teraz dzieje się w duszy ojca. Na szczęście człowiek w tweedowym palcie otrząsnął się ze wspomnień, zanim ból stał się nie do zniesienia, spojrzął na zegarek i wstał z ławki.

- Matka czeka z obiadem. Obiecaliśmy, że się nie spóźnimy.

- Tato...

Ojciec odwrócił się do niego, a wówczas Joseph wyraźnie dostrzegł różowy ślad na jego skroni, tak samo niemożliwy do usunięcia jak inne, znacznie głębsze, choć niewidoczne rany.

- To wszystko już minęło, tato - powiedział łagodnie. - Dawno temu. Jeśli jednak chcesz, możesz mi o tym opowiedzieć. Czasem to pomaga.

Ojciec pokręcił głową.

- Wierz mi, Josephie, słowa nic tu nie zmieniają. Przez dwadzieścia lat próbowałem uwolnić się od ciężaru, aż wreszcie zrozumiałem, że najlepiej jest zapomnieć. - Brązowe oczy spoglądały prosto na młodszego mężczyznę. - Ty też się kiedyś o tym przekonasz. Nigdy nie próbuj wskrzeszać duchów przeszłości. A teraz chodźmy. Nie chcę, żeby matka czekała z obiadem.

Joseph Volkmann przez chwilę spoglądał na szczupłą, zgarbioną postać w zbyt obszernym palcie, a następnie podniósł się z ławki i ruszył za ojcem.

Rozdział 4

Asunción, Paragwaj 23 listopada

Teren posiadłości otoczony był wysokim murem, ale jadąc wspinającą się łagodnymi serpentynami ulicą Hernandez mógł dostrzec dach i fragmenty białych ścian domu ukrytego za szpalerem palm rosnących wzdłuż drogi dojazdowej do

budynku. Nie był to właściwie dom, lecz rozległa piętrowa rezydencja położona na wzgórzu, z którego roztaczał się piękny widok na miasto i okolicę. Nie rzucała się w oczy, ale jeśli już ktoś zwrócił na nią uwagę i przyjrzał się jej dokładnie, wywierała imponujące wrażenie.

Było bardzo parno, choć na niebie nie pojawiła się ani jedna chmura. Hernandez pocił się nie tylko z powodu upału, lecz także z podniecenia, i niepewności; w żołądku czuł nieznośny ciężar, usta zaś miał zupełnie suche, jak po długim i wyczerpującym biegu.

Dotarwszy do bramy z kutego żelaza przekonał się, że jest otwarta na oścież, ale kiedy zamierzał wjechać do środka, drogę zastąpił mu młody policjant z kciukami wepchniętymi za skórzany pas, do którego była przytroczona kabura z pistoletem. Hernandez nacisnął pedał hamulca i stary czerwony buick zatrzymał się z szurgotem opon.

Policjant był bardzo młody; mógł sobie liczyć najwyżej dwadzieścia parę lat, miał gładką twarz i fatalnie dopasowany mundur. Hernandez przywołał na twarz najbardziej przyjacielski ze swoich uśmiechów i machnął funkcjonariuszowi przed nosem legitymacją prasową, ten jednak nawet nie drgnął.

- Macie tu podobno jakiegoś samobójcę - powiedział Rudi. - Nicolas Tsarkin, zgadza się? Jestem z „La Tarde”. Mam o tym napisać.

Młody policjant przyglądał mu się nieufnie.

- Nikomu nie wolno tam wchodzić.

- Kto tak powiedział?

- Kapitan Sanchez.

- Vellares Sanchez?

Chłopak skinął głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepewności, choć prawa ręka nadal spoczywała na pasie tuż obok rozpiętej kabury. Hernandez postanowił wykorzystać wrażenie, jakie wywarł na niedoświadczonym funkcjonariuszu, dając do zrozumienia, że zna osobiście kapitana Sancheza.

- Vellares jest tam teraz? - zapytał, wskazując ruchem głowy obszerny

budynek.

- St.

- Masz radio?

Pytanie było czysto retoryczne, bowiem u policyjnego pasa, po przeciwnej stronie niż pistolet, wisiała przenośna krótkofalówka.

- Si.

Rudi uruchomił silnik.

- Więc połącz się z Vellaresem i powiedz mu, że jedzie do niego Rudi Hernandez.

- Ale kapitan zakazał...

Hernandez wrzucił bieg, nie zważając na protesty funkcjonariusza.

- Tylko nie zapomnij, jak się nazywam: Rudi Hernandez. Czerwony buick ruszył ostro z miejsca. Zerknąwszy we wsteczne lusterko Rudi zobaczył, że młody policjant pośpiesznie odpina krótkofalówkę od pasa, i uśmiechnął się do siebie. Pierwsza przeszkoda pokonana. Została jeszcze jedna.

Nie ulegało wątpliwości, iż Tsarkin miał mnóstwo pieniędzy. Przypuszczalnie więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie sobie wyobrazić.

Wypielegnowane trawniki otaczały dom pasem co najmniej stumetrowej szerokości. Jadąc asfaltową alejką w kierunku rozległej budowli przykrytej dachem z czerwonej dachówki, Hernandez rozglądał się z podziwem dokoła. Między palmami i krzewami pieprzowymi rósł obsypany różowymi kwiatami hibiscus, kilka kroków dalej zaś zaczynały się ogrody pełne drzew mango, brzoskwiniowych oraz palm kokosowych o pióropuszcach zwisających melancholijnie w gorącym, nieruchomym powietrzu. Utrzymanie zieleni w tak doskonałym stanie wymagało sporo pracy i jeszcze więcej środków. Rudi w całym Asunción nie widział czegoś równie wspaniałego.

Jechał powoli, chłonąc zachwycające widoki. Jeszcze nie tak dawno, kiedy siedział godzinami w samochodzie i obserwował bramę wjazdową, zastanawiał się, jak może wyglądać teren posiadłości kryjącej - był tego niemal pewien - znacznie

więcej tajemnic niż przypuszczał Rodriguez.

Mniej więcej w połowie wzniesienia silnik zakrztusił się raz, drugi, a przerdzewiałym nadwoziem wstrząsnęły drgawki.

Cholera!

Stary, dwunastoletni buick nadawał się już tylko na złom. Na tym silniku - drugim, bo oryginalny dawno rozpadł się na kawałki - Rudi przejechał ponad sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. W tym czasie ogromny krążownik szos stał się jego najbardziej zaufanym przyjacielem, ale teraz nic już nie mogło mu pomóc. Hernandez kilka razy przymierzał się do kupna nowego wozu, ale zawsze brakowało mu albo czasu, żeby się tym zająć, albo pieniędzy. Zmniejszył nacisk na pedał gazu; silnik przestał się krztusić, lecz dwadzieścia metrów dalej znowu zaczął prychać i kasłać. Z miejsca, w którym teraz się znajdował, Rudi wreszcie ujrzał rezydencję w całej okazałości; była jeszcze większa niż się spodziewał i ponad wszelką wątpliwość niezwykle kosztowna.

Trzydzieści metrów od początku zwirowego podjazdu buick ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Co prawda silnik pracował, ale zupełnie nie reagował na położenie pedału gazu. Hernandez zakręcił kierownicą w lewo, zjechał na krawędź asfaltu, wcisnął hamulec i z całej siły rąbnął pięścią w kierownicę.

Niech to nagły szlag trafi!

Wyłączył silnik, po czym spojrzał w kierunku głównego wejścia do budynku. Obok białoniebieskiego radiowozu stał umundurowany policjant. Nagle drzwi otworzyły się i na ganek wyszedł potężny, otyły Vellares Sanchez. Zatrzymał się tuż przed schodkami wiodącymi na podjazd, po czym z ponurym wyrazem twarzy spojrzał w kierunku asfaltowej alejki.

Hernandez wysiadł z samochodu i pomachał kapitanowi, ale ten nie zareagował, więc dziennikarz nie tracił czasu na dalsze demonstrowanie przyjaznych uczuć, tylko ruszył w stronę rezydencji.

Vellares Sanchez miał czterdzieści lat, sporą nadwagę i wiecznie podkrążone oczy, przez co zawsze sprawiał wrażenie, że nie przespał kilku minionych nocy.

Skóra zdawała się spływać ciężkimi fałdami z jego nalanej twarzy, a mocno przerzedzone ciemne włosy sprawiały wrażenie przyklejonych na całej długości do okrągłej czaszki. Biały lniany garnitur był wymięty i wyglądał tak, jakby został uszyty dla kogoś o całkowicie odmiennej budowie ciała. Ogólnie rzecz biorąc, kapitan Sanchez nie prezentował się najlepiej, ale Hernandez doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko pozory i że za tymi zapuchniętymi, sennymi oczami kryje się nadzwyczaj przenikliwy umysł. Wiedział także, iż nie powinien oczekiwać nadmiernej wylewności, lecz tym razem korpulentny oficer policji zachowywał się jeszcze bardziej powściągliwie niż zazwyczaj. Od niechcienia uściśnął rękę Hernandeza, po czym ledwo dostrzegalnym ruchem głowy wskazał samochód pozostawiony w alejce dojazdowej.

- Co tym razem przydarzyło się twojej kupie złomu? - zapytał zgryźliwie, ocierając czoło bawełnianą chusteczką.

Rudi uśmiechnął się w nadziei, że w ten sposób zdoła nieco rozładować atmosferę.

- Nie wiadomo czemu włączyło się automatyczne ssanie i paliwo zalało świece. Wszystko będzie w porządku, tylko elektrody muszą trochę podeschnąć.

- Człowiek przy bramie miał nikogo nie wpuszczać - warknął Sanchez.

- Przecież mnie znasz, Vellares. Jak tylko zwęszę ciekawą historię...

- Nie zastosowałeś się do mego polecenia - stwierdził sucho oficer.

- Daj spokój, człowieku... Przecież muszę jakoś zarobić na życie. Jeśli nie dostarczę materiału, nie będę miał co jeść. - Hernandez wzruszył bezradnie ramionami. - Naprawdę bardzo mi przykro. Mendozie zależy na dobrym materiale, więc staram się jak mogę.

Sanchez przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu młodszemu o kilka lat mężczyźnie. Hernandez był wysoki, miał kasztanowe włosy i jasną cerę oraz może odrobinę za długie, wiecznie potargane włosy, ale zawsze był starannie ogolony i ubrany z niedbałą elegancją, jak wykładowcy z uniwersytetu. Z pewnością mógłby uchodzić za jednego z nich, gdyby nie głęboka blizna przecinająca ukosem

prawy policzek. Dzięki niej wyglądał na twardziela, który z niejednego pieca chleb jadł i stoczył niejedną bójkę w barze, ale Sanchez wiedział, że to tylko pozory.

Znali się już dziesięć lat. Hernandez był dobrym dziennikarzem, zawsze potrafiącym znaleźć właściwe słowa, jego oczy zaś nadal spoglądały na świat z łagodną zadumą, chociaż, podobnie jak oczy Sancheza, widziały wiele zła.

- No więc, co się tu dzieje, Vellares?

Hernandez spoglądał na niego tymi błyszczącymi, niewinnymi oczami, zupełnie jakby nic się nie stało, jakby nie naruszył kategorycznego zakazu i nie oszukał niedoświadczonego chłopaka przy bramie. Dziennikarz uśmiechał się szeroko, ale kapitan dostrzegł na jego twarzy także ślad innych, wymieszanych emocji, wśród których z pewnością znajdowały się podniecenie i lęk. Sanchez wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Hernandeza, który uznał to chyba za symboliczny gest oznaczający zawarcie pokoju.

- Najpierw powiedz mi, co ty wiesz - zażądał oficer. Hernandez wydmuchnął kłąb dymu.

- Stary człowiek, niejaki Nicolas Tsarkin, popełnił samobójstwo. - Spojrzał na wspaniale utrzymane trawniki, piękny tropikalny ogród, wreszcie na dom. - Wygląda na to, że szczęścia naprawdę nie można dostać za pieniądze...

- Za pieniądze można dostać wszystko z wyjątkiem zdrowia, amigo - odparł Sanchez, po czym zaniósł się donośnym kaszlem.

- A więc dlatego staruszek skończył ze sobą? Ponieważ był chory?

- Może tak, może nie.

Hernandez sięgnął do tylnej kieszeni spodni po notes o kartkach spiętych plastikową sprężyną.

- Będziesz miał coś przeciwko temu, że zrobię trochę notatek? - zapytał, obmacując pozostałe kieszenie w poszukiwaniu długopisu.

Kapitan pokręcił głową.

- Nie. Tylko pamiętaj, żeby niczego nie dotykać, bo technicy nie zebrali jeszcze wszystkich śladów. Między innymi dlatego nie chciałem, żeby ktoś się tu kręcił.

Dziennikarz skinął ze zrozumieniem głową.

- Jak długo to potrwa?

- Już prawie kończą.

- Mógłbyś pożyczyć mi długopis?

- Wciąż pożyczasz długopisy? Dobry reporter powinien mieć własny.

- Ciągłe je gubię. Zdaje się, że mam dziury w kieszeniach. Sanchez podał mu długopis.

- To samo było w sądzie, dziesięć lat temu. Jak ci się zdaje, ile już ich ode mnie wzięłeś? Masz dziury w głowie, nie w kieszeniach, amigo. - Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. - Dobra, wejdźmy do środka. Jak moi ludzie sobie pójdą, będziesz mógł się rozejrzeć. - W głosie oficera zabrzmiała nuta podniecenia. - Powiadam ci, jest na co patrzeć. Ten gość chyba palił pieniędzmi w piecu.

- Na to wygląda - mruknął Hernandez, idąc za kapitanem.

Istotnie, wewnątrz rezydencji musiało budzić podziw, choć zaskoczenie Hernandeza było w znacznej mierze udawane, ponieważ już dawno domyślał się, w jakich warunkach może żyć ktoś taki jak Tsarkin.

Kryształowy żyrandol w hallu, szerokie kręcone schody prowadzące na piętro, jadalnia ze srebrnymi świecznikami i rzeźbionymi dębowymi krzesłami, kuchnia większa od całego jego mieszkania... W łazience znajdowała się ogromna wanna z masażem wodnym i złożonymi kurkami, za domem zaś kort tenisowy.

Służba mieszkała w pobliżu basenu. Według słów Sancheza w rezydencji zatrudniano czterech służących oraz trzech ogrodników. Po wstępnym przesłuchaniu wszystkim pozwolono odejść; śmierć chlebodawcy wywarła na nich wstrząsające wrażenie, największe na starej indiańskiej kucharce, która podobno doznała niemal szoku.

Na koniec Sanchez zostawił gabinet na parterze. W głównym hallu spotkali ekipę techniczną, która uporała się już ze zbieraniem odcisków palców i zabezpieczaniem innych śladów. Kapitan złapał za ramię jednego ze swoich ludzi i odprowadził na bok, gdzie przez dłuższą chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami,

następnie zaś podszedł do Hernandeza, wpatzonego w olejny obraz przedstawiający smukłego jaguara na tle bujnej zieleni lasu tropikalnego. Obraz, choć nie sygnowany, był całkiem niezły. Jakiś zdolny amator, pomyślał Sanchez.

- I co? - zapytał Hernandez.

- Samobójstwo - odparł kapitan. - Nie ma najmniejszych wątpliwości. I bardzo dobrze, bo przynajmniej mam jeden problem z głowy. Jeśli chcesz zobaczyć Tsarkina, to musisz się pospieszyć, bo zaraz zabiorą ciało.

Weszli do gabinetu.

Pokój był bardzo obszerny, podobnie jak większość pomieszczeń w rezydencji. Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła uwagę dziennikarza, był odsunięty na bok obraz w złoconej ramie, za którym znajdował się otwarty na oścież ścienny sejf. Regały przy trzech obitych ciemną boazerią ścianach były zastawione książkami, panoramiczne okno, zajmujące niemal całą czwartą ścianę, wychodziło na zwirowy podjazd. Umebłowanie gabinetu Tsarkina składało się z ogromnego biurka, wygodnego fotela obitego brązową skórą oraz stolika do kawy, przy którym stał drugi, jeszcze bardziej rozłożysty fotel. Hernandez rozejrzał się po pokoju, ale nigdzie nie dostrzegł ciała.

- Leży tam, za biurkiem - powiedział Sanchez.

Dziennikarz podszedł do okna i zajrzał za biurko z ciemnego, błyszczącego drewna. Najpierw zobaczył nogi nieboszczyka, potem plamy krwi i strzępy tkanki mózgowej na dywanie, wreszcie głowę przykrytą zakrwawioną chusteczką. Rudi przez chwilę walczył z nudnościami, po czym przyklęknął, żeby przyjrzeć się z bliska.

- Ejże!

Spojrzał na Sancheza, zapalającego właśnie kolejnego papierosa.

- Chciałem tylko spojrzeć.

- Ostrzegam cię, że widok nie jest zbyt przyjemny. Klient strzelił sobie w usta.

Hernandez skinął głową i ponownie skoncentrował uwagę na zwłokach. Krew, podobnie jak szarawe strzępy tkanki mózgowej, zdążyła już zakrzepnąć.

Odchylił chustkę, ale szybko opuścił ją na miejsce; górna część czaszki starego człowieka praktycznie przestała istnieć, to zaś, co z niej pozostało, przypominało bezkształtną miazgę. Na zbryzganej krwią twarzy zamarł grymas przerażenia, jakby Tsarkin w ostatniej chwili przed pociągnięciem spustu pożałował swojej decyzji. Nienaturalnie wygięta, nieruchoma ręka wyglądała tak, jakby starzec uniósł ją do szyderczego pozdrowienia.

Rudi wyprostował się i dopiero wtedy dostrzegł wielki rewolwer o wyjątkowo długiej lufie, leżący na dywanie jakiś metr od ręki nieboszczyka.

- Wszystko w porządku? - zapytał Sanchez, przyglądając mu się spod oka.

Hernandez z trudem przełknął ślinę.

- Jasne - skłamał.

- Nie męczył się. Szybka śmierć. Tylko sobie takiej życzyć, amigo.

- Co z rodziną?

- Służba twierdzi, że nie miał żony ani dzieci.

- A kim on właściwie był?

Sanchez zasiadł w fotelu przy stoliku do kawy.

- Emerytowanym biznesmenem. Kiedyś prowadził kilka firm eksportowoimportowych. Działał na terenie całego Paragwaju.

- Imigrant?

- Jeśli ktoś nazywa się Tsarkin, to możesz być pewien, że nie urodził się w indiańskiej wiosce.

Hernandez pospiesznie notował uzyskane informacje.

- Ile miał lat?

- Siedemdziesiąt kilka, może osiemdziesiąt. Nie wiem dokładnie. - Sanchez zaciągnął się dymem, zakasłał. - W każdym razie, trochę sobie pożył. Mam nadzieję, że przynajmniej mu dorównam.

- Wspomniałeś coś o tym, że był chory...

Kapitan strząsnął popiół do kryształowej popielniczki.

- Według jednego ze służących Tsarkin przez ostatnie pół roku bardzo często

jeździł do szpitala. Dzisiaj rano też był tam na badaniach. To podobno był rak. Szybko chudł i z każdym dniem wyglądał coraz gorzej. - Oficer zerknął na zwłoki. - Chyba jednak nie aż tak marnie jak teraz.

- Skąd służący wiedział, że to akurat rak?

- Przeczytał wyniki badań, które stary zostawił kiedyś na biurku. Kazałem moim ludziom skontaktować się ze szpitalem Świętego Ignacego, gdzie leczył się Tsarkin.

Hernandez zanotował również tę informację, a następnie podszedł do otwartego na oścież sejfu.

- Znaleźliście coś? Sanchez pokręcił głową.

- Nic. - Ręką, w której trzymał papierosa, wskazał obszerny kominek. - Za to tam jest mnóstwo ciepłego popiołu, zupełnie jakby stary tuż przed śmiercią spalił kupę papieru.

Dziennikarz przykucnął przed kominkiem i zajrzał do środka. Wchodząc do tego domu żywił irracjonalną nadzieję, że znajdzie coś, co pozwoli mu przynajmniej częściowo wyjaśnić coraz bardziej gęstniejącą tajemnicę, ale wyglądało na to, iż Nicolas Tsarkin zabrał swoje sekrety do grobu.

- Nie zachował się żaden, nawet najmniejszy skrawek - westchnął Sanchez. - Zresztą, jakie to może mieć znaczenie? Sprawa jest oczywista.

- Słyszałeś może wcześniej o tym Tsarkinie? - zapytał Hernandez, starając się nadać głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie.

- Nie. A powinienem? Rudi wzruszył ramionami.

- No, wiesz, taki bogacz... Myślałem, że może jego nazwisko obilo ci się o uszy.

- Nigdy. A tobie?

Dziennikarz odwrócił się do Sancheza i spostrzegł, że oficer przygląda mu się uważnie.

- Też nie.

Podejrzewał, że Sanchez mu nie wierzy, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Nic dziwnego - dodał z uśmiechem. - W Asunción aż roi się od tajemniczych zamożnych ludzi.

Oficer przez długą chwilę nie spuszczał z niego ciężkiego spojrzenia podkrążonych, półprzymkniętych oczu.

- Masz rację - powiedział wreszcie i z wysiłkiem dźwignął się z fotela. - Ten upał mnie zabije... - mruknął, ocierając czoło chusteczką. - Napijesz się piwa? Lodówka jest pełna: niemieckie, holenderskie, jakie tylko chcesz.

- Chętnie. Zimne piwo każdego postawi na nogi. Sanchez poczłapał do wyjścia.

- Wrócę za pięć minut. Możesz się rozejrzeć, ale niczego nie dotykaj.

Hernandez skinął głową.

Rudi stał nieruchomo pośrodku gabinetu, usiłując zebrać myśli. Jego spojrzenie wędrowało między otwartym sejfem a kominkiem. Dlaczego stary człowiek popełnił samobójstwo? Czy z powodu złego stanu zdrowia? A może ze strachu przed ludźmi, o których mówił Rodriguez? Kto wie, czy to nie oni go zabili, a potem tylko upozorowali samobójstwo.

Podszedł do wielkiego kominka i wpatrzył się w rozgrzebany popiół. Sanchez miał rację: ani skrawka papieru. Co było w tych dokumentach, że Tsarkin zadał sobie tyle trudu, aby zniszczyć je, nie zostawiając żadnego śladu?

Odwróciwszy się od kominka, ruszył szybko w stronę sejfu, przez cały czas nasłuchując kroków wracającego Sancheza. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że sejf jest pusty, więc nie tracąc czasu podszedł do biurka, starając się nie patrzeć na leżące na podłodze ciało.

Na zewnętrznej powierzchni szuflad oraz na wypolerowanym boku mebla zaschły bryzgi krwi i strzępy szarawej, włóknistej substancji. Hernandez poczuł, że znowu chwytają go mdłości; przez chwilę oddychał głęboko, po czym kilka razy przełknął ślinę i otarł czoło rękawem koszuli.

W lewej części biurka znajdowały się trzy szuflady. Zaczął od górnej; otworzyła się nie stawiając najmniejszego oporu. Leżały w niej nożyczki, drewniany

nóż do papieru - taki, jakie wyrabiają i sprzedają na ulicach Indianie z plemienia Maca - oraz kilkanaście nie zapisanych kartek papieru formatu A4.

Zamknął szufladę i otworzył następną. Była pusta, chyba w ogóle nie używana, bowiem wewnątrz pachniało drewnem czereśniowym. W trzeciej znalazł jeszcze więcej czystego papieru, trochę recepturek oraz pudełko z metalowymi spinaczami. Zamknawszy szufladę zerknął przelotnie na wykręconą, nieruchomą rękę nieboszczyka. Teraz nie miał już wątpliwości, iż rzeczywiście było to szydercze pożegnanie.

Kropla potu spłynęła mu z czoła na nos, przez chwilę wisała na jego czubku, po czym spadła na błyszczący blat biurka. Start ją rękawem, po raz kolejny osuszył czoło, po czym wyteżył słuch; Sanchez wciąż nie wracał. Rudi słyszał tylko własny przyspieszony oddech i szum krwi w uszach.

Starzec był ostrożny. Bardzo ostrożny. Nie zostawił po sobie nic, co mogłoby stanowić dla Hernandeza wskazówkę, co podpowiedziałyby mu, w którym kierunku powinien prowadzić poszukiwania. Należało jednak skorzystać z okazji, bo druga taka mogła się już nie nadarzyć. Rudi powoli ruszył dokoła pomieszczenia, uważnie przyglądając się książkom na półkach.

Były wśród nich dzieła dotyczące historii Paragwaju, kilka biografii Lopeza, podręczniki ogrodnictwa, opatrzone komentarzem zbiory przepisów prawa handlowego oraz albumy malarstwa, lecz zdecydowaną większość stanowiły pięknie oprawione powieści.

Hernandez wziął jedną z nich do ręki i otworzył na chybił trafił. Książka była napisana po hiszpańsku i wyglądała tak, jakby przed chwilą opuściła drukarnię. Choć została wydana przed kilku laty, wciąż jeszcze pachniała świeżością. Wyglądało na to, że gospodarz nie należał do miłośników literatury; przypuszczalnie biblioteka pełniła wyłącznie rolę dekoracyjną, tak jak wypielęgnowane rabaty z kwiatami czy eleganckie meble we wnętrzu rezydencji.

W chwili, gdy Rudi odstawił książkę na półkę, rozległ się dzwonek telefonu.

Hernandez zamarł w bezruchu, czując, jak serce łomocze mu gwałtownie w

piersi. Telefon dzwonił uparcie, lecz poza tym w domu nadal panowała zupełna cisza. Wreszcie dziennikarz podjął decyzję: szybko podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Si?

- Proszę z señorem Tsarkinem.

Głos należał do mężczyzny, w tle zaś słycać było muzykę. Hernandez natychmiast rozpoznał utwór: „Bolero” Ravela. Zerknął na zwłoki, zastanawiając się, czy powinien przekazać wiadomość o śmierci gospodarza. Ostatecznie doszedł do wniosku, że nie należy to do jego obowiązków.

- O co chodzi? - zapytał.

- Proszę mi wybaczyć, señor Tsarkin. Nie poznałem pana. Rudi otwierał już usta, by wyjaśnić nieporozumienie, lecz mężczyzna nie pozwolił mu dojść do głosu.

- Mówi kierownik recepcji hotelu Excelsior. Chciałem potwierdzić, że wszystko zostało przygotowane zgodnie z pańskim życzeniem: piątek wieczorem, apartament numer sto dwadzieścia. Jesteśmy zawsze do usług i mamy nadzieję, że pańscy goście będą zadowoleni.

- Nie wątpię - odparł odruchawo Hernandez. Jego serce biło w szaleńczym tempie. Spojrzał na szeroko otwarte drzwi gabinetu, ponieważ odniósł wrażenie, że gdzieś daleko rozległy się ciężkie kroki.

- Jest tylko jeden niewielki problem, señor - ciągnął recepcjonista. - Na jutrzejszy wieczór zapowiedziało się kilku stałych gości, którzy przylatują do Asuncióń w interesach. Brakuje nam wolnych miejsc, a pan był łaskaw powiedzieć, że apartament będzie potrzebny tylko między siódmą a dziewiątą wieczorem. Chciałbym się upewnić, że tak jest w istocie, bo wówczas moglibyśmy zaproponować go na noc naszym gościom. Czy może pan to potwierdzić?

- Tak, oczywiście. Do dziewiątej.

Kroki - teraz nie ulegało już wątpliwości, że to są kroki - stawały się coraz głośniejsze.

- Wspaniale! - ucieszył się kierownik recepcji. - Bardzo panu dziękuję, señor.

Buenas tardes.

- Buenas tardes.

Rudi odłożył słuchawkę i spojrzał na nieruchome ciało Nicolasa Tsarkina. Buenas... Czy na pewno? Podniósłszy wzrok, ujrzał w drzwiach Sancheza z puszką piwa w każdej ręce.

- Kto dzwonił? - zapytał oficer, wchodząc do pokoju.

- Z redakcji - skłamał Hernandez.

Sanchez przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, po czym wręczył jedną puszkę; Rudi natychmiast otworzył ją i pociągnął spory łyk schłodzonego piwa. Miało dość ostry smak i, sądząc po napisach na puszcze, zostało sprowadzone aż z Niemiec. Nie znał tej marki.

- Dobrze - stwierdził z uznaniem. Sanchez skinął głową, po czym zapytał:

- Czego chcieli?

- Pytali, czy już skończyłem.

Oficer otworzył swoją puszkę i podniósł ją do ust. Upał był nie do zniesienia; przez otwarte okno nie przedostawał się żaden, choćby najśłabszy podmuch wiatru. Po obwisłych policzkach Sancheza spływały strużki potu. Otarł je wierzchem ręki.

- I co, skończyłeś?

- Chyba tak.

- Wobec tego dokończ piwo i chodźmy zobaczyć, czy coś da się zrobić z tą twoją stertą złomu. Gdybym pracował w drogówce, wsadziłbym cię do paki za to, że jeździsz czymś takim.

Hernandez uśmiechnął się, trzema haustami opróżnił puszkę, po czym wepchnął do kieszeni notes i długopis.

- Długopis jest mój, amigo - przypomniał mu Sanchez.

- Słusznie. - Rudi zwrócił oficerowi jego własność. - Gracias, Vellares.

Kapitan odstawił pustą puszkę na stolik.

- Chodźmy stąd. Na widok trupa zawsze dostaję gęsiej skórki.

Hernandez po raz ostatni obrzucił spojrzeniem zwłoki starego człowieka i

wyszedł za Sanchezem z gabinetu.

Stary buick dał się uruchomić bez najmniejszych problemów. Jadąc gorącymi, rozpalonymi ulicami miasta, Rudi obiecał sobie w duchu, że jak tylko znajdzie trochę czasu, natychmiast odda samochód do remontu. Za wcześnie, żeby wyrzucać go na złom.

Zostawił wóz na jednym z miejsc parkingowych zarezerwowanych dla dziennikarzy „La Tarde”, wszedł do budynku, wspinał się po stromych schodach, pozdrowił kolegów w pokoju redakcyjnym, po czym usiadł za swoim biurkiem i włączył komputer. Napisanie notatki o samobójstwie starego człowieka zajęło mu tylko piętnaście minut. Zamieścił w niej wyłącznie suche fakty: imię i nazwisko denata, adres, sposób, w jaki odebrał sobie życie. Było tego tak niewiele, że nie musiał ani razu zajrzeć do notesu.

O czwartej po południu wręczył dyskietkę z tekstem redaktorowi wydania, a następnie rozejrzał się w poszukiwaniu Mendozy, nigdzie go jednak nie dostrzegł. I bardzo dobrze. Mendoza z pewnością próbowałby wyciągnąć go na piwo, a Rudi miał inne rzeczy na głowie. Otworzywszy notes spojrzął na ostatni zapis, jaki uczynił w rezydencji Tsarkina: Piątek, 19 - 21, apart. 120, hotel Excelsior.

Za dwa dni. Co to może być? Dlaczego Tsarkin zarezerwował apartament tylko na dwie godziny? Czyżby miało tam się odbyć jakieś spotkanie? Tak, prawie na pewno chodziło właśnie o to. Musi znaleźć sposób, żeby dostać się do tego apartamentu i podsłuchać rozmowę.

Rudi z grubsza uporządkował biurko, po czym zszedł na dół, wsiadł do samochodu i pojechał na Calle Chile, do hotelu Excelsior.

Był to najlepszy hotel w mieście, urządzony z niemal orientalnym przepychem. Hernandez spędził w nim kiedyś noc jako gość pewnej amerykańskiej dziennikarki, której pomagał zbierać materiały do artykułu. Chyba spodobał jej się, bowiem po pracy zaprosiła go do pokoju, skąd wyszli dopiero następnego dnia po południu. Przez cały czas prawie nie wychodzili z łóżka, na zmianę kochając się, rozmawiając, pijąc szampana i zjadając dostarczane przez kelnerów posiłki.

Wszystkie wydatki, ma się rozumieć, pokrywali pracodawcy dziewczyny.

Hernandez wjechał windą na pierwsze piętro, bez trudu odszukał apartament, zapamiętał numery sąsiednich pokoi oraz rozkład pomieszczeń, potem zaś wrócił do buicka zaparkowanego dwadzieścia metrów od wyjścia awaryjnego.

Jadąc do domu, opuścił wszystkie szyby, bo upał nie zelżał ani odrobinę. Palił papierosa za papierosem i myślał intensywnie, usiłując stworzyć podwaliny sensownego planu. Nie ulegało wątpliwości, że kluczem do wszystkiego był Tsarkin, ale Tsarkin nie żył.

Kiedy dwadzieścia minut później Hernandez otworzył drzwi swego mieszkania, natychmiast usłyszał delikatny szum klimatyzatora. Rano, przed wyjściem z domu, zapomniał go wyłączyć, ale dzięki temu teraz mógł rozkoszować się chłodnym, ożywczym powietrzem.

Z okien roztaczał się widok na miasto oraz na płynącą zakolami rzekę na południe od Asunción. Rudi bardzo lubił swoje niewielkie mieszkanie i chętnie w nim przebywał. Składało się z małego przedpokoju, łazienki, kuchni, sypialni oraz salonu, gdzie spał na kanapie podczas pobytu Eriki. Poszedł prosto do kuchni, nalał sobie sporą porcję whisky, dosypał pokruszonego lodu, po czym usiadł w pokoju przy otwartym oknie i sącząc złocisty trunek zapatrzył się na łodzie sunące w dół i w górę Rio Paraguay.

Czasem nienawidził Asunción, a czasem kochał je bez pamięci.

Zerknął na fotografię rodziców stojącą w kącie na półce z książkami. Dlaczego matka zdecydowała się zamieszkać właśnie w tym zakazanym mieście? Jeszcze dziwniejsze było jednak to, że mimo wszystko czuł się tu jak w domu, znacznie lepiej niż w ojczyźnie matki. Było tu wiele rzeczy, które kochał i jeszcze więcej takich, których nienawidził. Nienawidził ubóstwa i korupcji, kochał piękne dziewczyny, słońce i życzliwych mestizos.

Odstawił pustą szklanekę na stół. W pokoju wciąż jeszcze czuć było zapach perfum Eriki.

Ponownie spojrzął na zdjęcie - na ojca, przystojnego, ciemnowłosego, szeroko uśmiechniętego, i na matkę, jasnowłosą, ładną, z lekko uniesionymi kącikami ust. Powinna częściej się uśmiechać, ale prawda przedstawiała się tak, że nie miała zbyt wielu powodów, aby to robić. On, Rudi, śmiał się bardzo często, lecz zawdzięczał to chyba wyłącznie genom odziedziczonym po ojcu.

Teraz także się uśmiechnął, ponieważ nagle, nie wiadomo skąd, w jego głowie pojawił się kompletny, stuprocentowo niezawodny plan. Nie tracąc czasu podniósł słuchawkę i drżącymi z podniecenia palcami wystukał numer.

Kto wie, czy stara Indianka na Calle Estrella nie miała jednak racji. Może Erika rzeczywiście przyniesie mu szczęście?

Miał nadzieję, że tak będzie w istocie, bo jeśli nie, to właściwie już mógł się uważać za trupa.

Rozdział 5

Richmond, hrabstwo Surrey, Anglia czwartek, 24 listopada

Boczna uliczka, wzdłuż której stały utrzymane w wiktoriańskim stylu domy z czerwonej cegły, była zupełnie pusta. Spokój zakłóciła czarna taksówka, która zajęchała przed dom opatrzony numerem 21. Volkmann zapłacił kierowcy, wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i ruszył wąskim chodnikiem prowadzącym do wejścia. W zaniedbanym ogródku wśród nagich o tej porze roku krzewów róż rosły liczne chwasty.

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka. Do jego uszu natychmiast dotarły dźwięki muzyki dobiegające z salonu. Uśmiechnął się lekko; „Noc i dzień” Portera.

Postawił torbę na podłodze, po czym ruszył w kierunku salonu. Po drodze minął szeroko otwarte drzwi jadalni (zerknąwszy do środka ujrzał znajomy orzechowy kredens i kominek, na którego okapie stały rzędem fotografie w srebrnych ramkach) oraz kuchnię, skąd na cały dom rozchodziło się ciepło

rozgrzanego pieca.

Matka siedziała w salonie przy czarnym, błyszczącym steinwayu. Obok niej na podłodze leżała laska ze srebrnym uchwytem. Choć Volkmann starał się poruszać jak najciszej, matka podniosła głowę znad klawiatury, uśmiechnęła się do niego, po czym zdjęła okulary.

- Myślałam już, że nie przyjedziesz.

On także się uśmiechnął, podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

- Niestety tylko na dwa dni. W sobotę muszę być z powrotem.

Musnęła dłonią jego twarz.

- Nie szkodzi. Dobrze znowu cię widzieć, Josephie. Jak się udał lot?

- Opóźniony o dwie godziny. Może przejdziemy do kuchni? Tam jest chyba znacznie cieplej.

Podał matce laskę, podsunął ramię i poprowadził w kierunku drzwi.

- Udało mi się zdobyć dwa bilety do Royal Albert Hall. Myślisz, że dasz radę pojechać?

- Na dzisiaj? To wspaniale, Josephie.

- Per Carinni gra „Obrazki z wystawy”. - Ponownie uśmiechnął się do starej kobiety. - Jak się czujesz, mamó?

- Znacznie lepiej, od kiedy tu jesteś. Napijemy się herbaty, a potem opowiesz mi o Strasburgu.

Za każdym razem, kiedy wracał, zastawał dom w nie zmienionym stanie: te same znajome zapachy, ten sam spokój, w którym zanurzał się jak w przytulnym kokonie, a do tego wszechobecna muzyka. Tym razem z radia sączyły się dźwięki organowych utworów Jana Sebastiana Bacha.

Pili herbatę przy kuchennym stole. Matka podsunęła mu talerzyk z herbatnikami, ale Volkmann nie wziął ani jednego. Wyobraził ją sobie, spędzającą dni i wieczory w pustym, zimnym domu, i ponownie ogarnęło go poczucie winy.

Niebawem miała skończyć sześćdziesiąt pięć lat, ale jemu wydawało się, że od pewnego czasu matka starzeje się w przyspieszonym tempie. Zerknął na rodzinne

fotografie sprzed trzydziestu lat, wiszące na ścianach kuchni: ojciec, uśmiechnięta matka z ciemnymi, rozpuszczonymi włosami, oraz on, mały chłopiec siedzący na jej kolanach przed letnim domkiem w Kornwalii.

- Opowiedz mi o Strasburgu.

Volkmann odstawił na spodeczek filiżankę z białej chińskiej porcelany.

- Właściwie nie ma o czym opowiadać. Zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Półtora roku zajęło samo przygotowanie zrębów pod współpracę, a i tak układa się ona nie najlepiej. Francuzi nie ufają Anglikom, Anglicy traktują podejrzliwie

Francuzów, Włosi zaś nie wierzą ani jednemu, ani drugiemu. - Uśmiechnął się do niej. - Tak właśnie wygląda współdziałanie agencji wywiadowczych.

- A co z Anną? Masz od niej jakieś wiadomości?

- Dzwoni od czasu do czasu. Ostatnio zaczęła spotykać się z jednym z wykładowców w szkole oficerskiej.

- Znasz go?

- Nie. Skończyłem naukę cztery lata przed nim. - Wstał z krzesła, delikatnie położył rękę na ramieniu kobiety i uśmiechnął się do niej. - Mamy jeszcze trochę czasu. Zagraj mi coś, a potem wezwiemy taksówkę i pojedziemy na koncert.

Kiedy zbliżali się do miasta, zaczął padać śnieg; początkowo ledwie prószył, ale stopniowo stawał się coraz gęstszy, a kiedy dotarli do Royal Albert Hall, dachy i chodniki Londynu pokrywała już gruba warstwa białego puchu. Na jezdniach, pod kołami samochodów osobowych i autobusów, śnieg szybko zamieniał się w błotnistą, brudną maź.

W foyer kilka osób rozpoznało matkę Volkmana i podeszło do niej, by się przywitać, po koncercie zaś oboje zostali zaproszeni na kolację do pobliskiej włoskiej restauracji. W gronie uczestniczących w niej osób znalazł się także pewien włoski dyplomata, którego matka Josepha poznała przed wieloma laty przy okazji koncertu w Rawennie. Był przystojnym, blisko sześćdziesięcioletnim mężczyzną o siwych włosach, dość wysokim jak na Włocha, jego zachowanie zaś świadczyło o tym, że na scenie radziłby sobie równie dobrze, jeśli nie lepiej, niż w dyplomacji. Od ich

ostatniego spotkania minęło już ponad osiem lat.

- Koncert w pani wykonaniu z pewnością bardziej rozgrzałby publiczność. Koniecznie musi pani wystąpić w Rzymie. Ze swojej strony uczynię wszystko, by zorganizować występ.

Komplementy były mocno przesadzone, niemniej sprawiły jej przyjemność.

Przy deserze rozmowa zeszła na tematy polityczne.

- Wszyscy żyjemy w ciągłym napięciu i trudno się dziwić, zważywszy na niestabilną sytuację. - Włoski dyplomata wzruszył ramionami. - Pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie dojdzie do katastrofy. Mój rząd postanowił ratować ważne gałęzie przemysłu najbardziej dotknięte kryzysem, ale banki twierdzą, że nie mają pieniędzy. Do czego to wszystko doprowadzi?

Włoch rozłożył ramiona w teatralnym geście, po czym wrócił do swego deseru. Volkmann doskonale wiedział, że jakiegokolwiek, nawet najpoważniejsze kryzysy, w niczym nie zmieniają życia dyplomaty: nadal będzie jadał w najlepszych restauracjach i spędzał urlopy w najdroższych miejscowościach wypoczynkowych. Jednak jego wypowiedź przywiodła Josephowi na myśl słowa Sally Thornton.

Kilka minut po pierwszej w nocy taksówka skręciła w boczną uliczkę. Stara kobieta poprosiła kierowcę, by zatrzymał samochód przy parku; śnieg przestał już padać, ona zaś doszła do wniosku, że krótki spacer dobrze jej zrobi. Volkmann wysiadł pierwszy, otworzył drzwi i podał matce rękę. Nie spodobał mu się jej pomysł, ale ona nie zważała na jego protesty, twierdząc, iż czuje się znakomicie i że wieczór spędzony w mieście, wśród ludzi, dobrze jej zrobił.

Idąc wolnym krokiem minęli wejście do parku. Drzewa, wyraźnie widoczne na tle ciemnoszarego, prawie czarnego nieba, wyglądały jak nieruchome duchy. Ich przysypane śniegiem gałęzie przypominały wyciągnięte ramiona.

Matka prawie zupełnie przestała utykać i podpierała się laską chyba tylko z przyzwyczajenia. Ojciec Josepha powiedział kiedyś, że najlepszym lekarstwem dla chorego artysty nie są pigułki, lecz kilkuminutowa owacja na stojąco. Volkmann uśmiechnął się, przypominawszy sobie te słowa.

- Carinni był boski, nie sądzisz? - zapytała, unosząc ku niemu twarz.

- Parę razy słyszałem cię w dużo lepszej formie. Uśmiechnęła się.

- Jesteś pochlebcą, Josephie, ale trzeba przyznać, że wiesz, jak trafić do serca starej kobiety. - Umilkła na chwilę, rozejrzała się dokoła, po czym, oddychając ciężko, ruszyła przed siebie. Syn podążył pół kroku za matką. - Przypomniałam sobie...

- Tak?

- Przypomniałam sobie dawne czasy. Kiedy byłam małą dziewczynką, w Budapeszcie na święta zawsze padał śnieg. - Ponownie spojrzała na Josepha. W mroku widział jedynie jasny owal jej twarzy. - Ale to było naprawdę bardzo dawno temu. Na długo przed tym, jak poznałam twego ojca.

- Opowiedz mi.

Słyszał tę historię wiele razy. Matka zawsze powtarzała ją w nie zmienionej formie, niczym litanię: o przedgwiadzkowych zakupach w kolorowym, radosnym Budapeszcie, o oczekiwaniu Wigilii, o ślizgawce w parku, o świecach w oknach, o rozgrzanym piecu i zapachu lamp naftowych, o dymie unoszącym się z kominów. Tak wyglądało miasto jej dzieciństwa.

Jednak tym razem nie powiedziała ani słowa, a kiedy spojrzał na nią, dostrzegł jak ukradkiem ociera łzy. Ujął ją delikatnie za ramię.

- Chodźmy, bo się przeziębisz.

Popatrzyła jeszcze raz na pograżony w ciszy park, po czym zwróciła twarz w jego stronę, on zaś przez chwilę odniósł wrażenie, że ma przed sobą tę samą kobietę co wiele lat temu na plaży w Kornwalii.

- Brakuje mi go, Josephie. Bardzo mi go brakuje. Schylił się, ujął jej twarz w dłonie i pocałował w czoło.

- Mnie też, mamó.

Rozdział 6

Asunción piątek, 25 listopada

Ogromny boeing 747 linii Iberia zaczął zniżać lot, podchodząc do lądowania na lotnisku Campo Grandę. Spośród wszystkich pasażerów udających się do stolicy Paragwaju najbardziej zmęczony był chyba niepozorny, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w wymiętym, granatowym garniturze, zajmujący miejsce w dwudziestym trzecim rzędzie. Było to całkiem zrozumiałe, ponieważ miał już za sobą przelot z Monachium do Madrytu, teraz zaś, po transoceanicznym przeskoku z Madrytu do Asunción, bolały go wszystkie mięśnie, oczy natomiast piekły jak po nie przespanej nocy.

Od jego ostatniej wizyty w Paragwaju minęły już prawie trzy miesiące. Wywiózł stąd nie najlepsze wspomnienia i nic nie wskazywało na to, żeby tym razem miało być lepiej. Moskity. Upał. Nieuprzejmi tubylcy... Na szczęście to tylko dwadzieścia cztery godziny. Bogu dzięki.

Mężczyzna w granatowym garniturze położył sobie na kolanach skórzaną teczkę, otworzył ją, po czym zaczął uważnie przeglądać znajdujące się w niej dokumenty, aby mieć pewność, że niczego nie brakuje i że wszystko jest w całkowitym porządku.

W przejściu między fotelami pojawiła się ładna stewardesa. Szła powoli, sprawdzając, czy pasażerowie przygotowali się do lądowania. Mężczyzna w garniturze z zainteresowaniem obserwował smukłe, opalone nogi dziewczyny. Stewardesa zatrzymała się przy nim, wskazała na teczkę, po czym powiedziała coś szybko po hiszpańsku; posłusznie zamknął teczkę, wsunął ją pod fotel z przodu, następnie zaś oparł głowę na podglówku i spojrzał w okienko. Pod skrzydłami samolotu pojawiły się białe i żółtawe adobes o płaskich dachach oraz blaszane baraki barrios; maszyna leciała już nad przedmieściami Asunción. (chwile potem przez kadłub przebiegło lekkie drżenie, kiedy pilot otworzył klapy, wyraźne szarpnięcie zaś nieco później poinformowało pasażerów o wypuszczeniu podwozia.

Po kolejnych pięciu minutach po obu stronach kadłuba zaczęły migać światła pasa startowego i niemal jednocześnie koła ogromnej maszyny łagodnie zetknęły się z betonową nawierzchnią.

Dwadzieścia minut później Meyer odebrał bagaż i bez problemów przeszedł przez kontrolę celną i paszportową.

W hali przylotów, z dala od tłumu oczekujących, stał wysoki jasnowłosy mężczyzna z kartką, na której wielkimi literami wypisano imię i nazwisko: Pieter de Beers. Meyer podszedł do niego, wysoki blondyn zaś bez słowa wziął od niego walizkę i dał znak, żeby szedł za nim.

W pobliżu wyjścia czekał mocno zabrudzony mercedes z trzema pasażerami. Na przednim siedzeniu, obok kierowcy, siedział nieruchomy jak skała Schmidt, z tyłu zaś dwaj mężczyźni w eleganckich szarych garniturach. Obaj uśmiechnęli się z ulgą na widok Meyera zmierzającego w stronę samochodu.

Jeden z nich, zaledwie trzydziestoparoletni, był potężnie zbudowany, a jego ciemne włosy błyszcząły mocno, posmarowane jakimś natłuszczającym specyfikiem. Z pewnością nie zasługiwał na miano przystojnego, ale jego szeroka, mocno opalona twarz była na swój sposób nawet atrakcyjna.

Drugi liczył sobie ponad sześćdziesiąt lat, lecz wyglądał znacznie młodziej. Był wysoki, szczupły i bardzo przystojny. Jego siwe, zaczesane do tyłu włosy miały piękny srebrzysty odcień, mocno kontrastujący z intensywną opalenizną. W ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i czerwonym jedwabnym krawacie przypominał pewnego siebie dyplomatę, natomiast nieruchome, spokojne spojrzenie błękitnych oczu świadczyło nie tylko o wielkiej pewności siebie, lecz także o osobistej charyzmie ich posiadacza. Kiedy Meyer zbliżył się do samochodu, człowiek o błękitnych oczach uniósł rękę w powitalnym geście i ponownie się uśmiechnął.

Młody jasnowłosy mężczyzna włożył walizkę Meyera do bagażnika, Schmidt zaś wysiadł i otworzył mu tylne drzwi. W samochodzie Meyer uścisnął ręce obu pasażerom zajmującym miejsca na tylnej kanapie.

- Wszystko w porządku, Johannes? - zapytał człowiek o srebrzystych włosach.

- Ja, danke.

Meyer wyjął chusteczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i otarł spoczone czoło. Nawet w klimatyzowanym wnętrzu mercedesa upał dawał się mocno we

znaki. Po długiej podróży czuł się fizycznie wyczerpany, ale otuchy dodawała mu świadomość, że spotkanie nie potrwa długo.

- A wy mieliście jakieś problemy? - zapytał młodszego, ciemnowłosego mężczyznę.

Rruger pokręcił głową.

- Nie, ale musimy przekazać ci niemiłą wiadomość.

- Naprawdę?

Meyer poczuł ukłucie niepokoju. Chyba ta wiadomość nie ma nic wspólnego z planem? Chyba nie, nawet na pewno nie. Wszystko nadal jest w całkowitym porządku.

- Porozmawiamy o tym po drodze - dodał Kruger, po czym pochylił się do przodu i położył rękę na ramieniu kierowcy. - Do hotelu, Karl.

Samochód płynnie ruszył z miejsca, Meyer zaś po raz kolejny otarł spoczone czoło, zastanawiając się, co to za niedobra wiadomość.

Rudi Hernandez był bardzo zmęczony. Nie spał aż do trzeciej nad ranem, wciąż od nowa analizując swój plan oraz sprawdzając funkcjonowanie aparatury, którą minionego wieczoru dostarczył mu Ricardo Torres.

- Muszę to dostać z powrotem bez najmniejszych uszkodzeń - oznajmił Rudiemu. - W przeciwnym razie szef wywali mnie na bruk i będę musiał sprzedawać orzeszki przed wejściem do zoo, comprende?

Comprende.

Urządzenia sprawiały wrażenie kosztownych. Torres dokładnie wyjaśnił mu zasadę działania oraz sposób posługiwania się każdym z nich, po czym zadał mu to samo pytanie co za pierwszym razem, kiedy Hernandez zadzwonił do niego i przedstawił mu swoją prośbę:

- Do czego ci to wszystko potrzebne, amigo?

- Do zbierania materiałów - odparł Rudi, uśmiechając się tajemniczo.

Torres uniósł jedną brew i przyjrzał mu się krytycznie.

- W porządku, jak sobie chcesz. Ale ty pokrywasz koszty napraw, si? Nie

zapominaj o tym, Rudi.

Hernandez zapewnił go, że nie zapomni. Poza tym nie przewiduje żadnych problemów. Cała ta aparatura będzie mu potrzebna tylko na jeden wieczór. Obiecuje, że zwróci ją w nienaruszonym stanie.

Nazajutrz rano zjawił się wcześniej w redakcji, punktualnie o trzeciej po południu skończył pracę i wrócił prosto do mieszkania. Plan miał już opracowany ze wszystkimi szczegółami, niemniej przeanalizował go ponownie, by zmniejszyć do minimum ryzyko popełnienia błędu.

Miał wielką ochotę na drinka, lecz oparł się pokusie. Stawka była zbyt duża, on zaś powinien przystąpić do pracy maksymalnie skoncentrowany, w pełni sił umysłowych i fizycznych. Chętnie natomiast zadzwoniłby do Eriki po to, by usłyszeć jej głos, pogadać o byle czym, odprężyć się, ponieważ był spięty i zdenerwowany jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Myślał tylko o jednym: żeby się udało. Jeśli plan się powiedzie, jeśli zdoła przeprowadzić go zgodnie ze swymi zamierzeniami, wtedy być może zdobędzie informacje nieoszacowanej wartości.

Jeśli plan się powiedzie...

Jeżeli nie, wówczas on, Rudi, znajdzie się w poważnych tarapatach. Wszystko będzie zależeć od tego, czy zdoła szybko wymknąć się z hotelu. Dokładnie zapamiętał usytuowanie drzwi prowadzących na schody awaryjne, którymi schodziło się na wąską uliczkę z tyłu budynku. Kto wie, czy nie będzie ich potrzebował?

Wstał, przeszedł do kuchni, nalał sobie letniej coli, wrzucił do szklanki kilka kostek lodu, po czym wrócił do pokoju. Siedząc na kanapie prędko opróżnił szklankę, następnie zaś zapalił papierosa, przez cały czas analizując kolejne punkty planu i szukając jego słabych stron. Wszystko wskazywało na to, że takich nie ma; plan, choć z pewnością bardzo ryzykowny, wydawał się bez zarzutu.

Wreszcie Rudi zduślił papierosa w popielniczce, podniósł się z kanapy, wszedł do sypialni, wyciągnął spod łóżka walizkę wypchaną ekwipunkiem, wrócił z nią do pokoju, położył na kanapie i otworzył, po czym sprawdził, czy czegoś nie zapomniał.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, zajął się sprzętem dostarczonym przez Torresa.

Brał kolejno przedmioty rozłożone na stoliku do kawy i układał między ubraniami w walizce w taki sposób, aby były możliwie najlepiej chronione przed wstrząsami i uderzeniami. Uporawszy się z tym zadaniem po raz kolejny sprawdził, czy o czymś nie zapomniał, po czym starannie zamknął walizkę i zmienił kombinację zamka szyfrowego.

Nagle ogarnął go lęk. Spojrzał na ręce; nie dość, że były mokre od potu, to jeszcze drżały jak w febrze. Pomimo działającej klimatyzacji było mu potwornie gorąco. Nabrał w płuca powietrza, po czym wypuścił je powoli przez nos.

Odpręż się, amigo. Uspokój się. Jeśli tego nie zrobisz, możesz już uważać się za trupa.

Spojrzał na zegarek: wpół do szóstej.

Zostało mu akurat tyle czasu, żeby się przebrać.

Wielki czarny mercedes sunął zatłoczonymi ulicami, kierując się do centrum miasta. Ruchoma plastikowa przegroda oddzielająca przednie fotele od tylnej części pojazdu została podniesiona, umożliwiając pasażerom swobodne prowadzenie rozmowy.

Meyer spoglądał przez przyciemnione szyby na uliczne lampy zapalające się w gęstniejącym zmierzchu oraz na znacznie mniejsze i skromniejsze samochody przesuwane się po obu stronach limuzyny, tworzące razem z nią szeroką, trzypasmową rzekę pojazdów, której prąd z każdą chwilą coraz bardziej przybliżał go do miasta oraz do ostatniego spotkania, jakie miało się odbyć w tym odrażającym kraju.

Poobijana, przerdzewiała żółta furgonetka minęła mercedesa w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów. Za kierownicą siedział Indianin w kowbojskim kapeluszu, obok jego tłusta żona z płaczącym dzieckiem w objęciach. Przez otwarte okna wydostawały się na zewnątrz donośne dźwięki rytmicznej muzyki. W tylnej części furgonetki baraszkowała gromadka dzieciaków o brązowych twarzach i

wielkich czarnych oczach. Jeden z nich wydał policzki, wywalił język, a wreszcie ściągnął spodnie i pokazał tyłek pasażerom sunącej dostojnie limuzyny.

Meyer odwrócił się z niesmakiem. Brudni, odrażający dagos. W jaki sposób jego ludzie wytrzymali tak długo w tym kraju? Spojrzał na Krugera, po czym zapytał, by wreszcie uwolnić się od dręczącej go niepewności:

- Co to za wiadomość?

- Chodzi o Tsarkina. Zastrzelił się dwa dni temu. Meyer uniósł z niedowierzaniem brwi.

- Popęłił samobójstwo? Kruger skinął głową.

- To i tak była sprawa kilkunastu, może kilkudziesięciu godzin. Rak. Tsarkin wybrał szybszy sposób. Przed śmiercią wysłał list do Franza. Napisał, że bardzo żałuje, że nie zdoła doczekać chwili, kiedy zrealizujemy nasze plany, ale ból jest już nie do wytrzymania i życzył nam powodzenia.

Meyer skinął ze zrozumieniem głową. Istotnie, teraz przypomniał sobie, że Franz wspominał mu o nie najlepszym stanie zdrowia Tsarkina.

- To dla nas wielka strata - stwierdził ze smutkiem. Nagle zaświtała mu przerażająca myśl. - Co z dokumentami, które przechowywał?

Srebrzystowłosa mężczyzna uśmiechnął się uspokajająco.

- Nie ma powodu do obaw, Johannes. Tsarkin spalił wszystkie papiery. Nie zostawił niczego, co mogłoby rzucić na nas choćby cień podejrzenia.

- Sprawdziliście to?

Głos ponownie zabrał Kruger.

- Franz zadzwonił na miejsce zaraz po odjeździe policji i dokładnie wypytał służących. Naprawdę nie mamy się czego obawiać; wszyscy zaklinają się, że policja potraktowała sprawę jako zwyczajne samobójstwo.

- Czy ktoś przeszukał gabinet Tsarkina?

- Były tam tylko albumy ze starymi fotografiami. Wszystkie zabraliśmy.

- A co ze skrytką w banku?

- Tsarkin sam ją opróżnił, przewiózł zawartość do domu i spalił w kominku

bezpośrednio przed tym, jak nacisnął spust. - Kruger zerknął z ukosa na Meyera. - Jestem pewien, że Franz niczego nie przeoczył.

Meyer skinął głową.

- Spotkanie odbędzie się zgodnie z planem?

- Tsarkin powiedział, że ustalił wszystko jak zwykle, ale Franz na wszelki wypadek upewnił się w hotelu. - Kruger umilkł na chwilę, po czym dodał z uśmiechem: - Stary Nicolas nigdy nie zaniedbywał środków ostrożności i nie zapomniał o nich nawet wtedy, kiedy szykował się na śmierć.

W samochodzie zapadła cisza. Kruger spoglądał obojętnie w okno, mężczyzna o srebrnosiwych włosach oparł głowę na zagłówek, a po chwili to samo uczynił Meyer. Nie miał już wątpliwości, że wszystko odbędzie się jak należy.

O wpół do szóstej wieczorem Hernandez zatrzymał czerwonego buicka na parkingu za hotelem Excelsior, zaledwie dwadzieścia metrów od wyjścia awaryjnego.

Wysiadł z samochodu, rozejrzał się dyskretnie, aby upewnić się, że parking jest pusty, po czym podszedł do metalowych drzwi i pchnął je lekko. Poruszyły się nieco, ale nie otworzyły, ponieważ były wyposażone w zabezpieczenie umożliwiające ich otwarcie jedynie od wewnątrz. Rudi chciał tylko sprawdzić, czy ktoś nie zablokował ich od strony ulicy - wyłącznie na wszelki wypadek, ma się rozumieć, ponieważ nie przypuszczał, żeby musiał z nich korzystać.

W pobliżu stało kilka metalowych pojemników na śmieci, ale żaden z nich nie stanowił poważnej przeszkody. Zadowolony z wyniku inspekcji, wrócił do samochodu, wyjął z bagażnika walizkę, po czym ruszył w kierunku głównego wejścia do budynku. Należało się spodziewać, że będzie opuszczał hotel w dość dużym pośpiechu, więc po to, by później nie tracić bezcennych sekund, tylko zatrasnął drzwi po stronie kierowcy, nie zamykając ich kluczykiem.

Miał na sobie szary, nie używany od lat garnitur, znaczną część twarzy zasłaniały mu ciemne okulary. Garnitur był co prawda niemodny i trochę za ciasny, ale w połączeniu z czystą białą koszulą i granatowym jedwabnym krawatem

wyglądał całkiem przyzwoicie. Kiedy przed wyjściem z domu Rudi spojrzął w lustro, odniósł wrażenie, że widzi zupełnie obcego człowieka - tym bardziej, że za pomocą żelu do modelowania fryzury zmienił także uczesanie.

Wszedłszy do rześście oświetlonego hallu skierował się prosto do recepcji. Za kontuarem stał otyły mężczyzna w czarnym fraku, zajęty wertowaniem pliku papierów, ale jak tylko Hernandez zbliżył się na odległość kilku kroków, grubas podniósł głowę i obdarzył go sztucznym uśmiechem.

- Señor?

- Nazywam się Ferres. Mam na dzisiaj zarezerwowany pokój.

- Chwileczkę, señor. - Tłusciuch nacisnął kilka klawiszy na stojącej obok klawiaturze, spojrzął na ekran komputera i powiedział: - Tak jest. Señor Ferres, pokój sto cztery, pierwsze piętro. - Skierował wzrok na Hernandeza, po czym znowu obdarzył go plastikowym uśmiechem. - Ostatni wolny pokój. Ma pan szczęście.

Mam nadzieję, pomyślał Hernandez. Zadzwoił do hotelu przedwczoraj wieczorem, wyjaśnił, że ostatnio mieszkał na pierwszym piętrze i bardzo spodobał mu się widok z okna i zapytał, czy byłoby możliwe ponownie dostać tam pokój. Po dość długim oczekiwaniu usłyszał wiadomość, że owszem, został jeszcze jeden, ale dwuosobowy. Naturalnie natychmiast powiedział, że go bierze.

- Señor będzie płacił gotówką czy kartą kredytową?

- Gotówką - odparł Hernandez. - I to od razu, jeśli można. Wyjeżdżam bardzo wcześnie.

- Rozumiem, señor.

- Spodziewam się odwiedzin kilku przyjaciół, więc proszę jak najprędzej przysłać do mojego pokoju butelkę szampana i kanapki.

- Oczywiście, señor. Natychmiast się tym zajmiemy. Recepcjonista podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu, przekazał zamówienie Hernandeza, podał numer jego pokoju, wysłuchał odpowiedzi, po czym odłożył słuchawkę i znowu uśmiechnął się sztucznie.

- Rachunek będzie zaraz gotowy, señor Ferres. Któryś z chłopców zanieśie

pański bagaż do pokoju.

Trzy minuty później Hernandez wysiadł z windy na pierwszym piętrze.

Chłopiec hotelowy zaprowadził go do pokoju. Numer sto cztery znajdował się po przeciwnej stronie korytarza niż apartament wynajęty przez Tsarkina i był oddzielony od niego czterema pokojami. Gdyby Rudi nie dostał pokoju na pierwszym piętrze, przeprowadzenie operacji stałoby się niezmiernie trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Przedwczoraj wieczorem, zaraz po telefonicznej rozmowie z biurem rezerwacji, przyjechał do hotelu, by jeszcze raz przyjrzeć się rozkładowi pomieszczeń. Numer sto cztery był wręcz wyśmienity: ani za daleko, ani za blisko, a jeśli wziąć pod uwagę, że hotel nie dysponował już ani jednym wolnym miejscem, fakt, iż Hernandez dostał akurat ten pokój, bez wątpienia należało uznać za dobrą wróżbę.

Chłopiec otworzył drzwi, włączył światło, postawił walizkę na przeznaczonym do tego celu stojaku, po czym cofnął się o krok, czekając na napiwek. Otrzymawszy go uśmiechnął się, życzył Hernandezowi dobrej nocy i szybko wyszedł.

Rudi podszedł do okna, odsunął zasłonę i spojrzał na miasto: mrok gęstniał z każdą chwilą, w domach i na ulicach zapalało się coraz więcej świateł, on zaś odniósł wrażenie, iż wszystkie kierują się na niego, wydobywając go z ukrycia i wskazując tym, z którymi postanowił się zmierzyć.

Ogarnął go lęk. Z wysiłkiem przełknął ślinę, po czym spojrzał na zegarek: punkt szósta. Niebawem w apartamencie zjawia się uczestnicy spotkania.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Hernandez przez chwilę stał jak sparaliżowany, bojąc się odetchnąć, zanim wreszcie uświadomił sobie, kto to może być.

Do pokoju wszedł szeroko uśmiechnięty kelner w białej marynarce, pchając nakryty białą serwetą wózek, na którym stała taca z kanapkami oraz srebrne wiaderko wypełnione lodem, z którego sterczała szyjka butelki szampana. Czynił mnóstwo zamieszania, przesuwał wózek to pod jedną, to pod drugą ścianę, aż

wreszcie znieczcierpliwiony Hernandez kazał mu zostawić go na środku pokoju.

- Oczywiście, señor. Czy otworzyć szampana?

- Nie trzeba.

- Jak sobie señor życzy.

Kelner uklonił się, po czym wykonał ruch, jakby zamierzał odejść, ale nie ruszył się z miejsca. Od razu było widać, że nie pierwszy dzień pracuje w tym zawodzie.

Rudi odliczył trzy banknoty ze zwitka wepchniętego do prawej kieszeni marynarki.

- W porządku, możesz odejść. Jak się nazywasz?

- Mario, señor. Mario Ricardes.

- Dziękuję, Mario.

Wręczył kelnerowi pieniądze, a ten uklonił się raz jeszcze i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi.

Hernandez popatrzył na elegancko zastawiony wózek. To prywatne śledztwo kosztowało go już małą fortunę - pozostawało mieć nadzieję, że nie wyrzuci pieniędzy w błoto. Oryginalny francuski szampan, sześć nieskazitelnie czystych kieliszków, srebrna taca z małymi trójkącikami chrupiącego chleba z wędzonym łososiem, anchovies, różnymi gatunkami sera, kawiozem i najlepszymi wędlinami... Jednak Rudi nie czuł głodu. Strach, który nie tak dawno zagnieździł mu się w żołądku, poruszał się tam jak żywa istota; ręce pociły mu się obficie, przez głowę zaś przelatywały nieskoordynowane, paniczne myśli dotyczące czekającego go zadania.

Otworzył walizkę, po czym opróżnił ją, układając zawartość na łóżku, a zaraz potem wziął się ostro do roboty przy montowaniu, łączeniu i sprawdzaniu elementów wyposażenia. Dziesięć minut później usiadł na łóżku, otarł pot z czoła, zapalił papierosa, przysunął sobie telefon i wystukał numer apartamentu sto dwadzieścia.

Nikt się nie zgłosił.

A więc uczestnicy spotkania jeszcze nie przybyli do hotelu. Gdyby ktoś

podniósł słuchawkę, Rudi udałby, że przez pomyłkę wybrał niewłaściwy numer i natychmiast przerwałby połączenie.

Ponownie spojrzął na zegarek: dziesięć po szóstej. Zgasił papierosa w kryształowej popielniczce, po czym wstał i nerwowo wygładził marynarkę.

Pora zejść do głównego hallu.

Kiedy mercedes zatrzymał się przed wejściem do Excelsioru, Meyer natychmiast zauważył, że spotkanie wyznaczono w innym hotelu niż poprzednio. Znał jednak dobrze ten hotel, ponieważ wielokrotnie się w nim zatrzymywał. On, a także Winter, zawsze na zmianę, nigdy razem.

Wybór miejsca spotkania należał zawsze do Tsarkina. To on wpadł na pomysł z hotelami zmienianymi bez żadnego ustalonego z góry planu, ponieważ takie postępowanie dawało gwarancję znacznie większej dyskrecji. W jego domu, tak samo jak w domu Franza, roіło się od służby, trzeba było liczyć się ze wścibstwem sąsiadów, a w dodatku istniało realne niebezpieczeństwo podsłuchu.

Rzecz jasna najlepszy byłby dom w Chaco, ale znajdował się daleko od stolicy, a w porze deszczowej gruntowe drogi stawały się niemal zupełnie nieprzejezdne. Tak, bez wątpienia hotele stanowiły znakomite rozwiązanie. Przez cały rok roіło się w nich od turystów i biznesmenów, a w tym tłumie zachowanie anonimowości było dziecinnie łatwe.

Schmidt wraz z kierowcą wysiedli pierwsi i otworzyli tylne drzwi limuzyny. Zaraz potem cała czwórka - kierowca został przy samochodzie - skierowała się do hotelu; Schmidt i Kruger szli przodem, Meyer i srebrzystowłosa mężczyzna tuż za nimi.

Formalności przy recepcji załatwiał Kruger. W tym czasie Meyer rozglądał się po luksusowo urządzonym wnętrzu. Hall był prawie pusty, tylko w rozłożystych skórzanych fotelach siedziały dwie ładne dziewczyny w krótkich, obcisłych spódnickach oraz młody człowiek w przyciasnym garniturze, pogrążony w lekturze gazety, przypuszczalnie ich alfons. Dziewczyny wyglądały bardzo apetycznie; może namówi Franza, żeby po spotkaniu zaprosić je na szampana, naturalnie jeżeli Franz

już czegoś nie zorganizował. Znając go należało się spodziewać, że nie zapomniał o dodatkowych atrakcjach.

Kruger wreszcie wrócił z recepcji.

- Który pokój? - zapytał Meyer po niemiecku.

- Sto dwadzieścia. Wsiedli do windy.

Kwadrans po szóstej.

Hernandez kupił gazetę i usiadł w jednym ze skórzanych foteli, zwrócony twarzą w kierunku recepcji. Co prawda wewnątrz głównego hallu wypełniały delikatne dźwięki nastrojowej muzyki, ale z tego miejsca miał znakomitą widoczność, a wyteżywszy słuch mógł przy odrobinie szczęścia usłyszeć wszystko, o czym mówiono przy kontuarze.

Kilka kroków od niego siedziały dwie szalowe dziewczyny w obcisłych minispódniczkach, pantoflach na wysokim obcasie i doskonałym makijażu. prostytutki wysokiej klasy, na które stać było tylko naj zamożniej szych gości zatrzymujących się w eleganckich hotelach. Jedna z nich uśmiechnęła się do niego, ale Rudi udał, że tego nie widzi (przyszło mu to ze sporym trudem), rozłożył gazetę i udawał pogrążonego w lekturze, choć w rzeczywistości co chwila spoglądał w kierunku głównego wejścia do hotelu.

Dziesięć minut później przecucie podpowiedziało mu, że oczekiwanie dobiegło końca: do hallu wkroczyli czterej mężczyźni w eleganckich garniturach, ponad wszelką wątpliwość Europejczycy lub Amerykanie. Uwagi Hernandeza nie umknął fakt, że nie mieli bagażu, a tylko dwóch spośród nich niosło niewielkie teczki. Mogli stanowić grupę biznesmenów wracających z miasta, lecz szósty zmysł ostrzegł Rudiego, żeby miał się na baczności.

Jeden z nowo przybyłych ponad wszelką wątpliwość pełnił funkcję ochroniarza: wysoki, barczysty, o potężnej piersi i krótko ostrzyżonych jasnych włosach, wyglądał tak, jakby niezbyt dobrze czuł się w jasnym lnianym garniturze. Szedł przodem, kołysząc się lekko na boki; patrząc na niego można było odnieść wrażenie, iż wyciosano go z bryły granitu. Takiemu lepiej nie wchodzić w drogę,

chyba że w każdej chwili można liczyć na pomoc sporego oddziału wojska, pomyślał Hernandez.

Mężczyzna, który szedł jako drugi, wyglądał na trzydzieści kilka lat i miał ciemne, lśniące włosy, przypuszczalnie czymś nasmarowane, ponieważ ściśle przylegały do czoła. Z niewielką teczką w ręku przypominał urzędnika średniego szczebla. Trzeci, w średnim wieku, był niski, otyły i sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, jakby miał za sobą wielodniowe pijaństwo albo długą podróż. On także niósł teczkę, ale trzymał ją pod pachą, przyciskając mocno do boku.

Najbardziej rzucał się w oczy czwarty, a to ze względu na błękitne, spokojne oczy oraz siwe włosy przypominające barwą srebro. Był wysoki, szczupły i bardzo przystojny.

Ciemnowłosy mężczyzna udał się do recepcji, pozostali zaś przystanęli w pobliżu foteli. Hernandez wyczuł słuch, usiłując wyłowić słowa z powodzi muzyki sączącej się z ukrytych głośników, ale człowiek o nabłyszczonych włosach mówił wyjątkowo cicho.

- Si, señor - odpowiedział recepcjonista, po czym dodał jeszcze kilka słów po hiszpańsku, ale akurat wtedy dźwięki muzyki przybrały na sile.

Cholera. Mów głośniejsze, amigo. Głośniejsze!

- Wszystko gotowe, señor...

I znowu nic. Niech to cholera! Hernandez zamierzał wstać i podejść bliżej, ale w porę zauważył, że otyły mężczyzna o zmęczonej twarzy, który do tej pory nie spuszczał wzroku z dziewcząt, spogląda w jego stronę, więc tylko poprawił się w fotelu i udał, że patrzy na zegarek. Nie chciał, żeby którykolwiek z tych ludzi miał okazję przyjrzeć się jego twarzy. Ponownie rozłożył gazetę i właśnie wtedy do jego uszu dotarło kilka słów wypowiedzianych po niemiecku, w języku jego dzieciństwa:

- Welche Nummer? - zapytał człowiek w stalowobłękitnym garniturze. Pytanie było skierowane do ciemnowłosego mężczyzny, który wrócił z recepcji i dał znak pozostałym, by szli za nim do windy.

- Ein hundert zwanzig.

Numer sto dwadzieścia. Hernandez poczuł dreszcz podniecenia, a zaraz potem bolesne ukłucie strachu.

To oni.

Obserwował ich ukradkiem, kiedy minęli go w odległości kilku metrów i zatrzymali się przed windami. Człowiek o srebrzystych włosach powiedział coś, na co pozostali zareagowali uśmiechem, ale odległość była zbyt duża, żeby cokolwiek usłyszeć.

Drzwi windy rozsunęły się i cała czwórka weszła do środka. Zaraz potem wyświetlacz nad drzwiami poinformował, że winda zatrzymała się na pierwszym piętrze.

Hernandez zaczekał minutę, po czym wstał z fotela i wszedł do drugiej windy. Naciskając przycisk z cyfrą 1 poczuł, jak żołądek ściska mu się ze strachu w ciasny supeł.

Schmidt zaprowadził ich do apartamentu, otworzył drzwi za pomocą karty kodowej pełniącej funkcję klucza i wszedł pierwszy do środka, schyliwszy się nieco, by nie zawadzić głową o futrynę. Włączył światło, zasunął zasłony, a następnie, poruszając się zadziwiająco sprawnie jak na człowieka takich rozmiarów, przeszukał pomieszczenia.

Upewniwszy się, że wszystko w porządku, dał znak czekającym przed drzwiami mężczyznom. W chwili gdy Meyer, który wszedł jako ostatni, zamknął za sobą drzwi, Kruger już otwierał teczkę. Wyjął z niej niewielki, zasilany bateriami detektor, po czym przez kilkanaście sekund zataczał nim szerokie kręgi, kierując go we wszystkie strony i przez cały czas uważnie obserwując czerwoną diodę. Ta nie zaświeciła się jednak, nie zabrzmiał także alarmowy sygnał, z czego należało wyciągnąć wniosek, że w pomieszczeniu nie zainstalowano żadnych elektronicznych urządzeń podsłuchowych.

- W porządku - oznajmił Kruger, chowając urządzenie do teczki.

Schmidt zajął miejsce na krześle przy drzwiach. Pod jego marynarką wyraźnie odznaczały się dwie wypukłości; Meyer wiedział, że potężny ochroniarz ani na

chwile nie rozstaje się z pistoletem oraz wielkim myśliwskim nożem. Potrafił doskonale władać oboma rodzajami broni, a ze względu na swoją małomówność wydawał się jeszcze groźniejszy, niż był w istocie. Jego obecność zawsze dodawała Meyerowi otuchy. Schmidt stanowił zaporę nie do przebycia. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby uświadomić to sobie ponad wszelką wątpliwość.

Trzej mężczyźni usiedli przy stoliku w głębi pokoju. Co prawda słychać było delikatny szmer klimatyzacji, lecz mimo to w apartamencie było duszno i wilgotno.

Meyer osuszył czoło chusteczką, otworzył teczkę, wyjął z niej plik dokumentów, ułożył je przed sobą na stoliku, po czym spojrzał na dwóch pozostałych uczestników spotkania.

- Myślę, że najpierw chcecie usłyszeć raport w sprawie Brandenburga?

Przystojny mężczyzna o srebrzystych włosach skinął głową, a następnie powiedział z błyskiem w oku:

- Naturalnie, Johannes. Wiemy, że jesteś zmęczony, więc będzie najlepiej, jeśli od razu przystąpimy do rzeczy.

Meyer po raz kolejny otarł spocone czoło, potem zaś zaczął mówić, od czasu do czasu spoglądając na rozłożone przed nim papiery.

Rozdział 7

Asunción

Spocony jak mysz Hernandez przypatrywał się swemu odbiciu w wielkim łazienkowym lustrze. Z jego poprzedniego stroju została tylko biała koszula, lecz tym razem z czarnym krawatem. Nieco za ciasny garnitur ustąpił miejsca białej marynarce, czarnym spodniom oraz czarnym butom, kupionym poprzedniego dnia w małym sklepiku na Calle Palma. Bez okularów, z włosami zaczesanymi na czoło, w niczym nie przypominał człowieka siedzącego zaledwie kilka minut temu w hotelowym hallu.

Dotknął blizny biegnącej ukosem przez prawy policzek. Cóż, na to nic nie

można poradzić.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego plan nie jest pozbawiony wad. Po to, by obmyślić plan doskonały, trzeba było dużo czasu, on zaś dysponował zaledwie dwoma dniami. Teraz już za późno na wprowadzanie poprawek; po prostu musi najlepiej jak to możliwe zrealizować swoje zamierzenia.

Jeśli ci ludzie są profesjonalistami - a Hernandez podejrzewał, że są nimi - to przede wszystkim przeszukają apartament, aby upewnić się, że nie zainstalowano w nim podsłuchu. Właśnie dlatego postanowił dać im trochę czasu. Jeśli jego plan się powiedzie, to co prawda nie zdoła zarejestrować całej rozmowy, ale jednocześnie nie narazi się na zdemaskowanie, które, zważywszy na okoliczności, z pewnością równałoby się wyrokowi śmierci.

Jeśli plan się powiedzie...

Przeszedł do sypialni i wziął z nocnego stolika kartkę z firmowym nadrukiem, na której przed chwilą napisał kilka słów: Szampan i kanapki, apart. 120.

Następnie ukląkł przy wózku, podniósł róg sięgającej prawie do podłogi białej serwety i sprawdził, czy miniaturowy mikrofon przyklejony do spodu blatu za pomocą taśmy samoprzylepnej nie zmienił położenia oraz czy nie grozi mu odpadnięcie. Upewniwszy się, że wszystko w porządku, opuścił serwetę, wstał z kolan i podszedł do łóżka, na którym leżał japoński magnetofon sprzężony z odbiornikiem radiowym. Urządzenie dorównywało wielkością przeciętnej książce w twardej oprawie i było zasilane przez dwie baterie.

Zgodnie z instrukcją otrzymaną od Torresy, Hernandez umieścił w magnetofonie kasetę i włączył urządzenie. Na wszelki wypadek miał w zapasie jeszcze jedną, także dwugodzinną. Spojrzał na zegarek: za dwadzieścia siódma. Spotkanie zaczęło się przed kwadransem. Chyba tyle czasu powinno im wystarczyć?

Pot spływał mu strużkami po grzbiecie, rękach i twarzy. Otarł czoło białą kelnerską serwetką, po czym strzepnął ją, rozprostował i przewiesił sobie przez lewe ramię.

Gotowe.

Nagle przypomniał sobie zmasakrowane ciało Rodrigueza, spoczywające nieruchomo na metalowym stole w kostnicy, i zadrżał ze strachu. Przez chwilę stał jak sparaliżowany, lecz wreszcie zdołał odegnąć koszmarne wspomnienia, szybkim krokiem podszedł do drzwi, otworzył je, wystawił głowę na korytarz i rozejrzał się w obie strony.

Ani żywej duszy.

Wyprowadził wózek na korytarz, sprawdził, czy ma w kieszeni kartę kodową, po czym zatrzaskał drzwi. Ze wstrzymanym oddechem stał bez ruchu przez kilka sekund, gotów cofnąć się, gdyby do jego uszu dotarł jakikolwiek niepokojący odgłos.

Nic. Tylko cisza.

Hernandez wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze, a następnie, pchając przed sobą wózek, ruszył korytarzem w kierunku apartamentu numer sto dwadzieścia.

Przedstawienie raportu zajęło Meyerowi dwanaście minut. Ograniczył się do zaprezentowania najważniejszych punktów, naturalnie nie zapominając podkreślić własnego wkładu, ciężkiej pracy oraz skrupulatności, którą ogromnie lubił się chełpić. Teraz, kiedy skończył, nadeszła pora na pytania.

Pocił się tak obficie, że krople spływały mu po twarzy i kapały z czubka nosa, rozbryzgując się na blacie stolika. Wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, wytarł najpierw czoło, potem zaś stolik. Przez miniony kwadrans jego uwaga była do tego stopnia skoncentrowana na faktach, że właściwie znajdował się niemal w transie. Oprzytomniawszy, spojrzął na twarz siedzącego visavis mężczyzny o włosach barwy srebra i stwierdził z ulgą, że pojawił się na niej uśmiech.

W tej samej chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Wszystkie głowy natychmiast zwróciły się w tamtą stronę, Schmidt zaś błyskawicznym ruchem wyszarpnął pistolet z kabury ukrytej pod marynarką. Pukanie powtórzyło się, tym razem nieco głośniejsze. Kruger podniósł się z fotela i podszedł do drzwi, Schmidt natomiast zapytał po hiszpańsku:

- Kto tam?

Ze wstrzymanymi oddechami czekali na odpowiedź.

- Kelner, señor.

Kruger dał Schmidtowi znak, żeby odsunął się od drzwi, sam zaś zwolnił zatrzask i uchylił je na szerokość najwyżej pięciu centymetrów. Istotnie, w korytarzu stał kelner pochylony nad zastawionym wózkiem, z głupawym uśmiechem na twarzy.

- Niczego nie zamawialiśmy - poinformował go Kruger. - Pomyliłeś pokój.

- Naprawdę, señor? Bardzo przepraszam.

Kelner zerknął na świstek, który trzymał w dłoni, potem na numer pokoju.

- Nie, señor, wszystko się zgadza. Szampan i kanapki, apartament numer sto dwadzieścia. Z wyrazami szacunku od kierownictwa hotelu.

Kruger otworzył szerzej drzwi, zobaczył szyjkę butelki szampana sterczącą z wiaderka z lodem, tacę z kanapkami, kieliszki, po czym skierował pytające spojrzenie na kelnera, ten zaś pospiesznie wręczył mu kartkę z firmowym nadrukiem.

- Proszę zobaczyć, señor: wszystko jest napisane. Apartament sto dwadzieścia, szampan i kanapki.

Kruger przebiegł spojrzeniem treść notatki i oddał ją kelnerowi, który wzruszył ramionami i powiedział, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać:

- Jeśli pan sobie życzy, señor, mogę to zabrać. Nie ma problemu. To taki nowy zwyczaj: przynosimy mały poczęstunek wszystkim gościom, którzy właśnie wprowadzili się do apartamentu.

Kruger ponownie spojrzał na wózek. Był głodny, chciało mu się pić, a w pokoju wciąż było ciepło i wilgotno. Schłodzony szampan i apetyczne kanapki wyglądały niezwykle kusząco.

- W porządku, możesz wejść.

Cofnął się, pozwalając kelnerowi wtoczyć wózek do pokoju, w pobliże stolika, przy którym siedzieli pozostali mężczyźni. Chłopak zaczął zdejmować drucianą koszulkę z butelki, ale człowiek o ciemnych, przyłizanych włosach nie pozwolił mu

dokończyć.

- Zostaw to. Sami się tym zajmujemy. Kelner uklonił się nisko.

- Jak pan sobie życzy, señor. Czy mogę być jeszcze do czegoś potrzebny?

- Nie, możesz odejść.

Kelner poprawił serwetę na stoliku, przesunął dwa kieliszki, przestąpił z nogi na nogę, wreszcie zakasłał znacząco. Dopiero po chwili Kruger zorientował się, o co mu chodzi, wyjął z kieszeni portfel i wręczył chłopakowi banknot.

- Muchas gracias, señor.

- Jak się nazywasz? - zapytał Kruger, wpatrując się w bliznę biegnącą ukośną, wyraźną krechę przez prawy policzek młodego człowieka.

- Ricardes, señor. Mario Ricardes.

- Dopilnuj, żeby nam nie przeszkadzano, Mario.

- Tak, señor. Oczywiście, señor. Jeśli panowie będziecie jeszcze mieli jakieś życzenia, proszę mnie wezwać. Przyjdę natychmiast, señor.

Kruger ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

Hernandez odwrócił się na pięcie, plecami do mężczyzny o niezwykle, srebrnosiwych włosach, natomiast twarzą do znacznie młodszego, jasnowłosego, potężnej postury, trzymającego jedną rękę ukrytą za plecami. Mijając go poczuł, że serce przestało mu na chwilę bić ze strachu. Z największym trudem zapanował nad przerażeniem, zatrzymał się w drzwiach, odwrócił twarzą do pokoju i obrzucił wewnątrz uważnym spojrzeniem, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, jednocześnie nie dając niczego po sobie poznać.

- Buenas tardes, señores.

Z ręką na klamce skłonił się lekko i wycofał na korytarz. Ogromny jak góra lodowa blondyn, ten z ciemnymi lśniącymi włosami, który z nim rozmawiał, i jeszcze dwóch przy stoliku: jeden tusty, o zmęczonej twarzy, i znacznie szczuplejszy, przystojny, o błękitnych oczach i bardziej srebrnych niż siwych włosach...

Hernandez delikatnie zamknął drzwi apartamentu, odszedł na trzy, cztery

kroki, zatrzymał się i głośno wypuścił powietrze z płuc. Był dosłownie zlany potem, a nogi trzęsły się pod nim, jakby były z galarety.

Boże...

Ruszył szybko z powrotem do swego pokoju.

Trzej mężczyźni ponownie usiedli przy stoliku.

Meyer czuł się znacznie swobodniej. Nieoczekiwane pojawienie się kelnera dało mu możliwość opanowania nerwów. W gardle zaschło mu od mówienia, coraz bardziej też dawały mu się we znaki skutki odwodnienia organizmu, ale choć butelka schłodzonego szampana wyglądała niezwykle kusząco, Meyer zdawał sobie sprawę, że musi jeszcze trochę poczekać. Na pełne odprężenie będzie mógł sobie pozwolić dopiero wtedy, kiedy odpowie na wszystkie pytania.

Człowiek o srebrzystych włosach pochylił się do przodu w fotelu i utkwiał w jego twarzy spojrzenie błękitnych oczu.

- Co z dostawą? - zapytał rzeczowym tonem.

- Zgodnie z planem ładunek będzie dostarczony do Genui.

- A Włoch?

- Zostanie zlikwidowany, ale nie to jest najważniejsze. W tej chwili najbardziej zależy mi na tym, żeby transport nie ściągnął na siebie niczyich podejrzeń. Moim zdaniem trzeba poczekać, aż Brandenburg wejdzie w końcowy etap realizacji, i dopiero wtedy rozprawić się z Włochem oraz pozostałymi.

Jego rozmówca skinął głową, po czym zmarszczył brwi.

- Ci, którzy złożyli przysięgę lojalności... Musimy być ich całkowicie pewni.

- Potwierdzili już swoją decyzję. Ich rodowód jest poza wszelkimi podejrzeniami.

Kruger poruszył się niespokojnie w fotelu, po czym zapytał:

- Co z Turkiem?

- Nie przewiduję żadnych problemów.

- A dziewczyna? Czy aby na pewno można na niej polegać?

- Nie zawiedzie nas. Ręczę za to głową. - Meyer przeniósł spojrzenie na

starszego mężczyznę. - Przypuszczam, że na liście nie zaszły żadne zmiany?

Człowiek o srebrzystych włosach energicznie pokręcił głową.

- Nie. Ci ludzie muszą zginąć.

- Kiedy macie zamiar opuścić Paragwaj?

- Szóstego.

- Może więc powinniśmy jeszcze raz przypomnieć sobie szczegółowy plan działań na najbliższe tygodnie?

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

Meyer spróbował nieco rozluźnić kołnierzyk koszuli. Mimo klimatyzacji upał był wręcz nie do zniesienia, wilgotność powietrza zaś z pewnością przekraczała dziewięćdziesiąt procent. Nie mógł się doczekać, kiedy spotkanie dobiegnie wreszcie końca. Jeszcze dziesięć, może piętnaście minut. Kruger z pewnością będzie chciał powtórzyć najważniejsze punkty.

Zwilżywszy usta, zerknął w stronę wózka przyprowadzonego przez kelnera. Szyjka butelki sterczała kusząco z wiaderka z lodem. Kilka łyków zimnego, pianistego płynu podziałałoby na jego wysuszone gardło jak kojący balsam.

- Okropnie tu gorąco - powiedział do Krugera. - Mogę napić się wody?

Kruger skinął głową.

Meyer wstał z fotela i podszedł do niewielkiego, ustawionego przy ścianie stolika, na którym stała karafka z wodą oraz kilka szklanek. Nalał do jednej z nich nieco letniej, bezbarwnej i pozbawionej smaku cieczy, przez cały czas zerkając w kierunku nakrytego białą serwetą wózka. Szampan, a do tego kanapki... Wyglądały bardzo apetycznie. Z każdą chwilą był coraz bardziej głodny, gdyż podczas lotu prawie nic nie jadł. Ten przeklęty wózek cholernie go rozpraszał.

Opróżniwszy szklankę, nalał sobie następną. Musi go odsunąć gdzieś na bok, bo w przeciwnym razie nie zdoła zebrać myśli. Perspektywa smacznego, suto zakrapianego posiłku stawała się coraz bardziej kusząca.

Odstawił pustą szklankę, podszedł do wózka i pchnął go lekko, lecz ten potoczył się z zadziwiającą prędkością, przejechał przez cały pokój i z donośnym

łoskotem uderzył w stojące w rogu biurko. Uderzenie było tak silne, że lampa zatoczyła się na biurku i niewiele brakowało, a spadłaby na podłogę.

Kruger spojrział na niego pytająco, Meyer zaś wzruszył bezradnie ramionami i wrócił na swoje miejsce, modląc się w duchu, żeby spotkanie skończyło się jak najprędzej.

Wszystko było w porządku aż do chwili, kiedy Hernandez usłyszał w słuchawkach głośny trzask, a potem zapadła cisza.

Siedział na łóżku, nerwowo paląc papierosa, obok odbiornika połączonego z magnetofonem. Taśma przesuwiała się bezszelestnie, rejestrując każde słowo. Mężczyźni rozmawiali po niemiecku, w ojczystym języku jego matki. Hernandez słyszał ich głosy tak wyraźnie, jakby rozmowa odbywała się w jego obecności.

Kiedy był dzieckiem, matka zwracała się do niego zarówno po hiszpańsku, jak i po niemiecku, a czasem posługiwała się także guarani, przedziwną, nadzwyczaj ekspresyjną mieszanką hiszpańskiego z indiańskimi narzeczami, chętnie używaną przez większość niewykształconych mieszkańców Paragwaju. Dzięki temu Rudi władał biegle wszystkimi trzema językami, mimo oporów ze strony ojca, który nienawidził niemieckiego.

Minęło jednak wiele lat, odkąd miał okazję po raz ostatni posługiwać się mową Kanta i Goethego, w związku z czym od czasu do czasu napotykał nieznane słowo lub wyrażenie, którego zrozumienie wymagało krótkiego zastanowienia. Na szczęście rozmowa była nagrywana na taśmę, więc będzie mógł słuchać jej tak długo, aż wreszcie wszystko stanie się dla niego zupełnie jasne.

Nagle, całkiem niespodziewanie, rozległ się trzask, a zaraz potem słuchawki wypełniło delikatne, przytłumione buczenie.

Hernandez zaklął paskudnie, po czym przycisnął słuchawki do uszu i ustawił na maksimum regulator głośności. Nic. Cisza wypełniona jak watą jednostajnym, przytłumionym brzęczeniem. Torres zaklinał się, że sprzęt jest tak czuły, iż z dziesięciu metrów bez trudu wychwyci bzyczenie muchy. Cóż, albo dźwięk w słuchawkach był właśnie bzyczeniem muchy, albo mikrofon uległ uszkodzeniu,

albo...

Albo go znaleźli.

Jezus, Maria! Hernandez momentalnie spocił się jak mysz. Uciekać? Nie, lepiej nie ruszać się z miejsca. Przecież tamci nie wiedzą, w którym pokoju się ukrył, nie znają położenia odbiornika. Poza tym, stąd w każdej chwili może zadzwonić na policję.

Stopniowo, jakby z wielkim trudem, przez monotonne buczenie zaczęły przedzierać się stłumione głosy. Rudi wsłuchiwał się w nie z napięciem, czując, jak pot ścieka mu strużkami po grzbiecie i wsiąka w koszulę, a ta natychmiast przykleja mu się do pleców.

Boże, żeby tylko nie znaleźli mikrofonu!

Minął kwadrans. Hernandez wciąż siedział na łóżku, paląc papierosa za papierosem i wsłuchując się w odgłos, od którego zaczynała go boleć głowa. Nagle w słuchawkach rozległ się potężny huk, jakby wystrzał pistoletu. Serce zamarło mu na chwilę w piersi, krew zaś przestała płynąć w żyłach. Sekundę później usłyszał wybuch śmiechu, brzęk szkła, gwar beztroskich głosów.

- Prosit!

- Prosit.

- Prosit. Toast.

Hernandez odetchnął z ulgą. Wszystko stało się jasne: mężczyźni otworzyli szampana, rozlewali go do kieliszków. Dzięki Bogu. A więc jednak nie odkryli mikrofonu.

Trzej mężczyźni ponownie, tym razem w milczeniu, podnieśli kieliszki. Spotkanie dobiegło końca. Meyer ukradkiem zerknął na siedzącego visavis niego człowieka o srebrzystych włosach; sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. A więc wszystko ułożyło się jak najlepiej.

Kruger opróżnił kieliszek, postawił go na stoliku, po czym zwrócił się do Meyera:

- Musimy już ruszać, bo czeka nas daleka droga na północ. Kierowca odwiezie

pana do bezpiecznej kwatery.

Uściskał mu mocno rękę, Meyer zaś poczuł, jak wezbraną falą ogarnia go duma i zadowolenie. Wywiązał się z zadania najlepiej jak było można.

Kruger dał znak Schmidtowi, który otworzył drzwi, wyszedł na korytarz, rozejrzał się uważnie, po czym odwrócił się i skinął głową na znak, że wszystko w porządku.

Meyer i Kruger wzięli teczki, po czym cała czwórka opuściła apartament; pierwszy szedł Schmidt, zaraz za nim Meyer i srebrzystowłosy mężczyzna, na końcu zaś Kruger, który w drzwiach przystanął na chwilę i obrzucił pomieszczenie uważnym spojrzeniem, aby upewnić się, że wszystko zostało zabrane.

Wkrótce potem wsiedli do windy.

Szmer dobiegającej jakby zza ściany rozmowy ucichł i w słuchawkach zapadła kompletna cisza. Niech szlag trafi Torresa i jego sprzęt!

Na szczęście znaczna część rozmowy została zarejestrowana na taśmie. Gdyby tylko wiedział, czego dotyczyło spotkanie! Rudi przypomniał sobie jedno z wypowiedzianych po niemiecku zdań i jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Sie werden alle umgebracht. Wszyscy zostaną zlikwidowani. Kim są ci wszyscy i dlaczego mają zginąć?

Dreszcz minął, ale Hernandez w dalszym ciągu czuł się tak, jakby w jego żyłach zamiast krwi płynęła woda z roztopionego lodu. Kogo właściwie podsłuchiwał? Przypuszczalnie potężnych hurtowników z Europy, którzy zjawiali się w Ameryce Południowej raz albo dwa razy do roku, by zawrzeć nowe kontrakty i ustalić ceny. Niemniej jego wyczulony szósty zmysł podpowiadał mu, że w tym wszystkim jest coś bardzo dziwnego. Tylko jeden z uczestników spotkania mówił po niemiecku z wyraźnym bawarskim akcentem; w ustach pozostałych język ten bardzo przypominał hiszpański, a to za sprawą lekko sepleniącej wymowy oraz melodii całkowicie różnej od tej, jaką można usłyszeć nad Renem lub Łabą.

Całkowicie zdezorientowany Hernandez pokręcił bezradnie głową.

„Kierowca odwiezie pana do bezpiecznej kwatery... „Ciekawe, gdzie to może

być? Co prawda akurat w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia, ponieważ należało przede wszystkim jak najprędzej opuścić hotel, naturalnie uprzednio odzyskawszy mikrofon wraz z nadajnikiem. Jeśli upora się z tym wystarczająco szybko, może zdąży zbiec do samochodu i ruszyć tropem czterech mężczyzn, ale było to bardzo wątpliwe.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Służba hotelowa, słucham?

- O, jednak ktoś tu pracuje! Moi przyjaciele z apartamentu sto dwadzieścia nie mogli się do was dodzwonić. Możecie już zabrać wózek, którym dostarczono poczęstunek do ich pokoju.

- Oczywiście, señor. Pronto. Apartament numer sto dwadzieścia.

Hernandez pospiesznie zdjął strój kelnera i założył garnitur, który miał na sobie wtedy, gdy zameldował się w hotelu. Tym razem jednak zrezygnował z ciemnych okularów. W ciągu dwóch minut doprowadził się do porządku, upchnął wszystko w walizce i zamknął ją na oba zatrzaski. Rozejrzawszy się po pokoju, dostrzegł na łóżku zapasową kasetę, wsunął ją do kieszeni, po czym podszedł do drzwi, uchylił je odrobinę, a następnie zamarł w bezruchu z uchem przy szparze, oczekując na pojawienie się kelnera lub pokojówki.

Na parterze Kruger odłączył się od grupy i skierował się do recepcji. Na jego widok otyły mężczyzna we fraku wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu.

- Czym mogę służyć, señor?

- Apartament sto dwadzieścia - odparł lakonicznie Kruger. - Już wyjeżdżamy.

Przypuszczam, że rachunek został uregulowany?

Recepcjonista sprawdził w komputerze.

- Tak jest, señor. Zapłacono gotówką w chwili dokonania rezerwacji. Czy jesteście panowie zadowoleni z pobytu w naszym hotelu?

- Owszem. Szampan i kanapki były wyśmienite. Buenas tar des.

Kruger odwrócił się, by odejść, ale kątem oka dostrzegł, że recepcjonista przygląda mu się ze zdziwioną miną, po czym wystukuje coś pospiesznie na

klawiaturze i spogląda na monitor, został więc na miejscu.

- Szampan? Kanapki? - Tłścioch we fraku sprawiał wrażenie zupełnie zdezorientowanego. - Nie zgłaszano takiego zamówienia, señor.

Kruger z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Słucham?...

- Komputer nie zarejestrował takiego zamówienia - powtórzył cierpliwie recepcjonista. - Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie.

- Chce pan powiedzieć, że dyrekcja hotelu nie przysłała do apartamentu szampana i kanapek? - zapytał Kruger, czując, jak ogarnia go coraz większy niepokój.

Grubas uśmiechnął się szeroko, jakby usłyszał znakomity dowcip.

- Skądże znowu, señor. Naturalnie mogę sprawdzić, czy nie pomyłono zamówień, ale, szczerze mówiąc, mocno w to wątpię. My nie popełniamy takich błędów.

Krugerowi krew odpłynęła z twarzy. Recepcjonista sięgnął po telefon, wykręcił numer i zaczął mówić szybko po hiszpańsku, ale Niemiec nie słuchał rozmowy, ponieważ w głowie kłębiły mu się niedobre, bardzo niedobre myśli. Coś było nie w porządku, mimo nadzwyczajnych środków ostrożności, jakich nie zaniedbał ani on, ani żaden z pozostałych uczestników spotkania. Naturalnie wszystko mogło się jeszcze wyjaśnić, niemniej jednak...

Recepcjonista odłożył słuchawkę i spojrzał na Krugera.

- Bardzo mi przykro, señor, ale nikt nie zamawiał szampana i kanapek do apartamentu numer sto dwadzieścia. Ściśle rzecz biorąc, niczego tam nie zamawiano.

Ręce Krugera momentalnie zrobiły się śliskie od potu. Zerknął w kierunku czekających na niego mężczyzn, po czym wbił wzrok w twarz tłściocha za kontuarem.

- A kelner? Nazywał się Ricardes, czy jakoś tak...

- Właśnie z nim rozmawiałem.

- Był młody, dość wysoki i miał wyraźną bliznę na prawym policzku.

Recepcjonista podrapał się po głowie.

- Ricardes wcale nie jest wysoki. I nie ma żadnej blizny. To naprawdę dziwna sprawa, señor. Bardzo mi przykro, ale nic z tego nie rozumiem.

Kruger natomiast rozumiał coraz więcej. Był już nie tylko przerażony, lecz także wściekły, zdołał jednak zapanować nad targającymi go emocjami, przywołał na twarz wymuszony uśmiech, sięgnął do portfela, wyjął kilka banknotów i wręczył je recepcjoniście.

- Najwidoczniej zaszło zwykłe nieporozumienie. Mam nadzieję, że to wystarczy na pokrycie rachunku? Proszę mi wybaczyć, ale muszę wrócić na górę. Właśnie sobie przypomniałem, że zostawiłem coś w pokoju.

Tym razem uśmiech grubasa we fraku był całkowicie naturalny.

- Oczywiście, señor. Muchas gracias.

Kruger odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem podszedł do trzech czekających na niego mężczyzn. Nawet jeśli nie wyczuli jego niepokoju, to z pewnością zaalarmował ich wyraz jego twarzy, ponieważ w ich wzroku pojawiło się nieme pytanie. Kruger zacisnął pięści, by pohamować wybuch wściekłości.

- Wydaje mi się, że możemy mieć kłopoty - wycedził przez zęby.

Hernandez wreszcie usłyszał kroki w korytarzu, chwilę potem zaś w szparze mignęła mu biała marynarka oraz twarz kelnera. Tym razem przysłało innego człowieka. Zaczekał aż kelner zastuka do drzwi apartamentu, a kiedy, nie uzyskawszy odpowiedzi, otworzył drzwi uniwersalnym kluczem i wszedł do środka, Hernandez wyslizgnął się na korytarz, po czym kilkoma szybkimi krokami pokonał odległość dzielącą go od apartamentu. Zrobił to tak cicho, że kiedy stanął za plecami kelnera i dotknął jego ramienia, ten aż podskoczył z zaskoczenia.

- Słucham, señor?

Rudi uśmiechnął się bezradnie, udając, że przeszukuje kieszenie garnituru.

- Zdaje się, że zostawiłem w łazience okulary. Czy byłby pan tak uprzejmy i przyniósł mi je?

- Oczywiście, señor.

Jak tylko kelner zniknął w łazience, Hernandez ukląkł przy wózku i zaczął po omacku szukać mikrofonu przyklejonego od spodu do blatu.

Kruger działał błyskawicznie, nie tracąc ani chwili. W takich sytuacjach całkowita odpowiedzialność spadała na jego barki, a wraz z nią władza, której nie wahał się wykorzystać. Chwyciwszy Meyera za ramię, mówił szybko cichym, opanowanym głosem:

- Proszę iść z szefem do samochodu. Powiecie Karłowi, żeby zawiózł was do domu Franza i zaczekacie tam na wiadomość ode mnie. Johannes zostanie w drugim mercedesie, najlepiej w pobliżu głównego wejścia do hotelu. Werner ma pilnować tylnego wyjścia. Proszę przekazać jemu i Rotmanowi dokładny rysopis kelnera, który był w apartamencie. Wysoki, ciemnowłosy, trzydzieści, może trzydzieści parę lat. Wyraźna blizna na prawym policzku. Chcę go mieć, żywego albo martwego. Rozumiesz, Meyer? Żywego albo martwego.

Mężczyzna o srebrzystych włosach utkwiał w Krugerze przenikliwe spojrzenie swoich błękitnych oczu i wyszeptał z tłumioną wściekłością:

- Schwytaj go, Hans. Masz go schwytać bez względu na okoliczności.

Kruger bez słowa skinął głową.

Meyer i człowiek, którego Kruger nazwał szefem, wyszli prędko z hotelu, natomiast dwaj pozostali mężczyźni wsiedli do windy.

- Bardzo pana przepraszam, senior, ale nie mogę znaleźć pańskich okularów. Czy jest pan pewien, że zostały właśnie w łazience? aa

Hernandez z uśmiechem podniósł się z klęczek i pokazał kelnerowi okulary, które przed chwilą wyjął z kieszeni. Mikrofon i nadajnik spoczywały już bezpiecznie w innej kieszeni.

- Ależ ze mnie głupiec! Leżały tutaj, na podłodze obok wózka. Przepraszam, że pana fatygowałem.

- Nic nie szkodzi, señor - odparł kelner.

Rudi odsunął się na bok, by umożliwić człowiekowi w białej marynarce dostęp do wózka.

- Rozejrzę się jeszcze, czy czegoś nie zostawiłem.

- Oczywiście, señor.

Kelner wyszedł, pchając przed sobą wózek, po czym delikatnie zamknął drzwi.

Hernandez nie liczył za bardzo na to, że cokolwiek znajdzie. Ci ludzie byli profesjonalistami, więc z pewnością nie mieli zwyczaju zostawiać za sobą jakichkolwiek śladów. Na wszelki wypadek obrzucił jednak pomieszczenie uważnym spojrzeniem, a następnie wrócił do swego pokoju. Minutę później ponownie znalazł się w korytarzu, tym razem z walizką w ręku. W chwili, kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszał melodyjny sygnał; winda zatrzymała się na pierwszym piętrze.

Wysiedli z niej dwaj mężczyźni. Hernandez zamarł w bezruchu. Przez ułamek sekundy wszyscy trzej stali jak posągi, spoglądając na siebie w milczeniu, potem nieruchomy obraz ożył: potężnie zbudowany blondyn o krótko ostrzyżonych włosach szybkim ruchem sięgnął pod połę marynarki i wydobył stamtąd pistolet.

Jezus, Maria.

Rudi odwrócił się i pognął w kierunku wyjścia awaryjnego na końcu korytarza. Dwaj mężczyźni, których niedawno widział w apartamencie numer sto dwadzieścia, natychmiast ruszyli w pościg. Słyszał za plecami tupot ich stóp.

- Haiti - wrzasnął któryś z nich.

Hernandez wypadł na klatkę schodową, co sił w nogach popędził w dół, walcząc z objającą mu się o nogi walizką. Niech ją szlag trafi! Bez niej na pewno byłoby mu znacznie łatwiej. Łomot ciężkich kroków zbliżał się w błyskawicznym tempie.

- AltolAltol

Tym razem krzyczeli po hiszpańsku, lecz Hernandez ani myślał zwolnić. Gonił po schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz, żeby tylko jak najprędzej wybiec na ulicę, dopaść samochodu, odjechać stąd. Po ośmiu, może dziesięciu sekundach dotarł na parter, zasapany, przerażony, zlany lodowa - tym

potem. Pchnąwszy z całej siły metalowe drzwi znalazł się na zewnątrz, w ciemności.

Boże, co robić?

Mężczyźni biegli tuż za nim. Jeśli ich jakoś nie zatrzyma, z pewnością nie zdoła dotrzeć przed nimi do samochodu. Rozejrzał się błyskawicznie dokoła, dostrzegł puste pojemniki na śmieci, chwycił jeden z nich, pociągnął z całej siły, przechylił, zaklinował między klamką drzwi a betonowym podestem, dopchnął nogą. Nie tracił czasu na upewnianie się, czy blokada działa jak należy, tylko czym prędzej pognął w kierunku czerwonego buicka.

Nie przebiegł nawet dziesięciu metrów, kiedy za jego plecami rozległ się donośny łomot, potem odgłos walenia pięściami w drzwi, wreszcie wściekły ryk:

- Bist du da, WernerV. Wernerlll

Łomoty przybrały na sile, ale drzwi nie chciały ustąpić. Hernandez wepchnął walizkę do samochodu, wskoczył za kierownicę.

- Wernerlll SchneWM

Wyszarpnął z kieszeni kluczyk, drżącymi palcami wbił go w stacyjkę, przekręcił.

Silnik zakrzuszył się raz, drugi, po czym umilkł.

Rudiemu zrobiło się słabo z przerażenia. Nie, błagam! Nie teraz! Nie teraz, do cholery!!!

Czując, jak pot zalewa mu oczy, ponownie przekręcił kluczyk, kilka razy wcisnął pedał gazu. Niemal jednocześnie do jego uszu dotarł przeraźliwy trzask i łoskot, kiedy pusty pojemnik na śmieci wreszcie nie wytrzymał naporu, drzwi otworzyły się raptownie, a dwaj rozwścieczeni mężczyźni wybiegli na pograżony w ciemności parking.

Boże!

Niespodziewanie silnik buicka ożył. Hernandez wrzucił bieg, wdepnął w pedał gazu i stary krążownik szos ruszył z piskiem opon. Rudi zakręcił gwałtownie kierownicą, samochód wszedł poślizgiem w zakręt i wciąż nabierając prędkości wypadł na ulicę. Nagle, jakieś trzydzieści metrów z przodu, pojawiła się sylwetka

biegnącego mężczyzny. Na widok buicka błyskawicznie sięgnął pod marynarkę.

Werner. To na pewno Werner.

Hernandez ponownie dodał gazu, jednocześnie włączył światła drogowe. W ręku biegnącego mężczyzny pojawił się pistolet, ale było już za późno na oddanie strzału; oślepiiony światłami samochodu człowiek zdążył tylko odruchowo zasłonić ręką oczy i uskokzyć w bok, by uniknąć rozjechania. Hernandez widział przez ułamek sekundy jego bladą, wykrzywioną grymasem przerażenia twarz, a potem skręcił w przecznicę i nie zdejmując stopy z pedału gazu pognął w kierunku Calle Chile.

Dotarcie przed główne wejście do hotelu, gdzie czekał drugi mercedes, zajęło Krugerowi i jego ludziom aż dwie minuty. Na ich widok kierowca uruchomił silnik.

- Co się dzieje? - zapytał przez okno.

W odpowiedzi Kruger gwałtownie otworzył drzwi, chwycił kierowcę za koszulę, jednym szarpnięciem wyciągnął go z wozu, zajął jego miejsce, złapał przenośny telefon i pospiesznie wystukał numer.

Czekając na połączenie mamrotał pod nosem najgorsze przekleństwa. Wreszcie, kiedy już wydawało mu się, że nic z tego nie będzie, w słuchawce rozległ się spokojny męski głos:

- Si?

- Czy nikt nas nie podsłuchuje? - zapytał Kruger, starając się mówić możliwie najspokojniej.

- Proszę chwilę poczekać. - Zapadła przeraźliwie długa cisza. Kruger był pewien, że lada chwila oszaleje ze zniecierpliwienia. - Wszystko w porządku - usłyszał wreszcie w słuchawce.

- Mówi Kruger. Jesteśmy przed hotelem. Obawiam się, że mamy poważne problemy. Ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę na temat Brandenburga.

Na drugim końcu linii ponownie zapadła cisza, potem zaś padło tylko jedno, wypowiedziane szeptem słowo:

- Boże...

Rozdział 8

Asunción

Mężczyzna i dwie dziewczyny siedzieli przy stoliku obok basenu w zamożnej, podmiejskiej dzielnicy Asunción, sącząc drinki przyniesione przez służącego. Podświetlona woda w basenie miała kolor nieskazitelnie czystego turkus.

Franz Lieber nie mógł oderwać wzroku od dziewcząt. Obie pochodziły spośród mestizos, obie były nadzwyczaj apetyczne i bardzo młode - żadna nie skończyła jeszcze czternastu lat. Wyglądały prawie jak bliźniaczki. Miały cudownie zaokrąglone, a jednocześnie delikatne kształty, jakie można spotkać tylko u dziewcząt w wieku dojrzewania. Krótkie, obcisłe sukienki zakrywały niewielką część opalonych ud, a jędrne, pełne piersi sprawiały wrażenie, jakby lada chwila mogły rozerwać cienki materiał. Na szyjach i przegubach rąk błyszczała tania, sztuczna biżuteria.

- Mój przyjaciel wkrótce tu będzie - powiedział Lieber z uśmiechem. - Tymczasem możemy sobie porozmawiać.

Obie roześmiały się cicho, po czym jak na komendę pochyliły się do przodu i sięgnęły po szklaneczki, prezentując piersi doskonale widoczne w głębokich dekoltach sukienek. Takie młode, a już wiedzą, jaki użytek robić ze swoich ciał, pomyślał Lieber. Wszystko wskazywało na to, że czekają go bardzo miłe chwile.

- Madame Rosa powiedziała, że pan jest bardzo hojny dla dziewcząt - odezwała się śmielsza.

Lieber żartobliwie pogroził jej palcem.

- Owszem, ale tylko dla tych, z których jestem zadowolony.

- W takim razie postaram się, żeby był pan ze mnie bardzo zadowolony.

Spojrzała na koleżankę, po czym obie zachichotały jak uczennice.

Lieber otarł usta i odstawił szklanę. Miał pięćdziesiąt lat, gęste, szpakowate włosy, które zawsze czesał do tyłu, oraz szeroką twarz o grubych rysach, pokrytą licznymi czerwonymi plamami; była to pamiątka po przebytej w młodości chorobie

skóry. Zwalisty, o potężnym brzuchu, nie żałował sobie żadnych uciech, od jedzenia i picia poczynając, na kobietach kończąc.

Na dzisiejszy wieczór zaprosił Hansa i sprowadził te dwie dziewczyny, żeby miło zakończyć dzień. Lubił w ten sposób podejmować gości. Zerknął na zegarek; Hans powinien zjawić się lada chwila. Wypiją parę drinków, a potem przejdą do sypialni, gdzie dziewczyny będą miały okazję pokazać, co naprawdę potrafią. Tymczasem jednak nic nie stało na przeszkodzie, żeby przed głównym spektaklem przeprowadzić małą próbę...

Spojrzał na dziewczynę, która do tej pory nie odezwała się ani słowem. Przypuszczalnie od niedawna pracowała w zawodzie i nie nabrała jeszcze śmiałości bardziej doświadczonej koleżanki.

- Jak się nazywasz?

- Maria.

- Chodź tutaj, Maria.

Dziewczyna spojrzała na przyjaciółkę, a kiedy ta lekko skinęła głową, podniosła się z ogrodowego fotelika, okrążyła stolik i zatrzymała się przed Franzem. Wyglądała tak apetycznie, że miał ochotę ją zjeść.

Przesunął ręką po jej udzie; miała skórę gładką jak aksamit.

- Podnieś sukienkę.

Posłusznie wykonała polecenie, odsłaniając skąpe białe majteczki wrzynające się głęboko w ciało. Lieber zwilżył usta, wpatrując się w kosmyki czarnych włosów wystające spod cienkiej bawełny i w wyraźnie zaznaczony wzgórek łonowy. Wyciągnął rękę, wepchnął ją pod majtki i zaczął delikatnie ugniatać jędrny pośladek...

Ciszę przerwał natarczywy brzęczyk telefonu.

Scheissel

Lieber chwycił słuchawkę wolną ręką i przyłożył ją do ucha.

- Si?

Usłyszawszy znajomy, podekscytowany głos, zmarszczył brwi, wysunął

drugą rękę spod majtek dziewczyny, po czym zasłonił mikrofon i powiedział rozkazującym tonem:

- Muszę zostać sam. Wejdźcie do środka i zaczekajcie. Ruchem głowy wskazał szeroko otwarte przeszklone drzwi prowadzące do wnętrza willi.

Dziewczyny spojrzały niepewnie na siebie.

- Szybko! - wrzasnął Lieber.

Zerwały się na nogi i pobiegły do budynku. Lieber czekał, aż znikną we wnętrzu, po czym włączył zainstalowane przy aparacie urządzenie zabezpieczające przed podsłuchem.

- Wszystko w porządku - powiedział.

Przez chwilę wsłuchiwał się we wzburzony głos Krugera. Kiedy tamten skończył, Franz Lieber zdołał wyszeptać tylko jedno słowo:

- Boże...

Ubranie Hernandeza było mokre od potu.

Jadąc w kierunku centrum miasta, co chwila spoglądał w lusterko wsteczne. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić ani dokąd się udać. Wiedział tylko jedno: musi znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, w którym mógłby się ukryć.

Skręcił w lewo w Calle Chile, minął oświetloną fasadę Panteonu na Placu Bohaterów. Ruch nie był zbyt wielki, dzięki czemu Rudi mógł bez przeszkód zmieniać pasy. Z zapartym tchem obserwował w lusterku światła innych samochodów, próbując wyłowić tę jedną parę, która podąża za nim, powtarzając każdy jego manewr. Bezskutecznie. Nikt go nie śledził.

Przynajmniej na razie.

Największy problem wiązał się z jego samochodem: czerwony buick rzucał się w oczy, a nie ulegało wątpliwości, że tamci zdążyli mu się dobrze przyjrzeć. Hernandez uświadomił sobie, że przede wszystkim powinien ukryć samochód, i to prędko. Najlepiej, żeby kryjówka znajdowała się gdzieś w pobliżu; dzięki temu uniknąłby konieczności paradowania przez całe miasto.

Skręcił w lewo, zaraz potem w prawo, w kierunku rzęsiście oświetlonego

Placu Konstytucji, przez cały czas nie odrywając wzroku od lusterka. Minawszy plac, poczuł się trochę lepiej; miał sporą przewagę nad nieprzyjacielem, a tutaj, w pograżonych w półmroku uliczkach prowadzących nad rzekę, istniało znacznie więcej możliwości uniknięcia pogoni. Poza tym wiedział już, dokąd się udać.

W świetle reflektorów dostrzegł pierwsze budowle dzielnicy La Chacarita: sklecone były jak z blachy i dykty, niesamowicie stłoczone baraki wzniesione na płaskich, błotnistych brzegach rzeki. Poczuł też samą rzekę: cuchnęła siarką, brudnym mułem i nieświeżymi rybami. Skręcił w prawo, w wąską uliczkę biegnącą wzdłuż brzegu, przejechał jakieś trzysta metrów, po czym zatrzymał samochód przed nędznym domkiem. Frontowa ściana została kiedyś otynkowana na biało, lecz teraz po tynku zostały tylko wspomnienia oraz białe łaty, trzymające się jeszcze gdzieś gdzie popękanego muru.

Hernandez wyłączył silnik i wysiadł z samochodu, zabierając ze sobą walizkę. La Chacarita była dzielnicą biedoty, omijaną nawet przez patrole policyjne. Starannie zamknął samochód, po czym wszedł po trzech rozsypujących się stopniach i delikatnie zastukał do drzwi.

Wciąż jeszcze drżał z podniecenia i łapał powietrze szybkimi, płytkimi łykami. Rozejrzał się ostrożnie w lewo i prawo; parę domów dalej na betonowych stopniach siedziało kilku starców. Sącząc yerba matę przez metalowe słomki zwane hobilla, grali w karty przy blasku brudnej, żółtej żarówki. Zerknęli na niego obojętnie, po czym skoncentrowali uwagę na grze. Na niebie wisiał księżyc w pełni; w jego świetle sunąca dostojnie rzeka lśniła srebrzyście, camelotes zaś - niesione prądem kępy częściowo zgniłych wodorostów - wyglądały na jej gładkiej powierzchni jak czarne wrzody, siedliska jakiejś groźnej choroby.

Zza drzwi dobiegło ciche szuranie, a potem rozległ się ostrożny dziewczęcy głos:

- Kto tam?

- To ja, Rudi.

Szczęknął rygiel i drzwi otworzyły się z donośnym skrzypieniem. W słabo

oświetlonym przedpokoju stała dziewczyna w prostej bawełnianej sukience. Przypominała w niej ciemnoskórego anioła. Jak zawsze, tak i tym razem na widok jej niewinnej brązowej twarzy Hernandez poczuł, jak ogarniają go najtkliwsze uczucia. Dziewczyna wpatrywała się w niego roziskrzonymi ciemnymi oczami.

- Jak się miewa moja mała? - zapytał z uśmiechem.

Ona także się uśmiechnęła i skinęła głową na znak, że dobrze, ale w tej samej chwili dostrzegła walizkę stojącą u jego stóp i na jej twarzy pojawił się lęk.

- Wyjeżdżasz, Rudi? Hernandez zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, Graciello. Szukam miejsca, w którym mógłbym ukryć się do rana.

Nawet nie zapytała dlaczego; po prostu cofnęła się o krok, a kiedy wszedł, zamknęła za nim drzwi i zasunęła rygiel, po czym zaprowadziła go do niewielkiego pokoiku po lewej stronie korytarza; przy obdrapanej ścianie stało tam mocno sfatygowane drewniane łóżko, nad którego wezglowiem wisiał wizerunek Matki Boskiej, oświetlony migoczącą czerwoną żaróweczką. Pomieszczenie, choć bardzo skromne, było utrzymane w nienaganej czystości.

- Będziesz spał w moim pokoju, Rudi? - zapytała, podnosząc ku niemu śliczną twarz o nadzwyczaj delikatnych rysach. Mimo młodego wieku dziewczyna miała pełne kształty i idąc ulicą z pewnością przyciągała spojrzenia wielu mężczyzn.

Hernandez pokręcił głową.

- Prześpię się na podłodze w kuchni, Graciello. - Pogłaskał ją delikatnie po policzku. - A teraz bądź grzeczną dziewczynką i przygotuj mi yerba matę. Zrobisz to dla Rudiego?

Dziewczyna obdarzyła go niewinnym, szczerym uśmiechem, po czym wzięła za rękę i poprowadziła do kuchni.

Franz Lieber potrzebował pięciu minut na przeprowadzenie niezbędnych rozmów telefonicznych. Odłożywszy słuchawkę po ostatniej z nich, westchnął ciężko i zapatrzył się w turkusową wodę w basenie, gładką i nieruchomą niczym zwierciadło. Gdyby miała oddać jego nastrój, musiałyby wzburzyć się jak ocean podczas huraganu, Lieber był bowiem wściekły, wściekłość tę podsycił zaś

paralizujący lęk.

Niech to szlag trafi!

Akurat wtedy, kiedy wszystko szło jak po maśle, kiedy z pozornie nie mających ze sobą związku elementów zaczął powstawać zarys doskonałego planu, zjawia się jakiś wścibski sukinsyn i bach! - po robocie. Ten człowiek jest już martwy, pomyślał Franz. Nie zdoła się ukryć, choćby nawet wlaź w mysią dziurę.

Przede wszystkim należało jednak wyjaśnić, skąd dowiedział się o spotkaniu. Lieber myślał intensywnie, usiłując znaleźć słabe punkty, miejsca, w których mógł nastąpić przeciek, ale takich po prostu nie było - szczególnie tu, w Ameryce Południowej, w Paragwaju, na jego terenie. Datę i miejsce spotkania znało wyłącznie grono najściślej wtajemniczonych, ludzie, którym można ufać bez zastrzeżeń. Skoro więc nie oni, to kto?

Z jego piersi ponownie wyrwało się głębokie westchnienie. Konsekwencje ewentualnej wpadki były tak straszliwe, że wołał nawet o nich nie myśleć. Długie lata mozolnego planowania, miliony, dziesiątki miliony dolarów - wszystko na marne. Przez jego twarz przemknął bolesny grymas. Zainwestował w to przedsięwzięcie nie tylko swój czas, lecz także spore pieniądze; czyżby miał go spotkać największy zawód w życiu?

Tak, koniecznie trzeba znaleźć tego człowieka, bez względu na koszty. Skontaktował się już z odpowiednimi ludźmi, a ci z kolei wydali polecenia swoim ludziom, którzy natychmiast ruszyli w miasto. Obserwują lotnisko, dworce kolejowe i autobusowe, główne drogi, rzekę. Naturalnie wszystko to okaże się diabła warte, jeśli tamten zdołał już wymknąć się z miasta. Miał przecież przewagę kilku, może nawet kilkunastu minut, a to całkiem sporo. Także rysopis przekazany przez Krugera pozostawiał sporo do życzenia: wysoki, trzydziestokilkuletni mężczyzna o ciemnych włosach, z blizną na prawym policzku. Na szczęście poszukiwany poruszał się charakterystycznym samochodem: ogromnym, czerwonym amerykańskim krążownikiem szos. W tym cała nadzieja. Niewiele takich wozów jeździ po Asunción.

Lieber raptownie podniósł się z krzesła, skrzywił się, kiedy przepocona koszula odlepiła się od jego pleców. Lada chwila przyjedzie mercedes. Trzeba pozbyć się dziewcząt.

- Norberto!

Z willi wybiegł służący i gnąc się w ukłonach pospieszył na wezwanie chlebodawcy.

- Si, señor!

Lieber machnął ręką w kierunku domu.

- Weź samochód z garażu i zawieź dziewczyny do Rosy. - Wyjął z kieszeni portfel, odliczył kilka banknotów o dużych nominałach, wręczył je służącemu. - Daj im to i powiedz, że dzisiaj nie będę już ich potrzebował.

- Si, señor!

Norberto sprawiał wrażenie zachwyconego perspektywą nocnej przejażdżki samochodem pracodawcy.

- Nie gap się, tylko ruszaj! Pronto!

Służący popędził do domu, chwilę potem zaś wyszedł bocznymi drzwiami, ciągnąc za sobą nieco zaskoczone, ale zadowolone dziewczęta. Minutę, może dwie później Lieber usłyszał odgłos uruchamianego silnika.

Wziął ze stolika przenośny telefon, wszedł do budynku, zamknął za sobą drzwi gabinetu i stanął przy zajmującym całą ścianę oknie, z którego roztaczał się widok na wysypaną żwirem drogę prowadzącą od bramy posiadłości do owalnego podjazdu przed domem. Nalawszy do szklaneczki sporą porcję whisky, wychylił ją jednym haustem, ale nie zdążył powtórzyć operacji, ponieważ rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwonił Kruger.

Lieber włączył urządzenie zabezpieczające przed podsłuchem.

- Uruchomiłem czterdziestu ludzi - poinformował Krugera. - Akcją kieruje Stinnes.

- A co z lotniskiem i dworcami?

- Wszystkie są pod obserwacją, łącznie z głównymi drogami wyjazdowymi z

miasta.

- Tamci zaraz powinni do ciebie dotrzeć. Musimy dostać tę świnię, choćby nie wiem co! - Kruger umilkł na chwilę, po czym dodał spokojniejszym tonem: - Chyba zdajesz sobie sprawę, co to dla nas oznacza, jeśli uda mu się uciec?

Lieber z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nie obawiaj się, na pewno go znajdziemy. Skontaktuj się ze Stinnesem, czeka na twój telefon.

Połączenie zostało przerwane. Lieber odłożył telefon na biurko; w tej samej chwili żwirowy podjazd zalały strumienie światła z dwóch silnych reflektorów, zaraz potem zaś przed dom z szurgotem opon zajeżdżała elegancka limuzyna.

Lieber spojrzał na swoje ręce. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek trzęsły mu się tak bardzo, jak teraz.

Rozdział 9

Asunción sobota, 26 listopada, godz. 3.02

Pogrążona we śnie dziewczyna leżała na postrzępionym materacu przy starym, osmalonym sadzą piecyku.

Miała siedemnaście lat i Hernandez kochał ją równie mocno, jak wszystkie swoje kobiety, tyle że w specjalny, opiekuńczy sposób. Graciella Campos miała ciało dorosłej kobiety, lecz umysł dziesięcioletniego dziecka; tam, gdzie mieszkała, oznaczało to, że każdy mógł z nią zrobić, co zechce.

Kiedy ją poznał, już interesowali się nią mężczyźni, którzy w zamian za parę guaranis pragnęli skorzystać z jej rozkwitającego ciała. Pracował wtedy nad artykułem dotyczącym losu sierot żyjących w barrio; jakaś kobieta wspomniała mu o Gracielli. Może mógłby pomóc?

Od tamtej chwili minęło prawie pół roku. Już przy pierwszym spotkaniu uroda oraz zdumiewająca niewinność Gracielli wywarły na nim oszałamiające wrażenie. Jej dziadek - jedyny opiekun, jakiego posiadała - umarł niedawno,

pozostawiając ją bez środków do życia. Hernandez ulitował się nad dziewczyną, był gotów wynająć jej skromny pokój w innej części miasta, z dala od cuchnącej La Chacarity, ale mała dziewczynka w ciele dorosłej kobiety nawet nie chciała o tym słyszeć; slumsy były jej domem, tylko tutaj czuła się bezpiecznie, mimo nędzy i czyhających na nią niebezpieczeństw.

Rudi został więc jej opiekunem: co tydzień dawał dziewczynie tyle pieniędzy, ile zdołał zaoszczędzić, załatwił jej pracę polegającą na przystrajaniu ołtarza w katedrze, opłacał starą kobietę z sąsiedztwa, żeby codziennie odwiedzała Graciellę i pomagała jej w sprawach, z którymi ta nie dawałaby sobie rady.

Właściwie nie było takiej potrzeby, ponieważ wszystko układało się znakomicie. Przyjaciel Rudiego - uczciwy młody człowiek pracujący na jednej z niezliczonych małych łodzi, które codziennie wypływały na rzekę - podjął się funkcji anioła stróża i wywiązywał się z niej bez zarzutu. Jego postura oraz brzytwa, którą posługiwał się nadzwyczaj sprawnie i bez wahania, sprawiły, że mężczyźni przestali nękać Graciellę zalotami.

Mieszkanie dziewczyny składało się z trzech niewielkich pomieszczeń; największe z nich, w którym teraz się znajdowali, pełniło funkcję kuchni. Graciella udekorowała je w prosty, niewyszukany sposób: wszędzie stały gliniane doniczki z kwiatami, ponieważ kochała kwiaty, a Hernandez, wiedząc o tym, zawsze starał się jej coś przynieść. Widok wpatrzonych w niego z uwielbieniem ogromnych ciemnych oczu stanowił dla niego największą nagrodę.

Dziś jednak przyszedł z pustymi rękami.

Minęła już trzecia nad ranem, a on wciąż siedział przy koślawym kuchennym stole. Pograżona w głębokim śnie dziewczyna leżała na materacu. Nie było mowy o tym, żeby poszła do małej sypialni; pragnęła być jak najbliżej swego dobroczyńcy, więc przywlokła stary, sfatygowany materac i rzuciła go na podłogę w kuchni.

Hernandez w ogóle nie odczuwał senności. Zjadł kolację składającą się z chleba i yerba matę, po czym wyjął z walizki magnetofon, założył słuchawki i zaczął

przesłuchiwać taśmę. Teraz, po niemal siedmiu godzinach, znał już prawie na pamięć treść zarejestrowanej rozmowy, niczym aktor przygotowujący się do nowej roli. Dziewczyna była trochę zdziwiona jego niezwykle zachowaniem.

- Muzyka, Rudi? - zapytała z uśmiechem, wskazując na magnetofon.

Hernandez także się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Nie, Graciello. Coś znacznie ważniejszego. Dziewczyna natychmiast straciła zainteresowanie tematem, on zaś nawet nie próbował jej wyjaśnić co i dlaczego robi. I tak nic by z tego nie zrozumiała.

Zapalił papierosa i wpatrując się w leżący przed nim na stole magnetofon, zaciągnął się dymem. Co prawda nie było tego wiele - na pewno mniej niż spodziewał się uzyskać - ale zdobyte informacje mogły stanowić podstawę do prowadzenia dalszych poszukiwań. Tylko w jakim kierunku należało je prowadzić?

Przewinął taśmę i ponownie włączył odtwarzanie.

- Co z dostawą?

- Zgodnie z planem ładunek będzie dostarczony do Genui.

- A Włoch?

- Zostanie zlikwidowany, ale nie to jest najważniejsze. W tej chwili najbardziej zależy mi na tym, żeby transport nie ściągnął na siebie niczyich podejrzeń. Moim zdaniem trzeba poczekać, aż Brandenburg wejdzie w końcowy etap realizacji, i dopiero wtedy rozprawić się z Włochem oraz pozostałymi.

Pauza.

- Ci, którzy złożyli przysięgę lojalności... Musimy być ich całkowicie pewni.

- Potwierdzili już swoją decyzję. Ich rodowód jest poza wszelkimi podejrzeniami.

Pauza.

- Co z Turkiem?

- Nie przewiduję żadnych problemów.

- A dziewczyna? Czy aby na pewno można na niej polegać?

- Nie zawiedzie nas. Ręczę za to głową. Pauza.

- Przypuszczam, że na liście nie zaszły żadne zmiany? Kolejna pauza.

- Nie. Ci ludzie muszą zginąć.

- Kiedy macie zamiar opuścić Paragwaj?

- Szóstego.

- Może więc powinniśmy jeszcze raz przypomnieć sobie szczegółowy plan działań na najbliższe tygodnie?

Rudi zatrzymał taśmę i westchnął ciężko.

Jakiej dostawy dotyczyła rozmowa? Narkotyków? I kim byli mężczyźni? Hurtownikami z Frankfurtu, którzy przybyli do Ameryki Południowej, aby negocjować warunki kontraktu? Z jakichś, trudnych do wytłumaczenia względów, nie wydawało mu się to prawdopodobne. Coś tu było nie tak, coś nie pasowało do całości, coś nie dawało mu spokoju - ale co? Wciąż wracał pamięcią do głównego hallu hotelu Excelsior oraz do apartamentu, w którym odbywało się spotkanie. Najstarszy jego uczestnik, ten ze srebrzystymi włosami, sprawił na nim niezwykle wrażenie, ale choć Rudi starał się ze wszystkich sił, nie był w stanie nadać swym podejrzeniom bardziej konkretnego kształtu.

Wzruszył niecierpliwie ramionami i ponownie włączył magnetofon, by posłuchać końcowych fragmentów rozmowy.

- Musimy już ruszać. Czeka nas daleka droga na północ. Kierowca odwiezie pana do bezpiecznej kwatery.

Wcisnął klawisz stop.

Postanowił już, że zadzwoni do Sancheza, podzieli się z nim zdobytymi informacjami, zapyta go o zdanie, ale przecież tajemniczy mężczyźni z pewnością zmienili już plany, zaalarmowani wydarzeniami w hotelu. Hernandez pokręcił głową; ryzykował tak wiele, a zdobył tak mało: bezimienne głosy na taśmie, rozmawiające o czymś, o czym nie miał najmniejszego pojęcia.

Zerknął na zegarek: dziesięć po trzeciej. Sanchez zjawi się w pracy najwcześniej o ósmej, może nawet dopiero o dziewiątej. Cholera jasna! Kapitan powinien jak najprędzej posłuchać nagrania. Może on zdoła się czegoś domyślić?

Spojrząwszy w dół, na anielsko niewinną twarz pogrążonej we śnie dziewczyny, poczuł jak ogarniają go wyrzuty sumienia. Co prawda był pewien - prawie pewien, przyznał uczciwie w duchu - że nikt go tu nie znajdzie, niemniej swoją obecnością narażał ją na ogromne niebezpieczeństwo. Nie powinna mieć nic wspólnego z tą sprawą. Postanowił, że prześpi się parę godzin, a potem, w porze porannego szczytu komunikacyjnego, pojedzie do swego mieszkania. Na pewno będzie wtedy bezpieczniejszy, niż gdyby próbował zrobić to teraz, kiedy ulice są prawie puste.

Westchnął ponownie, wyjął kasetę z magnetofonu i przez chwilę niezdecydowanie obracał ją w palcach. Co z nią zrobić? Lepiej, żeby nie miał jej przy sobie na wypadek, gdyby jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wpadł w ręce prześladowców. Schowają tam, gdzie zawsze przechowywał różne niebezpieczne lub kompromitujące materiały.

Druga, nie wykorzystana kasetka została na stole obok magnetofonu.

Hernandez podniósł się z miejsca. Krzesło skrzypnęło głośno, ale dziewczyna tylko przekręciła się na drugi bok. Na dworzec nie było daleko, więc postanowił pójść tam piechotą. Lepiej, żeby samochód został tutaj, w ciemnej bocznej uliczce. Najpóźniej za dwadzieścia minut będzie z powrotem, już bez kasetki, którą ukryje w schowku bagażowym.

Bezszelestnie wyślizgnął się na korytarz, odsunął zasuwę, zdjął z gwoźdźcia zapasowy klucz, wyszedł na zewnątrz i starannie zamknął za sobą drzwi.

Człowiek siedzący za kierownicą samochodu był bardzo zmęczony.

Minęła już trzecia nad ranem, a on miał za sobą kilka godzin spędzonych na przeszukiwaniu ulic Asunción. Ten, kto znajdzie czerwonego buicka albo jego kierowcę, miał dostać mnóstwo pieniędzy i chyba tylko nadzieja na nagrodę powstrzymywała go przed zaśnięciem. Rysopis poszukiwanego mężczyzny pozostawiał wiele do życzenia; inaczej miała się rzecz z samochodem. Znacznie łatwiej dostrzec samochód niż twarz, tym bardziej, jeśli jest to ogromny, rzucający się w oczy krążownik szos. Jednak na razie zakrojone na szeroką skalę poszukiwania nie

dały żadnego rezultatu. Jeżdżąc w kółko po mieście wielokrotnie mijał pojazdy i ludzi uczestniczących w obławie; było ich tyle, że ogarnęło go zdumienie. Co się właściwie dzieje, do wszystkich diabłów? W barze niedaleko Placu Konstytucji, gdzie wstąpił na kawę, spotkał Modela i Kaindela. Oni także wiedzieli tylko tyle, że Franz Lieber chce dostać w swoje ręce mężczyznę z blizną na prawym policzku albo przynajmniej jego samochód. Wysokość nagrody świadczyła o tym, że sprawa jest naprawdę poważna.

Potań oczy kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki, po czym znowu wjechał na plac. Zaraz za nim zaczynały się strome, ciemne uliczki La Chacarity; nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się tam po zapadnięciu zmroku - chyba że chciał stracić życie albo złapać syfa od taniej kurewki. Nawet złodzieje byli tam szybsi i brutalniejsi niż w innych dzielnicach miasta. Po Asunción krążył żart, że jadąc samochodem przez La Chacaritę powinieneś trzymać rękę wystawioną przez okno, aby wszyscy widzieli, że nie masz zegarka.

Pieprzę to, pomyślał mężczyzna i uśmiechnął się ponuro. Miał przecież telefon komórkowy, na wypadek, gdyby musiał wezwać pomocy, pistolet w schowku na rękawiczki i nóż ukryty pod fotelem. Tego, kto zechce go zaczepić, może spotkać przykra niespodzianka w postaci dziury w głowie lub poderżniętego gardła.

Włączył kierunkowskaz, skręcił w prawo i powoli wjechał w labirynt wąskich, słabo oświetlonych uliczek.

Po dziesięciu minutach niezbyt szybkiego marszu Hernandez dotarł do starego dworca kolejowego. Nie bał się chodzić nocą po barrio; znał z widzenia wielu tubylców, nie wyglądał też na zamożnego turystę, którego warto obrabować.

Pięćdziesiąt metrów od wejścia, zaprojektowanego na podobieństwo greckiego portyku, stanął jak wryty; po przeciwnej stronie ulicy, doskonale widoczne pod jedną z nielicznych działających latarni, stały dwa samochody: ciemny mercedes i biały ford. O błotnik mercedesa opierali się dwaj mężczyźni; rozmawiali cicho, paląc papierosy.

Hernandez z wysiłkiem przełknął ślinę. W normalnych warunkach nie

zwróciłby uwagi na tę scenę, ale teraz, występując w roli ściganej zwierzyny, miał szczególnie wyostrzoną uwagę. Najbliższy pociąg odjeżdżał za godzinę, może nawet jeszcze później, mężczyźni zaś mieli na sobie dość eleganckie garnitury i wyglądali na Europejczyków. Co tacy ludzie robią o tej porze przed wejściem do starego dworca w najbardziej zakazanej dzielnicy miasta?

Pospiesznie skrył się w głębokim cieniu, czując, jak serce łomocze mu w piersi.

Chwilę potem dostrzegł następną parę; stali za jedną z kolumn strzegących wejścia. Jeden, bardzo młody, miał jasne włosy i był ubrany w skórzaną kurtkę, drugi, nieco starszy, odznaczał się potężnymi barami i szeroką, nalaną twarzą. Ci z pewnością nie wyglądali na biznesmenów, ale bez wątpienia na kogoś czekali; Hernandez ogarnęło graniczące z pewnością przecucie, że na niego. Gdyby on chciał kogoś złapać, także obstawiliby dworce, aby uniemożliwić ściganemu ucieczkę z miasta.

Niech to szlag trafi!

Poczuł w ustach metaliczny smak strachu. Pot płynął mu strużkami po grzbiecie i wsiąkał w koszulę, która nieprzyjemnie lepila się do ciała. Kilka razy odetchnął głęboko, próbując uspokoić skołatane nerwy. Wyglądało na to, że nabroił bardziej, niż przypuszczał.

Tylko spokojnie. Nie wolno dać się ogarnąć panice.

A jeśli w środku czekają inni? W jaki sposób zdoła dostać się do schowka na bagaż?

Kilka minut później, podczas których ani na chwilę nie spuszczał z oka czterech podejrzanie wyglądających mężczyzn, przyszedł mu do głowy znakomity pomysł. Rudi uśmiechnął się, odwrócił na pięcie i ruszył z powrotem w kierunku, z którego niedawno przybył.

Po niespełna trzech minutach dotarł do drewnianej bramy strzegącej tylnego wejścia na teren dworca i prześlizgnął się przez umieszczoną w jednym ze skrzydeł furtkę, z której korzystali robotnicy przychodzący do pracy. Strażnik siedzący w przeszklonej budce oderwał wzrok od gazety, spojrzął na niego obojętnie, po czym

wrócił do przerwanej lektury. Mieszkańcy barrio często korzystali z tego skrótu.

Hernandez wskoczył na peron, przy którym stała stara dieslowska lokomotywa, brudna, cuchnąca olejem napędowym, rozgrzanym metalem i smarami. Na pobliskich ławkach spało kilka osób, głównie Indianie i wieśniacy czekający na pierwszy pociąg, którym mogliby wrócić do swych domostw na prowincji. Mężczyźni chrapali głośno, kobiety zaś tuliły do piersi niemowlęta zakutane w kolorowe szale. Nawet sprzedawca orzeszków i wody mineralnej zasnął przy straganie, z głową opartą na ladzie. Rudi rozglądał się uważnie, lecz nigdzie nie zauważył nie pasujących do otoczenia ludzi w garniturach. Od schowków, sąsiadujących z zamkniętymi teraz na cztery spusty sklepikami, dzieliło go najwyżej trzydzieści metrów.

Panował tam znacznie większy ruch niż na peronie, ale Hernandez nie dostrzegł nic podejrzanego. Niemniej zdawał sobie sprawę, że musi zachować maksymalną ostrożność. Każdy błąd mógł pociągnąć za sobą fatalne następstwa. Nagle jego wzrok spoczął na kolejarzu, który usadowił się wygodnie na pobliskiej ławce i zasnął z głową opuszczoną na pierś. Złożona starannie marynarka munduru oraz czapka leżały obok niego na ławce. Hernandez jeszcze raz rozejrzał się uważnie dokoła, a stwierdziwszy, że nikt na niego nie patrzy, podszedł szybko do kolejarza, wsadził czapkę na głowę, założył marynarkę, po czym pewnym krokiem ruszył w kierunku schowków.

W chwili, gdy przekręcił klucz w zamku, usłyszał za plecami cichy głos:

- Señor...

Zamarł w bezruchu, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Kiedy wreszcie zdołał się odwrócić - aby tego dokonać, musiał przywołać na pomoc całą odwagę, na jaką było go stać - zobaczył uśmiechającego się niepewnie mężczyznę w podeszłym wieku.

- Por favor, señor...

Ogorzała, pomarszczona twarz starca świadczyła o tym, że większość życia spędził na pracy pod gołym niebem. Z kącika ust sterczał mu nie zapalony papieros.

Mężczyzna uśmiechnął się ponownie i wykonał nieśmiały ruch ręką.

Dopiero po dłuższej chwili Rudi zrozumiał, o co chodzi. Drżącymi rękami przetrząsnął kieszenie spodni, wyjął tanią plastikową zapalniczkę i wręczył staruszkowi.

- Proszę ją zatrzymać. Mam jeszcze jedną.

- Muchas gracias; señor.

Stary człowiek ukłonił się nisko, odwrócił się i powłócząc nogami ruszył w kierunku wyjścia, Hernandez zaś odetchnął z ulgą. Napięcie, w jakim żył od kilku godzin, sprawiło, że stał się nadmiernie nerwowy. Musi się jak najprędzej uspokoić, zanim popełni błąd, który będzie go drogo kosztować. Szybko otworzył schowek, położył kasetę na kopercie ze zdjęciami, zatrzasnął metalowe drzwiczki, przekręcił klucz i schował go do kieszeni. Zaraz potem wrócił na peron, położył czapkę i marynarkę na ławce obok pogrążonego we śnie kolejarza, a następnie skierował się w stronę budki strażnika i furtki w drewnianej bramie, przez którą niedawno dostał się na teren dworca.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie zjechać nad sam brzeg rzeki, a potem ruszyć z powrotem pod górę, przeciskając się przez płataninę krętych uliczek. Dotarłszy nad wodę skrzywił się, ponieważ przez otwarte okna do wnętrza samochodu wdarł się odór brudnego szlamu i gnijących ryb. W lewo czy w prawo? Na chybił trafił skręcił w prawo, ale przedtem pozamykał okna, zablokował drzwi, wyjął pistolet ze schowka i położył go na fotelu pasażera.

Jechał powoli, rozglądając się uważnie dokoła. Mniej więcej po trzystu metrach kątem oka dostrzegł coś czerwonego; odruchowo wdepnął w hamulec, wrzucił wsteczny bieg, cofnął wóz o kilka metrów i spojrzał w boczny zaułek. Przed nędznym domkiem o niegdyś białych ścianach stał wielki czerwony buick. Mężczyzna poczuł, jak serce łomocze mu w piersi. Uśmiechnął się, wjechał prawymi kołami na chodnik, wyłączył silnik, po czym wziął do ręki telefon i pospiesznie wystukał numer.

Chwilę potem w słuchawce rozległo się ciche pyknięcie.

- Si? - zapytał męski głos.

- Tu Dortmund - powiedział szeptem mężczyzna. - Zdaje się, że znalazłem samochód.

Hernandez nie spiesząc się wracał ulicą prowadzącą wzdłuż brzegu rzeki. O tej porze La Chacaritę zaludniały wyłącznie cienie. Taśma spoczywała w bezpiecznym miejscu; jutro powie o niej Sanchezowi - o taśmie, a także o wszystkim, co wie. Może kapitan zdoła mu pomóc?

Tak, nie ulegało wątpliwości, że słusznie postąpił, ukrywając taśmę. Nawet jeśli go schwytają, będzie mógł grać na czas, a może nawet zdoła wymusić na nich jakieś ustępstwa. Gdyby znaleźli ją przy nim, byłby martwy. Zarejestrowana rozmowa z pewnością dotyczyła jakichś ważnych spraw; świadczyły o tym choćby rozmach i zawziętość, z jakimi prowadzono poszukiwania. Trzeba będzie trochę czasu, żeby rozszyfrować to, co powiedziano w hotelowym apartamencie po awarii sprzętu nagrywającego. Tutaj także pomoc Sancheza mogła okazać się wręcz nieoceniona.

Rudi był zanadto zdenerwowany i podekscytowany, żeby myśleć o śnie. Przystanął na chwilę, odwrócił się twarzą ku rzece i zapalił papierosa. Zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z bardzo poważną sprawą - być może tak poważną, że w porównaniu z nią życie jednego człowieka nie miało żadnej wartości. Przypomniawszy sobie wyraz twarzy ludzi, którzy wysiedli z windy i zobaczyli go z walizką w ręku przed drzwiami pokoju, doszedł do wniosku, że zabiliby go bez wahania. O tym też powie Sanchezowi. W pojedynkę z pewnością nie da sobie rady. Ludzie z hotelu musieli dysponować ogromną władzą i jeszcze większymi pieniędzmi; gdyby było inaczej, nie udałoby im się zorganizować tak intensywnych poszukiwań. Jeśli pomyśleli nawet o tym drugorzędnym dworcu kolejowym, to z pewnością obstawili także port lotniczy i główne drogi wyjazdowe.

Ciałem Hernandeza wstrząsnął dreszcz. Tak, cała nadzieja w Sanchezie. Naturalnie kapitan będzie chciał wiedzieć, dlaczego on, Rudi, przyszedł do niego dopiero teraz, dlaczego nie zawiadomił go wcześniej, czemu zataił przed nim

prawdę w willi Tsarkina, ale to akurat stanowiło w tej chwili najmniejszy problem.

Podniósł rękę i spojrzął na zegarek oświetlony blaskiem księżyca; minęło już pół godziny od chwili, kiedy wyszedł ze skromnego mieszkania, zostawiając tam pogrążoną we śnie dziewczynę. Pora wracać. Kto wie, może jednak uda mu się trochę zdrzemnąć? Wprawnym pstryknięciem posłał niedopałek papierosa daleko nad wodę, odprowadził wzrokiem niknącą w mroku iskrę, zaczekał aż zgaśnie po zetknięciu z powierzchnią rzeki, po czym skręcił w jedną z uliczek prowadzących stromo pod górę.

Z odległości jakichś pięciu metrów zauważył, że drzwi są otwarte.

Stał jak wryty.

Doskonale pamiętał, że zamknął je za sobą. A może tylko mu się zdawało? Przecież myśli miał zaprzątnięte czymś zupełnie innym. A jeśli jednak zostawił je otwarte?

Boże, każdy mógł wejść i...

Usłyszał za sobą jakiś szelest i odwrócił się błyskawicznie, ale nie zdążył zrobić nic więcej. Dostrzegł dwie postaci pędzące w jego kierunku, mignęły mu dwie rozmazane twarze, pistolet, czyjaś ręka, poczuł, jak ktoś chwyta go za szyję, przyciska rękę do ust, tłumiąc krzyk. Został brutalnie wciągnięty do wnętrza domu, drzwi zatrzęsły się za nim z hukiem, wepchnięto go do kuchni pełnej nieznanomych mężczyzn, goła żarówka rozkołysana na kablu...

Boże!

Otrzymał silne uderzenie w bok, ale nie mógł krzyknąć, bo czyjaś wielka ręka wciąż miażdżyła mu usta. Zaraz potem posypały się kolejne ciosy na twarz, żołądek, żebra, aż wreszcie zachwiał się i z pewnością runąłby na podłogę, gdyby nie pchnięto go pod ścianę, tylko po to jednak, żeby z ogromną siłą uderzyć w nerki. Niewiele brakowało, by zwymiotował.

Dwaj potężnie zbudowani mężczyźni trzymali między sobą Graciellę. Przypominała z maltretowaną szmacianą lalkę; w ustach miała knebel z jakiejś szmaty, na twarzy krew, w szeroko otwartych oczach przerażenie. Magnetofon leżał

na stole tak, jak go zostawił, obok zaś stali dwaj ludzie z hotelu: ciemnowłosa, który otworzył mu drzwi apartamentu, oraz ten starszy, może sześćdziesięcioletni, o niezwykłym kolorze włosów. Obaj przyglądali mu się z pogardą.

Niespodziewanie młodszy zrobił dwa kroki naprzód, wziął potężny zamach, ręka przyciśnięta do ust Hernandeza cofnęła się, ułamek sekundy później zaś mocny cios zmiążdżył mu wargi i nos. Sądząc po odgłosie, a także nieprawdopodobnym bólu, kość nosowa uległa złamaniu. Zaraz potem ciemnowłosa mężczyzna zadał drugie, nie mniej silne uderzenie, tym razem w tył głowy. Ktoś chwycił Rudiego za włosy, zmuszając go, by spojrzał prosto w oczy swego oprawcy.

Oczy były stalowoszare, nieruchome i spokojne. Mężczyzna przemówił cichym głosem, którego ton nie wróżył Hernandezowi niczego dobrego.

- Teraz odpowiesz na moje pytania. Jeśli mnie okłamiesz, dziewczyna umrze. Jeśli powiesz prawdę, będzie żyła. Czy to jasne?

Ponowne szarpnięcie zwróciło go twarzą w kierunku Gracielli. Jeden z trzymających ją osiłków chwycił ją za włosy i brutalnie odgiął głowę do tyłu, drugi rozerwał sukienkę, odsłaniając niewielkie, krągłe piersi, wydobyl z za paska ogromny nóż o błyszczącym ostrzu i przyłożył do ciemnej sutki po stronie serca.

- Czy to jasne? - powtórzył człowiek o stalowoszarych oczach.

Hernandez musiał zacisnąć usta, by zapanować nad mdłościami, więc tylko skinął głową na tyle, na ile pozwalała trzymająca go za włosy ręka.

- Skąd wiedziałeś, że będziemy w hotelu? Nie zastanawiaj się, odpowiadaj!

Rudi z trudem nabrał powietrza w płuca. Każde słowo, które musiało przecisnąć się przez jego zmasakrowane usta, sprawiało mu potworny ból. Mówił krótkimi, rwanymi zdaniami.

- Byłem w domu Tsarkina tego dnia, kiedy się zabił... Artykuł dla „La Tarde”... Odebrałem telefon... Dzwonili z hotelu... Potwierdzili rezerwację...

We wpatrzonych w niego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Ciemnowłosa mężczyzna szybko przeszukał jego kieszenie, wyjął portfel, wytrząsnął na stół zawartość. Zainteresowała go tylko legitymacja prasowa; przez chwilę przyglądał się

jej uważnie, po czym wręczył swemu milczącemu zwierzchnikowi, który ruchem głowy dał znak Rudiemu, żeby mówił dalej.

Hernandez nawet nie próbował niczego ukryć. Zduszonym, rwącym się głosem opowiedział o Rodriguezie, o dostarczonych przez niego informacjach, o sprzęcie podsłuchowym, o planie, który prawie udało mu się zrealizować. Ciemnowłosa mężczyzna pobrał wyraźnie, po czym spojrzał na starszego kompana, który przez cały czas stał jak kamienny posąg, nie odrywając wzroku od chwiejącego się na nogach dziennikarza, a następnie wbił w Rudiego ostre jak sztylet spojrzenie.

- Przesłuchaliśmy taśmę - stwierdził oskarżycielskim tonem. - Jest pusta.

Hernandez dyszał ciężko. Bolał go nie tylko złamany nos, ale także całe ciało.

- Odpowiadaj!

- Mikrofon... Coś z nim było nie w porządku... - zaczął, lecz mężczyzna przerwał mu, z sadystycznym uśmiechem chwytając go prawą ręką za policzki. Zacisnął mocno palce, tak że Rudi miał wrażenie, jakby ktoś ściągał mu szczypcami skórę z twarzy. Niewiele brakowało, by z jego ust popłynęły prawdziwe wyznania. „Nie, prawdziwa taśma jest ukryta w schowku na dworcu, zaprowadzę was tam, zrobię wszystko, co zechcecie, tylko błagam, nie męczcie mnie już!”

Nie zdążył jednak powiedzieć ani słowa, ponieważ jego oprawca zadał kolejne pytanie:

- Z kim jeszcze rozmawiał Rodriguez?

Rudi usiłował pokręcić głową, lecz bez skutku.

- Z nikim... - wycharczał. - Tylko ze mną...

- Jesteś pewien? Radzę ci, mów prawdę!

- Tak, jestem pewien.

- A ty? Z kim rozmawiałeś? Bo przecież podzieliłeś się z kimś swoimi podejrzeniami, prawda?

Uścisk jeszcze się wzmógł.

- Nie! Nikomu nic nie mówiłem! Chwila milczenia, a potem:

- Dlaczego stąd wyszedłeś?

- Na spacer... Zaczerpnąć powietrza... Nie mogłem zasnąć...

- Gdzie byłeś?

- Nad rzeką.

Mężczyzna uważnie wpatrywał się w oczy Hernandeza.

- Ten ładunek, o którym wspomniał Rodriguez... Jak ci się wydaje, co to mogło być? Tylko mów prawdę! Od tego zależy życie dziewczyny.

- Biały proszek... Szykujecie przerzut kokainy. Hernandez zamknął oczy. Było mu wszystko jedno. Zdawał sobie sprawę, że zabiją go bez względu na to, co powie, że zabiją też Graciellę i tylko modlił się w duchu, żeby śmierć była szybka, by dziewczynie oszczędzono cierpień. Uchwyt stalowych palców nieco zelżał.

- Proszę... - wyszeptał Rudi, z trudem poruszając opuchniętymi wargami. - Ona... Ona nic nie wie... To jeszcze dziecko...

Ciemnowłosy mężczyzna parsknął śmiechem, jakby właśnie usłyszał znakomity dowcip, po czym spojrzał pytająco na człowieka o srebrnosiwych włosach. Ten skinął w milczeniu głową, a wówczas oprawca Hernandeza przeszedł błyskawiczną metamorfozę: wyraz rozbawienia zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca bezbrzeżnej pogardzie i nienawiści, w stalowoszarych oczach zaś pojawiły się szaleńcze błyski.

- Ty beznadziejny, pieprzony kretynie!

Odwrócił się i strzelił palcami.

Wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Mężczyzna grożący nożem Gracielli podniósł rękę z bronią. Ostrze błysnęło w świetle żarówki, Hernandez otworzył usta, by krzyknąć, ale nie zdołał tego zrobić, ponieważ czyjaś dłoń zatkała mu je brutalnie. Obserwował z przerażeniem, jak ostrze opada, zagłębia się w ciało dziewczyny i rozpruwa je od mostka niemal do krocza. W powodzi krwi błysnęły obnażone wnętrzności, podtrzymujący Graciellę mężczyźni cofnęli się o krok, dziewczyna zaś osunęła się bezwładnie na podłogę i znieruchomiała tam jak zakrwawiona, nikomu niepotrzebna szmaciana lalka.

Rudiego ogarnęły mdłości, ale natychmiast przestał na to zwracać uwagę,

ponieważ ujrzał przed sobą olbrzyma o krótko ostrzyżonych jasnych włosach, którego doskonale zapamiętał z hotelu. Blondyn wyszarpnął spod marynarki nóż o zakrzywionym ostrzu; Hernandez ponownie usiłował krzyknąć, lecz i tym razem uniemożliwiła mu to ręka przyciśnięta do jego ust, inne zaś ręce, równie silne i bezwzględne, przyparły go do ściany.

Czas jakby stanął w miejscu. Rudi wpatrywał się wytrzeszczonymi oczami w nóż, który zatoczył półkole i powoli, niezmiernie powoli - tak mu się przynajmniej wydawało - zagłębił się w jego piersi. Poczuł przeraźliwy ból, kiedy ostrze przesunęło się w dół, ku żołądkowi, oraz ciepło wypływającej z rany krwi. Jak przez mgłę zobaczył, że jasnowłosa mężczyzna robi krok wstecz i przygląda mu się z umiarkowanym zainteresowaniem, jakby Hernandez był rzadkim owadem nabitym na szpilkę; zaraz potem poczuł, że uchwyt bezwzględnych rąk zelżał i osunął się po ścianie w szybko powiększającą się kałużę własnej krwi.

Odniosł wrażenie, jakby zanurzył się w jeziorze o ciemnej, chłodnej wodzie, dającej ukojenie i pozwalającej zapomnieć o bólu. Odgłosy zewnętrznego świata przycichły, wreszcie zupełnie umilkły. Przez chwilę słyszał jeszcze tylko swój chrapliwy, coraz słabszy oddech.

Potem zapadła cisza, a wraz z nią Rudiego Hernandeza ogarnęła całkowita, wieczna ciemność.

Część 2

Rozdział 10

Strasburg, Francja czwartek, 1 grudnia

Płonący w kominku ogień oraz ciepły brązowy kolor pomalowanych niedawno ścian sali wytwarzały sympatyczny, przytulny nastrój. Ze swego miejsca przy oknie Volkmann widział pnącą się w szare popołudniowe niebo wieżę katedry oraz pokryte czerwonymi i brązowymi dachówkami spadziste dachy starego Strasburga. Zimny wiatr wyczyniał dzikie harce na Placu Gutenberga, chłoszcząc szyby restauracji biczami splecionymi z drobnych kropli deszczu.

Zazwyczaj Ferguson był wręcz nieprzyzwoicie punktualny, lecz tym razem minęło już prawie pół godziny, a on wciąż jeszcze się nie pojawił.

Szef Sekcji Brytyjskiej DSE nienawidził niemieckiej kuchni, w związku z czym cotygodniowe nieformalne spotkania odbywały się zawsze w którejś z francuskich restauracji. Tę, w której umówili się na dzisiaj, prowadził człowiek pochodzący z Lilie. Co prawda obsługa była dość powolna, ale za to jedzenie znakomite. Dziś jednak obsługa nie wzbudzała żadnych zastrzeżeń, ponieważ z niewiadomych powodów kelnerzy krzatali się znacznie żwawiej niż zazwyczaj.

Volkmann ponownie spojrzał przez okno, tym razem na odlany z brązu posąg Johanna Gutenberga. Pomimo zbliżających się świąt Bożego Narodzenia na placu prawie nie było przechodniów. Otyły, niewysoki sprzedawca o czerwonej twarzy dekorował wystawę swego sklepu; chociaż stał na krześle, miał spore kłopoty z dosięgnięciem górnej krawędzi witryny.

Naprzeciwko Volkmana siedział Tom Peters, prawa ręka Fergusona i człowiek numer dwa w sekcji. Był Walijszykiem, miał poprzetykane siwizną rudawe włosy oraz okrągłą, wiecznie zaróżowioną twarz. Odstawiwszy kieliszek bordeaux,

odgarnął włosy z czoła, spojrzął na Volkmana i powiedział:

- W zeszłym tygodniu „Le Monde” zamieścił artykuł, z którego wynika, że za kilka miesięcy wpadniemy w dołek, przy którym Wielki Kryzys będzie wyglądał jak dziurka zrobiona palcem w piasku. - Niedbałym ruchem głowy wskazał właściciela sklepu, mozolącego się przy dekoracji wystawy. - Mam nadzieję, że ten biedak nie trzusi się nadaremnie.

Volkman uśmiechnął się, po czym umoczył usta w znakomitym winie.

- Czy Ferguson wspomniał, o czym chce z nami rozmawiać?

Siedzieli przy odosobnionym stoliku w kącie sali, przy samym oknie, z dala od pozostałych gości. Peters podniósł kieliszek do ust, wypił niewielki łyk, przymknąwszy oczy rozkoszował się przez chwilę bukietem wina, a następnie spojrzął z niesmakiem przez mokrą od deszczu szybę.

- Na pewno o czymś, co ma związek z tymi cholernymi szopami, synu.

Od pewnego czasu Volkman podejrzewał, że coś się szykuje. Przez kilka minionych dni KruU z Sekcji Niemieckiej w ogóle nie pojawiał się przy biurku, a pracownicy sekcji Włoskiej i Francuskiej przesiadywali głównie w barze, pijąc kawę i wymieniając najświeższe plotki. Pełną parą pracowały tylko sekcje Brytyjska i Holenderska, w myśl zasady, że dobry urzędnik najpierw załatwia sprawę, a dopiero potem zastanawia się, czemu ma to służyć.

Kilka minut później zjawił się Ferguson - wysoki, szczupły sześćdziesięciolatek o ziemistej cerze, w tweedowym garniturze, koszuli w kratę, z wełnianym krawatem zawiązanym w gruby węzeł. Przypominał angielskiego lorda z lat trzydziestych. Przeprził za spóźnienie i usiadł przy stoliku.

- Widzę, że nie marnowaliście czasu - zauważył z uśmiechem, spoglądając na opróżnioną do połowy butelkę wina, a kiedy Peters napełnił jego kieliszek, zapytał: - Zamówiliście już coś? Jeśli tak, to pozwolicie, że uczynię to samo.

Chwilę potem kelner odszedł od stolika z zamówieniem na filet z soli z cytryną, brokułami i ziemniakami, Ferguson zaś pociągnął łyk wina, rozsiadł się wygodnie i zapatrzył na stojący cierpliwie w strugach deszczu posąg Gutenberga.

- Miałem spotkanie z Hollrichem - powiedział wreszcie, spoglądając na Volkmana i Petersa. - Dlatego się spóźniłem. Przez cały miniony tydzień siedział w Bonn.

- Dowiedział się pan czegoś, co może nas zainteresować? - zapytał Peters.

- Przede wszystkim tego, że nasi niemieccy przyjaciele dyskutują głównie o problemach finansowych i planują znaczne oszczędności, w tym także w zakresie międzynarodowej współpracy wywiadowczej. Oficjalnie nazywa się to „poświęceniem większej uwagi problemom wewnętrznym”.

- Ale to nieprawda, zgadza się? - wtrącił Peters. Ferguson zakłócił winem w kieliszku, spojrzał na nie pod światło, umoczył usta, skrzywił się, jakby zamiast znakomitego bordeaux nalano mu taniego sikacza, a następnie ponownie spojrzał na swych współpracowników.

- Hollrich twierdzi, że chodzi wyłącznie o pieniądze. Mądrale z Bonn domagają się drastycznego zredukowania funduszy.

- Ale przecież my i tak dostajemy najmniejsze dotacje! Chyba przypomniał pan o tym Hollrichowi?

Przy stoliku zapadło milczenie, ponieważ zjawił się kelner z zamówionymi potrawami. Ferguson odpowiedział dopiero wówczas, gdy zostali sami.

- Wbrew pozorom to nie jest takie proste, Tom. - Włożył do ust niewielki kawałek ryby i starannie pogryzł przed połknięciem. - Zdaniem Hollricha kanclerz ma coraz większe kłopoty z utrzymaniem poparcia dla mniejszościowego rządu, z każdym dniem pogarszają się nastroje społeczne... Nie ma tygodnia, żeby w Berlinie lub w Bonn nie odbywała się jakaś wielka demonstracja. Rzecz jasna, podobnie dzieje się w innych krajach. Mógłbym przytaczać przykłady, ale przecież wy także czytacie gazety. - Ferguson przez chwilę ponownie skoncentrował uwagę na rybie, po czym podjął przerwany wątek: - Zdaję sobie sprawę, że to oznacza zwiększone obciążenia dla nas i dla innych, ale tak właśnie przedstawia się sytuacja. Chcę, żebyście zdawali sobie z tego sprawę, ale niczego po sobie nie pokazywali i robili wszystko jak do tej pory. W poniedziałek mam ponownie spotkać się z Hollrichem. Rzecz jasna

podkreśliłem, jak ogromne znaczenie ma dla nas zacieśnianie współpracy w ramach DSE i poprosiłem, by poinformował swoich zwierzchników o naszym stanowisku.

- A co z Francuzami? - zapytał Volkmann.

- Jestem umówiony na środę z ich szefem. Sam zaproponował mi przyjacielską pogawędkę, bo jego ludzie donieśli mu o zamieszaniu wśród Niemców. Myślę, że dam sobie z nim radę.

- Przypuszczam, że ma pan dla nas coś jeszcze.

W ustach Volkmana zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie jak pytanie.

Ferguson zawahał się, przez chwilę spoglądał na pusty plac, po czym utkwiał wzrok w swoim kieliszku.

- Istotnie. Chciałbym, żebyście coś sprawdzili. To przysługa, którą obiecałem Pauliemu Grafowi z Sekcji Niemieckiej. Czasy są ciężkie i wolałbym nie wtykać kija w mrowisko, ale na horyzoncie pojawiła się sprawa, której chyba powinniśmy się przyjrzeć.

- Czego dotyczy? - zapytał rzeczowo Volkmann.

- Nie jestem pewien. Może narkotyków... W każdym razie, według Grafa, Hollrich nie okazał najmniejszego zainteresowania. Zbył go stwierdzeniem, że nie mają ani czasu, ani ludzi.

- O co konkretnie chodzi?

- Pewna dziewczyna z Frankfurtu, stara znajoma Grafa, wróciła niedawno z Ameryki Południowej i twierdzi, że dysponuje informacjami, które mogą nas zainteresować.

- „Nas”, to znaczy kogo? - ożywił się Peters.

- Przypuszczalnie miała na myśli DSE.

- Dlaczego Graf nie może zająć się tym osobiście?

- Jak już powiedziałem, Niemcy chwilowo nie wydają się być zbytnio zainteresowani. Hollrich odmówił oddelegowania nawet jednego człowieka, sam Graf zaś od jutra zaczyna pracę w Berlinie. Jego zdaniem brak reakcji ze strony zwierzchników wynika częściowo z ograniczeń finansowych i niedostatku

personelu, a częściowo z przekonania, że sprawa jest niewystarczająco udokumentowana i trafiła do nich „na skróty”, z pominięciem tradycyjnie wykorzystywanych kanałów, a to dlatego, że dziewczyna kategorycznie odmówiła rozmowy z Bundespolizei.

- Ma jakieś powody? Ferguson wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli tak, to ja nic o nich nie wiem. Stwierdziła tylko, że musi spotkać się z kimś od nas i że sprawa jest bardzo ważna, bo dotyczy operacji przemytniczej na wielką skalę. Szczegóły ujawni wyłącznie podczas rozmowy w cztery oczy z funkcjonariuszem DSE odpowiednio wysokiego szczebla.

- Kogo chce pan posłać? - zapytał Peters.

- Myślałem o Josephie - odparł Ferguson, patrząc Volkmannowi w oczy. - Znasz doskonale język, orientujesz się w mentalności tych ludzi, dysponujesz odpowiednim doświadczeniem... Naturalnie to może być całkowita bzdura, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

- Tylko tyle? Po prostu sprawdzić? Ferguson zmarszczył brwi.

- Powiedziałem wam wszystko, co wiem na ten temat. Volkmann spojrział przez okno na sklepikarza, który uporał się już z dekorowaniem wystawy i teraz stał przy przeszklonych drzwiach, czekając na klientów.

- Nie masz żadnych pytań, Josephie? Volkmann przeniósł wzrok na przełożonego.

- Co to za dziewczyna?

- Nazywa się Erika Kranz, ma dwadzieścia pięć lat, jest dziennikarką współpracującą z kilkoma średnionakładowymi pismami. - Ferguson wyjął z kieszeni marynarki wąski pasek papieru i podał go Volkmannowi. - Tu masz jej adres i numer telefonu. Myślę, że powinieneś złożyć jej wizytę i zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Kiedy mam zacząć?

- Choćby jutro, ale najpierw zadzwoń i uprzedź ją o swoim przyjeździe.

- Komu mam składać meldunki?

- Mnie. Jeśli będę nieuchwytny, przekazuj informacje Petersowi, a on mnie znajdzie. Poprosiłem już Kollera z Sekcji Niemieckiej, żeby sprawdził dziewczynę. Myślę, że jeszcze dziś wieczorem dostaniesz pełną dokumentację, więc powinieneś zdążyć przygotować się do rozmowy.

- A co powiemy Niemcom?

Przez twarz Fergusona przemknął uśmiech.

- Jestem pewien, że potraktują to jako rutynowe działanie, a poza tym, jak sam widzisz, nie interesują się zbytnio tą sprawą.

Jeśli okaże się, że nie ma w tym dla nas nic interesującego, odbijemy piłeczkę na ich stronę - naturalnie pod warunkiem, że Hollrich i jego ludzie będą jeszcze wtedy z nami. Teraz chodzi przede wszystkim o to, by nie oglądając się na naszych niemieckich przyjaciół przeprowadzić wstępne rozpoznanie i podjąć decyzję, czy należy brnąć dalej, czy lepiej od razu się wycofać.

Tłusty sklepikarz przechadzał się po sklepie z założonymi do tyłu rękami, co chwila zerkając nerwowo w kierunku drzwi. Na placu nadal nie było żywego ducha, należało więc wątpić, czy odświętnie udekorowana wystawa zdoła dziś przyciągnąć choćby jednego klienta.

Odwróciwszy wzrok od okna, Volkmann przekonał się, że Peters i Ferguson przyglądają mu się uważnie. Szef Sekcji Brytyjskiej DSE spojrział na sklep po drugiej stronie ulicy, zmarszczył brwi, po czym posmarował grzanekę masłem i dolał sobie wina.

- Czytałem gdzieś, że podczas Wielkiego Kryzysu było dokładnie tak samo: ci, którzy jeszcze mieli nadzieję, stawali na głowach, żeby przechwycić jak najwięcej pieniędzy, ale te błyskawicznie znikwały z obiegu, ponieważ ludzie nie mieli żadnych oszczędności. Okropne czasy. Na całe szczęście teraz nie musimy o tym myśleć, bo robią to za nas kompletnie nieodpowiedzialni i niekompetentni ekonomiści oraz politycy.

Peters uniósł wysoko brwi i spojrział pytająco na Volkmana, lecz ten tylko uśmiechnął się, po czym w milczeniu podniósł kieliszek do ust.

Z siedziby DSE w Strasburgu można w ciągu zaledwie kilku minut dojść do Oranżerii, gdzie w samym środku ogrodu pełnego egzotycznych roślin i rozbrzmiewającego śpiewem ptaków Napoleon kazał wybudować dla Józefiny ozdobny pawilon. W przeciwieństwie do imponującej kwatery głównej Interpolu w Lyonie, nowoczesny budynek mieszczący biura DSE nie jest znany szerokiej publiczności. Usytuowany przy Alei Europy, w pobliżu Parlamentu, mieści przedstawicielstwa dwunastu agencji wywiadowczych oraz wyspecjalizowanych sił policyjnych, współpracujących ze sobą w sprawach mających znaczenie dla bezpieczeństwa całej Wspólnoty Europejskiej. Oficjalna nazwa tej instytucji brzmi Direction de Securite Europeenne, lecz zazwyczaj mówi się o niej po prostu DSE.

Choć głównym zadaniem Interpolu jest walka z międzynarodową przestępczością, to możliwości tej organizacji są dość ograniczone. Jej funkcjonariusze, rekrutujący się spośród kadry oficerskiej policji państw członkowskich, zajmują się głównie gromadzeniem, przetwarzaniem i analizowaniem informacji dotyczących trzech kategorii przestępców: tych, którzy działają na terenie więcej niż jednego kraju; tych, którzy co prawda nie zmieniają miejsca pobytu, ale kierują nielegalnymi operacjami przeprowadzanymi na terenie wielu państw; wreszcie tych, którzy po popełnieniu zbrodni ukrywają się w innym kraju. Ponieważ przepisy stosowane w poszczególnych państwach bardzo się różnią, funkcjonariusze Interpolu (wbrew obiegowej opinii, utrwalonej dzięki niezliczonym filmom i powieściom sensacyjnym) nie mają prawa dokonywać aresztowań i zawsze muszą ściśle współpracować z policją kraju, na którego terenie akurat przyszło im działać. Z tego właśnie powodu Interpol pełni głównie funkcję ogromnego banku danych, nadzwyczaj pomocnego w walce z najgroźniejszymi przestępcami.

DSE działa na zbliżonych zasadach, lecz zajmuje się wyłącznie czterema, ściśle określonymi rodzajami przestępstw, mającymi bezpośredni związek z wewnętrznym bezpieczeństwem państw Wspólnoty Europejskiej. W przeciwieństwie do Interpolu, jej funkcjonariuszami są nie tylko policjanci, ale także oficerowie wywiadu, w dodatku mający prawo samodzielnie dokonywać zatrzymań i przeprowadzać

przesłuchania podejrzanych, naturalnie tylko na terenie Wspólnoty i w zgodzie z przepisami prawa obowiązującymi w danym kraju.

Kategoria pierwsza obejmuje terrorystyczną działalność osób i ugrupowań zarówno wywodzących się z państw europejskich, jak i takich, które traktują Europę jedynie jako bazę lub cel swoich akcji. Kategoria druga to przemyt we wszystkich postaciach, przede wszystkim jednak szmuglowanie narkotyków, broni, drogocennych metali oraz kamieni szlachetnych. Do kategorii trzeciej zalicza się działalność szpiegowską zagrażającą bezpieczeństwu zarówno poszczególnych państw, jak i całej Wspólnoty, w tym także szpiegostwo przemysłowe, do czwartej natomiast fałszerstwa i oszustwa na wielką skalę.

W kwaterze głównej DSE w Strasburgu każde państwo Wspólnoty ma swoje przedstawicielstwo zwane Sekcją, w każdej sekcji zaś pracuje maksimum dwunastu oficerów policji i wywiadu, których zadanie polega na koordynowaniu poczynań ze służbami specjalnymi innych krajów w dziedzinach i konkretnych sprawach stanowiących obiekt wspólnego zainteresowania. Można więc powiedzieć, iż DSE powołano do życia w celu połączenia wysiłków państw członkowskich Wspólnoty Europejskiej na polu walki z międzynarodową przestępczością oraz terroryzmem, a także ciągłego uzupełniania komputerowej bazy danych dotyczącej tej działalności.

Biuro Josepha Volkmana znajdowało się na trzecim piętrze, podzielonym między sekcje Brytyjską i Holenderską. Z okna roztaczał się widok na niewielki skwer z drzewami czereśniowymi, zupełnie pusty o tej porze roku.

Volkmann wrócił z lunchu o drugiej i od razu wziął się do pracy, przekopując się przez raporty, spod których prawie nie było widać biurka. Dotyczyły tych samych problemów co zawsze - przemyt, narkotyki, terroryzm - jego zadanie zaś polegało na dokonaniu wstępnej oceny ich zawartości i podjęciu decyzji dotyczącej dalszego losu każdej sprawy.

Kiedy dwie godziny później odłożył na bok ostatnią kartkę, na dworze zapadał już zmrok, a w oknach okolicznych biurowców zapalały się światła.

Wyjął z kieszeni świstek, który otrzymał od Fergusona, i wystukał frankfurcki

numer Eriki Kranz. Dziewczyna podniosła słuchawkę po drugim sygnale; przedstawił się jej, powiedział, że jest oficerem łącznikowym oddelegowanym do pracy w DSE oraz wyjaśnił, że dzwoni na prośbę Pauliego Grafa.

- Frau Kranz, czy może mi pani wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

- Wolałabym nie mówić o tym przez telefon, Herr Volkmann - odparła dziewczyna. Joseph odniósł wrażenie, iż słyszy w jej głosie nutę strachu. - Zapewniam pana jednak, że sprawa jest poważna. Czy moglibyśmy się spotkać?

- Mogę być we Frankfurcie choćby jutro rano. Pauli Graf podał nam pani adres. Chyba że pani zdaniem spotkanie powinno odbyć się w innym miejscu?

- Nie, może być u mnie - powiedziała dziewczyna po krótkim namyśle. - Dziękuję panu, Herr Volkmann, że zechciał pan zadać sobie tyle trudu. Mieszkam na ostatnim piętrze. Czy odpowiada panu samo południe?

- Oczywiście. W takim razie do zobaczenia, Frau Kranz.

O piątej Volkmann zrobił porządek na biurku, zjechał do podziemnego garażu, wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Jego mieszkanie, przynajmniej według standardów obowiązujących w Strasburgu, było bardzo skromne: składało się z dwóch pokoi, kuchni i łazienki, mieściło się zaś w starej kamienicy przy Quai Ernest; z okien sypialni widać było odległy o niespełna pięć kilometrów niemiecki brzeg Renu.

Kilka minut po dziesiątej do drzwi zadzwonił Koller z Sekcji Niemieckiej. Przywiózł teczkę z materiałami dotyczącymi Eriki Kranz; sądząc po wyrazie jego twarzy, w tej chwili nie darzył nadmiernie ciepłymi uczuciami swoich przełożonych, którzy kazali mu włóczyć się nocą po mieście z jakimiś bezwartościowymi papierzyskami. Volkmann zaproponował mu drinka, lecz Koller odmówił.

- Możesz mi powiedzieć, po co wamteczka tej dziewczyny?

- Och, to nic szczególnego. Rutynowe badanie, i tyle. Nawet jeśli Niemca nie zadowolili ta odpowiedź, to nie dał niczego po sobie poznać.

- Aha. Byłoby dobrze, gdybyście tego gdzieś nie posiali.

Po wyjściu Kollera Volkmann wziął gorącą kąpiel, nalał sobie sporą porcję

whisky, następnie zaś położył się na łóżku i zagłębił w lekturze dossier Eriki.

Okazało się bardziej interesujące, niż przypuszczał, chwilami wręcz niepokojące. W pewnym momencie odłożył teczkę, wstał z łóżka i podszedł do okna, zastanawiając się, o co może w tym wszystkim chodzić.

Deszcz przestał padać, wiatr przegnał chmury, widoczność znacznie się poprawiła. Na drugim brzegu rzeki migotały światła niemieckich wsi i miasteczek. Volkmann niechętnie przekraczał granicę, Ferguson zaś, wiedząc o jego niechętnym stosunku do Niemców, wysyłał go tam tylko wtedy, jeśli uznawał to za absolutnie niezbędne. Joseph z nostalgią wspominał okres spędzony w Berlinie, tym najmniej niemieckim spośród wszystkich niemieckich miast; często przez tydzień albo nawet dłużej kontaktował się wyłącznie z przebywającymi tam służbowo obcokrajowcami.

Nastawił budzik na siódmą, zdjął szlafrok, wyłączył światło i położył się do łóżka. Minęło jednak sporo czasu, zanim zasnął, ponieważ kilka zdań z teczki Eriki Kranz utkwіło mu tak silnie w pamięci, że zamknięwszy oczy, widział je w ciemności jarzące się zimnym neonowym blaskiem.

Rozdział 11

Frankfurt, Niemcy piątek, 2 grudnia

Volkmann bez trudu odszukał wskazany adres. Nowoczesny czteropiętrowy budynek o szarym mansardowym dachu stał w pobliżu Eisener Steg na południowym brzegu rzeki, wciśnięty między przedwojenne domy z czerwonej cegły. Zadzwonił przez domofon, a kiedy wysiadł z windy na ostatnim piętrze, dziewczyna już czekała na niego w otwartych drzwiach mieszkania.

Była wysoka, miała wspaniałą figurę, brzoskwiniową cerę oraz jasnoniebieskie oczy. Jej strój składał się z obcisłych granatowych dżinsów wpuszczonych w skórzane, sięgające do połowy łydki buty oraz luźnego czarnego swetra. Dzięki zaczesanym do tyłu włosom, spiętym w dość długi kucyk, od razu rzucały się w oczy wystające kości policzkowe. Twarz Eriki Kranz, prawie zupełnie

bez makijażu, była skupiona i poważna. Volkmann przedstawił się, pokazał legitymację, po czym wszedł za dziewczyną do mieszkania.

Z kolumn głośnikowych dobiegały dźwięki koncertu skrzypcowego Mendelssohna. Erika podeszła do stojącego na półce przy oknie minizestawu hifi i zmniejszyła głośność.

- Właśnie zaparzyłam kawę. Napije się pan ze mną, Herr Volkmann?

- Chętnie.

- Wobec tego proszę się rozgościć. Zaraz wracam. Joseph odprowadził ją spojrzeniem. Z dossier wynikało, że dziewczyna ma dwadzieścia pięć lat, lecz wyglądała na znacznie więcej, co jednak w niczym nie zmieniało faktu, że była bardzo ładna.

W przestronnym mieszkaniu przede wszystkim rzucały się w oczy nienaganna czystość i porządek. Mebli było niewiele, za to mnóstwo roślin oraz książek. Na pomalowanych na biało ścianach wisiały oprawione w ramki okładki poczytnych magazynów, natomiast obok miniwieży stały w karnych szeregach płyty kompaktowe i kasety - głównie popularne szlagiery muzyki klasycznej, ale także pełna edycja dzieł operowych Pucciniego oraz trochę jazzu. Na kanapie leżała otwarta książka. Volkmann wziął ją do ręki i zerknął na okładkę: „Wybór wierszy” Edny St Vincent Millay. Odłożywszy ją na miejsce spojrzał przez okno na płynący dostojnie Men. Stalowszara, lekko pomarszczona powierzchnia wody była gęsto poznaczona krechami barek i tłustymi kroplami holowników. Przy oknie stało sosnowe biurko, na nim zaś komputer.

Chwilę potem dziewczyna wróciła z kuchni, niosąc tacę z dwiema filiżankami kawy, śmietanką i cukrem. Postawiła tacę na stoliku, po czym usiadła w białym fotelu naprzeciwko Volkmana i założyła nogę na nogę. Ona także wzięła książkę do ręki, spojrzała na nią ze zdziwieniem, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu, położyła obok siebie na fotelu, a następnie spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. Volkmann dopiero teraz dostrzegł na jej twarzy wyraźne ślady łez.

- Czy zna pan wiersze Edny St Vincent Millay, Herr Volkmann?

Pokręcił z uśmiechem głową.

- Obawiam się, że nie, Frau Kranz. Nie przyjechałem tu jednak po to, by dyskutować o poezji. Czy zechce pani wyjaśnić mi, dlaczego zdecydowała się zwrócić do nas z prośbą o pomoc?

- Czy jest pan Niemcem, Herr Volkmann?

- Anglikiem. Wasi ludzie z Sekcji Niemieckiej DSE nie przejawiali większego zainteresowania pani problemami, a Pauli Graf został właśnie przeniesiony do Berlina, więc poprosił nas nieoficjalnie, żebyśmy się tym zajęli. - Wzruszył lekko ramionami. - Naturalnie jeśli pani sobie życzy, mogę przekazać im tę sprawę.

Potrząsnęła głową.

- Nie, po prostu chciałam sprawdzić, czy się nie mylę. Pański akcent wydał mi się trochę dziwny, i to wszystko. - Wzięła filiżankę do ręki, ale nie podniosła jej do ust. - Myślę, że powinnam zacząć od początku.

- Znakomity pomysł.

Dziewczyna odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów, przez chwilę patrzyła w okno, po czym skierowała spojrzenie z powrotem na Volkmana.

- Tydzień temu wróciłam z Paragwaju. Przez siedem dni mieszkałam w Asunción u mego kuzyna Rudiego Hernandeza.

- Zawahała się, przygryzła na chwilę wargę, by zaraz potem odezwać się ponownie: - Bardzo szybko wyczułam, że coś go gnębi. Zapytałam go, o co chodzi, a on powiedział mi, że w tajemnicy przed wydawcą i redaktorem - Rudi był dziennikarzem

- zbiera materiały do sensacyjnego artykułu.

Umilkła ponownie, tym razem na dobre. Volkmann czekał cierpliwie, ale kiedy milczenie przedłużało się ponad miarę, zdecydował się zadać pytanie:

- Czego miał dotyczyć ten artykuł?

- Rudi dowiedział się od znajomego pilota nazwiskiem Rodriguez o przygotowywanej przez grupę ludzi operacji, polegającej na przerzuceniu znacznej partii towaru z Paragwaju do Europy. Tydzień przed moim przylotem Rodriguez

zadzwoił do Rudiego i poprosił go o przysługę: chciał, żeby Rudi napisał artykuł demaskujący to przedsięwzięcie, ale by na razie wstrzymał się z jego publikacją i złożył go w jakimś bezpiecznym miejscu, na przykład u prawnika. Artykuł mógłby ujrzeć światło dzienne wyłącznie w wypadku śmierci Rodrigueza. - Dziewczyna znowu przerwała opowieść, lecz podjęła ją na nowo szybciej niż poprzednio, bez ponagień ze strony Volkmana. - Rodriguez został zatrudniony przez ludzi przygotowujących przerzut. Wynajęli go razem z maszyną. Przedtem wielokrotnie zajmował się przemytem, ale tym razem był pewien, że jest bezustannie obserwowany i że prędzej czy później jego pracodawcy spróbują go zabić, żeby na zawsze zamknąć mu usta.

- Czy wiedział, co będzie przewoził? Erika potrząsnęła głową.

- Powiedział Rudiemu, że chyba chodzi o narkotyki, ale nie był tego pewien. Wiedział tylko tyle, że przez cały miniony rok do Montevideo w Urugwaju docierały drewniane, szczelnie zamknięte skrzynie. Większość z nich Rodriguez transportował swoim samolotem. Twierdził, że dostaje za to mnóstwo pieniędzy. Podał też Rudiemu nazwisko człowieka, który zatrudnił go do tej roboty, ale Rudi zachował je przede mną w tajemnicy.

- Dlaczego?

- Przypuszczalnie w trosce o moje bezpieczeństwo. Uważał, że im mniej będę wiedziała o tych ludziach, tym lepiej dla mnie. Chyba nie miał o nich najlepszego zdania.

Volkman ze zrozumieniem skinął głową.

- Proszę mówić dalej, Frau Kranz.

- Dwa dni po dostarczeniu do Montevideo ostatniej partii drewnianych skrzyń Rodriguez zorientował się, że jest obserwowany. Właśnie wtedy zadzwonił do Rudiego. Powiedział mu, że chyba wdepnął w wielkie śmierdzące gówno i że wątpi, czy uda mu się wyjść z tego z życiem. Rudi zgodził się napisać artykuł. Przypuszczalnie miał nadzieję, że trafi na coś naprawdę sensacyjnego i że mimo wszystko Rodriguez zgodzi się na publikację. Jednak zaledwie trzy dni później na

ulicy w Asunción znaleziono martwego Rodrigueza. Został potrącony przez samochód. Nie było żadnych świadków, a kierowca uciekł z miejsca wypadku. Rudi był pewien, że pilota zabili ludzie, dla których pracował.

- Na jakiej podstawie opierał swoje podejrzenia?

- Przede wszystkim nie dawały mu spokoju zagadkowe okoliczności śmierci Rodrigueza. Wcześniej dowiedział się od niego, że ludzie, dla których pracował Rodriguez, mieli obsesję na punkcie dyskrecji, domyślił się więc, że zamordowali pilota, by mieć pewność, że dochowa tajemnicy.

Volkman napił się nieco kawy i odstawił filiżankę.

- Czy Hernandez zawiadomił policję w Asunción?

- Nie, bo nie miał żadnych dowodów. Chciał najpierw poznać nazwiska osób zamieszanych w przemyt, a przede wszystkim dowiedzieć się, co przemycali. Fakt, że zajmowali się jakimś nielegalnym procederem, nie ulegał dla niego najmniejszej wątpliwości.

Volkman przez chwilę przyglądał się w milczeniu dziewczynie, spojrzął przez okno na szare, wiszące nisko chmury, po czym znowu utkwiał wzrok w twarzy Eriki.

- Frau Kranz, jak na razie naprawdę nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zainteresować się tą sprawą.

Dziewczyna zawahała się, po czym odparła:

- Ma pan rację, ale Pauli Graf wspomniał mi kiedyś, że zajmujecie się różnymi rzeczami...

- Owszem, lecz głównie takimi, które mają bezpośredni związek z Europą, na razie zaś nie ruszyliśmy się na krok z Ameryki Południowej.

- Mimo wszystko sądzę, że wydarzenia, o których mówię, dotyczą was bardziej, niż się panu wydaje.

- Proszę mnie przekonać.

- Przed moim wyjazdem Rudi poprosił mnie, żebym zdobyła dla niego kilka informacji. Cztery dni temu zadzwoniłam do Asunción, aby zdać mu relację z

postępów mojego małego śledztwa, lecz nikt nie podnosił słuchawki, więc połączyłam się z redakcją jego gazety. Dziennikarz, który odebrał telefon, powiedział mi...

Głos dziewczyny załamał się. Erika pochyliła głowę, kryjąc twarz przed wzrokiem Volkmana. W pokoju słychać było tylko przytłumione dźwięki koncertu Mendelssohna.

- Co powiedział? - zapytał po dłuższej chwili Joseph.

- Że Rudi nie żyje. Jego ciało znaleziono w domu pewnej młodej kobiety. Ona także nie żyła. Oboje zostali zamordowani.

Wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła oczy.

- Dlaczego uważa pani, że te morderstwa mają związek ze sprawami interesującymi DSE?

Erika Kranz spojrzała Volkmannowi prosto w oczy.

- Na krótko przed śmiercią Rodriguez pokazał Rudiemu piękny dom na przedmieściach Asunción, stanowiący własność człowieka, dla którego pracował. Przez pewien czas obserwowali dyskretnie wjazd na teren rezydencji oraz tę jej część, którą widać zza ogrodzenia, ponieważ Rudi chciał zilustrować artykuł kilkoma zdjęciami. Posługiwał się aparatem z silnym teleobiektywem. W pewnej chwili z willi wyszli dwaj mężczyźni; jeden z nich był pracodawcą Rodrigueza, ale Rudiego znacznie bardziej zainteresował drugi, ponieważ od razu go rozpoznał. Rudi już go kiedyś widział, i to tu, w Europie, nie w Ameryce Południowej.

- Przyznam, że nie rozumiem...

- Poznał go pięć lat temu podczas przyjęcia na Uniwersytecie w Heidelbergu, gdzie wtedy studiowałam. Ten człowiek nazywał się Dieter Winter.

- Proszę mówić dalej.

- Rudi zatrzymał się u moich rodziców, więc zabrałam go ze sobą na przyjęcie. Winter wdał się z nim w dyskusję, która bardzo szybko przerodziła się w zażartą sprzeczkę. Niewiele brakowało, by skoczyli sobie do oczu, więc Rudi miał powód, żeby go dobrze zapamiętać. Powiedział mi później, że po raz pierwszy w życiu chciał

kogoś uderzyć. Pokazał mi zdjęcia, które zrobił zza ogrodzenia; widać na nich dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, przechadzających się po ogrodzie. Młodszy istotnie przypominał Wintera, ale nie dałabym głowy, że to na pewno on. Co prawda studiowaliśmy na tym samym wydziale, lecz poza tą jedną okazją w ogóle nie zwracałam na niego uwagi. Rudi poprosił mnie, żebym sprawdziła, co dzieje się z Dieterem Winterem i spróbowała zdobyć jego aktualną fotografię. Zająłam się tym natychmiast po powrocie do Frankfurtu i niemal od razu natrafiłam na jego nazwisko w gazetach. Okazało się, że przed tygodniem został zamordowany w ciemnym zaułku w Berlinie. Ktoś strzelił mu w głowę.

Erika wzięła ze stolika grubą szarą kopertę, wyjęła z niej wycinek prasowy i wręczyła Volkmannowi, który szybko przebiegł wzrokiem kilkanaście linijek tekstu. Ciało mężczyzny ze zmasakrowaną głową (oddano do niego pięć strzałów z bliska) znaleziono w pobliżu stacji metra Zoo. Nie zgłosił się żaden świadek zabójstwa, denat zaś został zidentyfikowany jako Dieter Winter. Policja prosi wszystkich, którzy mogliby przyczynić się do wyjaśnienia itd., itd.

Volkmann oddał wycinek dziewczynie.

- Dlaczego zdziwił się, zobaczywszy tego człowieka w Paragwaju?

Erika wzruszyła ramionami.

- Po prostu zastanowiło go, co Winter robi tak daleko od Niemiec oraz co może go łączyć z ludźmi, którzy zamordowali Rodrigueza.

- Czy rozmawiała pani z kimś o tej sprawie?

- Tylko z Paulim Grafem, ale on jest jedynie maleńkim trybikiem w ogromnej maszynie. Chciałam spotkać się z kimś, kto dysponuje większymi możliwościami działania.

- Dlaczego więc nie zwróciła się pani do policji?

- Ponieważ odniosłam wrażenie, że zdaniem Pauliego DSE będzie skłonne przyjrzeć się dokładniej tym wydarzeniom. Poza tym Bundespolizei interesuje się niemal wyłącznie przestępstwami popełnionymi na terytorium Niemiec. Co prawda wy teoretycznie zajmujecie się tylko Europą, ale nie sądzę, żebyście zanadto

skrupulatnie przestrzegali tych ograniczeń.

Volkmann wziął do ręki filiżankę, podniósł do ust, wypił dwa łyki kawy, po czym nie spiesząc się odstawił filiżankę na spodeczek.

- Frau Kranz, czego konkretnie oczekuje pani ode mnie? Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

- Chcę wiedzieć, dlaczego zabito Rudiego i kto to zrobił. Zamierzam polecieć wkrótce do Paragwaju. Rudi z pewnością chciałby, żeby ktoś przejął tę sprawę. Jestem dziennikarką, więc oprócz motywacji osobistej kieruje mną także zawodowa.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Erika zawahała się przez mgnienie oka, jakby zaskoczona bezpośredniością Volkmana, po czym odparła spokojnym, opanowanym głosem:

- Ma pan znajomych wśród wyższych oficerów policji i służb specjalnych w wielu krajach. Pomyślałam sobie, że mógłby pan dać mi list polecający do kogoś w Paragwaju, wskazać mi kogoś, komu mogłabym zaufać, udzielić mi paru rad...

- Jednej udzielię pani już teraz: proszę zostawić tę sprawę paragwajskiej policji i nie mieszać w nią Pauliego Grafa. Proszę też zgłosić się do Bundespolizei i powtórzyć im wszystko, co przed chwilą mi pani opowiedziała. Jeśli uznają, że gra jest warta świeczki, sami przekażą to swoim ludziom w DSE.

- To samo mówił mi Pauli Graf - odparła ze zniecierpliwieniem Erika. - Ale na to wszystko potrzeba czasu, a ja pojutrze odlatuję do Asunción. - Wciąż wpatrywała się w Josepha nieruchomym, zdecydowanym spojrzeniem. - Naprawdę ogromnie przydałaby mi się pańska pomoc, Herr Volkmann. Jestem pewna, że byłoby mi wtedy znacznie łatwiej. Rozmowa z naszą policją nie ma sensu, ponieważ, jak wspomniałam, ich nie interesują przestępstwa popełniane na drugiej półkuli, natomiast wy... Pauli mówił, że dysponujecie znacznie szerszymi uprawnieniami.

- Zdaje się, że Pauli mówił pani o wielu rzeczach.

- Wcale nie. To dobry przyjaciel. Poznałam go pracując dla „Frankfurter Zeitung”. Po prostu dał mi do zrozumienia, że powinnam zwrócić się właśnie do was, ale może nie miał racji.

Dziewczyna wciąż wpatrywała się w Josepha wzrokiem pełnym bolesnego oczekiwania. Koncert skrzypcowy Mendelssohna powoli zbliżał się do finału.

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym mógł pani pomóc.

- Rozumiem. Niemniej jestem wdzięczna, że zechciał mnie pan wysłuchać.

Volkmann podniósł się z kanapy.

- Kiedy dokładnie odlatuje pani do Asunción?

- W niedzielę.

- Zobaczę, co da się zrobić. Naturalnie niczego nie obiecuję, ale gdybym - w co nie wierzę - miał jakieś dobre wiadomości, skontaktuję się z panią przed odlotem.

- Dziękuję panu, Herr Volkmann.

- Do zobaczenia, Frau Kranz.

Dziewczyna odprowadziła go do wyjścia, zaczekała, aż wsiądzie do windy, po czym zamknęła drzwi, wróciła do salonu i stanęła przy oknie. Pogoda znowu się popsuła; padał deszcz a silny wiatr wzburzył powierzchnię rzeki, utrudniając pracę holownikom i pchaczom. Chwilę potem dostrzegła Volkmana, który szybko przeszedł do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu.

Joseph Volkmann w niczym nie przypominał Rudiego; tamten był szczery i wylewny, ten zaś wyraźnie starał się zachować dystans. Erika odniosła wrażenie, że wyczuwa w nim nieufność i napięcie, a także wyraźną niechęć, choć nie miała pojęcia, czym mogła ją sprowokować.

Odprowadziła wzrokiem samochód, a następnie przeszła do kuchni, by opłukać filiżanki.

Volkmann wrócił do Strasburga kilka minut po czwartej. Ani Fergusona, ani Petersa nie było w biurze, w związku z czym zwięzły raport oraz dossier Eriki Kranz przekazał sekretarce szefa.

Dowiedział się od niej, że Ferguson wyjechał do Paryża i wróci dopiero późnym wieczorem. Josephowi zależało na czasie, wobec czego bezzwłocznie wysłał faks do Komendy Głównej Policji w Berlinie z prośbą o przekazanie wszelkich dostępnych informacji dotyczących Dietera Wintera, a także, jeśli to możliwe, jego

zdjęcia.

Znalazłszy się ponownie w swoim pokoju jeszcze raz przejrzał notatki, które zrobił podczas lektury dossier Eriki. Urodziła się w Buenos Aires w rodzinie niemieckich emigrantów, miała starszą siostrę, która wyszła za mąż za Francuza i zamieszkała w Rennes, jej ojciec zaś zmarł w Ameryce Południowej, kiedy miała zaledwie trzy lata. W tym samym roku wdowa wraz z dwiema córkami wróciła do Niemiec.

Podczas studiów na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu w Heidelbergu Erika stykała się z różnymi radykalnymi ugrupowaniami, obecnie nie przejawia żadnych sympatii politycznych. Samotna, nie karana, niewierząca, współpracuje z kilkoma popularnymi niemieckimi pismami kobiecymi.

Na stosunek Volkmana do dziewczyny z pewnością miał wpływ ustęp dotyczący jej ojca. Otóż podczas ostatniej wojny major Manfred Kranz służył w elitarnej dywizji SS Leibstandarte, potem zaś był ścigany listami gończymi w związku ze zbrodniami, jakich dopuścił się na terenach okupowanych. Na krótko przed wycofaniem się Niemców z południowej Francji oddział dowodzony przez Kranza rozstrzelał dwudziestu mieszkańców wioski Ronchamp, w Rosji zaś, podczas szturmów na Kijów, ojciec Eriki osobiście rozkazał zlikwidować dwustu jeńców wojennych. Nigdy jednak nie stanął przed sądem, ponieważ argentyńskie władze odrzuciły wniosek o jego ekstradycję.

Niespełna dwie godziny później Volkman wyszedł z biura i kilka minut po szóstej zjawił się w swoim mieszkaniu. Punktualnie o dziesiątej zadzwonił Ferguson.

- Przeczytałem twój raport. Sprawa jest niejasna, ale interesująca.

- Przysłali coś z Berlina?

- Przed chwilą. Jest też fotografia.

- I co mają do powiedzenia o Winterze?

- Pięć lat temu skończył historię na uniwersytecie w Heidelbergu. Podczas studiów udzielał się w prawicowych organizacjach, ale nigdy nie był aresztowany. Potem bez pracy. Niemiecka policja nie ma pojęcia, dlaczego został zamordowany.

Ciało znaleziono w okolicy znanej z tego, że handluje się tam narkotykami. Poszli tym tropem, lecz niczego nie zdołali ustalić.

- Może Winter też był handlarzem?

- Raczej nie, choć wciąż to sprawdzają.

- Coś jeszcze?

- Najciekawsza jest broń, z której zabito go w Berlinie. To walther kaliber 9 mm, natomiast amunicja została wyprodukowana w Ameryce Południowej. Policja przypuszcza, że rok temu z tej samej broni zastrzelono w Hanowerze przemysłowca nazwiskiem Pieber. Jego przyjaciel, niejaki Hargrove z Wielkiej Brytanii, został wtedy ciężko ranny i kilka dni później zmarł w szpitalu.

- A co pan o tym myśli?

- Sam nie wiem. Sprawa jest na tyle intrygująca, a zarazem niejasna, że moim zdaniem powinieneś polecieć z dziewczyną do Paragwaju. Niewykluczone, że ten dziennikarz z Asunción wpadł na trop afery, która może nas zainteresować, a nawet jeśli nie, to być może jego ustalenia rzuca nowe światło na zabójstwa dokonane w Hanowerze i Berlinie.

- Naprawdę uważa pan, że to konieczne?

- Tak, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę tajemniczy ładunek, o którym wspomniała dziewczyna. Gdyby okazało się, że całe zamieszanie dotyczy wyłącznie Niemców, zawsze możemy obciążyć ich kosztami, a jeśli pytaliby, dlaczego wtykamy nos w nie nasze sprawy, mamy na usprawiedliwienie tego Hargrove'a. Bądź co bądź, był poddany Jej Królewskiej Wysokości.

- Co mam powiedzieć dziewczynie?

- Że wypuszczamy balon próbny, ponieważ zaintrygowała nas śmierć Wintera. Jutro z samego rana powiedz Petersowi, żeby załatwił ci bilet. Przypuszczam, że dziewczyna nie będzie miała nic przeciwko twemu towarzystwu?

- Chyba nie.

- To dobrze. Skontaktuję się z Asunción i prześlę im kopię twojego raportu; po przetłumaczeniu, ma się rozumieć. Dobrej nocy, Josephie.

Połączenie zostało przerwane. Volkmann odłożył słuchawkę; przez chwilę siedział nieruchomo na łóżku, po czym wyłączył światło, zapalił papierosa i wpatrzył się w wypełniony ciemnością prostokąt okna. Jego myśli krążyły wokół rozmowy z dziewczyną, pojawienia się Wintera w Paragwaju, zabójstwa w Berlinie, a także morderstw popełnionych w Asunción. Czy te wydarzenia miały ze sobą związek? A jeśli tak, to jaki? Na razie nie sposób było odpowiedzieć na te pytania; każda próba znalezienia wyjaśnienia nasuwała tylko jeszcze więcej wątpliwości.

Na Renie trwał nieustający ruch. Joseph widział światła pozycyjne barek, holowników i pchaczy, sunące powoli w ciemności. Jeszcze dalej, na drugim, wysokim brzegu rzeki, rosły drzewa Schwarzwald.

Volkmann wrócił pamięcią do niedawnej rozmowy z Fergusonem. Wraz z raportem szef Sekcji Brytyjskiej otrzymał także dostarczone przez Niemców dossier Eriki. Ferguson z pewnością zapoznał się z jego treścią, a jednak ani słowem nie wspomniał o informacji dotyczącej ojca dziewczyny. Co prawda czyny, których dopuścił się major Kranz, miały miejsce w odległej przeszłości, kiedy Eriki nie było jeszcze na świecie, więc być może Ferguson uznał je za mało istotne, ale dla niego, Josepha Volkmana, miały ogromne znaczenie.

Nawet teraz, leżąc w łóżku i spoglądając przez okno w jesienną noc, poczuł, jak jego ciało pokrywa się gęsią skórą.

Północnowschodnie Chaco, Paragwaj niedziela, 4 grudnia

Było już ciemno. Wysoki mężczyzna o włosach barwy srebra siedział w wiklinowym fotelu na werandzie. Miał na sobie czystą białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, jasną płócienną marynarkę oraz starannie uprasowane spodnie z cienkiej bawełny.

Ulewny deszcz łomotał w dach werandy. Spomiędzy ciężkich, sunących nisko chmur od czasu do czasu wyglądał księżyc w pełni, ale nawet bez niego na werandzie było dość jasno dzięki lampie zawieszanej u jednej z poprzecznych belek, ćmy trzepotały wokół mlecznego abażuru, usiłując dostać się do źródła światła. Srebrzyste włosy mężczyzny zdawały się lśnić własnym blaskiem, a jego przystojna,

pokryta opalenizną twarz miała lekko żółtawy odcień.

Służący - kilkunastoletni chłopiec - przyniósł filiżankę mrożonej herbaty z cytryną, postawił tacę na stole, wsypał do filiżanki dwie czubate łyżeczki cukru. Mężczyzna zdawał się być głęboko pogrążony w myślach; spoglądał na przesłoniętą kurtyną deszczu ścianę dżungli, znacznie ciemniejszą od nieba, po którym wiatr gnał burzowe chmury. Wkrótce ulewa powinna ustać, nazajutrz z samego rana znowu zaświeci słońce, woda zaś zacznie błyskawicznie parować, by za jakiś czas znowu powrócić na ziemię w postaci deszczu.

„Naturalny obieg wody w przyrodzie”, usłyszał, kiedy jako mały chłopiec zwrócił się do nauczyciela z prośbą o wyjaśnienie tego fenomenu. Teraz, przypomniawszy sobie te słowa, uśmiechnął się do siebie.

Na razie jednak deszcz lał jak z cebra. W głębi domu rozległy się ciężkie kroki, chwilę później zaś na werandzie pojawił się Kruger z papierosem w ustach. Podwinąwszy rękawy szarego, luźnego swetra - miał umięśnione przedramiona, porośnięte gęstwiną czarnych włosów - odgarnął włosy z czoła, po czym usiadł w wiklinowym fotelu po drugiej stronie stolika.

- Zostaw nas samych, Emilio - zwrócił się gospodarz do chłopca łagodnym, niemal pieszczotliwym tonem.

Na twarzy dziecka pojawił się szeroki uśmiech.

- Si, señor.

Kiedy chłopiec odszedł, mężczyzna podniósł do ust filiżankę, wypił łyk zimnego, orzeźwiającego napoju, po czym spojrzał badawczo na Krugera, jakby zastanawiając się, czy wiklinowy fotel nie rozpadnie się pod jego ciężarem. Na środku stołu wylądowała ćma i rozpoczęła powolną wędrówkę ku krawędzi; Kruger zgonił ją niecierpliwym ruchem ręki.

- Udało ci się połączyć z Franzem? Kruger skinął głową.

- Nie ma powodu do obaw.

- Jesteś pewien, Hans?

- Dziennikarz pracował w pojedynkę. To nie ulega najmniejszych wątpliwości.

- A co z taśmą?

Kruger zaciągnął się głęboko, wypuścił przez nos obłok błękitnego dymu.

- Czysta. Kazałem Franzowi sprawdzić sprzęt; okazało się, że mikrofon jest uszkodzony. Działa, ale bardzo słabo, więc mógł wychwycić tylko głośną rozmowę prowadzoną w odległości metra, najwyżej półtora, ale nawet z tego nic nie wyszło.

- Na pewno?

- Na pewno. Ludzie Franza znają się na rzeczy. Ich zdaniem taki czuły sprzęt może bardzo łatwo ulec uszkodzeniu. Naturalnie Franz pozbył się go, jak tylko skończyli badania.

Człowiek o włosach barwy srebra westchnął z ulgą. Ponownie zbliżył filiżankę do ust, lecz tym razem trzymał ją oburącz, obejmując porcelanowe naczynie długimi, szczupłymi palcami o zadbanych paznokciach, a następnie skierował spojrzenie w stronę odległego o kilkadziesiąt metrów skraju dżungli.

- Czy wszystko zostało przygotowane do wyjazdu?

- Śmigłowiec przyleci o dziewiątej. Jak tylko dotrzemy do Mexico City, Konrad zabierze nas do domu Haldera.

Człowiek w płóciennej marynarce zdawał się nad czymś głęboko zastanawiać.

- Mimo wszystko chcę, żebyście prześwietlili tego nieboszczyka - powiedział wreszcie, przerywając milczenie. - Ale z zachowaniem maksymalnej dyskrecji. Przekaż to Franzowi. I nie chcę słyszeć o żadnych wpadkach. To, co wydarzyło się w hotelu, nie może się powtórzyć. Nie potrzebujemy kłopotów.

Choć wypowiedział te słowa spokojnym, wręcz łagodnym głosem, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż stanowią one poważne ostrzeżenie.

Kruger skinął głową. Otwierał już usta, aby zapewnić starszego mężczyznę, że o żadnych wpadkach nie ma mowy, ponieważ ludzie Franza wzmogli czujność i dokładnie zbadali teren, ale okazało się, że jego rozmówca nie skończył jeszcze wypowiedzi, więc Kruger zrezygnował z zamiaru i słuchał w milczeniu.

- Przed odlotem trzeba zniszczyć wszystko, czego nie zabierzemy. Nie możemy zostawić żadnego śladu. Żadnego, rozumiesz? To miejsce ma wyglądać tak,

jakby nas tu nigdy nie było, jakbyśmy w ogóle nie istnieli. Ty się tym zajmiesz, Hans.

Barczysty mężczyzna ponownie skinął głową.

- To wszystko, Hans. Dziękuję ci, możesz odejść. Kruger wstał z fotela i bez słowa opuścił werandę. Któraś z desek z głośnym skrzypnięciem ugięła się pod jego ciężarem.

Człowiek o srebrzystych włosach odprowadził go spojrzeniem, potem zaś bardzo długo wpatrywał się w przesłoniętą strugami deszczu ścianę dżungli. Wreszcie, jakby z ociąganiem, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, otworzył go i wydobyl z przegródki niezbyt wyraźną, ziarnistą, czarnobiałą fotografię przedstawiającą młodą jasnowłosą kobietę oraz ciemnowłosego mężczyznę.

Wkrótce potem zjawili się dwaj chłopcy: Emilio wziął ze stołu tacę z opróżnioną filiżanką i wraz z Lopezem stanął tuż przy fotelu; mężczyzna obdarzył obu chłopców serdecznym uśmiechem. Obaj najpierw spojrzeli na fotografię, następnie zaś unieśli ku niemu twarze, na których malowało się bezgraniczne oddanie.

Mężczyzna pogłaskał ich po głowach, ruchem głowy wskazał zdjęcie i zapytał po hiszpańsku:

- Chcecie jeszcze raz usłyszeć tę historię?

Pokiwali z zapalem głowami, wpatrując się w łagodne błękitne oczy.

Mężczyzna o srebrzystych włosach starannie schował zdjęcie do portfela, wsunął go do kieszeni, po czym zaczął opowieść.

Rozdział 12

Asunción poniedziałek, 5 grudnia

Detektyw, który powitał na lotnisku w Asunción Josepha Volkmana i Erikę Kranz, miał na sobie wymięty biały garnitur, sprawiający wrażenie stanowczo zbyt obszernego nawet dla tak otyłego mężczyzny. Nalana, szeroka twarz wyglądała jak

gumowa maska, mocno podkrążone oczy świadczyły albo o niewyspaniu, albo o zmęczeniu ich posiadacza. Paragwajczyk mówił dość biegle po angielsku, od czasu do czasu błyskając którymś ze swych złotych zębów. Przedstawił się jako kapitan Vellares Sanchez, zaprowadził Josepha i Erikę do nie oznakowanego samochodu policyjnego, po czym zawiózł do centrum.

Zaraz po wyjściu z samolotu poczuli się tak, jakby wrzucono ich do rozpalonego pieca: było gorąco, sucho i zupełnie bezwietrznie. Na południowej półkuli właśnie kończyła się wiosna, o czym świadczyły obsypane kwiatami krzewy i drzewa rosnące po obu stronach ulicy. Pióropusze licznych palm zwisały smętnie w nieruchomym powietrzu.

Volkmann siedział obok dziewczyny, na tylnej kanapie. Wszystkie szyby były opuszczone, lecz upał w dalszym ciągu dawał się mocno we znaki. Otyły policjant co chwila ocierał twarz chusteczką. Jak tylko wsiedli do samochodu, zapytał uprzejmie, czy mieli dobrą podróż, po czym umilkł, ograniczając się do głośnego sapania i okazjonalnych westchnień.

Miasto, przez które jechali, stanowiło oszałamiającą mieszaninę niezliczonych barw i dźwięków, starego i nowego. Dziewiętnastowieczne budynki o ozdobnych fasadach oraz rozpadające się baraki z kartonu i blachy falistej sąsiadowały z nowoczesnymi biurowcami i domami mieszkalnymi. Głównymi ulicami dostojnie sunęły archaiczne żółte trolejbusy, a na prawie każdym skrzyżowaniu Indianki w kolorowych strojach sprzedawały warzywa, owoce lub kwiaty.

Gabinet kapitana Sancheza znajdował się na trzecim piętrze Comisaria Centrico, czyli Komendy Głównej Policji, przy Calle Chile. Był to duszny, niewielki pokój; ze ścian płåtami odłaziła szara farba, w kącie stał wiekowy metalowy regał z segregatorami, pod sufitem obracał się leniwie elektryczny wentylator. Na ścianie przy drzwiach wisiała laminowana mapa Ameryki Południowej, niegdyś zapewne błyszcząca, teraz pokryta żółtawym osadem nikotyny.

Młody funkcjonariusz przyniósł na tacy kubki z mocną, aromatyczną paragwajską herbatą.

- To yerba maté - wyjaśnił Sanchez. - Był pan już kiedyś w Paragwaju, señor Volkmann?

- Nie.

- Trzeba przyzwyczać się do jej smaku, ale w taki gorący dzień gasi pragnienie lepiej niż piwo.

Sanchez rozluźnił krawat i zdjął marynarkę; zaczął aż jego podwładny wyjdzie z pokoju, po czym otworzył zamkniętą na klucz szufladę biurka i wyjął z niej dwie teczki: własną oraz dostarczoną przez seguridad, z raportem przekazanym przez zwierzchników Volkmana. Zapoznał się z nimi wczoraj rano, następnie zaś kazał ludziom z wydziału sprawdzić zawarte w raporcie informacje.

Uśmiechnął się do dziewczyny. Hernandez miał rację, zachwalając jej urodę. Istotnie trudno było oderwać od niej wzrok: wspaniała figura, długie nogi... Dokładnie to, co lubią mężczyźni. Właśnie takie piękności można podziwiać na lśniących okładkach amerykańskich pism zawierających plotki ze świata showbusinessu.

Z trudem skierował myśli ku innym sprawom, otworzył obie teczki i spojrzał na Volkmana. Młody mężczyzna mógł być gliną, jak on, lecz Sanchez zdawał sobie sprawę, że jest kimś więcej. Gdyby był zwykłym policjantem, jego, Sancheza, z pewnością nie nęcano by przez cały wczorajszy dzień telefonami z seguridad ani nie dostarczono by tak szybko z Europy kompletnego, starannie przetłumaczonego raportu. Polecenia zwierzchników były jasne: gringo ma uzyskać nieograniczony dostęp do wszystkich dokumentów i materiałów dowodowych. Zapytali nawet, czy będzie potrzebny tłumacz.

Sanchez odparł, że sam da sobie radę. Ucieszył się nawet, bowiem niespodziewanie nadarzyła się okazja, by podszkolić się w angielskim. Teraz, spoglądając na siedzącego naprzeciwko niego Volkmana zastanawiał się, zresztą nie po raz pierwszy, dlaczego ta dwójka przyleciała razem do Asunción oraz jaki związek mogły mieć ze sobą zabójstwa Rodrigueza, Hernandeza i dziewczyny z La Chacarity.

Spojrzał na rozłożone przed nim materiały, choć nie musiał ich czytać, ponieważ znał je już prawie na pamięć. Wielokrotnie przeglądał zawartość obu teczek, licząc na to, że trafi na ślad, który być może przybliży go do rozwiązania tajemnicy. Na biurku leżała także mapa Asunción z zaznaczonym czerwonym flamastrem miejscem, gdzie popełniono podwójne morderstwo. Sanchez odsunął teczkę na bok, odwrócił mapę w taki sposób, żeby jego goście mogli ją dobrze zobaczyć, po czym odchrząknął, wskazał czerwone kółko i powiedział, starannie wymawiając każde słowo:

- Dwudziestego szóstego listopada, wczesnie rano, znaleźliśmy ciała właśnie tutaj, w domu w dzielnicy La Chacarita, w pobliżu rzeki i dworca kolejowego. Przed domem stał samochód Rudiego. Kluczyki leżały w trawie obok, jakby ktoś je wyrzucił albo zgubił.

Kapitan umilkł na chwilę, Volkmann zaś skorzystał z okazji, by zadać pytanie.

- Do kogo należy dom?

- To właściwie rozsypująca się rudera. Mieszkała tam dziewczyna, którą zamordowano razem z Rudim Hernandezem, trochę opóźniona w rozwoju. Nazywała się Graciella Campos, miała siedemnaście lat. Żadnych krewnych. Naturalnie nie była właścicielką domu, tylko lokatorką.

- Czy... Czy ona знаła Rudiego? - zapytała Erika, wpatrując się z napięciem w twarz Sancheza.

- Si. Z tego co wiem, dawał jej pieniądze na czynsz, ubranie i jedzenie. Proszę tego źle nie zrozumieć: robił to tylko dlatego, że ją lubił. Byli przyjaciółmi.

Sanchez umilkł na chwilę, zastanawiając się, czy został właściwie zrozumiany. Na szczęście zarówno Volkmann, jak i Erika Kranz skinęli głowami, choć twarz dziewczyny była blada jak papier, z pewnością nie z powodu upału.

- Oboje zginęli od ciosów nożem - ciągnął kapitan. - Ciała znalazł pewien stary pijaczyna, który zawsze sypia w tej uliczce. Dziewczyna zazwyczaj częstowała go rano gorącą herbatą. Nie reagowała na pukanie, więc nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł do środka, zobaczył dwa trupy, przestraszył się i pobiegł do

księdza, a ten wezwał policję.

- Od jak dawna nie żyli? - spytał Volkmann.

- Od czterech, może pięciu godzin.

Sanchez wyjął z teczki kilka policyjnych fotografii i podał je Volkmannowi w taki sposób, żeby dziewczyna nie zobaczyła ani jednej z nich.

- Proszę mi wybaczyć, señorita - powiedział, spoglądając na Erikę. - Tak będzie lepiej. To naprawdę niezbyt przyjemny widok.

Odwróciła się z wyrazem cierpienia na twarzy. Kiedy wysiadali z samochodu przed komendą policji, kapitan zapytał po cichu Volkmana, czy może swobodnie mówić przy dziewczynie, ten zaś zapewnił go, że jak najbardziej, ale przecież zdjęcia to coś zupełnie innego.

Fotografie były kolorowe, co czyniło je jeszcze bardziej makabrycznymi. Volkmann przyglądał się im uważnie. Na dwóch widniało ciało Hernandeza, na dwóch zwłoki dziewczyny, jedna zaś przedstawiała oba trupy leżące blisko siebie na podłodze twarzami do góry. Dziewczyna miała zamknięte oczy, jakby spokojnie ułożyła się do snu, ale wystarczyło opuścić wzrok nieco niżej, by złudzenie natychmiast prysło. Zginęła od ciosu nożem, który rozplątał ją od mostka aż do krocza, odsłaniając wnętrzności. Prosta biała sukienka, którą miała na sobie, została brutalnie podarta i była przesiąknięta krwią.

Rudiego Hernandeza spotkał niemal identyczny los. Ze względu na Erikę Joseph starał się zachować kamienny wyraz twarzy, ale udało mu się to tylko z najwyższym trudem. Dziennikarz także miał rozpruty brzuch, z którego częściowo wypadły zwoje zakrwawionych wnętrzności.

Volkmann zwrócił zdjęcia kapitanowi, ten zaś pospiesznie schował je do teczki i ponownie spojrzał na dziewczynę; dzielnie walczyła z napływającymi do oczu łzami, lecz jej twarz wykrzywił grymas rozpacz i cierpienia.

- Señor Sanchez, czy autopsja pozwoliła ustalić jakieś szczegóły zabójstwa?

Sanchez przez chwilę wpatrywał się w Volkmana pustym spojrzeniem; z kłopotu wybawiła go Erika, która zorientowała się, że kapitan nie zrozumiał pytania

i szybko przetłumaczyła je na hiszpański. Vellares uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

- Znakomicie mówi pani po hiszpańsku, señorita.

- Urodziłam się w Buenos Aires.

Sanchez skinął głową. Wiedział o tym od Hernandeza. Ponownie spojrzął na Volkmana, po czym powiedział:

- Podczas... eee... autopsji stwierdzono, że morderstw dokonano dwoma różnymi nożami. Ten, którym ugodzono Rudiego, był wyjątkowo duży. Przepuszczalnie nóż myśliwski z piłą po jednej strome ostrza. Na miejscu zdarzenia nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców, tylko trochę zamazanych śladów butów, ale wątpię, żeby nam to w czymkolwiek pomogło. Liczne siniaki na ciałach obu ofiar świadczą o tym, że napastników było co najmniej kilku, co nie zmienia faktu, iż postępowali bardzo ostrożnie, pamiętając o tym, by nie zostawić po sobie żadnych pamiątek, które ułatwiłyby nam zadanie. Na domiar złego nóż to nie pistolet ani rewolwer; dużo trudniej jest stwierdzić, czy użyto go do popełnienia przestępstwa. Na wszelki wypadek moi ludzie przeszukali okolicę, ale nie znaleźli niczego, co mogło mieć jakikolwiek związek z tą sprawą.

Kapitan zauważył, że przez twarz dziewczyny przemknął bolesny grymas, i umilkł, zastanawiając się, czy słusznie czyni, wdając się przy niej w tak nieprzyjemne szczegóły. Aby zyskać na czasie wypił łyk gorącej, aromatycznej yerba mate, i odstawił kubek. Goście nie poszli za jego przykładem. Powinienem być zaproponować im colę, pomyślał. Chyba nie mieści im się w głowie, że w taki upał można pić coś gorącego.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podsunął ją najpierw Erice, potem Volkmannowi, lecz oboje odmówili. Zapalił więc sam.

Dziewczyna zaczekała, aż kapitan wypuści pierwszy kłęb dymu, po czym pochyliła się do przodu na krześle i zapytała z napięciem w głosie:

- A co ze świadkami? Przecież dom nie stoi na odludziu. Ktoś musiał coś słyszeć albo widzieć!

Sanchez zaciągnął się po raz kolejny i pokręcił głową.

- Staruszek, który znalazł ciała, twierdzi, że nic nie słyszał ani nie zauważył niczego podejrzanego, bo był zupełnie pijany. Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć. Rozmawiałem też z bliższymi i dalszymi sąsiadami, ale z nimi sprawa wygląda dokładnie tak samo. Proszę mi wierzyć: gdyby coś wiedzieli, na pewno by tego nie ukrywali. Śmierć dziewczyny stanowiła dla nich wielki szok. Jacyś staruszkowie, którzy codziennie grają w karty, widzieli jak Rudi przyjechał do niej o wpół do ósmej wieczorem. Nie zauważyli, żeby potem wychodził z domu. Z kolei pewien człowiek, który zazwyczaj spędza noce pod gołym niebem, twierdzi, że nad ranem, kiedy było jeszcze ciemno, ulicą biegnącą wzdłuż rzeki przejechał powoli jakiś samochód, ale to przecież nic nadzwyczajnego. Poza tym, nie jest nawet w stanie powiedzieć, która mogła być wtedy godzina. - Sanchez umilkł na chwilę, zawahał się, po czym dodał niezbyt pewnym tonem: - Uzyskaliśmy tylko jedną informację, która ewentualnie może stanowić punkt zaczepienia, ale na razie nie wiemy jeszcze, co z nią zrobić.

Volkman i Erika skierowali na niego zaintrygowane spojrzenia, lecz minęło kilkanaście sekund, zanim kapitan zdecydował się kontynuować relację.

- Nazajutrz po zabójstwie Rudiego i dziewczyny „La Tarde” opublikowała obszerny artykuł na ten temat. Na pierwszej stronie zamieścili duże zdjęcia obojga zamordowanych. Jakiś czas potem zgłosił się do nas nocny strażnik z dworca kolejowego w La Chacaricie i powiedział, że tej nocy, kiedy popełniono zbrodnię, a konkretnie około trzeciej nad ranem, boczną bramą wszedł na teren stacji człowiek bardzo podobny do Rudiego. To znaczy, wydaje mu się, że to był ktoś podobny, ale nie może dać za to głowy, bo był po dwunastogodzinnej służbie i mogło mu się coś pomylić. - Sanchez wzruszył ramionami. - Tak więc co do tego też nie możemy mieć pewności. Może Rudi był na stacji, a może nie był. Może uznał, że jemu i dziewczynie grozi niebezpieczeństwo i postanowił wyjechać z miasta? Tak pomyślałem w pierwszej chwili, ale potem przypomniałem sobie, że o tej porze kasy są nieczynne. Więc to chyba nie był on, choć nie sposób wykluczyć, że strażnik

jednak ma rację i rzeczywiście widział Rudiego, który nie mógł zasnąć i wyszedł na spacer, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. - Kapitan spojrzał Volkmanowi prosto w oczy. - Naturalnie w świetle raportu, który nam przysłaliście, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Teraz, kiedy wiem nad czym pracował Rudi... Poza tym są jeszcze dwie dość istotne sprawy.

Otyły detektyw strząsnął popiół do pękniętej szklanej popielniczki i odchrząknął, zakrywając usta dłonią.

- Po pierwsze, zniknęła legitymacja prasowa Rudiego, a wraz z nią jego portfel, lecz w kieszeniach zostało sporo pieniędzy. Żaden majątek, ale ktoś, kto zabiłby z chęci zysku, na pewno nie pogardziłby takim łupem, podobnie jak złotym zegarkiem i sygnetem, które także znaleźliśmy przy zwłokach.

Volkmann wziął do ręki kubek, ostrożnie umoczył usta w gorącym, ciepłym płynie, po czym mruknął:

- Z tego wynika, że morderstwa nie popełniono w celach rabunkowych.

- Si. Moim zdaniem tego motywu możemy w ogóle nie brać pod uwagę. Sekcja zwłok wykazała także, że dziewczyna nie została zgwałcona, więc odpada kolejny powód. Z pańskiego raportu wynika jasno, że motywu trzeba szukać zupełnie gdzie indziej. Zwykły bandyta z pewnością zabrałby pieniądze i złoto, chyba że ktoś by go spłoszył, a tutaj nic takiego nie miało miejsca, ponieważ ciała znaleziono dopiero rankiem, kilka godzin po morderstwie. Weźmy też pod uwagę sposób, w jaki go dokonano; to nie było zwyczajne zabójstwo. Trzeba być szaleńcem albo kimś ogarniętym ogromną nienawiścią, żeby z zimną krwią zaszlachtować dwoje ludzi. Tak, to z pewnością nie był zwykły napad rabunkowy. Dowiedzieliśmy się też, że Rudi pożyczył od przyjaciela skomplikowany specjalistyczny sprzęt. Ten przyjaciel nazywa się Torres i pracuje w firmie elektronicznej. Kiedy Rudi w uzgodnionym czasie nie zwrócił sprzętu, Torres zadzwonił do redakcji, żeby zapytać, co się z nim dzieje, a dowiedziawszy się, że Rudi został zamordowany, natychmiast zgłosił się do nas.

- Co to był za sprzęt? - zapytał Volkmann, nie spuszczać uważnego

spojrzenia z twarzy oficera.

Sanchez wydmuchnął kłęb szaroniebieskiego dymu.

- Elektroniczny bezprzewodowy zestaw do prowadzenia podsłuchu. Japoński, bardzo skomplikowany i bardzo drogi. Składa się z miniaturowego mikrofonu pełniącego jednocześnie funkcję nadajnika oraz odbiornika połączonego z wolnoobrotowym magnetofonem. Z pewnością zna pan te cudenka, señor. Rudi pożyczył zestaw dwa dni przed śmiercią. Naturalnie przesłuchaliśmy tego Torresa. Powiedział nam, że zapytał Rudiego, po co mu taki skomplikowany sprzęt, a ten odparł, że potrzebuje go do trabajo clandestino... Do przeprowadzenia tajnej operacji.

Kapitan zerknął na dziewczynę, aby upewnić się, że właściwie przetłumaczył hiszpański termin i że został dobrze zrozumiany, po czym znowu spojrzał na Volkmana.

- Nie powiedział nic więcej?

- Niestety nie. Ani gdzie ma zamiar przeprowadzić tę swoją „tajną operację”, ani w jaki sposób. Tylko tyle, że zwróci wszystko za trzy dni. Jak do tej pory nie znaleźliśmy tego sprzętu. Nie było go ani w domu dziewczyny, ani w mieszkaniu Rudiego, ani w jego samochodzie. Możliwe, że został tam, gdzie Rudi go wykorzystał, jeżeli w ogóle zdążył zrobić z niego użytek. Albo wpadł w ręce morderców. - Sanchez przez chwilę z namysłem skubał obwisły podbródek. - Jestem prawie pewien, że Rudi planował swoją „operację” na dzień, albo noc przed tym, jak został zamordowany. - Postukał palcem w teczkę leżącą przed nim na biurku. - W pańskim raporcie jest mowa o ludziach, którzy zatrudnili Rodrigueza. Może Rudi chciał zdobyć potajemnie jakieś informacje na ich temat, a oni zdemaskowali go i zabili? Dziewczynę też, bo myśleli, że jest jego współniczką. Kto wie, może istotnie mu pomagała, choć ja osobiście przypuszczam, że zabili ją po to, by ich nie rozpoznała. Naturalnie to tylko moja... eee... teoria, ale chyba przyzna pan, że ma ręce i nogi?

Volkmann skinął głową i zapytał:

- Co może pan nam powiedzieć o Rodriguezie? Kapitan odchylił się do tyłu

razem z krzesłem.

- Noberto Rodriguez był przemytnikiem. Jego ciało znaleziono dwa tygodnie temu w centrum miasta. Sekcja zwłok wykazała, że został potrącony przez samochód. Kierowca uciekł z miejsca wypadku, nie zgłosili się żadni świadkowie. Uznaliśmy, że to zwykły wypadek, bo nasi informatorzy nie donieśli nam o żadnych plotkach dotyczących porachunków w światku przestępczym, których ofiarą mógłby paść Rodriguez, ale z pańskiego raportu wynika, że należy brać pod uwagę jeszcze jedną możliwość. Kto wie, czy nie zabili go ci, dla których pracował.

- Na czym konkretnie polegała jego praca?

- Był pośrednikiem, którego zadaniem było dostarczyć towar od dostawcy do odbiorcy. Latał DC 4, które dawno temu kupił za psie pieniądze. Najczęściej odbywał kursy do Montevideo w Urugwaju i Porto Alegre w Brazylii, skąd towar był przetrzucany drogą morską do Europy.

- Narkotyki? Sanchez skinał głową.

- Si, oczywiście. A oprócz tego wszystko, na czym można dobrze zarobić. Złoto. Kamienie szlachetne. Skóry dzikich zwierząt. Rodriguez należał do najlepszych w swoim fachu. Był naprawdę bardzo dobry. - Kapitan pozwolił sobie na krótkotrwały uśmiech. - Tak dobry, że nigdy nie udało nam się złapać go na gorącym uczynku.

Volkman rozluźnił krawat. Mimo działającego wentylatora upał w niewielkim pomieszczeniu był nie do zniesienia. Ostrożnie napił się herbaty; teraz, kiedy nieco wystygła, jej cierpki smak stał się jakby trochę łagodniejszy.

- Rozmawiał pan z jego przyjaciółmi, współnikami albo tymi, którzy go wynajmowali?

- Rodriguez nie miał przyjaciół, pracował najczęściej sam, a jeśli chodzi o jego chlebodawców, to nikomu nie wyjawiał ich nazwisk. Gdyby to zrobił, zginąłby już dawno temu. - Sanchez umilkł na chwilę i poskrobał się po głowie. - Jest jednak pewien człowiek, którego czasem brał do pomocy. Nazywa się Santander i także trudni się przemytem. Szukamy go, ale na razie bez powodzenia. - Kapitan wzruszył

ramionami. - Poza tym, nawet jeśli go znajdziemy, najprawdopodobniej okaże się, że o niczym nie wie. Rodriguez nie należał do ludzi, którzy na prawo i lewo rozprowadzają o swoich sprawach.

- Widział się pan z kolegami Rudiego z gazety? - zapytała Erika. - Może któremuś z nich wspomniał cokolwiek o swoich planach?

Kapitan Sanchez bezradnie rozłożył ręce.

- Żaden z nich nie znał szczegółów sprawy, nad którą pracował Rudi. Przeszukaliśmy jego biurko i szafkę, podobnie jak mieszkanie, ale nie znaleźliśmy nic interesującego, żadnych zdjęć, notatek, planów... Po prostu nic.

- Rudi wspomniał, że wszystkie materiały ukrył w bezpiecznym miejscu...

Sanchez zerknął spod oka na Volkmana, by zaraz ponownie skierować spojrzenie na dziewczynę.

- Si, señorita. Wyczytałem to w waszym raporcie. Wczoraj obdzwoniłem wszystkie banki w Asunción i ustaliłem, że w jednym z nich Rudi miał konto, ale nie skrytkę. Teraz na wszelki wypadek sprawdzamy banki w innych miastach, ale to musi trochę potrwać. - Wpatrywał się Erika prosto w oczy. - Co prawda wiem to już z raportu, ale muszę zapytać osobiście: Czy Rudi dał pani w jakikolwiek sposób do zrozumienia, czego dotyczą gromadzone przez niego dowody i informacje?

- Nie.

- A może z jakiejś jego wypowiedzi dałoby się wywnioskować, gdzie znajduje się to „bezpieczne miejsce”?

Erika pokręciła głową.

- Powiedział tylko tyle, że na razie nie ma tego dużo, ale wszystko ukrył w bezpiecznym miejscu. Użył dokładnie tego określenia: bezpieczne miejsce.

- Jak wyglądał mężczyzna na zdjęciu, które pani pokazała? Może go pani opisać?

Dziewczyna przygryzła wargę i przez dłuższą chwilę myślała intensywnie.

- Zdjęcie zostało zrobione ze sporej odległości i nie było zbyt wyraźne... Stary, co najmniej siedemdziesiąt lat, może nawet więcej. Bardzo szczupły. To wszystko, co

pamiętam.

Oficer skinął głową.

- Powiem moim ludziom, żeby w bankach pokazywali też fotografię Rudiego na wypadek, gdyby posługiwał się innym nazwiskiem. Może powiedział coś jeszcze? Proszę się skupić; każdy, nawet najmniejszy szczegół może okazać się niezwykle ważny.

- Przykro mi, ale to naprawdę wszystko.

Sanchez opuścił wzrok na teczkę zawierającą przetłumaczony raport Volkmana i przez kilka sekund wpatrywał się w nią pośpiesznie. Co prawda nadal miał wrażenie, że błąka się po omacku w ciemności, ale dzięki temu dokumentowi w nieprzeniknionym do tej pory mroku pojawił się promyk światła. Gdyby nie ci gringos, nigdy nie dowiedziałby się o obserwowanym potajemnie przez Rodrigueza i Hernandezza mieszkańcu luksusowej rezydencji. Nie ulegało wątpliwości, iż należy podążać właśnie tym tropem.

Ponownie spojrzał na dziewczynę.

- A co z tą willą? Czy Rudi nie wspomniał, w której części Asunción należy jej szukać?

- Niestety nie.

- Czy dobrze zapamiętała pani fotografię? Gdzie ją zrobiono?

- W jakimś parku, może w ogrodzie... Nie jestem pewna.

- Co było w tle?

Erika zmarszczyła brwi, wytyżając pamięć, ale po chwili bezradnie wzruszyła ramionami.

- Naprawdę niewiem. Chyba drzewa i kwiaty, ale nie jestem pewna.

Sanchez ponownie skinął głową, spojrzał na zegarek, po czym zdusił w popielniczce niedopałek papierosa. W pokoju zapadła cisza. Zadano już wszystkie pytania, padły wszystkie odpowiedzi, jakie można było uzyskać. Teraz należało spokojnie czekać na rezultaty poszukiwań.

Kapitan zamknął teczkę i wykonał ruch, jakby miał zamiar podnieść się z

krzesła, lecz w ostatniej chwili zawahał się i niepewnie spojrzął na Erikę.

- Zdaje się, że rodzice Rudiego nie żyją, sil

- Owszem.

- W takim razie, jego rzeczy...

Nie dokończył zdania, ale z ulgą stwierdził, że dziewczyna zrozumiała, co miał na myśli. Otworzył szufladę biurka, z szarej koperty wyjął spięte metalowym kółkiem klucze i wręczył je Ericie.

- To klucze od jego mieszkania - wyjaśnił. - Na wypadek, gdyby chciała pani coś stamtąd zabrać, jakieś pamiątki albo rzeczy osobiste... Ja mam drugi komplet.

- Dziękuję panu.

Sanchez odchrząknął, dźwignął z krzesła swoje otyłe ciało, zdjął marynarkę z wieszaka.

- Teraz zawiozę was do hotelu, ale najpierw chciałbym zamienić z señorem Volkmanem kilka słów na osobności. - Popatrzył przeproszająco na dziewczynę. - Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu? To sprawy służbowe, zanudzilibyśmy panią na śmierć.

Erika skinęła głową i bez słowa wyszła na korytarz. Sanchez zaczekał, aż za dziewczyną zamkną się drzwi, po czym zwrócił się do Volkmana:

- W naszym kraju tajna policja, seguridad, gromadzi materiały dotyczące niektórych obywateli. Rudi Hernandez był dziennikarzem, a dziennikarze są szczególnie interesujący, jeśli można tak powiedzieć. Sam pan rozumie: często podróżują, kontaktują się z mnóstwem ludzi, sporo wiedzą...

Podszedł do biurka, wyjął z dolnej szuflady jeszcze jedną teczkę i wręczył ją Volkmannowi.

- Oto kopia jego dossier. Nie jest tego wiele, bo z Hernandezem nigdy nie było żadnych kłopotów, ale nawet to powinno pozwolić panu lepiej go poznać i zrozumieć.

Joseph bez słowa wziął teczkę od kapitana, ten zaś dodał:

- Jeśli chodzi o tego Wintera, którego mieliśmy sprawdzić na pańską prośbę...

Moi ludzie skontaktowali się z urzędem imigracyjnym. Dam panu znać, jak tylko się czegoś dowiemy. - Założył marynarkę. - Czy w pańskim raporcie było wszystko, co wiecie o tej sprawie?

- Wszystko - odparł Volkmann. - Przesłano panu zdjęcie Wintera?

- Si. Mam je tutaj.

Wyjął z teczki przesłaną faksem fotografię młodego jasnowłosego mężczyzny o wyrazistych rysach twarzy i wąskich ustach, przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, po czym powiedział:

- To chyba będzie bardzo trudna sprawa, señor Volkmann. Trudna i bardzo tajemnicza. Żal mi Rudiego, bo to był dobry człowiek. Daję panu słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by znaleźć jego zabójców.

- Byliście przyjaciółmi?

- Si. Od wielu lat.

- Czy ciała są jeszcze w kostnicy?

- Nie. Pogrzeby odbyły się trzy dni temu. Gdybym wiedział, że señorita wybiera się do Asunción, przesunąłbym pochówek na dziś albo na jutro, ale ciała były już dawno po sekcji, a w naszej policyjnej kostnicy jest bardzo mało miejsc. Jutro zawiozę señoritę na cmentarz. Może będzie chciała pomodlić się na grobie Rudiego. Umówiłem ją także na spotkanie z rysownikiem, żeby spróbowali sporządzić podobiznę tego starego człowieka z fotografii.

- Powiem jej o tym. Dziękuję panu.

- Pojedziemy też do domu dziewczyny, gdzie znaleziono ciała, a później porozmawiamy z Mendozą, redaktorem naczelnym gazety, w której pracował Rudi, i z Torresem. - Kapitan zapiął marynarkę na jeden guzik. - A teraz odwiozę was do hotelu. Gdzie macie zarezerwowane pokoje?

- W Excelsiorze.

- To dobry hotel - powiedział Sanchez.

Rozdział 13

Asunción

Volkmann i dziewczyna zameldowali się w hotelu Excelsior, zjedli późny obiad, potem zaś pojechali taksówką do mieszkania Rudiego Hernandeza.

Kiedy dotarli na miejsce, było już po siódmej i miasto spowijała ciemność. Joseph włączył światło w salonie, zaraz potem zaś uruchomił klimatyzator, ponieważ po upalnym dniu we wszystkich pomieszczeniach panował trudny do zniesienia zaduch.

Kuchnia, sypialnia, salon, mała łazienka - typowe kawalerskie mieszkanie, urządzone dość skromnie, ale z pewnością nie zaniedbane. Na biurku przy oknie stała stara maszyna do pisania, z boku regał z książkami, na ścianie wisiała rycina przedstawiająca starą, chyba jeszcze dziewiętnastowieczną lokomotywę, nieco niżej zaś duże, oprawione w ramki zdjęcie tłumy burzącego mur berliński w pobliżu Bramy Brandenburskiej, inne, mniejsze, wykonane nocą, z oświetloną reflektorami zburzoną katedrą, oraz kilka indiańskich płaskorzeźb. Na haku wkręconym w sufit bezpośrednio nad biurkiem wisiał duży elektryczny wentylator.

Na jednej z półek regału stało kilka małych zdjęć w srebrnych ramkach. Przypuszczalnie rodzina Hernandeza. Na jednym z nich mężczyzna o oliwkowej cerze i kruczoczarnych włosach uśmiechał się szeroko, obejmując jasnowłosą kobietę o poważnej, jakby zasmuconej twarzy. Volkmann dostrzegł także znacznie młodszą Erikę Kranz siedzącą w ogródku bawarskiej piwiarni; miała długie, rozpuszczone włosy, beztronski uśmiech na twarzy i kufel piwa w ręce, drugą ręką obejmowała zaś za szyję przystojnego, także uśmiechniętego młodzieńca.

Joseph ukradkiem zerknął na dziewczynę. Sprawiała wrażenie zmęczonej i przygnębionej. Wcale jej się nie dziwił. Siedmiogodzinna różnica czasu między Frankfurtem a Asuncion oraz długi lot zaczęły robić swoje, a na dodatek Erika musiała stawić czoło wspomnieniom, które z pewnością wywołał widok mieszkania Hernandeza. Wzięła do ręki jedną z fotografii, przez dłuższą chwilę wpatrywała się

w nią bez słowa, po czym odstawiła ją na półkę.

- Rudi? - zapytał Volkmann.

Spojrzała na niego, on zaś dostrzegł dwie łzy spływające powoli po jej policzkach.

- Tak.

Usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach, Volkmann natomiast kontynuował oględziny mieszkania. Policjanci, którzy byli tu wcześniej, zostawili w sypialni pootwierane szuflady oraz narobili bałaganu w szafie z ubraniami. W kuchni, w otwartym na oścież kredensie, znalazł pustą butelkę po whisky, pełną, jeszcze nie otwartą, wódki, oraz trochę soków i napojów gazowanych.

Wróciwszy do pokoju, zastał dziewczynę przy oknie. Spoglądała na panoramę miasta roziskrzonego tysiącami świateł oraz na rzekę Paragwaj, po której sunęły dziesiątki mniejszych i większych łodzi, nie zważając na gęstniejącą z każdą chwilą ciemność.

Podszedł do niej, a ona odwróciła się, podniosła ku niemu zapłakaną twarz i przytuliła głowę do jego piersi. Objął ją delikatnie, gładził po włosach, szeptał uspokajające słowa, aż wreszcie przestała szlochać, chwilę potem zaś powoli odsunęła się od niego.

- Przepraszam... Przypomniałam sobie naraz tyle rzeczy. Przecież jeszcze niedawno mieszkałam tu z Rudim, a on już nie żyje, i do tego zginął w tak okropny sposób...

- To był ciężki dzień. Może zrobię nam obojgu po drinku? Dziewczyna skinęła głową, więc Volkmann odwrócił się i poszedł do kuchni.

Wódka, butelki z napojami oraz miska z lodem stały na stoliku do kawy. Na czole Eriki pojawiły się drobne kropelki potu. Dziewczyna zdjęła pantofle, by dać odpocząć zmęczonym stopom, Joseph zaś, choć bardzo się starał, nie mógł się powstrzymać przed rzucaniem ukradkowych spojrzeń na długie, smukłe nogi. Nie ulegało wątpliwości, że Erika Kranz coraz bardziej pociąga go fizycznie, bowiem siedząc naprzeciwko niej stwierdził po pewnym czasie, iż coraz częściej zerka nie

tylko na nogi, ale także na jędrne piersi łagodnie zarysowane pod cienką bluzką, pełne biodra oraz na odsłonięte ramiona, niemal tej samej barwy co ramiona dziewcząt, które widział na ulicach miasta.

Z trudem odepchnął cisnące mu się do głowy, natrętne myśli.

- Proszę opowiedzieć mi o Rudim.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Wszystko, co pani uzna za stosowne mi przekazać. Na twarzy Eriki ponownie pojawił się grymas bólu.

- Był dobrym, życzliwym człowiekiem, a do tego znakomitym dziennikarzem. Kochał życie i nawet w najtrudniejszych chwilach starał się dostrzec jego jasne strony. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Naprawdę nie wiem, co jeszcze mogłabym panu powiedzieć.

Policyjnateczka, którą wręczył mu Sanchez, także nie zawierała zbyt wielu informacji. Na dwóch zapisanych po angielsku przebitkach - należało przypuszczać, że tłumaczenia dokonano specjalnie na jego użytek - znajdowały się podstawowe dane osobowe: data i miejsce urodzenia, stan cywilny, przekonania polityczne, trochę szczegółów o rodzinie. Josephowi zależało na czymś więcej. Chciał usłyszeć od dziewczyny subiektywną, bardzo osobistą wersję życiorysu Hernandeza, wydobyć z niej co się da, także te tajemnice, które mężczyzna zazwyczaj chowa głęboko w duszy, a jeśli już dzieli się nimi z kimś, to tylko z kobietą. Może tam znajdzie się jakaś wskazówka, która spełni rolę światełka w ciemnym tunelu?

Poczęstował dziewczynę papierosem, podał jej ogień, sam także zapalił.

- Może zaczniemy od jego pochodzenia.

- Ma pan na myśli rodzinę?

- Tak jest.

Erika przez jakiś czas w milczeniu wpatrywała się w szklaneczkę z drinkiem, po czym nagle podniosła głowę i zaczęła mówić:

- Moja matka i matka Rudiego były przyrodnimi siostrami. Po wojnie, jeszcze jako małe dziewczynki, wraz z rodzicami przyjechały do Argentyny. Wiele lat

później matka Rudiego poznała Paragwajczyka studiującego biologię na uniwersytecie w Buenos Aires. Jak tylko skończył studia, pobrali się i zamieszkali w Asunción, gdzie przyszedł na świat Rudi. Był ich jedynym dzieckiem. - Dziewczyna spojrzała na półkę z fotografiami. - Rudi ogromnie przypominał ojca. Traktował życie jak wielką przygodę. Jego matka była znacznie poważniejsza, przypuszczalnie dlatego, że nigdy nie zaznała prawdziwego szczęścia.

Volkman także popatrzył na zdjęcie jasnowłosej kobiety. Ładna, pomyślał, ale smutna.

- Dlaczego? - zapytał.

Erika odgarnęła z czoła niesforny kosmyk i odwróciła się w stronę Josepha.

- Moja matka opowiedziała mi kiedyś o pewnym zdarzeniu. Podczas wojny razem z przyrodnią siostrą mieszkała w Hamburgu. Miasto było wielokrotnie bombardowane, aż wreszcie nadeszła noc, kiedy bomby sypały się prawie bez przerwy. Przerażeni ludzie kryli się w schronach i modlili o ocalenie. Jedna z bomb eksplodowała chyba gdzieś w pobliżu, ponieważ ziemia zatrzęsała się, światła zgasły, w schronie zaś wybuchła panika. Matka Rudiego, wtedy jeszcze mała dziewczynka, była tak przestraszona, że wybiegła na ulicę, ale to, co tam zobaczyła, było jeszcze gorsze i na zawsze utkwilo jej w pamięci. Płonące budynki, trupy, niebo rozbłyskujące wybuchami pocisków artylerii przeciwlotniczej... Podczas tego nalotu zginęło wielu jej rówieśników. Od tej pory zawsze była jakby trochę zamknięta w sobie. Rudi twierdził wręcz, że codziennie przeżywa na nowo wydarzenia tamtej nocy. Zapamiętałam ją jako małomówną, bardzo smutną osobę.

- W jaki sposób zginęli rodzice Rudiego?

- Mój wujek, a jego ojciec, często zabierał ze sobą rodzinę na wyprawy badawcze, w których uczestniczył jako biolog. Pewnego dnia samolot, którym lecieli, rozbił się w południowej Amazonii. Spośród załogi i pasażerów tylko Rudi przeżył katastrofę. Wyprawa ratunkowa odnalazła go dopiero po czterech dniach, wygłodzonego, zakrwawionego i przerażonego. Blizna, którą miał na twarzy, stanowiła pamiątkę właśnie po tej tragedii. Po rekonwalescencji zaczął częściej niż do

tej pory odwiedzać nas w Niemczech, ponieważ byliśmy jego jedynymi żyjącymi krewnymi, ale nie chciał z nami zamieszkać, mimo że proponowaliśmy mu to, a on biegle władał językiem. Twierdził, że nie potrafiłby się przyzwyczaić, a poza tym uważał Niemców za pozbawionych poczucia humoru, wiecznie ponurych dorobkiewiczów. Zdecydowanie lepiej czuł się w Paragwaju. - Dziewczyna spojrzała na swoją pustą szklanę. - Czy mogę jeszcze dostać drinka?

Volkman nalał jej i sobie, wrzucił do szklanek kostki lodu.

- A dlaczego pani rodzina zdecydowała się wrócić do Niemiec?

Przyglądał się jej uważnie. Erika podniosła szklanę do ust, po czym wzięła ją w obie ręce i zaczęła nią delikatnie kołysać. Kostki lodu grzechotały o ścianki naczynia.

- Moi rodzice poznali się i pobrali w Buenos Aires. Ojciec był biznesmenem, emigrantem z Niemiec, znacznie starszym od matki. Prawie go nie pamiętam, bo umarł, kiedy miałam trzy lata. Dziadkowie zmarli wkrótce potem, więc przypuszczam, że matka poczuła się bardzo samotna. Po długim namyśle sprzedała firmę ojca i postanowiła wrócić do Niemiec. Wciąż miała tam sporo krewnych, uważała też, że będzie dla mnie lepiej, jeśli rozpocznę studia na którejś z niemieckich wyższych uczelni. Później, kiedy się usamodzielniałam, wyszła ponownie za mąż i przeprowadziła się do Hamburga. Ostatnio nie utrzymuję z nią zbyt ścisłych kontaktów, ale z Rudim pisywaliśmy do siebie bardzo często. Był dla mnie jak starszy brat.

Odwróciła twarz, by ukryć napływające do oczu łzy. W pokoju zapadło milczenie. Joseph napił się, po czym znowu skierował wzrok na dziewczynę. Czuł wielką ochotę, by usiąść obok niej, objąć ją, przytulić, pogłaskać po głowie, spróbować pocieszyć, ale nie zrobił tego, ponieważ nie wiedział, jak by zareagowała.

- Rudi twierdził, że młodszy z dwóch mężczyzn, których widział w ogrodzie przy willi, to Dieter Winter - powiedział, zmieniając temat. - Czy wspomniał może, czego dotyczyła ich dyskusja, kiedy spotkali się w Heidelbergu?

Erika zmarszczyła brwi.

- Zadałam mu to samo pytanie. Według niego to była zwykła gadanina, kompletnie bez znaczenia. Winter miał już mocno w czubie, ale zaintrygował go fakt, że Rudi jest z pochodzenia Niemcem i mieszka w Ameryce Południowej. Pierwszą rzeczą, o jaką go zapytał, było to, czy utrzymuje kontakty z niemiecką kolonią w Paragwaju. Rudi odparł, że nie, bo ci ludzie najzwyczajniej w świecie go nudzą i że znacznie przyjemniej spędza czas w towarzystwie Latynosów. Winter chyba uznał tę odpowiedź za osobistą obrazę, ponieważ od razu stał się bardzo agresywny.

- Czy właśnie dlatego Rudi zapałał do niego niechęcią? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Określił go jako napuszonego krzykacza. Winter poradził mu, że skoro ma tak niedobre zdanie o Niemcach, to niech wraca tam, skąd przyjechał, a przy okazji zabierze ze sobą wszystkich cudzoziemskich robotników. Niemcom do niczego nie jest potrzebny jeszcze jeden Mischling. - Odstawiła szklankę. - Chyba domyśla się pan, że tego słowa nie sposób uznać za komplement. Mischling oznacza mieszańca, człowieka niepewnego pochodzenia, niewartego szacunku.

Volkmann skinął głową.

Mimo działającej pełną mocą klimatyzacji w mieszkaniu nadal było gorąco i duszno. Joseph podniósł się z fotela, postawił pustą szklankę na stoliku i spojrzał z góry na dziewczynę.

- Sanchez powiedział, że zadzwoni jutro rano i zawiezie panią na cmentarz, na którym pochowano Rudiego.

- Czy pan też pojedzie?

- Jeśli pani sobie życzy.

- Tak, bardzo bym chciała. Dziękuję panu, Herr Volkmann.

- Mów mi Joe. - Wskazał na telefon stojący przy kanapie. - Chyba powinniśmy już wracać do hotelu. Zadzwonisz po taksówkę?

Erika skinęła głową.

Volkmann zebrał naczynia ze stolika i zaniósł je do kuchni.

Kilka minut po ósmej zjawili się z powrotem w hotelu Excelsior. W jednej z sal

na parterze trwało przedgwiazdkowe przyjęcie, w głównym hallu zaś mężczyźni w smokach i piękne kobiety o oliwkowej cerze siedzieli w fotelach lub z kieliszkami i szklankami w rękach stali wokół pięknie przystrojonej choinki.

W porównaniu z nimi dziewczyna sprawiała wrażenie wyczerpanej zarówno fizycznie, jak psychicznie. Miała rozmazany makijaż, bo kiedy taksówka mijała siedzibę redakcji dziennika „La Tarde”, Erika rozplakała się nagle. Joseph objął ją delikatnie, ona zaś oparła głowę na jego ramieniu i łkała cichutko. Czuł zapach jej perfum oraz dotyk miękkich włosów na policzku. Trzymała go za rękę aż do chwili, kiedy taksówka zajechała przed wejście do hotelu.

Winda zawiozła ich na piąte piętro.

- Gdybyś nie mogła zasnąć albo chciała pogadać, pamiętaj, że jestem obok - powiedział Volkmann, otwierając drzwi jej pokoju.

- Dziękuję, Joe. Jesteś dla mnie bardzo dobry. Wybacz, że się rozkleiłam, ale to był dla mnie ciężki dzień.

Joseph zczekał, aż Erika zamknie za sobą drzwi, po czym wszedł do swojego pokoju. Mimo działającej klimatyzacji było w nim dość ciepło. Rozebrał się powoli, położył na łóżku i długo leżał w lepkiej ciemności, wpatrując się w niewidoczny sufit szeroko otwartymi oczami.

Kiedy wreszcie zasnął, śniło mu się, że nadal czuje delikatny zapach perfum Eriki. i

Zaledwie godzinę później zadzwonił telefon. Volkmann po omacku włączył nocną lampkę i mrużąc oczy sięgnął po słuchawkę. Choć jeszcze na pół śpiący, bez trudu rozpoznał charakterystyczny akcent.

- Obudziłem pana, señor Volkmann? Ogromnie przepraszam. Zapomniałem, że musi pan przyzwyczać się do różnicy czasu... Mówi Sanchez.

- Jakieś kłopoty?

- Nie, señor, ale mam ważne informacje o człowieku, którego pan szuka.

- O Winterze?

- Si, właśnie o nim, ale nie tylko. Pamięta pan, jak wspomniałem o

Santanderze? To ten, co czasem pracował z Rodriguezem. Otóż dziś po południu został zatrzymany przez policję w San Ignacio, bardzo blisko granicy z Argentyną. Jeszcze przed północą powinni dostarczyć go do Asunción. Myślę, że będzie dobrze, jeśli przyjedzie pan do komendy.

- W porządku. Zaraz zadzwonię po taksówkę.

- Nie trzeba, señor. Proszę jeszcze odpocząć. Potrzebuję trochę czasu, bo moi ludzie muszą coś sprawdzić. O dwunastej przyślę do hotelu samochód. Jeśli señorita nie jest zanedo zmęczona, może przyjechać z panem.

- A więc do północy - powiedział Volkmann.

- Si - odparł kapitan. - A tymczasem życzę dobrego wypoczynku.

Rozdział 14

Północnowschodnie Chaco, Paragwaj

Kruger stał na werandzie paląc papierosa i obserwował pracujących mężczyzn. Gdyby nie gęste chmury przesłaniające księżyc i gwiazdy, byłoby nawet dość jasno, a tak nocne niebo prawie nie różniło się barwą od smolistej czarnej ściany dżungli.

Agregaty prądotwórcze pracowały pełną mocą, dzięki czemu teren posiadłości był oświetlony blaskiem potężnych reflektorów, sięgającym aż do pierwszych drzew lasu tropikalnego, w pobliżu których stały wielka ciężarówka oraz znacznie mniejsza furgonetka. Wilgotne, soczyste zielone liście lśniły w elektrycznym świetle, jakby pokryte je warstwą wosku.

Deszcz przestał padać, ale powietrze nadal było wilgotne. Choć Kruger rozpiął koszulę prawie do połowy piersi, na cienkim bawełnianym materiale pojawiły się rozległe plamy potu.

Trzej ludzie załadowujący ciężarówkę pracowali pod nadzorem Schmidta, który też nosił ciężkie skrzynki, po dwie naraz, i ustawiał je na platformie.

Kruger przyglądał mu się w milczeniu. Schmidt robił wyłącznie to, co mu

kazano. Powiedziałaś, że ma zabić - zabijał; powiedziałaś, że ma wyjść - wychodził bez słowa. Same mięśnie, zero mózgu, ale w wielu sytuacjach był wręcz niezastąpiony.

Kruger przesunął ręką po gładkich ciemnych włosach, zerknął na zegarek, zaraz potem zaś przeniósł wzrok na jasno oświetlony garaż, wciąż jeszcze w połowie wypełniony pudłami i drewnianymi skrzyniami. Zostało jeszcze sporo roboty. Najważniejsze dokumenty polecą do Mexico City w zalutowanych metalowych pojemnikach. Trochę niepokoiło go, co będzie, jeśli okaże się, że w ciężarówce i furgonetce jest za mało miejsca, ale przecież Franz twierdził, że na pewno wszystko się zmieści.

Ponownie spojrzął na Schmidta, na zwały mięśni prężące się pod granatowym kombinezonem. Olbrzym wyglądał tak, jakby wyciosano go ze skały.

Kątem oka Kruger dostrzegł jakieś poruszenie i gwałtownie odwrócił się w tamtą stronę. Zasłona wisząca w drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju odchyliła się, a w szparze pokazała się najpierw brązowa twarz Lopeza, chwilę potem zaś druga, Emilia.

Obaj chłopcy liczyli sobie niespełna piętnaście lat, byli wdzięczni za pełny talerz i dach nad głową i nawet dość chętnie pracowali - naturalnie pod warunkiem, że miało się ich na oku. Ze zdziwieniem obserwowali załadunek skrzyń na ciężarówkę; szeroko otwarte oczy ocienione długimi rzęsami oraz gładkie twarze czyniły ich podobnymi do dziewcząt. Nie pytali, co oznacza to zamieszanie. Nigdy o nic nie pytali, szczęśliwi, że mają co jeść i gdzie spać. Uśmiechnęli się do Krugera, a kiedy ten odpowiedział uśmiechem, cofnęli głowy, pozwalając zasłonie opaść na miejsce.

Wkrótce potem w korytarzu rozległy się powolne kroki. Kruger zaciągnął się jeszcze raz dymem, rzucił papierosa na podłogę werandy i zgniótł go obcasem.

Człowiek o srebrzystych włosach miał teraz na sobie białą piżamę i lekki bawełniany szlafrok. Najwyraźniej zamierzał niebawem udać się na spoczynek.

- Do północy powinniśmy uporać się z załadunkiem - poinformował go

Kruger. - Wszystko, czego nie zabierzemy, zostanie spalone.

Starszy mężczyzna skinął w milczeniu głową, po czym położył Krugerowi rękę na ramieniu i zapytał, wpatrując się w ścianę drzew:

- Cieszysz się, że wyjeżdżamy, Hans? Kruger uśmiechnął się.

- Długo tu byliśmy. Zbyt długo.

- Nie będzie ci brakować tego domu? Pokręcił głową.

- Czułem się tu jak w więzieniu. - Wzruszył ramionami. - Dawniej, kiedy byłem młodszy, nie odczuwałem tego w ten sposób, ale teraz jestem zadowolony, że wreszcie przenosimy się w inne miejsce. - Zerknął na zwierzchnika, który właśnie cofnął rękę, nie przestając jednak spoglądać w kierunku dżungli. - A pan?

Człowiek o włosach barwy srebra uśmiechnął się blado.

- Cóż, zostawiam tu sporo wspomnień. Bardzo dobrych wspomnień, Hans.

Przez chwilę w milczeniu obserwował ubranych w granatowe kombinezony mężczyzn, uwijających się przy załadunku. W skrzyniach i pudłach, które wynosili z garażu, znajdował się niemal cały jego majątek, a przede wszystkim obszerna dokumentacja, plany i notatki, owoc długoletniej ciężkiej pracy.

- Co z chłopcami? - zapytał półgłosem.

- Schmidt i ja zawieziemy ich w głąb dżungli.

Starszy mężczyzna odwrócił się do Krugera, spojrzał mu prosto w oczy i powiedział głosem, w którym uważny słuchacz wychwyciłby nutę trudnej do nazwania emocji:

- Załatwcie to szybko, Hans. Nie chcę, żeby cierpieli. Mają niczego nie poczuć, rozumiesz?

Kruger skinął głową. Ze zdumieniem dostrzegł, że przez twarz stojącego przed nim mężczyzny przemknęło coś w rodzaju bolesnego grymasu. Zaraz potem człowiek o srebrzystych włosach odwrócił się i odszedł korytarzem w głąb domu.

Kruger zaczekał, aż ucichnie odgłos powolnych kroków, a następnie znowu skoncentrował uwagę na Schmidcie i jego pomocnikach.

Północnowschodnie Chaco poniedziałek, 5 grudnia, godz. 23.57

Furgonetka powoli jechała wyboistą drogą wiodącą przez dżunglę. Droga była zupełnie pusta, czemu nie należało się zbytnio dziwić; tylko szaleniak lub człowiek zupełnie nieodpowiedzialny mógłby zapuścić się w środku nocy w te dzikie, odludne strony. Lekki wietrzyk, który wpadał przez otwarte okno, chłodził spoconą twarz Krugera, niosąc ze sobą zapach roślin i wilgotnej ziemi. Samochód włókł się z prędkością zaledwie trzydziestu kilometrów na godzinę, podskakując na niezliczonych wybojach. Dwa snopy światła rzucane przez reflektory wydobywały z ciemności drzewa uginające się pod ciężarem intensywnie zielonych liści, krzewy oraz tajemnicze kształty. Kruger doskonale wiedział, że to tylko powywracane pniaki i kamienie.

Siedział na fotelu obok kierowcy, wpatrując się w ścianę tropikalnego lasu. Od czasu do czasu w ciemności zaczynającej się zaraz za granicą zasięgu reflektorów błyskały oczy dzikiego zwierzęcia, które przez sekundę lub dwie obserwowało smrodliwego, hałaśliwego intruza, by zaraz potem bezszelestnie umknąć w głąb dżungli.

W chwili, kiedy furgonetka dotarła do ostrego zakrętu, jeden z chłopców roześmiał się i wyciągnął rękę, wskazując na drogę. Kruger spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł znikający w porastających pobocznie krzewach ogon jakiegoś niewielkiego stworzenia, przypuszczalnie mangusty. Obaj chłopcy zachichotali radośnie.

Kruger uśmiechnął się do nich, choć w ciemności, jaka panowała w kabinie, nie mogli tego zobaczyć. Było im dość ciasno we czwórce: on, dwaj chłopcy, a do tego Schmidt, który prowadził z kamienną twarzą, wpatrując się w wąską gruntową drogę oświetloną blaskiem reflektorów.

W pewnej chwili Kruger dostrzegł po lewej stronie przerwę w ścianie lasu i poklepał Schmidta po ramieniu, ten zaś zakręcił raptownie kierownicą; furgonetka wjechała w jeszcze węższą, zarośniętą ścieżkę prowadzącą dość stromo pod górę. Silnik zawył, zmuszony do większego wysiłku, ale kierowca sprawnie zredukował bieg i samochód bez protestów potoczył się naprzód.

Z domu wyjechali godzinę temu. Najdalej za pięć minut powinni dotrzeć do

celu. Kruger cofnął rękę, którą do tej pory trzymał przewieszoną za drzwi, ponieważ gałęzie szorowały o boki furgonetki, a co śmielsze z nich próbowały nawet dostać się przez otwarte okna do wnętrza samochodu.

O ile z drogi, którą do niedawna jechali, od czasu do czasu ktoś jednak korzystał, to należało wątpić, czy na tej ścieżce człowiek pojawiał się częściej niż raz lub dwa razy w roku. Kruger doskonale znał teren i wiedział, że to wręcz wymarzone miejsce dla kogoś, kto musi pozbyć się niewygodnych świadków i mieć pewność, że nikt nigdy nie znajdzie żadnych śladów.

Furgonetka zakołysała się raptownie, przejeżdżając przez wyjątkowo głęboką koleinę. Z przestrzeni ładunkowej dobiegł donośny łoskot, kiedy drewniane skrzynie przesunęły się, uderzając o burty. Chłopcy parsknęli donośnym śmiechem. Żaden z nich nie okazywał lęku; niespodziewana wycieczka stanowiła dla nich znakomitą okazję do zabawy.

- Czy już jesteśmy na miejscu, señor? - zapytał jeden z nich cienkim głosem.

Kruger ponownie się uśmiechnął.

- Zaraz będziemy - odparł.

Silnik znowu zawył, ponieważ stromizna stała się jeszcze większa. Schmidt zwolnił, by uchronić pasażerów i ładunek przed gwałtownymi wstrząsami, ale skrzynie i tak podskoczyły z łoskotem, wywołując kolejny wybuch wesołości chłopców.

Pomysł ze skrzyniami był autorstwa Krugera. Chciał w ten sposób nadać pozory celowości niespodziewanej wyprawie w góry oraz uspić czujność dzieci. Zgodnie z poleceniem otrzymanym od mężczyzny o srebrnosiwych włosach czynił wszystko, by oszczędzić im niepotrzebnych cierpień, a czym jest strach, jeśli nie cierpieniem? Powiedział chłopcom, że potrzebuje ich pomocy przy pozbyciu się niepotrzebnych skrzyń, oni zaś ogromnie ucieszyli się z możliwości odbycia przejażdżki.

W domu srebrzystowłosego mężczyzny zjawili się trzy lata temu, wkrótce po śmierci starego służącego. Choć psotni i czasem nieporządni, jak to dzieci, chętnie

wykonywali drobne prace domowe, sprząтали i podawali do stołu, oprócz tego zaś posiadali kilka niewątpliwych zalet: znali zaledwie kilka słów po niemiecku i hiszpańsku, nie zadawali żadnych pytań oraz nie szukali towarzystwa innych dzieci, w związku z czym nie istniało niebezpieczeństwo, że opowiedzą komukolwiek o rzeczach, których byli milczącymi świadkami.

Silnik przestał wyc na wysokich obrotach, ponieważ furgonetka dotarła do miejsca, gdzie wąska ścieżka biegła prawie poziomo. Drzewa i krzewy rosły coraz rzadziej, aż wreszcie dwa snopy światła rzucane przez reflektory wbiły się w czarną, niczym nie ograniczoną pustkę. Samochód dotarł do krawędzi przepaści. Nad bezdenną, wydawałoby się, otchłanią wisały migoczące gwiazdy, ale ich blask był za słaby, żeby sięgnąć w głąb rozpadliny.

Schmidt zakręcił kierownicą, ustawił samochód tyłem do krawędzi urwiska i wyłączył zapłon. W ciszy, która niespodziewanie zapadła, przez chwilę słychać było tylko tykanie stygnącego silnika, ale zaraz potem nocne ptaki oraz inne stworzenia żyjące w dżungli wznowiły hałaśliwy koncert. Chłopcy poruszyli się niepewnie na swoich miejscach.

- Czy to tu, seńor?

- Tak, to tutaj - odparł Kruger.

- Będziemy nosić skrzynie?

- Si.

Mężczyźni otworzyli drzwi i wysiedli z samochodu. Tu, w górach, było nieco chłodniej niż na nizinie. Od krawędzi przepaści dzieliło ich niespełna dziesięć metrów. Wypełniona nocą otchłań wywierała groźne wrażenie. Tylko najzwinniejsze leśne zwierzęta mogły bezkarnie wspinać się i schodzić po jej zboczach. Kruger wyjął ze schowka silną latarkę, włączył ją, skierował snop światła na ziemię, po czym spojrzał na zegarek: właśnie minęła północ.

Nawet bez latarki widoczność była całkiem niezła, a to za sprawą reflektorów furgonetki oraz połączonego blasku gwiazd i księżyca. Kruger nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Najchętniej wróciłby do samochodu i położył się

spać, ale wiedział, że ma jeszcze do zrobienia tę jedną, ostatnią rzecz.

Chłopcy pobiegli na tył samochodu i zaczęli majstrować przy zatrzaskach mocujących klapę. Kruger spojrział na Schmidta, ledwo dostrzegalnie skinął głową, olbrzym zaś natychmiast sięgnął do kabury pod pachą i wyjął pistolet z tłumikiem. W świetle księżyca błysnęła rękojeść noża tkwiącego za paskiem mężczyzny.

Kruger przeniósł wzrok na chłopców, którzy tymczasem uporali się z jednym zamknięciem a teraz zajęli się drugim, szepcząc między sobą w indiańskim narzeczu. Szmer rozmowy zabrzmiał w tym odludnym miejscu niczym ostatnia modlitwa.

Schmidt bezszelestnie podszedł do nich od tyłu i wycelował pistolet w głowę wyższego chłopca.

Puh!

Lekki ruch ręki i lufa niemal dotknęła potylicy drugiego chłopca.

Puh!

Dwa drobne ciała osunęły się bezwładnie na ziemię. Drugi chłopiec wydał jeszcze coś w rodzaju zduszonego, nie dokończonego okrzyku, po czym zapadła cisza, zakłócona jedynie nocnymi odgłosami dżungli.

Kruger oświetlił latarką miejsce kaźni. Z niewielkich otworów w czaszkach dzieci sączyła się jeszcze krew. Jedno z ciał drgnęło raptownie, rozległo się jakby rozpaczliwe westchnienie, lecz Schmidt nie bez powodu cieszył się opinią mistrza we władaniu bronią; prawie nie celując pociągnął za spust, przez ciało chłopca przebiegł krótki, gwałtowny dreszcz i zapanował spokój. Mimo to na wszelki wypadek Kruger ponownie skinął głową; Schmidt wystrzelił jeszcze jeden pocisk, tym razem w drugiego trupa, ale trafienie nie wywołało żadnej reakcji.

Kruger zaczekał jeszcze chwilę, uważnie obserwując zwłoki, po czym spojrział na Schmidta i polecił lakonicznie:

- Rozbierz ich.

Potęźnie zbudowany mężczyzna położył pistolet na masce furgonetki. Kruger odwrócił się, zapalił papierosa. Za jego plecami Schmidt posapywał cicho przez nos, ściągając ubrania z trupów.

Kiedy uporał się z zadaniem, Kruger starannie zdusił niedopałek papierosa w popielniczce samochodu. Pamiętał o tym, by nie zostawić żadnych śladów. Właśnie dlatego on i Schmidt mieli na nogach płócienne pantofle o zupełnie gładkiej podeszwie, a Franz otrzymał polecenie, żeby zaraz po powrocie do Asunción zdjąć koła i spalić wszystkie cztery opony.

Zakrwawione ubrania leżały na ziemi metr przed Schmidtem. Kruger podszedł do nagich zwłok, przyjrzał im się uważnie, potem zaś skinął głową.

- Wiesz, co masz zrobić - powiedział do olbrzyma. - Nie śpiesz się, mamy czas. Załatw wszystko jak należy.

Cofnął się o kilka kroków, ale nie odwrócił spojrzenia. Musiał się przyglądać, musiał mieć pewność, że zadanie zostanie wykonane zgodnie z poleceniem. Wielokrotnie oglądał trupy, wielokrotnie sam zabijał ludzi, ale jeszcze nigdy nie widział, jak obdziera się zwłoki ze skóry. Chodziło przede wszystkim o twarze i dłonie. Naturalnie nikt nigdy nie brał od chłopców odcisków palców, nikogo też nie powinno zainteresować nagłe zniknięcie dwojga dzieci, ale Kruger wolał dmuchać na zimne. Musiał mieć całkowitą pewność, że zostały zatarte wszelkie ślady, które mogłyby zainteresować jakiegoś wścibskiego gliniarza.

Schmidt wydobył zza pasa myśliwski nóż o szerokim ostrzu i przystąpił do pracy. Zaczął od ciała leżącego bliżej niego. Emilio. Chłopiec leżał na wznak, wpatrując się w niebo szeroko otwartymi oczami. Kruger przyglądał się jak zauroczony; miał wrażenie, że lada chwila zwymiotuje, ale jednocześnie w żaden sposób nie mógł odwrócić wzroku.

Kwadrans później było już po wszystkim.

Kruger oświetlił zwłoki latarką. Tak, teraz na pewno nikt ich nie rozpozna. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno znajdowały się anielsko niewinne twarze, obecnie były jakieś potworne krwawe maski, spod których tu i ówdzie przeświecały białe czaszki. Dwa trupy wpatrywały się w niego czarnymi, ziejącymi oczodołami.

Pomógł Schmidtowni przenieść zwłoki nad krawędź przepaści i wrzucić je w otchłań. Zaczekał, aż z dołu dobiegnie stłumiony odgłos uderzenia o skały, po czym

skierował snop światła z latarki w głąb rozpadliny. Ani śladu ciał, tylko głązy i skały pokryte splątana, bujną roślinnością.

Ręce oraz kombinezon miał poplamione krwią. Starannie wytarł dłonie w trawę; Schmidt poszedł w jego ślady. Pierwszy deszcz skutecznie spłucze czerwone smugi ze sprężystych zielonych źdźbeł. Zaraz potem zdjęli zabrudzone ubrania i włożyli je do czarnej torby na odpadki. W ostatniej chwili Schmidt przypomniał sobie o nożu, wytarł zakrwawione ostrze w nogawkę kombinezonu, po czym starannie zawiązał torbę i wrzucił ją na tył furgonetki, następnie zaś zajął miejsce za kierownicą.

Kruger zatoczył koło promieniem światła z latarki. Na niewielkiej polanie nie pozostał żaden ślad niedawnych wydarzeń. Leśne zwierzęta, owady i robaki powinny w szybkim tempie uporać się z usunięciem najważniejszych dowodów, spoczywających na dnie rozpadliny.

Wsiadł do furgonetki i spojrzął na zegarek: punkt pierwsza. Za osiem godzin wreszcie pożegna na zawsze ten przeklęty kraj. Kto wie, może przed przybyciem śmigłowca uda mu się trochę zdrzemnąć? Miał wrażenie, że boli go każda kość i każde włókienko zmęczonych mięśni.

Silnik ożył, przez chwilę pracował na wolnych obrotach, po czym Schmidt wrzucił bieg, dodał delikatnie gazu i furgonetka powoli ruszyła w drogę powrotną wiodącą stromo w dół ścieżką.

Rozdział 15

Asunción 6 grudnia, godz. 1.02

Kapitan Vellares Sanchez siedział za biurkiem w swoim pokoju w Komendzie Głównej Policji. Miał podkrążone oczy i napuchniętą twarz, jakby nie spał co najmniej od kilku dni. Na tacy stał dzbanek z kawą oraz trzy napełnione kubki, tuż obok zaś, w pękniętej szklanej popielniczce, leżał wypalony do połowy papieros. Naprzeciwko kapitana siedzieli Joseph Volkmann i Erika Kranz.

Pomimo niewątpliwego zmęczenia oficer nie sprawiał wrażenia znudzonego ani poirytowanego. Volkmann zastanawiał się, czy zainteresowanie, jakie okazywał kapitan, wynika z faktu, że znał osobiście Hernandeza, czy z tego, że Ferguson pociągnął za właściwe sznurki. W gruncie rzeczy nie miało to żadnego znaczenia; najważniejsze, że Sanchez jest po ich stronie i stara się pomóc.

W obskurnym gabinecie było teraz nieco chłodniej niż w dzień. Sanchez otworzył teczkę leżącą przed nim na biurku; zawierała kilkanaście kartek formatu A4, pokrytych ręcznym pismem, naturalnie po hiszpańsku.

- W ciągu minionych trzech lat Winter przylatywał do Paragwaju aż osiem razy, zawsze na dwa albo trzy dni, zawsze w odstępach czasu nie przekraczających czterech miesięcy. Za każdym razem podawał, że przyjeżdża w interesach.

Sanchez spojrział na gości, po czym znowu skoncentrował uwagę na zawartości teczki.

- Zawsze przylatywał samolotami lądującymi w Asunción. Cztery razy z Miami, trzy razy z Rio de Janeiro, gdzie przesiadał się z maszyn lecących z Europy. Tylko ostatnim razem, trzy miesiące temu, przyleciał bezpośrednio z Frankfurtu. Jak wiecie, wszyscy cudzoziemcy muszą wypełnić na granicy formularz, w którym podają planowane miejsce pobytu. Dzięki temu wiemy, gdzie mieszkał: ostatnio w Excelsiorze, przedtem w Guarani, jeszcze wcześniej w Excelsiorze i dwóch mniejszych hotelach, ale najczęściej wybierał właśnie Excelsior i Guarani. Proszę, to dokładna lista.

Podał Volkmannowi kartkę, a ten szybko przebiegł po niej wzrokiem.

- Czy sprawdziliście w tych hotelach? - zapytał, spoglądając na kapitana.

Sanchez pokręcił głową.

- Na razie tylko w Excelsiorze i Guarani, bo listę dostałem zaledwie dwie godziny temu. Trochę potrwa, zanim moi ludzie dotrą do pozostałych.

- Czy na formularzach wypełnianych przez Wintera znajdowała się nazwa jakiejś firmy?

- Nie.

- Kto więc płacił rachunki?

- W tych dwóch hotelach, z którymi się skontaktowaliśmy, on sam, w dodatku zawsze gotówką. Choć przyjeżdżał sam, za każdym razem wynajmował apartament. Nigdy nie zdarzyło się, żeby mieszkał w zwykłym pokoju.

- A co z rozmowami telefonicznymi, które prowadził z apartamentu? Czy są rejestrowane przez centralę hotelową?

- Owszem, bo wymagają tego przepisy. Jednak wszystko wskazuje na to, że w tych dwóch hotelach Winter ani razu nie skorzystał z telefonu. Płacił dodatkowo tylko za posiłki i alkohol.

Sanchez napił się kawy, odstawił kubek i otarł usta wierzchem dłoni. Przy okazji przypomniał sobie o nie dopalonym papierosie, zaciągnął się jeszcze raz, po czym zdusił go w popielnicze.

- Żadnej nazwy firmy, żadnych rozmów telefonicznych... - mruknął Volkmann. - A jak wygląda sprawa z agencjami wynajmu samochodów? Sprawdziliście je?

- Na razie przygotowałem ich listę. Moi ludzie zajmą się nimi, jak tylko będą mieli trochę czasu. - Sanchez ponownie zajrzał do teczki. - Pokazaliśmy recepcjonistom fotografię Wintera, którą nam przysłaliście, ale oczywiście nikt go nie pamięta. - Kapitan wzruszył ramionami. - Trudno się dziwić: to duże hotele, codziennie przewijają się przez nie setki ludzi. Może ktoś zapamiętał go w którymś z tych mniejszych, ale moim zdaniem szansę są niewielkie. - Podniósł wzrok na Volkmana. - Wiem, że chciałby pan, żebyśmy działali szybciej, ale na nocnej zmianie pracuje niewielu funkcjonariuszy, a przecież muszą też zajmować się tym, co zwykle: łapać złodziei, ścigać morderców, szukać skradzionych samochodów i tak dalej... - Przeniósł spojrzenie na Erikę. - Przynajmniej wiemy jedno: Rudi naprawdę widział tego człowieka w Asunción.

- Przecież nie mamy żadnego dowodu, że akurat wtedy Winter przebywał w Paragwaju - zwrócił mu uwagę Volkmann.

Kapitan wzruszył ramionami.

- I co z tego? Mógł przejść przez zieloną granicę albo posługiwać się fałszywym paszportem, albo formularz, który akurat wtedy wypełnił na lotnisku, gdzie się zawieruszył... Takie rzeczy się zdarzają. Kazałem sprawdzić we wszystkich posterunkach granicznych, czy przypadkiem nie zapomnieli wysłać go do Asunción. Sam pan wie, jak to jest: nie zawsze wszyscy pamiętają o swoich obowiązkach.

- Wspomniał pan, że w tych dwóch hotelach, w których już byliście, Winter zawsze wynajmował apartament?

- Si. Zawsze. - Sanchez zajrzał do teczki. - Osiem razy.

- Wynika z tego, że albo chciał wywrzeć na kimś odpowiednie wrażenie, albo wesoło spędzić czas, albo jedno i drugie.

- Być może. Potrzebujemy więcej informacji, żeby zacząć się czegokolwiek domyślać. - Sanchez ponownie wzruszył ramionami. - A to będzie musiało trochę potrwać.

Erika pochyliła się do przodu na krześle.

- Wspomniał pan, że zatrzymaliście też współpracownika Rodrigueza.

- Si. Nazywa się Miguel Santander.

- Przesłuchał go pan?

- Owszem, przed waszym przyjazdem. Wiedział już o śmierci Rodrigueza. Powiedziałem mu, że naszym zdaniem popełniono morderstwo, więc sądzi, że traktujemy go jako podejrzanego. Nie wyprowadzałem go z błędu. Zaklina się, że nie miał z tą sprawą nic wspólnego i że przez minione dwa tygodnie przebywał na południu kraju, blisko granicy. Chyba mówi prawdę, ale nie może przedstawić żadnych świadków ani dowodów. - Przez twarz policjanta przemknął uśmiech. - I bardzo dobrze, bo dzięki temu trzęsie się ze strachu o swoją skórę, a ludzie, którzy się boją, są bardziej skłonni do rozmowy. - Dźwignął się ciężko z krzesła. - Myślę, że powinniście sami się przekonać. Jest na dole, w jednym z pokoi przesłuchań. Zaprowadzę was.

Ściany pokoju przesłuchań miały ten sam szary kolor co gabinet Sancheza.

Tak jak tam, tu także farba odpadała wielkimi płatami. W pomieszczeniu stały tylko trzy krzesła i mocno podniszczony stolik.

Kiedy Sanchez wprowadził ich do środka, Volkmann ujrzał siedzącego przy stoliku szczupłego, najwyżej trzydziestoletniego mężczyznę o pociągłej twarzy. Po obu jego stronach stali młodzi policjanci. Mężczyzna miał intensywną opaleniznę oraz kilkudniowy zarost, przez co jego twarz wydawała się jeszcze ciemniejsza. Jej rysy były bardziej indiańskie niż europejskie. Nerwowo bębnił w blat stołu zaskakująco krótkimi, grubymi palcami.

Miał na sobie brudną bawełnianą koszulkę z firmowym emblematem Adidasa, lekko rozdartą przy szyi, mocno sprane dżinsy oraz wysokie kowbojskie buty z wyprawionej na brązowo skóry. Ciemne oczy spoglądały niepewnie spod gęstych, kruczoczarnych brwi.

Sanchez dał znak policjantom, żeby wyszli z pokoju, po czym wskazał Erice i Volkmannowi dwa pozostałe krzesła. Dziewczyna usiadła, natomiast Joseph nie skorzystał z zaproszenia.

- To właśnie jest Miguel Santander - powiedział kapitan. - Mówi trochę po angielsku, ale jeśli chcecie, mogę pełnić funkcję tłumacza.

- Proszę, ja bardzo chętnie mówić po angielsku - odezwał się Santander. - Dobrze czasem ćwiczyć, prawda?

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając poźółkłe, nierówne zęby.

Sanchez wyjaśnił mu, że jego dwoje przyjaciół z Europy jest zainteresowanych wyjaśnieniem tajemnicy śmierci Rodrigueza.

Nie podał żadnych nazwisk, za to poczęstował wszystkich papierosami, sam także zapalił, po czym zwrócił się do zatrzymanego:

- Masz powtórzyć moim przyjaciołom to, co już mi powiedziałeś. Tylko powoli, żeby mogli cię zrozumieć. Comprendel

- Si, Si. - Santander popatrzył na Volkmana i dziewczynę, po czym niepewnie zerknął na oficera. - Od czego mam zacząć?

- Od tego, jak Rodriguez poprosił cię o pomoc. Santander skinął głową i

nerwowo zaciągnął się dymem. Na jego czole pojawiły się krople potu. Po chwili zaczął mówić, szybko przenosząc spojrzenie z twarzy na twarz. Jego rękę, spoczywającą na blacie stolika, wciąż poruszały się niespokojnie. Miał wysoki, chrapliwy głos, w którym wyraźnie słychać było napięcie.

- Któregoś miesiąca Rodriguez przyszedł do mnie i powiedział, że potrzebuje pomocy. Chciał wynająć od mojego przyjaciela samolot, bo trafiła mu się duża robota. Jego samolot jest bardzo stary i właśnie mu się zepsuł. Rodriguez zamówił część, ale nie mógł czekać tak długo, bo ktoś inny wziąłby robotę.

Popatrzył badawczo na słuchaczy, jakby chciał się upewnić, czy go rozumieją. Przez chwilę czekał na jakąś reakcję z ich strony, ale kiedy żadna nie nastąpiła, podjął na nowo wątek:

- Ta jego praca czasem jest bardzo niebezpieczna. Musiałem wiedzieć, czy wszystko jest w porządku, bo bałem się o mojego przyjaciela, tego co ma samolot. Musiałem wiedzieć, że nie ma ryzyka albo jest bardzo małe ryzyko. Gdyby Rodriguez wpakował się w kłopoty, mój przyjaciel mógłby trafić do więzienia. Powiedziałem Rodriguezowi, że musi mi powiedzieć, co to za robota, a ja wtedy zastanowię się, czy mogę zawiadomić mojego przyjaciela. - Santander wzruszył ramionami. - Na początku Rodriguez nie chciał mi nic powiedzieć, ale bardzo potrzebował tego samolotu, więc w końcu powiedział. Jacyś ludzie zapłacili mu, żeby przewiózł towar przez granicę, do Montevideo. Robił to już wiele razy. Ci ludzie chcieli, żeby zawsze był sam i żeby zawsze latał nocą.

Miguel Santander umilkł, zaciągnął się nerwowo papierosem, po czym spojrzał niepewnie na Sancheza. Kapitan skinął głową, a wtedy szczupły mężczyzna otarł usta wierzchem dłoni, odchrząknął i zaczął mówić dalej:

- Za każdym razem było tak samo. Żadnych zmian. Rodriguez leciał samolotem daleko na północ, w głąb Chaco. Tam, gdzie lądował, nie było lotniska, tylko duża polana w dżungli, oświetlona reflektorami. Tam czekali na niego ludzie, którzy prędko ładowali skrzynie do samolotu. Duże, drewniane skrzynie. Jak tylko skończyli, Rodriguez startował i leciał ze skrzyniami do Urugwaju, w pobliże

Montevideo. Leciał bez świateł, bardzo nisko, żeby nie zobaczyli go na radarze. Tam, gdzie lądował, było dokładnie tak samo: zwykłe pole i reflektory. Inni ludzie zabierali skrzynie i odjeżdżali, a on wracał do domu. Robił to już prawie od roku, mniej więcej co dwa miesiące i nigdy nie miał żadnych problemów. Zupełnie żadnych.

Santander podrapał się po brodzie pokrytej szczeciniastym zarostem.

- Ja wierzę Rodriguezowi. Nigdy mnie nie okłamał. Jak mówi, że nie ma problemów, to znaczy, że nie ma. Samolot twojego przyjaciela będzie bezpieczny, tak mi powiedział. To już ostatni lot. Bardzo specjalny, bo musi przewieźć tylko jedną małą skrzynkę, a potem już nigdy nie zobaczy tych ludzi. - Santander przerwał ponownie i spojrzał na Volkmana. - Rodriguez to dobry pilot. Najlepszy, jakiego znam. Powiedziałem mu w porządku, będziesz miał ten samolot, ale parę dni później on zadzwonił do mnie i powiedział, że go nie potrzebuje, bo przysłali mu części i naprawił własny. - Przeniósł spojrzenie na Sancheza. - To wszystko, co wiem. Rodriguez to był dobry przyjaciel. Nie miałem powodu, żeby go zabić. Nigdy nikogo nie zabiłem. - W jego głosie zabrzmiała płaczliwa nuta. - Musicie mi wierzyć, naprawdę!

Sanchez utkwiał w Volkmannie spojrzenie podkrążonych, zapuchniętych oczu.

- Czy ma pan jakieś pytania do señora Santandera? Volkmann skinął głową.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Rodrigueza?

- Miesiąc temu. Wtedy, kiedy pytał mnie o samolot mojego przyjaciela.

- A potem już nie?

- Nie, przysięgam. Dwa dni później zadzwonił do mnie do baru, żeby powiedzieć, że nie potrzebuje samolotu. Potem już ani go nie słyszałem, ani nie widziałem.

- Czy Rodriguez kiedykolwiek wspominał przy panu o człowieku nazwiskiem Rudi Hernandez?

Santander zmarszczył brwi i przez dłuższą chwilę zastanawiał się głęboko, by wreszcie zdecydowanie pokręcić głową.

- Nie, señor.

- Jest pan pewien?

- Tak, señor. Nigdy nie słyszałem o tym człowieku.

- A czy Rodriguez wymieniał może nazwiska ludzi, dla których pracował?

Santander ponownie potrząsnął głową.

- Żadnych nazwisk. Rodriguez nigdy nie używał nazwisk. W tym fachu nikt nie używa nazwisk, tym bardziej prawdziwych. Tak jest lepiej.

- Czy wie pan, skąd dokładnie Rodriguez zabierał ładunek i dokąd go przewoził?

- Mówił tylko tyle, że to bardzo odludne miejsca, daleko od miast i wiosek. Zapytałem go o to, a on powiedział, że ta polana, gdzie ładowali skrzynie do samolotu, jest blisko starej niemieckiej kolonii. Na północy, w głębi Chaco, jest ich bardzo wiele, señor.

- Co mówił o ludziach, którzy nosili skrzynie? Wspominał może, jak wyglądali?

Santander zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Powiedział tylko, że dobrze pracowali, że uwijali się jak w ukropie. Rodriguez czekał tylko dziesięć, piętnaście minut, i już wszystkie skrzynie były w samolocie. To samo było w Montevideo. - Podrapał się po głowie. - To znaczy, zdaje się, że wspomniał o jakimś starym człowieku, który chyba był szefem przy załadunku.

- Niemiec?

Santander wzruszył ramionami.

- Chyba tak.

- Opisał go dokładniej?

- Nie, señor. Powiedział tylko, że był stary.

- Ilu ludzi pracowało zazwyczaj przy załadunku i rozładunku?

- Nie wiem, señor. Tego Rodriguez nie powiedział.

- Czy domyślał się, co znajduje się w drewnianych skrzyniach?

Nerwowy mężczyzna znowu poskrobał się po brodzie.

- Nie wiem. Chyba nie, bo wtedy może coś by mi powiedział. Mówił tylko tyle, że skrzynie były duże, z wyjątkiem ostatniej, metalowej. Myślę, że były też bardzo ciężkie.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo potrzebował dużo miejsca do startu i lądowania, i dużo paliwa w zbiornikach.

- Powiedział coś jeszcze?

- Nie, señor. Jestem pewien. Powtórzyłem wam wszystko, co usłyszałem. - Santander skierował błagalne spojrzenie na Sancheza. - Naprawdę, uwierzcie mi!

Volkman westchnął ciężko, czując, jak ponownie ogarnia go zmęczenie. W pozbawionym klimatyzacji pomieszczeniu było gorąco i potwornie wilgotno. Otarł ukradkiem czoło, po czym zapytał:

- Ile skrzyń wnoszono na pokład samolotu Rodrigueza?

- Nie wiem, señor.

- Wszystkie były duże, czy trochę dużych i trochę małych? Santander bezradnie rozłożył ramiona.

- Przykro mi, seiwr, ale...

- W jaki sposób mu płacili?

- O tym też mi nie mówił, ale myślę, że gotówką, po każdym locie. W tym fachu tak to się robi.

- A jak do niego trafili?

- Nie wiem, señor.

- Czy jest ktoś, komu Rodriguez mógł opowiadać o tych sprawach? Kobieta, może przyjaciół?

- Nie, señor. On zawsze był bardzo skryty. Nawet kiedy sobie popił, nigdy nie mówił o tym, co robi ani dla kogo pracuje. Nikomu, jestem pewien. Dzięki temu wiedział, że nikt na niego nie doniesie.

Santander zerknął ukradkiem na dziewczynę. Jak tylko weszła do pokoju,

zwrócił uwagę na jej wspaniałą figurę i cudowne nogi. Dobrze byłoby pójść z taką do łóżka... Intrygowało go, dlaczego tych dwoje gringos tak bardzo interesuje się Rodriguezem, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien o to pytać. Z trudem oderwał wzrok od smukłych nóg dziewczyny i spojrzał na towarzyszącego jej mężczyznę.

- Może jednak przypomniał pan sobie coś jeszcze? - zapytał Volkmann. - Proszę się dobrze zastanowić. Interesuje nas wszystko, każdy szczegół, choćby najdrobniejszy.

- Ja naprawdę nic nie wiem. - Santander przeżegnał się szybko. - Przysięgam, jak mi Bóg miły!

- Jeśli przekonam się, że mnie oszukałeś, amigo... Sanchez nie dokończył zdania, ale nie musiał tego robić; ton, jakim powiedział te słowa, był aż nadto wymowny.

- Przysięgam na Boga! Rodriguez był moim przyjacielem! Kapitan skrzywił się, zgasił papierosa w popielniczce i odwrócił się do Volkmana.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania, señor? Joseph pokręcił głową.

Wrócili do gabinetu Sancheza. Kapitan kazał przynieść jeszcze jeden dzbanek mocnej, gorącej kawy. Minęła już druga; w pokoju przez dłuższą chwilę panowała cisza, w której słychać było jedynie szum obracającego się wentylatora.

Volkmann spojrzał na Erikę. Wyglądała na bardzo zmęczoną, lecz jednocześnie sprawiała wrażenie, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiała.

- Myśli pan, że Santander mówi prawdę? - zwrócił się do Sancheza, przerywając milczenie.

- Si, wierzę mu. Poza tym, to nie jest typ mordercy, tylko drobnego krętacza. Myślę, że powiedział nam wszystko, co wie. - Kapitan wziął do ręki kubek. - Informacja o niemieckiej kolonii i jakimś starym człowieku kierującym załadunkiem może nam trochę pomóc, ale problem polega na tym, że w Paragwaju mamy wiele takich kolonii. Niemcy osiedlali się u nas nie tylko po ostatniej wojnie, ale także na długo przed nią.

Sanchez siorbnał trochę kawy, skrzywił się i odstawił kubek na biurko.

- Dzięki zeznaniom Santandera obraz staje się nieco wyraźniejszy. Ludzie, dla których pracował Rodriguez, starali się za wszelką cenę zachować rzecz w tajemnicy. Kiedy zrobili, co mieli do zrobienia, zlikwidowali Rodrigueza, pozbywając się niewygodnego świadka. On jednak wyczuł wcześniej, co się święci, i postanowił się zabezpieczyć. Historia, którą opowiedział Rudiemu Hernandezowi, miała stanowić jego polisę na życie. Przypuszczalnie chciał ostrzec swoich pracodawców, że jeśli cokolwiek mu się stanie, policja dowie się o ich planach. - Oficer wzruszył ramionami. - Widocznie jednak nie zdążył tego zrobić albo powiedział im, a oni postanowili zabić nie tylko jego, ale i Rudiego.

Sanchez zamyślił się, przez kilka sekund spoglądał w okno, po czym dodał:

- Jest jeszcze inna możliwość. Załóżmy, że Rudi w jakiś sposób dowiedział się o planowanym spotkaniu tych ludzi. Postanowił podsłuchać i nagrać ich rozmowę, żeby zdobyć więcej informacji, ale coś poszło nie tak jak należy, w wyniku czego został zabity, a razem z nim ta dziewczyna. Nie rozumiem tylko, co ona mogła mieć z tym wspólnego. - Wzruszył ramionami.

- Być może po prostu o niewłaściwej porze znalazła się w niewłaściwym miejscu albo w jakiś sposób pomagała Rudiemu i zapłaciła za to życiem...

- Jaki zasięg miał sprzęt, którym posługiwał się Hernandez? - zapytał Volkmann.

- Nie wiem dokładnie, ale wątpię, żeby większy niż osiemset, może tysiąc metrów.

- Więc Rudi mógł wcale nie spędzić tej nocy w domu dziewczyny, tylko zupełnie gdzieś indziej, podsłuchując rozmowę; naturalnie jeśli pańska teoria jest prawdziwa.

- Zgadza się. Jediną wskazówkę stanowią dla nas zeznania strażnika z dworca kolejowego, który twierdzi, że widział go wchodzącego na teren stacji. - Kapitan rozłożył bezradnie ręce.

- Kto wie, co tam robił, a przede wszystkim, czy to na pewno był on? Może

szedł, żeby zainstalować sprzęt? Choć to akurat wydaje się mało prawdopodobne, bo strażnik utrzymuje, że człowiek, w którym potem rozpoznał Rudiego, miał puste ręce i przebywał na dworcu nie więcej niż pięć minut. Gdyby niósł sprzęt, musiałby mieć przy sobie jakąś torbę albo teczkę.

Volkman nie spuszczał wzroku z otyłego policjanta.

- Załóżmy jednak, że to był Hernandez. Po co ktoś miałby chodzić w środku nocy na dworzec kolejowy? I dlaczego wszedł boczną bramą?

Joseph tylko zastanawiał się na głos, lecz kapitan zmarszczył brwi, szukając odpowiedzi na zadane pytania.

- Może tamtędy miał bliżej? - odezwał się po dłuższej chwili. - A przyszedł po to, żeby kupić bilet, bo postanowił czym prędzej wyjechać z Asunción, ale wrócił z niczym, bo o tej porze kasy są zamknięte.

- Nie sądzi pan, że Hernandez wiedziałby o tym i zaczekał do rana?

Sanchez skinął głową.

- Istotnie. A więc mamy kolejny problem. Jeśli Rudi rzeczywiście zjawił się na stacji i został tam tylko przez kilka minut, to znaczy, że miał tam coś do załatwienia, ale co? Niestety, nie wiem. Po co ludzie przychodzą w środku nocy na dworzec kolejowy? Żeby wsiąść do pociągu albo odebrać kogoś, kto ma przyjechać, ale w tym wypadku żadna z tych ewentualności nie wchodzi w rachubę.

Kapitan spojrzał na dziewczynę. W tej samej chwili Erika podniosła głowę; przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy, po czym dziewczyna opuściła wzrok i na nowo pogрузzyła się w myślach. Co prawda przysłuchiwała się rozmowie, lecz jednocześnie zdawała się być zaabsorbowana czymś innym.

Wciąż rozpamiętuje stratę przyjaciela, pomyślał Sanchez i przeniósł spojrzenie na Volkmana. Gringo miał skupiony wyraz twarzy i z głęboką zmarszczką na czole analizował uzyskane niedawno informacje.

- Jak wygląda sprawa z pozostałymi hotelami? - zapytał wreszcie Joseph.

- Moi ludzie jeszcze się nie zgłosili. Poproszę dziewczyny z dyspozytorni, żeby spróbowały mnie z nimi połączyć.

Sanchez podniósł się z krzesła, zebrał porozkładane papiery, schował je do teczki, po czym otworzył jedną z zamykanych na klucz szuflad w metalowej tezafie, włożył tam teczkę, zamknął szufladę i starannie przekręcił klucz w zamku.

Odwróciwszy się ponownie napotkał spojrzenie dziewczyny, ale tym razem nie było ono zamyślane i nieobecne, lecz bystre i skupione. Nie odrywając wzroku od twarzy oficera sięgnęła do torebki, wyjęła z niej coś i pokazała mu na otwartej dłoni.

Sanchez spojrział na jej rękę. Trzymała w niej pęk kluczy do mieszkania Hernandez. Ostrożnie, jakby bała się go uszkodzić, ujęła w dwa palce jeden z nich, sprawiający wrażenie, jakby należał do zupełnie innego kompletu, i powiedziała po hiszpańsku:

- Zapytał pan, po co Rudi poszedł w nocy na dworzec kolejowy... Na stacjach są specjalne skrytki dla ludzi, którzy chcą na jakiś czas zostawić bagaż, prawda?

Kapitan uniósł brwi, przez jakiś czas przyglądał się jej z uznaniem, po czym odparł w swoim ojczystym języku:

- Ma pani rację. Dziewczyna zawahała się.

- Może to klucz od takiej skrytki?

Volkman z narastającą irytacją spoglądał to na kapitana, to na Erikę, zastanawiając się, o czym oni u diabła rozmawiają.

Główne wejście do budynku dworcowego znajdowało się od strony Placu Urugwaju.

W obszernej hali spało na ławkach kilku pijaków, na posadzce zaś, tuż przy sklepikach z żywnością i napojami, koczowały liczne rodziny ubogich przybyszów z północy i południa kraju; nie znalazłszy w stolicy spodziewanej pracy i dostatku, Indianie oraz mestizos czekali na poranne pociągi, by wrócić do miasteczek i wsi, które niedawno opuszczali z nadzieją na poprawę swego losu. Byli tak biedni, że nie mogli sobie pozwolić nawet na nocleg w jednym z najtańszych hoteli, w które obfitowało bezpośrednie otoczenie dworca. Niektórzy nie spali, tylko podejrzliwie przyglądali się trojgu zamożnie ubranym ludziom, zmierzającym szybkim krokiem

w stronę schowków na bagaże.

W powietrzu czuć było ciężką woń oleju napędowego pozostawioną przez dieslowskie lokomotywy. Sanchez rozglądał się ukradkiem; dworzec prawie wcale się nie zmienił od czasu, kiedy dawno, dawno temu wyruszał stąd w odwiedzinach do dziadków mieszkających w Villarrica. Schowki powinny znajdować się w głębi po prawej stronie, za pozamykanymi o tej porze sklepikami.

Istotnie, po chwili ujrzeli dwie równoległe ściany metalowych drzwiczek, każda wysokości dwóch i długości kilkunastu metrów. Sanchez stanął twarzą do tej po prawej stronie i wyciągnął rękę.

- Klucze, señorita.

Erika wręczyła mu pęk kluczy Hernandeza.

Oficer przyjrzał się im uważnie. Dwa z nich z pewnością nie miały nic wspólnego z mieszkaniem, biurem ani samochodem Rudiego. Jeszcze w budynku komendy zapytał dziewczynę, skąd przyszło jej do głowy podejrzenie, że Hernandez może coś trzymać w schowku na dworcu, lecz ona tylko wzruszyła ramionami.

Przecucie. Szósty zmysł. Chwila olśnienia.

Indianie żyjący w jego ojczystych stronach mieli na to własne określenie: moniataahka. Głos z innego świata. Kto wie, może dziewczyna ma rację. Może istotnie to tu znajduje się to bezpieczne miejsce, o którym wspominał Rudi.

Sanchez ujął dwoma palcami ten sam klucz, który niedawno przykuł uwagę Eriki. Dlaczego właśnie ten, a nie tamten? Cóż, policjant też może mieć przecucia.

Najbliższe drzwiczki miały numer dwadzieścia siedem. Sanchez włożył klucz do zamka, spróbował przekręcić. Bez powodzenia.

Wyjął klucz, spojrzął na twarze Volkmana i dziewczyny. Malowała się na nich nadzieja wymieszana z niepewnością. Kapitan cofnął się o krok, po czym ruszył w kierunku szafek oznaczonych najniższymi numerami.

- Myślę, że powinniśmy zacząć od początku. Tak będzie chyba najlogiczniej, prawda?

Rozdział 16

Asunción 6 grudnia, godz. 3.45

Powietrze w pokoju Sancheza było aż szare od dymu.

Volkmann pociągnął łyk mocnej, aromatycznej kawy, którą niedawno przyniósł sierżant, i spojrzął na oficera. Nalana twarz Sancheza miała niezdrowy ziemisty kolor, oczy zaś były jeszcze bardziej podkrążone i zapuchnięte niż zazwyczaj. Kapitan sprawiał wrażenie przemęczonego, w przeciwieństwie do Eriki, która wyglądała zaskakująco świeżo.

Joseph, choć potwornie zmęczony i obolały jak po długotrwałym wysiłku fizycznym, zupełnie nie odczuwał znużenia, ale zawdzięczał to nie tyle swojej odporności, co raczej pobudzającemu działaniu kawy i papierosów. Zarejestrowana na taśmie rozmowa nie wyjaśniła prawie żadnych wątpliwości, dawała natomiast podstawy do snucia niepokojących domysłów.

Kasetę oraz sześć fotografii znaleźli w schowku numer trzydzieści dziewięć. Wszystkie zdjęcia (wykonano je aparatem wyposażonym w silny teleobiektyw) przedstawiały tych samych dwóch mężczyzn przechadzających się po ogrodzie okalającym rozległy dom o białych ścianach.

Jednym z nich był Dieter Winter. Jasne włosy oraz twarz o wyrazistych, ostrych rysach były identyczne jak na zdjęciu, które przysłano faksem Sanchezowi. Drugi, znacznie starszy mężczyzna, wydał się kapitanowi dziwnie znajomy. W drodze powrotnej z dworca do komendy szukał pilnie w pamięci, aż wreszcie znalazł; co prawda najpierw skojarzył sobie białą willę, dopiero potem zaś jej właściciela, ale najważniejsze było to, że dokonał identyfikacji. Człowiekiem towarzyszącym Winterowi był Nicolas Tsarkin, który popełnił samobójstwo na dwa dni przed śmiercią Rudiego. Bardzo podobna fotografia stała na półce w gabinecie starca - w domu, gdzie kapitan Sanchez po raz ostatni widział żywego Rudiego Hernandez. Porozrzucane, pozornie nie mające ze sobą żadnego związku elementy układanki powoli zaczynały tworzyć zarys sensownej całości. Tylko jedna rzecz

zupełnie nie pasowała do wyłaniającego się obrazu: taśma.

Przesłuchali ją osiem razy. Na użytek Sancheza Erika przetłumaczyła treść rozmowy na hiszpański, po czym sporządziła jej wierną transkrypcję. Kapitan wielokrotnie przeczytał całość od początku do końca, prosząc o wyjaśnienie niejasnych fragmentów i upewniając się, czy dziewczyna dobrze zrozumiała każde słowo, lecz wciąż nie udało mu się zbliżyć nawet o krok do rozwiązania zagadki.

Teraz popatrzył przez kłęby papierosowego dymu na Volkmana i zapytał:

- Chce pan jeszcze raz posłuchać nagrania?

Joseph skinął głową. Tak, chciał jeszcze raz przesłuchać taśmę. Może wreszcie rozjaśni mu się w głowie.

Sanchez uruchomił stojący na biurku magnetofon, rozparł się na krześle i zapalił kolejnego papierosa.

Ciasne pomieszczenie znowu wypełniły lekko zniekształcone, gardłowe głosy. Volkman znał już niemal na pamięć treść rozmowy, ale jej sens w dalszym ciągu pozostawał dla niego tajemnicą.

- Co z dostawą?

- Zgodnie z planem ładunek będzie dostarczony do Genui.

- A Włoch?

- Zostanie zlikwidowany, ale nie to jest najważniejsze. W tej chwili najbardziej zależy mi na tym, żeby transport nie ściągnął na siebie niczych podejrzeń. Moim zdaniem trzeba poczekać, aż Brandenburg wejdzie w końcowy etap realizacji, i dopiero wtedy rozprawić się z Włochem oraz pozostałymi.

Chwila milczenia.

- Ci, którzy złożyli przysięgę lojalności... Musimy być ich całkowicie pewni.

- Potwierdzili już swoją decyzję. Ich rodowód jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Co z Turkiem?

- Me przewiduję żadnych problemów.

- A dziewczyna? Czy aby na pewno można na niej polegać?

- Nie zawiedzie nas. Ręczę za to głową. Krótkie milczenie.

- Przypuszczam, że na liście nie zaszły żadne zmiany?

- Nie. Ci ludzie muszą zginąć.

- Kiedy macie zamiar opuścić Paragwaj?

- Szóstego.

- Może więc powinniśmy jeszcze raz przypomnieć sobie szczegółowy plan działań na najbliższe tygodnie?

Tym razem milczenie trwało znacznie dłużej, aż wreszcie przerwał je zachrypnięty głos:

- Okropnie tu gorąco. Mogę napić się wody?

Zaraz potem rozległ się brzęk szkła, odgłos nalewanej wody, po czym coś trzasnęło donośnie i z głośnika zaczęło wydobywać się jednostajne buczenie.

Sanchez pochylił się do przodu, włączył przewijanie, po chwili ponownie wcisnął klawisz z napisem Play. Buczenie nie ucichło, ale stało się mniej dokuczliwe, spoza niego zaś, jak zza grubej warstwy waty, dobiegły męskie głosy:

- Prosit.

- Prosit.

- Prosit.

Znowu chwila ciszy, a wreszcie:

- Musimy już ruszać, bo czeka nas daleka droga na północ. Kierowca odwiezie pana do bezpiecznej kwatery.

Kapitan zaczekał trochę, a kiedy z głośnika dobiegło trzaśnięcie zamykanych drzwi, pochylił się na krześle, sięgnął ręką i wyłączył magnetofon.

Volkman spoglądał na notatki będące częściowym zapisem stenograficznym rozmowy, które nabazgrał wcześniej w notesie. Na samym początku Sanchez zapytał o znaczenie słowa „Brandenburg”; Erika wyjaśniła mu, że tak nazywa się miasto położone na zachód od Berlina, Brandenburgia zaś to jedna z historycznych prowincji Niemiec. Od niej właśnie wzięła nazwę słynna Brama Brandenburska wzniesiona nieopodal Reichstagu, czyli niemieckiego parlamentu. Kapitan

podziękował za informacje skinieniem głowy, ale jego mina świadczyła o tym, że niewiele mu pomogły.

Teraz, po godzinie spędzonej na wielokrotnym przesłuchiowaniu taśmy, byli równie dalecy od rozwiązania zagadki jak wtedy, kiedy kapitan po raz pierwszy włączył magnetofon.

Volkmann zmarszczył brwi, usiłując jeszcze raz skoncentrować się na treści rozmowy. Tylko jedna rzecz nie ulegała najmniejszej wątpliwości: uczestniczyli w niej trzech mężczyzn.

„Kiedy macie zamiar opuścić Paragwaj?”

„Szóstego”.

Szóstego. Czyli dzisiaj.

Poprosił Sancheza o przewinięcie taśmy do tego fragmentu. Ten sam głos, który wspomniał o szóstym grudnia, powiedział później: „Musimy już ruszać, bo czeka nas daleka droga na północ...” Na północ, czyli dokąd? Zdaniem kapitana „północ” oznaczała w Paragwaju rozległe, częściowo podmokłe tereny porośnięte dżunglą, zwane po prostu Chaco. Sanchez wskazał im je na pożółkłej mapie.

Ale „północ” mogła oznaczać także Brazylię, Boliwię... albo na przykład północne przedmieścia Asunción. Cokolwiek.

Volkmann spojrzał na policjanta.

- Mógłby pan powtórzyć, co wiecie o tym starcu, który popełnił samobójstwo?

Sanchez otworzył jedną z teczek leżących na biurku. Oprócz sporządzonego osobiście przez niego raportu zawierała także informację o wynikach sekcji zwłok oraz list od onkologa ze szpitala Świętego Ignacego.

- Od ubiegłego tygodnia, to znaczy od chwili, kiedy zawiadomiono nas o samobójstwie, nie zdobyliśmy nic nowego. Nicolas Tsarkin miał osiemdziesiąt dwa lata, był emerytowanym biznesmenem, od wielu lat obywatelem Paragwaju, byłym dyrektorem i prezesem zarządów wielu firm. Dwudziestego trzeciego listopada lekarze, którzy przeprowadzili rutynowe badania w szpitalu Świętego Ignacego, poinformowali go, że ma przed sobą najwyżej czterdzieści osiem godzin życia. Rak

zoładka. Ani trochę nie zdziwiła ich informacja o jego samobójstwie; podobno bardzo cierpiał, bo środki przeciwbólowe przestały już działać.

- Jest pan pewien, że to było samobójstwo?

Sanchez skinął głową, po czym ziewnął, zasłaniając usta ręką, i kilka razy zamrugnął opuchniętymi powiekami.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości. Był wtedy sam w gabinecie, a kiedy dowiedzieliśmy się o jego chorobie, sprawa stała się oczywista i szybko zamknąłem śledztwo. Teraz jednak wygląda na to, że powinniśmy się uważnie przyjrzeć temu Tsarkinowi. Jeden z moich ludzi z samego rana pojedzie do Urzędu Imigracyjnego i przywiezie wszystkie dokumenty na jego temat, inny zaś właśnie teraz przeszukuje dom Tsarkina, na wypadek, gdyby znajdowało się tam coś interesującego.

Volkmann nie spuszczał wzroku z otyłego policjanta.

- Wspomniał pan, że w gabinecie zastaliście otwarty sejf, a w kominku jeszcze ciepły popiół.

- Owszem, ale nie widzę w tym nic dziwnego. Ludzie, którzy zamierzają odebrać sobie życie często niszczą listy, pamiątki i rzeczy osobiste. - Oficer wzruszył ramionami. - Szczególnie jeśli mają coś do ukrycia, a obecnie wiele wskazuje na to, że Tsarkin miał, i to całkiem sporo.

Sanchez umilkł na chwilę i pogрузzył się w myślach, ale szybko podjął przerwany wątek:

- Kiedy Rudi zjawił się w willi Tsarkina, sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego. Chciał jak najwięcej dowiedzieć się o denacie, choć jednocześnie zależało mu na tym, by niczego po sobie nie okazać. Na kilka minut zostawiłem go samego w gabinecie, a kiedy wróciłem, właśnie odkładał słuchawkę. Powiedział, że telefonowano z redakcji, ale nie jestem pewien, czy tak było naprawdę. Mój człowiek także ma to sprawdzić, a przy okazji skontrolować, dokąd dzwoniło z domu Tsarkina po śmierci właściciela.

Na zewnątrz wciąż jeszcze panowała ciemność. Sanchez z najwyższym trudem powstrzymywał się przed zamknięciem oczu. Udawało mu się nie zasnąć na

siedząco chyba tylko dlatego, że palił papierosa za papierosem. Właściwie powinien skończyć pracę wczoraj o piątej po południu, ale długoletnia służba w policji nauczyła go, że wszelkie plany mogą ulegać częstym zmianom. Zadzwoił do żony i uprzedził ją, że wróci bardzo późno, miał bowiem przeczucie, iż nieprędko uda mu się wyjść z budynku komendy. Przeczucie okazało się słuszne.

Zamrugał ponownie i potarł oczy palcami, usiłując zwalczyć obezwładniające zmęczenie. Starał się skoncentrować, zmusić odmawiający posłuszeństwa umysł, by ponownie zajął się analizowaniem zarejestrowanej na taśmie rozmowy, tropieniem wskazówek oraz poszukiwaniem śladów, które mogłyby wskazać drogę wiodącą do rozwiązania zagadki.

- Kiedy otrzyma pan informacje dotyczące przeszłości Tsarkina? - zapytał Volkmann.

Sanchez bezradnie rozłożył ramiona.

- Urząd Imigracyjny otwierają dopiero o siódmej, ale wątpię, czy od razu uda się wszystko znaleźć. Poszukiwania dokumentów bywają żmudne i niekiedy trwają nawet kilka dni, ale jestem pewien, że podstawowe fakty, to znaczy skąd i kiedy przybył, ustalimy jeszcze jutro... to znaczy dzisiaj. Oprócz tego każę jeszcze raz przesłuchać służących. Może oni wiedzą coś o swoim zmarłym pracodawcy? Na przykład z kim robił interesy, u kogo bywał, a kogo zapraszał do siebie...

Sanchez spojrział na zegarek: zbliżała się czwarta nad ranem. On także doskonale zapamiętał słowa wypowiedziane przez jednego z mężczyzn: „Wyjeżdżamy szóstego”. Dźwignął się z wysiłkiem z fotela, rozprostował ramiona. Choć powietrze było gęste od dymu, który wzmagił pieczenie zmęczonych oczu, zapalił kolejnego papierosa.

Podszedł do okna i otworzył je nieco szerzej, lecz niewiele to dało, ponieważ na zewnątrz panował lepki upał, a liście palm zwisały smętnie, nie poruszane nawet najlżejszym podmuchem wiatru. Nieco dalej po prawej stronie wznosiła się różowa kopuła Panteonu, pomnika wystawionego bohaterom poległym dawno temu na polach bitew. Dwaj żołnierze pełniący wartę przed wejściem do oświetlonego

blaskiem reflektorów budynku także sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych.

Vellares Sanchez westchnął ciężko, zaciągnął się dymem i spoglądając na opustoszałą ulicę pograżył się w myślach. Trzy przecznice od komendy policji przed wejściem do hotelu zatrzymała się taksówka. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni w średnim wieku oraz dwie młode kobiety; oni elegancko ubrani i lekko chwiejący się na nogach, dziewczyny roześmiane, w krótkich obcisłych sukienkach i pantoflach na wysokim obcasie.

Biznesmeni, którzy w dzień załatwiali interesy, wieczorem zaś wyruszyli na obchód nocnych klubów stolicy, pomyślał kapitan. A te dziewczyny to zapewne kurewki. Odprowadził wzrokiem taksówkę, jeszcze raz napełnił płuca papierosowym dymem, po czym odwrócił się, by napotkać badawcze spojrzenia Volkmana i Eriki.

- Jakiś problem? - zapytał Joseph. Sanchez pokręcił głową.

- Nie, tylko pytanie. Sam je pan zresztą zadał. Winter zawsze wynajmował apartament, zgadza się? Zapytał pan, po co samotnemu mężczyźnie dwupokojowy apartament, tym bardziej, jeśli zatrzymuje się w hotelu tylko na jedną lub dwie noce. Żeby komuś zaimponować? Żeby zaprosić kobietę? - Kapitan umilkł na chwilę, po czym dodał tym samym spokojnym tonem: - A może po to, żeby zorganizować spotkanie, w którym ma wziąć udział więcej osób?

Zaczekał kilka sekund, jakby chciał dać czas swoim gościom na przemyślenie tej możliwości.

- Także osoba, która chciałaby potajemnie przysłuchiwać się takiemu spotkaniu, miałaby w hotelu znakomite możliwości, nieprawdaż? - Wyjął z teczki listę hoteli, w których zatrzymywał się Winter, popatrzył na nią sceptycznie i wzruszył ramionami. - Cóż, w każdym razie warto spróbować. Na razie i tak nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

- Tak, to istotnie dość ciekawy pomysł - przyznał Volkman. - Ale od którego hotelu powinniśmy zacząć? Winter korzystał przecież z kilku.

Sanchez nie zastanawiał się ani sekundy.

- Od tego, w którym zatrzymywał się najczęściej. To Excelsior. Wy też tam mieszkacie. A potem zajmiemy się hotelem Guarani.

Recepcjonista stwierdził stanowczo, że musi zawiadomić kierownika zmiany. Człowiek ów pojawił się zaledwie po kilku chwilach, ubrany w ciemny garnitur, w nieskazitelnie białej koszuli, gładko ogolony i, pomimo wczesnej pory, sprawiający wrażenie wyspanego i wypoczętego.

Sanchez pokazał mu legitymację, po czym powtórzył prośbę, z którą najpierw zwrócił się do recepcjonisty. Kierownik nie sprawiał najmniejszych trudności; skinął uprzejmie głową, po czym zaprosił ich do niewielkiego biura o ścianach zastawionych metalowymi regałami. Zarówno na półkach, jak i na szafkach oraz biurkach panował nienaganny porządek.

Mężczyzna w garniturze wskazał gościom krzesła, po czym zwrócił się do Sancheza:

- Byłby pan uprzejmy przypomnieć, o który konkretnie dzień chodzi?

- Dwudziesty piąty listopada.

Kierownik podszedł do jednej z szafek, otworzył szufladę, przez chwilę grzebał w niej zawzięcie, po czym wydobyl spięty gumką plik formularzy rejestracyjnych i wrócił z nimi do biurka.

- Czy interesuje pana jakieś konkretne nazwisko?

- Hernandez. Rudi Hernandez. Przypuszczamy, że mógł się zatrzymać w waszym hotelu.

- Wszystkie informacje na temat gości rejestruje komputer, ale na wszelki wypadek przechowujemy także formularze, więc nie powinno być problemu ze znalezieniem tego, o który chodzi. - Zaczął błyskawicznie przerzucać arkusiki grubego papieru. - Hernandez... Hernandez... Jest. - Spojrzał na kapitana, jakby chciał powiedzieć: A nie mówiłem? - Hernandez, tyle że nie Rudi, a Morites... Tak, Morites Hernandez.

Sanchez wziął formularz od kierownika i szybko przebiegł wzrokiem zawarte tam informacje. Kupiec branży tekstylnej, Sao Paulo... Spojrzał na Erikę.

- Señorita, czy ma pani przy sobie jakiś list od Rudiego? - zapytał po angielsku.

Dziewczyna zawahała się, zerknęła na Volkmana, wreszcie podjęła decyzję.

- Przy sobie nie, ale w pokoju... Tylko jeden, ostatni.

- Czy zechciałaby pani go przynieść?

Erika bez słowa skinęła głową i wyszła z pokoju. Pięć minut później wróciła i wręczyła policjantowi list, ten zaś rozłożył go i nie zwracając uwagi na zdziwioną minę kierownika zmiany porównał charakter pisma. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że bardzo się od siebie różnią; list napisano zamasyście, dużymi, wyraźnymi literami, natomiast pismo na formularzu było drobne i mocno pochylone w jedną stronę.

Kapitan zwrócił formularz kierownikowi.

- Niestety, to nie ten Hernandez, którego szukamy.

Mężczyzna sprawiał wrażenie dość zadowolonego. Wyglądało na to, że ten gruby policjant zaraz sobie pójdzie. Niestety, kapitan sprawił mu poważny zawód.

- Ile osób przebywało w hotelu dwudziestego piątego listopada?

- Mielśmy wtedy spory ruch - odparł kierownik nienaganną angielszczyzną. -

Dobrze pamiętam ten dzień: międzynarodowa konwencja, kilka zjazdów...

- Ilu konkretnie? - przerwał mu Sanchez.

- Około trzystu.

Kapitan westchnął z rezygnacją, kierownik zaś bezradnie rozłożył ramiona.

- Przykro mi, że nie mogłem panu pomóc.

Nagle kapitan wyprostował się i spojrzał ostro na mężczyznę w garniturze.

- Będziemy musieli przejrzeć wszystkie formularze - stwierdził stanowczo.

Kierownik wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Wszystkie, señor?

- Si. Proszę także dostarczyć mi listę gości, którzy dwudziestego piątego listopada mieszkali w hotelu. Nazwiska, numery paszportów, jeśli byli cudzoziemcami, kto rezerwował im pokoje i kto regulował rachunki. Chyba macie te

informacje w komputerze?

Oniemiały kierownik zdołał tylko skinąć głową.

- Wobec tego proszę się tym natychmiast zająć.

- Señor, o tej porze... Mam wiele obowiązków... Może kiedy przyjdzie dzienna zmiana...

Sanchez był nieubłagany.

- Potrzebuję tych informacji teraz, nie za dwie ani trzy godziny, więc proszę od razu wziąć się do roboty, bo w przeciwnym razie będę musiał skontaktować się z pańskim przełożonym. - Umilkł na chwilę, po czym dodał znacznie łagodniejszym tonem: - Będziemy ogromnie wdzięczni za pomoc, señor.

Mężczyzna zawahał się, przez chwilę zmagał się ze sobą, po czym z rezygnacją machnął ręką.

- W porządku. Zobaczę, co się da zrobić. Odwrócił się, by odejść.

- Jeszcze jedno - powiedział Sanchez.

- Tak?

- Czy moglibyśmy dostać dzbanek mocnej kawy? Mężczyzna skinął w milczeniu głową i szybko wyszedł z pokoju.

Volkmann spojrział na zegarek. Właśnie minęła piąta rano.

Rozdział 17

Północnow schodnie Chaco godz. 5.40 obudziły go odgłosy dżungli.

Podniósł się z łóżka, odsunął moskitierę i ubrał się powoli. Kiedy jego wzrok dostosował się do półmroku, mężczyzna rozejrzał się po pokoju; oprócz łóżka w pomieszczeniu znajdowały się tylko spakowane walizki oraz powieszony na drzwiach ubranie, starannie uprasowane przez któregoś z chłopców. Zapinając koszulę nie mógł się uwolnić od myśli o dzieciakach. Cóż, ich śmierć była koniecznością. Tylko w ten sposób miał szansę zapewnić sobie całkowite bezpieczeństwo.

Ubrawszy się przeszedł do kuchni, gdzie zastał Krugera siedzącego przy stole ze szklanką wody w ręce i papierosem w ustach. Sądząc po mocno podkrążonych oczach i opuchniętej twarzy, chyba prawie wcale nie spał tej nocy.

- Spaliliśmy wszystkie zapasy - powiedział Kruger. - Jeśli chce pan zjeść śniadanie, jest tylko woda w butelkach i suszone orzechy.

Człowiek o srebrzystych włosach skinął lekko głową.

- Wystarczy woda, Hans.

Kruger zdusił niedopałek w pustym pudełku po papierosach, podszedł do zlewu znajdującego się w kącie pomieszczenia i otworzył butelkę wody mineralnej. Na suszarce stały dwie szklanki; wziął jedną z nich, opłukał, po czym nappełnił aż po krawędź i podał mocomodawcy.

Mężczyzna o srebrzystych włosach upił trochę wody, następnie zaś stanął przy otwartym na oścież oknie i wpatrzył się w ciemną ścianę dżungli, doskonale widoczną na tle coraz jaśniejszego nieba. Wkrótce powinno zrobić się zupełnie widno. Spomiędzy drzew dobiegały przeraźliwe wrzaski ptaków. Jeden z nich, o jaskrawożółtym upierzeniu, śmignął w powietrzu kilka metrów od okna.

Mężczyzna wypił jeszcze łyk wody, odwrócił się i spojrzał na Krugera.

- Co z chłopcami?

- Załatwione. Schmidt to fachowiec wysokiej klasy. Ani trochę nie cierpieli, a nawet gdyby ktoś znalazł ciała, z pewnością nie uda się ich zidentyfikować.

Kruger umilkł, ponieważ przez twarz starszego mężczyzny przemknął bolesny grymas; odczekał chwilę, po czym dodał:

- Postanowiliśmy poczekać do świtu ze spaleniem reszty rzeczy. Franz i jego ludzie zjawią się za godzinę, żeby zabrać samochody, a parę drobiazgów trzeba będzie jeszcze wrzucić na ciężarówkę. Potem sprawdzimy, czy wszystko zostało zabrane i zrobimy porządek z samym domem.

Srebrzystowłosy mężczyzna spojrzał w kierunku werandy, rozejrzał się po kuchni. To tutaj jako dziecko za karę spędzał w samotności długie godziny.

Otrząsnął się ze wspomnień i odstawił na stół szklankę.

- Przejdę się trochę, Hans. Ludzie niech zostaną w domu. Chcę być sam.

Uśmiechnął się, dostrzegłszy wyraz niepokoju na twarzy Krugera, i poklepał go uspokajająco po ramieniu.

- Nic mi nie będzie, Hans. Tutaj nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

- Oczywiście. Jak pan sobie życzy.

Mężczyzna o srebrzystych włosach wyszedł na korytarz i skierował się w stronę wyjścia z budynku.

Kruger odprowadził go spojrzeniem, po czym zerknął na zegarek; dziesięć po szóstej.

Jeszcze trzy godziny. Jeszcze trzy godziny i wszyscy wreszcie znajdą się daleko od tego przekłętego miejsca.

Sięgnął po kolejnego papierosa.

Asunción godz. 5.55

Odszukanie tego jednego, jedyne formularza zajęło im prawie godzinę.

Znalazł go Volkmann, siedząc wraz z Eriką i Sanchezem przy biurku i porównując charakter pisma na każdym formularzu meldunkowym z charakterem pisma w liście od Rudiego. Co prawda na druczku widniało nazwisko niejakiego Roberto Ferrera, ale charakterystyczne zamaszyste zawijasy, a przede wszystkim podpis nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości: ten formularz bez wątpienia wypełnił osobiście Rudi Hernandez.

Zaraz potem kapitan zażyczył sobie wykazu gości, którzy tamtego dnia mieszkali na pierwszym i drugim piętrze hotelu. Komputerowy wydruk leżał już na biurku, ale nie zdążyli jeszcze do niego zajrzeć, ponieważ Sanchez właśnie wypytywał kierownika nocnej zmiany, po którego minie można by sądzić, że najchętniej poszedłby już do domu.

- Czy należność za pokój, który wynajął señor Ferrer, uregulowano gotówką?

Co prawda adnotacja na ten temat znajdowała się na formularzu meldunkowym, lecz kapitan wolał się upewnić. Trochę zdziwił go fakt, że señor Ferrer zapłacił także za butelkę szampana i kanapki.

- Tak, señor. Gotówką - odparł kierownik, spoglądając znacząco na druczek trzymany w ręce przez oficera.

- A co z kluczem? Czy zwrócono go do recepcji?

- Nasi goście nie muszą oddawać kluczy, ponieważ posługują się plastikowymi kartami kodowymi. Komputer zmienia kod za każdym razem, kiedy do pokoju wprowadza się ktoś nowy. Kiedy nasi goście kończą pobyt w hotelu, mogą wyrzucić swoją kartę albo zachować ją na pamiątkę.

Sanchez z aprobatą skinął głową.

- Czy chce pan obejrzeć pokój, w którym mieszkał señor Ferres? - zapytał kierownik. - Zdaje się, że chwilowo nikt w nim nie mieszka.

- Może później - odparł kapitan.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że takie oględziny nic nie dadzą, ponieważ w ciągu minionych dziesięciu dni pokój był sprzątny co najmniej kilka razy. Spojrzał na zegarek: kwadrans po szóstej.

- Gdyby w pokoju señora Hernandeza... to znaczy, señora Ferrera, wybuchło jakieś zamieszanie, z pewnością obsługa hotelu wiedziałaby coś na ten temat?

Na twarzy kierownika pojawił się wyraz niepokoju.

- Jakie zamieszanie, señor! Sanchez wzruszył ramionami.

- No, na przykład bójka, głośna awantura albo coś w tym rodzaju.

- Nasz personel sumiennie wykonuje swoje obowiązki - odparł mężczyzna w ciemnym garniturze tonem świadczącym o urażonej godności. - Gdyby miało miejsce takie zdarzenie, natychmiast dowiedziałby się o tym recepcjonista, a on z kolei powiadomiłby kierownika zmiany. - Odprężył się nieco i dodał z pobłażliwym uśmiechem: - Czasem istotnie mamy do czynienia z różnymi nieporozumieniami, ale najczęściej w pokojach zajmowanych przez małżeństwa. Myśli pan, że w pokoju tego señora też wydarzyło się coś takiego?

- Może tak, a może nie.

- Jeśli pan sobie życzy, mogę sprawdzić wpisy w książce życzeń i zażaleń.

- Będę ogromnie wdzięczny. Proszę też zapytać, czy señor Ferrer nie zostawił

czegoś w pokoju.

Kierownik skinął głową, ukłonił się lekko i wyszedł. Sanchez po raz kolejny potarł piekące oczy.

- Szampan i kanapki... - mruknął bardziej do siebie niż do Volkmana i Eriki. - Naprawdę nie rozumiem. Co mu strzeliło do głowy?

Wziął do ręki komputerowy wydruk z nazwiskami gości zajmujących tamtego dnia pokoje na dwóch najniższych piętrach hotelu. Obok każdego nazwiska znajdował się numer pokoju oraz wysokość rachunku. Nagle zamrugał gwałtownie, znowu potarł zmęczone oczy i oderwał wzrok od papierowej wstęgi.

- Chyba wreszcie coś mamy - powiedział głosem, który z założenia miał być zupełnie obojętny, ale nawet średnio uważny słuchacz mógłby bez trudu wychwycić drżenie świadczące o tłumionych emocjach.

Joseph Volkman i Erika Kranz także je usłyszeli i zawiśli wzrokiem na ustach otyłego policjanta.

- Na tym samym piętrze, na którym zamieszkał Rudi, wynajęto apartament. - Dopiero teraz kapitan pozwolił sobie na szeroki uśmiech. - Zarezerwował go niejaki Nicolas Tsarkin.

Kierownik wrócił bardzo szybko z otwartym grubym zeszytem w rękach i poinformował Sancheza, że ani wieczorem dwudziestego piątego listopada, ani rankiem następnego dnia żaden z gości nie uskarżał się na hałasy dobiegającego z któregoś z pokoi na pierwszym piętrze. Tego dnia zanotowano tylko dwie skargi; pierwsza dotyczyła pewnej nadaktywnej seksualnie pary z drugiego piętra, która nie pozwalała zasnąć starszej pani mieszkającej w sąsiednim pokoju, drugą natomiast zgłosiła pokojówka z trzeciego piętra, która stała się obiektem niewyszukanych zalotów jednego z gości.

Kapitan zapytał kierownika, czy mógłby obejrzeć apartament Tsarkina.

- W tej chwili to niestety niemożliwe, bo jest zajęty, ale ma zostać zwolniony z samego rana i wtedy naturalnie nie będzie żadnych problemów.

Sanchez podziękował mu skinieniem głowy.

- Jesteśmy panu ogromnie zobowiązani za pomoc, señor. Rozległo się pukanie do drzwi. Chwilę potem do pokoju wszedł ubrany po cywilnemu mężczyzna i powiedział coś Sanchezowi do ucha, ten zaś przeprosił pozostałych, wstał z krzesła i wraz z nowo przybyłym opuścił pomieszczenie.

Volkman spjrzał na Erikę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w ciągu minionej doby zdążyli przespać zaledwie kilka godzin. Po dziewczynie widać było, jak bardzo jest zmęczona, niemniej czując na sobie wzrok Josepha, odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów i spróbowała się uśmiechnąć.

- Jeśli chcesz, możesz pójść do swojego pokoju, a ja dam ci znać, gdyby wydarzyło się coś ważnego - zaproponował.

Erika pokręciła głową, ale nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ drzwi otworzyły się, do pokoju wszedł kapitan i zwrócił się do nich, ignorując stojącego z niepewną miną kierownika.

- To był detektyw Cavales, któremu zleciłem prowadzenie sprawy Tsarkina. Zdobył wykaz rozmów telefonicznych, które przeprowadzono z willi w ciągu minionych dwóch tygodni. Wśród zamiejscowych są dwie zamawiane w stacji radiowej, z kimś mieszkającym w północno-wschodnim Chaco...

Umilkł na kilka sekund, jakby chciał, żeby ta informacja utorowała sobie drogę do ich świadomości. Choć oboje byli ogromnie zmęczeni, wpatrywali się w policjanta z wyteżoną uwagą.

- Ustaliliśmy nazwisko tego człowieka - ciągnął Sanchez. - To niejaki Karl Schmeltz. Mamy też jego adres. To miejsce na północ od rzeki Salgado, w pobliżu granicy z Brazylią, położone na kompletnym odludziu. Tylko dżungla i skały, i ani żywej duszy dokoła, naturalnie jeśli nie liczyć Indian, ale oni nie są zbyt towarzyscy. Prędzej czy później każdy musiałby powiesić się z nudów.

- Czy to daleko stąd? - zapytał Volkman. Sanchez wzruszył ramionami.

- Co najmniej czterysta kilometrów. Dziesięć godzin jazdy samochodem, bo drogi tam kiepskie.

Joseph spjrzał na zegarek; wpół do siódmej. W tej chwili marzył tylko o tym,

żeby położyć się do łóżka, zamknąć oczy, przespać przynajmniej kilka godzin... Ale za kilka godzin może być za późno.

- Śmigłowcem bylibyśmy na miejscu za dwie godziny - dodał Sanchez. - Może nawet szybciej.

- Załatwi pan to? - spytała Erika. Kapitan skinął głową.

Asunción godz. 6.41

Volkmann spoglądał przez przezroczystą podłogę śmigłowca na szybko malejące budynki Asunción.

W ciasnej kabinie maszyny było bardzo ciepło. Lecieli prosto w słońce, więc ubrany w wojskowy mundur pilot założył ciemne odbłaskowe okulary. Łoskot wirnika sprawiał, że nikt nie palił się do rozmowy.

Oprócz pilota w kabinie znajdowało się pięć osób: Erika, Joseph, Sanchez oraz dwaj detektywi - Cavales i Moringo - uzbrojeni w pistolety oraz samopowtarzalne karabiny. Jeden pocisk wystrzelony z tej broni był w stanie zdemolować nawet duży samochód. Na podłodze kabiny, obok Sancheza, leżały jeszcze dwa wojskowe pistolety maszynowe M-16. Jeden był przeznaczony dla kapitana, drugi dla Volkmana, naturalnie gdyby zaszła konieczność ich użycia.

Śmigłowiec zakołysał się lekko, po czym zaprzestał wznoszenia i pomknął prosto na wschód. Pilot wyjaśnił, że z powodu upału będą mogli osiągnąć maksymalny pułap sześciuset metrów. Joseph spostrzegł, że wysokościomierz wskazuje właśnie tę wartość.

Bardzo szybko znaleźli się nad wydartymi dżungli obszarami uprawy trzciny cukrowej. Gdzieś tam można było dostrzec prymitywne zabudowania z blachy falistej oraz ruiny starych magazynów. Rzeka Paragwaj przez cały czas towarzyszyła im z prawej strony: wstęga szarozielonej wody, wijąca się wśród zielonej dżungli sięgającej aż po horyzont.

Volkmann bez trudu wyczuwał napięcie panujące w kabinie śmigłowca. Wreszcie, po kilkunastu minutach, z głośnika dobiegł metaliczny głos mówiący coś szybko po hiszpańsku. Pilot przełączył odbiór na słuchawki, ponieważ hałas był zbyt

wielki, rozmawiał dość długo przez radio, po czym odwrócił się do Sancheza i powiedział do niego kilka słów po hiszpańsku. Kapitan skinął głową, trącił łokciem siedzącego obok niego detektywa, a następnie odwrócił się do Josepha i Eriki. Musiał prawie krzyknąć, żeby usłyszeli go w hałasie wypełniającym wnętrze maszyny.

- Dostaliśmy wiadomość z Asunción! Tutejsza policja będzie na nas czekać na miejscu! Wskażą nam lądowisko i pomogą, jeśli będzie trzeba. - Zerknął na zegarek. - Powinniśmy tam dolecieć za jakąś godzinę. Co prawda Moringo zna teren, ale nigdy nie słyszał o żadnej samotnej hacjendzie w tej okolicy!

Volkman skinął głową, po czym opadł z powrotem na niezbyt wygodny fotel i skierował spojrzenie w dół, na ciągnącą się bez końca szmaragdową dżunglę. Jej ogrom, w połączeniu z monotonnym łoskotem wirnika i delikatnym drzeniem kadłuba, wywierał na nim hipnotyzujące wrażenie. Wydawało mu się, że jeszcze chwila, a zaśnie.

Z najwyższym trudem oderwał wzrok od zielonego dywanu i spojrzał na dziewczynę. Ich wzrok spotkał się, ale Erika była tak zmęczona, że nawet się nie uśmiechnęła. Przez chwilę patrzyła na niego obojętnie, po czym odwróciła głowę i przymknęła powieki.

Volkman przez jakiś czas obserwował uroczy profil Eriki, a następnie zerknął na zegarek. Właśnie minęła siódma.

Północnowschodnie Chaco godz. 8.25

Kruger stał na werandzie i spoglądał w niebo, wypatrując śmigłowca. Choć wyteżał wzrok, nigdzie nie mógł dostrzec odblasku słońca w pleksiglasowych ściankach kabiny, do jego uszu zaś nie docierał charakterystyczny, przytłumiony szmer, który szybko przerodziłby się w łoskot łopatek wirnika tnących gorące powietrze.

Godzinę temu Franz Lieber odjechał swoim mercedesem na czele kolumny pojazdów, które należało odprowadzić do Asunción. Kierowców czekała długa jazda wąską, wyboistą drogą przez dżunglę, a potem jeszcze dwie lub trzy godziny asfaltową szosą prowadzącą do stolicy.

Mimo wczesnej pory było już gorąco i parno, słońce zaś przesłaniały rozwleczone po niebie, rzadkie obłoki. Kruger miał zamiar odwrócić się i wejść do domu, ale właśnie w tej chwili spomiędzy drzew, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od niego, wyszedł mężczyzna o włosach barwy srebra i złączywszy ręce za plecami ruszył wąską, zarośniętą ścieżką łączącą zabudowania z brzegiem rzeki.

Kruger zatrzymał się na skraju werandy, po czym na wszelki wypadek zerknął w lewo, na czarny, wypalony krąg trawy, z którego wciąż jeszcze unosiły się smużki dymu. I tym razem Schmidt spisał się bez zarzutu: wszystko, co nie zostało zapakowane do drewnianych skrzyń i nie trafiło na ciężarówkę, zostało spalone. Ani w domu, ani w jego otoczeniu nie został najmniejszy ślad, który mógłby pomóc w identyfikacji niedawnych użytkowników nieruchomości.

Przesunął ręką po włosach i zamierzał ponownie spojrzeć w niebo, lecz usłyszał za plecami jakiś szmer. Odwróciwszy się ujrzał starszego mężczyznę wchodzącego powoli na werandę. W chwili, gdy nowo przybyły zatrzymał się obok niego, zaledwie kilka metrów od nich przemknęło z furkotem skrzydeł stado żółtych ptaszków.

- Franz już pojechał ze swoimi ludźmi - powiedział Kruger, odprowadzając wzrokiem rozwrzeszczaną, żółtą gromadę. - Przesyła wyrazy uszanowania i prosił, żebym przekazał, że nie może się doczekać, kiedy dołączy do nas na stałe.

Srebrzystowłosa mężczyzna skinął w milczeniu głową. Wpatrywał się przed siebie niewidzącym spojrzeniem, jakby był głęboko pogrążony w myślach, ale kiedy chwilę później do jego uszu dotarł przytłumiony odgłos podobny trochę do brzęczenie owada, natychmiast skierował wzrok w niebo. To samo uczynił Kruger, lecz na razie żaden z nich nie zdołał niczego dostrzec. Po chwili hałas stał się na tyle wyraźny, że z domu wyszedł człowiek z lornetką i skierował ją w kierunku, z którego dobiegało przybierające szybko na sile brzęczenie.

Człowiek o srebrzystych włosach uśmiechnął się lekko. Hałas narastał z każdą chwilą. Kruger wyteżał wzrok, lecz wciąż nie mógł niczego dostrzec. Dopiero kilka sekund później gdzieś daleko, niezbyt wysoko nad dżunglą, coś błysnęło, znikło,

zaraz potem błysnęło jeszcze raz, i jeszcze. Nie ulegało wątpliwości: nadlatywał śmigłowiec.

Kruger spojrział na zegarek: za dwadzieścia dziewięć.

- Są trochę wcześniej niż się spodziewaliśmy - powiedział półgłosem.

Starszy mężczyzna skinął głową i przeszedł na skraj werandy. Wkrótce potem z budynku wyszedł Schmidt, a za nim jeszcze dwaj ludzie, i także skierowali wzrok ku zbliżającej się maszynie. Człowiek o włosach barwy srebra obrzucił pożegnalnym spojrzeniem miejsce, w którym Schmidt spalił pozostałe dokumenty i niepotrzebne przedmioty. Wiele z nich stanowiło pamiątki z dawno minionych lat, lecz nawet one musiały paść pastwą płomieni.

Został tylko gorący, czarny popiół. Spokojne, błękitne oczy skierowały się na szmaragdową dżunglę, potem zaś mężczyzna odwrócił się do Krugera i powiedział cichym, opanowanym głosem:

- Każ Schmidtowni jeszcze raz sprawdzić dom i otoczenie, a potem niech ludzie zanoszą bagaż na lądowisko.

Volkman pierwszy zauważył samochód. Właśnie pocierał zmęczone, jakby zapiaszczone oczy, kiedy nagle daleko w dole mignęła mu jakaś białoniebieska plamka. Przyjrzawszy się dokładniej stwierdził, że to policyjny radiowóz zaparkowany na skraju gruntowej drogi, jednej z niewielu, jakie w tej okolicy przecinały dżunglę. Na tle soczystej, świeżej zieleni wyglądały jak wstęgi starej, brązowej taśmy przyklepionej nie wiadomo czemu do puszystego dywanu.

Dotknął ramienia Sancheza i wskazał w dół, kapitan zaś niemal natychmiast skinął głową. Pilot także musiał dostrzec już radiowóz, ponieważ śmigłowiec przechylił się na prawą stronę i szybko tracąc wysokość pomknął ku miejscu, gdzie czekały na nich posiłki w postaci miejscowej policji.

Już od kwadransa utrzymywali z nimi łączność radiową. Sanchez przekazywał Volkmannowi informacje uzyskane od sierżanta w radiowozie, teraz zaś odwrócił się do niego i powiedział:

- Sierżant twierdzi, że dom stoi przy tej drodze, zaledwie kilometr stąd.

Zaproponował, żebyśmy spotkali się na miejscu.

Detektyw Cavales, który przez cały czas rozglądał się uważnie, nagle wyciągnął rękę i zawołał:

- Tam! Trochę w lewo od drogi, widzicie?

Pilot spojrział we wskazanym kierunku. Rzadkie chmury wisały dość nisko na niebie, lecz widoczność była na tyle dobra, że wszyscy bez trudu dostrzegli rozległy dom i mniejsze zabudowania gospodarcze. Istotnie, odległość wynosiła około kilometra, może nawet nieco mniej. Budynek miał białe ściany i był nie tylko duży, ale wręcz ogromny, znacznie większy od każdej z kilku hacjend, nad którymi przelatywali w ciągu minionych dwóch godzin. Przed główne wejście prowadziła wysypana żwirem dróżka dojazdowa, łącząca się pod kątem prostym z wyboistą drogą.

Śmigłowiec skręcił raptownie w lewo, pilot krzyknął coś do Sancheza, ten skinął głową i zwrócił się do Volkmana:

- Pilot mówi, że może uda mu się wylądować przed samym domem.

Joseph spojrział w dół, na podążający drogą radiowóz. Koła samochodu wzbijały tumany rdzawego pyłu. Śmigłowiec zmniejszył prędkość, zakołysał się, po czym zawisł na chwilę najwyżej dwieście metrów od zabudowań. Pilot ponownie zawołał coś do kapitana, który natychmiast powtórzył jego słowa Volkmannowi:

- Będziemy lądować na skraju dżungli, ale najpierw przelecimy nad hacjendą. Trzeba sprawdzić, czy nie czekają tam na nas jakieś przykre niespodzianki.

Poklepał pilota po ramieniu i chwilę potem maszyna ruszyła ukosem ku ziemi, nabierając błyskawicznie prędkości. Volkmann poczuł, jak wnętrzości podchodzą mu do gardła, ale nieprzyjemne wrażenie szybko ustąpiło. Sanchez wręczył mu pistolet maszynowy i trzy zapasowe magazynki.

- To na wypadek, gdybyśmy mieli kłopoty. Proszę dopilnować, żeby dziewczyna została w maszynie. Bez względu na to, co się wydarzy.

Volkmann skinął głową, po czym spojrział w lewo, ponieważ odniósł wrażenie, że gdzieś bardzo daleko, nad samym horyzontem, dostrzegł szybko

przemieszczającą się świetlną plamkę, jakby odbłask słońca w szybach z pleksiglasu. Przez chwilę wpatrywał się w tamtą stronę, ale nic już nie zobaczył, więc mocno zacisnął ręce na broni i skierował wzrok w dół, na błyskawicznie umykające do tyłu drzewa.

Niemal natychmiast stało się jasne, że wielki dom o białych ścianach jest pusty.

Pilot okrążył teren posiadłości, następnie wykonał ostry skręt, jeszcze bardziej obniżył pułap i skierował maszynę nad zabudowania, niemal zawadzając podwoziem o wierzchołki najwyższych drzew.

Ani żywej duszy. Z prawej strony domu znajdowała się spora czarna plama, jakby ktoś wylał tam cysterne zużytego oleju przekładniowego, ale kiedy śmigłowiec przemknął nad tym miejscem okazało się, że to pozostałość po dużym ognisku, ponieważ pęd powietrza młóconego łopatkami wirnika porwał w górę mnóstwo niedopalonych resztek oraz płatków sadzy i rozniósł je po najbliższej okolicy.

Nikt nie wybiegł na werandę, nikt nie pojawił się w pozbawionych zasłon oknach, nikt nie wyszedł z mocno podniszczonych zabudowań gospodarczych, stłoczonych w ciasną gromadę na tyłach wielkiego domu.

Volkmann spojrział na Sancheza. Tłuste, pokryte dwudniową szczecią policzki oficera zwisały smętnie niczym połcie niezbyt świeżej słoniny, a na twarzy kapitana malowało się rozczarowanie, jednak jego oczy wciąż czujnie omiatały teren w poszukiwaniu śladu jakiegokolwiek zagrożenia. Całkiem niepotrzebnie, ponieważ białoniebieski radiowóz właśnie zatrzymał się przed wejściem do głównego budynku. Wskoczyli z niego czterej policjanci i trzymając oburącz gotowe do strzału pistolety maszynowe rozbiegli się po terenie posiadłości, aby osłaniać śmigłowiec podchodzący do lądowania na spłachetku równego, porośniętego trawą gruntu między drogą dojazdową a ścianą dżungli.

Sanchez wyskoczył z kabiny jako pierwszy, jeszcze zanim koła zetknęły się z ziemią. W jego ślady natychmiast poszli dwaj detektywi, za nimi zaś Volkmann z pistoletem maszynowym w rękach. Erika została w maszynie z pilotem, który

natychmiast wyłączył silniki.

Wilgotne, przeraźliwie gorące powietrze dżungli uderzyło w nich z siłą kowalskiego młota. Przebiegając pod obracającymi się coraz wolniej łopatom wirnika odruchowo wtulili głowy w ramiona; zaraz potem śmigło znieruchomiło i przez chwilę panowała zupełna cisza, ponieważ leśne ptaki oraz inne stworzenia, przestraszone niezwykłym hałasem, potrzebowały kilku sekund, by wznowić trwający nieprzerwanie od świtu koncert. Kiedy jednak to uczyniły, można było odnieść wrażenie, iż za wszelką cenę starają się nadrobić stracony czas.

Dwaj umundurowani policjanci z samochodu podbiegli do nowo przybyłych i gwałtownie gestykułując rozmawiali o czymś z Sanchezem, który wreszcie skinął głową, schował pistolet do kabury, po czym odwrócił się do Volkmana. Wyraz jego twarzy był bardziej wymowny od słów; zjawili się za późno.

- Chodźmy, amigo - powiedział ze znużeniem w głosie. - Trzeba się trochę rozejrzeć.

Volkman niemal od razu doszedł do wniosku, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Wyjeżdżając skądś zazwyczaj nie zabiera się ze sobą wszystkiego, od ubrań i przedmiotów codziennego użytku poczynając, na meblach i elementach wyposażenia wnętrz kończąc. Nie zostawia się domu nagiego jak szkielet, z którego sępy zdarły każdy, nawet najdrobniejszy strzęp ciała.

Tak właśnie wyglądał ten dom: jak drewniany szkielet. Skrzypienie podłogowych desek niosło się donośnym echem po zupełnie pustych pomieszczeniach.

Erika naturalnie nie zdołała usiedzieć w śmigłowcu i dołączyła do nich; tylko pilot został w swojej maszynie, zupełnie obojętny na wydarzenia rozgrywające się na zewnątrz. Nie zważając na narastający upał żuł flegmatycznie gumę i wsłuchiwał się w dźwięki muzyki dobiegające z głośnika radiostacji, którą dostroił do jednej z lokalnych komercyjnych stacji radiowych.

Dom istotnie był bardzo duży. Volkman doliczył się trzynastu pokoi;

wszystkie były zupełnie puste, w żadnym nie zostawiono nawet dywanu ani zasłon w oknach. Wyglądało na to, że nie zapomniano także o dokładnym zamieceniu wszystkich pomieszczeń.

Sanchez polecił miejscowym policjantom oraz swoim ludziom, żeby przeszukali każdy zakamarek, meldując o wszystkich, nawet pozornie mało istotnych znaleziskach, po czym wraz z Eriką i Josephem wyszedł na zewnątrz, by rzucić okiem na zabudowania gospodarcze.

Dwa z nich zaadaptowano na garaże. Każdy z nich mógł pomieścić dwa samochody osobowe albo sporą ciężarówkę, ale teraz były równie puste jak hacjenda. O tym, że kiedyś, i to wcale nie tak dawno, jednak z nich korzystano, świadczyły jedynie świeże plamy oleju na betonowej posadzce.

Trzeci budynek, w przeciwieństwie do tamtych cały z drewna, pełnił zapewne funkcję magazynu lub miejsca dziecięcych zabaw. Tutaj, dla odmiany, podłoga była nienagannie czysta, natomiast na jednej ze ścian znajdowały się jakieś malowidła wykonane białą farbą. Volkmann i Sanchez przyjrzeni się im uważnie. Wzór był bardzo podobny do pajęczej sieci i rozchodził się promieniście od środka ściany, jakby ktoś tam właśnie zaczął pracę i stopniowo powiększał malowidło aż do chwili, kiedy znudziło go to zajęcie albo ktoś - na przykład dorosły, jeśli założyć, że „artystą” było dziecko - zabronił mu kontynuować dzieło.

Dokonywali oględzin w całkowitym milczeniu. Sanchez nie wypuszczał papierosa z ust, z coraz większym zdumieniem rozglądając się po zupełnie pustych pomieszczeniach. Wreszcie wyszli na zewnątrz i zatrzymali się przy pozostałościach ogniska. Volkmann przykucnął, po czym ostrożnie dotknął popiołu; był mokry, jakby ktoś całkiem niedawno zalał pogorzeliśko znaczną ilością wody. Sięgnąwszy po leżący nieopodal patyk przez chwilę grzebał w czarnej mazi, żywiąc nadzieję, że znajdzie jakieś niedopalone szczątki, które pozwoliłyby domyślić się, co padło pastwą płomieni, ale na nic nie natrafił.

- Co powiedział panu sierżant z miejscowego posterunku? - zapytał Joseph. Co prawda kapitan już zrelacjonował mu rozmowę z policjantem, ale Volkmann

chciał usłyszeć to raz jeszcze.

- Że mieszka tu od urodzenia, ale aż do tej pory nie miał pojęcia o istnieniu tego domu.

- Jak daleko jest stąd do miasta?

- Dwadzieścia kilometrów. Dziesięć do najbliższej hacjendy.

Volkmann rozgarnął stopą kupkę popiołu, po czym spojrzał na Sancheza.

- Co o tym myślisz, Vellares?

Po raz pierwszy zwrócił się do oficera po imieniu. Kapitan otarł czoło wierzchem dłoni, podrapał się po brodzie, wreszcie wzruszył ramionami.

- Tam, skąd pochodzę, mieszka wielu Indian. Zdołałem nauczyć się trochę ich języka. Mają takie specjalne, bardzo dobre słowo... - Wymówił jakiś przeraźliwie długi, niemożliwy do powtórzenia wyraz. - Oznacza ono coś bardzo dziwnego... Coś niezwykłego, a jednocześnie groźnego. - Spojrzał Volkmannowi w oczy. - Chyba wiesz, co mam na myśli?

Joseph skinął głową. Kiedy wszedł do opuszczonego domu, nie wiadomo czemu jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, bynajmniej nie z powodu zmiany temperatury. Odniósł wrażenie, jakby zanurzył się w czymś upiornie złym, okrutnym i niebezpiecznym. Teraz okazało się, że Sanchez ma podobne przeczucie, a jedno spojrzenie rzucone na dziewczynę upewniło go, że ona także nie czuje się zbyt pewnie.

Jednak żadne z nich nie potrafiło nazwać tego nieuchwytnego wrażenia.

Poczuł na sobie wzrok Eriki. Przybyła tu z daleka, by wyjaśnić tajemnicę śmierci przyjaciela. On, Joseph, stanowi teraz jej jedyną nadzieję. Nie wolno mu jej zawieść.

Ktoś krzyknął za ich plecami. Volkmann odwrócił się i ujrzał pilota śmigłowca, który gestykulował z ożywieniem, wołając coś po hiszpańsku do Sancheza. Kapitan ruszył w jego kierunku, po chwili zaś wrócił z jakimś niewielkim przedmiotem w ręku.

- Pilot znalazł to w krzakach - powiedział, wręczając Volkmannowi skrawek

błyszczącego, sztywnego papieru.

Był to nie dopalony fragment bardzo starej, czarnobiałej fotografii. Mniej więcej połowę zdjęcia strawiły płomienie, ale pozostała część, choć nieco sfatygowana, zachowała się w nie naruszonym stanie. Zdjęcie przedstawiało młodą, uśmiechniętą kobietę, pozującą na tle gór o skalistych, pokrytych śniegiem szczytach.

Kobieta trzymała pod rękę mężczyznę w mundurze. Widać było tylko jego lewe ramię, bark oraz fragment tułowia; reszta została unicestwiona przez ogień. Uwagę Josepha przykuła opaska na rękawie munduru. Znajdowała się na niej hitlerowska swastyka wpisana w białe kółko.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądał się fotografii.

- Spójrz na odwrotną stronę - poradził mu Sanchez.

Joseph zrobił to i ujrzał napisaną po niemiecku datę. Niebieski atrament mocno wyblakł, nie na tyle jednak, by nie dało się jej odczytać: Elfter Juli, 1931.

11 lipca 1931.

Volkman oderwał wzrok od szczątków zdjęcia i spojrzał na Erikę i Sancheza. Oboje w milczeniu wpatrywali się w opustoszały dom o białych ścianach.

- Co to wszystko może znaczyć? - mruknął wreszcie kapitan.

Joseph odwrócił fotografię, ponownie spojrzał na uśmiechniętą jasnowłosą kobietę i zadał w duchu to samo pytanie.

Część 3

Rozdział 18

Genua, Włochy 9 grudnia ranco Scali stał przy oknie kapitanatu, przyciskając do oczu potężną lornetkę Zeissa. „Maria Escobar” spóźniła się o dwie godziny, podczas których Franco pocił się tak obficie, że chyba stracił co najmniej kilogram wagi, ale teraz statek o wyporności dwunastu tysięcy ton zmierzał już w kierunku wejścia do portu. Piękny widok.

- Franco...

Scali odłożył lornetkę i uśmiechnął się do ładnej ciemnowłosej sekretarki siedzącej za biurkiem.

- O co chodzi, ślicznotko?

Teraz, kiedy statek dotarł do portu przeznaczenia, Franco nie miał nic przeciwko temu, by poświęcić część uwagi mniej poważnym sprawom. Dziewczyna miała na sobie czarne pończochy i krótką, także czarną, wełnianą spódniczkę. Kiedy zakładała nogę na nogę, tak jak w tej chwili, bez trudu można było dostrzec błysk nagiego uda. Franco doskonale zdawał sobie sprawę, że robi to, by go podrażnić. Westchnął głęboko w duchu. Takie właśnie są te kobiety.

Z niewielkiego biura usytuowanego na piętrze budynku magazynowego roztaczał się widok na cały port. Po pokojach niemal zawsze hasały lodowate przeciągi, w związku z czym Franco założył gruby wełniany sweter. Teraz trochę tego żałował, bo choć na zewnątrz huczał silny wiatr, było mu stanowczo za gorąco. To ze zdenerwowania, pomyślał. Dziewczyna roztarła zgrabiąle ręce. Co prawda tuż obok niej stał na podłodze elektryczny grzejnik, ale miał za małą moc, by ogrzać powietrze choćby w swym bezpośrednim otoczeniu.

- O „Marię Escobar”.

- Co z nią?

- Nie zapomnij zostawić mi kopii listu przewozowego.

- Mam go na dole, w magazynie. Nie obawiaj się, zaraz po rozładunku dostaniesz wszystkie dokumenty.

W liście przewozowym wyszczególniono, punkt po punkcie, wszystkie towary znajdujące się w ładowniach statku. Stanowił on podstawowy dokument wymagany podczas kontroli celnej na początku i końcu podróży, a także niezbędny załącznik do polisy ubezpieczeniowej.

Na pełnych, zmysłowych ustach dziewczyny pojawił się zalotny uśmiech. Franco wyszczerzył zęby i postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Chyba że chciałabyś zobaczyć go już teraz?

- Ależ, Franco! - skarciła go z udawanym oburzeniem. - Przecież ty jesteś żonaty!

- Tacy właśnie są najlepsi, ślicznotko. Mama nigdy ci o tym nie mówiła?

Dziewczyna zachichotała cicho.

- Ta kopia, Franco...

- Już ci powiedziałem: dostaniesz ją po rozładunku.

- Dobrze, dobrze. Tylko proszę cię, nie zapomnij.

Była zaledwie sekretarką, Franco zaś doświadczonym urzędnikiem, starszym od niej o piętnaście lat, ale nie przeszkadzało jej to zwracać się do niego w taki sposób, jakby była jego szefem. Franco nie miał nic przeciwko temu. Dziewczyna uważała, że trzyma go w garści pokazując mu uda i od czasu do czasu ocierając się o niego bujnymi piersiami, które zdawały się rozsadzać obcisłe bluzki z cienkiego materiału, ale on był zbyt szczwanym lisem, aby dać się złapać w tak nieporadnie zastawioną pułapkę. Parę numerków gdzieś w ciemnym kącie - proszę bardzo, czemu nie. Ale nic więcej. Poza tym Franco Scali miał teraz głowę zaprzątniętą zupełnie innymi sprawami.

Z pewnym żalem oderwał wzrok od zgrabnych nóg dziewczyny, która jakby nigdy nic zajęła się malowaniem paznokci lakierem o wyzywającym,

jaskrawoczerwonym kolorze, i skierował go na wchodzącą właśnie między główki falochronów „Marię Escobar”. Nie musiał uciekać się do pomocy lornetki, ponieważ statek był już bardzo blisko. Najdalej za pięć minut powinien stanąć przy nabrzeżu u podnóża liczącego sobie wiele stuleci miasta, którego wąskie, kręte uliczki pięły się po zboczach wzniesień stanowiących przedmurze Apeninów.

Odwrócił się w stronę dziewczyny i ponownie wyszczerzył zęby, ona zaś obdarzyła go kuszącym, zmysłowym uśmiechem. Franco zrobił do niej oko, po czym ruszył w kierunku drzwi.

- Ciao, ślicznotko. Muszę iść do roboty.

Zszedł po metalowych schodach do magazynu, wziął dokumenty z przeszklonej budki przy bramie i wyszedł na asfaltowy plac przeładunkowy. Zimny wiatr natychmiast uderzył z ogromną siłą, więc Franco szczelniej otulił się pikowaną kurtką, którą przezornie założył jeszcze na piętrze, po czym spojrzał w górę, na kabinę dźwigu, w której siedział Aldo Celli i dał mu znak ręką z wyprostowanym kciukiem. Aldo nosił przydomek Orzeł, ponieważ wielka łapa sterowanego przez niego dźwigu spadała z góry na kontenery niczym drapieżny ptak pikujący w kierunku zdobyczy.

Przeszedłszy na drugą stronę placu Franco ujrzał „Marię Escobar”, zbliżającą się pomału do nabrzeża. Kapitan wydał chyba komendę „mała wstecz”, ponieważ woda za rufą statku zakotłowała się, a po chwili ogromny kadłub zaczął się powoli cofać. Odległość między stalową burtą a krawędzią kamiennego pirsu zmniejszała się niezbyt szybko, ale stale i wyraźnie.

Franco rozejrzał się w poszukiwaniu celnika. Jeszcze go nie było, ale z pewnością zjawi się lada chwila.

Zazwyczaj celnicy ograniczali się do sprawdzenia plomb na kontenerach i tylko najbardziej dociekliwi zrywali je, by zajrzeć do wnętrza, ale nawet im nigdy jeszcze nie udało się przyłapać Franco na gorącym uczynku. Zawsze zachowywał daleko posuniętą ostrożność, tym razem zaś przeszedł samego siebie, ponieważ trafił mu się wyjątkowo tłusty kąsek. Pieniądze, które dostanie za tę robotę, powinny

wystarczyć na zakup nowego samochodu oraz na wiele suto zakrapianych kolacji w eleganckich lokalach rozmieszczonych dokoła Placu Zwycięstwa, naturalnie w towarzystwie urzędujących tam stale dziewcząt. Brały po milionie od numerka, ale były warte tej ceny.

Franco bardzo potrzebował pieniędzy. W dzisiejszych zwariowanych czasach każdy potrzebuje pieniędzy. Przecież nawet jego ojciec powtarza, że dawniej żyło się dużo łatwiej i przyjemniej.

Zwilżył językiem spieczone wargi. Z emocji zupełnie zaschło mu w gardle. Nie bój się, towar jest dobrze ukryty, powtórzył kolejny raz w myśli. Marynarze uwijający się na pokładzie statku byli już gotowi do rzucenia cum. Zapewne Aldo także nie może się doczekać, by chwycić pierwszy kontener w stalową łapę dźwigu.

Franco rzucił niedopałek na asfalt, zdusił go obcasem, po czym spojrzał w kierunku zabudowań portu, tylko po to jednak, by wytrzeszczyć z przerażeniem oczy i odruchowo wykonać znak krzyża. W jego stronę dostojnym, lekko kołyszącym się krokiem zmierzał otyły jak wieprz Paulo Bonefacio, zwany Paulo Il Peste, czyli Zaraza, ponieważ nikt tak bardzo jak on nie lubił wtykać nosa w każdy zakamarek statku, zaglądać do każdego kontenera, trzymać w niepewności i napędzać stracha, zupełnie jakby jedynym celem jego życia było zdobycie kompletu odznaczeń włoskiej służby celnej. Co on tu robi, do cholery? Przecież dzisiaj powinien mieć wolne! Vincenti, który według planu miał dziś odbywać służbę w porcie, został już odpowiednio „przygotowany”, natomiast on...

Il Peste zatrzymał się, posapując jak lokomotywa.

- Ciao, Franco.

- Ciao. Co się stało z Vincentim?

- Zachorował - odparł lakonicznie Il Peste. - A co, spodziewałeś się łatwej przeprawy?

Franco jakimś cudem zdołał się uśmiechnąć, ale podejrzewał, że jego uśmiech wypadł co najmniej blado. Usłyszał metaliczny łoskot i kątem oka dostrzegł, jak załoga wysuwa trap, który miał połączyć pokład „Marii Escobar” ze stałym lądem.

Mimo niewysokiej temperatury i dokuczliwego wiatru poczuł, że po plecach spływają mu strużki potu. Jezus, Maria... Akurat dzisiaj...

Gruby celnik poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- Chodźmy Franco. Kto wie, może uda nam się znaleźć coś interesującego?

Franco z wysiłkiem przełknął ślinę, po czym odparł, sam nieco zdziwiony, że jego głos brzmi prawie całkiem normalnie:

- Jasne, Paulo. Szkoda czasu.

Celnik mruknął coś pod nosem i ruszył w kierunku odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów miejsca, gdzie Aldo miał za chwilę postawić pierwszy kontener. Franco Scali, chcąc nie chcąc, podążył za nim. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie modlił się tak gorąco, jak w tej chwili.

Potężna łapa dźwigu chwyciła w pół metalowe kontenery i podnosiła je z taką łatwością, jakby były ważącymi zaledwie kilka kilogramów kartonowymi pudłami. Ten najważniejszy, granatowy z trzema szarymi pasami, jeszcze nie został zdjęty z pokładu. Na placu przeładunkowym znalazło się dopiero pięć kontenerów z czterdziestu, jakie przywiozła „Maria Escobar”. Znajac Il Peste należało oczekiwać, że będzie chciał zajrzeć do każdego z nich.

Franco związał się jak w ukropie, biegnąc po placu i wskazując Aldo miejsca, gdzie powinien stawiać kolejne kontenery. Miał nadzieję, że te tyleż gwałtowne, co mało potrzebne działania usprawiedliwią fakt, że był cały mokry od potu. Nie mógł nic na to poradzić; z każdą chwilą bał się coraz bardziej, z każdą chwilą też coraz bardziej pragnął mieć już wszystko za sobą.

Il Peste spokojnie przeglądał wykaz ładunku przypięty do plastikowej podkładki. Spośród wszystkich celników pracujących w porcie tylko ten jeden był całkowicie nieprzekupny. Czasem sprawiał wrażenie, jakby odkrycie kontrabandy przewożonej w jakimś zakamarku statku albo wychwycenie błędu w dokumentach sprawiało mu niemal seksualną przyjemność.

Co prawda nie zdarzało się to zbyt często, ale jeśli już Il Peste na coś trafił, to było po tobie. Zemsta nie wchodziła w grę, ponieważ jego brat był oficerem

karabinierów, więc gdyby Paulo stała się jakaś krzywda, wszyscy policjanci w Genui zostaliby postawieni na równe nogi. Rzecz jasna, Franco uczynił wszystko co w ludzkiej mocy, by upewnić się, że Il Peste nie będzie miał służby tego dnia, gdy ładunek dotrze do portu, ale tym razem wyglądało na to, że zabrakło mu łutu szczęścia.

Zaklął pod nosem, kiedy kolejny kontener zawisł nad asfaltową nawierzchnią placu przeładunkowego. Aldo z pewnością świetnie się bawił w kabinie operatora, on zaś pocił się jak szczur, biegając niczym wariat, wrzeszcząc i wymachując ramionami. Zerknął ukradkiem na otyłego celnika, który jakby nigdy nic stał kilka kroków z boku, przyglądając się pracy dźwigu. Gdyby nie jego tusza przypominałby atletę czekającego na sygnał startera.

Wiatr dał wciąż z taką samą siłą. Stalowy chwytник dźwigu kołysząc się lekko wrócił nad pokład statku.

Kontener, w którym ukryto cenny ładunek, zjawił się na nabrzeżu jako ostatni. Granatowy, z trzema szarymi pasami. Aldo chyba się dokąś spieszył, bo postawił go na asfalcie z nieco zbyt dużym rozmachem. Łoskot był tak donośny, że Franco aż zacisnął zęby i pięści. Ostrożnie, ty kretynie! Tam są moje pieniądze, do jasnej cholery!

Ramię dźwigu znieruchomiło nad ustawionymi karnie w rzędy kontenerami. Robotnicy ściągnęli ochronne rękawice i spojrzeli na celnika, czekając na rozpoczęcie kontroli. Il Peste odchrząknął, po czym zbliżył się do Franco. Sądząc po jego marsowej minie, był przygotowany na długą, wyczerpującą bitwę.

- Czterdzieści sztuk, zgadza się?

- Tak jest.

- Masz wszystkie dokumenty?

Franco wręczył mu plik papierów. Każdy kontener miał własny list przewozowy, każdy też został zaplombowany w porcie, z którego wyruszył w podróż, a niekiedy także w tych, gdzie był przeładowywany. Zadanie Franco polegało na dopilnowaniu, żeby odprawa celna odbyła się najszybciej, jak to

możliwe. Czas to pieniądz - jego szef przypominał mu o tym co najmniej kilka razy dziennie. Zazwyczaj celnicy nie sprawiali trudności, ograniczając się do sprawdzenia plomb i listów przewozowych.

Ale nie Il Peste. Był pedantyczny aż do obrzydzenia, niekiedy nawet opukiwał ściany ogromnych metalowych skrzyń kastetem z nierdzewnej stali, nasłuchując, czy głuchy odgłos nie ujawni istnienia skrytki w podwójnej ścianie lub dnie kontenera. Tego właśnie najbardziej obawiał się Franco: że Il Peste użyje kastetu.

Gruby celnik podniósł wzrok znad dokumentów.

- Dobra. Wygląda na to, że wszystko w porządku.

- Ile będziesz chciał sprawdzić? - zapytał Franco.

W głębi duszy liczył na to, że usłyszy odpowiedź „żadnego”, ale zdawał sobie sprawę, że oczekuje zbyt wiele. Dwa na pewno, może nawet więcej. Tylko nie ostatni, błagam! Nie ostatni!

Il Peste zerknął na zegarek.

- Dzisiaj muszę być wcześniej w domu, bo mam chrzest bratanka. Żona Stefano urodziła chłopca. Znowu zostałem wujkiem.

- Gratuluję! - Franco poklepał Il Peste po ramieniu, po czym zwrócił się do stojących nieopodal robotników: - Słyszeliście? Paulo ma kolejnego bratanka! Żona Stefano urodziła ślicznego chłopca!

Mężczyźni w roboczych kombinezonach i kaskach wymamrotali mniej lub bardziej szczerze gratulacje. Il Pesto uśmiechnął się z zadowoleniem. To dobry znak, pomyślał Franco. Cholera, to dobry znak! Może jednak jego modlitwy zostały wysłuchane. Może kontrola nie będzie tak dokładna jak zazwyczaj.

- Jeśli znajdziesz chwilkę czasu, zapraszam cię na kieliszek wina. To ważne wydarzenie, więc trzeba je odpowiednio uczcić.

- Chętnie, ale może innym razem, Franco. O trzeciej muszę być już w kościele.

- Jasne, nie ma sprawy.

Il Peste zaszeleścił dokumentami.

- Zajrzymy do... powiedzmy... trzeciego. Franco uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo proszę.

- I do ostatniego.

Uśmiech zamienił się w bolesny grymas.

- Oczywiście... - wykrztusił Franco, dziwiąc się, że jego głos brzmi prawie normalnie. Miał nadzieję, że celnik nie zauważył, jak ugięły się pod nim nogi.

Il Peste ruszył w kierunku kontenerów, ale po chwili przystanął i odwrócił się do Franco, który stał w miejscu jak posąg, niezdolny wykonać najmniejszego ruchu.

- Co z tobą? Jesteś jakiś blady. Dobrze się czujesz? Franco już był skrzywiony, więc tylko przyłożył rękę do żołądka.

- To chyba ta carbonara, którą żona dała mi wczoraj na kolację. Od razu wydawało mi się, że coś jest nie w porządku.

Il Peste skinął współczująco głową, po czym skierował się ku ogromnym skrzyniom z grubej karbowanej blachy.

Franco pocił się jak szczur.

No, dalej, poganiał celnika w myślach. Pospiesz się, gruba świnió! Skończ z tym wreszcie.

Kontrola kontenera numer trzy nie ujawniła żadnych nieprawidłowości. Zawierał dokładnie to, co wyszczególniono w liście przewozowym.

Teraz przyszła kolej na ostatni, czterdziesty kontener. Starając się zapanować nad paralizującym strachem, Franco przyglądał się, jak Il Peste zrywa plomby, a dwaj ludzie w kombinezonach otwierają ciężkie metalowe drzwi. Rób sobie co chcesz, tłusta świnió, tylko nie wyciągaj tego cholernego kastetu... Wszystko, tylko nie kastet...

Celnik zajrzał do dokumentów.

- Skąd przyplłynął?

- Z Casablanki.

Il Peste odszukał właściwą rubrykę w formularzu i pokręcił głową.

- Nieprawda.

Franco zerknął mu przez ramię. Niestety, niewiele zdołał zobaczyć.

- Ach, tak, oczywiście. Pomyliło mi się. Nadano go w... w...

- Montevideo - dokończył za niego celnik. - Casablanka była tylko portem tranzytowym.

- No, właśnie. Montevideo.

Służby celne traktowały wszelkie przesyłki z Ameryki Południowej ze szczególną podejrzliwością. Naturalnie chodziło o narkotyki. W granatowym kontenerze znajdowało się dwadzieścia sześć skrzyń różnej wielkości, ale nie zajmowały one całego miejsca. Zmieściłoby się ich co najmniej drugie tyle.

- Co tu mamy? - mruknął Il Peste, po czym sam udzielił sobie odpowiedzi: - Dwadzieścia sześć pakunków. Same maszyny i części zamienne, z wyjątkiem jednego pudła z lekarstwami. Dobra, rzućmy okiem na ten bałagan.

Wyjął z kieszeni munduru latarkę, włączył ją i wszedł do kontenera. Przesuwając powoli strumień światła liczył skrzynie, upewniając się, że żadna nie była otwierana. Wreszcie mruknął coś pod nosem, zrobił długopisem niewyraźny znaczek na formularzu i wykonał ruch, jakby zamierzał skierować się do wyjścia, lecz nagle stanął jak wryty, podniósł głowę i badawczo wciągnął powietrze.

- Czujesz ten zapach? Franco pociągnął nosem.

- Nie, nic nie czuję.

- W którym pudle mają być te lekarstwa?

Franco zaczął szperać między większymi skrzyniami, aż wreszcie, cały zlany potem, wytaszczył z ciemnego kąta znacznie mniejszy pakunek.

- To chyba to - wysapał.

Celnik pochylił się nad paczką i powąchał ją ostrożnie.

- W porządku - stwierdził. - Od razu wiedziałem, co tak cuchnie.

Niewiele brakowało, by z piersi Franco wyrwało się westchnienie ulgi. Jednak jego radość była przedwczesna, ponieważ z przerażeniem zauważył, że prawa ręka celnika znika w kieszeni marynarki.

Nie, tylko nie to! - jęknął w duchu. Zostaw w spokoju ten pieprzony kastet!

Kiedy Il Peste wyjął rękę z kieszeni, w świetle latarki błysnęła nierdzewna

stal.

- Jeszcze tylko trochę popukamy - powiedział z uśmiechem. - Na szczęście.

Franco także się uśmiechnął, choć kosztowało go to bardzo dużo wysiłku. Z niepokojem obserwował otyłego celnika, który przechadzał się powoli po kontenerze, opukując ściany i podłogę, często zatrzymując się na dłużej i porównując dźwięki, jakby był jakimś cholernym stroicielem fortepianów.

Kiedy Il Peste zbliżył się do prawej ściany, Franco poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, jednocześnie tłocząc krew z taką siłą, że miał wrażenie, iż lada chwila nabrzmiąte, tętniące żyły na skroniach nie wytrzymają ciśnienia. Boże, tylko nie tutaj...

Puk, puk, puk...

Odejdź stąd, ty obleśny sukinsynu!

Puk, puk, puk...

Nagle Il Peste lekko pochylił głowę i zamarł w bezruchu. Boże, znalazł! Ten pieprzony kretyn znalazł skrytkę! Franco najchętniej wybuchnąłby płaczem.

Celnik zastukał w to samo miejsce, blisko podłogi i tylnej ściany kontenera. Franco cały zamienił się w słuch. Odgłos istotnie był trochę inny. Niewiele, ale na tyle, by wyczułone ucho bez trudu wychwyciło różnicę w wysokości dźwięku.

Puk, puk, puk...

Zebrało mu się na wymioty. Il Peste opukiwał miejsce oddalone zaledwie o niespełna metr od skrytki. Jeśli zrobi krok albo dwa w tamtą stronę...

- Hej, Franco!

A więc jednak. Już po wszystkim. Przeklęty sukinsyn dopiął swego.

- Tak? - zaskrzeczał nie swoim głosem.

Celnik skierował latarkę w bok i spojrzał na niego z pogrążonego w półmroku wnętrza kontenera.

- Twój dobrze chodzi?

- Słucham?...

- Zegarek. Czy twój zegarek dobrze chodzi? Zdaje się, że z moim jest coś nie w

porządku.

Franco spojrzął na zegarek. Przy okazji stwierdził, że ręce drżą mu jak w febrze.

- Wpół do trzeciej.

- Cholera, muszę zadzwonić do brata. Pozwolisz, że skorzystam z twojego telefonu?

Ogłupiały Franco tylko skinał głową. Gdyby w tej chwili Il Peste oświetlił latarką jego twarz, z pewnością zastanowiłaby go jej bladość.

- Czy... Czy coś się stało? - wykrztusił z trudem.

- Zegarek mi stanął, to się stało - odparł zirytowany celnik. - Tego tylko brakowało, żebym spóźnił się na chrzest bratanka. Dobra, zwijamy się stąd.

Franco nie zdołał powstrzymać westchnienia ulgi. Było na tyle głośne, że usłyszał je Il Peste i skierował na niego snop światła.

- Co ci jest, Franco? Paskudnie wyglądasz.

Franco czknął ze strachu, zrobił niewinną minę i uśmiechnął się przepraszająco.

- Wszystko przez tę carbonarę, Paulo. Jak tylko wrócę do domu, powiem o tym żonie. Niech no tylko spróbuje jeszcze raz tak mnie urządzać...

O szóstej, kiedy zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, Franco Scali wymknął się z magazynu i szybkim krokiem ruszył w kierunku kontenerów stojących w dalszym ciągu na placu przeładunkowym. Miał ze sobą latarkę, śrubokręt oraz rzeczy, które przez kilka minionych dni trzymał w zamkniętej na klucz szufladzie biurka.

Dziewczyna poszła do domu już godzinę temu, wkrótce po tym, jak skończyli pracę robotnicy zatrudnieni w magazynie. O tej porze plac przeładunkowy był zupełnie pusty; ludzie z drugiej zmiany, którzy mieli przewieźć kontenery w głąb portu, powinni zjawić się najwcześniej za kilkanaście minut. Franco celowo opóźnił przewóz ładunku dostarczonego przez „Marię Escobar”, żeby mieć czas na zrobienie tego, co do niego należało.

Obejrzał się przez ramię. W rzęście oświetlonym magazynie panował całkowity spokój. Nocny strażnik najprawdopodobniej siedział w swoim pokoiku, pogrążony w lekturze gazety. Przed główną bramą stał biały fiat Franco, a jakieś sto metrów dalej w prawo wznosił się dwupiętrowy budynek urzędu celnego. Wszystkie okna były ciemne, z wyjątkiem jednego na parterze, wypełnionego migoczącą, niebieskawą poświatą. Chłopcy z nocnej zmiany umilali sobie czas oglądając telewizję.

Od przybycia ładunku minęły ponad trzy godziny, lecz Franco wciąż jeszcze nie mógł uspokoić skołatanych nerwów. Niewiele brakowało. Naprawdę niewiele.

Jeszcze raz rozejrzał się uważnie dokoła, aby mieć pewność, że nikt go nie obserwuje. Wiatr ustał, w związku z czym na rozległym placu panowała całkowita cisza. Franco szybko podszedł do granatowego kontenera, przyklęknął przy prawym tylnym narożniku, włączył latarkę i położył ją na asfalcie w taki sposób, by oświetlała boczną ścianę.

Każdy z trzech szarych pasów biegnących dokoła całego kontenera miał szerokość dłoni, odstęp między nimi wynosił zaś około dwudziestu pięciu centymetrów. Franco wyjął z kieszeni śrubokręt, położył go przed sobą, po czym wziął latarkę do ręki i świecąc nią z bliska na metalową powierzchnię, zaczął delikatnie wodzić palcami drugiej ręki po ścianie z grubej blachy.

Bardzo szybko znalazł to, czego szukał: płytkie wklęsnięcie wielkości paznokcia. Dziesięć centymetrów w lewo, niewidoczna nawet w silnym blasku latarki, była pierwsza z czterech zaszpachlowanych śrub utrzymujących metalowe wieko starannie pomalowane na taki sam kolor jak cały kontener. Krawędzie dwóch spośród trzech szarych pasów pokrywały się z jej krawędziami, co czyniło ją praktycznie niewidoczną. Franco pokiwał z uznaniem głową; ktoś to całkiem niezłe wymyślił.

Szybko wydlubał zaschniętą szpachlę, odkręcił wszystkie cztery śruby, usunął je z otworów, starannie ułożył na asfalcie, po czym zdjął pokrywę z blachy wytłoczonej w taki sam sposób jak znacznie większy arkusz tworzący boczną ścianę

kontenera.

Naprawdę świetna robota. Wszystko pasowało do siebie jak ulał.

Franco ostrożnie położył pokrywę obok śrub, tak by nie uczynić nawet najmniejszego hałasu.

Jego oczom ukazał się dość głęboki schowek. Poświeciwszy do środka latarką, zobaczył metalowe pudełko przytwierdzone do wewnętrznej ściany skrytki dwiema stalowymi klamrami. Przytrzymał pudełko jedną ręką, drugą błyskawicznie usunął obie klamry, po czym wyjął pudełko ze schowka.

Choć niezbyt duże - miało kształt sześcianu o boku około dwudziestu pięciu centymetrów - to okazało się tak ciężkie, że niewiele brakowało, a wypuściłby je z rąk. Zagryzł wargi, wyteżył mięśnie i najdelikatniej jak umiał postawił pudełko na asfalcie.

Ponowne zamontowanie pokrywy i przykręcenie śrub zajęło mu niespełna dwie minuty. Zaraz potem wyjął z kieszeni przedmioty, które aż do dzisiaj przechowywał w zamkniętej szufladzie: nieco samoutwardzającej się szpachli, mały pędzelek oraz niewielką puszkę szarej farby do metalu. Zalepiwszy szpachlą otwory, w których tkwiły śruby, otworzył puszkę, starannie zamalował ślady, a następnie w świetle latarki uważnie obejrzał swoje dzieło.

Bez zarzutu.

Nawet uważny obserwator nie zdołałby wskazać miejsca, w którym kończyła się pokrywa, a zaczynała jednolita ściana kontenera. W pełni usatysfakcjonowany Franco spakował narzędzia, wyłączył latarkę, wetknął ją do kieszeni, po czym schylił się, złapał oburącz pudełko i dźwignął je z ziemi.

Boże, ale ciężkie! Ciekawe co jest w środku? Chyba złoto, sądząc po wadze. Poprzednie przesyłki także były ciężkie, ale i znacznie większe. Poza tym, pakowano je w inne pojemniki.

A właściwie, co to go obchodzi? Niech Niemcy przemycają sobie, co im się żywnie podoba. Najważniejsze, żeby płacili w terminie tyle, ile się należało.

Franco przesunął ręką po czole i stwierdził ze zdziwieniem, że mimo chłodu

jest całe pokryte potem. Spojrzał na zegarek. Oświetlenie było bardzo słabe, ale jakoś odczytał godzinę: dziesięć po szóstej. W porcie nadal panowała cisza i niemal kompletny bezruch. Snop światła rzucany przez starą latarnię morską w regularnych odstępach czasu przesuwał się po powierzchni wody, lekko wskakiwał na kamienne nabrzeża, bez wysiłku wspinał się na stalowe burty i nadbudówki statków.

Franco ruszył w kierunku samochodu zaparkowanego przed bramą magazynu, przystając co kilka kroków, by lepiej chwycić ciężki, wysuwający się z rąk pakunek.

Deszcz zaczął padać dokładnie w chwili, kiedy zaparkował białego fiata na Via Balbi, naprzeciwko baru.

Mężczyznę, który na niego czekał, dostrzegł natychmiast po wejściu do lokalu. Młody, jasnowłosy, o wąskich ustach, siedział samotnie w najdalszym kącie przy barze. Był w okularach oraz długim, rozpiętym płaszczu, pod którym miał elegancki szary garnitur. Na widok Franco zdjął okulary i wytarł je serwetką.

Franco zamówił uino rosso, po czym zapalił papierosa. Mężczyzna dał umówiony sygnał, on zaś zareagował zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Blondyn podniósł się z miejsca, zapłacił za drinka i wyszedł, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Franco zaczekał kilka minut, zgasił papierosa, uregulował należność za wino i także opuścił lokal, by wsiąść do samochodu i skręcić w pierwszą przecznicę, z której wjeżdżało się na zupełnie pusty o tej porze parking na zapleczu Banco di Italia.

Czekał tam już inny fiat, z jasnowłosym mężczyzną za kierownicą oraz jeszcze jedną osobą siedzącą na fotelu obok. Twarz tego człowieka była częściowo skryta w cieniu. Franco opuścił szybę; niemal jednocześnie uczynił to także blondyn o wąskich ustach. Deszcz nadal padał, ale jakby stracił nieco na intensywności.

- Masz towar? - zapytał blondyn po włosku z ledwo uchwytnym obcym akcentem.

- Jasne. A wy macie pieniądze? Mężczyzna podał mu wypchaną kopertę.

- Przelicz, jeśli chcesz. Tylko prędko.

W kopercie znajdowało się dziesięć cienkich plików banknotów o nominale dziesięciu tysięcy lirów. Banknoty wyglądały tak, jakby dopiero co wyszły spod prasy drukarskiej. Franco policzył wszystkie, co do jednego.

- Teraz pudełko! - syknął ze zniecierpliwieniem jasnowłosa mężczyzna.

Franco sięgnął pod tablicę wskaźników i pociągnął za ukryty uchwyt. Pokrywa skrytki, którą osobiście zaprojektował i wykonał, odskoczyła z głośnym trzaskiem. Nawet najbardziej wścibski policjant miałby poważne trudności z jej odnalezieniem. Pudełko zmieściło się w niej bez trudu. Wyciągnął je i oburącz podał przez okno jasnowłosemu mężczyźnie, który natychmiast przekazał je pasażerowi, po czym zwrócił się do Franco:

- Pamiętaj o naszej umowie. Gdybyś miał jakieś problemy albo gdyby ktoś zaczął zadawać ci pytania, natychmiast kontaktuj się z nami.

- Czy to już ostatnia przesyłka?

- Tak.

- To dobrze.

Młody człowiek spojrzał mu badawczo w oczy.

- Dlaczego? Były jakieś kłopoty?

- Nie, ale niewiele brakowało. Celnik był dzisiaj wyjątkowo dociekliwy.

- Ale niczego nie znalazł? - W głosie blondyna zabrzmiała nuta paniki. - Niczego nie zaczął podejrzewać?

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby coś wpadło mu w oko. - Franco pokręcił głową.

- Nie, nic nie zauważył, ale mimo to wycofuję się z interesu. Koniec z przemytem. Od tej pory zajmuję się tylko swoją robotą. Możecie zapomnieć o Franco, tak jakbym nigdy nie istniał.

- Myślę, że to mądra decyzja - powiedział jasnowłosa mężczyzna.

Franco uruchomił silnik.

- Ja też tak sądzę. Ciao, amico.

Rozdział 19

Strasburg piątek, 9 grudnia samolot lecący z Asunción do Madrytu miał spore opóźnienie, w związku z czym było już prawie południe, kiedy Joseph i Erika wreszcie dotarli do Frankfurtu.

Trzy godziny później Volkmann wysadził dziewczynę przy swoim domu w Strasburgu, sam zaś pojechał do biura i wystukał na maszynie wstępny raport. Kopię wsunął do skrzynki Fergusona, dołączając kartkę z informacją, że zjawi się w pracy jutro przed południem.

O piątej zjedli wczesną kolację w kameralnej restauracji przy Quai Ernest, po czym wrócili na piechotę do jego mieszkania, gdzie Joseph wreszcie się rozpakował, przygotował pokój gościnny i nalał whisky do dwóch szklaneczek z lodem.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zupełnie wycieńczonej. Minionego popołudnia Sanchez zawiózł ich na niewielki cmentarz położony na obrzeżach miasta. Z bezchmurnego nieba żar lał się strumieniami; dziewczyna dłuższą chwilę Opędziła na modlitwie przy skromnej mogile Rudiego Hernandeza, po czym dołączyła do kapitana i Volkmana czekających na nią w cieniu rozłożystego drzewa.

Potem otyły policjant zabrał ich do domu w dzielnicy La Chacarita, gdzie znaleziono ciała. Odbyli tam krótkie rozmowy z Mendozą i Torresem, ale żaden z nich nie potrafił dodać nic istotnego do swoich zeznań. Przed wieczorem pojechali jeszcze do rezydencji Tsarkina; wypielęgnowane trawniki, marmurowe posadzki oraz obrazy wiszące na ścianach wywarły na Volkmannie spore wrażenie. Sejf w gabinecie nadal był otwarty, ludzie Sancheza zaś przeszukali dom od piwnic aż po dach, lecz nie natrafili na nic interesującego.

Na lotnisku Sanchez obiecał najprędzej, jak tylko będzie to możliwe, przesłać do Strasburga szczegółowe informacje dotyczące Nicolasa Tsarkina. Jego ludzie wciąż jeszcze przekopywali się przez sterty dokumentów w Urzędzie Imigracyjnym.

- Mam nadzieję, że zdobędą coś w ciągu najbliższych dwudziestu czterech

godzin - powiedział kapitan, odprowadzając ich do stanowiska odpraw.

Erika serdecznie podziękowała mu za pomoc, on zaś uśmiechnął się i mruknął do Josepha:

- Dobrze jej pilnuj, amigo. Powodzenia. I uważajcie na siebie.

Podczas przelotu przez ocean dziewczyna zapytała Volkmana, dlaczego tak naprawdę DSE zainteresowało się Winterem. Odpowiedział jej niczego nie ukrywając, a ona po prostu skinęła głową i odwróciła się w stronę okna.

Teraz na jej ładnej twarzy malowało się ogromne zmęczenie. Joseph wyjaśnił, dlaczego jego zdaniem powinna przyjechać na jakiś czas do Strasburga (chodziło o to, że Ferguson przypuszczalnie będzie chciał osobiście z nią porozmawiać), ona zaś zgodziła się zatrzymać u niego zamiast wynajmować pokój w hotelu.

Niebawem położyła się spać, a wtedy Volkman zrobił sobie kolejnego drinka. Za oknami zapadła ciemność; w oddali widać było rzęście oświetloną wieżę gotyckiej katedry. Szyby drżały leciutko w podmuchach lodowatego wiatru.

Siedząc na kanapie i popijając whisky, słyszał jak dziewczyna przewraca się niespokojnie z boku na bok. Myślał o tropikalnej dżungli, w której byli zaledwie poprzedniego dnia, o rozległym domu w samym jej sercu oraz o starej fotografii strawionej do połowy przez ogień.

Ciekawe, czy Ferguson i Peters zdołają skleić to w jakąś sensowną całość, przemknęło mu przez głowę.

W gabinecie Fergusona, oprócz niego samego, siedzieli jeszcze Peters i Volkman. Na biurku stał włączony magnetofon.

Mężczyźni słuchali w milczeniu, a kiedy nagranie dobiegło końca, Ferguson wyłączył urządzenie i pokręcił głową.

Jedno zdanie zwróciło na siebie ich szczególną uwagę. Odtwarzali je wielokrotnie, jakby chcąc się upewnić, że dobrze je zrozumieli, że nie popełnili żadnego błędu. Teraz mieli już tę pewność.

Sie werden alle umgebracht. Wszyscy zostaną zlikwidowani.

Na biurku leżały także trzy odbitki wykonane przez policję w Asunción.

Ferguson przyglądał się im z zainteresowaniem. Oto twarze ludzi ponad wszelką wątpliwość powiązanych z tajemniczymi wydarzeniami. Pierwsze zdjęcie, zrobione przez silny teleobiektyw, przedstawiało Dietera Wintera i Nicolasa Tsarkina przechadzających się po ogrodzie. Na drugim, przypominającym zdjęcie paszportowe, widniał sam Tsarkin; miał lodowate spojrzenie, surowe, zaciśnięte usta i sprawiał wrażenie bardzo skrytego człowieka. Trzecia fotografia przedstawiała uśmiechniętą jasnowłosą kobietę, trzymającą pod rękę jakiegoś mężczyznę w mundurze. Niestety, zachowała się tylko połowa zdjęcia, lecz i tak było wyraźnie widać opaskę ze swastyką na rękawie mundurowej marynarki. Bardzo, bardzo ciekawe, pomyślał Ferguson.

Poprawił okulary, wziął zdjęcie do ręki i przypatrzył mu się uważnie. Do odbitki Volkman dołączył kartkę z datą, którą napisano niebieskim atramentem na odwrocie częściowo spalonego oryginału: 11 lipca 1931. Podczas lektury raportu Josepha Ferguson stawiał na marginesie znaczki, aby później łatwo odszukać miejsca, które wzbudziły jego wątpliwości lub wymagały dodatkowych wyjaśnień.

Teraz szef Sekcji Brytyjskiej DSE ponownie przekartkował raport. Zawierał on wiele interesujących informacji, ponieważ Volkman bardzo szczegółowo opisał wygląd opuszczonej hacjendy w sercu dżungli. Niestety, każdy opis, nawet najbardziej szczegółowy, nabiera wartości dopiero wtedy, kiedy zna się klucz do interpretacji przedstawionych w nim faktów.

- Powiadasz, że przeprowadzono analizę popiołu z resztek ogniska? - zapytał Ferguson.

Volkman pochylił się do przodu w fotelu. Wyglądał na zmęczonego, ale na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że sprawa bardzo go interesuje.

- Tak, zajęli się tym ludzie Sancheza. Pierwsze wyniki wskazują na to, że spalono głównie zdjęcia i dokumenty, a także meble, choć znaleziono także resztki artykułów żywnościowych. Dom i zabudowania gospodarcze zostały ogołoczone ze wszystkich sprzętów. Nie wiem dlaczego, ale ludzie, którzy tam mieszkali, zrobili wszystko, aby usunąć wszelkie ślady swojej obecności. - Pokręcił z niedowierzaniem

głową. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem: zupełnie jakby ktoś wysprzątał wszystko do czysta, a potem wyszorował podłogę szczoteczką do zębów.

Ferguson przez chwilę spoglądał w okno, po czym skierował wzrok na podwładnych.

- Tak, to istotnie bardzo dziwne, ale przede wszystkim musimy znaleźć odpowiedź na inne pytanie: Czy ta sprawa ma jakiś związek ze śmiercią Wintera, a jeśli ma, to jaki?

Tom Peters podniósł rękę.

- Czy mogę coś powiedzieć?

- Oczywiście, Tom - odparł z uśmiechem Ferguson. - Przecież po to cię tu wezwałem.

- W raporcie, który otrzymaliśmy z Berlina, znajdowała się informacja o południowoamerykańskim pochodzeniu amunicji użytej podczas zabójstwa Wintera. Teraz wiemy już na pewno, że Winter był w Ameryce Południowej, i to co najmniej osiem razy.

- Mów dalej - zachęcił go szef.

- Wiemy też, że identyczna amunicja została wykorzystana rok temu w Hamburgu, kiedy zastrzelono tego biznesmena. Odkąd Rosjanie przestali dostarczać broń ugrupowaniom terrorystycznym, wiele z nich zaopatruje się własne w Ameryce Południowej. - Peters zawahał się, zerknął na Volkmana, po czym dodał: - Jeśli weźmiemy pod uwagę tajemnicze ładunki przewożone do Montevideo... To oczywiście może być cokolwiek, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że właśnie stamtąd przemycano broń do Europy i że Winter jeździł do Paragwaju w celu ustalenia warunków i terminów dostaw.

Ferguson westchnął głęboko, dźwignął się z fotela i podszedł do okna.

- Tak, to istotnie możliwe, choć twoja hipoteza opiera się wyłącznie na domysłach - powiedział, spoglądając na jesienny krajobraz, po czym odwrócił się i uniół brwi. - Nie wyjaśnia także powodu, dla którego Winter został zastrzelony w Berlinie. - Przeniósł spojrzenie na Volkmana. - A co ty o tym myślisz, Josephie?

Volkmann zastanawiał się przez chwilę.

- Trudno powiedzieć. Najbardziej prawdopodobne wydają się broń i narkotyki, ewentualnie metale szlachetne, ale jeśli to były narkotyki, wówczas możemy stwierdzić z całą pewnością, że nie wytwarzano ich ani nie przechowywano na hacjendzie. Sanchez kazał sprowadzić specjalnie szkolone psy, które jednak niczego nie znalazły. - Popatrzył na Petersa. - Naturalnie Tom może mieć rację, choć, jak sam pan wspomniał, na razie nie dysponujemy żadnymi dowodami potwierdzającymi jego hipotezę.

- Czy przeszukano także otoczenie domu?

- Owszem, i to w promieniu trzech kilometrów. Zajął się tym miejscowa policja. Znaleźli trawiasty pas długości kilkuset metrów, który mógł być używany jako lądowisko. Niewykluczone, że korzystał z niego także Rodriguez.

- Mam nadzieję, że zbadano także jego samolot?

- Naturalnie.

- I co?

- Na podłodze luku stwierdzono obecność mikroskopijnych ilości kokainy, ale to niestety niczego nie dowodzi, bo Rodriguez mógł mieć także innych klientów.

Z piersi szefa Sekcji Brytyjskiej ponownie wyrwało się głębokie westchnienie. Ferguson wrócił za biurko i wziął do ręki teczkę zawierającą oryginał oraz dwie kopie raportu, który godzinę temu otrzymał faksem z Asunción. Do tej pory nie wspomniał o nim podwładnym, ponieważ najpierw chciał porozmawiać o ustaleniach poczynionych przez Volkmana, ale teraz otworzył teczkę, wręczył każdemu kopię, sobie zaś zatrzymał oryginał.

- Przed godziną przysłano mi to z Paragwaju. Zanim posuniemy się choć o krok dalej, powinniście chyba zapoznać się z treścią tego dokumentu, choć obawiam się, że zamiast cokolwiek wyjaśnić, tylko zaciemnia obraz sytuacji.

Do: Szef Sekcji Brytyjskiej DSE.

Od: kapitan Vellares Sanchez, Policia dvii, Paragwaj.

Dotyczy: niedawnego pobytu oficera J. Volkmana oraz prowadzonego przez

niego śledztwa. Klasyfikacja: poufne.

Oto ustalenia, jakie udało nam się poczynić w wyniku intensywnie prowadzonych działań operacyjnych:

1) Posiadłość w północnowschodnim Chaco o powierzchni czterystu akrów została kupiona w grudniu 1931 roku przez niejakiego Erharda Schmeltza, równo miesiąc po tym, jak señor Schmeltz, jego żona Inge oraz syn Karl przenieśli się na stałe do Paragwaju. Erhard Schmeltz urodził się w Hamburgu w roku 1880, jego żona rok później. Z zachowanych dokumentów wynika, że podczas pierwszej wojny światowej Schmeltz służył w niemieckiej armii, a przybywając do Paragwaju zadeklarował wwóz pięciu tysięcy dolarów.

Interesująca nas posiadłość jest jedną z kilku nabytych przez señora Schmeltza, ale pozostałe znajdują się w innych rejonach kraju. Do 1949 roku na jej terenie prowadzono wyrąb lasu i wysyłano znaczne ilości drewna. W 1943 roku Erhard Schmeltz zginął w wypadku samochodowym w Asunción.

Udało nam się stwierdzić, że aż do stycznia 1933 nie dysponował większym majątkiem, natomiast poczynając od lutego 1933 roku zaczął co pół roku otrzymywać przekazy bankowe, każdy opiewający na pięć tysięcy dolarów. Pieniądze były wysyłane drogą oficjalną, za pośrednictwem Reichsbanku. Po śmierci Schmeltza adresatką przekazów została jego żona, ostatni zaś dotarł do Asunción w lutym 1945 roku.

Do tej pory nie zdołaliśmy jeszcze zdobyć żadnych informacji na temat aktualnych właścicieli hacjendy. Żona señora Schmeltza zmarła w roku 1949, a jedynym spadkobiercą majątku został ich syn Karl, urodzony w Niemczech w 1931 roku. Niestety, nie zachowała się żadna informacja na temat miejsca urodzenia, nie dysponujemy jego zdjęciami, nie znamy także obecnego miejsca pobytu tego człowieka.

2) Jeśli chodzi o Nicolasa Tsarkina, to ustaliliśmy co następuje:

Nicolas Tsarkin przybył do Asunción z Rio de Janeiro 8 listopada 1946 i dwa dni później złożył wniosek o przyznanie mu paragwajskiego obywatelstwa. W

stosownym formularzu podał, że urodził się w 1911 roku w Rydze, zadeklarował w wóz dwudziestu tysięcy dolarów oraz określił sam siebie jako „uciekiera wojennego i biznesmena”. Obywatelstwo otrzymał równo tydzień po złożeniu wniosku.

Należy zaznaczyć, że w owym czasie imigranci wypełniali dwa formularze: jeden oficjalny, udostępniany do wglądu każdemu, kto sobie tego zażyczył, drugi poufny, przeznaczony dla tajnej policji i zawierający znacznie bardziej szczegółowe informacje. Po wojnie w Paragwaju pragnęło się schronić wielu nazistów, a rząd naszego kraju, nie ukrywający swoich profaszystowskich sympatii, przyjmował ich z otwartymi ramionami - szczególnie tych, którzy przywozili ze sobą złoto albo twardą walutę. Najbogatsi i najbardziej wpływowi mogli liczyć nie tylko na obywatelstwo, lecz także na to, że otrzymają nową tożsamość i zostaną otoczeni dyskretną opieką władz.

Udało nam się dotrzeć do tajnej teczki Tsarkina, zawierającej między innymi drugi, poufny formularz, i przechowywanej w archiwach seguridad. Widziałem ją na własne oczy i choć nie mogę przesłać kopii tego dokumentu, to ustaliłem następujące fakty: a) Nicolas Tsarkin istotnie urodził się w roku 1911, tyle że nie w Rydze, lecz Berlinie. b) W rzeczywistości nazywał się Heinrih Reimer. c) W chwili zakończenia wojny był majorem w dywizji SS Leibstandarte. d) Według informacji pochodzących z wiarygodnych źródeł, był ścigany zarówno przez aliantów, jak i Rosjan, w związku ze zbrodniami wojennymi, których dopuścił się na obu frontach. Należy jednak zwrócić uwagę, że przez cały czas pobytu w Paragwaju nie zgłoszono żadnego wniosku o ekstradycję Tsarkina, on sam zaś nigdy nie był niepokojony przez policję, wiodąc spokojne i zamożne życie oraz prowadząc rozliczne interesy.

Największe zyski czerpał z handlu maszynami i częściami zamiennymi, oprócz tego zaś nabył kilka farm w głębi kraju, gdzie prowadził między innymi hodowlę zarodową bydła. Nigdy się nie ożenił, nie miał żadnych powiązań ze Schmeltzem. Pół roku temu sprzedał wszystkie swoje firmy pewnemu zamożnemu Paragwajczykowi.

3) Nadal kontrolujemy przejścia graniczne, ale jak do tej pory nie natrafiliśmy na żadne dokumenty świadczące o tym, żeby

Dieter Winter odwiedzał nasz kraj częściej niż wynika to z dotychczasowych ustaleń.

4) Jest jeszcze jeden interesujący szczegół. Otóż stacja kontroli radarowej w Bahia Negra, na północny wschód od Chaco, krótko po naszym przybyciu na teren posiadłości zarejestrowała przelot nie zidentyfikowanej lekkiej maszyny, przypuszczalnie małego samolotu albo śmigłowca, kierującej się w stronę granicy z Brazylią. Sprawa ta jest obecnie badana zgodnie z obowiązującymi procedurami.

Pozdrawiam Sanchez

Vołkman oderwał wzrok od swojego egzemplarza raportu. Nawet nie zauważył, kiedy Ferguson ponownie wstał zza biurka i podszedł do okna.

Tom Peters także skończył czytać i teraz kręcił głową.

- Otóż to - westchnął Ferguson. - Tak jak powiedziałem, tajemnice mnożą się, a my nadal wiemy tyle, co przedtem.

- Myśli pan, że śmierć Wintera ma jakiś związek z tym wszystkim? - zapytał Peters. - Nawet z tym starym zdjęciem, a także zabójstwem dziennikarza i dziewczyny?

- Na pewno nie możemy tego wykluczyć - odparł Ferguson.

Volkman w milczeniu spoglądał przez okno. Niebo zasnuło się szarymi chmurami a temperatura była tak niska, że należało się spodziewać opadów śniegu. Otrząsnąwszy się z zamyślenia spojrzął na szefa, który ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w odbitkę zdjęcia przedstawiającego młodą, uśmiechniętą kobietę trzymającą pod ramię mężczyznę w mundurze.

- Wspomniałeś, że Tsarkin osobiście zarezerwował apartament w hotelu? - odezwał się Ferguson, kierując pytanie do Volkmana.

- Owszem. Tak samo postępował przez minione dwa lata, za każdym razem, kiedy Winter przylatywał do Paragwaju. - Joseph wzruszył ramionami. - Ale z tego niewiele dla nas wynika. Wiemy tylko tyle, że Tsarkin, to znaczy Reimer, zajmował

się sprawami organizacyjnymi, nie mamy natomiast żadnych dowodów na to, że brał udział w jakichś podejrzanym interesach.

Ferguson złożył ręce w taki sposób, że stykały się tylko czubkami palców.

- Poproszę chłopców z laboratorium językowego w Beaconsfield, żeby przeprowadzili analizę głosów zarejestrowanych na taśmie. Nie spodziewam się żadnych cudów, ale przynajmniej będziemy znali przybliżony wiek tych ludzi oraz dowiemy się, z jakich rejonów świata pochodzą. Zawsze to więcej niż nic. - Skierował zamysłone spojrzenie w stronę okna. - Czy żaden z was nie zwrócił uwagi na co prawda bardzo wątpliwa, ale jednak istniejącą nić, która wydaje się łączyć tych ludzi i te wydarzenia?

Obaj podwładni wytrzeszczyli ze zdumieniem oczy, on zaś wziął do ręki fotografię jasnowłosej kobiety i mówił dalej:

- Erhard Schmeltz, o którym wspomina Sanchez w swoim raporcie, zaczął otrzymywać przekazy z Reichsbanku w tym samym roku, w którym zostało zrobione zdjęcie, naturalnie jeśli data zapisana na odwrocie fotografii odpowiada prawdzie. Z kolei sam Schmeltz to także ciekawa postać, jeżeli wziąć pod uwagę, że przyjechał do Paragwaju z pogrążonych w kryzysie Niemiec aż z pięcioma tysiącami dolarów w kieszeni.

Volkman gwałtownie podniósł głowę. W raporcie nadesłanym przez Sancheza znalazła się jeszcze jedna informacja, która zwróciła jego uwagę, jeszcze jedna nić, tyle że łącząca Tsarkina z ojcem Eriki Kranz. Przypuszczał, że pozostali także zwrócili na nią uwagę, choć nikt jeszcze o tym nie wspomniał.

- Co powiedział Hollrich po zapoznaniu się z tym raportem? - zapytał.

- Nic, ponieważ mu go nie pokazałem - odparł Ferguson. - Szczerze mówiąc, mam poważne wątpliwości, czy w obecnej sytuacji nasi niemieccy przyjaciele wzięliby się do pracy z wystarczającym zapałem. Obawiam się, że odłożyliby tę sprawę na półkę. Chyba będzie lepiej, jeśli my się nią zajmiemy.

- W takim razie, czego pan ode mnie oczekuje? Ferguson zastanawiał się przez chwilę.

- Dostawa, o której dowiedzieliśmy się dzięki taśmie, może mieć jakiś związek z Włochem, o którym wspomniano w rozmowie. Chyba warto poprosić tych z Sekcji Włoskiej, żeby zwrócili uwagę na większe przesyłki z Montevideo, które dotarły do włoskich portów po dwudziestym piątym listopada, ale wątpię, żeby dało to jakies efekty, bo przecież nie znamy żadnych szczegółów... - Umilkł na chwilę, po czym zapytał. - Czy któryś z was ma jeszcze jakieś propozycje?

- Możliwe, że dziewczyna знаła jakichś kolegów Wintera z Heidelbergu - powiedział Volkmann po krótkim wahaniu. - Studentów z tego samego roku, znajomych z knajpy...

Szef sekcji skinął głową.

- Istotnie, warto spróbować.

- Czy mam się tym sam zająć?

- Tak, przynajmniej na razie. Możesz też włączyć w to dziewczynę, naturalnie jeśli nie będzie miała nic przeciwko temu. Tylko nie zapomnij dać jej jasno i wyraźnie do zrozumienia, że to tajna operacja, więc nie może być mowy o żadnych przeciekach do prasy. Bądź co bądź, panna Kranz jest jednak dziennikarką. Aha, i gdybyś potrzebował pomocy, wal do mnie jak w dym.

Volkmann podniósł się z fotela.

- Przydałyby mi się odbitki tych zdjęć.

- Oczywiście. Dostaniesz je z laboratorium.

- A co z Erhardem Schmeltzem? Ferguson uniósł brwi.

- A co ma z nim być?

- Czy nie powinniśmy wziąć go pod lupę? Kto wie, może w ten sposób dowiemy się czegoś o mieszkańcach hacjendy. Przede wszystkim należałoby sprawdzić, skąd brały się pieniądze, które otrzymywał w Paragwaju.

Szef Sekcji Brytyjskiej skinął głową.

- W porządku. Powiem Tomowi, żeby skontaktował się z Amerykańskim Ośrodkiem Dokumentacji w Berlinie. Co prawda Schmeltz wyemigrował z Niemiec zanim hitlerowcy doszli do władzy, ale nie zaszkodzi spróbować. Jeśli na przykład te

pieniądze pochodziły z kasy NSDAP, to Amerykanie mogą go mieć w swoim wykazie. Poprosimy też o informacje na temat Reimera alias Tsarkina. Jeśli wiadomości przekazane z Asunción są prawdziwe, to powinni mieć coś także na jego temat. Dywizja SS Leibstandarte... Ta sama, w której służył ojciec dziewczyny. Zwróciliście na to uwagę?

- Tak, proszę pana.

- Zastanawiający zbieg okoliczności. Joseph, czy ty jej ufasz?

- Dlaczego pan pyta?

- Po pierwsze, znała Wintera. Po drugie, jej ojciec i Reimer służyli razem w SS. Jestem w stanie przejść do porządku dziennego nad jednym zbiegiem okoliczności, ale dwa wzbudzają już moje podejrzenia. Co gorsza, jest także trzeci.

- Jaki?

- Bywała w Ameryce Południowej i znała tego zamordowanego dziennikarza. Jesteś pewien, że panna Kranz powiedziała nam wszystko, co wie?

- Nie, proszę pana. Nie mam takiej pewności - przyznał Volkmann z ociąganiem.

Ferguson skinął głową na znak, że narada dobiegła końca.

- Na razie zostawimy tę sprawę tak jak jest. Powodzenia, Joseph. Utrzymuj ze mną stały kontakt, żebym mógł na bieżąco przekazywać ci wszystkie informacje, które, mam nadzieję, będą napływały z Asunción.

Volkmann uściśnął rękę szefa, pożegnał się z Petersem i wyszedł z gabinetu. Ferguson poczekał, aż jego podwładny zamknie za sobą drzwi, po czym zwrócił się do Petersa:

- Myślisz, że da sobie z tym radę?

- Proszę?

- Przecież wiesz, jak bardzo nie lubi Niemców. Peters wzruszył ramionami.

- Wolałby pan, żebym ja zajął się tą sprawą?

- Nie. Volkmann ma nad tobą przewagę, ponieważ zna język i dysponuje większym doświadczeniem. Niemniej trzeba będzie go uważnie obserwować. Aha,

tak przy okazji: Wiesz, że dziewczyna zatrzymała się w jego mieszkaniu?

Peters uniósł brwi.

- Kto wpadł na ten pomysł?

- Jasne, że on. - Ferguson uśmiechnął się lekko. - Albo jednak trochę zmiękł, albo wcale jej nie ufa i woli mieć na nią oko.

- Naprawdę sądzi pan, że ona coś przed nami ukrywa?

- Chyba tak, ale w tym momencie naprawdę nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego w ogóle do nas z tym przyszła, i dlaczego tak bardzo jej zależało, żebyśmy nie przekazali sprawy w ręce Bundespolizei. - Ferguson w zamyśleniu przesunął ręką po policzkach. - Coś tu cuchnie Tom. Bardzo cuchnie. - Spojrzał na podwładnego. - A tak w ogóle, to jaka ona jest?

- Znakomita, proszę pana. Ma takie ciało, że człowiek byłby gotów czołgać się kilometr po tłuczonym szkle, żeby chociaż na nią popatrzeć.

Szef Sekcji Brytyjskiej uśmiechnął się znacznie szerzej niż przed chwilą.

- W porządku, Tom. To na razie wszystko.

Joseph i Erika byli jedynymi gośćmi orientalnej restauracji w Petite France.

Dziewczyna miała rozpuszczone włosy i dyskretny makijaż na twarzy. W jasnoniebieskim sweterku, krótkiej czarnej spódnicy oraz bardzo cienkich, ciemnym rajstopach prezentowała się nadzwyczaj atrakcyjnie.

Kelner właśnie przyniósł zamówione potrawy: wysmażony befsztyk z gotowanymi warzywami, a do tego butelkę mocno schłodzonego sauterne.

Volkman przekazał dziewczynie informacje zawarte w raporcie Sancheza, podkreślając kilka razy, że są one ściśle poufne. Opowiadając o przeszłości Tsarkina i o właścicielu posiadłości w Chaco nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Kiedy wspomniał o tym, że DSE zajęło się badaniem przeszłości Schmeltza i Reimera, Erika uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Ale przecież Erhard Schmelz dostawał te pieniądze kilkadziesiąt lat temu!

- Mimo to musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Możliwe, że zbieżność daty otrzymania pierwszego przekazu z tą zapisaną na odwrocie fotografii nie jest

przypadkowa. Poza tym, może przy okazji uda nam się dowiedzieć czegoś o synu Schmeltza, bo na razie znamy tylko jego imię i nazwisko.

Dziewczyna odstawiła kieliszek i spojrzała Josephowi w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że można dotrzeć do dokumentów sprzed tylu lat?

Volkman wyjaśnił jej, że w Niemczech istnieją dwie instytucje przechowujące dane o byłych nazistach. Pierwsza mieści się w Berlinie i nosi nazwę Berliński Ośrodek Dokumentacji. W rzeczywistości jest amerykańską agencją finansowaną przez Bonn, która przejęła wszystkie ocalałe dokumenty dotyczące członków NSDAP oraz SS. Materiały te, zdobyte pod koniec wojny przez zwycięskie wojska alianckie, są przechowywane w podziemnych, pilnie strzeżonych skarbcach; dzięki nim udało się rozstrzygnąć wiele zagadek dotyczących przeszłości osób ubiegających się po wojnie o ważne stanowiska publiczne.

Druga instytucja, całkowicie niemiecka, nazywa się Komisja Z i ma swoją siedzibę w małym Ludwigsburgu w Wirtembergii. W jej skład wchodzi kilkunastu oddanych sprawie detektywów i prawników, których rola polega na tropieniu, doprowadzaniu przed sąd, a czasem także oskarżaniu ukrywających się zbrodniarzy wojennych. O ile Berliński Ośrodek Dokumentacji zajmuje się wyłącznie gromadzeniem i opracowywaniem danych, o tyle Komisja Z działa bardziej aktywnie, demaskując przestępców oraz ujawniając dowody ich działalności. Ponieważ jednak coraz mniej zbrodniarzy z okresu II wojny światowej pozostaje przy życiu, ci zaś, którzy jeszcze nie umarli, albo zostali już osądzeni, albo zdołali tak dobrze zatuszować swą niechlubną przeszłość, że nie sposób im niczego udowodnić, rząd federalny stopniowo zmniejsza fundusze przeznaczone na działalność Komisji i należy się spodziewać, iż wkrótce zostanie ona zlikwidowana. Tak więc materiały dotyczące byłych członków NSDAP i SS są albo w Ludwigsburgu, albo w Berlinie, ale do Berlina trafiły wszystkie ocalałe oryginały, więc powinni tam właśnie zacząć. Naturalnie nie ma żadnej gwarancji, że cokolwiek się znajdzie, bo przecież Erhard Schmelz opuścił Niemcy przed dojściem nazistów do władzy, warto jednak spróbować.

Dziewczyna odwróciła wzrok, przez chwilę zastanawiała się nad czymś głęboko, po czym znowu spojrzała na Josepha.

- Sanchez wspomniał w swoim raporcie o jakiejś niezidentyfikowanej maszynie, która leciała w stronę granicy z Brazylią. Myślisz, że udałoby mu się ustalić, gdzie wylądowała?

Volkmann wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, mocno wątpię, szczególnie jeśli to był śmigłowiec, bo ten nie potrzebuje nawet specjalnie przygotowanego lądowiska. Poza tym nie mamy żadnych dowodów, że lecieli nim akurat ludzie z hacjendy.

Erika odgarnęła włosy z czoła.

- Czy jest więc coś, na czym moglibyśmy się oprzeć?

- Boja wiem... Może dawni koledzy Wintera z uniwersytetu?

- Jak to?

- No, ludzie, z którymi się stykał podczas studiów. Znałaś kogoś spośród nich?

- Obracałam się w zupełnie innych kręgach, ale znałam kilka dziewcząt, które często widywały się z Winterem.

- Może zapamiętałaś kogoś, kto był z nim naprawdę blisko? Dziewczyna wyraźnie się zawahała.

- Wolfgang Lubsch z BadenBaden. On i Winter często pili razem w barach na Starówce.

- Co teraz dzieje się z tym Lubschem? Erika bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale znałam jego dziewczynę, Karen Holfeld. Przez kilka miesięcy była moją współlokatorką. Zdaje się, że teraz mieszka w Moguncji.

- Myślisz, że udałoby ci się do niej dotrzeć?

- Na pewno mogłabym zadzwonić do jej przyjaciółek, chociaż nikt nam nie zagwarantuje, że ona wie, co się dzieje z Lubschem. Co mam jej powiedzieć, gdybym jednak ją odnalazła?

Volkmann zastanawiał się tylko kilka sekund.

- Że wspólnie z koleżanką piszesz do jakiegoś miesięcznika artykuł o studentach Heidelbergu. Daj jej do zrozumienia, że zapewniasz swoim rozmówcom całkowitą dyskrecję, ale zależy ci na tym, by spotkać się z nimi osobiście. Byłoby dobrze, gdybyś nie dała jej odczuć, jak bardzo to dla ciebie ważne, bo może zacząć coś podejrzewać. Jeśli nie uda ci się do niej dotrzeć za pośrednictwem koleżanek, spróbujemy to zrobić naszymi kanałami. - Umilkł na chwilę, po czym zapytał: - Czy jest jeszcze ktoś, kto w tamtych czasach mógł dobrze znać Wintera?

- Zaczekaj, niech się zastanowię... Tak, był taki człowiek. Nazywał się Herman Borchardt. Mam wrażenie, że przyjaźnił się z Lubschem, ale nie trwało to długo, bo zrezygnował ze studiów. Jego ojciec był bogatym biznesmenem, właścicielem sieci nocnych klubów w tej słynnej dzielnicy Hamburga, St Pauli.

- Dlaczego Borchardt przerwał studia?

- Zdaje się, że zmarł jego ojciec, więc Herman musiał zająć się prowadzeniem interesu.

- Zdołasz go odszukać?

- Chyba tak.

- Więc zadzwoń do niego i zapytaj, czy zechciałby ze mną porozmawiać. Powiedz mu, że jestem twoim kolegą, też dziennikarzem, który chciałby mu zadać kilka pytań w związku z artykułem, nad którym pracuje. Nie mów nic więcej, chyba że bardzo by nalegał.

Volkmann umilkł i przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad czymś z pochyloną głową. Wreszcie wyprostował się, spojrzał dziewczynie w oczy i zapytał:

- Czy wyczułaś coś dziwnego, kiedy oglądaliśmy ten opuszczony dom w Chaco? - Co masz na myśli?

- Twoje wewnętrzne odczucia, jakieś nieuchwytnie wrażenie... Cokolwiek.

Erika odłożyła sztucce. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że Joseph trafił w dziesiątkę.

- Rzeczywiście, coś chyba wyczułam, ale nie potrafię tego nazwać. Kiedy weszliśmy do jednego z małych budyneczków na tyłach hacjendy, dostałam gęsiej

skórki, choć przecież wcale nie było tam zimno. Wiesz, zupełnie jakbym wiedziała, że tam ktoś umarł, albo jakby wydarzyło się tam coś strasznego... Czy to właśnie chciałeś wiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Może.

- Czy to ważne?

Volkman uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie, Eriko. Zapomnij o tym.

Kiedy kelner zabrał puste naczynia, dziewczyna pochyliła się do przodu i dotknęła ręki Josepha.

- Chciałam ci bardzo podziękować, Joe. Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Volkman w milczeniu spoglądał w niewinne błękitne oczy, zastanawiając się, czy Erika Kranz mówi prawdę, czy też po prostu jest znakomitą aktorką.

Obudził go dzwonek telefonu dobiegający z sąsiedniego pokoju. W sypialni panował półmrok. Okno było otwarte na oścież, zasłony lekko falowały, poruszane podmuchami nocnego wiatru. Joseph włączył lampkę i spojrzał na zegarek: północ. Wstał, ubrał się szybko i przeszedł do salonu.

Dziewczyna siedziała przy telefonie z otwartym notesem na kolanach. Miała podkrążone ze zmęczenia oczy.

- Wydzwaniam bez przerwy prawie od godziny. Znajomy dziennikarz z Hamburga podał mi numer telefonu do jednego z klubów Borchardta, ale tam powiedzieli mi, że szefa nie ma i że bym spróbowała go złapać jutro rano. Uparłam się, że mam do niego bardzo ważną sprawę, więc w końcu dali mi domowy numer jego sekretarki. Naturalnie zaraz do niej zadzwoniłam.

- I czego się dowiedziałas?

- Nie była zachwycona, że niepokoję ją w domu. Poinformowała mnie, że Borchardt wyjechał w interesach do Monachium i wróci najwcześniej pojutrze. Udało mi się ją jakoś udobruchać, a potem powiedziałam jej, że jestem dziennikarką i koleżanką Hermana z uniwersytetu. Potem zaserwowałam jej tę historyjkę, którą mi podpowiedziałeś. Od razu złagodniała i wyjaśniła mi, że co prawda szef będzie

zajęty przez cały dzień, ale po szóstej wieczorem powinien zjawić się w jednym ze swoich klubów przy Reeperbahn, więc może wtedy zgodzi się z tobą spotkać. W każdym razie obiecała, że przekaże twoją prośbę. Knajpa nazywa się Baron Club.

- Udało ci się dowiedzieć czegoś o Wolfgangu Lubschu? Erika skinęła głową.

- Tak, dzięki koleżance Karen. Dała mi jej numer telefonu. Zastałam Karen w domu, ale rozmawiała ze mną bardzo ostrożnie.

- Dlaczego?

- Ona twierdzi, że Lubsch nie znosi zamieszania wokół swej osoby, ale ja odniosłam wrażenie, że najzwyczajniej w świecie się ukrywa.

- Wiesz może dlaczego?

- Nie. Karen chyba nie miała ochoty mi niczego wyjaśniać, a ja wolałam nie pytać.

- Gdzie teraz przebywa Lubsch?

- Nie mam pojęcia.

- Więc w jaki sposób możemy się z nim skontaktować?

- Powtórzyłam Karen wszystko, co kazałeś. Obiecałam, że nie ujawnię nazwiska Lubscha, a ona powiedziała, że zadzwoni do niego i zapyta go o zdanie. Oddzwoniła dopiero przed chwilą z informacją, że Lubsch zgadza się na rozmowę.

- Gdzie i kiedy?

- Podała mi nazwę winiarni w Riidesheim. To takie zabytkowe miasteczko jakąś godzinę jazdy od Frankfurtu. Mamy być w Weisses Rossl jutro punktualnie o czwartej po południu. Tylko my dwoje, taki postawiła warunek. Dałam jej słowo, że dotrzemy umowy.

Volkmann zaczekał, aż dziewczyna zniknie w pokoju gościnnym, po czym zadzwonił do Jana de Vries, oficera pełniącego nocny dyżur w siedzibie Sekcji, i poprosił o jak najszybsze dostarczenie informacji na temat Wolfganga Lubscha z BadenBaden, absolwenta Uniwersytetu w Heidelbergu. De Vries obiecał skontaktować się z Josephem około ósmej rano.

Odłożywszy słuchawkę Volkmann wstał z kanapy, podszedł do regału, wziął

z półki atlas świata i otworzył go na mapie Ameryki Południowej. Po krótkich poszukiwaniach znalazł miasteczko Bahia Negra w pobliżu granicy Paragwaju z Brazylią, gdzie zaobserwowano przelot nie zidentyfikowanej maszyny. Był bardzo ciekaw, czy Sanchezowi udało się dokonać jakichś postępów w śledztwie, ale zdawał sobie sprawę, że musi uzbroić się w cierpliwość i czekać na wiadomości z Asunción. Kapitan na pewno da mu znać, gdy trafi na coś rzeczywiście interesującego.

Odstawił atlas na półkę, po czym wrócił do swojej sypialni, wyjął z kabury służbową berettę kaliber 9 mm i sprawdził działanie zamka. Magazynek był pełny, podobnie jak zapasowy w kieszonce przy kaburze. Joseph położył broń na nocnym stoliku, następnie zaś usiadł w fotelu przy oknie i jeszcze raz przeczytał przetłumaczone nagranie. Kiedy skończył i spojrzął przez okno, przekonał się, że pada deszcz. Drobne krople zostawiały na szybie ślady podobne do delikatnych rys zrobionych jakimś bardzo ostrym narzędziem.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Rozdział 20

Riidesheim 10 grudnia, godz. 15.00

Najbardziej rzucającymi się w oczy cechami położonego na wysokim brzegu Renu miasteczka była płatanina wąskich brukowanych uliczek oraz zdumiewająca obfitość niewielkich, zacisznych tawern, barów i kafejek.

Latem Riidesheim przeżywało najazd turystów pragnących raczyć się młodym reńskim winem, zimą natomiast zaglądali tu jedynie weekendowi goście z pobliskich dużych miast.

Najpierw wpadli do mieszkania Eriki, gdzie dziewczyna przejrzała pocztę i wzięła trochę świeżych ubrań, następnie zaś wyjechali z Frankfurtu autostradą na Moguncję. Opuścili ją przy zjeździe na Riidesheim, minęli kilka sennych wiosek i dotarli na miejsce parę minut po trzeciej.

Volkmanm zostawił samochód na parkingu przy dworcu kolejowym. Berettę

oraz legitymację DSE wepchnął pod fotel pasażera, do portfela zaś włożył opiewającą na jego nazwisko legitymację dziennikarską, którą odebrał rankiem z wydziału dokumentów.

W przystani kołysało się kilka pograżonych w zimowym śnie stateczków wycieczkowych. Co prawda pogoda zupełnie nie kojarzyła się z Bożym Narodzeniem, niemniej sklepowe wystawy były odświętnie przystrojone, na rynku zaś ustawiono ogromną choinkę ozdobioną kolorowymi migającymi lampkami.

Powoli wspinali się stromymi, brukowanymi uliczkami w kierunku centrum starego miasta. Większość winiarni była zamknięta, ale udało im się znaleźć czynną kawiarnię, gdzie zamówili kawę i ciastka.

Dziewczyna miała na sobie luźny wełniany sweter, granatowy płaszcz nieprzemakalny, dżinsy oraz sportowe pantofle. Włosy związała w koński ogon i choć była prawie bez makijażu, jej twarz zwracała uwagę delikatną urodą.

- Opowiedz mi o tym Lubschu - poprosił Volkmann, kiedy kelner przyniósł kawę.

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie należał do mężczyzn podobających się kobietom. Niski, bardzo szczupły, w okularach i z rudymi włosami. Sprawiał wrażenie bardzo delikatnego, a jednocześnie aroganckiego, jeśli wiesz, co mam na myśli. Do tego marzyciel, choć trzeba przyznać, że szalenie inteligentny. I co, myślisz, że to ci w czymś pomoże?

- Kto wie - odparł z uśmiechem Joseph. - Czy twoja przyjaciółka Karen nadal utrzymuje bliskie stosunki z Lubschem?

Erika zastanawiała się przez chwilę.

- Odniosłam wrażenie, że się z nim widuje. To właściwie oczywiste; skoro udało jej się z nim skontaktować... - Uśmiechnęła się. - Karen zawsze wysoko ceniła inteligentnych mężczyzn i z reguły nie odmawiała im swych wdzięków. Zupełnie jakby miała nadzieję, że dzięki osmozie przejmie część ich wiedzy i inteligencji. Zyskała sobie opinię prawdziwej zdobywczyni męskich serc. O ile ją znam, nadal

sypia z Lubschem, mimo że jest od dawna mężatką.

- Opowiedz mi o niej.

- Prowadzi z mężem rodzinny interes w centrum Moguncji i nie nazywa się już Holfeld, tylko Gries.

- Co to za interes?

- Sklep z artykułami skórzanymi. Dostarczają stroje i rekwizyty do seksklubów. To bardzo kosztowne rzeczy, ale Karen twierdzi, że nie narzekają na brak klientów.

- Na jakim wydziale studiowała?

- Polityki i nauk społecznych, tak samo jak Lubsch.

- Wygląda na to, że wybrała niewłaściwy kierunek studiów.

- Wcale nie. Karen zawsze interesowała się polityką, a dopiero w drugiej kolejności seksem. Wielu kolegów chętnie pomagało jej przygotowywać się do egzaminów w zamian za usługi, które świadczyła im w łóżku.

- Jak to właściwie było podczas waszych studiów? Wspomniałaś kiedyś, że wielu młodych ludzi podzielało poglądy Wintera.

- Na temat imigrantów i tak dalej? Nie tworzyli żadnego zorganizowanego ruchu, jeśli o to ci chodzi, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Po prostu zbierali się w knajpach i rozprawiali do białego świtu.

- O czym?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, tym razem znacznie energiczniej niż poprzednio.

- Głównie o stanie państwa. O tym, że z powodu pięciu milionów imigrantów nie sposób utrzymać czystości rasy. Kiedy mieli już mocno w czubie, pozwalali sobie na obraźliwe uwagi wobec studentów, których podejrzewali o mieszane pochodzenie.

- I co jeszcze?

- Mieli swój hymn: „Niemcy dla Niemców”. Raz czy dwa widziałam też ręce podniesione w hitlerowskim pozdrowieniu, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Większość studentów uważała ich za dokuczliwych, ale niegroźnych postrzelców; czego zresztą można oczekiwać po ludziach, którzy golą sobie głowy do gołej skóry i głosują na Partię Republikanów?

- Czy takie rzeczy działy się tylko w Heidelbergu?

- Przypuszczam, że w innych uczelniach także, ale to nigdy nie był ruch dominujący, tylko nie znajdująca zbyt wielu zwolenników tendencja.

- Jak zareagowały władze uniwersyteckie?

- Po tym, jak zaczęły napływać skargi, przypuszczalnie wezwały przywódców ruchu na rozmowy ostrzegawcze, bo incydenty przestały się powtarzać. Poza tym oni nigdy nie mieli znaczącego poparcia, a kiedy znaleźli się na ostatnim roku, niemal zupełnie zniknęli ze sceny.

- A potem?

- To znaczy?

- Kiedy skończyli studia. Spotkałaś któregoś z nich? Nadal wyznawali takie poglądy?

Erika pokręciła głową.

- Koledzy z mojej grupy zajmowali się innymi sprawami. - Uśmiechnęła się lekko. - Głównie prochami, rockiem i seksem. O innych trudno mi cokolwiek powiedzieć, bo kontakty urwały się bardzo szybko. - Umilkła, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoją filiżankę, po czym spojrzała na Volkmana. - Wiesz, co jest niezwykłego w naszej rozmowie?

- Nie mam pojęcia.

- To, że bez przerwy zadajesz pytania, zmuszając mnie w ten sposób do mówienia. Właściwie to ja powinnam tak postępować, bo przecież jestem dziennikarką, ale z tobą to się nie udaje. Poza tym sytuacja jest dość absurdalna.

- Dlaczego?

- Przecież spędziłam noc w mieszkaniu mężczyzny, o którym nic nie wiem. Tak się zazwyczaj nie dzieje, Joe.

- A co się zazwyczaj dzieje?

W oczach dziewczyny błysnęły iskierki rozbawienia.

- Nic, o czym należałoby pisać w liście do rodziców. Chciałabym, żebyś zdawał sobie sprawę z jednego: mam pracę, słucham muzyki, która mi się podoba, często spotykam się z przyjaciółmi. Przyzwyczaiałam się do tego wszystkiego i na pewno nie jestem dobrym materiałem na Hausfrau.

- Masz chłopaka? Potrząsnęła głową.

- Chwilowo nie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Czyja także mogę zadać ci kilka osobistych pytań?

- A co chciałabyś wiedzieć?

- Na przykład, czy lubisz swoją pracę?

- Zostałem wyszkolony, żeby wykonywać ją jak najlepiej.

- Tak samo odpowiadają żołnierze, jeśli zadać im to pytanie. Mnie chodzi o to, czy naprawdę ją lubisz?

- Tak.

Powiedział to z uśmiechem na twarzy, ale jednocześnie skierował spojrzenie za okno, w szybko gęstniejący mrok, jakby pragnął dać dziewczynie do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych pytań. W oknach zabytkowych domów zapalały się światła.

- Jest coś, o czym powinnaś się dowiedzieć przed spotkaniem z Lubschem - odezwał się wreszcie, przerywając milczenie.

- Co to takiego?

- On nie jest niezaradnym intelektualistą, za jakiego go uważałaś. Znajduje się na liście terrorystów poszukiwanych przez policję.

Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- O czym ty mówisz, Joe?

- Nasi ludzie zebrali informacje na jego temat. Wolfgang Lubsch należy do grupy terrorystycznej, która działa na obszarze od granicy szwajcarskiej do Frankfurtu. To odłam RAF, Frakcji Czerwonej Armii. Niewinny chłopczyk, którego poznałaś w czasie studiów, zdążył od tego czasu sporo narozrabiać. Był zamieszany

w co najmniej dwa porwania i morderstwo pewnego znanego przemysłowca we Freiburgu, a oprócz tego specjalizuje się w fałszowaniu czeków, dzięki którym pobiera znaczne sumy z banków, mimo że w żadnym z nich nie ma konta.

- Nic nie rozumiem. Przecież sam poprosiłeś, żebym ci o nim opowiedziała...

- Nadmiar wiedzy jeszcze nikomu nie zaszkodził, a poza tym chciałem się dowiedzieć, jak wygląda, bo nie zdążyłem obejrzeć jego zdjęcia. Informacje przekazano mi przez telefon.

Erika zmarszczyła brwi.

- Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś? Jeśli to co wiesz o Lubschu jest prawdą, może nam grozić poważne niebezpieczeństwo!

- Nic ci nie powiedziałem, bo mogłaś się rozmyślić i zrezygnować ze spotkania, a to przecież jedyny ślad, na jaki udało nam się trafić.

Dziewczyna nie wahała się ani chwili.

- Jeżeli w ten sposób dotrzemy do zabójców Rudiego, to jestem gotowa na wszystko.

- Lubsch nie wie, że pracuję dla DSE, i nie ma sposobu, by się o tym dowiedział, chyba że ty mu powiesz. - Joseph wyjął z portfela legitymację dziennikarską. - Jest prawdziwa. Bez względu na to, co się wydarzy, trzymaj się wersji, którą ustaliliśmy. Gdyby Lubsch coś zwąchał, mogłoby zrobić się gorąco.

- Jak bardzo?

- Przypuszczalnie postanowiłby mnie zlikwidować - odparł Volkmann z uśmiechem.

Dziewczyna zbladła jak ściana.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Joseph.

- Tak... - wyszeptała. - Wszystko w porządku.

- Naturalnie nic takiego się nie zdarzy, jeśli zachowasz zimną krew, ale jeżeli czujesz, że nie jesteś sobie pewna, powiedz mi to teraz. Nie chciałbym, żeby któreś z nas skończyło jako anonimowe zwłoki wyłowione z Renu. Nie wziąłem ze sobą broni, bo Lubsch na pewno każe nas przeszukać. Oboje ryzykujemy życiem, ale jeśli

zależy ci na tym, by odszukać i ukarać morderców Rudiego, musisz podjąć to ryzyko.

- Może nabrać podejrzeń, kiedy zaczniemy wypytywać go o Wintera.

- Trudno, musimy zaryzykować. Pamiętaj o jednym: bez względu na wszystko trzymamy się ustalonej wersji.

Dziewczyna skinęła głową.

- W porządku, Joe.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Tak.

Przez kilka chwil wpatrywał się uważnie w jej twarz, lecz nie dostrzegł tam oznak strachu. Wreszcie spojrzał na zegarek, a kiedy podniósł wzrok napotkał spokojne, zdecydowane spojrzenie błękitnych oczu Eriki.

Wkrótce potem uregulował rachunek, po czym zapytał kelnera o drogę do Weisses Rossl.

Pięć minut później weszli do starej tawerny usytuowanej nad samym brzegiem rzeki. Była to autentyczna Weinkeller o potężnych belkach stropowych z ciemnego drewna, przesyconych wonią wędlin i dymu woskowych świec. Byli jedynymi klientami, w związku z czym nie mieli problemów ze znalezieniem wolnego stolika; Volkmann zdecydował się na usytuowany w głębi lokalu, obok wyjścia awaryjnego, i zamówił dwa kieliszki schnappsa.

Ledwie kelnerka zdołała zrealizować zamówienie, do knajpy wszedł barczysty młody człowiek o gładko ogolonej twarzy, owinięty szarą ortalionową peleryną. Usiadłszy przy barze zamówił piwo, po czym skrył się za rozłożoną gazetą.

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy Volkmann zorientował się, że młody człowiek ich obserwuje; od czasu do czasu spoglądał także w stronę wejścia do lokalu. Ponieważ w najmniejszym stopniu nie odpowiadał opisowi Lubscha przedstawionemu przez Erikę, należało się domyślać, iż jest jednym z jego ludzi, który został przysłany w celu rozpoznania terenu.

Wreszcie, kiedy kelnerka zniknęła w kuchni, młodzieniec zszedł ze stołka i podszedł do stolika, przy którym siedzieli Volkmann i dziewczyna. Prawą rękę wsunął do kieszeni peleryny.

- Ty jesteś Erika Kranz? - zapytał półgłosem.

- Tak.

Chłopak przeniósł spojrzenie brązowych oczu na Josepha.

- A ty nazywasz się Volkmann?

Joseph w milczeniu skinął głową. Chłopak ponownie spojrział na Erikę, a następnie powiedział:

- Wolfgang polecił mi was sprawdzić. Tak na wszelki wypadek, ma się rozumieć - dodał z cieniem uśmiechu na twarzy, ale szybko spoważniał i zerknął w kierunku otwartych drzwi kuchni. - Jak stąd wyjdziecie, po prawej stronie zobaczycie wąski zaułek. Spotkamy się tam za dwie minuty. Zbliżając się do mnie trzymajcie ręce tak, żebym je widział. Macie w nich trzymać dokumenty, nic więcej. Gdyby zjawił się ktoś jeszcze, zatrzymajcie się przy mnie i udawajcie, że prowadzimy przyjacielską pogawędkę, ale nie próbujcie sięgać do kieszeni i w ogóle wybijcie sobie z głów wszelkie głupoty. Rozumiemy się?

Erika otwierała już usta, by zaprotestować, ale młody człowiek powstrzymał ją ledwo dostrzegalnym ruchem ręki.

- Po prostu róbcie, co wam mówię, bo jeśli nie, to odwołujemy spotkanie.

Wrócił do baru, dokończył piwo, złożył gazetę i wyszedł, pożegnawszy się uprzednio z dziewczyną, która tymczasem zdążyła wyłonić się z kuchni. Volkmann zauważył jeszcze przez frontową szybę, że chłopak skręcił ostro w prawo, po czym stracił go z oczu. Spojrzawszy na Erikę stwierdził z zadowoleniem, że na jej poważnej, skupionej twarzy nie widać żadnych oznak zdenerwowania.

- Nie mamy wyboru, musimy robić, co nam kazał. Masz jakiś dowód tożsamości?

Erika skinęła głową i wyjęła z kieszeni płaszcz prawo jazdy.

- Trzymaj je w rękę, tak żeby widział je z daleka. Nie zwlekając wyszli z

lokalu.

Zaułek okazał się nie tylko wąski, ale także bardzo długi i pogrążony w mroku. Kończył się czymś w rodzaju niewielkiego brukowanego podwórza, oświetlonego niepewnym blaskiem samotnej lampy, kołyszącej się w podmuchach wiatru na drewnianym słupie. Nieco dalej zaczynała się kolejna, równie wąska alejka, prowadząca ku sąsiedniej ulicy. Chłopak czekał u jej wylotu, z rękami wbitymi w kieszenie peleryny.

- Stańcie twarzą do ściany - polecił przyciszonym głosem, kiedy zbliżyli się na odległość trzech metrów. - Połóżcie ręce na murze i nie ruszajcie się przez chwilę. Ciebie też muszę sprawdzić - dodał jakby przeprasającym tonem, zwracając się bezpośrednio do Eriki.

Chyba nie po raz pierwszy przeprowadzał takie przeszukanie, ponieważ jego ręce przesuwają się delikatnie i szybko, ale Volkmann był całkowicie pewien, że wyczułby każdą, nawet najbardziej przemyślnie ukrytą broń.

- W porządku, możecie się odwrócić. Dokumenty. Oglądał je uważnie, porównując twarze Volkmana i Eriki z tymi uwiecznionymi na fotografiach, by wreszcie oddać dokumenty właścicielom i spojrzeć Josephowi w oczy.

- Przyjechaliście samochodem?

- Tak.

- Czy ktoś was śledził?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Raczej tak.

- Zapytałem, czy jesteś tego pewien, Volkmann.

- Na tyle, na ile byłem w stanie się zorientować. Mężczyzna umilkł na chwilę, po czym warknął:

- W porządku. Teraz pójdziecie za mną. Tylko pamiętajcie: żadnych pytań.

Odwróciwszy się na pięcie, odszedł pogrążoną w mroku alejką.

Kiedy wyszli na ulicę, najpierw rozejrzał się ostrożnie w obie strony, po czym

dał znak ręką i w gęstniejącej ciemności rozległ się pomruk silnika. Chwilę później przy krawężniku z piskiem opon zatrzymała się duża, szara furgonetka marki Mercedes. Siedzący za kierownicą mężczyzna o ospowatej twarzy, ubrany w kombinezon w zielonooliwkowobrazowe maskujące plamy, niecierpliwie naciskał pedał gazu. Boczne drzwi odsunęły się z łoskotem i z samochodu wyskoczyli jeszcze dwaj młodzi ludzie. Jeden z nich, z waltherem w ręce, dał znak Josephowi i Ericie, żeby weszli do środka. Ledwie zdążyli to zrobić, kiedy drzwi zatrzasnęły się, oni zaś zostali brutalnie przewróceni na podłogę.

- Załóżcie to.

Rzucono im coś w rodzaju dwóch pończoch z grubego rozciągliwego materiału, co prawda z rozcięciami na usta, za to bez otworów na oczy. Volkmann zawahał się, ale został szybko doprowadzony do porządku bolesnym kopnięciem w udo.

- Szybko!

Joseph zobaczył, że Erika wciąga pończochę na głowę i sam uczynił to samo. W ciemności, która go ogarnęła, usłyszał przesycony nienawiścią głos:

- Spróbujcie coś powiedzieć albo ruszyć palcem, a będzie po was.

Potężny silnik diesla ryknął głośno i furgonetka ruszyła gwałtownie naprzód.

Rozdział 21

Furgonetka skręciła z górskiej drogi i wjechała w zadrzewioną dolinę.

Było już zupełnie ciemno, więc kierowca od dłuższego czasu jechał z włączonymi światłami. Mniej więcej po pięciu minutach zatrzymał samochód obok górskiej chaty, wyłączył silnik, wysiadł z szoferki i otworzył boczne drzwi.

Volkmann poczuł silne szarpnięcie za ramię, chwilę potem zaś został wypchnięty na zewnątrz i poczuł intensywny, świeży zapach sosnowego lasu. Do jego uszu dotarł chrzęst kroków na drobnym żwirze, ktoś pchnął go ponownie, tak że aż się zatoczył, potknął o próg i bardziej wpadł niż wszedł do jakiegoś wnętrza.

Tutaj czuć było zupełnie co innego: pleśń, butwiejące drewno i nadpsuta żywność. Podłogowe deski lekko skrzypiąc ugiwały się pod jego ciężarem. Minęła co najmniej minuta, zanim ktoś ściągnął mu zasłonę z głowy. Nagłe uderzenie jaskrawego światła było tak bolesne, że Joseph zacisnął powieki.

Kiedy po dłuższej chwili ostrożnie otworzył oczy, ujrzał stojącą obok Erikę. Dziewczyna, ze smugami rozmazanego makijażu na twarzy, spoglądała na młodego człowieka w okularach w drucianych oprawkach na nosie, opartego o okno zasłonięte drewnianymi okiennicami.

Mężczyzna miał na sobie ciemną ocieplaną kurtkę, granatowe džinsy oraz mocno sfatygowane adidas. Był nieduży, żyłasty, rudowłosy, z kilkudniowym zarostem na twarzy i wyglądał jak ktoś, kto nie spał co najmniej od tygodnia. Wcale nie miał aryjskich rysów twarzy - tylko oczy były błękitne i bystre jak ślepiec drapieżnika. Zza paska spodni wystawała rękojeść potężnego walthera.

Wyraz twarzy dziewczyny powiedział Josephowi, że mają przed sobą Wolfganga Lubscha we własnej osobie. Terrorysta mierzył ich aroganckim spojrzeniem, ale wciąż nie odezwał się ani słowem.

Zaniedbane, brudne pomieszczenie było oświetlone blaskiem dwóch gazowych lamp; jedna wisiała na rzeźniczym haku przymocowanym do sufitu, druga stała na koślawym stoliku pośrodku izby. Volkmann zorientował się, że przywieziono ich do górskiej chaty, autentycznej Berghütte, jednej z setek, jeśli nie tysięcy rozrzuconych po górzystych terenach Niemiec. Większość znajdowała się w znakomitym stanie, ponieważ chętnie korzystali z nich nie tylko myśliwi, robotnicy leśni oraz wędkarze, ale nawet całe rodziny, wynajmujące je na okres urlopu. Ta jednak była wyjątkowo zaniedbana, jakby stała pusta od wielu lat, lecz temu wrażeniu przeczyły wypełniające ją niemiłe zapachy, świadczące aż nadto wyraźnie o obecności ludzi.

Strop podtrzymywały potężne belki, jedyne umeblowanie zaś stanowił drewniany stolik ustawiony na środku izby oraz cztery wiekowe krzesła. Dwoje drzwi prowadziło do sąsiednich pomieszczeń; należało przypuszczać, że jest w nich

co najmniej równie zimno jak tutaj.

Okno usytuowane w przeciwległej ścianie nie było zasłonięte okiennicami, a przez ogromną dziurę w szybie napływało do wnętrza lodowate powietrze. Volkmann widział odległą o kilkanaście metrów czarną ścianę lasu, znacznie dalej zaś potężne sylwetki ośnieżonych szczytów.

Podróż furgonetką trwała około pół godziny, z czego przez ostatni kwadrans silnik pracował na wysokich obrotach, co świadczyło o tym, że jechali drogą prowadzącą stromo pod górę. Volkmann przypuszczał, iż znaleźli się w położonych na północ od Rudesheim górach Taunus lub w środku pasma wzgórz ciągnących się wzdłuż doliny Renu.

Mężczyzna oparty o parapet utkwił w Josephie spojrzenie jasnoblękitnych oczu i wycodził:

- Nie próbuj myśleć o ucieczce, Volkmann. Nie przebiegłbyś nawet pięciu metrów.

Przy drzwiach wejściowych stali dwaj młodzi ludzie z mercedesa. Jeden, wysoki i jasnowłosy, trzymał w rękach pistolet maszynowy AK-47, drugi, znacznie niższy i bardziej krępy, z rozplaszczonym, złamanym w wielu miejscach nosem i blizną na czole, wyglądał na kogoś, kto bardzo lubi fizyczny kontakt z przeciwnikiem. Jakby na potwierdzenie tego wrażenia od niechcienia bawił się policyjną pałką z rzemienną pętlą u rękojęści.

Na stole leżał wybebeszony portfel Volkmana, a także zawartość torebki Eriki. Mężczyzna z pałką milcząco wskazał im krzesła.

Kiedy Joseph i dziewczyna zajęli miejsca, młody człowiek o rudych włosach zbliżył się do stołu, zaczął od niechcienia grzebać w rozrzuconych tam rzeczach, wreszcie wziął w dwa palce francuskie prawo jazdy Volkmana, studiował je przez chwilę, po czym rzucił na stół. Wyjąwszy papierosa wsadził go do ust, zapalił zapalniczką, zaciągnął się dymem. Błękitne oczy wpatrywały się nieruchomo w Erikę.

Dziewczyna odwzajemniła spojrzenie. Milczenie przedłużało się, aż wreszcie

terrorysta powiedział cicho:

- Erika Kranz... Minęło sporo czasu, a ty wyglądasz równie uroczo jak dawniej.

- Wolfgang, chciałabym...

- Wybacz mi to przedstawienie z zasłanianiem oczu, wywożeniem was z miasta i tak dalej, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że ktoś, kto znajduje się w takiej sytuacji jak ja, musi zachować niezbędne środki ostrożności. - Lubsch uśmiechnął się z przekąsem. - Chyba wiesz, dlaczego to robię?

Erika zerknęła na mężczyznę z kałasznikowem, po czym znowu spojrzała Lubschowi w oczy.

- Bo jesteś terrorystą.

- Cóż, to zależy wyłącznie od punktu widzenia, nie sądzisz? - Zdjął okulary i przez chwilę masował nasadę nosa. - No, słucham. Dlaczego chcieliście się ze mną spotkać?

- Już powiedziałam Karen, dlaczego.

Lubsch założył okulary, uśmiechnął się ponownie i pokręcił głową.

- Na pewno nie z powodu jakiegoś głupiego artykułu. W Heidelbergu bez trudu znalazłabyś co najmniej dziesięciu znacznie sensowniej szych rozmówców, z dotarciem do których nie miałabyś najmniejszego problemu. Poza tym, chyba nigdy nie wyglądałem na kogoś, kto w przyszłości miałby stać się jednym z filarów społeczeństwa? - Błękitne oczy wpatrywały się w dziewczynę bez mrugnięcia. - Dajmy więc sobie spokój z podchodami i powiedz mi od razu, dlaczego naprawdę postanowiliście się ze mną skontaktować.

- Ponieważ potrzebujemy twojej pomocy - odparła Erika po krótkim wahaniu.

- W czym?

Dziewczyna spojrzała na Volkmana, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Lubscha.

- W pracy nad artykułem, który wspólnie piszemy.

- O czym ma być ten artykuł? Tylko nie powtarzaj mi bajeczki, którą uraczyłaś

Karen.

- Dziesięć dni temu w Berlinie zamordowano człowieka. Znałeś go, bo studiowaliście razem w Heidelbergu.

- Kto to taki?

- Dieter Winter.

Lubsch milczał przez kilka sekund, ale na jego twarzy nie pojawiły się żadne emocje.

- Czytałem o tym w gazetach. Jaki to ma związek ze mną?

- Staramy się ustalić, kto zabił Wintera i dlaczego.

- Czemu aż tak bardzo was to interesuje? Tym razem to Erika umilkła na dłuższą chwilę.

- Ponieważ przypuszczamy, że jego śmierć ma związek z innymi morderstwami - odparła wreszcie.

- Doprawdy? Jakie morderstwa masz na myśli?

Opowiedziała mu o Rudim, Winterze i przemyśle tajemniczych ładunków z Paragwaju. Wysłuchawszy jej Lubsch zaciągnął się dymem, po czym wzruszył ramionami.

- Ktoś zabija kogoś na drugiej półkuli, a wy uważacie, że ja mam z tym jakiś związek?

- Policja nie wie, kto zastrzelił Wintera ani dlaczego. Przypomniałam sobie, że spotykałeś się z nim podczas studiów, więc pomyślałam, że może zechcesz nam pomóc, że znasz ludzi, z którymi moglibyśmy pogadać... Którzy wiedzieliby, czym zajmował się Winter, z kim utrzymywał kontakty... Właśnie dlatego postanowiliśmy się z tobą spotkać.

Lubsch nie spuszczał z niej przenikliwego spojrzenia.

- Czy wiecie, co przemycano z Ameryki Południowej?

- Nie.

Rudowłosy mężczyzna zdawał się zastanawiać nad czymś w milczeniu, po czym zwrócił się do Josepha:

- A co z tobą, Volkmann? Jaką rolę odgrywasz w tej historii?

- Pomagam Ericie zdobywać informacje do artykułu. Lubsch spojrzał na rozłożoną na stole zawartość portfela

Volkmanna.

- Masz francuskie prawo jazdy, ale nie jesteś Francuzem, zgadza się? Świetnie mówisz po niemiecku, ale nie jesteś też Niemcem. Zdradza cię akcent; bardzo słaby, ale jednak można go usłyszeć.

- Jestem Anglikiem.

W błękitnych oczach pojawił się błysk zainteresowania, lecz natychmiast zniknął, ustępując miejsca podejrzliwemu skupieniu.

- Czy jest jeszcze jakiś powód, dla którego interesujecie się Winterem?

- A powinien być?

- To ja zadaję pytania, Volkmann. Odpowiadaj.

- Nie, nie ma innego powodu.

Przez chwilę Lubsch przeszywał go badawczym spojrzeniem, po czym ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Krępy mężczyzna z blizną na twarzy zamachnął się pałką i uderzył Volkmana w lewy policzek. Cios był tak silny, że Joseph runął na podłogę razem z krzesłem, ale człowiek, który zadał uderzenie, złapał go pod pachy, dźwignął z podłogi i posadził z powrotem przy stole. Erika krzyknęła przeraźliwie, lecz drugi, wyższy mężczyzna zatkał jej usta ręką.

Volkmann ostrożnie dotknął policzka. Bolało jak diabli, a w dodatku opuchlizna rosła tak szybko, że należało się spodziewać, iż już wkrótce jego lewe oko zamieni się w wąską szparkę.

Niespodziewanie Lubsch doskoczył do niego, chwycił za włosy i odgiął mu głowę do tyłu.

- Jesteś pewien, Volkmann?

- Już ci powiedziałem...

Rudowłosy terrorysta wpatrywał mu się w oczy.

- W takim razie posłuchaj mnie uważnie. Oboje mnie posłuchajcie. Po pierwsze, nie mam zwyczaju pomagać dziennikarzom, którzy wynajdują jakieś idiotyczne preteksty, byle tylko się ze mną spotkać. Po drugie, niezbyt wysoko cenię sobie ludzi, którzy marnują mój czas, a dodatkowo narażają mnie na niebezpieczeństwo. Rozumiesz?

Przez dwie lub trzy sekundy czekał na odpowiedź, a nie uzyskawszy jej, ponownie szarpnął głową Josepha.

- Zadałem ci pytanie, Volkmann. Więc jak, zrozumiałeś czy nie?

- Zrozumiałem.

Lubsch zwolnił uchwyt i przeniósł wzrok na Erikę. Dał znak swojemu człowiekowi, żeby ten cofnął rękę zasłaniającą jej usta.

- A teraz ty: nie próbuj więcej kontaktować się z Karen. Na razie udzieliłem Volkmannowi przyjacielskiego ostrzeżenia, ale następnym razem nie będę taki wspaniałomyślny ani dla niego, ani dla ciebie. Chciałbym też, żebyście coś zrozumieli: nie wążcie wokół Wintera. Nie szukajcie jego przyjaciół. Jeśli chcecie żyć, jak najprędzej zapomnijcie o nim i o waszym zasranym artykule.

Skinął na mężczyznę z pałą, który odwrócił się na pięcie i wyszedł z chaty. Chwilę potem z zewnątrz dobiegł odgłos uruchamianego silnika. Wysoki terrorysta przewiesił sobie kałasznikowa przez ramię, zdjął lampę wiszącą na rzeźnickim haku, po czym także wyszedł na dwór.

Lubsch wziął do ręki drugą lampę i ruszył do drzwi, ale w progu zatrzymał się, odwrócił, a następnie popatrzył znacząco na Volkmana i Erikę.

- Zapamiętajcie moje słowa. I cieszcie się, że jeszcze żyjecie. Zgasił lampę, po czym wyszedł z chaty. W izbie zapadła ciemność. Na zewnątrz zachręściły szybkie kroki, trzasnęły drzwi samochodu, silnik zawarczał głośniejsze i furgonetka odjechała szutrową drogą. Niebawem górską chatę spowiła niczym nie zmacona cisza zimowej nocy.

Do wsi dotarli po półgodzinnym marszu leśną drogą. Napis na przekrzywionej tablicy głosił, że osada nazywa się Kiedrich.

Mimo późnej pory gospoda była jeszcze czynna; kiedy do niej weszli, kilku stałych bywalców siedzących przy stołach i kiwających się przy barze skierowało na nich podejrzliwe spojrzenia.

Volkmann wcale im się nie dziwił; dziewczyna była blada jak ściana, trzęsły jej się wargi, on miał opuchnięty i z pewnością mocno zaczerwieniony policzek, oboje zaś byli zdrowo ubłoceni po nocnym spacerze gruntową drogą. Starając się nie zwracać uwagi na szepczących tubylców poszedł do toalety, opłukał twarz zimną wodą i przyjrzał się jej w lustrze. Istotnie, policzek przybrał imponujące rozmiary, ale na szczęście skóra nie została przecięta.

Wyszedłszy z łazienki przekonał się, że Erika zamówiła dwie brandy. Joseph poprosił dodatkowo o kilka kostek lodu, zawinął je w chusteczkę i przyłożył do bolącego miejsca.

Barman poinformował ich, że znajdują się dwadzieścia kilometrów od Rudesheim oraz że istnieje możliwość zamówienia taksówki przez telefon, ale kiedy Volkmann zadzwonił pod podany numer, dowiedział się, iż jedyny pracujący tej nocy kierowca właśnie zawiózł chorą dziewczynę do szpitala w Wiesbaden, w związku z czym trzeba będzie poczekać co najmniej pół godziny.

Barman zapytał go, czy dobrze się czuje i zaproponował, że sprowadzi lekarza, ale kiedy Joseph zapewnił go, że nic mu nie jest, wzruszył ramionami i przestał nalegać.

W rzeczywistości taksówka zjawiła się dopiero po godzinie, a zanim dotarli do Rudesheim minęło kolejne trzydzieści minut. Ford czekał na nich tam, gdzie go zostawili; Volkmann usiadł za kierownicą, dziewczyna zajęła miejsce obok niego i Joseph ostro ruszył z miejsca. Kilka minut po siódmej weszli do jej mieszkania we Frankfurcie.

Dziewczyna udała się prosto do kuchni, skąd wróciła niosąc kilka kostek lodu zawiniętych w ściereczkę oraz butelkę wódki. Najpierw wręczyła Volkmannowi lód, zaraz potem zaś napełniony po brzegi kieliszek.

- Dobrze się czujesz, Joe? - zapytała z niepokojem, obserwując, jak przykłada

lód do opuchniętego policzka.

Joseph spróbował się uśmiechnąć, lecz natychmiast skrzywił się z bólu.

- Jasne. - Zauważył, że kiedy dziewczyna podawała mu kieliszek, jej ręka nieco drżała. - A ty?

Ciałem Eriki wstrząsnął dreszcz.

- Byłam pewna, że Lubsch każe nas zabić. Czy twoim zdaniem mówił poważnie?

- Jak najbardziej.

- Może więc jednak wie coś o Winterze?

Volkmann odłożył wilgotną ściereczkę i wziął kieliszek do ręki.

- Na pewno stara się coś ukryć. Gdyby tak nie było, po prostu powiedziałyby nam, że o niczym nie wie, i na tym by się skończyło. Na pewno nie posunąłby się do takich gróźb.

- Jak sądzisz, dlaczego stara się nas zniechęcić?

- Nie mam pojęcia, Eriko. Tylko on zna odpowiedź na to pytanie. Zwróciłaś uwagę, jak bardzo zależało mu na uzyskaniu wiadomości, czy istnieje jakiś inny, ukryty powód, dla którego interesujemy się Winterem?

- Chyba nie będziesz próbował ponownie nawiązać z nim kontaktu, prawda?

Pokręcił głową, opróżnił do połowy kieliszek i odstawił go na stół.

- Tacy jak Lubsch nie tracą czasu na ponowne ostrzeżenia. Zabije nas, jeśli nie zostawimy go w spokoju.

- Co więc powinniśmy zrobić? Volkmann zastanawiał się przez chwilę.

- Rano pojedziesz do mojego mieszkania i zaczekasz tam na mnie. Dam ci klucze. Myślę, że po tym, co się stało, powinnaś na jakiś czas zniknąć z Frankfurtu. Masz samochód?

Erika skinęła głową.

- Tak, na dole w garażu. Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Chodzi o twoje bezpieczeństwo. Jeżeli Lubsch skontaktuje się z przyjaciółmi Wintera, wkrótce mogą się tobą zainteresować... Albo nami obojgiem.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Milczenie przeciągało się, aż wreszcie Erika wstała z fotela i zapytała:

- Chcesz jeszcze lodu?

Joseph potrząsnął głową, opróżnił kieliszek i wręczył go dziewczynie.

- Nie, ale przydałoby mi się jeszcze trochę tego lekarstwa.

Zabrała mu mokrą ściereczkę, napełniła kieliszek, po czym wyszła do kuchni. Joseph przez cały czas obserwował ją uważnie i doszedł do wniosku, że choć jest jeszcze blada, zdążyła już się uspokoić i wrócić do równowagi. Lubsch chyba nieźle ją nastraszył, ponieważ co prawda z wahaniem, ale jednak przyjęła propozycję przeniesienia się do Strasburga.

Podniósł się z kanapy, podszedł do okna i odsunął zasłony. Wiatr ucichł, niebo wypogodziło się, barki sunęły bezszelestnie po gładkiej jak stół powierzchni rzeki. Po drugiej stronie ulicy grupa młodych ludzi o gładko ogolonych głowach, ubranych w czarne skórzane stroje, piła piwo z puszek, rozmawiając donośnymi gardłowymi głosami.

Erika przygotowała kolację, po posiłku zaś włożyła do odtwarzacza płytę i pokój wypełniły delikatne dźwięki koncertu fortepianowego Schuberta. Siedzieli na kanapie ze szklaneczkami w rękach, wsłuchując się w muzykę. Po kilku minutach dziewczyna odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów, spojrzała na Josepha i powiedziała z wahaniem:

- Niezwykły z pana człowiek, panie Volkmann...

- W jakim sensie?

- Chwilami odnoszę wrażenie, że niczego się nie boisz. Na przykład ja wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie po spotkaniu z Lubschem, a ty jesteś zupełnie spokojny. Czy mam rację? Naprawdę nic cię nie przeraża?

- Boję się tego samego, co większość ludzi.

- Opowiedz mi o sobie, Joe.

- A co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Prawie wcale cię nie znam, a mimo to czuję się przy tobie

bezpieczna. - Uśmiechnęła się z zażenowaniem. - To dziwne, nie uważasz?

Volkman umoczył usta w drinku.

- Nie mam wiele do opowiadania.

- Jesteś żonaty?

- Rozwiedziony.

- Masz dzieci?

- Nie.

Nie spuszczała z niego wzroku.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. W twoim mieszkaniu zauważyłam fotografię sprzed lat. Chłopczyk na zdjęciu jest bardzo podobny do ciebie, więc ta kobieta i ten mężczyzna to zapewne twoi rodzice?

Joseph milczał, lecz Erika w dalszym ciągu wpatrywała się w jego twarz, obracając szklankę w dłoniach. Wyglądało na to, że postanowiła przełamać jego opór; Volkman podejrzewał, iż niezwykła rozmowność dziewczyny jest objawem zdenerwowania.

- Wiesz, gdzie leży Kornwalia?

- Tak. Na południowym zachodzie Anglii.

- Zdjęcie zostało zrobione właśnie tam, nad brzegiem morza. Kiedy byłem dzieckiem, spędzaliśmy tam wakacje.

- Czym zajmował się wtedy twój ojciec?

- Był wykładowcą na uniwersytecie.

- Często się z nim widzisz?

- Nie żyje. Umarł pół roku temu.

- Tak mi przykro... Wiesz, jesteś do niego bardzo podobny. Nigdy nie chciałeś pójść w jego ślady?

- Kiedyś, owszem, ale po studiach okazało się, że nie nadaję się na nauczyciela, a praca za biurkiem bardzo mnie nudziła. Uznałem, że najlepiej będzie pójść w kamasze.

- W kamasze?

- To znaczy do wojska, tyle że z własnej woli. Zgłosiłem się na ochotnika.

- Czy ojciec był z ciebie dumny?

- Mój ojciec serdecznie nienawidził mundurów, więc nie mógł być zachwycony, ale ja nie dałem się odwieść od zamiaru.

- W jaki sposób trafiłeś do DSE?

Volkmann spróbował się uśmiechnąć, ale w porę zrezygnował. Policzek wciąż dokuczał jak diabli.

- To długa historia, w dodatku częściowo objęta Ustawą o Tajemnicy Służbowej. Powiedzmy, że zaproponowałem swoje usługi i po dokładnym prześwietleniu zostałem przyjęty do służby.

- Chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej o twojej rodzinie.

Volkmann odwrócił głowę, przez chwilę wpatrywał się w okno, po czym znowu spojrzał na dziewczynę.

- Moja matka była pianistką. Teraz już nie występuje, bo artretyzm obszedł się dość brutalnie z jej palcami, ale lepiej jej o tym nie przypominać. Nigdy nie pogodziła się z upływem czasu. Ojciec mawiał, że jest szczęśliwa tylko wtedy, kiedy w pełnym blasku świateł zasiada na estradzie przy fortepianie.

Erika uśmiechnęła się lekko.

- Wygląda na prawdziwą gnddige Frau. Czy z charakteru także byłeś podobny do ojca?

- Tak mi przynajmniej powtarzała.

- To dziwne, ale nie wyglądał na Anglika...

- A jak twoim zdaniem powinien wyglądać Anglik?

- Chodzi mi o to, że w pierwszej chwili wzięłam go za kogoś z Europy Środkowej. Wysoki, ciemnowłosey...

- Nie pomyliłaś się. Był imigrantem, zresztą tak samo jak moja matka. Oboje przyjechali do Anglii już po wojnie. Ona pochodzi z Węgier, on z Sudetów. Wiesz, gdzie to jest?

- Oczywiście. To część Czech, którą Niemcy uważali za odwieczną germańską

ziemię.

- Mieszkało tam wielu Niemców, w tym także rodzina mego ojca. Urodził się w miasteczku Smolna.

- A więc był Niemcem?

- W pewnym sensie. Był niemieckim Żydem. Volkmann to nie jest wyłącznie żydowskie nazwisko, ale akurat ci Volkmannowie byli Żydami. - Dostrzegł zdumienie malujące się na twarzy dziewczyny i zaczerwienił się nieco. - Właśnie dlatego znam niemiecki. Ojciec przez wiele lat nie władał żadnym innym językiem i do końca życia nie nauczył się dobrze mówić po angielsku.

- Czy twoja matka także jest Żydówką? - zapytała cicho Erika.

- Nie. Jest Węgierką, z katolickiej rodziny. Jestem półkrwi Żydem.

- Chodzisz do synagogi?

- Nie, ponieważ nie chodził tam także mój ojciec. Był Żydem wyłącznie z pochodzenia, nie z wiary. Zabrał mnie do synagogi tylko raz, kiedy byłem dzieckiem, żeby zaspokoić moją ciekawość.

Erika odstawiła szklanę, przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad czymś głęboko, potem zaś powiedziała:

- Wojna z pewnością stanowiła okropne przeżycie dla twojego ojca...

- Siedział w obozie, jeśli to masz na myśli. Tam właśnie poznał moją matkę. Oboje mieli wtedy po szesnaście lat. Spotykali się przy ogrodzeniu dzielącym obóz na część męską i kobiecą. Po wyzwoleniu stracili się z oczu, ale po wojnie spotkali się ponownie w Londynie i wzięli ślub.

- Nie rozumiem. Dlaczego twoja matka trafiła do obozu? Przecież nie była Żydówką.

- W obozach zamykano nie tylko Żydów, ale także intelektualistów, homoseksualistów, włóczęgów, Cyganów, a nawet całkiem zwykłych ludzi, takich jak moja matka. Wszystkich, którzy zdaniem nazistów mogli stanowić zagrożenie dla Trzeciej Rzeszy. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

Dziewczyna szybko odwróciła głowę. Minęła dłuższa chwila, zanim

ponownie spojrzała na Josepha.

- To były okropne czasy... Dla Żydów, dla Niemców, dla wszystkich. Musisz chyba nienawidzić Niemców?

Mijały sekundy, a Joseph wciąż wpatrywał się w nią bez słowa.

- Czy ich nienawidzę? Chyba nie. Po prostu im nie ufam - odparł wreszcie. - I to nie jednostkom, tylko Niemcom jako społeczności. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogli dopuścić do czegoś takiego. Przez trzy lata pracowałem w Berlinie i przyznam ci się, że często leżałem długo w nocy z otwartymi oczami, myśląc o tym, co się zdarzyło w twojej ojczyźnie, co twoi rodacy zrobili moim rodzicom i milionom ludzi takich jak oni.

- Wobec tego muszę przyznać, że czegoś nie rozumiem.

- Czego?

- Wspomniałeś o urazie, jaki twój ojciec miał do mundurów, i wcale mu się nie dziwię. Ty jednak zdecydowałeś się założyć mundur. Dlaczego to zrobiłeś?

Joseph wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że zawsze starałem się go bronić?

- Przed kim?

Volkman odwrócił wzrok, wsłuchując się w łagodne dźwięki dobiegające z głośników.

- Przed wszystkimi, którzy mogliby ponownie wyrządzić mu krzywdę.

Spojrząwszy na dziewczynę stwierdził, że Erika wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Odniósł wrażenie, iż dostrzega w nich współczucie i zrozumienie... A może coś zupełnie innego?

Westchnął głęboko i potrząsnął głową.

- Na litość boską, dlaczego rozmawiamy na takie tematy?

- Wybacz mi, to przeze mnie. Nie powinnam być taka wścibska.

Volkman dźwignął się z kanapy.

- Pójdę zaparzyć kawy.

Kilka chwil później, kiedy płukał filiżanki nad zlewozmywakiem, podeszła do

niego i stanęła tuż za nim.

- Joe...

Odwróciwszy się ujrzał jej oczy wpatrzone w niego z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, pomyślałam sobie, że jesteś zarozumiały, arogancki i nawet trochę nieuprzejmy, i że mnie nie lubisz. Szczerze mówiąc, w pełni odwzajemniałam to uczucie. Jednak potem, w Asunción, kiedy byłam zrozpaczona i przygnębiona, odniosłam wrażenie, że mi współczujesz, bo sam dobrze wiesz, co to znaczy ból. Teraz domyśliłam się reszty. Joe, twojemu ojcu przydarzyło się kiedyś coś okropnego, prawda?

Nie odpowiedział, tylko stał nieruchomo, spoglądając na jej twarz.

- Czy obraziłbyś się, gdybym zapytała, czy mogę cię pocałować? - szepnęła.

Była tak blisko, że wystarczyło, by pochylił głowę. Najpierw delikatnie musnęła palcami jego usta, a potem przycisnęła do nich swoje wargi. Volkmann czuł jej ciepłe ciało, czuł miękkie, pełne piersi przyciśnięte do swego torsu. Pocałunek, początkowo delikatny i jakby nieśmiały, stawał się coraz bardziej gorący.

Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, dziewczyna spojrzała na niego filuternie i powiedziała:

- Mam wrażenie, że chciałam to zrobić już od bardzo, bardzo dawna. f

Stojąc wśród drzew Griinewaldu widzieli krople potu spływające po nalanej twarzy Feldera i niemal czuli zapach jego strachu. Wczesny wiosenny poranek był dość chłodny, ponieważ promienie wiszące nisko na niebie słońca jedynie z najwyższym trudem przedzierały się gdzieś przez baldachim świeżych liści. Właśnie widok tych liści uświadomił Volkmannowi absurdalność sytuacji: drzewa budziły się do życia, natomiast Felder miał za chwilę umrzeć.

Zwalisty Niemiec miał ręce związane za plecami. Drżąc na całym ciele spoglądał to na Volkmana, to na Molkego, trzymających beretty zaopatrzone w tłumiki. Domyślił się, co go czeka, jak tylko wysiedli z samochodu, ale zupełnie rozkleił się dopiero wtedy, gdy dotarli na niewielką polanę.

- Lepiej się odwróć - poradził mu Iwan Molke. - Będzie ci łatwiej.

- Błagam was, nie róbcie tego! Ja tylko wykonywałem rozkazy, przysięgam!

Uwierzcie mi!

Molke pokręcił głową.

- Wiesz co, Felder? Twój szefowie powinni być nam wdzięczni za to, co zrobimy.

Pot ściekał grubymi kroplami po policzkach, brodzie i nosie potężnie zbudowanego mężczyzny, skapywał na ziemię i wsiąkał w leśną ściółkę.

- Rzeczywiście, zabiłem dwóch waszych, ale tylko dlatego, że dostałem takie polecenie!

- Twój zwierzchnicy uważają inaczej. Ich zdaniem przekroczyłeś swoje uprawnienia.

- To kłamstwo! To cholerne, pieprzone kłamstwo!

Nagle na skraju polany rozległ się jakiś hałas. Molke i Volkmann odwrócili się błyskawicznie, by stwierdzić, że to tylko dziki gołąb poderwał się z łopotem skrzydeł z gałęzi dębu. Kiedy ponownie spojrzeli na Feldera, ujrzeli jego plecy; Niemiec biegł w kierunku ściany lasu, ale nie mógł rozwinąć dużej prędkości, gdyż przeszkadzały mu związane ręce.

Volkmann podniósł pistolet, wycelował starannie i nacisnął spust.

Pierwszy pocisk trafił Feldera w nasadę karku, drugi w bark, jeszcze zanim mężczyzna runął na ziemię. Niemiec upadł ciężko, przetoczył się na plecy, a wtedy dobiegł do niego Molke i z bliska strzelił mu w prawą skroń. Z szeroko otwartych ust wyrwał się zduszony charkot, potężne ciało drgnęło gwałtownie, po czym znieruchomiło.

- Trzeba przynieść łopaty z samochodu - powiedział Molke zachrypniętym głosem.

Volkmann nie poruszył się. Stał jak zaczarowany, wpatrując się w zwłoki.

- Przynieś łopaty, Joe - powtórzył Molke. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Minęło jeszcze kilka sekund, zanim Volkmann zdołał wreszcie oderwać wzrok

od trupa. W powietrzu czuć było teraz nie tylko zapach wiosny, ale także smród prochu. Joseph zabijał już ludzi i widział, jak robią to inni, ale nigdy nie był tak blisko, żeby słyszeć, jak wydają ostatnie tchnienie. Idąc do samochodu odruchowo otarł czoło i przekonał się, że jest pokryte lodowatym potem.

Kiedy chwilę później wrócił z dwiema łopatami, Molke właśnie chował berettę do kabury pod pachą.

- Wszystko w porządku? - zapytał Iwan.

- Jasne.

Joseph jeszcze raz zerknął na zwłoki, przełknął suchy kłęb podchodzący mu do gardła, po czym zapytał:

- A może on mówił prawdę?

Molke wziął jedną z łopat i zaczął kopać w odległości jakichś dwóch metrów od nieruchomego ciała Feldera.

- Na pewno nie, Joe. Nie chciał odpowiadać na pytania, więc naszprycowaliśmy go skopolaminą i wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi. To był kawał sukinsyna. Uwielbiał poddawać ludzi torturom. Nawet jego zwierzchnicy nie zawsze mogli nad nim zapanować. Kiedy włamaliśmy się do jego mieszkania przy Friedrichstrasse, znaleźliśmy typowy zestaw charakterystyczny dla takich zwyrodnialców.

- To znaczy?

- Kolekcję pornograficznych książek i wideokaset. Od samego patrzenia na okładki można było dostać mdłości. Sodomia, pedofilia, sadomasochizm... Felder to był śmieć. Nasi ludzie z Karlshorsta donosili, że nawet ci z KGB i Stasi doznali szoku, kiedy zobaczyli, co zrobił z tamtymi dwoma.

Volkman przyłączył się do kopania. Ziemia była miękka, wilgotna i pachnąca.

- Kiedy nie zamelduje się w wyznaczonym terminie, nie będą mieli wątpliwości, co się z nim stało.

- Oczywiście. Tak jak powiedziałem, będą nam wdzięczni. Istnieją pewne

niepisane zasady, a Felder je podeptał. Gdyby ktoś z naszych dopuścił się czegoś takiego, na pewno nie kiwnąłbym palcem w jego obronie.

Nagle łopata trafiła na jakiś twardy przedmiot. Iwan Molke spojrzał w dół, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

- Boże...

Na dnie dołu leżała ludzka czaszka. Molke ostrożnie przesunął ją na bok łopatą, a wtedy spod niej wyłoniła się kolejna, wpatrzona w niebo wypełnionymi ziemią oczodołami.

Iwan Molke odrzucił łopatę na bok, założył rękawiczki, opadł na kolana i zaczął grzebać rękami w ziemi. Po kilku minutach odsłonił dwa skulone szkielety. Wszystko wskazywało na to, że przeleżały w ziemi wiele lat, nie było także najmniejszej wątpliwości co do przyczyny śmierci tych ludzi, ponieważ obie czaszki miały przestrzelone potylice.

Molke wyszedł z dołu, ciężko dysząc ściągnął rękawiczki i odwrócił pobladłą twarz.

- Zasyp ich. ~ Ale...

- Po prostu zasyp, dobrze? Pochowamy go gdzieś indziej. Volkmann nie rozumiał co sprawiło, że w Iwanie zaszła taka przemiana. Przed chwilą spokojnie patrzył na jeszcze ciepłe zwłoki Feldera, teraz natomiast mało nie zemdlał na widok dwóch szkieletów.

Godzinę później w milczeniu wracali do Berlina.

Zaczął padać deszcz. Kiedy od Kurfurstendamm dzieliło ich już tylko dziesięć minut jazdy, Iwan Molke zatrzymał samochód przy stacji benzynowej połączonej z niewielką restauracją.

- Napijmy się.

Drżącą ręką przekreślił kluczyk w stacyjce i wysiadł z samochodu. W restauracji usiedli przy stoliku w kącie, z dala od grupki hałaśliwych kierowców ciężarówek. Volkmann zamówił kawę, Molke natomiast podwójnego schnappsa, po czym zapatrzył się przez okno na sunące szosą samochody. Nie czekali długo na

zrealizowanie zamówienia; kiedy kelner odszedł, Molke opróżnił połowę kieliszka i ponownie spojrzął w okno.

- Co zrobimy z tymi szczątkami? - zapytał Joseph, przyglądając się koledze.

Molke odwrócił się w jego stronę.

- Nic - powiedział cicho. - Kimkolwiek byli ci ludzie, zginęli dawno temu i już nic nie możemy im pomóc. Nie chciałem tylko, żeby taki drań jak Felder został pochowany razem z nimi.

- Nie rozumiem.

- Oni zginęli podczas wojny.

- Skąd wiesz?

- Joe, ja urodziłem się w Berlinie, podobnie jak mój ojciec. Sicherheitsdienst i SS wywozili ludzi do Griinewaldu i tam likwidowali strzałem w tył głowy. Bardzo różnych ludzi: komunistów, socjalistów, Żydów... Wszystkich, których nie chciało im się wsadzać do więzień i obozów koncentracyjnych. Po prostu zabijali ich i zakopywali w lesie. - Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, po czym dodał: - My tak właśnie postąpiliśmy z Felderem, ale oni nie mieli nikogo na sumieniu. Byli po prostu zwyczajnymi ludźmi.

- Skąd o tym wiesz? - powtórzył pytanie Volkmann.

- O tych zwłokach? Mój ojciec siedział we Flossenbergu. Joseph spojrzął uważnie na starszego kolegę.

- Był Żydem?

- Nie, socjalistą. Ukrywał się aż do czterdziestego czwartego, a potem chyba ktoś na niego doniósł, bo któreś nocy funkcjonariusze Sicherheitsdienst otoczyli dom, wyciągnęli go z kryjówki i wywieźli najpierw do Rauensbruck, a potem do Flossenbergu. Jego brat, u którego mieszkał, został wraz z całą rodziną rozstrzelany w Griinewaldzie.

- Czy twój ojciec zginął w obozie? Molke pokręcił głową.

- Udało mu się przeżyć. Mieszkał w Hamburgu w domu starców. Umarł dopiero pięć lat temu. Nie chciał wrócić do Berlina, bo tam czekało na niego zbyt

wiele okropnych wspomnień. - Molke umilkł, spojrzął w okno, po czym dodał: - Po wyjściu z obozu był zupełnie innym człowiekiem. Matka rozwiodła się z nim, bo nie potrafiła żyć pod jednym dachem z duchem. Miała rację. Tym właśnie był: duchem.

Przez twarz mężczyzny przemknął bolesny grymas. Molke podniósł kieliszek do ust, opróżnił go do dna, odstawił na stolik i chuchnął w dłoń.

- Wiesz, co jest w tym najdziwniejsze? Akurat w dzień jego śmierci przed sądem w Monachium stanął były esesman, jeden ze strażników z Flossenbergu. Prokurator walczył przez piętnaście lat, żeby posadzić drania na ławie oskarżonych, ale obrońcy wciąż wynajdywali jakieś kruczki prawne i sprawa wlokła się w nieskończoność. Kiedy wreszcie rozpoczął się proces, ten człowiek miał prawie osiemdziesiąt lat. Kiedyś zabijał ludzi gołymi rękami, ale ze względu na podeszły wiek i zły stan zdrowia sąd wymierzył mu wyrok w zawieszeniu. Rok więzienia... - Molke zacisnął zęby. - Tydzień po pogrzebie ojca zobaczyłem w gazecie zdjęcie tego mordercy, wychodzącego z uśmiechem na ustach z sali sądowej i pozdrawiającego licznie zgromadzonych przyjaciół, takich samych zbrodniarzy jak on. Wierz mi, nie wyglądał na kogoś, kto stoi nad grobem. Gdybym tam był, chyba wyciągnąłbym pistolet i strzelił mu w łeb. Wiesz, co powiedział jego obrońca? „Sprawiedliwości stało się zadość”. - Molke potrząsnął głową. - Im dłużej żyję na tym świecie, tym wyraźniej zdaję sobie sprawę, że sprawiedliwość po prostu nie istnieje. Niektórzy twierdzą, że każdy z nas prędzej czy później będzie musiał zapłacić za wszystkie złe uczynki, ale to nieprawda. Rozumiesz mnie, Joe? - Molke spojrzął Volkmannowi prosto w oczy. - A co z twoim ojcem? Żyje jeszcze?

- Tak.

- Często go widzisz?

Joseph otwierał już usta, żeby opowiedzieć Iwanowi o wszystkim, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Nie teraz. Może kiedyś indziej.

- Owszem.

- Szczęściarz z ciebie, Joe. Syn potrzebuje ojca dokładnie tak samo, jak ojciec syna.

Rozdział 22

Podróż z Frankfurtu do Hamburga zajęła Volkmannowi większą część następnego dnia.

Rozstali się o dziesiątej rano przed jej domem; ona załadowała walizkę do białego volkswagena i pojechała w stronę Strasburga, on chwilę potem ruszył w drogę na północ Niemiec.

Deszcz przestał padać, niebo rozchmurzyło się, a temperatura tylko nieznacznie przekraczała zero stopni. Volkmann jechał autostradą przez Kassel i Hanower, by tuż przed piątą przekroczyć Łabę i skierować się w stronę Neustadt, ku rozblaskującej tysiącami kolorowych świateł Reeperbahn w nie cieszącej się dobrą sławą dzielnicy St Pauli. W okresie przedświątecznym dekoracji było jeszcze więcej niż zazwyczaj, ulicami sunęły rzeki samochodów, na chodnikach zaś tłoczyły się tłumy pieszych. Mimo to Joseph bez większego trudu odszukał Baron Club przy Holstenstrasse, zostawił samochód dwie przecznice dalej i wrócił piechotą do lokalu.

Była niedziela, w dodatku dopiero szósta wieczorem, lecz niebieski neon nad wejściem migotał zachęcająco, a z wnętrza dobiegały głośne dźwięki muzyki rockowej. Klub był nieduży i schludny, ale dyskretne czerwone oświetlenie nadawało mu wygląd podejrzanej spelunki. Po lewej stronie znajdowała się niewielka scena, przed nią zaś obszerne skajowe kanapy i fotele. Jedynymi klientami byli dwaj mężczyźni w średnim wieku, wyglądający na zamożnych biznesmenów, których otaczał wianuszek rozgadanych, palących papierosy dziewcząt. Na oświetlonej scenie tańczyła śliczna Filipinka lub Tajka ubrana tylko w skąpe figi, a na wielkim, wiszącym pod sufitem ekranie prezentowano film erotyczny.

Volkmann podał swoje nazwisko barmance i zapytał, czy mógłby porozmawiać z Hermanem Borchardtem. Dziewczyna poprosiła go, by chwilę zaczekał, po czym zniknęła na zapleczu, skąd wkrótce wróciła w towarzystwie wysokiego jasnowłosego mężczyzny o krótko przystrzyżonych włosach. Co prawda był przystojny, używał drogiej wody kolońskiej i miał na sobie bardzo kosztowny

szary garnitur, ale Joseph zupełnie nie mógł go sobie wyobrazić jako studenta Uniwersytetu w Heidelbergu. Z kieszeni marynarki wystawał telefon komórkowy. Volkmann przedstawił się, a wtedy Borchardt wskazał mu miejsce przy najbliższym wolnym stoliku i sam także usiadł w rozłożystym fotelu.

Wysłuchał uprzejmie opowieści Josepha, ale od razu było widać, że nie wzbudziła jego szczególnego zainteresowania, a kiedy zaczął odpowiadać na pytanie, okazało się, iż wie niedużo albo prawie nic. Nie dopytywał się o okoliczności śmierci Wintera, ograniczając się do stwierdzenia, że w gruncie rzeczy wcale go dobrze nie znał. Nie był także w stanie podać ani jednego nazwiska kogoś z bliskiego otoczenia denata. Owszem, spotykał się z nim na rozmaitych przyjęciach, ale nigdy nie zauważył, żeby Winter jakoś szczególnie pasjonował się polityką. Nic nie mówiło mu również nazwisko Kessera.

Błysk zainteresowania pojawił się w jego oczach dopiero wtedy, kiedy Volkmann zapytał, czy Winter zażywał narkotyki.

- Podczas studiów każdy miał kontakt z narkotykami, miękkimi i twardymi - odparł z uśmiechem. - Czyżby Winter zaplątał się w jakąś historię z przemytem?

- Właśnie staram się to ustalić, Herr Borchardt. Właściciel klubu wzruszył bezradnie ramionami.

- Przykro mi, ale nie jestem w stanie panu pomóc, Volkmann. Byłem na uczelni tylko przez rok, a to trochę za mało, żeby wszystkich dobrze poznać. Ledwo pamiętam tego Wintera.

Volkmann uważnie obserwował twarz młodego mężczyzny, ale nie dostrzegł tam niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że Borchardt kłamie.

- A pamięta pan Erikę?

Borchardt uśmiechnął się.

- Kto by jej nie pamiętał? Była z niej świetna laska. Wszyscy czuliśmy do niej miętę.

Wyjął z kieszeni telefon, jakby chciał dać znak, że rozmowa dobiegła końca. Joseph zrozumiał aluzję i podniósł się z fotela.

- Gdyby pan się z nią widział, proszę przekazać ode mnie pozdrowienia - dodał Borchardt.

Była już prawie siódma, niemniej Volkmann zdecydował się od razu wracać do Frankfurtu.

Droga powrotna zajęła mu równo pięć godzin, wliczając w to postój na kolację w okolicach Kassel. Kiedy wjechał do miasta, zbliżała się pierwsza w nocy. Zaparkował samochód przed domem Eriki, wyjął spod fotela pistolet, wsunął go do kieszeni i poszedł na górę, do mieszkania dziewczyny.

Pierwsze kroki skierował do kuchni, gdzie zaparzył sobie kawę, po czym przeszedł z filiżanką gorącego, aromatycznego napoju do salonu, usiadł na kanapie i przez dziesięć minut odpoczywał, pijąc kawę małymi łyчками. Poczuvszy się nieco lepiej, rozpoczął dokładne przeszukanie mieszkania. Odczuwał wyrzuty sumienia, że bez zgody dziewczyny grzebie w jej rzeczach osobistych, ale zdawał sobie sprawę, iż musi to zrobić.

Na biurku po jednej stronie komputera leżał gruby plik papierów, po drugiej zaś stały szeregiem segregatory. Joseph najpierw zajął się papierami. Były to głównie szkice artykułów przygotowywanych do różnych czasopism, korespondencja oraz wycinki z kolorowych magazynów, większość z nich z artykułami autorstwa Eriki. Segregatory zawierały jeszcze więcej pogrupowanych tematycznie wycinków, a także listy od i do wydawców.

Potem przyszła kolej na szafy i szuflady w sypialni. Pod starannie poukładaną bielizną, przesyconą zapachem perfum dziewczyny, znalazł plik spiętych gumką listów z paragwajskimi znaczkami. Wszystkie, z wyjątkiem kilku widokówek z pozdrowieniami, zostały napisane po hiszpańsku, wszystkie też były opatrzone podpisem Rudiego Hernandez. W innej szufladzie natrafił na jeszcze jedną paczuszkę listów, tym razem z niemieckimi znaczkami ostemplowanymi na pocztce w Darmstadt. Daty pochodziły mniej więcej sprzed roku, nadawcą zaś był jakiś mężczyzna - sądząc po nagłówkach bliski kolega lub chłopak Eriki.

Pod materacem leżały dwa notesy. Część zapisków była nieczytelna, te

natomiast, które udało mu się odcyfrować, dotyczyły zakupów, spotkań z koleżankami i przyjaciółmi oraz służbowych wyjazdów. Nie natrafił na żadne wzmianki o Karen Holfeld lub Gries, ale nie znalazł także adresów i numerów telefonów, ponieważ oznakowane literami alfabetu kartki zostały wydarte.

Na toaletce stały dwa niezbyt grube albumy ze zdjęciami. Jeden zawierał głównie fotografie sprzed kilkunastu lat, przedstawiające Erikę w towarzystwie matki i siostry. Krajobrazy utrwalone na zdjęciach kazały się domyślać, iż fotografie wykonano w Argentynie - niektóre na szerokiej plaży, inne w ogrodzie przylegającym do obszernej willi, ze szkarłatnymi bugenwillami i pióropuszystymi palmami w tle. Do wielu z nich dziewczyna pozowała w skąpym kostiumie kąpielowym, podkreślającym smukłość nóg i bujność piersi.

Na ostatniej stronie albumu ujrzał stare czarnobiałe zdjęcie przedstawiające grupę mężczyzn i kobiet ze szklankami i kieliszkami w rękach, zgromadzoną przy fontannie wokół jasnowłosej kobiety, w której rozpoznał matkę Eriki. Co prawda fotografia była trochę nieostra, ale ludzie ci wyglądali raczej na Europejczyków niż Latynosów.

Drugi album zawierał zdjęcia ze studiów oraz trochę fotografii z Rudim Hernandezem, w tym także tę, którą Volkmann widział w Asunción w mieszkaniu dziennikarza.

Odstawił oba albumy na miejsce, po czym uważnie przejrzał pudełeczka i szkatułki z biżuterią, a także sterty starych winylowych płyt i kaset przechowywane w jednej z szafek. Nie ominął również dużej szafy z ubraniami, najwięcej uwagi poświęcając kieszeniom, ale nie znalazł w nich nic interesującego. Zamknął drzwi szafy, obrzucił wzrokiem sypialnię, aby upewnić się, że wszystko wygląda tak jak przedtem, potem przeszedł do łazienki, ale tam z kolei nie było nic poza perfumami, przyborami do makijażu oraz najpotrzebniejszymi lekami przechowywanymi w szklanych fiolkach.

Wrócił do kuchni, opłukał filiżankę, wstawił ją do szafki, a następnie wszedł do salonu i usiadł ciężko na kanapie. Borchardt nie dostarczył żadnych wiadomości,

w związku z tym nie pozostawało nic innego, jak tylko spróbować ponownie nawiązać kontakt z Lubschem. Przez pięć minut siedział nieruchomo, pogrążony głęboko w myślach, po czym wstał, wziął do ręki leżącą przy aparacie książkę telefoniczną i odszukał pewien numer w Moguncji. Zapisawszy go razem z adresem, zdjął z półki mapę NadreniiPalatynatu, rozłożył ją i spojrzął na odwrotną stronę. Tak jak się spodziewał, był tam plan Koblencki. Okazało się, że ulica, przy której mieści się sklep Karen Gries, przebiega zaledwie kilkanaście metrów od zabytkowej katedry.

Sztokholm, Szwecja 12 grudnia, godz. 19.30

Restauracja znajdowała się dziesięć kilometrów od Sztokholmu, w pobliżu Saltsjobaden, nad samym brzegiem morza. Budynek, wzniesiony z bali i nakryty spadzistym dachem, przypominał tradycyjną szwedzką chatę. Także wyposażenie utrzymano w starym stylu; wszystkie sprzęty zostały wykonane z sosnowego drewna, sufit podtrzymywały grube belki, lampy zaś, choć elektryczne, kształtem przypominały naftowe i dawały niewiele światła, w związku z czym w obszernej sali jadalnej panował przyjemny półmrok, zapewniający dyskrecję każdemu, komu na niej zależało. Schaefferowi zależało na niej, i to nawet bardzo.

Mają tu znakomite jedzenie, pomyślał, spłukując łykiem chłodnego piwa kolejny kęs wyśmienitego smażonego śledzia. Gdyby nie to towarzystwo...

Turek prawie się nie odzywał. Był wysoki i szczupły, o oczach zaszczutego zwierzęcia. Choć dopiero zbliżał się do trzydziestki, miał już mocno przerzedzone włosy, które co jakiś czas nerwowo zaczesywał do tyłu. Ubrany był w tani, niezbyt dopasowany garnitur, z jego przystojnej twarzy zaś nie znikął marsowy grymas. Kiedy już coś mówił, czynił to po niemiecku, bardzo płynnie, prawie bez śladu obcego akcentu. Ręce miał pokryte różowymi, chyba dość świeżymi bliznami.

- Mam nadzieję, że panu smakuje? - zapytał Schaeffer.

- Owszem, dziękuję - odparł Kefir Ozalid i wypił łyk wody mineralnej.

Był uprzejmy, ale zachowywał dystans, jakby nie lubił Schaeffera. Od początku spotkania jego zachowanie wywoływało irytację Niemca. Gdyby nie

naprawdę smaczny posiłek, minioną godzinę Schaeffer bez wątpienia mógłby zaliczyć do najnudniejszych w życiu.

Po kolacji kelner przyniósł im okrycia i dwaj mężczyźni wyszli na zaśnieżoną ulicę. Po jej przeciwnej stronie, wzdłuż brzegu wyjątkowo spokojnego, jak na zimową porę, morza, biegła drewniana promenada. Daleko po lewej stronie żarzyły się nieliczne światła mało uczęszczanego portu. Zapewne latem roiło się tu od turystów, ale zimą miasteczko wyludniało się i pogrążało w hibernacji. Nic dziwnego, że Turek tutaj właśnie wyznaczył spotkanie; szosa łącząca osadę ze Sztokholmem była tak pusta, że bez trudu dałoby się zauważyć każdy podejrzany samochód.

Kefir Ozalid postawił kołnierz wyświechtanego płaszcza, otulił się nim szczelniej, po czym skinął na Schaeffera i ruszył przed siebie opustoszałą promenadą. Szli w milczeniu przez kilka minut, znacząc drogę szybko rozwiewającymi się w zimnym powietrzu obłoczkami oddechów. Była pogodna grudniowa noc, chyba dość mroźna, ponieważ Schaeffer trząsł się tak bardzo, że nie trafiał zębem na ząb. Hen, daleko, po przeciwnej stronie niż port, widać było łunę światel Sztokholmu.

Turek zatrzymał się wreszcie pod samotną latarnią, zwrócił twarzą ku morzu i zapatrzył w niewidoczny horyzont.

- Czy do planu wprowadzono jakieś zmiany? - zapytał z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Żadnych.

Turek wyjął z kieszeni płaszcza wymiętą paczkę papierosów, zapalił, po czym wydmuchnął kłęb dymu, wciąż nie odrywając wzroku od fal Bałtyku.

- A pan? - zagadnął Schaeffer. - Nadal jest pan zdecydowany?

Młodszy mężczyzna skinął głową.

- Oczywiście. - Skierował na rozmówcę nieruchome spojrzenie ciemnych oczu.

- Mam nadzieję, że pańscy ludzie dotrzymają umowy?

- Tak, naturalnie - zapewnił go z pośpiechem Schaeffer. - Jeśli chodzi o

rozliczenia finansowe, to zostałem upoważniony do dokonania przelewu na pańskie konto w Szwajcarii zaraz po tym, jak wywiąże się pan ze swoich zobowiązań.

Turek odwrócił głowę i obojętnie zapatrzył się w morze, jakby pieniądze nie miały dla niego żadnego znaczenia. Schaeffer wydobył z kieszeni podłużną kopertę, podał ją Kefirowi i powiedział:

- W środku znajdzie pan dokładne wskazówki oraz szkic sytuacyjny. Proszę je zapamiętać, a potem zniszczyć. Bilet lotniczy został wystawiony na nazwisko, które figuruje w pańskim fałszywym paszporcie. Proszę pamiętać, że na fotografii ma pan wyglądać tak samo jak na zdjęciu, które zrobiliśmy wcześniej. Radziłbym także kupić odpowiednie ubrania. Pieniądzy, które są w kopercie, powinno wystarczyć na wszystkie wydatki.

- A więc moja tożsamość nie uległa zmianie?

- Nie. Nadal jest pan biznesmenem prowadzącym interesy z pewną berlińską firmą elektroniczną. Gdyby na lotnisku czyniono panu jakieś trudności, proszę podać numer telefonu, który także znajdzie pan w kopercie. Zresztą, sam pan najlepiej wie, jak należy postępować... Mimo to zalecałbym przede wszystkim zapoznanie się z topografią terenu. Tak jak ustaliliśmy, Łódź będzie czekać przy pomocy. Aha, proszę korzystać z transportu publicznego, bo taksówkarz może pana zapamiętać. Ma pan jakieś pytania?

Turek potrząsnął głową.

- Gdyby jednak pojawiły się jakiegokolwiek problemy, może pan w każdej chwili skontaktować się ze mną, naturalnie zachowując konieczne środki ostrożności.

Ozalid bez słowa wsunął kopertę do kieszeni.

- Jak tylko dotrze pan na miejsce, nasi ludzie przeprowadzą pana do Szwajcarii - dodał Schaeffer. - Potem będzie pan zdany na własne siły.

Młody mężczyzna uśmiechnął się, lecz w jego uśmiechu nie sposób było doszukać się najmniejszego śladu wesołości.

- O ile przeżyję, ma się rozumieć?

Schaeffer zrewanżował się podobnym uśmiechem.

- Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku.

- Allaha ismarladik.

Schaeffer odpowiedział jak należy, a wówczas Turek odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył z powrotem drogą, którą niedawno przebyli.

Padał gęsty śnieg, kiedy Kefir Ozalid wysiadł z samochodu i wszedł do obskurnego dziesięcioletniego budynku w sztokholmskiej dzielnicy Södertajle.

Skrzypiąca winda zawiozła go na ósme piętro. Ściany korytarza pokryte były różnokolorowymi napisami w nieznanym mu językach, wszędzie roiło się od hałaśliwych, rozkrzyczanych imigrantów, zza brudnych drzwi dobiegały dźwięki egzotycznej muzyki oraz wrzaski dzieci. Te młodsze tylko płakały, sygnalizując swoje potrzeby, te starsze wzywały matki lub ojców w dziesiątkach języków, którymi posługiwano się na co dzień w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej.

Mieszkańcy nazywali ten budynek Wieżą Babel. Mieszkańcy, czyli Afrykańczycy, Arabowie, Wietnamczycy, Turcy, Kurdowie. Uciekinierzy, którzy przybyli tu w poszukiwaniu lepszego życia, po to tylko, by przekonać się, że odebrano im godność, nie dając niczego w zamian.

Chociaż dom z całą pewnością nie należał do najelegantszych w Sztokholmie, to jednak miał tę zaletę, że z okien mieszkania na ósmym piętrze można było podziwiać wspaniałą panoramę miasta. Kefir włączył światło, zdjął płaszcz, w kuchni napełnił szklankę wodą mineralną, po czym stanął w pokoju przy oknie. Przez gęstą zasłonę śniegu z trudem przebijał się blask najsilniejszych światel miasta i portu. Taki sam śnieg, tyle że chyba jeszcze gęstszy, padał zimą w górach Izmiru. Myśli młodego mężczyzny skierowały się ku domowi... i Layli.

Z trudem wyzwolił się spod uroku wspomnień, wyjął z kieszeni kopertę, rozdarł ją i uważnie przejrzał zawartość. Pół godziny później schował wszystko z powrotem do kieszeni, po czym zapalił tureckiego papierosa, rozsiadł się wygodnie na kanapie i odchyliwszy głowę do tyłu zaciągnął się wonnym dymem.

W dzisiejszym spotkaniu było coś niepokojącego, podobnie jak w całej tej

sprawie. Wyczuł to już na samym początku, teraz zaś jego obawy jeszcze bardziej się nasiliły. Nie chodziło bynajmniej o to, czego się podjął, lecz o ludzi, dla których zgodził się pracować oraz o sam plan. Z biegiem czasu wątpliwości nie zmniejszały się, wręcz przeciwnie: z każdym dniem stawały się coraz większe.

A jednak przeszedł nad nimi do porządku dziennego, gdyż ponad wszystko pragnął rozprawić się z człowiekiem, który zamienił jego życie w piekło. Jeśli będzie musiał przy tym zginąć, to trudno. Już pogodził się z taką ewentualnością.

Dla Layli.

Czuł wewnętrzną siłę, jaką może dać wyłącznie wielki Allah. Spojrzał na swoje ręce pokryte siecią różowych blizn i jego myśli ponownie wróciły do Layli, do jej wielkich ciemnobrązowych oczu, do skóry białej jak mleko, do słodkiego zapachu jej włosów i miodowego smaku ust, kiedy przed wieloma laty spotkał ją po raz pierwszy w rodzinnej wiosce wysoko w górach. Była wtedy młodą, niewinną, bosonogą dziewczyną. Jakże piękną... Za piękną dla niego.

Od tragicznych wydarzeń minęło już sporo czasu, lecz mimo to łzy znowu napłynęły mu do oczu. Layla. Uśmiechnięta, cudowna Layla. Taka jak na zdjęciu wiszącym nad kominkiem.

Jednym haustem opróżnił szklankę i postawił ją na stoliku, usiłując odegnać od siebie inne, koszmarne wspomnienia: ogień, wszędzie ogień, sadystyczny śmiech mężczyzn o gładko ogolonych głowach, przyglądających się beczynnie, jak płomienie pożerają ciała ich ofiar... Na końcu był utrwalony w jego mózgu jak na kliszy fotograficznej obraz nieruchomego, zakrwawionego ciała Layli, już martwego, choć wciąż jeszcze gorącego od miłości.

Podjął się tego zadania, ponieważ zżerała go nienawiść. Podjął się go, ponieważ pragnął zabijać.

Wrócił do rzeczywistości, bo popiół z papierosa spadł na wymięte spodnie. Strząsnął go starannie, po czym zdusił niedopałek w popielniczce i wreszcie pozwolił łzom spływać swobodnie po twarzy.

Kilka minut później rozłożył wełniany dywanik, ukląkł na nim i zwrócony

twarzą do okna zaczął odmawiać modlitwę. Modlił się przede wszystkim za Laylę, ale także za powodzenie swoich planów. Złożywszy ostatni pokłon podniósł się z klęczek, zwinął dywanik, pocałował go tak delikatnie, jakby całował jej usta, i położył na półce przy kominku.

Rozdział 23

Moguncja

Volkmann dotarł autostradą A66 do Wiesbaden, przejechał na drugą stronę Renu i kilka minut po dziesiątej znalazł się w Moguncji. Zostawił forda w podziemnym garażu usytuowanym niedaleko katedry, po czym na piechotę ruszył w kierunku sklepu Karen Gries.

Na rynku oraz w pobliskich uliczkach było tłoczno od ludzi dokonujących przedświątecznych zakupów. Sklep Karen Gries mieścił się na pierwszym piętrze narożnego budynku, nad galerią sztuki nowoczesnej. Volkmann prawie przez pół godziny przechadzał się okolicznymi uliczkami i alejkami, porównując ich rzeczywisty wygląd z tym, co zapamiętał studiując niezbyt dokładny plan w mieszkaniu Eriki. Nie zważając na niską temperaturę i kąśliwy wiatr mozolnie konstruował w myślach plan, który dawałby mu szansę uzyskania nowych, być może cennych, informacji.

Niemal dokładnie naprzeciwko sklepu znajdował się bar Zum Dortmunder, a niecałe siedemdziesiąt metrów dalej zaczynał się pasaż handlowy. Joseph wypatrzył na antresoli niewielką cukierenkę o szerokich panoramicznych oknach; należało się spodziewać, iż roztacza się stamtąd wspaniały widok na całą ulicę, w tym także na dom mieszczący sklep Karen.

Kupił „Frankfurter Zeitung”, wspiał się po stromych schodach do kawiarni, zajął miejsce przy oknie i zamówił kawę. Pałac papierosa uważnie obserwował ruchliwą ulicę. Istotnie, sklep widać było jak na dłoni: po drugiej stronie, niewiele ponad pięćdziesiąt metrów od kafejki.

Kiedy kelnerka przyniosła mu kawę, zapytał ją, do której jest czynny lokal. Dziewczyna odparła, że przestają przyjmować zamówienia na kwadrans przed zamknięciem pasażu, czyli za piętnaście ósma.

Volkman spędził w cukierence jeszcze dwadzieścia minut. Kiedy wreszcie nabrał pewności, że dokładnie zapamiętał rozkład uliczek, zaułków i alejek, starannie złożył gazetę, wetknął ją do kieszeni, po czym opuścił lokal i od razu przeszedł na drugą stronę ulicy.

Znajdowały się tam dwie wąskie alejki, odległe od siebie mniej więcej o dwadzieścia metrów. Jedna z nich prowadziła na zaplecze piekarni, kończyła się zaś na ogólnodostępnym parkingu. Po przeciwnej stronie ulicy były aż trzy ślepe zaułki, nie uwzględnione na planie miasta. Powodzenie planu, który z takimi bólami narodził się w jego głowie, w równej mierze zależało od szczęścia i od precyzyjnej realizacji - naturalnie pod warunkiem, że Karen Gries połknie przynętę.

Wąskie schody prowadziły na metalowy podest. Na schodach leżał czerwony chodnik, a napis na szklanych drzwiach głosił: Artykuły skórzane - Bruno & Karen Gries.

Po obu stronach wąskiego pomieszczenia stały metalowe, dwupiętrowe wieszaki, dosłownie uginające się pod ciężarem najróżniejszej odzieży. Słodkawy zapach skóry był tak intensywny, że przyprawiał o zawrót głowy. W chwili gdy Joseph wszedł do sklepu, łysiejący mężczyzna w średnim wieku pokazywał klientce krótką skórzaną spódniczkę. Za jego plecami znajdowały się kolejne przeszklone drzwi, prowadzące do części biurowej, gdzie siedziały dwie kobiety: młoda, o krótko ostrzyżonych jasnych włosach, ubrana w skórzany kombinezon, oraz nieco starsza, o lekko orientalnych rysach twarzy. Volkman domyślił się, że krótko ostrzyżona blondynka to Karen Gries, natomiast łysiejący mężczyzna najprawdopodobniej jest jej mężem.

Joseph udał, że z zainteresowaniem przygląda się odzieży. Po niespełna minucie usłyszał za plecami szmer głosów; kobiety wyszły z biura, przy drzwiach sklepu wymieniły pocałunek, po czym skośnooka wyszła, zabierając ze sobą dużą,

wypchaną torbę z emblematem sklepu, blondynka zaś podeszła do niego.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała z uśmiechem.

Z bliska okazało się, iż jest odrobinę zbyt pulchna, by paradować w obcisłym kombinezonie; jej twarz, choć z pewnością interesująca, wcale nie była ładna, a w dodatku pokrywała ją gruba warstwa makijażu. Paznokcie i usta miała pomalowane na ten sam jakrawoczerwony kolor, na przegubach podzwaniały ciężkie złote bransolety, szyję zdobił gruby, także złoty łańcuch. W głębokim dekolcie czarnego kombinezonu widać było obnażone niemal w jednej trzeciej obfite piersi. Volkmann musiał przyznać, że Karen Gries, choć trochę przy kości, jest jednak atrakcyjną kobietą, sprawiającą wrażenie, jakby została stworzona po to, by całe życie spędzić w sypialni. Nie wyglądała na osobę, którą mógłby zainteresować ktoś taki jak Lubsch - chyba że podniecało ją ryzyko związane z przygodą. Jedno na pewno nie ulegało wątpliwości: sądząc po tym, jak przyglądała się Josephowi, na pewno lubiła mężczyzn.

- Karen Gries?

- Tak.

- Pozwoli pani, że się przedstawię: Joseph Volkmann. Jestem kolegą Eriki Kranz.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy kobiety, ale zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć otworzyły się drzwi i do sklepu weszła para trzydziestolatków. Pomachali właścicielce, która przywitała ich wymuszonym uśmiechem, po czym zajęli się przeglądaniem ubrań, Frau Gries zaś błyskawicznie spoważniała i ponownie wbiła wzrok w Volkmana.

- Czego pan chce, do diabła?

- Porozmawiać z panią o Wolfgangu Lubschu. Czy mogłaby pani poświęcić mi kilka minut?

- Jak pan się nazywa?

- Joseph Volkmann - przedstawił się powtórnie, pokazując jej legitymację dziennikarską ze swoim zdjęciem.

- Dlaczego przychodzi pan właśnie do mnie?

- Ponieważ pani przyjaciel Wolfgang Lubsch spotkał się wczoraj ze mną i z Eriką, ale, niestety, niewiele z tego wynikło. Muszę zobaczyć się z nim powtórnie.

Na twarzy Karen Gries wykwitły intensywne rumieńce.

- Traci pan czas, Herr Volkmann - powiedziała, wyraźnie zirytowana. - Lubsch nie jest moim przyjacielem, tylko znajomym z dawnych lat. Erika poprosiła mnie o pomoc, ponieważ musiała się z nim skontaktować, a ja zrobiłam co mogłam, i to wszystko. Jeżeli więc nie ma pan nic przeciwko temu, Herr Volkmann...

Nie dokończyła, tylko odwróciła się gwałtownie i spojrzała znacząco na łysiejącego mężczyznę. Ten pochwycił jej spojrzenie, zerknął podejrzliwie na Volkmana, a następnie zajął się nowo przybyłymi klientami.

- Frau Gries, potrzebuję pomocy Lubscha, a pani jest jedyną osobą, która wie, jak do niego dotrzeć.

- Powiedziałam już panu: tylko traci pan czas. Nie mogę panu pomóc, nie interesują mnie też pańskie problemy. Żegnam pana, Herr Volkmann.

Odwróciła się, by odejść, ale Joseph był na to przygotowany.

- Ma pani do wyboru dwie możliwości, Frau Gries - powiedział cicho.

Dziewczyna zawahała się.

- Jak to?

- Albo wysłucha mnie pani i zastosuje się do mojej prośby, albo będzie pani miała do czynienia z policją, którą poinformuję o pani niechlubnej przeszłości. Jestem pewien, że zainteresuje ich także wiadomość, iż utrzymuje pani kontakty z niebezpiecznym terrorystą. Bardzo szybko pojawią się tu funkcjonariusze w mundurach i po cywilnemu, zaczną zadawać pytania, szperać po kątach, a prędzej czy później cała sprawa przedostanie się do gazet. Czy wyrażam się wystarczająco jasno, Frau Gries?

Kobieta wpatrywała się w niego spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Pan mi grozi, Herr Volkmann?

- Nie. Ja tylko proszę panią o pomoc. Mogę też powiedzieć pani mężowi, że

wciąż daje pani dupy Lubschowi.

Rumieniec, który wykwitł na twarzy kobiety, był tak intensywny, że dało się go dostrzec nawet pod grubą warstwą pudru.

- Kim pan jest, do diabła, żeby rzucać na mnie takie oskarżenia?

- Chyba nie zaprzeczy pani, że nadal się z nim widuje? Łysiejący mężczyzna otworzył drzwi przed wychodzącym klientem, ale zamiast zainteresować się pozostałymi, którzy w dalszym ciągu szukali czegoś odpowiedniego wśród mnóstwa najróżniejszych strojów, podszedł do żony.

- Wszystko w porządku, Karen? - zapytał z niepokojem, jakby wyczuwając napięcie między żoną a nieznanym mężczyzną. - Mogę w czymś pomóc?

- Bruno, to jest Herr Volkmann - powiedziała jakby nigdy nic właścicielka sklepu. - Kolega jednej z moich przyjaciółek. Chcemy przez chwilę porozmawiać na osobności. Byłbyś tak miły i zajął się sklepem przez kilka minut?

Mężczyzna uściśnął Josephowi rękę.

- Miło mi pana poznać, Herr Volkmann. Oczywiście, skarbie, nie ma najmniejszego problemu. - Spojrzał na nią uważnie. - Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Najzupełniej - odparła z uśmiechem Karen Gries, po czym odwróciła się do Volkmana i dodała rzeczowym tonem: - Przejdziemy do biura, Herr Volkmann.

Na ścianach niewielkiego zagraconego pomieszczenia wisały zdjęcia modeli i modelek w skórzanych strojach, a także portretowe fotografie znanych piosenkarzy i artystów występujących w nocnych klubach. Wiele z nich było opatrzonych autografami. Na wielkim biurku walały się sterty żurnali oraz katalogów.

Karen Gries zamknęła szklane drzwi, usiadła sztywno za biurkiem i skierowała na Volkmana nieprzyjazne spojrzenie. W sklepie jej mąż rozmawiał z kolejnymi klientami.

- Czego pan właściwie ode mnie chce?

- Czy rozmawiała pani z Lubschem po tym, jak umówiła nas pani na spotkanie w Rudesheim?

- Nie. Już panu mówiłam, nie mam z nim nic wspólnego. Popełnił pan błąd, przychodząc do mnie.

Volkmann uważnie przyglądał się jej twarzy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kobieta kłamie.

- Lubsch niewiele nam pomógł. - Karen Gries nie przejawiała zainteresowania tą informacją, jakby od dawna o wszystkim doskonale wiedziała. - Gdzie on teraz jest, Frau Gries?

- Nie mam pojęcia.

- Ale może pani się z nim skontaktować, prawda? Właścicielka sklepu zacisnęła na krawędzi biurka palce o pomalowanych na jaskrawoczerwony kolor paznokciach i pochyliła się do przodu.

- Posłuchaj mnie, Volkmann: Lubsch nie należy do ludzi, którzy dają się bezkarnie wodzić za nos. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, na jakie narażasz się kłopoty, przychodząc tu i zawracając mi głowę. To cię może drogo kosztować, Volkmann. Bardzo drogo. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Znacznie drożej niż przypuszczasz. Nie wykpisz się paroma sińcami na twarzy. To samo dotyczy Eriki. Jeśli zwrócisz się do policji, Lubsch wpadnie w szal i już nigdy nie da ci spokoju. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Chcę tylko tyle, żebyś skontaktowała się z Lubschem i powiedziała mu, że musimy jeszcze raz pogadać.

- Oszalałeś? Daj mi spokój i idź sobie stąd. Nie mam czasu. Wstała zza biurka, a Joseph spojrział na zegarek.

- Frau Gries, jest teraz kwadrans po jedenastej. Jeszcze dziś, o siódmej wieczorem, muszę spotkać się z Lubschem. Myślę, że zdąży pani przekazać mu moją prośbę, bo jeśli nie, to zawiadomię policję.

- Volkmann, ty naprawdę jesteś szalony. Natychmiast zejdz mi z oczu!

- Chce się pani przekonać, jak daleko sięga moje szaleństwo?

Joseph podniósł słuchawkę aparatu stojącego na biurku, włączył zewnętrzny głośnik i niespiesznie wystukał numer. Po drugim sygnale ktoś odebrał telefon.

- Polizeil - zapytał Volkmann, ale nie zdążył dodać nic więcej, ponieważ dziewczyna błyskawicznie wyciągnęła rękę i nacisnęła widelki, przerywając połączenie.

- Popełniłam błąd, że w ogóle posłuchałam Eriki! - syknęła z wściekłością w głosie.

Joseph odłożył słuchawkę.

- Przypominam: siódma wieczorem. Jeśli Lubsch spóźni się choć minutę, zawiadomię policję.

- Gdzie chcesz się z nim spotkać? - zapytała kobieta.

- Po drugiej stronie ulicy, w barze Zum Dortmunder. Proszę mu przekazać, żeby zjawił się punktualnie o siódmej, zupełnie sam. Chodzi mi tylko o rozmowę, więc może sobie darować kolejną demonstrację siły. Aha, i proszę nie zawracać sobie głowy Eriką; wyjechała z kraju, więc nie uda się pani z nią skontaktować.

- Mam nadzieję, Volkmann, że zdajesz sobie sprawę, w jak niebezpieczną grę próbujesz się wplątać?

- Pani wybaczy, ale to wyłącznie moja sprawa. Joseph skinął lekko głową, odwrócił się i wyszedł.

Ze sklepu udał się prosto na podziemny parking, wsiadł do samochodu i pojechał na drugą stronę Renu, do Wiesbaden.

Miał jeszcze prawie osiem godzin, w związku z czym skręcił w boczną drogę prowadzącą na północ, między wzgórzami, a dotarłszy do malowniczego uzdrowiska Bad Schwalbach skierował się na wschód, w głąb Parku Krajobrazowego Taunus. Podróż zajęła mu niespełna czterdzieści minut.

Latem w parku roiłoby się od turystów, ale teraz, zimą, nie było tam żywej duszy. Przenikliwy wiatr kołysał gałęziami świerków i sosen porastających zbocza wzgórz. Kwadrans później Joseph dostrzegł znak wskazujący drogę do jeziora.

Skręcił tam, po pięćdziesięciu metrach zatrzymał samochód, wyłączył silnik i ruszył dalej na piechotę. Pięć minut później stanął nad brzegiem niewielkiego jeziora.

Tutaj także było zupełnie pusto, wiatr zaś dawał się jeszcze bardziej we znaki, marszcząc ciemną taflę wody. Drewniany pomost, przy którym latem cumowały łódki wożące turystów po jeziorze, miał długość około dziesięciu metrów. Volkmann doszedł do samego końca, zapalił papierosa i przez kilka minut stał bez ruchu, podziwiając dziki krajobraz i dopracowując w myśli szczegóły planu. Wreszcie rzucił niedopałek na deski, zgniótł go obcasem, wrócił do forda, zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik.

Tak, to odludne miejsce doskonale nadawało się do realizacji planu. Jeśli się powiedzie...

Właśnie: jeśli.

W Wiesbaden zatrzymał się przed sklepem z artykułami przemysłowymi, w którym nabył dwadzieścia metrów pomarańczowej nylonowej linki, wodoszczelną latarkę i cztery zapasowe baterie, wrzucił to wszystko do bagażnika, po czym ruszył w drogę powrotną do Frankfurtu.

Okna były pozamykane, lecz mimo to w mieszkaniu Eriki pachniało świeżą lawendą. Joseph nalał sobie trochę whisky i ułożył się wygodnie na kanapie w salonie. Zerknął na zegarek: kwadrans po drugiej. Chyba warto się trochę przespać, pomyślał. Czeka go przecież długi, obfitujący w wydarzenia wieczór.

Obudził się o czwartej i natychmiast pojechał do Moguncji, gdzie dotarł kilka minut przed piątą.

Nie wiedział, czy będzie potrzebował samochodu, ponieważ zależało to przede wszystkim od tego, ilu ludzi przyprowadzi ze sobą Lubsch oraz jakim środkiem lokomocji będą dysponowali. Joseph nie wątpił, że Lubsch przybędzie na spotkanie, ale nie ulegało również dla niego wątpliwości, że terrorysta nie będzie sam oraz że nie zapomni zabrać ze sobą broni. Miewał już do czynienia z ludźmi jego pokroju i zdawał sobie sprawę, iż Lubsch nie zawaha się nawet wtedy, gdyby przyszło mu strzelać z pistoletu maszynowego w zatłoczonej kawiarni albo na ruchliwej ulicy. Powodzenie planu zależało w głównej mierze od szybkości działania.

Postanowił raz jeszcze skorzystać z całodobowego podziemnego parkingu. Co prawda oznaczało to konieczność przejścia kilkudziesięciu metrów, co mogło okazać się bardzo niewygodne w sytuacji, gdyby musiał szybko dotrzeć do samochodu, ale nie chciał zostawiać forda na ulicy, przy której mieścił się sklep Karen Gries, ponieważ obowiązywał tam zakaz postoj. Gdyby odholowano mu samochód na parking za miastem, kłopoty byłyby jeszcze większe.

Sprawdził, czy pistolet jest zabezpieczony, schował go do prawej kieszeni płaszcza, latarkę i baterie umieścił w lewej, zwój cienkiej linki wepchnął do obszernej kieszeni w podszewce, po czym wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku wyjścia z parkingu.

Minęła już piąta i zapadła ciemność, lecz ulica była rzęsiście oświetlona kolorowymi żarówkami i lampionami. Joseph bez pośpiechu szedł w stronę sklepu, starając się wtopić w tłum spacerowiczów i kupujących. Przypuszczał, że Lubsch przybędzie wraz ze swymi ludźmi sporo przed umówioną godziną, kto wie, czy nawet nie dziewięćdziesiąt minut wcześniej, i najpierw wyśle do baru zwiadowcę, który będzie miał za zadanie upewnić się, że wszystko jest w porządku. Terroryci z pewnością nie spodziewają się, iż on, Volkmann, będzie uzbrojony, i nie są przygotowani na żadną akcję zaczepną z jego strony.

Kupił gazetę, wspiął się po schodach do cukierenki, zajął to samo miejsce co kilka godzin temu, po czym zamówił kawę i rozłożył gazetę, udając pogrążonego w lekturze, choć w rzeczywistości ani na chwilę nie spuszczał z oka ruchliwej ulicy, co jakiś czas zerkając na zegarek.

W chwili, gdy rozpoczynał obserwację, była siedemnasta trzydzieści jeden.

Tym razem nie przyjechali furgonetką, lecz granatowym oplem.

O szóstej samochód przejechał powoli ulicą, zniknął za zakrętem, niebawem zjawił się ponownie, a potem jeszcze raz, i jeszcze. Wreszcie zatrzymał się mniej więcej pięćdziesiąt metrów od sklepu Karen Gries. W pojeździe siedzieli trzej mężczyźni: dwóch z przodu i jeden z tyłu.

W blasku migoczących różnobarwnych świateł Volkmann rozpoznał twarz

Lubscha. Terrorysta, ubrany w tę samą ciemną kurtkę co poprzednio, zajmował miejsce za kierownicą. Jeśli chodzi o dwóch pozostałych mężczyzn, to ze swego punktu obserwacyjnego przy oknie cukierenki Joseph mógł dostrzec tylko ich niezbyt wyraźne sylwetki.

Pięć minut później człowiek siedzący na tylnej kanapie wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku sklepu Karen Gries. Na parterze obok galerii, w czymś w rodzaju niewielkiej niszy znajdowało się wejście do apteki; mężczyzna zatrzymał się tam, wyjął z kieszeni gazetę i zaczął ją przeglądać. Volkmann rozpoznał w nim jednego z ludzi z mercedesa. Zapewne otrzymał polecenie obserwowania wejścia do baru i meldowania przez krótkofalówkę o każdej wchodzącej lub wychodzącej osobie.

Joseph zdawał sobie sprawę, że musi działać szybko i zdecydowanie, lecz jednocześnie doskonale wiedział, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo. Co prawda na ulicy panował spory ruch, ale stanowiło to marną pociechę, bo przecież nie mieściło mu się w głowie, że mógłby szukać schronienia za żywą zasłoną złożoną z niewinnych ludzi.

Ponownie spojrzął na zegarek. Do wyznaczonej godziny zostało tylko czterdzieści minut. Musiał zacząć działać już teraz, zanim Lubsch wysiadzie z samochodu albo zdecyduje się przejechać w inne miejsce.

Największy problem stanowił człowiek zajmujący fotel pasażera, ale sporo zależało także od tego, czy mężczyzna obserwujący teraz wejście do Zum Dortmunder zablokował prawe tylne drzwi samochodu. Volkmann nie obawiał się ewentualnych świadków, ponieważ uwaga przechodniów była skoncentrowana przede wszystkim na odświętnie przystrojonych wystawach.

Lubsch opuścił boczną szybę i wystawił głowę, spoglądając ze zniecierpliwieniem na swego człowieka stojącego przed wejściem do apteki, który z kolei co kilka sekund zerkał zza gazety na drzwi baru. W oknie wystawowym apteki stała choinka przybrana migoczącymi lampkami. W ich różnokolorowym blasku widać było wyraźnie parę wydobywającą się przy każdym oddechu z ust mężczyzny.

Volkmann poczuł, jak tężeją mu mięśnie karku. Odetchnął głęboko kilka razy, złożył gazetę, po czym zapłacił za kawę.

Pora ruszać.

Zaraz po wyjściu z cukierenki przeszedł na drugą stronę ulicy. Zbliżał się powoli do opla, wytyżając wzrok, by stwierdzić, czy tylne drzwi są zablokowane od środka. Kiedy od samochodu dzieliło go jeszcze pięć metrów, stwierdził z ulgą, że nie są.

Człowiek zajmujący miejsce obok kierowcy wycierał właśnie boczną szybę rękawem kurtki. Volkmann dostrzegł jego profil i stwierdził, iż jest to ten sam mężczyzna, który uderzył go w twarz gumową pałką. Teraz mówił coś do Lubscha, który siedział ze zmarszczonymi brwiami, niecierpliwie bębniąc palcami w kierownicę.

Volkmann zawrócił, skręcił w wąską alejkę za piekarnią, wyjął z kieszeni pistolet, odbezpieczył go, po czym ukrył pod złożoną na pół gazetą i wrócił na zatłoczoną ulicę. Granatowy opel wciąż stał nieruchomo przy krawężniku. Człowiek pilnujący wejścia do baru wysunął się krok naprzód, spojrzął w kierunku samochodu, lekko pokręcił głową, po czym wrócił do niszy.

Volkmann bez pośpiechu zbliżył się do opla, gwałtownym ruchem otworzył prawe tylne drzwi i wskoczył do środka, jednocześnie wysuwając lufę beretty spod gazety. Dwaj zaskoczeni mężczyźni odwrócili się błyskawicznie w jego stronę, Lubsch zaś wrzasnął”.

- Co jest, kurwa mać?!

Zaraz potem obaj sięgnęli po broń, ale Volkmann z całej siły rąbnął pasażera w głowę, tak że ten rozpląszczył się twarzą na przedniej szybie, Lubschowi zaś przyłożył do nasady karku lufę beretty.

- Nie rób żadnych głupstw.

Terrorysta pobladł jak ściana, Volkmann zaś polecił spokojnym tonem:

- Wyjmij pistolet, ale trzymaj go dwoma palcami za lufę. Podaj mi go rękojęścią do przodu. Jeden fałszywy ruch i pożegnasz się z życiem.

- Volkmann, jesteś już trupem - wycedził Lubsch.

- Nie gadaj, tylko rób, co mówię.

Lubsch powoli wyjął pistolet i oddał go Josephowi.

- A teraz uruchom silnik. Nie odwracaj się. Na końcu ulicy skręć w prawo. Potem jedź prosto aż do chwili, kiedy powiem ci, co masz robić. I nie próbuj żadnych sztuczek, kiedy będziemy mijać waszego kumpla.

- Volkmann, jak będzie już po wszystkim...

Terrorysta nie dokończył, ponieważ Joseph chwycił go mocno za kołnierz kurtki i szarpnął do tyłu, jednocześnie wbijając mu lufę beretty w nasadę karku.

- Jeśli będziesz grzeczny, ty i twój przyjaciel wyjdziecie z tego bez szwanku. Jeśli nie, możesz już zacząć żegnać się z życiem. Rozumiesz, co do ciebie mówię? A teraz jedziemy. Tylko pamiętaj: żadnych numerów.

Volkmann zwolnił chwyt, a rudowłosa mężczyzna bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce. Jak tylko silnik ożył, Joseph sięgnął wolną ręką za pazuchę drugiego, nieprzytomnego terrorysty i wydobył stamtąd pistolet walther oraz miniaturowy radiotelefon. Położył je na podłodze za przednimi fotelami, obok broni Lubscha.

Opel łagodnie ruszył z miejsca i powoli nabierając prędkości minął człowieka strzegącego wejścia do baru. Mężczyzna wybałuszył ze zdumieniem oczy, a kiedy samochód już go minął, cisnął gazetę na chodnik i popędził za oddalającym się pojazdem.

- Nie zwalniasz - ostrzegł Lubscha Volkmann. - Dodaj gazu.

Terrorysta posłusznie zastosował się do polecenia, ale zanim samochód zareagował na mocniejsze wciśnięcie pedału gazu, biegnący co sił w nogach człowiek zrównał się z tylnymi drzwiami i chwycił za klamkę. Joseph w ostatniej chwili zablokował drzwi od środka, w związku z czym tamten nie zdołał ich otworzyć i po kilku bezskutecznych szarpnięciach zaczął walić pięścią w szybę. Chyba coś krzyczał, ponieważ miał szeroko otwarte usta i wytrzeszczone oczy, jego twarz zaś wykrzywiały grymas wściekłości, ale we wnętrzu samochodu nie było tego słychać.

- Jak się nazywa twój przyjaciel? - zapytał Joseph, przyciskając mocniej lufę beretty do karku Lubscha.

- Hartig.

Volkmann uśmiechnął się promiennie do biegnącego mężczyzny.

- Wesołych świąt, Hartig.

Samochód przyspieszył, rozwścieczony terrorysta został z tyłu, a potem opel skręcił za róg i pogoń zniknęła Volkmannowi z oczu.

Rozdział 24

Pół godziny później dotarli do Bad Schwalbach. Volkmann polecił Lubschowi skręcić w boczną drogę prowadzącą do Parku Krajobrazowego Taunus.

W pewnej chwili nieprzytomny do tej pory mężczyzna jęknął i poruszył się lekko, ale Volkmann błyskawicznie chwycił go od tyłu za kark i przez kilka sekund uciskał kciukiem miejsce za uchem. Okazało się to całkowicie wystarczające, ponieważ odzyskujący przytomność człowiek jęknął cicho i ponownie opadł bezwładnie na fotel. Lubsch próbował spojrzeć na kompana, ale powstrzymał go ostrzegawczy głos Josepha:

- Lepiej pilnuj drogi, Lubsch.

Wiedział, że gdyby przedłużył ucisk o kilka sekund, mężczyzna mógłby umrzeć, a tak tylko pozostanie nieprzytomny przez kilka godzin. Oddychał równo i miarowo, a kiedy Volkmann zbadał mu puls, stwierdził, że uderza słabo, ale wyraźnie. Nie należało oczekiwać żadnych problemów. Krew przestała się sączyć z rozbitego nosa, choć sądząc po wyglądzie tego ważnego organu należało przypuszczać, że został złamany i w najbliższym czasie dostarczy swemu właścicielowi wielu niezbyt przyjemnych doznań.

- Kim ty właściwie jesteś, Volkmann? - zapytał rudowłosy terrorysta przez zaciśnięte zęby.

- Nie gadaj, tylko prowadź.

Dziesięć minut później Joseph polecił Lubschowi zjechać w wąski trakt prowadzący nad brzeg jeziora. Na niebie świecił księżyc w drugiej kwadrze, przesłaniany od czasu do czasu czarnymi chmurami. Dwadzieścia metrów od wody Volkmann kazał terrorystę wyłączyć silnik i wysiąść z wozu, po czym sięgnął do stacyjki i wyjął z niej kluczyki.

Silny wiatr kołysał gałęziami drzew rosnących na skraju lasu. Volkmann także wysiadł z opla, włączył latarkę, a następnie polecił Lubschowi wejść na zбитy z desek pomost. Księżyc akurat wychylił się zza chmur, znacząc srebrzystymi plamami pofalowaną powierzchnię jeziora. Volkmann szedł kilka kroków za Lubschem, oświetlając mu drogę latarką.

Kiedy od pomostu dzieliło ich zaledwie kilka metrów, terrorysta skrzył raptownie w bok i co sił w nogach pognął ku smoliście czarnej ścianie lasu. Joseph natychmiast rzucił się w pogoń, doścignął go po kilkunastu metrach, cisnął latarkę na ziemię i chwycił mężczyznę za ramię, ale tamten uwolnił się gwałtownym szarpnięciem, po czym odwrócił się i z pochyloną głową zaatakował znacznie wyższego Volkmana, jedną ręką zadając ciosy, drugą natomiast próbując wydrzeć mu pistolet.

Lubsch okazał się zaskakująco silny, ale Volkmann był silniejszy. Po kilku nieudanych próbach zdołał wreszcie otoczyć ramieniem szyję terrorysty i zamknął ją w morderczym uścisku. Kilka sekund później poczuł, jak ciało Lubscha mięknie a zaraz potem osuwa się bezwładnie na ziemię.

Joseph podniósł latarkę, włączył ją ponownie i oświetlił twarz mężczyzny. Rudzielec nie stracił do końca przytomności, ale miał siną twarz i ostrożnie masował sobie szyję, kaszląc tak gwałtownie, jakby zamierzał wypluć płuca na trawę. Wreszcie doszedł do siebie na tyle, by utkwic w Josephie rozwścieczone spojrzenie i wysapać:

- Jesteś... jesteś już trupem, Volkmann. Rozumiesz? Trupem...

Joseph zignorował groźbę.

- Wstawaj, Lubsch - polecił, dając znak pistoletem. - Wejdz na pomost.

Rudowłosa mężczyzna z trudem dźwignął się na nogi i wykonał polecenie.

- Teraz zwiąż razem sznurowadła.

- Co takiego?

- Przecież słyszysz, co do ciebie mówię. Prędko.

Lubsch wymamrotał coś pod nosem, po czym, rad nie rad, zastosował się do rozkazu. Volkmann nie spuszczał go z oka, aby mieć pewność, że wszystko zostało wykonane jak należy, po czym zażądał, by terrorysta zdjął pasek od spodni i położył się na brzuchu na zbitym z desek pomoście. Ponieważ Lubsch nie chciał tego zrobić, pomógł mu mocnym pchnięciem, po którym rudzielec rozciągnął się jak długi. Pasek posłużył do związania mu rąk za plecami. Zaraz potem Volkmann posadził Lubscha na pomoście, przykucnął półtora metra przed nim i powiedział:

- Możemy to zrobić na dwa sposoby: po dobroci, albo na siłę. Po dobroci będzie wtedy, jeśli powiesz mi wszystko, czego sobie zażyczę. Na siłę będzie wtedy, jeśli tego nie zrobisz, a wtedy ja odstawię ciebie i twojego przyjaciela na najbliższy posterunek policji.

Lubsch zmrużył oczy i z wściekłym grymasem na twarzy wpatrywał się w jasny krąg latarki.

- Czy ty naprawdę myślisz, że ujdzie ci to na sucho? Moi ludzie będą szukać cię tak długo, aż znajdą, Volkmann. Kim ty jesteś, do wszystkich diabłów? Jakimś pieprzonym gliną?

Joseph zignorował pytanie.

- Lepiej to sobie dobrze przemyśl. Czeka cię co najmniej dwadzieścia lat ciężkiego więzienia, a i to pod warunkiem, że sędzia akurat będzie w dobrym humorze. Strażnicy nie spuszczą cię ani na chwilę z oka, żadnych odwiedzin, naturalnie nie licząc wizyt adwokata, choć osobiście mocno wątpię, czy znajdzie się taki, który zechce zająć się twoją sprawą... - Schował beretę do kieszeni, wyjął natomiast zwój pomarańczowej linki i podsunął mężczyźnie pod nos. - Wybór należy do ciebie. Mam związać was obu jak choinki na targu i zawieźć na posterunek, czy wolisz mówić?

Wiejący od jeziora wiatr był przejmująco zimny. Przez dłuższą chwilę na pomoście panowała cisza, zakłócana jedynie skrzypieniem rozkołysanych drzew i chłupotem fal rozbijających się o drewniane pale. Lubsch zastanawiał się z opuszczoną głową, a kiedy wreszcie ją podniósł, Joseph dostrzegł w świetle latarki zaczerwieniony z zimna nos i policzki.

- Powiedzmy, że zdecyduję się mówić. Co z tego będę miał?

- Puszczę was wolno.

- W porządku. Co chcesz wiedzieć, Volkmann?

- To samo, czego chciałem dowiedzieć się za pierwszym razem. Wszystko, co dotyczy Dietera Wintera i jego przyjaciół.

- Jaką mam pewność, że dotrzymasz słowa i zostawisz nas w spokoju?

- Musisz mi zaufać, Lubsch. Jeżeli jednak spróbujesz mnie okłamać albo jeżeli przekonam się, że coś przede mną zataiłeś, twoja przyjaciółka Karen może w najbliższym czasie spodziewać się wizyty policji.

Lubsch zmrużył oczy, usiłując dojrzeć Josepha świecącego mu latarką prosto w twarz.

- Ty naprawdę jesteś wariat, co? - wycharczał głosem przesyconym nienawiścią. - Dokładnie tak, jak powiedziała Karen. Ale jeśli myślisz, że uda ci się nas wykiwać, to...

Terrorysta nie zdołał dokończyć zdania, ponieważ Joseph chwycił go za kołnierz kurtki, gwałtownym szarpnięciem przeciągnął na krawędź pomostu, a następnie złapał za rude włosy i zanurzył jego głowę w lodowatej, czarnej wodzie. Mężczyzna próbował się uwolnić, ale ze skrępowanymi rękami i nogami nie miał najmniejszych szans.

Volkmann nie spiesząc się policzył do dziesięciu, po czym wy dobył głowę Lubscha na powierzchnię. Rudowłosy mężczyzna dyszał jak ryba, łapiąc powietrze gwałtownymi, płytkimi łykami.

- To twoja ostatnia szansa - poinformował go spokojnie Joseph. - Będziesz mówił czy nie?

Terrorysta nie odpowiedział, więc Volkmann ponownie zacisnął palce na kołnierzu jego kurtki, lecz zanim zdążył uczynić cokolwiek więcej, Lubsch wykrzyknął z przerażeniem:

- Na litość boską, przestań! Już dobrze, wszystko ci powiem! Naprawdę!

Volkmann odciągnął go z powrotem na środek pomostu i pozwolił złapać oddech. Rude włosy przyklepiły się rzadkimi kosmykami do czoła mężczyzny, z brody i nosa kapwały mu krople wody, a twarz była sina z zimna.

- Chcę, żebyś zaczął od samego początku - przemówił Volkmann, kiedy doszedł do wniosku, że przerwa regeneracyjna trwała wystarczająco długo. - Od chwili, kiedy poznałeś Wintera. I radzę ci, nie próbuj niczego zataić, bo to może się dla ciebie przykro skończyć. Rozumiesz?

Ciałem Lubscha wstrząsnął gwałtowny kaszel. Rudowłosa mężczyzna wypluł kolejną porcję wody i przez chwilę siedział z pochyloną głową, po czym spojrzał na Volkmana, dość długo mierzył go w milczeniu spojrzeniem, by wreszcie skierować wzrok gdzieś w bok i powiedzieć:

- Poznaliśmy się w Heidelbergu. Dieter studiował tam historię.

- Byliście przyjaciółmi?

- Nie, tylko znajomymi. Od czasu do czasu wpadaliśmy na siebie w jakiejś knajpie, piliśmy i gadaliśmy.

- Opowiedz mi o nim.

Lubsch odcharknął i splunął do jeziora.

- Co chcesz wiedzieć?

- Już ci mówiłem. Wszystko.

- No więc, jeśli chodzi o sprawy polityczne, to zajmowaliśmy miejsca po przeciwnych stronach barykady. On był skrajnym prawicowcem, mnie ciągnęło w lewo. Trzeba jednak przyznać, że miał gadane. Udało mu się mnie przekonać, że przyświeca nam wspólny cel, a ja przez pewien czas mu wierzyłem.

- Co to za cel?

Lubsch zerknął na Volkmana, po czym szybko odwrócił spojrzenie.

- Przyszłość Niemiec.

- A konkretnie?

- To był ulubiony temat Wintera. On i jego przyjaciele uważali, że uda im się coś zmienić.

- Co to za przyjaciele?

- Koledzy ze studiów wyznający takie same poglądy jak on.

- Opowiedz mi o nich.

Lubsch zawahał się, a następnie zapytał:

- Co to wszystko ma wspólnego z tymi rzeczami, o których mi mówiłeś?

Przecież to dawne czasy, a poza tym...

- Nie mędrkuj, tylko oppwiadaj. No więc, co z jego przyjaciółmi?

Szczupłym ciałem terrorysty wstrząsnął dreszcz. Lubsch siedział nieruchomo w przemoczonej kurtce, wpatrując się w ciemność, jakby tam czerpał natchnienie dla swej opowieści.

- Tak naprawdę poznałem go dopiero w połowie drugiego roku. Za każdym razem, kiedy spotkaliśmy się w barze, dyskutowaliśmy o polityce. Winter potrafił zarówno mówić, jak i pić, ale nigdy nie doszło między nami do zwady; po prostu dyskutowaliśmy, a każdy próbował przeciągnąć drugiego na swoją stronę barykady. Pewnego dnia zaprosił mnie na weekend, który zamierzał spędzić z przyjaciółmi gdzieś koło Luneburga. Miało nas być w sumie siedem osób, w większości studentów, ale tylko my dwaj z Heidelbergu. Pozostali zjechali z różnych stron Niemiec. Byli wśród nich bardzo prymitywni ludzie, wywodzący się ze środowiska robotniczego, ale Winter ich także zaprosił. Mieszkaliśmy w wynajętej chacie na skraju lasu, całymi dniami prowadziliśmy zażarte dyskusje podczas spacerów, wieczorami zaś piliśmy w okolicznych knajpach. O czym gadaliśmy? Właściwie o wszystkim, ale najczęściej o polityce, filozofii i historii.

- Wszyscy znali już wcześniej Wintera?

- Jasne. Chwilami odnosiłem wrażenie, że tworzą coś w rodzaju tajnego bractwa.

- Kim dokładnie byli?

- Już ci powiedziałem, Volkmann. To Winter ich zaprosił, nie ja. Widziałem ich po raz pierwszy w życiu.

- Muszę znać nazwiska, Lubsch.

Rudowłosa mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

- Pamiętam tylko jedno: Kesser. Lothar Kesser. Studiował na politechnice, był mniej więcej w moim wieku i pochodził z Bawarii.

- Skąd konkretnie?

Lubsch pokręcił bezradnie głową.

- Z jakiegoś zasranego miasteczka. Nie mam pojęcia, jak się nazywało.

- Dlaczego odniosłeś wrażenie, że ci ludzie należą do tajnego bractwa?

Lubsch wzruszył ramionami.

- Po prostu tak to wyglądało, i już. Rzucone mimochodem słowo, spojrzenie, czasem uśmiech... Nie każ mi tego wyjaśniać, bo nie potrafię. Nie ulegało jednak dla mnie wątpliwości, że nie należę do kręgu wtajemniczonych i że tamci akceptują moją obecność wyłącznie dlatego, że zostałem zaproszony przez Wintera.

Lubsch umilkł, jakby potrzebował trochę czasu, by uporządkować wspomnienia.

- Mów dalej - ponaglił go Joseph.

- Pewnego wieczoru, kiedy wszyscy położyli się już spać, ten Kesser zaproponował mi przechadzkę po lesie. Tylko nas dwóch. Było zupełnie ciemno, a my mieliśmy mocno w czubie, ale zgodziłem się, bo odniosłem wrażenie, że gość chce ze mną pogadać na osobności.

Łaziliśmy chyba przez godzinę. Kesser mówił głównie o przeszłości Niemiec. Nie o niedobrych, wstydliwych sprawach, ale o tych wspianiałych i dających powody do dumy. O tym, jak zawsze potrafiliśmy przetrwać ciężkie czasy, pokonać wszystkie przeszkody, podnieść się z upadku, stworzyć coś z niczego... Właśnie takie rzeczy. Brzmiało to zupełnie jak jakaś agitka. Jego zdaniem Niemcy zbliżały się w szybkim tempie do kolejnego okresu chaosu, w związku z czym w niezbyt odległej

przyszłości miały nas czekać poważne problemy - nie tylko nas, Niemców, ale w ogóle całą Europę. Polityczne, ekonomiczne, społeczne... Jednak tam, gdzie są problemy i zamieszanie, pojawiają się także okazje i my, Niemcy, powinniśmy uczynić wszystko, by wykorzystać szansę i zbudować nowy, lepszy Vaterland. Byłem nieźle pijany, ale i tak wydawało mi się, że wygaduje bzdury. Powiedziałem mu, że to wszystko brzmi jak idealistyczne bredzenie niedouczzonego naiwniaka.

- I co on na to?

- Oczywiście wściekł się, zaczął wywrzaskiwać, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, on i ludzie wyznający podobne poglądy otrzymają niezbędną pomoc finansową, dzięki czemu będą mogli wprowadzić w życie swoje zamierzenia. Zapytałem go, co ma na myśli, ale nie dał się wciągnąć w szczegółowe wyjaśnienia. Wspomniał tylko, że wie o moich powiązaniach z jednym z odłamów Frakcji Czerwonej Armii. Według jego słów ani on, ani Winter nie uważali nas za terrorystów, tylko za rozczarowanych Niemców usiłujących zbudować podwaliny nowej, lepszej ojczyzny. Dodał też, że jeśli chcemy, możemy się do nich przyłączyć.

- Co mu odpowiedziałeś?

- Że doceniam jego dobre intencje, ale muszę z przykrością stwierdzić, że się myli, ponieważ nie należę do żadnej organizacji. Byłem pijany, ale nie straciłem instynktu samozachowawczego. Poza tym, przez cały czas podejrzewałem Kessera o podwójną grę. Jaką mogłem mieć pewność, że on i Winter nie są policyjnymi wtykami? Takie rzeczy się zdarzają, i to wcale nierzadko. Bundespolizei umieszcza najzdolniejszych ludzi na uniwersytetach, żeby przenikali do grup radykalnej młodzieży.

- Jak Kesser zareagował na twoją odmowę? Lubsch wzruszył ramionami.

- Powiedział mi, że jego zdaniem popełniam poważny błąd. Na tym nasza rozmowa się skończyła. Wkrótce Winter wyraźnie zaczął mnie unikać, coraz rzadziej wdawał się w dyskusje, a jeśli już przypadkiem się spotkaliśmy, starał się zachować dystans.

Szczupłym ciałem rudzielca znowu wstrząsnął dreszcz, ponieważ od strony

jeziora dotarł do nich jeszcze chłodniejszy podmuch wiatru.

- Spotkałeś go potem? - zapytał Volkmann.

- Tak, dwa lata temu.

- Mów - ponaglił go Joseph.

- Jakiś człowiek zadzwonił w nocy do jednego z moich znajomych. Nie chciał się przedstawić, tylko poprosił, by przekazano mi wiadomość, że Lothar Kesser chce się ze mną spotkać w celu przekazania pewnej interesującej propozycji. Podał numer telefonu, pod którym będę mógł zasięgnąć bliższych informacji. Zadzwoniłem tam, i wiesz, kto odebrał? Winter we własnej osobie. Sprawiał wrażenie bardzo przyjaźnie nastawionego. Powiedział, że on i Kesser mają do mnie ważną sprawę, ale nie można o niej rozmawiać przez telefon, więc proponują spotkanie. Jeśli im nie ufam, mogę przyprowadzić ze sobą paru ludzi, a nawet ustalić termin i miejsce spotkania.

- Co było dalej?

- Zaintrygowali mnie, więc umówiłem się z nimi w pobliżu małego miasteczka w Schwarzwaldzie. Naturalnie najpierw posłałem tam moich ludzi, żeby dokładnie sprawdzili teren, ale Winter i Kesser zjawili się bez obstawy. Poszliśmy we trzech na spacer w góry. Winter milczał, a Kesser gadał prawie bez przerwy. Zaczął od tego, że ma interesującą propozycję dla mnie i mojej grupy.

- Co to za propozycja?

- Był gotów podjąć się dostarczania tego wszystkiego, co kiedyś dostawaliśmy od Rosjan, a czego teraz coraz częściej zaczynało nam brakować.

- Co masz na myśli?

- Broń, materiały wybuchowe, środki łączności... Po prostu wszystko.

- Czy Kesser ujawnił źródła zaopatrzenia?

- Nie.

- A pytałeś go o to?

- Jasne. Dowiedziałem się tylko tyle, że to nie moja sprawa. Mogę przyjąć ofertę albo ją odrzucić, ale nikt nie ujawni mi żadnych szczegółów.

- Co o tym pomyślałeś?

Lubsch skrzywił się z niesmakiem.

- Że to kompletne szaleństwo. Prawicowy radykał zaopatrujący w broń skrajnie lewicowych terrorystów... To było zupełnie bez sensu.

- A więc odrzuciłeś propozycję?

Grymas na twarzy rudzielca zamienił się w chytry uśmiech.

- Skądże znowu. Przyjąłem ją, choć naturalnie udawałem, że długo się zastanawiam. Nawet jeśli Kesserowi brakowało piątej klepki, to ja byłem zupełnie normalny i doskonale zdawałem sobie sprawę, jak szybko kurczą się nasze zapasy. Rosjanie coraz bardziej ograniczali dostawy, a po upadku muru w ogóle wypięli się na nas.

- Cóż konkretnie dostarczał wam Kesser? Lubsch zacisnął wargi.

- Nie możesz sobie przypomnieć? - zapytał Volkmann ze współczuciem. -
Może ci pomóc?

Okazało się jednak, że nie jest to konieczne.

- Głównie broń ręczną i materiały wybuchowe. Pistolety maszynowe, karabiny, granaty, semteks... Nawet wyrzutnię pocisków raketowych, dzięki której udało nam się załatwić pewnego znanego polityka.

- Czy Kesser postawił jakieś warunki?

- Tylko taki, że musimy płacić w terminie, ale za to sprzedawał nam wszystko po kosztach. Dla siebie nie miał z tego ani feniga.

- Nie zastanowiło was, dlaczego to robi? Lubsch potrząsnął głową i roześmiał się cicho.

- Byliśmy gotowi brać broń nawet od samego diabła, naturalnie pod warunkiem, że da się z niej strzelać. Nikomu nie przyszło do głowy wdawać się w jakieś głębsze rozważania.

- Jak długo korzystaliście z usług Wintera?

- Około półtora roku.

- Dlaczego nie dłużej? Czyżby coś się stało? Rudowłosa mężczyzna spojrział prosto w reflektor latarki.

- Kesser postawił jeszcze jeden warunek.

- Jaki?

- W zamian za każdą dostawę musieliśmy wykonać jedno jego polecenie. Nazwał to „dowodem wdzięczności za przysługę”. Wskazywał nam konkretne cele, które mieliśmy zaatakować.

- Jakie to były cele?

- Banki, instytucje finansowe, rządowe agencje, wojskowe bazy aliantów... Niektóre znajdowały się także na naszej liście celów, więc nie mieliśmy nic przeciwko temu, żeby je zniszczyć, ale było też sporo takich, których nie tknęlibyśmy palcem. Postępowaliśmy jednak zgodnie z jego życzeniem, bo zależało nam na dostawach.

- Skoro tak, to czemu przestał wam pomagać? Lubsch umilkł na chwilę, po czym odparł:

- Jakies pół roku temu zaczął przedstawiać coraz bardziej zwariowane żądania; chciał na przykład, żebyśmy podpalali i wysadzali w powietrze schroniska dla azylantów politycznych i imigrantów, a to było zupełnie nie w naszym stylu. Zażądał też zlikwidowania konkretnych osób. Podał nam ich nazwiska.

- Czy powiedział, dlaczego zależy mu na ich śmierci?

- Nie. Zaznaczył tylko, że to należy do umowy.

- Co to byli za ludzie?

- O dwóch usłyszałem po raz pierwszy w życiu, ale trzeciego dobrze znałem i nie mieściło mi się w głowie, żebym mógł go zlikwidować.

- Mów dalej.

- Był politykiem z Berlina o mocno liberalnych poglądach. Powiedziałem Kesserowi wprost, że to nie w naszym stylu. Owszem, chętnie damy w czapę jakiemuś politykowi albo biznesmenowi, który nam się poważnie naraził, ale ci trzej nigdy nie znajdowali się w orbicie naszych zainteresowań.

- I co na to Kesser?

- Uśmiechnął się, a potem powiedział, że sam się tym zajmie, ale pozostała

część rozmowy upłynęła w bardzo napiętej atmosferze, a następna dostawa broni już nie nadeszła. Potem ani Kesser, ani Winter już się z nami nie skontaktowali.

- Co to byli za ludzie, którzy mieli zostać zlikwidowani?

- Pewien gość ze wschodniego Berlina nazwiskiem Rauscher. Herbert Rauscher. Kobieta z Friedrichshafen niedaleko granicy ze Szwajcarią.

- Jak się nazywała?

- Nie pamiętam.

- Więc sobie przypomnij.

- Hedda... cośtam. Pohl albo Puhl. Nie jestem pewien.

- Kim była?

- Nikim. Wdową po jakimś biznesmenie.

- A ten człowiek ze wschodniego Berlina?

- Też nikt szczególny. Prowadził interesy na niewielką skalę.

- Twoi ludzie dobrze ich sprawdzili?

- Jasne. My nie zabijamy kogo popadnie, nie wiedząc nawet, z kim mamy do czynienia. To nie w naszym stylu, Volkmann. Uderzamy wyłącznie w starannie dobrane cele, których zlikwidowanie przyniesie konkretne korzyści: nieuczciwych biznesmenów, skorumpowanych polityków, wysokich oficerów wojska i policji.

- Więc Winter i Kesser nie podali ci żadnego powodu, dla którego chcieli rozprawić się z tymi ludźmi?

- Już ci powiedziałem. Kesser stwierdził tylko, że to należy do umowy.

- Kim był ten polityk z Berlina?

- Nazywał się Walter Massow. - Lubsch ponownie spojrzął na spowite ciemnością jezioro. Posiniałe z zimna wargi drżały mu jak w febrze. - Żaden drapieżny karierowicz, tylko porządny, uczciwy gość, który ze wszystkich sił stara się pomóc najbiedniejszym obywatelom tego kraju. Właśnie dlatego powiedziałem Kesserowi, żeby wybił go sobie z głowy. Nie jesteśmy rasistami i nie będziemy działać jak faszyci. Powiedziałem mu też, że jeśli Massow mimo wszystko zginie, nie spocznę, dopóki nie ukarzę jego zabójców. - Przeniósł wzrok na Volkmana. -

Następna dostawa już nie nadeszła.

Volkman przez chwilę zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonymi brwiami, po czym zapytał:

- Dlaczego Kesserowi i Winterowi zależało na przeprowadzeniu ataków na schroniska dla imigrantów?

- Ja też zadałem im to pytanie. Zdaniem Kessera niektórzy z nich utworzyli własne grupy terrorystyczne i zaczęli rozprawiać się z prawicowymi bojówkami. Twierdził, że chodzi o zapobiegawczy kontratak, ale ja znałem go już jako nieodpowie - dzialnego fanatyka, więc taka argumentacja nie mogła mnie przekonać, tym bardziej, że w ustach człowieka o takim pochodzeniu brzmiała co najmniej dwuznacznie.

- Co masz na myśli?

- Podczas tamtego weekendu w okolicach Liineburga podsłuchałem, jak opowiadał o swoim ojcu. Otóż jego stary był podczas wojny jakąś szyczą w SS i pomagał Hitlerowi przygotować Testament Brandenburski, cokolwiek to było. Kesser sprawiał wrażenie cholernie dumnego z tego powodu.

Tym razem to Joseph wpatrywał się przez kilka sekund w rozkołysane wody jeziora.

- Co stało się z Massowem? - zapytał wreszcie. Lubsch wzruszył ramionami.

- Nic. Zostawili go w spokoju.

- A z pozostałą dwójką?

- Nie mam pojęcia. Chyba nie żyją. Lodowaty wiatr wzmagął się z każdą chwilą.

- Jak sądzisz, dlaczego go nie zabili? Rudzielec ponownie wzruszył ramionami.

- Albo Kesser przestraszył się mojej groźby, albo odpuścił go sobie, bo chciał grać ze mną fair. W każdym razie, po tej scysji ani on, ani Winter nie nawiązali już z nami kontaktu. Nie musieli zresztą, bo przecież mieli innych, którzy wykonywali za nich brudną robotę.

- Jakich innych? O czym mówisz?

- Ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że dostarczali broń nie tylko naszej grupie.

- Masz na myśli terrorystów? Lubsch uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Wszystko zależy od punktu widzenia... Tak, chyba można ich w ten sposób określić.

- Które konkretnie organizacje?

- Jakie tylko chcesz, ale przede wszystkim te znane z pierwszych stron gazet. Zawarli taki sam układ: dostawy broni po kosztach własnych w zamian za likwidowanie wskazanych ludzi i atakowanie wyznaczonych celów.

Volkmann odwrócił się od rudowłosego mężczyzny, zrobił dwa kroki naprzód i zatrzymał się na krawędzi pomostu. Zimny wiatr bezlitośnie chłostał jego twarz. Po dłuższej chwili cofnął się, stanął na swoim poprzednim miejscu, spojrzał z góry na drżącego z zimna Lubscha i powiedział:

- To wszystko nie ma najmniejszego sensu. Co chciał osiągnąć Winter? Do czego dążyli, on i jego kumple? Dlaczego zależało im na wyeliminowaniu tych ludzi? Czemu nie zrobili tego sami? Przecież mieli broń, a umiejętności też by im chyba nie zabrakło...

Terrorysta potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, Volkmann. My też nic z tego nie rozumieliśmy. Co prawda stworzyłem na ten temat własną teorię, ale w niej też są poważne luki.

- Co to za teoria?

- Może ich plan polegał na szerzeniu anarchii i zamieszania? Dostarczali broń lewicującym grupom, które na ich żądanie likwidowały konkretnych ludzi, dzięki czemu prawicowi ekstremiści mogli liczyć na większe poparcie społeczne.

Volkmann nic nie odpowiedział, więc Lubsch skierował ku niemu pytające spojrzenie.

- Pewnie myślisz, że to wierutna bzdura?

- Wspomniałeś, że twoja teoria ma pewne luki. W którym miejscu?

Rudowłosa mężczyzna wzruszył ramionami.

- Chodzi o ludzi, których mieliśmy wyeliminować. Byli za mało ważni, żeby ich śmierć mogła wywrzeć wystarczająco duże wrażenie. Poza tym zwierzchnicy Wintera musieli dysponować ogromnymi pieniędzmi i nieograniczonymi możliwościami, skoro udało im się zorganizować przerzut broni na tak wielką skalę. Nie zdziwiłbym się, gdyby mieli nawet prywatną, świetnie uzbrojoną armię.

- Skąd pochodziła broń, którą dostarczali wam Kesser i Winter?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to wy zlikwidowaliście Wintera?

- Nie.

- Więc kto to zrobił?

- Nie wiem. On prowadził naprawdę ryzykowne życie. Kontaktował się z wieloma grupami podobnymi do mojej, załatwiał poważne interesy, a co gorsza, lubił gadać, szczególnie jeśli trochę wypił. - Lubsch splunął do jeziora. - Pieczone ziemniaki są bardzo smaczne, ale wyjmując je z popiołu łatwo się poparzyć.

- Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Pół roku temu, podczas ostatniej rozmowy z Kesserem.

- W jaki sposób mogę odszukać Kessera?

Terrorysta zwrócił się z zimną twarzą w kierunku Josepha.

- Nie mam pojęcia, Volkmann, ale mogę udzielić ci dobrej rady. Już ją dzisiaj ode mnie słyszałeś. Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, trzymaj się z dala od niego i od jego przyjaciół... Chyba że oboje z dziewczyną zamierzacie przenieść się na tamten świat.

- Czy Winter albo Kesser wspominali przy tobie o Nicolasie Tsarkinie lub Karlu Schmeltzu?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Oni nigdy nie wymieniali żadnych nazwisk. Nigdy. Jedyne wyjątki zrobili wtedy, kiedy przedstawili mi listę osób do zlikwidowania. - Ciałem Lubscha

wstrząsnął kolejny dreszcz. - Rozwiązesz mnie, czy mam tu przesiedzieć całą pieprzoną noc i zamarznąć na śmierć? Powiedziałem ci już wszystko, co wiem.

Volkmann skierował latarkę nieco w prawo, by nie świecić mężczyźnie prosto w oczy, a jednocześnie móc obserwować jego reakcję.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, Lubsch. Erika Kranz.

- Co z nią?

- Jak dobrze znała Wintera w Heidelbergu?

- Czemu mnie o to pytasz? Niech sama ci powie.

- Będziesz uprzejmy udzielić mi odpowiedzi, czy mam ci pomóc?

- Parę razy widziałem na różnych przyjęciach, jak gadają ze sobą w kącie. - Rudzielec skierował badawcze spojrzenie na twarz Volkmana. - Wydawało mi się, że jesteście przyjaciółmi?

Joseph zignorował tę uwagę.

- Miło mi się z tobą gawędziło, Lubsch.

- Odpieprz się!

Joseph odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu, ale po kilku krokach zatrzymał się i skierował na terrorystę strumień światła z latarki.

- Pamiętaj, że wyświadczyłem ci dzisiaj przysługę - powiedział. - Powinienem oddać cię w ręce władz, żebyś resztę życia spędził za kratkami, ale ja dotrzymuję słowa. Jeśli jednak przekonam się, że mnie okłamałeś, albo jeżeli będziesz mnie śledził, napuszczę policję na twoją przyjaciółkę Karen. Aha, i jeszcze jedno: trzymaj się z daleka od Eriki Kranz.

Wyłączył latarkę. Drewniany pomost pogrążył się w ciemności równie głębokiej jak ta, która spowijała jezioro, las i okoliczne wzgórza.

- Samochód znajdziesz w pobliżu sklepu Karen. Twój przyjaciel zostanie tutaj, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

Idąc w kierunku opla słyszał szum wiatru kołyszącego nagimi gałęziami drzew oraz posapywanie Lubscha usiłującego uwolnić skrepowane ręce.

Rozdział 25

Kiedy otworzył kluczem drzwi swego mieszkania i wszedł do środka, była już prawie północ. Dziewczyna spała w pokoju gościnnym.

Skierował się prosto do telefonu i wystukał domowy numer Petersa. Zaczekał, aż Tom włączy urządzenie zabezpieczające przed podsłuchem, po czym zrelacjonował mu przebieg spotkania z Lubschem.

- Jezu Chryste, Joe! To było cholernie niebezpieczne! Mam przekazać nazwisko dziewczyny chłopcom z Bundespolizei?

- Jeszcze nie. Zobaczymy, co się będzie działo. Jeśli Lubsch będzie próbował się zrewanżować, wtedy natychmiast to zrobimy.

- Myślisz, że powiedział ci prawdę?

- Wiem tyle samo co ty, Tom. Sądzę, że tak, ale trzeba to będzie jeszcze sprawdzić.

- Co masz zamiar robić? Ferguson wraca dopiero za kilka dni.

- Będę próbował trafić po nitce do kłębka.

- W porządku, ale daj mi znać, gdybyś potrzebował pomocy. Aha, z Ośrodka Dokumentacji w Berlinie dostaliśmy materiały dotyczące Erharda Schmeltza.

- Jest coś interesującego?

- Sam ocenisz. Najstarsze dokumenty dotyczące NSDAP, jakie mają w swoich zbiorach, pochodzą z roku 1925, kiedy partia zaczęła działać w zorganizowany sposób. Niejaki Erhard Johann Schmeltz, urodzony w Hamburgu, otrzymał legitymację z numerem 68964. Wniosek o przyjęcie do organizacji złożył w Monachium w lutym 1927 roku. Data urodzin jest taka sama jak w raporcie Sancheza. Biorąc pod uwagę, że kilkanaście lat później do NSDAP należało ponad dziesięć milionów ludzi, Schmeltz należy do weteranów.

- Co jeszcze?

- Mają oryginał wniosku, teczkę z dokumentacją oraz kopię zdjęcia przechowywanego w Archiwum Kwatery Głównej NSDAP w Monachium. Schmeltz

był także członkiem SA, czyli Sturmabteilung, i z chwilą wyjazdu do Ameryki Południowej bynajmniej nie zrzekł się członkostwa w partii. Płacił regularnie składki aż do śmierci w roku 1944.

- Skąd o tym wiedzą?

- Naziści utworzyli specjalny wydział zajmujący się kontaktami z członkami partii, którzy rozjechali się po świecie, ale nadal należeli do NSDAP. Schmeltz znalazł się w orbicie zainteresowań tego wydziału w listopadzie 1931. - Peters umilkł na chwilę, po czym dodał: - A teraz najważniejsze, Joe. Do wniosku Erharda Schmeltza ubiegającego się o przyjęcie do partii był załączony list polecający.

- I co z tego?

- Na razie nic, ale słuchaj dalej. Zwyczajowo taki list, czy też opinię na temat kandydata, pisał szef miejscowej komórki partii, Jęcz w przypadku Schmeltza opinię nadesłano z Prinz Albrecht Strasse w Berlinie, czyli z Kwatery Głównej SS, podpisał ją zaś osobiście sam Heinrich Himmler. W piśmie poleca się natychmiast przyjąć Herr Schmeltza w poczet członków. Wynika z tego, że Schmeltz albo był zaufanym człowiekiem Himmlera, albo miał znajomości wśród najwyższych funkcjonariuszy partyjnych.

Volkman przez kilka sekund zastanawiał się nad tą informacją.

- Co poza tym?

- Mamy też wiadomości o Reimerze. Figuruje w spisie oficerów SS, ten zaś zachował się w prawie nienaruszonym stanie dlatego, że tuż przed zakończeniem wojny wpadł w ręce Amerykanów. Niestety, niewiele z tego wynika. Jutro rano wszystko będzie czekało na ciebie na twoim biurku, więc sam ocenisz, co nam się przyda, a co nie. Masz może jeszcze kogoś, kogo należy sprawdzić?

- Owszem. Lothar Kesser, absolwent politechniki, przez pewien czas na pewno mieszkał w Bawarii, być może nawet się tam urodził. Wiem, że to niewiele, by go namierzyć, ale na razie nie wiem nic więcej. Aha, potrzebuję też biletu powrotnego do Zurychu na pierwszy jutrzejszy lot.

- Dlaczego akurat do Zurychu?

- Pamiętasz Teda Birkena? Peters roześmiał się cicho.

- Wydawało mi się, że ładnych parę lat temu wysłali go na emeryturę?

- Owszem, ale stary lis wciąż zna wielu ludzi. Kto wie, może będzie mógł nam pomóc?

- W porządku, zaraz się tym zajmę. Informuj nas o swoich postępach, Joe.
Dobranoc.

- Dobranoc.

Odłożywszy słuchawkę, usłyszał za plecami jakiś szmer. Odwrócił się gwałtownie i ujrzał Erikę stojącą w drzwiach gościnnej sypialni. Dziewczyna miała na sobie nocną koszulę i podomkę, jej błękitne oczy wpatrywały się w niego z wyrzutem.

- Słyszałam część rozmowy, Joe. Obiecałeś mi, że nie będziesz próbował kontaktować się ani z Karen, ani z Lubschem, ale zdaje się, że postąpiłeś inaczej?

Joseph nie odpowiedział.

- Przecież wiesz, jak groźnym człowiekiem jest Lubsch - ciągnęła dziewczyna.

- Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zdecydowałeś się narazić nas oboje na niebezpieczeństwo?

- Nic ci nie grozi, Eriko. Możesz być spokojna. Lubsch wie, że jeśli spróbuje coś zrobić, oddam Karen w ręce policji. Naprawdę nie musisz się niczego obawiać.

- Być może, Joe, ale jest coś, czym martwię się znacznie bardziej.

- Co to takiego?

- Nie zaufałeś mi na tyle, by powiedzieć o swoich planach.

Joseph w milczeniu odwrócił wzrok. Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, po czym podeszła do kanapy i usiadła, zakładając nogę na nogę.

- Czego dowiedziałeś się od Lubscha?

Volkman przekazał jej zdobyte informacje.

- Ufasz mu? - zapytała, wciąż wpatrując się w jego twarz.

- Czy ufam? Na pewno nie. Ale wierzę. Erika pokręciła głową.

- Naprawdę nie liczysz się z możliwością, że usiłował skierować cię na

falszywy trop? Dlaczego Winterowi i Kesserowi miałoby zależeć na śmierci tych ludzi? Jeśli zależało im na destabilizacji sytuacji w kraju, to dlaczego kazali mu atakować schroniska dla azylantów, a nie na przykład instytuty i urzędy państwowe? To naprawdę nie ma żadnego sensu.

- Być może, ale mimo wszystko w dalszym ciągu twierdzę, że Wolfgang Lubsch mówił prawdę.

- A jeżeli nadal współpracuje z Kesserem? Nie masz żadnej gwarancji, że tak nie jest. Gdyby tak właśnie było, na pewno poinformowałby go, że się nim interesujesz.

- Cóż, musimy zaryzykować. To jedyny sposób, żeby dotrzeć do ludzi, którzy zamordowali Rudiego. Przecież na tym ci właśnie zależy, prawda?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Joseph podszedł do okna, przez chwilę spoglądał na pogrążone we śnie miasto, po czym odwrócił się i zapytał:

- Czy masz dostęp do archiwów prasowych?

- Owszem, we „Frankfurter Zeitung”.

- Poszukaj tam wszelkich dostępnych informacji na temat ludzi, których zlikwidowania domagali się Kesser i Winter. Wiesz, chodzi o tego Rauschera i Hedde Pohl albo Puhl. Ciekawe, co ci się uda zdobyć.

- A co chcesz przede wszystkim ustalić?

- Czy istotnie zostali zamordowani, albo czy dokonano prób zamachu.

- Wasi ludzie nie mogą tego sprawdzić?

- Mogą, tylko musieliby zrobić to za pośrednictwem Sekcji Niemieckiej, a ja wolałbym, żeby sprawa nie wyszła poza nasze podwórko. Przynajmniej na razie. Im rzadziej muszę korzystać z ich pomocy, tym lepiej, bo tym mniejsza jest szansa przecieku. - Volkmann umilkł na chwilę, po czym dodał: - Jest jeszcze ten polityk z Berlina, Massow. Skontaktuj się z jego biurem i zapytaj, czy może mnie przyjąć. Jeśli się zgodzi, wsiądę w samolot i polecę do Berlina.

- O czym chcesz z nim rozmawiać?

- Jeśli Lubsch mówił prawdę, to musi istnieć jakiś powód, dla którego Winter i

Kesser postanowili zamordować Massowa. Może on go zna? Podam ci numer telefonu, pod którym będziesz mogła mnie złapać. Gdyby mnie nie było, przekaz wiadomość Petersowi.

- Wyjeżdżasz ze Strasburga? Volkmann skinął głową.

- Zaintrygowała mnie wiadomość od Sancheza o pieniądzech przesyłanych za pośrednictwem Reichsbanku do Paragwaju nie tylko przed, ale nawet w trakcie ostatniej wojny. W Zurychu mieszka ktoś, z kim chciałbym porozmawiać na ten temat. Kto wie, może zdoła mi pomóc?

Powtórzył dziewczynie zdobyte przez Petersa informacje dotyczące przeszłości Schmeltza. Na twarzy Eriki pojawił się wyraz głębokiego zdumienia.

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek z działalnością Wintera i niedawnymi zabójstwami?

- Naprawdę nie wiem, Eriko. Na razie Erhard Schmeltz i jego syn stanowią dla nas całkowitą zagadkę. Stary Schmeltz był nazistą, wyjechał do Paragwaju, kupił posiadłość w Chaco... I to wszystko. Zobaczymy, czy jutro w Zurychu uda mi się uzyskać bardziej szczegółowe informacje.

- A co z tym Kesserem? Znajdziecie go?

- Owszem, jeśli choć raz trafił do policyjnej kartoteki. Erika podniosła się z kanapy, ale nie wyszła do sypialni, tylko spojrzała Josephowi w oczy i zapytała:

- O której masz samolot?

- Zdaje się, że przed dziewiątą. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Cóż, chyba powinnam pozwolić ci się wyspać. Dopiero teraz odwróciła się, by odejść, ale Joseph zadał jej jeszcze jedno pytanie:

- Jak dobrze znałaś Wintera?

- Niezbyt dobrze. Widywaliśmy się przelotnie na terenie uniwersytetu i od czasu do czasu spotykaliśmy się na przyjęciach.

- A co z innymi studentami? Miał wśród nich jakichś przyjaciół?

- Już ci powiedziałam, że nie. Jedynymi osobami, które częściej przebywały w jego towarzystwie, byli Wolfgang Lubsch i Herman Borchardt.

W pokoju zapadło milczenie. Erika i Joseph długo spoglądali sobie w oczy, aż wreszcie dziewczyna otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie, odwróciła się i znikła w sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 26

Zurych, Szwajcaria wtorek, 13 grudnia

Z samego rana Joseph zadzwonił do Teda Birkena, potem zaś wpadł na chwilę do biura, odebrał bilet, pojechał na lotnisko i wsiadł do pierwszego samolotu odlatującego ze Strasburga do Zurychu. Zaraz po wylądowaniu i uporaniu się z formalnościami celnopaszportowymi wziął taksówkę, podał kierowcy adres domu nad Jeziorem Zuryskim, po czym rozparł się wygodnie na tylnej kanapie i zapatrzył na doskonale widoczne, pokryte śniegiem szczyty gór wznoszących się za jeziorem.

W porównaniu z okolicznymi rezydencjami willa była dość mała, ale za to bardzo ładna, elegancka, a w dodatku otaczał ją niezwykle zadbany ogród. Na każdym parapecie i balkonie stały skrzynki, w których wiosną i latem z pewnością rosły różnobarwne kwiaty. Joseph nie zdążył zobaczyć nic więcej, ponieważ otworzyły się frontowe drzwi, z budynku wyszedł Ted Birken i podniósł rękę w powitalnym geście.

Mocno przygarbiony, w rozciągniętej wełnianej kamizelce, wyglądał na więcej niż swoje siedemdziesiąt lat. Volkmann dopiero teraz uświadomił sobie, że minęła już cała dekada od chwili, kiedy widzieli się po raz ostatni; było to wówczas, gdy Birken przyjechał z wykładami do szkoły w Devon.

Kiedy starszy mężczyzna uściskał rękę Josepha, jego niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu błyszczały autentyczną radością.

- Miło znowu cię oglądać, Joe. Proszę, wchodź do środka.

Volkmann ruszył za gospodarzem. W domu było ciepło, w gabinecie zaś czekała drewniana taca z dwoma kieliszkami i butelką wiśniówki. W kominku płonął ogień, a za szerokim oknem roztaczał się wspaniały widok na jezioro,

naznaczone kilkoma białymi plamkami żagli. Birken zapalił fajkę z pianki, po czym spojrzał na Josepha; kiedy ten zaczął go przeproszać za zakłócenie spokoju oraz za to, że wpadł jak po ogień, przerwał mu niecierpliwym machnięciem ręki.

Ted Birken przez większą część dorosłego życia był oficerem wywiadu. Jego rodzice, niemieccy Żydzi, w roku 1940 uciekli wraz z nim do Szwajcarii. Miał wtedy osiemnaście lat. Jako syn zamożnego, szanowanego bankiera mógł wieść wygodne i bezpieczne życie, ale on niecały rok później wyrobił sobie fałszywe dokumenty i wyjechał do Nicei, skąd przedostał się do Lizbony, a stamtąd do Anglii, gdzie zgłosił się na ochotnika do wojska. Zamiast jednak trafić na front, znalazł się w obozie dla internowanych na wyspie Man, gdzie przesiedział aż do lata 1945 roku, kiedy to wreszcie zdecydowano się skorzystać z jego usług. Co prawda wojna już się skończyła, lecz rozpatrujący jego sprawę oficer wpadł na szczęśliwy pomysł, iż płynna znajomość niemieckiego oraz powiązania z wieloma szwajcarskimi bankami bardziej niż w piechocie lub marynarce przydadzą się w zupełnie innej instytucji, i przekazał go w ręce ludzi rekrutujących przyszłych oficerów wywiadu.

Na początku kariery Birken przez cztery lata tropił wysokich rangą funkcjonariuszy NSDAP i SS, którzy w ostatnich miesiącach wojny dokonywali potajemnych transferów wielomilionowych sum ulokowanych na kontach w Reichsbanku. Po uporaniu się z tym zadaniem otrzymał brytyjskie obywatelstwo i wstąpił do SIS, gdzie pokonał niemal wszystkie szczeble kariery służbowej, by wreszcie przejść na emeryturę i osiaść w Szwajcarii.

Zapaliwszy fajkę, nappełnił kieliszki wiśniówką, a następnie skierował na Josepha spojrzenie błyszczących oczu. Volkmann wyjaśnił mu wcześniej przez telefon przyczynę swego przyjazdu, więc Birken, jako człowiek rzeczowy i znający wartość czasu, przeszedł od razu do sedna sprawy.

- Zadałeś mi trzy pytania, Joe. Jedno dotyczyło pieniędzy wysyłanych przez Reichsbank do Ameryki Południowej, dwa pozostałe Schmełtza, Reimera oraz dywizji SS Leibstandarte. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zacznę od pierwszego.

Stary mężczyzna podniósł kieliszek do ust, pociągnął niewielki łyk alkoholu,

wypuścił kłęb dymu z fajki, po czym kontynuował:

- Najpierw powinienem chyba opowiedzieć ci o pewnym tajemniczym wydarzeniu, które miało miejsce pod koniec wojny i być może wiąże się ze sprawami, o których wspomniałeś. Otóż w maju 1945 roku zniknęły bez śladu pieniądze, złoto oraz dzieła sztuki wartości ponad dwóch miliardów dzisiejszych dolarów. Znaczna część tego majątku, stanowiącego oficjalnie własność Reichsbanku, pochodziła z krajów okupowanych przez Trzecią Rzeszę. - Birken uśmiechnął się lekko. - Było tego tyle, że wystarczyłoby na wyposażenie całej armii. Przypuszczam zresztą, iż początkowo taki właśnie cel przyświecał pomysłodawcom operacji, wśród których znajdował się sam Himmler, ale potem, kiedy sytuacja militarna stała się beznadziejna, zapomniano o tym planie, a ludzie, którzy mieli go zrealizować, zaczęli działać wyłącznie z myślą o własnych korzyściach.

Volkman umoczył usta w aromatycznym alkoholu, po czym zapytał:

- Co więc stało się z tą kupą szmału, Ted?

- Część udało nam się odnaleźć, ale większość przepadła bez śladu. Należy przypuszczać, że pieniądze trafiły głównie do Szwajcarii, Ameryki Południowej oraz tych krajów arabskich, które po cichu zawsze sprzyjały Hitlerowi. Także paru przedsiębiorczych Amerykanów zagarnęło trochę złota i weszło w układy z nazistami, którymi jeszcze niedawno pogardzali, ale były to jednostkowe przypadki, stosunkowo łatwe do wykrycia. Jak z pewnością wiesz, wielu hitlerowców ukryło się w Ameryce Południowej, a wraz z nimi trafiło tam mnóstwo pieniędzy. Uciekali wszyscy: od zwykłych szeregowców poczynając, na wysokich funkcjonariuszach SS i Gestapo kończąc. Wsiadali na statki wypływające z różnych portów, ale najczęściej we Włoszech. Robiliśmy co w naszej mocy, żeby wytropić zarówno ich, jak i pieniądze, ale niewiele mogliśmy zdziałać, ponieważ większość południowoamerykańskich rządów nie kryła swoich profaszystowskich sympatii i nawet nie chciała kiwnąć palcem, żeby nam pomóc.

- Dlaczego złoto i pieniądze trafiały właśnie do Ameryki Południowej?

- Ponieważ było tam daleko i bezpiecznie, a w wielu krajach Niemcy mogli

czuć się prawie jak w domu, i ponieważ jeszcze przed wojną przybyło tam wielu ich ziomków. Najlepszym przykładem jest Paragwaj. Generał Stroesser, który przez dłuższy czas rządził nim żelazną ręką, był z pochodzenia Niemcem, a w dodatku sympatykiem nazistów, zresztą podobnie jak większość dyktatorów sprawujących władzę w sąsiednich państwach. Majątek trafiał głównie do prywatnych kieszeni, choć znaczną jego część kontrolowała tajna organizacja Die Spinne, czyli Pająk, utworzona przez byłych esesmanów, dawniej znana jako Kameradenwerk, a jeszcze wcześniej jako Odessa. Jej członkowie planowali przeznaczyć w przyszłości duże fundusze na dofinansowanie nowej nazistowskiej partii, która miałaby powstać w Niemczech, ale, rzecz jasna, nic z tego nie wyszło.

Birken umilkł na chwilę, badawczo wpatrując się w Volkmana bystrymi niebieskimi oczami.

- Wiesz, jakie były główne cele działania Die Spinne?

- Nie.

- Za wszelką cenę chronić byłych esesmanów przed wymiarem sprawiedliwości, obsadzać nimi oraz członkami ich rodzin wysokie stanowiska w administracji, wojsku i policji, a także idealizować i popularyzować „dokonania” oraz ideały Trzeciej Rzeszy.

Volkman przez dłuższą chwilę spoglądał na szarą taflę jeziora, by wreszcie skierować wzrok na Teda Birkena i zapytać cicho:

- Czy część tych pieniędzy trafiła z powrotem do Niemiec?

- W jakim celu?

- Żeby finansować neonazistów.

Birken wsadził fajkę do ust, wypuścił kłąb aromatycznego dymu, po czym odparł:

- Mossad był i nadal jest zdania, że działalność niemieckich neofaszystów w ciągu minionych trzydziestu lat była możliwa wyłącznie dzięki funduszowi zarządzanemu przez Die Spinne, ale nigdy nie udało się zdobyć dowodów potwierdzających tę teorię. Wielokrotnie powtarzane próby przeniknięcia do

wewnętrznej struktury tej organizacji spełzły na niczym. Izraelczycy stracili wielu znakomitych agentów, którzy po prostu niknęli w nie wyjaśnionych okolicznościach.

- Niebieskie oczy skierowały się ponownie na Volkmana. - Przypuszczam, że ta sprawa ma jakiś związek ze Schmeltzem i Reimerem, których miałem dla ciebie sprawdzić?

Joseph skinął w milczeniu głową.

- Można wiedzieć jaki? - zapytał Birken. - Rzecz jasna nie musisz mówić, jeśli nie możesz. Doskonale to rozumiem.

Przedstawienie dotychczasowych wydarzeń zajęło Volkmannowi prawie dziesięć minut. Przez cały czas gospodarz siedział nieruchomo w fotelu, pykając z fajki. Kiedy Volkmann skończył, pochylił się do przodu i spytał:

- Masz może przy sobie fotografię tej kobiety? Volkmann wyjął odbitkę z portfela i wręczył ją starszemu mężczyźnie. Birken przyjrzał się jej uważnie, po czym pokręcił głową i zwrócił zdjęcie Volkmannowi.

- Niestety, nie znam jej. Nic dziwnego; fotografię zrobiono dawno temu, a ta miła osóбка mogła być dosłownie kimkolwiek - jakąś ważną szyczą albo anonimową przyjaciółką któregoś z hitlerowskich dygnitarzy.

- Co ze Schmeltzem i Reimerem? Birken skinął głową.

- Właśnie, wracajmy do sprawy. Dziś rano, zaraz po rozmowie z tobą, przejrzałem swoje notatki. W czasach, kiedy tropiłem zaginione miliony dolarów z Reichsbanku, prowadziłem je bardzo skrupulatnie. Jak ci już kiedyś wspomniałem, razem ze współpracownikami musiałem przekopać się przez księgi rachunkowe sięgające 1933 roku; trzeba było ustalić, jaka część tych pieniędzy pochodziła ze składek, jaka z grabieży, jaka z zysków z działalności przemysłowej i tak dalej. - Przez twarz mężczyzny przemknął cień uśmiechu. - Kiedyś zamierzałem nawet napisać o tym książkę, ale jakoś zawsze brakowało mi czasu. Szkoda, bo wiem niemal wszystko o sposobach, w jaki przez dwanaście lat rządów nazistów gospodarowano mniej lub bardziej tajnymi funduszami Rzeszy.

- Właśnie dlatego zwróciłem się do ciebie, Ted.

- Niestety, nie znalazłem ani słowa na temat tego Reimera alias Tsarkina. Nie należał do ludzi, których wtedy ścigaliśmy. Dziesięć tysięcy dolarów, które, jak powiadasz, przywiózł do

Paragwaju, mógł na własną rękę uciuć podczas wojny, choć wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne, że dostał te pieniądze od Die Spinne.

- A Schmeltz?

Birken ponownie pokręcił głową.

- W dokumentach, do których miałem dostęp, nie było żadnej wzmianki na temat transferu pieniędzy na konto jakiegoś Schmeltza w Paragwaju. Wcale mnie to jednak nie zdziwiło i bynajmniej nie należy z tego wysnuwać wniosku, że takie transfery nie były dokonywane. Niemal na pewno czyniono to z zachowaniem specjalnej, tajnej procedury, choć kwoty, o których wspomniałeś, są zupełnie nieistotne w porównaniu z przelewami, jakich Reichsbank dokonywał za granicę nie tylko przed, ale także podczas wojny. Z tych pieniędzy finansowano działalność szpiegowską, dywersyjną i propagandową, a za to, co zostało, kupowano nieruchomości lub akcje, które miały zabezpieczyć przyszłość najwyższym funkcjonariuszom aparatu partyjnego, gdyby musieli uciekać z Niemiec. Zastanawiające w tym wszystkim jest tylko to, dlaczego Schmeltz dostawał przekazy na wiele lat przed wojną oraz czemu żona otrzymywała je jeszcze długo po jego śmierci?

- Masz jakieś pomysły, Ted?

Birken uśmiechnął się i bezradnie rozłożył ręce.

- Mnóstwo, czyli jakbym nie miał żadnego. Wielu nazistów dokonywało potajemnego transferu pieniędzy korzystając z pomocy niemieckich imigrantów, żeby na wszelki wypadek odłożyć sobie w Ameryce Południowej sumkę, która pozwoliłaby im spędzić tam spokojną starość. W Paragwaju od dawna mieszkało wielu Niemców, w znacznej części gorliwych zwolenników Hitlera. Może państwo Schmeltz oddawali przysługę jakiemuś znajomemu, pełniąc rolę jego bankierów?

- A co sądzisz o fakcie, że wniosek Schmeltza o przyjęcie do NSDAP zyskał

poparcie samego Himmlera?

Uśmiech, który tym razem pojawił się na twarzy Birkena, był znacznie szerszy i utrzymał się odrobinę dłużej niż poprzednie.

- Tak, to istotnie bardzo interesujące. Obawiam się jednak, że tego także nie potrafię wyjaśnić. Bez ryzyka popełnienia błędu można stwierdzić tylko tyle, że najwyraźniej Schmeltz był bliskim przyjacielem lub nawet członkiem rodziny Himmlera albo jakiegoś innego nazistowskiego dygnitarza. - Emerytowany oficer wywiadu wzruszył lekko ramionami. - Gdyby jednak przekazy pochodziły od Himmlera albo od kogoś z najwyższych szczebli drabiny władzy, z pewnością opiewałyby na znacznie wyższe sumy.

Birken umilkł, pogrążony w myślach przez dłuższą chwilę pykał z fajki, a następnie podjął przerwany wątek:

- Być może Schmeltz najwyczejniej w świecie wyświadczył komuś uprzejmość albo przysługę. To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że mimo wyjazdu z Niemiec zachował członkostwo partii. Naturalnie wchodzi jeszcze w grę szantaż, ale gdyby nasz przyjaciel rzeczywiście wyciągał od kogoś pieniądze w zamian za dyskrecję, nie przywiązywałby takiej wagi do tego, by nadal być w NSDAP... Chociaż nigdy nic nie wiadomo. Tylko jedno nie ulega wątpliwości: pieniądze przestały płynąć w lutym 1945, ponieważ Reichsbank miał coraz większe trudności z obsługą swoich szwajcarskich kont, a wkrótce potem zupełnie stracił nad nimi kontrolę.

- Na co konkretnie wykorzystywano majątek, w którego posiadanie weszli ludzie z Die Spinne?

Ted Birken dość długo podziwiał w milczeniu widok rozciągający się za oknem, jakby właśnie ujrzał go po raz pierwszy w życiu, by wreszcie odwrócić się w kierunku Volkmana i spojrzeć mu prosto w twarz.

- Chyba muszę uznać słuszność teorii Mosadu - jeśli nawet nie całej, to na pewno jej podstawowych założeń. Bez wątplenia przez wiele lat dzięki tym pieniądzom działały neofaszystowskie i neonazistowskie ruchy nie tylko w

Niemczech, ale również w innych krajach Europy, a nawet w Ameryce i Afryce Południowej. Jednak do tej pory Niemcy były zbyt zamożnym krajem, żeby garstka krzykaczy zdołała przewrócić do góry nogami ustalony porządek, czy choćby zdobyć znaczącą popularność. Moim zdaniem większość funduszy idzie na zapewnienie komfortowego życia ukrywającym się w Ameryce Południowej nazistowskim dygnitarzom oraz ich rodzinom.

- O jakich kwotach mówimy, Ted? Milion? Dwa miliony dolarów?

- Znacznie więcej, chłopcze. W grę może wchodzić nawet jedna czwarta brakującej fortuny, tym bardziej, że te pieniądze z pewnością nie butwiały w sejfie, tylko przez cały czas pracowały, przynosząc ogromne zyski.

- W jaki sposób?

- Choćby dzięki inwestowaniu w rozwijające się gałęzie przemysłu i lokowaniu w nieruchomościach, szczególnie w Ameryce Południowej. - Birken skinął głową, jakby coś sobie przypominał. - I tak oto dotarliśmy do ostatniego problemu. Powiedz mi, Joe, co wiesz o dywizji SS Leibstandarte?

Volkman wzruszył ramionami.

- Niewiele. Tylko tyle, że jej członkowie stanowili elitę SS i że właśnie spośród nich wybierano straż przyboczną Hitlera.

Birken skinął głową.

- Istotnie. Elita Waffen SS i goryle Hitlera. Formację tę utworzono po Nocy Długich Noży, kiedy Hitler zlikwidował całe dowództwo SA, ponieważ obawiał się, że w przyszłości stamtąd może zagrażać mu największe niebezpieczeństwo. Sepp Dietrich, fanatyczny nazista i bliski przyjaciel Fihrera, podsunął mu pomysł stworzenia specjalnego oddziału, który w razie kryzysu zapewniłby wodzowi ochronę. Niewielki początkowo oddział wkrótce rozrósł się do rozmiarów dywizji. Służyli w niej wyłącznie stuprocentowi aryjczycy, oddani Hitlerowi duszą i ciałem, starannie dobrani, znakomicie wyszkoleni i wyposażeni. To przede wszystkim oni utworzyli później Die Spinne oraz zaczęli przerzucać do Ameryki Południowej nazistowskie złoto i pieniądze. - Ted Birken uniósł brwi. - To ciekawe, ale Erhard

Schmeltz oraz Reimer mają jednak ze sobą coś wspólnego.

- Co masz na myśli?

- Reimer służył w dywizji SS Leibstandarte, Erhard Schmeltz natomiast był członkiem SA.

- Zgadza się, ale nadal nie widzę związku...

- SA początkowo miało za zadanie chronić Hitlera, a po Nocy Długich Noży, kiedy przestało istnieć, najbardziej oddani Hitlerowi ludzie w brunatnych koszulach zostali wcieleni właśnie do Leibstandarte. - Gospodarz wzruszył ramionami. - To istotnie niewiele, ale zawsze więcej niż nic.

- Co stało się później z Seppem Dietrichem?

- Przeżył wojnę, został aresztowany i osadzony, ale wyszedł z więzienia po dziesięciu latach. Mieszkał potem w Niemczech, gdzie umarł w siedemdziesiątym którymś roku.

Volkman zerknął na zegarek, a zaraz potem na stojący na biurku telefon.

- Wracam samolotem o wpół do pierwszej. Pozwolisz, że wezwę taksówkę?

- Chętnie zrobię to za ciebie.

Dziesięć minut później taksówka zatrzymała się na żwirowym podjeździe przed domem. Volkman opróżnił do końca kieliszek i podniósł się z fotela, Birken zaś uczynił to samo, choć nieco wolniej i mniej sprawnie od znacznie młodszego kolegi.

- Jeszcze jedno pytanie, Ted. Czy słyszałeś o Testamencie Brandenburskim?

Wiekowy mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, pocierając ręką zmarszczone czoło.

- Nie - odparł wreszcie. - Nigdy. Co to takiego? Volkman uśmiechnął się niewesoło.

- Obawiam się, że nie wiem, ale chyba nic ważnego. Wielkie dzięki za pomoc, Ted.

- Przykro mi, że nie okazałem się zbyt przydatny. Aha, w sprawie tego Schmeltza... Mógłbym spróbować z jeszcze jednej strony. To trochę potrwa, ale chyba

warto zaczekać, jeżeli ci na nim naprawdę zależy.

- Co masz na myśli?

- Wielu starych nazistów już nie żyje, ale paru pęta się jeszcze po tym świecie. Mam znajomego w Archiwum Federalnym w Koblencji. Mógłbym go poprosić, żeby odszukał nazwiska ludzi, którzy wstąpili do NSDAP mniej więcej w tym samym czasie co Schmeltz, a potem sprawdziłbym ich w WAST.

- Co to takiego?

- Skrót od Wehrmacht Auskunftstelle. Ośrodek gromadzący wszelkie informacje o niemieckiej armii. Mieści się w Reinickendorf pod Berlinem i można w nim znaleźć dane wszystkich osób służących w niemieckim wojsku, poczynając od lat przedwojennych, a na współczesności kończąc. Dotyczy to także SS, które formalnie wchodziło w skład sił lądowych. Każdy były żołnierz ubiegający się o emeryturę lub rentę wojskową musi najpierw zgłosić się do WAST po zaświadczenie, że naprawdę służył w armii.

- Chcesz powiedzieć, że byli członkowie SS otrzymują normalne emerytury?

- To istotnie przerażające, ale tak właśnie przedstawiają się sprawy.

- Co zamierzasz uzyskać w ten sposób?

- Kiedy już będziemy mieli listę osób posiadających legitymacje partyjne o numerach zbliżonych do tego, jaki miała legitymacja Schmeltza, i kiedy ustalimy, że podczas wojny służyli w Wehrmachcie lub SS, oraz że nadal żyją, będziemy wiedzieli, iż niemal na pewno otrzymują renty lub emerytury. W WAST powinny zachować się kopie ich podań, a na każdym podaniu znajduje się przecież adres zainteresowanego.

- Sądysz, że to może się udać?

- Cóż, strzelamy w ciemno. Z pewnością niewielu chłopców z NSDAP zostało przy życiu, a ci, których znajdziemy, wcale nie musieli znać Schmeltza lub nawet jeśli go znali to mogą nie mieć ochoty o nim rozmawiać, ale wydaje mi się, że warto spróbować.

- Mogli też zmienić miejsce zamieszkania, i to nawet kilka razy.

Birken uśmiechnął się złośliwie.

- W takim wypadku pomoże nam niemieckie zamięłowanie do porządku. Jeszcze całkiem niedawno każdy obywatel zmieniający adres miał obowiązek zawiadomić o tym Einwohnermeldeamt, czyli urząd meldunkowy. Dotarcie do tych ludzi nie będzie stanowiło problemu, naturalnie pod warunkiem, że jeszcze żyją. Na razie nie zwracaj sobie tym głowy; ja się wszystkim zajmę i dam ci znać, jak tylko trafię na coś interesującego.

- Dzięki, Ted. Naprawdę bardzo mi pomogłeś.

- Nie przesadzaj, chłopcze. - Birken ponownie potarł zmarszczone czoło. - Skoro już mowa o pomocy... Jest chyba ktoś, kto może coś wiedzieć na temat tej dziewczyny ze zdjęcia, naturalnie pod warunkiem, że jej towarzysz był wysokim funkcjonariuszem NSDAP albo służył w Leibstandarte.

- Kogo masz na myśli?

- Pewnego Amerykanina nazwiskiem Erdberg. Cole Erdberg. Kiedyś pracował dla CIA, ale wyrzucili go parę lat temu. Ma świra na punkcie Trzeciej Rzeszy, a szczególnie SS.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Prowadzi w Amsterdamie niewielki sklep ze starociami, ale przede wszystkim zajmuje się dostarczaniem kolekcjonerom różnych pamiątek z okresu Trzeciej Rzeszy. Zdaje się, że ma trochę obłuzowaną piątą klepkę, ale może będzie mógł ci pomóc. Dysponuje nieprawdopodobną pamięcią. Jeśli widział tę dziewczynę choć raz na innej fotografii, na pewno ją sobie przypomni.

- Myślisz, że znajdę go w książce telefonicznej?

- Raczej tak. Sklep mieści się przy Herengracht. Powiedz mu, że to ja cię przysyłam.

- Jeszcze raz wielkie dzięki, Ted.

- Nie ma za co, chłopcze. Przyjemnie jest znowu czuć się potrzebnym.

Gospodarz odprowadził go do drzwi, a kiedy uścisnął rękę Josepha, w jego oczach pojawiły się figlarne błyski.

- Dam ci znać, jak tylko czegoś się dowiem. Ty też o mnie nie zapominaj. Ostatnio rzadko miewam gości.

Niemal dokładnie w samo południe taksówka zajechała przed halę odlotów dworca lotniczego w Zurychu. Volkmann zapłacił kierowcy i wysiadł z samochodu; w tej samej chwili kilkanaście metrów dalej przy krawężniku zatrzymał się zielony citroen, którego Joseph widział we wstecznym lusterku podczas jazdy na lotnisko.

Odległość była zbyt duża, żeby mógł dyskretnie przyjrzeć się kierowcy i pasażerowi siedzącemu na przednim fotelu, więc skierował się od razu do budynku, gdzie jego uwagę zwrócił na siebie młody jasnowłosy człowiek przeglądający jakieś czasopismo przy kiosku z gazetami. Miał na sobie długi ciepły płaszcz i od razu wydał mu się dziwnie znajomy, ale minęło kilka sekund, zanim Joseph uświadomił sobie, dlaczego; tego samego mężczyznę widział rano w hali przylotów. Był ubrany tak samo jak teraz, tyle że dla odmiany studiował wtedy rozkład lotów.

Volkmann odebrał kartę pokładową, po czym rozejrzał się dokoła. Młody człowiek zniknął bez śladu. Joseph przez chwilę pokręcił się po hali, podszedł do wyjścia, od niechcienia zerknął na zewnątrz. Zielony citroen także rozpułynał się w powietrzu.

Volkmann zaczekał jeszcze dziesięć minut, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Pewien, że nie jest już śledzony, zgłosił się do odprawy paszportowej jako jeden z ostatnich pasażerów odlatujących do Strasburga.

Rozdział 27

Strasburg 13 grudnia

O trzeciej Volkmann zjawił się w siedzibie DSE w Strasburgu i natychmiast zadzwonił do Petersa, ale dowiedział się od jego sekretarki, że Tom wyszedł wcześniej z biura. Joseph podziękował dziewczynie, a następnie wystukał numer oficera dyżurnego. Jan de Vries zgłosił się po pierwszym sygnale.

- Włosi poinformowali, że sprawdzają wszystkie ładunki, jakie w ciągu

minionego miesiąca dotarły do ich portów z Ameryki Południowej - powiedział Holender. - Nadszedł też raport z laboratorium w Beaconsfield. Mam przekazać go Petersowi?

- Sam się tym zajmę. Dzięki, Jan.

Odłożył słuchawkę, wstał zza biurka, podszedł do okna i zapalił papierosa. Na biurku leżał spory stos korespondencji, ale postanowił zostawić to na później. Musiał się zastanowić. Był całkowicie pewien, że jasnowłosego mężczyznę na lotnisku obserwował go ukradkiem i że zielony citroen jechał za nim od samej willi nad Jeziorem Zuryskim. Ale dlaczego? Kim byli ci ludzie? Najdziwniejsze, że blondyn zniknął bez śladu, jeszcze zanim on, Volkmann, przeszedł przez odprawę paszportową. Niepokojąca sprawa. Bardzo niepokojąca. Poza Petersem i ludźmi z Wydziału Dokumentów o jego wyprawie do Szwajcarii wiedziała tylko Erika. Zapytała nawet, o której godzinie odlatuje samolot... A może tylko chciała znać porę jego wyjazdu z domu? Nie pamiętał dokładnie jej słów, niemniej poczuł ukłucie niepokoju.

Odebrał dwustronicowy raport z Beaconsfield, wrócił do biura i pograżył się w jego lekturze.

Głosy zarejestrowane na taśmie należały do trzech mężczyzn. Pierwszy, przypuszczalnie czterdziestokilkuletni, pochodził najprawdopodobniej z Monachium, a konkretnie z zachodnich dzielnic miasta. Na pewno nie palił, mógł być mocno zbudowany i dorastał w otoczeniu ludzi z klasy średniej.

Dwaj pozostali uczestnicy rozmowy nastęrczyli znacznie więcej problemów. Co prawda obaj posługiwali się odmianą niemieckiego zwaną plattdeutsch, ale wiele wskazywało na to, iż byli dwujęzyczni, a sposób wymawiania niektórych zgłosek sugerował, że tym drugim językiem jest hiszpański. Nie sposób było jednoznacznie ustalić ich pochodzenia społecznego, choć wiele wskazywało na klasę średnią. Jeden mógł mieć około trzydziestu pięciu lat i był palaczem dość mizernej postury, drugi z pewnością przekroczył już sześćdziesiątkę, nie palił, przypuszczalnie również nie odznaczał się atletyczną budową ciała. Z takim akcentem jak oni mówili przede

wszystkim mieszkańcy niemieckich kolonii w Paragwaju i Argentynie; niestety, ustalenie, który z tych dwóch krajów jest bardziej prawdopodobny, było raczej niemożliwe.

Volkman przeczytał powtórnie cały raport, po czym zrobił dwie kopie przeznaczone dla Fergusona i Petersa. Następnie zajął się korespondencją. W dużej kopercie leżącej na samym spodzie znalazł materiały nadesłane z Ośrodka Dokumentacji w Berlinie.

Koperta zawierała dwie teczki w miękkich plastikowych okładkach; w załączonym krótkim liście znajdowało się wyjaśnienie, że jeden zestaw dotyczy Erharda Schmeltza, drugi natomiast Heinricha Reimera, oraz że oryginały są do wglądu w siedzibie Ośrodka w Berlinie.

Joseph najpierw zajął się Reimerem.

W teczce było wszystko, czego mógł sobie życzyć: numer legitymacji SS, numer legitymacji partyjnej, oba napisane własnoręcznie przez Reimera podania z prośbą o przyjęcie, informacje dotyczące jego wykształcenia, stanu zdrowia, przebiegu kursów specjalistycznych, przynależności służbowej oraz awansów aż do października 1944 roku. Z dokumentów wynikało, że był samotny i nie miał dzieci, najbardziej oryginalnym zaś załącznikiem okazało się rozrysowane na czterech stronach drzewo genealogiczne, sięgające korzeniami końca XVIII wieku, które miało stanowić dowód czysto aryjskiego pochodzenia kandydata.

Teczka zawierała również trzystronicowy kwestionariusz, czyli Fragebogen. Musiał go wypełnić każdy nowo przyjęty w szeregi SS. Wszystkie rubryki zostały wypełnione schludnym ręcznym pismem; Reimer, wówczas zaledwie dwudziestopięcioletni, jako miejsce urodzenia podał Liibars pod Berlinem.

W napisanym także odręcznie życiorysie wspomniał o rodzicach (ojciec pracował w piekarni), o swojej działalności w faszystowskich organizacjach młodzieżowych, o zapisaniu się do NSDAP (miało to miejsce w 1930 roku) oraz o wstąpieniu w szeregi dywizji Leibstandarte (lipiec 1934). Nie zapomniał wyliczyć udziału w licznych zlotach, wiecach i seminariach, całość zaś sprawiała wrażenie,

jakby powstała wyłącznie po to, by podkreślić fanatyczne oddanie autora ideałom nazizmu. U dołu strony widniał zamaszty podpis: SS Untersturmfuhrer Heinrich Reimer.

Spośród trzech czarnobiałych fotografii Reimera dwie były zdjęciami portretowymi, trzecia natomiast przedstawiała go stojącego na białym tle w mundurze Untersturmfuhrera SS: wysokich lśniących butach, czarnych bryczesach i czarnej marynarce. Na lewym rękawie miał dwie opaski: jedną z wpisaną w białe koło swastyką, drugą z ułożonym z gotyckich liter napisem Adolf Hitler. Spoglądający na Josepha z odbitek młody mężczyzna o krótko ostrzyżonych jasnych włosach i ostrych rysach twarzy tylko w niewielkim stopniu przypominał człowieka ze zdjęć dostarczonych przez Sancheza. Co prawda miał to samo wysokie czoło i wąskie, zaciśnięte usta, lecz na tym kończyło się wszelkie podobieństwo.

W październiku 1944 roku, kiedy Reimer został skierowany do obozu szkoleniowego Leibstandarte w berlińskiej dzielnicy Lichtenfelde, miał już stopień Sturmbannfuhrera, czyli majora. Wcześniej służył w najróżniejszych miejscach: Austrii, Polsce, Rosji, Francji, a także na Bałkanach.

Volkmann odłożył na bok teczkę Heinricha Reimera i otworzył tę z dokumentami dotyczącymi Erharda Schmeltza.

Zawierała tylko cztery kartki, w tym kserokopię podania Schmeltza z prośbą o przyjęcie w poczet członków NSDAP, zaadresowanego do siedziby partii w Monachium.

W rubryce „Zawód wykonywany” Schmeltz wpisał Fabrik Werkmeister, czyli mistrz w fabryce, jako miejsce urodzenia podał Hamburg, jako datę 6 marca 1880. W prawym górnym rogu podania widniał wstemplowany numer 68964.

Schmeltz mieszkał w Schwabbing, przy Brennerallee numer 23, podanie zaś złożył 6 listopada 1927 roku. U dołu strony ktoś nabazgrał niewyraźnie: Verweisung: Hauptquartier. Przekazać do kwatery głównej.

Volkmann domyślił się, co zawiera następna kartka, jeszcze zanim na nią spojrział. Nie pomylił się: była to kopia pisma przysłanego z Prinz Albrecht Strasse w

Berlinie, gdzie urzędował Reichsführer SS. List, podpisany osobiście przez Himmlera, składał się zaledwie z dwóch zdań: Polecam bezzwłocznie przyjąć Erharda Johanna Schmeltza w poczet członków SS. W razie jakichkolwiek wątpliwości należy kontaktować się bezpośrednio ze mną.

Zawartość teczek uzupełniały kserokopie obu stron karty osobowej Schmeltza odnalezionej w archiwum NSDAP. Zawierała niewiele informacji: imię, nazwisko, adres, datę wstąpienia do partii, określenie przynależności do struktur regionalnych. Znacznie bardziej interesujące było portretowe zdjęcie Schmeltza, obwiedzione grubą czarną ramką i opatrzone oficjalnym stemplem.

Mężczyzna na fotografii miał szeroką twarz o grubych, prostackich rysach oraz potężny byczy kark. Czarne włosy, mocno przerzedzone na szczycie czaszki, zostały napomadowane i starannie zaczesane na bok. Ciemna marynarka nie leżała zbyt dobrze na potężnych ramionach, staromodny kołnierzyk koszuli sprawiał zaś wrażenie, jakby lada chwila miał rozerwać się pod naporem mięśni szyjnych. Wąskie, lekko skośne oczy ukryte pod krzaczastymi czarnymi brwiami wpatrywały się prosto w obiektyw aparatu.

Volkman długo przyglądał się zdjęciu, próbując dociec, co skłoniło Schmeltza do opuszczenia Niemiec i wyruszenia z żoną i dzieckiem w długą podróż do Ameryki Południowej. Wciąż nie miał pojęcia, dlaczego człowiek na fotografii przez wiele lat otrzymywał przekazy opiewające na znaczne kwoty; jedyną niezwykłą rzeczą w dokumentach Schmeltza był list polecający od samego Reichsführera SS Heinricha Himmlera, ale fakt, że taki list został napisany, także niczego nie wyjaśniał.

Minęło pół godziny, zanim Volkman wreszcie schował papiery do teczek i odłożył ją na bok. Zaraz potem zadzwonił do międzynarodowej informacji telefonicznej, gdzie uzyskał adres i numer telefonu Cole'a Erdberga z Amsterdamu. Wybrawszy podany numer, usłyszał w słuchawce młody kobiecy głos.

- Czy mogę mówić z panem Erdbergiem?

- Niestety, wyjechał służbowo. Może ja będę mogła panu w czymś pomóc?

- Obawiam się, że nie. Kiedy wróci?

- Jutro rano.

Volkman podziękował kobiecie za informację, ale nie przedstawił się ani nie zostawił swojego numeru telefonu, tylko zapowiedział, że w takim razie zadzwoni jutro przed południem. Zaraz potem połączył się z Wydziałem Operacyjnym i poprosił o zarezerwowanie miejsca w pierwszym samolocie odlatującym nazajutrz do Amsterdamu. Uzyskawszy potwierdzenie, że ma bilet na ósmą rano, zrobił porządek na biurku, po czym wyszedł z pokoju i zjechał windą do podziemnego garażu.

W mieszkaniu zjawił się kilka minut po piątej, kiedy było już ciemno. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał nakryty stół; Erika wyjaśniła, że poszła na zakupy do Petite France, kupiła świeżą rybę, warzywa oraz dwie butelki sauterne, i postanowiła samodzielnie przygotować obiad.

Miała na sobie dzinsy i obcisły sweterek, podkreślający atrakcyjne wypukłości jej ciała. Rozpuściła też włosy, pozwalając im swobodnie opaść na ramiona. Przy stole opowiedział jej o wynikach analizy głosów zarejestrowanych na taśmie oraz o przebiegu swojej wizyty w Zurychu, nie wspomniał jednak ani słowem o mężczyźnie, którego zauważył na lotnisku.

- Czy twój przyjaciel wie, dlaczego Erhard Sehmeltz dostawał pieniądze z Reichsbanku?

Powtórzył jej słowa Teda Birkena, po czym pokręcił głową.

- Ale to wszystko tylko domysły, Eriko. Tak naprawdę wciąż niczego nie wiemy. Równie dobrze w grę może wchodzić szantaż albo cokolwiek innego. A jak tobie się powiodło?

- Spędziłam cały dzień we „Frankfurter Zeitung”, przekopując się przez ich archiwum.

- I co?

Dziewczyna zawahała się.

- Wygląda na to, że Lubsch powiedział ci prawdę, przynajmniej jeśli chodzi o

tych dwóch ludzi, których kazał mu zabić Kesser.

- To znaczy?

- Pięć miesięcy temu w Berlinie zamordowano niejakiego Herberta Rauschera. To musiał być ten sam człowiek. Berlińskie popołudniówki rozpisywały się o tej sprawie, zainteresowało się nią też kilka poważnych dzienników.

- Zamieniam się w słuch.

- Rauscher został zastrzelony w swoim mieszkaniu niedaleko Pergamonu. Dostał dwie kule w głowę. Śmierć nastąpiła natychmiast. Według relacji prasowych nie znaleziono świadków, a policja nie trafiła na żaden trop. Zadzwoiłam do wydziału do spraw zabójstw komendy w Berlinie, ale dowiedziałam się tylko tyle, że co prawda nikogo nie aresztowano, lecz śledztwo nie zostało jeszcze umorzone.

- A co z tą kobietą?

- Nazywała się Hedda Pohl i też została zamordowana.

- Gdzie?

- W pobliżu Friedrichshafen w południowych Niemczech, tam, skąd pochodziła. Niedaleko jest granica ze Szwajcarią i Jezioro Bodeńskie. Do zabójstwa doszło tydzień przed śmiercią Rauschera. O morderstwie pisały wszystkie monachijskie dzienniki, ale ja zadzwoniłam do redakcji małej lokalnej gazety ukazującej się we Friedrichshafen.

- I czego się dowiedziałas?

- Miałam szczęście, bo trafiłam na dziennikarkę, która zajmowała się tą sprawą. Zabójstwa dokonano między północą a drugą nad ranem w lesie, w pobliżu miasta. Morderca - lub mordercy - oddał trzy strzały w głowę i plecy. Podobno śledztwo wciąż trwa, ale jak dotąd nie dało żadnych rezultatów. Hedda Pohl liczyła sobie niewiele ponad sześćdziesiąt lat, była wdową po zamożnym przedsiębiorcy, miała dwoje dorosłych dzieci, należała do najbardziej szanowanych obywateli miasteczka. Nikt nie wie, co mogło być motywem morderstwa.

- Skontaktowałaś się z miejscową policją? Erika pokręciła głową.

- Nie, bo pomyślałam, że sam będziesz chciał to zrobić. Zebrałam natomiast

wycinki prasowe ze wszystkimi informacjami, jakie opublikowano na temat tych zabójstw.

- Kim właściwie był ten Rauscher? Czy ktoś ujawnił jakieś informacje na jego temat?

- Wszyscy określali go jako biznesmena. Żadnych szczegółów.

Volkmann westchnął, przez chwilę zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonymi brwiami, po czym zapytał:

- A co z tym politykiem, Massowem?

Dziewczyna odgarnęła z twarzy kosmyk jasnych włosów.

- Żyje i ma się dobrze. Otworzył biuro w Berlinie, w dzielnicy Kreuzberg, gdzie mieszkają głównie ubodzy imigranci. Jego sekretarka powiedziała mi przez telefon, że szef jest chwilowo nieosiągalny, bo wyjechał na konferencję do Paryża, więc umówiłam cię na spotkanie na pojutrze, o dziesiątej rano.

Volkmann zastanawiał się przez chwilę, czy opowiedzieć dziewczynie o człowieku, który śledził go w Zurychu, ale zwalczył pokusę. Powiedział jej tylko, że wyjeżdża jutro z samego rana, nie wspominając jednak dokąd ani w jakim celu, ona zaś nie domagała się bliższych wyjaśnień. Przyglądała się z uśmiechem, jak odnosi talerze do kuchni, po czym zapytała:

- Masz ochotę na kawę?

Otworzyła drugą butelkę sauterne i czekała cierpliwie przez ponad pół godziny, aż Joseph zapozna się z treścią zebranych przez nią wycinków z artykułami dotyczącymi zabójstw. Zawierały bardzo niewiele konkretnych informacji, ale uporawszy się z lekturą Volkmann postanowił, że koniecznie musi porozmawiać z Jakobem Fischerem, detektywem zatrudnionym w wydziale zabójstw komendy policji w Berlinie; znali się dobrze jeszcze z dawnych czasów, Fischer zaś był jedynym człowiekiem, który mógłby uchylić mu rąbka tajemnicy otaczającej śledztwo w sprawie zabójstwa Rauschera. Gorzej przedstawiała się sprawa we Friedrichshafen. Nie znał tam nikogo, a bardzo przydałoby mu się nieco więcej wiadomości na temat zagadkowej śmierci Heddy Pohl.

Dziewczyna kilka razy wychodziła z pokoju, a on wtedy natychmiast podnosił się z kanapy, stawał przy oknie i spoglądał na ulicę oraz parking po drugiej stronie. Nie zauważył niczego podejrzanego, co mogło świadczyć o tym, że nie jest obserwowany, albo że jest, lecz ten, kto to robi, dobrze zna swój fach. Berettę zostawił w kieszeni płaszcza, żeby nie niepokoić Eriki.

Kiedy wreszcie zamknął teczkę, dziewczyna usiadła obok niego na kanapie i pochyliła się nad stolikiem, by napełnić kieliszki. Joseph nie mógł oderwać od niej wzroku. Była bardzo piękna. Bez trudu spostrzegł, że pod cienką bawełnianą bluzeczką nie ma biustonosza.

- Na co patrzysz, Joe?

- Na ciebie.

Nie zarumieniła się, ale odwróciła spojrzenie.

- Kochałaś Rudiego? - zapytał Volkmann.

Jej oczy wypełniły się bólem. Przymknęła na chwilę powieki, po czym otworzyła oczy i powiedziała, jakby bojąc się, że mógłby opacznie zrozumieć to milczące potwierdzenie:

- Kochałam go, ale nie tak jak myślisz. Był dla mnie dobry, zawsze potrafił wprowadzić mnie w dobry humor, wielokrotnie przekonywałam się, że jest jedyną osobą, na której mogę polegać... Kiedy miałam kłopoty albo musiałam podjąć jakąś ważną decyzję, mogłam liczyć na to, że mnie wysłucha i spróbuje mi doradzić, choćby tylko przez telefon.

- Czy myślisz, że on też ciebie kochał?

- Tak - odparła po krótkim wahaniu. - Tak właśnie myślę.

- Dlaczego powiedziałaś, że tylko na niego mogłaś liczyć? Ponownie się zawahała.

- Czemu chcesz to wiedzieć?

- Z tego samego powodu, dla którego ty pytałaś o moją przeszłość.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego w milczeniu, po czym odwróciła wzrok. Kiedy się odezwała, jej głos był niewiele donośniej szy od szeptu:

- Bywały czasy, kiedy odczuwałam ogromny wstyd z powodu... Z powodu pewnych wydarzeń z przeszłości mojej rodziny.

Umilkła. Volkmann zorientował się, że z własnej woli nie powie nic więcej.

- Masz na myśli swojego ojca? - zapytał łagodnie. Gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Skąd... Skąd o tym wiesz?

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że niemiecka policja dysponuje informacjami na temat większości obywateli.

- A przede wszystkim członków rodzin zbrodniarzy wojennych?

Volkmann skinął głową.

- Nie ja wpadłem na ten pomysł, Eriko, lecz wasz rząd. Tak jest już od pięćdziesięciu lat i ani ty, ani ja nie zdołamy tego zmienić.

Dziewczyna umilkła i opuściła głowę. Minęło sporo czasu, zanim ponownie spojrzała na Josepha i szepnęła:

- Powiedz mi, co wiesz...

Zdawał sobie sprawę, że nie musi powtarzać wszystkich szczegółów.

- Twój ojciec służył w dywizji SS Leibstandarte, tej samej co Heinrich Reimer.

- Co jeszcze?

- Pod koniec wojny uciekł do Ameryki Południowej. Ludzie tropiący zbrodniarzy wojennych wysledzili go w Buenos Aires, ale umarł, zanim złożono wniosek o ekstradycję.

- Czy wiedziałeś o tym podczas naszego pierwszego spotkania?

- Tak - odparł Volkmann, patrząc jej prosto w oczy.

- A więc teraz rozumiem, dlaczego odniosłam wtedy wrażenie, że z trudem znosisz moje towarzystwo. W twoim spojrzeniu, w twoim zachowaniu było coś jakby odraza... i chyba nienawiść. Czy ty mnie nienawidzisz, Joe?

Potrząsnął głową.

- Nie, Eriko. „Nienawiść” to zbyt mocne słowo. Lepszym będzie chyba „nieufność”.

- A więc nie ufasz mi dlatego, że jestem córką oficera SS? Ze względu na to, co spotkało twoich rodziców? Teraz, kiedy dowiedziałeś się, że mój ojciec służył w tej samej dywizji co Reimer, twoja nieufność zapewne jeszcze wzrośnie.

Nie odpowiedział, ale nie odwrócił spojrzenia.

- Czy właśnie dlatego nie chciałeś pójść ze mną do łóżka, Joe? Ze względu na to, kim był mój ojciec?

- Tak. Pokręciła głową.

- To okropna rzecz, jeśli nienawiść i nieufność są przenoszone z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna. Gdyby wszyscy postępowali w ten sposób, życie zupełnie straciłoby sens. Nie rozumiesz, Joe? Przecież ty obarczasz mnie winą za grzechy mojego ojca!

- Nie obarczam cię za nic winą, Eriko.

- Oczywiście, że to robisz, nawet jeśli wcale nie masz takiego zamiaru. Muszę ci coś powiedzieć. Kiedy byłam mała, nie widziałam świata poza ojcem, ale nie miałam wówczas pojęcia, jakich strasznych czynów się dopuścił. Nie wiedziałam, że z zimną krwią mordował mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie wiedziałam, że ręce, które tak kocham, zadawały ból i cierpienie. Ufałam mu, a kiedy umarł, czułam się tak, jakby razem z nim umarła częśćka mnie samej. Pierwsze plotki na jego temat usłyszałam mając szesnaście lat, rok później zaś matka opowiedziała mi całą prawdę. Z ukochanego, najdroższego tatusia w jednej chwili przeistoczył się w potwora. Pozwalał, żebym go kochała i podziwiała, mimo że nie zasługiwał ani na moją miłość, ani na uwielbienie. Z suchych informacji zawartych w dokumentach nie dowiesz się nic o bólu, wstydzie i upokorzeniu, jakie stały się udziałem rodzin ludzi, którzy ściągnęli hańbę na Niemcy. Czyżbyś naprawdę sądził, że wszystkie dzieci nazistów są dumne z dokonań rodziców? Może niektóre, ale to są źli, chorzy ludzie. Większość cierpiała i cierpi z powodu zbrodni, których dopuszczali się ich ojcowie. Rany w moim sercu są równie głębokie jak w twoim.

- Doprawdy?

Bardzo długo przyglądała mu się w milczeniu, by wreszcie powiedzieć:

- Czy wiesz, co się ze mną działo po tym, jak dowiedziałam się prawdy o ojcu? Dziesięć razy dziennie brałam prysznic, bez przerwy szorowałam ręce, bo wciąż wydawało mi się, że jestem brudna, bo paliła mnie skóra w miejscach, gdzie mnie dotykał i całował. Nie wybierałam sobie ojca, ale wstrząs był tak silny, że przestałam ufać mężczyznom. Z wyjątkiem Rudiego. Oboje jesteśmy ofiarami, Joe. Ty jesteś ofiarą przeszłości swojego ojca, ja swojego, ale tylko ja zdaję sobie z tego sprawę. Nie wierzysz Niemcom, ponieważ uważasz ich za zbrodniarzy i barbarzyńców.

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- Nie musisz mówić. Widzę to w twoich oczach, czuję w twoim zachowaniu. Nawet teraz. Nadal mi nie ufasz, prawda?

Odwrócił wzrok. Przez pewien czas wpatrywał się w milczeniu w okno, by wreszcie ponownie spojrzeć dziewczynie w oczy i powiedzieć:

- Ktoś mnie śledził w Zurychu.

- Jak to?

- Dwaj ludzie w zielonym citroenie jechali za mną od willi człowieka, z którym się spotkałem, aż na lotnisko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że oprócz moich najbliższych współpracowników i bezpośredniego zwierzchnika tylko ty wiedziałaś o tym, że tam lecę.

Na policzki Eriki wystąpił intensywny rumieniec, a w jej oczach pojawiły się gniewne błyski.

- Myślisz, że komuś powiedziałam? Volkmann milczał.

- Kogo, twoim zdaniem, miałabym zawiadomić?

- Nie wiem, Eriko.

Przez chwilę mierzyła go wściekłym spojrzeniem, po czym potrząsnęła głową.

- Ty nadal mi nie wierzysz, prawda, Joe? Wciąż mnie podejrzewasz, podobnie jak wszystkich dokoła. Nie powiem ci nawet, co myślę o twoich podejrzaniach, bo nie są tego warte.

Obserwował jej drżące usta, wilgotne oczy i poruszające się gwałtownie

nozdrza, zastanawiając się, czy to autentyczna reakcja, czy tylko popis znakomitej gry aktorskiej. Wreszcie dziewczyna odgarnęła włosy z czoła i podniosła się z kanapy.

- Jestem zmęczona, Joe. Idę spać. Dobranoc.

Wyszła z pokoju, zostawiając go samego. Nawet nie odpowiedział, pogrążony w głębokiej rozterce.

Zadzwoił do biura i poprosił, żeby zarezerwowano mu także miejsce w jakimś samolocie odlatującym przed południem z Amsterdamu do Berlina. Liczył na to, że rozmowa z Jakobem Fischerem z berlińskiej policji pozwoli mu lepiej poznać okoliczności towarzyszące zabójstwu Herberta Rauschera.

Położył się do łóżka kilka minut po jedenastej i nawet dość szybko zasnął, ale spał bardzo niespokojnie. Obudziwszy się stwierdził, że jest dopiero druga w nocy. Wstał, zapalił papierosa, podszedł do okna i odsunął zasłonę.

Deszcz przestał już padać, w oddali zaś widać było światła na niemieckim brzegu rzeki. Joseph wypalił papierosa, zdusił niedopałek w popielniczce, wyszedł do hallu i otworzył drzwi sypialni zajmowanej przez Erikę. Nocna lampka na stoliku była włączona, ale dziewczyna spała. Długo stał bez ruchu, spoglądając na jej odkryte opalone ramię i rozsypane na poduszce jasne włosy.

Miała rację: nikomu nie wierzył, nikomu nie ufał. Teraz jednak zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia; może potraktował ją zbyt surowo? Miała całkowitą rację jeśli chodzi o powód, dla którego nie poszedł z nią do łóżka. Czuł do niej wyraźny pociąg fizyczny i w pewien sposób nie była mu obojętna, ale jednocześnie nie potrafił zapomnieć o tym, co jej ziomkowie zrobili kiedyś jego ojcu. Zresztą, czy należało się temu dziwić? Przecież kochał ojca jak nikogo na świecie i uczyniłby wszystko, żeby złagodzić jego ból lub chociaż zemścić się na ludziach, którzy go zadali - naturalnie, gdyby było to możliwe.

Gdzieś daleko zatrąbił samochód, wytrącając go z zamyślenia. Jeszcze raz spojrzął na twarz pogrążonej we śnie dziewczyny, po czym wyłączył lampkę, podszedł do okna i delikatnie odsunął zasłony. Uśpiony Strasburg jarzył się

mrowiem niezliczonych świateł. Joseph na krótko wrócił myślami do raportu nadesłanego z Beaconsfield. Trzy głosy. Trzech mężczyzn. Cienie powoli zaczynały przybierać wyraźniejsze kształty, ale jakże daleko było jeszcze do zidentyfikowania rzucających je postaci!

Sie werden alle umgebracht. Wszyscy zostaną zlikwidowani.

Przywołał z pamięci zarejestrowaną na taśmie rozmowę, usiłując dopasować do jej treści informacje, które udało mu się zdobyć w ciągu minionych dni, stworzyć jakąś sensowną całość z jakże nielicznych, chaotycznie porzucanych elementów układanki. Jej geometryczną podstawę stanowiły dwie równoległe linie proste: to, co się działo teraz i to, co wydarzyło się w przeszłości. Z jednej strony ludzie z hacjendy w Chaco, Tsarkin i Schmeltz, z drugiej ich działalność podczas ostatniej wojny i fotografia uśmiechniętej dziewczyny, trzymającej pod rękę umundurowanego mężczyznę.

Czy te proste na pewno biegną równoległe do siebie? A może jednak przecinają się w jakimś punkcie?

Ciekawe, czy Sanchezowi udało się poczynić jakieś postępy? Zarejestrowana rozmowa, a raczej analiza głosów jej uczestników, potwierdziła istnienie jakiegoś związku między wydarzeniami w Paragwaju i Europie, ale na czym ów związek miał polegać? Wyznania Lubscha poruszyły Josepha znacznie bardziej niż dał po sobie poznać, co wcale nie znaczyło, że pozwoliły mu zbliżyć się choćby o krok do prawdy.

Usłyszał za plecami delikatny szelest, odwrócił się i ujrzał Erikę siedzącą w łóżku i wpatrującą się w niego półprzytomnym spojrzeniem.

- Joe?...

- Tak, to ja. Śpij spokojnie.

Wyglądała bardzo młodo i niewinnie, jak dziecko obudzone ze snu. Spoglądając na nią, skąpaną w smudze słabego blasku sączącego się przez okno, uświadomił sobie nagle, jak bardzo jej pożąda.

- Powiedziałam wiele rzeczy, które... Przepraszam cię, Joe. Czy mi

wybaczysz?

Volkmann zbliżył się do łóżka i spojrzał z góry na dziewczynę. Przez chwilę stał w milczeniu, wdychając zapach jej rozgrzanego ciała.

- Możliwe, że ja także popełniłem błąd. Możliwe, że jednak masz rację.

- Wobec tego, czy zgodzisz się zrobić coś dla mnie?

- Co takiego?

- Spróbuj mi zaufać.

Musnął koniuszkami palców jej policzek, a ona chwyciła go za rękę i przycisnęła ją do ust.

To, co stało się zaraz potem, wydarzyło się w sposób całkowicie naturalny. Dziewczyna pociągnęła go ku sobie, ich usta spotkały się, jego ręka sięgnęła do jej piersi, zaraz potem zaś był już na niej, całując jej szyję, oczy, całą twarz, czując, jak paznokcie Eriki wbijają się w skórę na jego plecach.

Brutalność i gwałtowność aktu miłosnego zdumiała Volkmana; zupełnie jakby nagle oboje w bolesny sposób zdali sobie sprawę z upływającego czasu i pragnęli za wszelką cenę wykorzystać każdą sekundę. Kiedy wreszcie znieruchomieli, ciężko dysząc, ich ciała były mokre od potu. Dziewczyna długo leżała z głową opartą na piersi Volkmana.

- Opowiedz mi o swoim ojcu, Joe - odezwała się wreszcie. - Opowiedz mi, co się z nim stało.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Dlatego, że chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Wbił wzrok w wypełnioną ciemnością pustkę i zaczął mówić cichym, zaskakująco spokojnym głosem:

- Kiedy Niemcy zajęli Sudety, rodzina ojca uciekła do Polski i zamieszkała we wsi w pobliżu Krakowa: ojciec, jego rodzice oraz dwie młodsze siostry. Wkrótce potem wybuchła wojna. Skończyły się marzenia o spokojnym, bezpiecznym życiu. We wsiach pojawiły się Einsatzgruppen, specjalne oddziały utworzone przez hitlerowców przed rozpoczęciem zakrojonej na szeroką skalę eksterminacji w

obozach koncentracyjnych, których zadanie polegało na tropieniu i likwidowaniu Żydów. Pewnego dnia moi dziadkowie wyszli z ukrycia, by zdobyć trochę żywności, i nie wrócili. Ojciec już nigdy ich nie zobaczył.

Miał wtedy czternaście lat, jego siostry zaś osiem i dziesięć. Po pięciu dniach oczekiwania nabrał pewności, że wydarzyło się coś strasznego. We wsi powiedziano mu, że rodzice wpadli w pułapkę zastawioną przez Einsatzgruppe. Ojciec postanowił czym prędzej wyruszyć przez Tatry w kierunku Budapesztu, gdzie mieszkali krewni jego matki. Wyprosił trochę jedzenia, kazał dziewczynkom ubrać się jak najcieplej, po czym cała trójka udała się w drogę.

Zostali schwytani czwartego dnia, blisko granicy. Wraz z kilkunastoma innymi Żydami pognano ich na skraj lasu i ustawiono na krawędzi długiego, płytkiego dołu. Ojciec doskonale wiedział, co to znaczy, więc zaczął błagać żołnierzy, żeby przynajmniej darowali życie jego młodszym siostrom, ale oni wyśmiali go, odciągnęli na bok i kazali patrzeć, jak gwałcą obie dziewczynki, a potem wrzucają do dołu i zabijają strzałami w tył głowy.

Później zmusili go, by uklęknął na krawędzi dołu, a jeden z nich strzelił mu w głowę. Na szczęście żołnierz był tak pijany, że chybił; pocisk tylko zadrasnął skroń, nie czyniąc żadnej krzywdy. Ojciec runął do dołu, Niemcy zaś przysypali ciała cienką warstwą ziemi i odeszli. Gdyby zadali sobie trud, by porządnie zasypać zwłoki, ojciec zginąłby w męczarniach z braku powietrza, a tak, oszołomiony i przerażony, przeleżał wśród trupów aż do wieczora, po czym wydostał się z mogiły i uciekł co sił w nogach, byle dalej od strasznego miejsca. Przez kilka dni błąkał się po górach, aż wreszcie dotarł do Budapesztu.

Tam jednak również zjawili się Niemcy. Ojciec oraz jego krewni zostali schwytani i wysłani do Dachau, a potem do Belsen. Tamci zginęli w komorach gazowych, jemu jakimś cudem udało się przeżyć, lecz ani na chwilę nie mógł zapomnieć tego, co spotkało jego siostry.

Joseph umilkł i leżał w milczeniu, wsłuchany w szmer oddechu dziewczyny. Nie był w stanie stwierdzić, czy Erika płacze; on już dawno temu wypłakał wszystkie

łzy, więc tylko wpatrywał się w ciemność szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

Wydawało mu się, że cisza trwa całe wieki. Dopiero po długim, bardzo długim czasie dziewczyna delikatnie dotknęła ręką jego twarzy, ale nic nie powiedziała, ponieważ nie było nic do powiedzenia.

Część 4

Rozdział 28

Asunción niedziela, 18 grudnia, godz. 14.45

W zalanym promieniami słońca ogrodzie skwierczały na rusztach soczyste steki i tłuste, smakowicie pachnące kiełbaski. Vellares Sanchez bez entuzjazmu wbił długi widelec w płat mięsa i odwrócił go na drugą stronę; stek był jeszcze prawie surowy, lecz kapitan nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Głowę miał zaprzątniętą poważniejszymi rzeczami. Co prawda było ich wiele, lecz wszystkie dotyczyły jednej, nie dającej mu spokoju sprawy.

Wciąż miał przed oczami twarz Rudiego Hernandeza, leżącego nieruchomo na stole w kostnicy. Kiedy ze zwłok ściągnięto zszarzałe prześcieradło, ukazała się potworna, przerażająca rana.

Sanchez skrzywił się mimowolnie, odwrócił od skwierczącego na ruszcie mięsa i spojrzał na przyjaciół i sąsiadów, roześmianych, beztroskich, stojących tu i tam z kieliszkami i szklaneczkami w dłoniach. Zebrali się z okazji nadzwyczajnej uroczystości: Maria, jego najmłodsza córka, była dziś u Pierwszej Komunii.

Dziewczynki w białych sukienkach oraz chłopcy w mocno już wymiętych garniturkach popijali lemoniadę, zajadali czekoladowy tort i snuli się po ogrodzie. Teraz, po powrocie z kościoła, kiedy opadły emocje, z każdą chwilą byli coraz bardziej znudzeni. Sanchez wcale im się nie dziwił; sam również chętnie byłby zupełnie gdzie indziej, ale cóż, obowiązki rodzinne.

Wśród gromadki wystrojonych dzieci dostrzegł Marię, która uśmiechnęła się do niego i pomachała z daleka. Uczynił to samo. Jego najmłodsza córka była ładna, naprawdę bardzo ładna, tak samo jak matka. Za jakiś czas chłopcy będą słać się pokotem u jej stóp, ale jeszcze nie teraz. Na razie była młoda i niewinna jak

rozkwitający kwiatuszek.

Podbiegła do niego, uniósłszy oburącz sięgającą do ziemi sukienkę.

- Okropnie jestem głodna, tatusiu! Czy jedzenie już gotowe? Sanchez pogładził ją po czarnych, kręconych włosach.

- Jeszcze nie, maleńka.

Jego żona, Rosaria, zmierzała ku nim przez patio. Kilka minut temu poszła do domu, żeby wziąć szybki prysznic i zmienić sukienkę, ale najwyraźniej nie zrobiła tego, ponieważ była ubrana tak jak przedtem. Na jej czole Vellares dostrzegł znajomą pionową zmarszczkę.

- Zrób tacie przysługę, maleńka - zwrócił się do córki. - Pobiegnij i sprawdź, czy wszyscy mają coś do picia.

Dziewczynka skinęła głową i oddaliła się w podskokach. Chwilę potem Rosaria zatrzymała się przy mężu.

- Wydawało mi się, że wzięłeś wolny dzień?

- Bo tak właśnie zrobiłem.

- Jesteś pewien, że wszystko w porządku? Skinął głową.

- Mięso zaraz będzie gotowe.

- Nie to mam na myśli.

Skierował na nią zdziwione spojrzenie podkrążonych, jakby wiecznie zaspanych oczu.

- W domu czeka detektyw Cavales - wyjaśniła. - Powiedział, że akurat był w okolicy i postanowił wpaść na chwilę. Zaprosiłam go na przyjęcie, ale odmówił. Zapytał tylko, czy mógłby zamienić z tobą kilka słów na osobności.

- Dokąd go zaprowadziłaś?

- Do twojego gabinetu.

- Więc chyba nie mam wyboru. Bądź taka dobra i dopilnuj steków.

Odwrócił się, ale zatrzymał go głos żony:

- A ja naprawdę myślałam, że przynajmniej dzisiaj dadzą ci spokój.

Wzruszył ramionami.

- Ja też. - Pocałował ją w policzek. - Cóż, życie policjanta nie jest usłane różami.

- Ani życie jego żony - odparła, wciąż ze zmarszczonymi brwiami. - Powinieneś był uprzedzić mnie o tym wtedy, kiedy mi się oświadczałeś.

- Chyba żartujesz. I ryzykować, że stracę taką piękną kobietę?

Uśmiechnęła się, żartobliwie pogroziła mu palcem, po czym wręczyła dwie puszki piwa.

- Poczęstuj Cavalesa. Wygląda na kogoś, komu przyda się łyk czegoś zimnego.

- Aż tak z nim niedobrze?

- Piwo powinno postawić go na nogi.

Vellares wziął puszki, przeciął na ukos patio i wszedł do domu. W porównaniu z temperaturą panującą w ogrodzie było tam niemal chłodno. Mijając niezliczone donice z roślinami, zastanawiał się po raz nie wiadomo który, dlaczego większość kobiet, w tym także jego żona, ma tak silną obsesję na punkcie flory. Była to jedna z tajemnic, których do tej pory nie udało mu się rozwikłać.

Cavales stał przy oknie gabinetu, podziwiając zaskakująco dorodny egzemplarz juki - zaskakująco, ponieważ był w stanie egzystować w atmosferze przesyconej kłębamii papierosowego dymu. Vellares zamknął za sobą drzwi, podszedł do kolegi i wręczył mu jedną z puszek.

- Z pozdrowieniami od Rosarii. Powiedziała, że wyglądasz na kogoś, kto nie odmówi łyka chłodnego piwa.

Cavales skinął głową.

- Rzeczywiście, gorąco dzisiaj. - Spojrzał przez okno na tłumek wypełniający ogród i patio. - Świetny dzień na przyjęcie.

- Maria ma dzisiaj Pierwszą Komunię - wyjaśnił Sanchez. Cavales był kawalerem bez żadnych zobowiązań rodzinnych, a do tego dobrym policjantem - ambitnym, choć może nie przebojowym, i bardzo dokładnym. - Co cię sprowadza, przyjacielu? Obawiam się, że nie przyjechałeś z towarzyską wizytą?

Cavales pokręcił głową. Sprawiał wrażenie mocno zmęczonego. Podobnie jak Sanchez pracował bardzo dużo, zbyt dużo. Rzadko kiedy zdarzało mu się wrócić do domu przed późnym wieczorem. Ludzie rozjechali się na urlopy, a roboty było tyle samo co zwykle, jeśli nie więcej.

- Pojechałem jeszcze raz do domu Tsarkina.

Sanchez spojrział z zainteresowaniem na kolegę.

- Po co?

- Tak, tak, wiem: przeszukaliśmy go pięć czy sześć razy i nic nie znaleźliśmy.

Vellares uśmiechnął się lekko.

- Ale ty postanowiłeś spróbować po raz ósmy?

- Coś w tym rodzaju.

- Podzielił się ze mną swoim odkryciem?

- A skąd wiesz, że coś odkryłem?

- Stąd, że oglądasz mnie przez kilka albo nawet kilkanaście godzin dziennie, a nie przypuszczam, żebym był aż tak przystojny, byś stęsknił się za moim widokiem.

- Masz rację - odparł z uśmiechem detektyw.

- Że nie jestem przystojny, czy że jednak coś znalazłeś?

- To drugie.

- Znakomicie. Przez chwilę obawiałem się, że zamierzasz pozbawić mnie miłych złudzeń. - Sanchez pociągnął łyk piwa. - A więc?

- Przeszukałem jeszcze raz wszystkie pomieszczenia na wypadek, gdybyśmy jednak coś pominęli. - Cavales umilkł na chwilę, po czym dodał poważnym tonem: - No więc, jednak pominęliśmy.

Sanchez uniósł brwi.

- Co takiego, jeśli można wiedzieć?

- Fotografii.

Kapitan wciąż wpatrywał się pytająco w swego współpracownika.

- Czy zechciałbyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Zdjęcia. Każdy ma jakieś zdjęcia rodziny, przyjaciół, znajomych.

Sanchez powoli skinął głową.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. W willi nie było żadnych fotografii, z wyjątkiem jednej, w sypialni, przedstawiającej samego Tsarkina.

- Właśnie o to chodzi. W całym domu nie znaleźliśmy ani jednego zdjęcia, a starzy ludzie zawsze mają ich mnóstwo. Zdjęcia odświeżają pamięć i pomagają przywołać dobre wspomnienia.

Kapitan uśmiechnął się. Cavales po raz kolejny dowiódł, że ma głowę na karku.

- Mów dalej.

- Zagadnąłem o to starego służącego Tsarkina, a ten spłoszył się i od razu zaczął coś kręcić, znacznie bardziej niż wtedy, kiedy przesłuchiwaaliśmy go po raz pierwszy. Zupełnie jakby próbował coś ukryć.

- A próbował?

Detektyw skinął głową. Odstawiwszy puszkę z piwem wyjął pudełko papierosów, poczęstował Sancheza i sam także zapalił.

- Jasne. Ostrzegłem go, że jeśli przyłapiemy go na kłamstwie, może się spodziewać poważnych nieprzyjemności. Zapowiedziałem mu też, że wezmę go na komisariat, gdzie będzie przesłuchiwany aż do skutku. Wreszcie stary załamał się i zaczął mnie zapewniać, że nie zrobił niczego złego.

- A co zrobił?

- Według jego relacji nazajutrz po samobójstwie Tsarkina, a więc zanim przeszukaliśmy teren posiadłości, zjawił się pewien człowiek, znajomy zmarłego, przypuszczalnie biznesmen, tak jak on. Zapytał, czy była już policja i czy Tsarkin zostawił jakieś dokumenty. Służący powiedział, że nie wie o żadnych dokumentach, a tamten odparł na to, że będzie lepiej, jeśli sam sprawdzi, tak na wszelki wypadek. Stary nie chciał go wpuścić, lecz znajomy Tsarkina przemówił mu do rozsądku.

- Użył siły?

Cavales wzruszył ramionami.

- Raczej zagroził, że jej użyje.

- Mów dalej.

- Mężczyzna przeszukał cały dom i zabrał kilka albumów z fotografiami.

- Nic więcej?

- Nic. Na odchodnym zakazał służącemu mówić komukolwiek o swojej wizycie i wspominać o tym, że czegoś brakuje.

Sanchez zaciągnął się głęboko dymem, wypuścił błękitnoszary obłok, po czym usiadł na podłokietniku fotela stojącego przy oknie.

- Zdobyłeś nazwisko tego „znajomego”? Detektyw skinął głową.

- Owszem, choć musiałem użyć poważnych argumentów - odparł ze skromnym uśmiechem.

- Jak ono brzmi?

- Franz Lieber.

- Kto to taki?

- Na razie wiem tylko tyle, że istotnie był znajomym Tsarkina i że najprawdopodobniej jest Niemcem.

Sanchez spojrział przez okno na skąpany w słonecznym blasku ogród i pogodnych, rozluźnionych gości. Maria porównywała sukienkę z jedną z koleżanek, Rosaria zaś stała otoczona kręgiem przyjaciółek i śmiała się głośno. Kochał tę kobietę, kochał ją aż do bólu. Wiele razy żałował, że jest gliną, że nie wybrał jakiegoś innego zawodu, który pozwoliłby mu spędzać więcej czasu z rodziną.

Westchnął ciężko i ponownie skierował wzrok na Cavalesa.

- Za godzinę spotkamy się w komendzie. Przez ten czas zdobądź adres Liebera i spróbuj się jak najwięcej o nim dowiedzieć.

- Już to robię. Zagoniłem do pracy dwóch ludzi z wydziału dochodzeniowego. Vellares z aprobatą skinął głową.

- A więc za godzinę.

Detektyw wyszedł, zostawiając na biurku nie dokończone piwo, Sanchez zaś odwrócił się twarzą do okna. Z zewnątrz dobiegał przytłumiony gwar rozmów i wybuchy radosnego śmiechu. Tak, to naprawdę wspaniały dzień. Rosaria z

pewnością będzie miała mu za złe, że nie zostanie do końca przyjęcia, ale nic na to nie mógł poradzić. Zerknął na zegarek: za pół godziny wymknie się ukradkiem, wsiądzie w samochód i pojedzie do biura.

Zdusił niedopałek w popielniczkę, wstał, rozprostował ramiona, po czym wyszedł z pokoju, by dołączyć do gości.

16.35

Burdel znajdował się w pobliżu dworca kolejowego oraz Placu Urugwaju. Z zewnątrz budynek był niepozorny i obdrapany, w środku natomiast olśniewał przepychem błękitnych, pokrytych stiukami ścian, kosztownych bawełnianych draperii, jedwabnej pościeli, luksusowo urządzonych łazienek, w których goście mogli umyć zmęczone, spocone ciała, a także zacisznych pokoi, urządzonych z myślą o najbardziej wymagającej klienteli.

Dziewczyny także były nadzwyczaj atrakcyjne, przypuszczalnie najładniejsze w całym Asunción, a już na pewno najdroższe.

Lieber wybrał sobie szczupłą piętnastolatkę, jego towarzysz zaś dojrzałą, ponadtrzydziestoletnią kobietę o bujnych kształtach. Do pokoju dostarczono dwie butelki schłodzonego szampana.

Kiedy było już po wszystkim, Lieber wyjął z portfela kilka banknotów i wręczył je dziewczynom. Drugi mężczyzna leżał jeszcze w łóżku z lampką szampana w ręce i szerokim uśmiechem na twarzy przypominającej pysk wydry.

- Macie - powiedział Lieber. - To premia.

Dziewczyny podziękowały, narzuciły półprzeźroczyste szlafroczyki, po czym ruszyły do drzwi, ale Lieber chwycił starszą za ramię.

- Mój przyjaciel i ja chcemy porozmawiać o interesach. Powiedz Rosie, że nie chcemy, by nam przeszkadzano.

Kobieta skinęła głową i pobiegła za koleżanką. Lieber odprowadził wzrokiem tłuste, przesłonięte cienkim materiałem pośladki, a następnie wziął ze stolika dwa czyste kieliszki oraz opróżnioną do połowy butelkę szampana i zwrócił się do nagiego mężczyzny w łóżku:

- I co, Pablo? Jesteś zadowolony?

Mężczyzna był niewysoki, szczupły i żyłasty. Nazywał się Pablo Arcades. Miał trzydzieści pięć lat, od dziesięciu zaś był oficerem seguridad. Lieber bardzo wysoko cenił sobie znajomość z Arcadesem, tym bardziej, że jego przyjaciel miał dwie namiętności: pieniądze i kobiety, a każda namiętność stanowi słaby punkt i jako taki może zostać odpowiednio wykorzystana.

Pablo uśmiechnął się, odstawił kieliszek i sięgnął po spodnie.

- Przecież mnie znasz, Fritz. Mógłbym pieprzyć przez cały dzień bez przerwy.

- Wstał z łóżka, zapiął rozporek, po czym zaczął wciągać koszulę. - Przyniosłeś pieniądze?

- Pieniądze będą później. Najpierw porozmawiamy.

18.02

W gęstniejącym mroku Lieber jechał szybko ulicami Asunción. Dziesięć minut wcześniej zadzwonił z samochodowego telefonu i zażądał, żeby jak najprędzej skontaktowano się z dziewczyną. W oparciu o uzyskane od niej wyjaśnienia zostanie opracowany precyzyjny plan postępowania. Najważniejsze, żeby zdawała sobie sprawę, na jak wielką swobodę może sobie pozwolić przy podejmowaniu decyzji.

Także pozostałe informacje przekazane przez Arcadesa okazały się nadzwyczaj cenne i wymagały natychmiastowej reakcji. Należało czym prędzej zająć się zarówno Volkmanem jak i Sanchezem. Rola Volkmana była dla niego niezbyt jasna; brytyjski oficer DSE? Nie Niemiec? Jeśli już, to powinien być Niemcem. Lieber pokręcił bezradnie głową. Dziewczyna z pewnością wszystko wyjaśni. Dlaczego nie skontaktowano się z nią do tej pory? I co ta dziwka właściwie zamierza?

Pogrążony głęboko w myślach układał listę najważniejszych rzeczy do zrobienia. Najpierw sprawdzić zabezpieczenia i ochronę, zaraz potem zadzwonić do Krugera w Mexico City. Powinni tam być jeszcze przez czterdzieści osiem godzin. Później poważna rozmowa ze starym Halderem i tym Brazylijczykiem, Ernestem, a wreszcie nie kończące się wizyty bliższych i dalszych znajomych, którzy pragnęli złożyć wyrazy uszanowania lub zaoferować swoje usługi w charakterze doradców.

Jedno nie ulegało najmniejszej wątpliwości: należy przedyskutować doniesienia Arcadesa, podjąć decyzje i wyjaśnić pozycję dziewczyny, żeby zostawić ją w sieci albo czym prędzej ją z niej usunąć.

Zakręcił kierownicą i nie zdejmując nogi z pedału gazu przemknął przez otwartą na oścież bramę. Kątem oka dostrzegł nieruchome sylwetki dwóch mężczyzn stojących przy jednym ze słupów. Zaskoczony, chciał już wcisnąć hamulec, ale w tej samej chwili dostrzegł jeszcze bardziej niepokojący widok: ganek był rzęście oświetlony, na zwirowym podjeździe zaś, przed samymi frontowymi drzwiami, stał jakiś nieznajomy biały samochód.

Poczuł, jak do gardła podchodzi mu kłębek strachu, ale było już za późno, żeby się wycofać. Zatrzymał gwałtownie mercedesa i powoli wysiadł z samochodu. W chwili gdy zatrzasnął za sobą drzwi wozu, z domu wyszli dwaj ludzie i ruszyli szybkim krokiem w jego stronę.

- Kim jesteście? Co to wszystko ma znaczyć?

Niższy, otyły mężczyzna w wymiętym, słabo dopasowanym garniturze skierował na niego spojrzenie podkrążonych oczu.

- Señor Lieber, jak sądzę?

Lieber nie potwierdził ani nie zaprzeczył, tłuścioch natomiast uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Jestem Sanchez. Kapitan Yellares Sanchez.

Rozdział 29

Asunción godz. 18.32

Wszystkie światła w domu były pozapalane, ale służący zniknął bez śladu. Dwaj policjanci i Lieber zasiedli w gabinecie. Otyły detektyw flegmatycznie palił papierosa, podczas gdy jego kolega przetrząsał zawartość biurka z wypolerowanego orzechowego drewna. Wcześniej wyłamano zamki w szufladach i drzwiczkach, a w wyniku przeprowadzonego przeszukania część papierów oraz dokumentów

znalazła się na podłodze.

Lieber wpatrywał się z wściekłością w Sancheza.

- Nie macie prawa...

- Proszę mi wybaczyć, señor, ale myli się pan.

- Przypominam panu, że szef miejskiej policji jest moim dobrym przyjacielem i że...

- A ja przypominam panu, że dysponuję nakazem rewizji. Detektywi na samym wstępie pokazali Lieberowi nakaz opatrzony wszystkimi niezbędnymi podpisami i pieczęciami.

- Nie rozumiem, dlaczego zostałem tak potraktowany! Czy zechcielibyście mi przynajmniej powiedzieć, czego szukacie?

- Już panu powiedziałem.

- Ale ja nic nie wiem o żadnych fotografiach! Brutalnie wtargnęliście do mojego domu, naruszając...

- Proszę mi tego oszczędzić, señor. Szkoda pańskiego wysiłku. - Podkrążone, jakby zaspane oczy spoglądały uważnie na Liebera. - Byłoby znacznie lepiej, gdyby powiedział pan, gdzie ukrył te fotografie.

- Naprawdę nie mam pojęcia, o co panu chodzi!

Wyraz oburzonej niewinności malujący się na twarzy Liebera nie wywarł na Sanchezie najmniejszego wrażenia.

- Jak już panu wyjaśniłem, następnego dnia po samobójczej śmierci pańskiego przyjaciela zabrano je z jego domu. Marnuje pan czas, usiłując przekonać nas, że o niczym nie wie.

Lieber z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nie będę odpowiadał na pytania, dopóki nie skontaktuję się z moim adwokatem!

- Jak pan sobie życzy. Czy ma pan sejf?

- Sejf?

- Czyżby nie wiedział pan, co to jest? Biznesmeni zazwyczaj mają sejfy w

swoich domach, a pan należy do najzamożniejszych w Asunción: firma eksportowoimportowa, agencja handlu nieruchomościami, przytulne biura na Calle Palma... - Sanchez zawiesił głos, dając Lieberowi czas na zastanowienie. - A więc, co z tym sejfem?

- To nie pańska sprawa.

- Na pańskim miejscu, señor, starałbym się okazać większą wolę współpracy.

Na pewno poprawiłby pan w ten sposób swoją sytuację.

- A jaka jest moja sytuacja?

Gruby policjant podrapał się za uchem.

- Jeśli nie przekonają mnie pańskie wyjaśnienia albo jeśli nie zechce ich pan udzielić, oskarżę pana o współudział w zamordowaniu dziennikarza Rudiego Hernandeza, a być może także dwóch innych osób.

- To niedorzeczność! - zachrypiął Lieber. - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi!

Sanchez nie zwrócił najmniejszej uwagi na jego słowa.

- Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. Czy ma pan sejf?

Przez dłuższą chwilę Lieber sprawiał wrażenie pogrążonego głęboko w myślach. Wreszcie wyjął z kieszeni pęk kluczy i wręczył go policjantowi.

- W głównej sypialni na piętrze wisi kopia obrazu Vermeera. Za płótnem znajdzie pan...

- Wiem, co tam znajdę - przerwał mu Sanchez, biorąc od niego klucze.

Do gabinetu weszli dwaj kolejni policjanci w cywilu. Sanchez powiedział do nich półgłosem kilka słów, po czym wręczył im klucze. Funkcjonariusze natychmiast wyszli z pokoju.

- Amigo, jestem pewien, że zaszła jakaś pomyłka - przemówił Lieber znacznie bardziej przyjaznym tonem. - Jak pan dobrze wie, mam wielu przyjaciół na wysokich stanowiskach, którzy mogliby...

Policjant uniósł pulchną rękę, przerywając mu w pół zdania.

- Proszę mi tego oszczędzić, señor. - Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem,

po czym dodał: - Moi ludzie powtórnie przeszukają wszystkie pomieszczenia. Obawiam się, że to może trochę potrwać.

- Mój adwokat...

Sanchez machnął lekceważąco ręką.

- Chwilowo niech pan lepiej nic nie mówi. Myślę, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

Lieber zacisnął usta i nie powiedział ani słowa.

Oczekiwanie trwało niemal godzinę. Lieber pocił się obficie, ale jednocześnie stwierdził z zadowoleniem, że jest zupełnie spokojny. Nie miał najmniejszych powodów do obaw. W domu nie było nic, co świadczyłoby o jego związku z zabójstwem dziennikarza i dziewczyny.

Wreszcie do gabinetu wkroczyli ci sami dwaj policjanci co poprzednio. Jeden z nich niósł pod pachą album ze zdjęciami. Lieber zmarszczył brwi i odstawił szklaneczkę z whisky. Po co im ten album? Trzymał go w sypialni i od wielu lat nie umieścił w nim żadnego nowego zdjęcia.

Sanchez zaczął przewracać ofoliowane strony, by nagle znieruchomieć ze wzrokiem utkwionym w jednej z fotografii. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, po czym wstał i podszedł do gospodarza.

- Czy to należy do pana? - zapytał, trzymając oburącz album.

- Tak - odparł Lieber po krótkim wahaniu. Kapitan wskazał zdjęcie, które zwróciło jego uwagę.

- Gdzie zrobiono tę fotografię?

Lieber przełknął ślinę. Na zdjęciu widać było fragment parterowego domu o białych ścianach, trzech mężczyzn oraz gęstą roślinność dżungli.

- Nie pamiętam - odparł zachrypniętym głosem.

- Proszę się zastanowić. Może w Chaco?

- Już powiedziałem, że nie pamiętam. To stare zdjęcie.

- Ten człowiek pośrodku to pan, prawda? Kim są pozostali?

Pulchny palec detektywa wskazywał dwóch mężczyzn; jeden był młody,

ciemnowłosy i mocno zbudowany, drugi znacznie starszy, przystojny, o srebrzystosiwych włosach.

Lieber pokręcił głową.

- Naprawdę nie pamiętam.

Na twarzy policjanta dostrzegł wyraz niedowierzania, ale nie zobaczył tam pewności siebie. Nie ulegało wątpliwości, że otyły detektyw opiera się wyłącznie na domysłach i podejrzeniach.

- Señor Lieber, a czy pamięta pan może, gdzie przebywał w nocy z 25 na 26 listopada?

- W domu.

- Sam?

- Owszem, jeśli nie liczyć służącego.

- Jest pan tego pewien?

- Jak najbardziej. Miałem mnóstwo pracy, więc odesłałem resztę i nakazałem, żeby mi pod żadnym pozorem nie przeszkadzano.

- Zapewne ów służący potwierdzi pańskie słowa?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Sanchez nie dał się zwieść opanowaniu i spokojowi mężczyzny. Odpowiedzi padały zbyt szybko, były udzielane zbyt zdecydowanym tonem.

Detektyw, który zabrał klucze do ściennego sejf, zwrócił je Sanchezowi i w milczeniu pokręcił głową. Kapitan skrzywił się, po czym położył klucze na stoliku.

- Czy pańscy ludzie już skończyli? - zapytał Lieber.

- Tak - odparł policjant. - Przynajmniej na razie - dodał szybko, a następnie dał znak podwładnym, żeby wyszli z gabinetu.

- Czy zamierza mnie pan aresztować? - zapytał właściciel willi, gdy zostali sami.

- Nie.

Niewiele brakowało, a Lieber westchnąłby z ulgą.

- Wobec tego żądam, by natychmiast opuścił pan teren mojej posiadłości. -

Podniósł się z fotela, wyprostował na pełną wysokość i spojrzał z góry na niskiego detektywa. - Dopilnuję, aby pańscy przełożeni dowiedzieli się o tym naruszeniu moich dóbr osobistych.

Sanchez odłożył album na biurko i przez kilka sekund stał bez ruchu, wpatrując się w miotające wściekle błyski oczy Liebera. Kiedy wreszcie się odezwał, w jego cichym głosie wyraźnie słychać było groźbę:

- Jeszcze tu wrócę, señor. Raz, drugi, trzeci - ile będzie trzeba. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

- To szykanowanie niewinnego obywatela! Sanchez uśmiechnął się ponuro.

- Nie, señor. Ja wolę nazywać to skrupulatnością. Taką właśnie mam wadę. Będzie pan musiał się z tym pogodzić.

- Pański zwierzchnik dowie się o wszystkim! - wycedził Lieber.

Sanchez uśmiechnął się znacznie szerzej niż przed chwilą.

- Och, jestem tego pewien. - Umilkł na sekundę, po czym dodał ze znacznie poważniejszą miną: - Chcę, aby zdawał pan sobie sprawę, że jesteśmy w posiadaniu taśmy z nagraniem rozmowy, która odbyła się w pewnym hotelu. Z pewnością wie pan, o czym mówię. Właśnie dlatego jestem przekonany, że jeszcze się zobaczymy.

Niedawno odzyskana przez Liebera pewność siebie znikła bez śladu. Poczł, jak krew uderza mu do głowy, ale wiedział, że Sanchez przez cały czas uważnie go obserwuje, więc co prawda z najwyższym trudem, ale jednak zdołał się opanować.

- Proszę odejść - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Otyły detektyw odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł z pokoju.

Czterdzieści minut później Lieber znalazł się na Placu Bohaterów. Zatrzymawszy mercedesa, rozejrzał się uważnie dokoła. Przez całą drogę co chwila spoglądał w lusterko wsteczne, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Był pewien, że nie jest śledzony, niemniej postanowił nie korzystać z aparatu w willi ani z telefonu w samochodzie, na wypadek gdyby policja zainstalowała podsłuch.

W hotelowym barze rozmiął pieniądze, po czym wszedł do jednej z kabin telefonicznych ustawionych w hallu i przeprowadził dwie krótkie rozmowy, przez

cały czas obserwując obszerne, pełne ludzi pomieszczenie. Poinformował rozmówców o swoich planach, a uzyskawszy ich zgodę rozłączył się, by zaraz potem wykręcić jeszcze jeden, nie figurujący w książkach telefonicznych numer posiadłości usytuowanej na obrzeżu miasta. Zamienił kilka słów, odwiesił słuchawkę i zapalił papierosa. Pięć minut później rozległ się brzęczyk aparatu. Lieber w milczeniu wysłuchał poleceń, zanotował najistotniejsze szczegóły, następnie wyszedł z kabiny, szybkim krokiem opuścił hotel, pokonał kilkanaście metrów dzielących go od samochodu i usiadł za kierownicą. Ani na chwilę nie przestał dyskretnie rozglądać się dokoła, lecz kiedy uruchomił silnik i włączył się do ruchu, był zupełnie spokojny.

Nikt go nie śledził.

Kapitan Vellares Sanchez stał przy oknie, z którego roztaczał się widok na pióropusze palm rosnących wzdłuż Calle. W jednej ręce trzymał kubek z gorącą kawą, w drugiej zapalonego papierosa.

Zbliżała się dziewiąta wieczorem. Ulicami płynęły rzeki samochodów. Przed budynek komendy co kilka minut zajeżdżały białoniebieskie pojazdy, z których umundurowani policjanci wyprowadzali tych samych pasażerów co zwykle: dziwki, włóczęgów, pijaków, złodziei.

Sanchez usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi i odwrócił się w tamtą stronę. Do pokoju wszedł Cavales.

- I co? - zapytał kapitan.

- Chcesz usłyszeć pełny raport?

- Tak.

- Było dokładnie tak, jak przewidziałeś: od razu wskoczył do samochodu i pojechał do centrum, żeby zadzwonić z automatu. Posłałem za nim aż cztery wozy, bo wiedziałem, że będzie miał oczy dokoła głowy. Zostawił merca przy Placu Bohaterów i poszedł do hotelu Riva. Przypuszczamy, że wykonał dwa albo trzy telefony, ale nie jesteśmy pewni. Dziewczyna, która obserwowała go we wnętrzu, twierdzi, że był bardzo czujny, więc wolą trzymać się z daleka.

- Co było potem?

- Wrócił do domu, posiedział pół godziny, a następnie kazał służącemu zawieźć się na peryferie miasta. Stamtąd wziął taksówkę, po pewnym czasie przesiadł się do innej, którą pojechał na lotnisko, gdzie odebrał z przechowalni niewielką walizkę.

- Skąd się tam wzięła?

- Zawiózł ją służący zaraz po tym, jak wysadził Liebera na przedmieściu.

- Zdążyliście ją sprawdzić? Cavales skinął głową.

- Kilka koszul, garnitur, bielizna, przybory toaletowe... Nic nadzwyczajnego. - Detektyw umilkł na chwilę, po czym dodał: - Ale to nie wszystko.

Sanchez uniósł brwi, lecz nic nie powiedział, czekając na ciąg dalszy.

- Na jednym ze stanowisk odebrał bilet lotniczy. Skorzystał z niego, bo nasi ludzie nie spuszczali go z oka aż do chwili, kiedy wsiadł do samolotu.

- Nie zatrzymaliście go?

- Nie, bo zaistniały nowe, interesujące okoliczności.

- Można wiedzieć jakie?

- Wylegitymował się paszportem opiewającym na inne nazwisko i odleciał do Sao Paulo, a stamtąd do Mexico City. Zdaje się, że ucieka gdzie pieprz rośnie.

- Jak brzmi to nazwisko?

- Julius Monck. Sanchez potarł czoło.

- Mam zawiadomić chłopców z Sao Paulo, żeby zwinęli go na lotnisku? - zapytał Cavales. - Samolot ląduje dopiero za godzinę - dodał, spoglądając na zegarek. - Posiadanie fałszywego paszportu nie jest przestępstwem, ale posługiwanie się nim to zupełnie inna sprawa. To dobry pretekst, żeby trochę przycisnąć pana Liebera.

Kapitan westchnął ciężko, usiadł za biurkiem i przez dłuższą chwilę zastanawiał się ze zmarszczonymi brwiami.

- Daj mi tę mapę ze ściany - odezwał się wreszcie, ponownie trąc czoło pulchną ręką.

Cavales posłusznie wykonał polecenie. Otyły detektyw najpierw przez kilka

sekund wpatrywał się w laminowany, pożółkły od papierosowego dymu arkusz, jakby widział go po raz pierwszy w życiu, a następnie pochylił się nad nim i zaczął w skupieniu przesuwac palcem. Po minucie podniósł głowę i spojrzal na Cavalesa.

- Ta niezidentyfikowana maszyna, którą namierzono z Bahia Negra, leciała w kierunku Corumby w Brazylii?

- Si.

Sanchez ponownie spojrzal na mapę.

- Stamtąd już tylko krok do Campo Grandę.

- Chyba tak - odparł Cavales, drapiąc się po brodzie.

- A w Campo Grandę jest lotnisko, z którego odlatają samoloty do Sao Paulo.

Młodszy policjant zmarszczył brwi.

- I co z tego?

- Sam pomyśl. Z Sao Paulo bardzo łatwo dostać się do Mexico City, dokąd udał się nasz przyjaciel. Kto wie, może ludzie mieszkający na hacjendzie wybrali właśnie tę trasę? Teraz Lieber wpadł w panikę i postanowił skontaktować się z nimi osobiście. To chyba całkiem prawdopodobny scenariusz, nie sądzisz?

- Si - odparł Cavales z uśmiechem. - Chyba że Lieber zdecydował się uciec na dobre.

Kapitan pokręcił głową.

- Wątpię. Tacy jak on mają za wiele powiązań, żeby pozrywać je w ciągu kilku godzin... Moim zdaniem czegoś się przestraszył i nie wie co robić. Pamiętasz, jaką zrobił minę, kiedy wspomniałem o taśmie? Był autentycznie przerażony. - Sanchez zamyślił się na chwilę, po czym mówił dalej: - Skontaktuj się z inspektorem Eduardo Gonzalesem z Mexico City i poinformuj go o spodziewanym zjawieniu się Liebera vel Moncka. Niech nasi ludzie sprawdzą listy pasażerów, którzy w ciągu minionych dziesięciu dni lecieli z Sao Paulo do Meksyku. Jeśli natrafią na Karla Schmeltza, niech natychmiast dadzą mi znać, choć wątpię, żeby się to zdarzyło, bo on pewnie też posługuje się fałszywym paszportem... Ale naturalnie nie zaszkodzi spróbować.

- Czy ten Gonzales to twój przyjaciel? Sanchez skinął głową.

- Poznaliśmy się w Caracas, podczas międzynarodowej konferencji policjantów. Prześlij mu też faksem fotografię Liebera, tak na wszelki wypadek, gdyby miał w zanadrzu jeszcze jeden paszport. Możesz także zadzwonić do Sao Paulo i poprosić, żeby mieli go na oku i upewnili się, czy na pewno wszedł na pokład samolotu odlatującego do Meksyku. Niech go dobrze pilnują, szczególnie jeśli wynajmie pokój w hotelu, bo to może oznaczać, że będzie chciał się z kimś spotkać. Muszą jednak działać bardzo dyskretnie. Byłoby dobrze, gdyby obstawili go najlepszymi ludźmi.

- Czy Gonzales ma go zwinąć z lotniska?

- Nie, tylko wziąć go pod obserwację. Muszę wiedzieć gdzie przebywa i z kim się spotyka.

Cavales skinął głową i ruszył w kierunku drzwi.

- Aha, jeszcze jedno...

Detektyw spojrzał oczekująco na przełożonego.

- Zarezerwuj dwa miejsca w najbliższym samolocie do Mexico City, ale wybierz inną trasę niż ta, którą leci Lieber.

Cavales uśmiechnął się, ponownie skinął głową, po czym wyszedł z pokoju.

Sanchez sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej prostokątny kawałek błyszczącego papieru i położył przed sobą na biurku. Była to fotografia z albumu Liebera, przedstawiająca go w towarzystwie dwóch nieznanym mężczyzn. Kapitan usunął ją ukradkiem; nawet jeśli dokonał kradzieży, to motywy, jakimi się kierował, w pełni go usprawiedliwiały. Lieber z pewnością niczego nie zauważył. Był zanadto zdenerwowany.

Vellares uważnie przyglądał się ludziom stojącym po obu stronach Liebera. Jeden z nich był młody, raczej krępy, o ciemnych włosach, drugi znacznie wyższy i starszy, o włosach barwy srebra. Sądząc po kroju ich ubrań, Lieber nie kłamał twierdząc, iż zdjęcie wykonano przed wielu laty, kto wie, czy nawet nie przed dziesięciu. Za plecami mężczyzn widać było fragment werandy oraz pomalowaną na biało ścianę niskiego, rozległego domu, bardzo podobnego do hacjendy w Chaco.

Przeczcucie podpowiadało Sanchezowi, że to właśnie ten dom.

Jedyne, co mógł zrobić, to zejść do kartoteki i zająć się porównywaniem twarzy figurujących w niej osób z twarzami dwóch mężczyzn z fotografii. Może w ten sposób uda się trafić na jakiś ślad?

Westchnąwszy głęboko na myśl o ogromie czekającej go pracy przesunął ręką po rzednących, przetłuszczonych włosach. Zadzwoił do żony, żeby poinformować ją o swoich planach. Dzień, najwyżej dwa w Mexico City, a potem do roboty w komendzie. Zerknął jeszcze raz na fotografię, po czym wziął do ręki słuchawkę i zaczął wybierać numer.

Rosaria powinna zrozumieć.

Chodziło o Rudiego Hernandeza.

To była sprawa osobista.

Rozdział 30

Volkmann wsiadł do pierwszego samolotu odlatującego rano do Amsterdamu, a po przybyciu na miejsce zostawił niewielką torbę turystyczną, która stanowiła jego jedyny bagaż, w przechowalni na lotnisku Schipol.

Jeszcze przed opuszczeniem budynku dworca zadzwonił do Jakoba Fischera z policji kryminalnej w Berlinie, lecz okazało się, że Fischer wyszedł z biura i wróci dopiero późnym popołudniem. Volkmann przedstawił się, poprosił o przekazanie wiadomości, że dzwonił, oraz zapowiedział, że spróbuje jeszcze raz.

Wyszedłszy z hali przylotów rozejrzał się uważnie, lecz tym razem z pewnością nikt go nie śledził. Wsiadł do taksówki, kazał zawieźć się pod ratusz, stamtąd zaś przeszedł spacerem aż na Herengracht, gdzie odszukał podany adres.

Sklep ze starociami mieścił się na parterze wąskiej czteropiętrowej kamieniczki wciśniętej między sexshop i niewielki hotel. Napis na szyldzie nad witryną głosił dumnie: Antyki, a kiedy Volkmann nacisnął klamkę i otworzył drzwi, rozległ się dźwięk małego mosiężnego dzwonka.

W kącie pomieszczenia na czerwonej kanapie siedziała z podkulonymi nogami jasnowłosa, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna z szarym perskim kotem w objęciach. Joseph domyślił się, że to właśnie z nią rozmawiał przez telefon. Dziewczyna miała na sobie obcisłe džinsy, czerwoną bluzę od dresu oraz sportowe pantofle. Na widok Volkmana podniosła się z kanapy; kot zeskoczył na podłogę, cicho mrucząc otarł się o nogi mężczyzny, po czym wrócił do swej pani, która schyliła się, wzięła go na ręce, a następnie utkwiała w twarzy Volkmana spojrzenie dużych brązowych oczu.

- Dzień dobry.

Niewielkie wnętrze było dosłownie zavalone wiekowymi, odrestaurowanymi przedmiotami. Funkcję lady pełnił niski przeszklony kredens, w którym ustawiono stare, oprawione w srebrne ramki fotografie w różnych odcieniach sepii oraz bibeloty z porcelany. Kotara z zielonego aksamitu zasłaniała przejście wiodące, jak należało się domyślać, na zaplecze sklepu. Sądząc po tym, że dziewczyna zwróciła się do Volkmana po angielsku, wzięła go za zainteresowanego starociami turystę.

- Jeśli chce pan się tylko rozejrzeć, to bardzo proszę, ale jeżeli szuka pan czegoś konkretnego, wówczas chętnie służę pomocą.

Podziękował jej uśmiechem.

- Chciałbym porozmawiać z Cole'em Erdbergiem.

- Czy pan jest gliną?

Joseph uśmiechnął się ponownie.

- A czemu pani pyta?

- Bo wygląda pan na gliniarza.

Oprócz brązowych oczu dziewczyny wpatrywały się w niego także zielone ślepie kota o wąskich jak szparki źrenicach.

- Czy zastałem Cole'a?

- Zależy czego pan od niego chce.

Dość wyraźny akcent świadczył o tym, że rozmówczyni Volkmana nie jest Holenderką. Przycisnęła kota do piersi, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z

twarży Josepha.

- Proszę mu powiedzieć, że przyszedł przyjaciel Teda Birkena.

- Czyj?

- Teda Birkena.

- A pan jak się nazywa?

- Volkmann. Joe Volkmann.

Dziewczyna zacisnęła usta i lekko przechyliła głowę, jakby zastanawiając się, co zrobić.

- Niech pan tu zaczeka - powiedziała wreszcie, a następnie odwróciła się i zniknęła za zieloną kotarą, zabierając ze sobą persę. Była bardzo ładna i miała pełną, atrakcyjną figurę. Volkmann przez mgnienie oka dostrzegł ukryte za kotarą drzwi, po czym został sam.

Rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu. Na ścianie przy szybie wystawowej wisiała skałkówka, pod nią dwa równie archaiczne pistolety, na przeciwległej natomiast kilka autentycznych XVIIIwiecznych obrazków przedstawiających sceny rodzajowe z holenderskiej wsi. W powietrzu czuć było zapach pleśni, kotów oraz charakterystyczną, ciężką woń marihuany.

Joseph usłyszał odgłos otwieranych drzwi i odwrócił się w kierunku zasłony.

Ciężka zielona płachta odchyliła się nieco, zza niej zaś wyłonił się wysoki, szczupły mężczyzna z kilkudniowym siwym zarostem na twarzy. Był prawie zupełnie łysy; nieliczne włosy, które jeszcze zdobiły tył jego głowy, zostały ufarbowane na czarno i zebrane w mizerny kucyk spięty gumką. Wsunawszy na nos okulary w drucianej oprawce, zmierzył Volkmana uważnym spojrzeniem. Joseph oszacował właściciela sklepu na pięćdziesiąt kilka lat. Miał na sobie szorty w kolorze khaki, płócienne pantofle oraz czarną koszulę rozpiętą do połowy piersi, dzięki czemu widać było ciężki złoty medalion częściowo przysłonięty gęstymi, zmierzwionymi włosami.

- Znam pana? - zapytał po angielsku. Akcent nieomylnie wskazywał na południowe stany USA.

- ColeErdberg?

- Zgadza się.

- Jestem Joe Volkmann.

- Misza powiedziała mi, że pan jest przyjacielem Teda Birkena. Co mogę dla pana zrobić?

- Ted skierował mnie do pana, ponieważ jego zdaniem będzie mógł mi pan pomóc.

- Pracuje pan dla firmy? Volkmann uśmiechnął się.

- Nie jestem z CIA, panie Erdberg.

- Więc skąd?

Joseph pokazał mu legitymację. Erdberg przyjrzał się jej uważnie, po czym spojrzał na niego z uśmiechem.

- Co porabia Ted? Wciąż mieszka sam w tych pieprzonych Alpach i napycha się cuchnącymi szwajcarskimi serami?

Volkmann skinął w milczeniu głową.

- Niech go szlag trafi! Powinien znaleźć sobie jakąś dupiastą panienkę i wykorzystać tych parę lat, które mu jeszcze zostały.

Właściciel sklepu z antykami miał szkliste, lekko nieprzytomne spojrzenie, jakby znajdował się pod wpływem narkotyków.

- No więc, co mogę dla ciebie zrobić, Joe?

- Ted powiedział, że jest pan specjalistą od wszystkiego co dotyczy SS i że być może zdoła pan zidentyfikować osobę ze starej fotografii.

Kotara zafalowała ponownie i do sklepu weszła bezszelestnie jasnowłosa dziewczyna z kotem w objęciach. Nie odezwała się ani słowem, lecz mimo że Erdberg nie mógł jej zobaczyć, ponieważ był odwrócony plecami do przejścia wiodącego na zaplecze, zwrócił się do niej tak, jakby była obecna od początku rozmowy:

- Może zrobiłabyś kawę dla mnie i mojego przyjaciela? Co powiesz na filiżankę dobrej kawy, Joe?

- Bardzo chętnie.

- A więc dwie kawy, Misza. I zrób coś, żeby to owłosione gówno nie pętało mi się choć przez chwilę pod nogami, dobrze?

Dziewczyna skrzywiła się, pokazała mu język i odwróciła się, żeby odejść, Erdberg zaś nie patrząc w jej stronę poklepał ją po pupie.

- Ja też cię kocham, złotko. - Spojrzał na Volkmana. - Chodźmy na zaplecze, Joe.

Odgarnął na bok kotarę i wskazał Volkmannowi drogę. Pomieszczenie, do którego weszli, stanowiło połączenie magazynu z warsztatem i było wypełnione zniszczonymi, częściowo naprawionymi oraz całkowicie odrestaurowanymi meblami. Do zapachów, które Joseph poczuł w sklepie, dołączyła jeszcze woń szelaku oraz wosku. Na długim stole leżały porzucane w nieładzie narzędzia i fragmenty remontowanego krzesła, na jednej z pomalowanych na biało ścian wisiał zaś plakat przedstawiający mężczyznę w kowbojskim kapeluszu i butach, siedzącego z opuszczonymi spodniami na sedesie. Jestem dumny, że nazywają mnie dupkiem z El Paso - głosił podpis.

Erdberg poprowadził gościa do kolejnych drzwi usytuowanych w głębi pomieszczenia, otworzył je kluczem, który wydobył z kieszeni szortów, po czym włączył światło. Jak większość starych amsterdamskich kamienic, również ta była wąska, ale za to bardzo głęboka, przez co większość izb miała mocno wydłużony kształt. Ta, do której weszli, liczyła co najmniej dwadzieścia metrów długości i przypominała miniaturowe muzeum.

Po obu stronach pomieszczenia ciągnęły się przeszklone gabloty i sięgające do sufitu szafy wypełnione mundurami, odznaczeniami oraz innymi pamiątkami po Trzeciej Rzeszy. Były tam sztylety stanowiące element odświętnego stroju nazistowskich dostojników, bagnety, a także broń palna. W głębi pokoju, przy drugiej, krótkiej ścianie, stało biurko z wypolerowanego drewna orzechowego, na nim natomiast ogromna srebrna lampa, której podstawę zdobił zrywający się do lotu orzeł ze swastyką w szponach.

W pomieszczeniu panował przenikliwy chłód. Szczupłym ciałem Erdberga wstrząsnął dreszcz. Mężczyzna zakasłał, po czym sięgnął po papierosa.

- W czym mogę ci pomóc, Joe? - Chyba dopiero teraz dostrzegł osłupienie malujące się na twarzy Volkmana, ponieważ zachichotał cicho i dodał: - Robi wrażenie, co?

Joseph zatrzymał się przed gablotą z kolekcją sztyletów, bagnetów oraz srebrnych napierśników żandarmerii.

- Panie Erdberg, czy wolno zapytać, po co panu to wszystko?

- Mów mi Cole. Po co mi to? Na sprzedaż, ma się rozumieć. Poza tym, jestem kimś w rodzaju pieprzonego kolekcjonera.

- Na sprzedaż? A kto to kupuje?

- Inni kolekcjonerzy. Ludzie z zajobem na punkcie Hitlera i nazizmu. Każdy, kto się tym choć trochę interesuje, a jest ich więcej, niż ci się wydaje. Zgłaszają się do mnie producenci filmów, jeśli akurat zależy im na jakimś trudnym do zdobycia rekwizycie. W innych pokojach mam sporo mundurów, odznaczeń, hełmów, medali... Można chyba powiedzieć, że traktują mnie jak konsultanta.

Volkmann przenosił wzrok z gabloty na gablotę.

- Czy to cię nie... niepokoi?

- Niepokoi? Jasne, jeśli przez dłuższy czas nie trafia się żaden poważny klient, ale zazwyczaj nie narzekam na brak zainteresowania. Nieźle sobie radzę. Dochody ze sklepu wystarczą na opłacenie czynszu, a za to, co zarobię tutaj, mam whisky, dziewczyny i wszystko, czego facet w moim wieku potrzebuje, żeby utrzymać się przy życiu.

Otworzyły się drzwi i weszła dziewczyna z tacą, na której stały dwie filiżanki kawy.

- A może ciebie to niepokoi, Misza? - zapytał Erdberg, wskazując gestem szklane gabloty.

Blondynka podała kawę, po czym wzruszyła ramionami.

- Wcale.

- Misza, poznaj Joe Volkmana. Joe, to jest Misza. - Właściciel kolekcji uśmiechnął się z przekąsem. - Jeśli chcesz wiedzieć, Misza jest Żydówką.

Dziewczyna także uśmiechnęła się do Volkmana, tyle że szczerze i z sympatią.

- Wbrew temu, co myślisz, nie masz do czynienia z żadnym pieprzonym neonazistą - ciągnął Erdberg. - Po prostu ta cała awantura z Trzecią Rzeszą cholernie mnie fascynuje, i to wszystko. A ciebie nie, Joe?

- Trochę.

Misza wyszła z pokoju, mężczyźni zaś wolnym krokiem podeszli do biurka. Joseph ostrożnie dotknął wypolerowanego blatu.

- Wiesz do kogo ono należało? - zapytał Erdberg.

- Nie.

- Do Ernsta Kaltenbrunera. To był numer dwa w SS aż do chwili, kiedy ruch oporu załatwił w Czechach Heydricha. Kaltenbrunner... Jeden z najbardziej popierdolonych szaleńców, jakich wydała historia. Kiedy się zdrowo nawalił, siadał przy tym biurku i podpisywał wyroki śmierci. Nie tylko na Żydów i członków ruchu oporu, ale na każdego, kto miał pecha mu podpaść. - Erdberg pieszczotliwie musnął palcami krawędź biurka, jakby to było kobiece udo. - Ciarki przechodzą od tego po grzbiecie, prawda?

- Co wiesz o dywizji SS Leibstandarte? - zapytał Volkman.

- Wszystko, tak samo jak o włoskach na mojej dupie. Elitarny oddział SS, utworzony w 1934 przez arcynazistę Seppa Dietricha, nazywany gwardią przyboczną Hitlera. Początkowo składał się zaledwie ze stu dwudziestu nadzwyczaj starannie dobranych ludzi, ale potem zaczął się rozrastać, by wreszcie przeistoczyć się w pełną dywizję. Każdy z jej członków składał przysięgę wierności Adolfowi Hitlerowi. W 1939 walczyli w Polsce, od 1941 do 1944 uczestniczyli w kampaniach w Grecji i Rosji. To oni dokonali masakry w Malmedy w Belgii oraz wielu jeszcze potworniejszych w Rosji. Żeby je wyliczyć, musiałbym mleć ozorem do wieczora. Ostatnia dywizja, która złożyła broń w 1945 po walkach na Węgrzech i w Austrii.

Potrzebujesz czegoś jeszcze? Dopiero się rozgrzewam. Czy właśnie w tej sprawie tu przyjechałeś? Chodzi ci o SS Leibstandarte?

- Znasz jej dowódców i wyższych oficerów?

- Na pewno większość.

- A ich żony, przyjaciółki, kochanki?

- Niektóre. Dlaczego pytasz?

Volkman wyjął z kieszeni fotografię młodej jasnowłosej kobiety i podał ją Erdbergowi.

- Poznajesz ją, Cole?

Erdberg przyjrzał się fotografii, zawahał się, po czym zdjął okulary, wydobyl szkło powiększające z szuflady pobliskiego, mniejszego biurka, i jeszcze raz przypatrzył się uważnie zdjęciu.

- Kto to był? - zapytał wreszcie, podnosząc wzrok na Volkmana.

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Miałem nadzieję, że będziesz mógł mi pomóc.

Erdberg pokręcił głową.

- Obawiam się, że nigdy jej nie widziałem.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- A ta opaska ze swastyką na rękawie mężczyzny? Jest w niej coś szczególnego?

Erdberg ponownie nachylił się nad zdjęciem.

- Nie - stwierdził po dłuższym czasie, odkładając na bok szkło powiększające.

- To standardowa opaska. Były takich miliony.

- Co możesz powiedzieć o samym mundurze? Kolekcjoner wzruszył ramionami.

- Niewiele. Ziarno jest zbyt duże, a do tego widać tylko kawałek rękawa.

- SS Leibstandarte?

- Jasne, oni też nosili opaski, ale tak samo robiło wielu innych członków SS i

partii nazistowskiej. Tym, co odróżniało ich od członków innych formacji, była srebrnoszara błyskawica z wygrawerowanym napisem „Adolf Hitler”. Tego tu nie widzę, ale gdybym mógł obejrzeć cały mundur... Tyle że to chyba niemożliwe, jak się domyślam? Volkmann pokręcił głową.

- Gdzie to znalazłeś, Joe?

- W Ameryce Południowej. Erdberg uśmiechnął się kwaśno.

- Polujecie na jakiegoś starego nazistę? Obawiam się, że zostały już tylko drobne płatki.

Joseph pokręcił głową.

- Nie, po prostu szukam pewnego człowieka. Jego ojciec wyemigrował przed wojną do Paragwaju. To zdjęcie jest jednym z nielicznych śladów, jakie po sobie zostawił.

- W którym to było roku?

- 1931.

Amerykanin zmarszczył brwi.

- Więc co to ma wspólnego z SS Leibstandarte?

- Ojciec tego gościa należał do SA, a Ted Birken powiedział mi, że wielu spośród tych, którzy przeżyli Noc Długich Noży, służyło później w tej dywizji.

- Zgadza się. Mimo to obawiam się, że nie będę mógł ci pomóc.

- Znasz kogoś, kto byłby w stanie?

- Chodzi ci o fotografię? Człowieku, przecież ta dziewczyna mogła być dokładnie kimkolwiek! - Erdberg wzruszył ramionami. - Jeśli liczysz na to, że masz na zdjęciu żonę albo kochankę jakiegoś wysokiego dygnitarza, to powinieneś zwrócić się do dobrego historyka, najlepiej takiego, który specjalizuje się w latach trzydziestych. Akurat żaden nie przychodzi mi na myśl, ale nawet gdybyś zdołał do któregoś dotrzeć, to mocno wątpię, czy dowiedziałbyś się czegoś ciekawego. Na dobrą sprawę, jeśli chodzi o kobiety, to z całego okresu Trzeciej Rzeszy przetrwały tylko dwa nazwiska: Ewa Braun i Magda Goebbels. Gwarantuję ci, że dupcia z twojego zdjęcia nie jest żadną z tych dwóch uroczych dam.

- Jeszcze jedno, Cole. Czy słyszałeś kiedykolwiek o Testamencie Brandenburskim?

Amerikanin zastanowił się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Chyba nie. A co to takiego?

- Mam nadzieję, że nic ważnego - odparł Joseph z uśmiechem. - Dzięki za rozmowę.

- Nie ma sprawy.

Volkman schował fotografię do kieszeni, a następnie jeszcze raz rozejrzał się po miniaturowym muzeum.

- Mam wiele prawdziwych rarytasów - powiedział Erdberg, który zauważył jego spojrzenie. - Krzyże Żelazne z brylantami i liśćmi dębowymi. Sztylet Himmlera. Odznaka partyjna Martina Bormanna... O, ten rzeczywiście mógł dać dyla do Ameryki Południowej. Pokażę ci to wszystko, jeśli masz trochę czasu.

- Dziękuję, ale muszę zdążyć na samolot.

- Gdybyś widział się z Tedem, przekaż mu, żeby koniecznie znalazł sobie jakąś babkę. Najwyżej dwadzieścia lat, duży cyc, jędrna dupa. Niech się pośpieszy, bo potem będzie za późno.

- Na pewno to zrobię - odparł Joseph z uśmiechem. - Nie musisz mnie odprowadzać, trafię do wyjścia.

Przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił w kierunku mężczyzny stojącego przy biurku w przeciwnym końcu długiego, wąskiego pokoju.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

- Wal śmiało.

- Ted wspomniał, że pracowałeś dla CIA...

- Dwanaście pieprzonych lat.

- Dlaczego cię wywalili? Erdberg uśmiechnął się szeroko.

- Chyba żartujesz, Joe. A ty byś tego nie zrobił?

Dwie godziny, jakie pozostały do odlotu samolotu linii KLM do Berlina, Joseph spędził w poczekalni i barze na lotnisku Schipol. Przez cały czas miał oczy

szeroko otwarte, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Kilkanaście minut po czwartej, kiedy zaczęło się już ściemniać, wylądował na lotnisku Tegel, w punkcie obsługi podróży zarezerwował pokój w hotelu Schweizerhof przy Budapesterstrasse, pojechał tam taksówką, wziął prysznic i zadzwonił do Jakoba Fischera. Połączenie uzyskał dopiero po pięciu minutach. Niemiec przeproszał go serdecznie za to, że musiał czekać, ale akurat prowadził z drugiego aparatu ważną rozmowę.

- Kopę lat, Joe. Jak się miewasz, stary przyjacielu?

- Całkiem nieźle. A co u ciebie?

- Mam jeszcze pół roku do emerytury i szczerze mówiąc nie mogę się doczekać dnia, kiedy wreszcie stanę się wolnym człowiekiem. Co cię sprowadza do Berlina?

- Przekazano ci wiadomość ode mnie?

- Tak, jak tylko wróciłem do biura.

- Chcę cię prosić o przysługę, Jakob.

Volkman opowiedział mu o Herbercie Rauscherze. Kiedy skończył, Fischer zapytał krótko:

- Czy to oficjalne dochodzenie, Joe?

Joseph wyjaśnił, że wręcz przeciwnie, że zależy mu na zachowaniu ścisłej dyskrecji.

- Wobec tego powiedz mi, o co konkretnie ci chodzi.

- Chciałbym uzyskać dostęp do informacji, jakie waszym ludziom udało się zgromadzić na temat śmierci Rauschera, a także do tych dotyczących bezpośrednio jego osoby.

- Z tego co mówisz wynika, że ten Rauscher mieszkał po tamtej stronie muru, a to nie mój rejon. Naturalnie teraz zajmujemy się całym miastem, ale chłopcy z wydziału zabójstw mogą się zdziwić, jeśli ni stąd, ni zowąd poproszę ich o udostępnienie materiałów... Czy twój Rauscher był zamieszany w jakąś działalność przestępczą?

- Nie mam pojęcia.

- Hmm... Dobra, spróbuję jakoś dogrzebać się do tej sprawy. Zobaczymy, co się stanie. Teraz większość informacji mamy w komputerach, więc może uda mi się uzyskać dostęp do tego, co cię interesuje.

- Będę ci ogromnie wdzięczny.

- Lepiej zdradź mi trochę szczegółów, żebym wiedział, czego mniej więcej powinienem się spodziewać.

Volkman powtórzył Fischerowi wszystko, czego dowiedział się z wycinków prasowych.

- Gdzie się zatrzymałeś? - zapytał stary detektyw, kiedy Joseph zakończył dość krótką relację.

- W hotelu Schweizerhof. Budapesterstrasse.

- W porządku. Spróbuję zadzwonić do ciebie za godzinę.

- Wielkie dzięki, Jakob.

Niemiec zadzwonił dopiero po dwóch godzinach.

- Niestety, nie udało mi się uzyskać pełnego dostępu do danych, a tych, które zdobyłem, nie jest zbyt wiele. Usiłowałem złapać telefonicznie chłopaka prowadzącego sprawę, ale okazało się, że jest na urlopie, więc rozmawiałem tylko z jednym z jego współpracowników. Powiedział mi wszystko co wie, choć wątpię, czy będzie tego tyle, ile się spodziewałeś.

- Opowiesz mi przez telefon?

- Byłoby lepiej, gdybyśmy się spotkali.

- Bardzo chętnie. Powiedz tylko gdzie.

- Na przykład w twoim hotelu. Napijemy się piwa, a ja powtórzę ci wszystko, czego się dowiedziałem.

- Kiedy?

- Za jakąś godzinę, w barze. Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy.

- A więc do zobaczenia za godzinę.

- Tak jest. Wtedy pogadamy.

Bar w hotelu Schweizerhof był prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku mężczyzn w eleganckich garniturach, siedzących na wysokich stołkach i pograżonych w rozmowie. Volkmann zajął miejsce przy jednym ze stolików w pobliżu wejścia. Jakob Fischer pojawił się o umówionej porze; znacznie się postarzał i zgarbił, a w gęstej czuprynie ciemnych włosów, z której był tak dumny, pojawiły się smugi siwizny. Jego błękitne oczy, zazwyczaj bystre i błyszczące, teraz wyglądały jak dwie małe kałuże mętnej wody. Niemiec serdecznie uściśnął rękę Volkmannowi, po czym ciężko opadł na obszerny skórzany fotel.

Joseph zaproponował przyjacielowi poczęstunek, lecz Fischer odparł, że w zupełności wystarczy mu kanapka i szklaneczka piwa. Przez pięć minut gawędzili o dawnych czasach, potem zaś Niemiec odsunął pusty talerz, otarł usta serwetką i zapytał:

- O co chodzi w tej sprawie, Joe? A może wolisz o tym nie mówić?

Volkmann przedstawił mu nagie fakty, Fischer zaś zastanowił się przez chwilę, by wreszcie powiedzieć:

- Wygląda na niezłe bagno. Dlaczego wy w nim ugrzęźliście, a nie nasi ludzie?

Kiedy Joseph wyjaśnił mu szczegóły, Niemiec ze zrozumieniem skinął głową.

- Tak, teraz wszystko jasne. Chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem?

- Oczywiście.

- Zaczniemy od samego początku. Herbert Rauscher urodził się czterdzieści dziewięć lat temu w Lipsku. W wieku dwudziestu jeden lat przeniósł się do Berlina. Nigdy nie był żonaty, aż do zburzenia muru pracował jako kierownik działu w niewielkim wydawnictwie, po zjednoczeniu Niemiec stracił pracę. Przez trzy miesiące był zarejestrowany jako bezrobotny, potem założył własny interes. W archiwach Stasi znajdowała się jegoteczka, ale nie mam pojęcia, co w niej było, ponieważ znaczna część dokumentów enerdowskiej tajnej policji rozplynęła się bez śladu albo została zniszczona. Po jego śmierci naszym ludziom udało się wyciągnąć trochę informacji od byłych funkcjonariuszy Stasi. Jedno nie ulega wątpliwości: Rauscher wcale nie był tak porządnym i przykładowym obywatelem NRD, za jakiego

chciał uchodzić.

- W jakim sensie?

- Dorabiał sobie na boku drukując w państwowej firmie na państwowych maszynach pisemka pornograficzne. Tym samym zresztą zajął się później na własną rękę, trzeba przyznać, że nawet z pewnym powodzeniem. Zaczął też handlować narkotykami, ale na niewielką skalę. Kupił sobie używanego mercedesa i przeprowadził się do lepszego mieszkania, choć też we wschodniej części miasta. Pół roku temu, około jedenastej w nocy, wszystko się skończyło. Ktoś załatwił go dwoma strzałami w głowę. W skórę wbiły się drobinki nie spalonego prochu, więc strzały musiały paść z niewielkiej odległości.

- Co wiesz na temat broni i amunicji?

- Przypuszczalnie była to beretta kaliber 9 mm z tłumikiem, ale nie udało się stwierdzić jakiej produkcji.

- Gdzie zginął?

- W swoim mieszkaniu, niedaleko Muzeum Pergamońskiego. Zwłoki znalazła jego przyjaciółka. Prześwietlono ją dokładnie, ale była czysta.

- Co się z nią teraz dzieje?

- Staram się to ustalić, bo domyśliłem się, że chciałbyś z nią porozmawiać, ale jak na razie bez rezultatu. Wiem tylko tyle, że nazywa się Monika Worch. - Fischer uśmiechnął się lekko. - I że pozowała do zdjęć w pisemkach wydawanych przez Rauschera.

- Czy są jakieś poszlaki wskazujące na motyw lub sprawcę zabójstwa?

Detektyw pokręcił siwiejącą głową.

- Żadnych, Joe. Według policjanta, z którym rozmawiałem, nasi chłopcy próbowali wszystkiego, ale bez powodzenia. Szczególnie dużo uwagi poświęcili ludziom z tej samej branży, w której działał Rauscher - niestety, bez rezultatu. Denat musiał jednak znać swego zabójcę, ponieważ nie znaleziono śladów włamania ani walki. Dozorca, podobnie jak sąsiedzi, niczego nie widział ani nie słyszał. Możliwe, że Rauscher nastąpił komuś na odcisk, na przykład rozwijając produkcję na zbyt

dużą skalę, co stanowiło zagrożenie dla wydawców od dawna zajmujących się pornografią. Od zburzenia muru przestępczość we wschodniej części miasta gwałtownie wzrosła. Prawie każdy zakłada własny interes, stara się być ekspansywnym przedsiębiorcą i jak najszybciej zbić majątek. Kto wie, czy Rauscher nie zapędził się za daleko i nie wkroczył na czyjeś terytorium... To jedyna hipoteza, która zdaje się mieć jakikolwiek sens, ale na razie nic konkretnego z niej nie wynikło.

- Czy Rauscher zajmował się polityką? Fischer ponownie pokręcił głową.

- Nawet jeśli tak, to nic o tym nie wiemy. Szczerze mówiąc, wydaje się to mało prawdopodobne. Przede wszystkim zależało mu na robieniu pieniędzy. Dlaczego sądzisz, że jego śmierć mogła mieć jakiś związek z polityką?

Volkman bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Jakob. Po prostu zgaduję, to wszystko. - Spojrzał przez okno na sunące ulicą samochody i przemykających ludzi z brodami wciśniętymi w postawione kołnierze kurtek i płaszczy. - Co będzie z jego dziewczyną?

- A co ma być?

- Myślisz, że uda ci się ją odnaleźć?

Tym razem to Fischer wzruszył ramionami.

- Na pewno, naturalnie pod warunkiem, że nie wyjechała z Berlina, ale to może trochę potrwać. Moim zdaniem została w zawodzie. Popytam dokoła.

- Czy mieszkanie Rauschera jest jeszcze puste?

- Tak.

- Mógłbym się tam rozejrzeć?

- Tak właśnie pomyślałem, że będziesz chciał to zrobić - odparł z uśmiechem Jakob Fischer. - Mój samochód stoi przed hotelem. Dokończ piwo, to od razu tam pojedziemy. Przekonamy się, czy moja legitymacja jest coś warta.

Było już po dziewiątej, kiedy samochód Fischera zatrzymał się przed blokiem mieszkalnym w pobliżu Pergamonu. Był to jeden z nowoczesnych luksusowych budynków wzniesionych przed ponad trzydziestu laty przez Rosjan dla ich oficerów oraz wyższych urzędników licznych sowieckich instytucji. Po obu stronach wejścia

róśł starannie przystrzyżony żywopłot, sam dom zaś sprawiał wrażenie czystego i zadbanego. Mieszkanie Rauschera znajdowało się na ostatnim, siódmym piętrze.

Zamiast skorzystać z domofonu, Fischer zaczął łomotać pięścią w podwójne szklane drzwi. Po kilku minutach pojawił się nocny portier - przygarbiony, zaawansowany wiekiem mężczyzna w wyświechtanym granatowym garniturze. Detektyw pokazał mu legitymację i donośnym, nie znoszącym sprzeciwu tonem oświadczył, że przyjechał obejrzeć mieszkanie Herberta Rauschera. Portier, nauczony wieloletnim doświadczeniem posłuszeństwa wobec osób należących do aparatu władzy, wpuścił ich do środka, sam zaś pokuśtykał po klucze. Przyniósł je po kolejnych kilku minutach, lecz wówczas Fischer oznajmił, że sam da sobie radę, wyjął klucze z rąk osłupiałego staruszka, a następnie wraz z Volkmannem 4wsiadł do windy, która skrzypiąc i podskakując zawiozła ich na ostatnie piętro.

Czekały ich tam dwie niespodzianki: mało istotna, w postaci wiszącej na klamce tabliczki z groźnie brzmiącym ostrzeżeniem zakazującym wstępu niepowołanym osobom, oraz znacznie bardziej przykra, to znaczy trzeci zamek w drzwiach, wstawiony przez policję. Fischer musiał wrócić do samochodu, wziąć pęk służbowych kluczy i przez niemal kwadrans wypróbować jeden za drugim, aż wreszcie trafił na właściwy i drzwi stanęły otworem.

Volkmanna zaskoczyły rozmiary mieszkania. Przez zajmujące całą ścianę okno w salonie można było podziwiać kamienną fasadę muzeum oraz panoramę Berlina z potężną wieżą telewizyjną oraz skąpaną w blasku reflektorów Bramą Brandenburską.

Pomieszczenia były od dawna nie wietrzone, więc czuć było nieprzyjemną woń stęchlizny. Na wyposażenie salonu składały się kosztowne meble obite czarną skórą, telewizor i magnetowid Sony, szafka z drogim sprzętem hifi firmy Bang & Olufsen oraz regał z płytami kompaktowymi, książkami oraz kilkunastoma pismami pornograficznymi, pozostawionymi w nieładzie przez dokonujących przeszukania policjantów.

Na szklanym stoliku do kawy stała marmurowa szachownica ze srebrnymi

figurami, puszyste dywany utrzymane były w spokojnych, pastelowych odcieniach. Kiedy Volkmann podszedł do okna, jego oczom ukazała się duża ciemna plama na dywanie tuż obok stolika. Wyglądała tak, jakby ktoś dawno temu wylał tam kieliszek czerwonego wina, ale Joseph wiedział, iż właśnie w tym miejscu znaleziono martwego Herberta Rauschera.

Za rozsuwanymi drzwiami w garderobie wisiały wyłącznie męskie ubrania; najwidoczniej przyjaciółka Rauschera wyprowadzając się z mieszkania po jego śmierci zabrała wszystkie swoje rzeczy. W jednej z sypialni Volkmann natrafił na jeszcze jeden stosik pism pornograficznych; niektóre z nich były pootwierane, ale poza tym we wszystkich pomieszczeniach panował idealny porządek. Joseph nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć o zainteresowaniu gospodarza polityką. Książki ustawione na regale okazały się tanimi brukowymi powieściami, między które zaplątało się kilka erotycznych historyjek.

O jedenastej Jakob Fischer odwiózł go do hotelu i obiecał, że skontaktuje się z nim natychmiast, jak tylko zdobędzie jakieś informacje o dziewczynie Rauschera. Volkmann uprzedził przyjaciela, iż w najbliższym czasie może być trudno osiągalny w biurze, więc by w razie jego nieobecności przekazał informacje któremuś z pracowników Sekcji.

Rozdział 31

ATa

Nazajutrz rano pojechał taksówką do biura Waltera Massowa w dzielnicy Kreuzberg.

Mieściło się ono w obskurnym, przedwojennym budynku przy Bliicherstrasse, wśród rozpadających się domów zamieszkiwanych przez emigrantów z Turcji i państw azjatyckich. W tej części miasta można było znaleźć najwięcej śladów po minionej wojnie. Ściany domów pokrywały rysunki i napisy, natomiast większość okien na parterze i pierwszym piętrze została zabita deskami.

Kiedy Volkmann wszedł do jednego z budynków, powitało go podejrzliwe spojrzenie młodego człowieka siedzącego przy drzwiach wiodących na półpiętro. Strażnik najpierw uważnie sprawdził jego dokumenty, po czym nacisnął guzik i bez słowa wskazał mu gestem kręte schody.

Na trzecim piętrze Joseph został przyjęty przez uprzejmą sekretarkę, która poprosiła go, by zechciał usiąść, sama zaś przerwała pisanie na maszynie i poszła po Massowa. Kilka minut później wróciła w towarzystwie około pięćdziesięcioletniego, wysokiego, mocno zbudowanego mężczyzny w okularach. Do tej budzącej respekt postury zupełnie nie pasowały łagodny uśmiech i ujmujący sposób bycia.

- Miło mi pana poznać, Herr Volkmann. Jestem Walter Massow.

Mocno uścisnął rękę Josepha, po czym zaprowadził go korytarzem do obszernego, zagraconego gabinetu.

Promienie zimowego słońca sączące się przez okno padały na szereg metalowych szaf ustawionych wzdłuż ścian pokrytych łuszczącą się farbą. Na stojącym przy oknie biurku leżała nie dojedzona kanapka. Okno wychodziło na niewielki skwer, po którego drugiej stronie wznosiły się zdewastowane, równie jak ten, budynki. Na balkonach suszyła się bielizna, z okien zaś wychylały się kobiety o śniadej skórze i skośnych oczach.

Sekretarka przyniosła kawę. Kiedy wyszła z pokoju, Massow uprzejmym gestem wskazał gościowi fotel, sam zaś zajął miejsce za biurkiem, wsadził do ust wykałaczkę i spojrzał z zainteresowaniem na Josepha.

- Czym mogę panu służyć, Herr Volkmann? Wyjaśnienie powodów wizyty zajęło Josephowi kilka minut.

Rzecz jasna nie powiedział wszystkiego; ograniczył się do stwierdzenia, że zbierając materiały dotyczące zabójstwa człowieka nazwiskiem Dieter Winter natknął się na informację o planowanym zamachu na życie Massowa. Wspomniał też pokrótce o okolicznościach śmierci Wintera, lecz nie wdawał się w szczegóły.

Massow nie wydawał się szczególnie poruszony wiadomością o tym, że ktoś zamierzał dokonać na niego zamachu. Słuchał spokojnie, popijając kawę, a kiedy

Volkmann skończył, odchylił się do tyłu razem z fotelem, który niebezpiecznie zatrzeszczał pod jego ciężarem.

- Czy wolno mi zapytać, Herr Volkmann, dlaczego pan, brytyjski oficer DSE, interesuje się tą sprawą? Przecież ściganiem sprawców przestępstw popełnionych na terenie Niemiec, których ofiarami padli niemieccy obywatele, powinna się zajmować nasza, niemiecka policja.

Volkmann wyjaśnił, że tej samej broni, z której zabito Wintera, użyto wcześniej podczas dokonanego w Hamburgu zamachu na brytyjskiego biznesmena. Polityk skinął ze zrozumieniem głową, Joseph zaś zapytał:

- Herr Massow, czy zetknął się pan kiedykolwiek z Dieterem Winterem?

- Nigdy - odparł bez wahania postawny mężczyzna. - Przed chwilą usłyszałem o nim po raz pierwszy w życiu.

- Wobec tego jak wyjaśniłby pan fakt, że ów Winter planował zamach na pańskie życie?

Massow uśmiechnął się, nie przestając żuć wykałaczki.

- Powiada pan, że był prawicowym ekstremistą?

- Wszystko na to wskazuje.

Niemiec westchnął głęboko, po czym powiedział:

- Herr Volkmann, gdybym dostawał markę za każdy list z pogrózkami albo wyrokiem śmierci, jakie przysyłali mi tacy osobnicy, byłbym już zamożnym człowiekiem. - Niespodziewanie wstał z fotela. - Pokażę panu coś, jeśli pan pozwoli.

Podszedł do jednej z metalowych szaf, otworzył ją, wyjął opasłą teczkę i położył ją na biurku, uprzednio odsunawszy na bok nie dojedzoną kanapkę. Kiedy rozwiązał tasiemki, z teczki wysypało się mnóstwo kartek różnego formatu i koloru. Niektóre były pokryte ręcznym pismem, na innych wystukano kilka lub kilkanaście linijek tekstu na maszynie.

- To właśnie te listy - wyjaśnił Massow. - Raczej niezbyt uprzejme. Oryginały przekazałem policji, zachowując dla siebie kopie, ale to bez znaczenia, bo jeszcze się nie zdarzyło, żeby schwytano choćby jednego z tych ludzi.

Massow podał Josephowi pierwszą z brzegu kartkę. Ułożony z wyciętych liter napis głosił: Mamy cię na oku, żydowski pedale!

Zaraz potem polityk wręczył Volkmannowi kolejny list, tym razem napisany odręcznie czarnym flamastrem: Precz z imigrantami! Massow, jesteś już trupem!

- Proszę mi wierzyć, to naprawdę najłagodniejsze przykłady. Większość jest znacznie gorsza. - Niemiec ponownie usiadł w fotelu i wskazał gestem okno. - Mieszkańcami okręgu, który reprezentuję, są w znacznej mierze imigranci: Polacy, Azjaci, Grecy, Turcy, Afrykańczycy. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby poprawić ich los. Są jednak i tacy, którzy uważają, że moi podopieczni powinni być odsyłani w bydłowych wagonach tam, skąd przybyli ich rodzice, mimo iż często przyszli na świat już w tym kraju i mają takie samo prawo, by tu mieszkać, jak każdy. - Massow potrząsnął ze smutkiem głową. - Takie postawy można spotkać we wszystkich krajach: we Francji, w Niemczech, Anglii, we Włoszech... Należy się domyślać, że gdyby ekstremiści i rasiści doszli do władzy, razem z imigrantami odesłaliby też ludzi takich jak ja. - Mężczyzna bezradnie wzruszył potężnymi ramionami. - Dość często bandyci i mordercy, którzy uważają się za „prawdziwych Niemców”, obrzucają naszą siedzibę butelkami z benzyną lub próbują podłożyć bombę, ale my zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić. Na szczęście mam znakomitych, oddanych współpracowników. Nie twierdzę, że lekceważymy pogrożki, lecz mimo wszystko staramy się kontynuować naszą pracę.

- Kim są ludzie, którzy przysyłają panu te listy? - zapytał Volkmann, wskazując stertę papierów.

- Przypuszczalnie bardzo przypominają pańskiego przyjaciela Wintera. To ekstremiści, neonaziści, ksenofobi, zwyrodnialcy, szaleńcy... - Massow uśmiechnął się i ponownie wzruszył ramionami. - Wymieniłem chyba wszystkich, jacy przychodzą mi do głowy.

- Słyszał pan może kiedyś o jakimś Wolfgangu Lubschu? Niemiec zmarszczył brwi.

- Ma pan na myśli tego terrorystę?

- Właśnie jego.

- Owszem, słyszałem.

- Jak dużo? A może miał pan okazję go poznać? Massow uniósł brwi i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Josepha badawczym spojrzeniem.

- Herr Volkmann, ten człowiek jest groźnym przestępcą poszukiwanym przez policję. Kiedyś, dawno temu, jeszcze w czasach studenckich, przedstawiono nas sobie podczas jakiegoś wiecu w Hamburgu. Uprzedzając pańskie kolejne pytanie poinformuję od razu, że nie jesteśmy przyjaciółmi i nie utrzymujemy żadnych kontaktów. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

- A plany zamachu na pańskie życie, o których wspomniałem?

- Co ma pan na myśli?

- Może domyśla się pan, kto mógł za tym stać?

- Nie, Herr Volkmann. Nie mam najmniejszego pojęcia. Przypuszczam, że musieli to być jacyś szaleńcy, tacy jak ci, których panu przed chwilą wyliczyłem. - Massow uśmiechnął się niespodziewanie. - Szczerze mówiąc, gdybym nagle przestał otrzymywać listy z pogrózkami i wyroki śmierci, zacząłbym się poważnie niepokoić, ponieważ oznaczałoby to, że rasiści, bigoci i faszyci zapalali do mnie sympatią, a tego chyba bym nie zniósł.

- Dlaczego zależy im na pańskiej śmierci?

- Ponieważ ja i podobni do mnie jesteśmy jak ciernie rozsypane na wygodnej kanapie, nie pozwalające rozsiać się i w błogim zadowoleniu zapomnieć o bożym świecie.

- Czy mógłby mi pan to wyjaśnić?

Massow wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Promienie słońca padły na jego twarz, zmuszając go do zmrużenia oczu. Odwrócił się w kierunku Volkmana, który dopiero teraz, w pełnym świetle, dostrzegł głębokie zmarszczki na szerokiej, otwartej twarzy polityka.

- Czy wie pan coś o tym, w jaki sposób traktuje się w tym kraju imigrantów? Jest ich teraz co najmniej pięć milionów. We Francji i we Włoszech problem ma

podobne rozmiary, ale mnie interesuje przede wszystkim sytuacja tu, w Niemczech. Wielu spośród nich przybyło bezpośrednio po wojnie, kiedy brakowało siły roboczej, a rodowici Niemcy nie palili się zbytnio do podejmowania pracy na najniższych płacach stanowiskach. Imigranci wykonywali całą brudną robotę, której większość Niemców nie tknęłaby nawet palcem. Naturalnym biegiem rzeczy osiedlali się, zakładali rodziny, wychowywali dzieci. Obecnie stanowią niemal siedem procent populacji, czyli jest ich więcej niż Żydów przed wojną, ale w przeciwieństwie do nich niemal wszyscy wpadli w pułapkę ubóstwa. Kiedyś byli potrzebni, teraz na ich miejsca pracy mają ochotę Niemcy ze wschodniej części kraju, a nawet ci, co jeszcze niedawno daliby w twarz każdemu, kto posądziłby ich o takie zamiary.

Niemiecki Kodeks Pracy nakazuje pracodawcom traktować jednakowo wszystkich zatrudnionych, ale w praktyce sprawy te mają się rozmaicie. Imigranci otrzymują niższe wynagrodzenie, bezrobocie zaś sięga wśród nich dwudziestu pięciu procent. Mieszkają głównie w gettach takich jak to i w schroniskach. Problem jest naprawdę niepokojący, ale jeszcze bardziej alarmująca jest reakcja niemieckiego społeczeństwa, które w odpowiedzi na akty terroru ze strony rasistów i neonazistów potrafi się zdobyć tylko na próby ograniczenia napływu przybyszów z zewnątrz i zmuszenia tych, co już tu są, do powrotu do ojczyzny, zupełnie jakby winę za zbrodnię ponosił nie kat, lecz jego ofiara.

Przez twarz Massowa przemknął grymas gniewu.

- Kiedy wybuchają bomby i płoną domy, politycy rozkładają bezradnie ręce, twierdząc, że nie mają wystarczająco wielu policjantów, choć jednocześnie są w stanie zapewnić ochronę nie tylko sobie, lecz również niemal wszystkim wyższym urzędnikom i poważnym przedsiębiorcom.

Niemiec ponownie spojrzął za okno, po czym skierował spojrzenie na Josepha.

- Kiedy wyjdzie pan z tego budynku, Herr Volkmann, proszę przespacerować się pobliskimi ulicami. Proszę przyjrzeć się, w jakich warunkach żyją tu ludzie, proszę zapamiętać wyraz twarzy mieszkańców. Oni się boją. Boją się bandytów z

ogolonymi głowami, którzy napadają na ich domy, boją się przyszłości. Jeśli przyjrzy się pan naprawdę uważnie, zobaczy pan beczkę z prochem, do której już wetknięto lont czekający na zapalenie. Pewnego dnia ci ludzie znajdą w sobie dość odwagi, żeby zjednoczyć siły i wystąpić przeciwko prześladowcom, i dopiero wówczas zaczną się prawdziwe kłopoty. Nie zdziwiłbym się, gdyby cały ten cholerny kraj stanął w płomieniach.

Niemiec pokręcił ze smutkiem głową.

- Czasem zastanawiam się, czy przez minione pięćdziesiąt lat cokolwiek się tutaj zmieniło.

- Co ma pan na myśli, Herr Massow?

Polityk wyjął z pojemnika kolejną wykałaczkę, ale nie wsadził jej od razu do ust, tylko zamyślił się głęboko.

- Jedno z haseł, którymi przed wojną posługiwali się naziści, brzmiało Judenfrei, czyli „Bez Żydów” - powiedział wreszcie. - Teraz brzmi ono Ausländerfrei, czyli „Bez cudzoziemców”. Żydów już nie ma, ale są imigranci, którzy doskonale nadają się do roli kozłów ofiarnych. Mechanizm jest identyczny, podobnie jak podteksty. Ponieważ ci ludzie nie mają jasnych włosów i błękitnych oczu, nie mogą być uważani za prawdziwych Niemców.

Massow postąpił krok w kierunku Volkmana, oparł się obiema rękami o biurko i pochylił do przodu.

- Dam panu przykład. Podczas niedawnych wyborów lokalnych w Bremie ultrapravicowa Niemiecka Partia Narodowa ukuła slogan, dzięki któremu zdobyła sześć dodatkowych miejsc w Radzie Miejskiej. Chce pan wiedzieć, jak brzmiał ten slogan? „Łódź jest już pełna”.

Niemiec umilkł i przez kilka sekund oddychał gwałtownie, ale szybko opanował się, usiadł, a następnie powiedział znacznie spokojniejszym tonem:

- Proszę mi wybaczyć, Herr Volkmann. Nie przyszedł pan tu po to, żeby wysłuchiwać przemówień. Zapytał pan o jakiegoś Wintera, a ja uraczyłem pana wykładem na temat sytuacji wewnętrznej naszego kraju.

- Wracając do Wintera - podchwycił Joseph. - Czy na pewno nigdy nie słyszał pan tego nazwiska?

Massow pokręcił głową.

- Nigdy.

Volkmann podniósł się z fotela, a wówczas gospodarz uściśnął mu rękę i powiedział:

- Życzę panu pomyślnego zakończenia śledztwa. Do zobaczenia, Herr Volkmann.

Joseph szedł powoli w kierunku stacji metra. Zimowe słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie, ale powietrze było chłodne i wiał przenikliwy wiatr. Mijając kolejne przecznice robił to, do czego namawiał go Massow: rozglądał się uważnie. Polityk może nieco zagalopował się w swojej przemowie, jednak dzielnica istotnie sprawiała wrażenie ubogiej i mocno zaniedbanej. Było tak zresztą zawsze, gdyż na Kreutzbergu już na długo przed wojną powstały domy z tanimi mieszkaniami dla niezbyt zamożnych robotników.

Dotarłszy do stacji, kupił hot doga od tureckiego sprzedawcy. Czekając na pociąg miał okazję przyjrzeć się ścianom tunelu pokrytym nie tylko kolorowymi graffiti, ale także nazistowskimi hasłami i wymalowanymi czarną farbą swastykami.

Ludzie stojący obok niego na peronie mieli takie same ciemne, przerażone oczy, jak jego ojciec. Ich twarze przywiodły mu na myśl twarze ludzi uwiecznionych na czarnobiałych fotografiach z warszawskiego getta.

Nadjechał pociąg. Volkmann odepchnął od siebie ponure myśli, zaczekał aż otworzą się drzwi i wszedł do wagonu.

Do hotelu dotarł w samo południe. W recepcji poinformowano go, że przed dziesięcioma minutami telefonował pan Jakob Fischer i podał numer, pod którym można go zastać. Joseph zadzwonił zaraz po wejściu do pokoju. Fischer odebrał po pierwszym sygnale.

- Znalazłem dziewczynę, Joe.

- Gdzie mieszka?

- W Berlinie, tyle że w zachodniej części. Dostałem jej adres od kolegi z obyczajówki. Wziął ją do siebie reżyser filmików, w których panienska nadal występuje.

- Masz numer telefonu?

- Jasne. Zadzwoiłem do niej przed chwilą. Powiedziała, że nie chce rozmawiać o zabójstwie Rauschera, ale ja wyjaśniłem jej uprzejmie, że w takim razie będziemy musieli przywieźć ją na posterunek, gdzie złoży oficjalne zeznania, a to trochę potrwa i wcale nie musi być przyjemne.

- Co ona na to?

- Łaskawie zgodziła się z nami spotkać. Wraca do domu około ósmej, a jej przyjaciel wyjechał na parę dni z miasta, więc możemy ją odwiedzić. Przyjadę do ciebie o wpół do dziewiątej.

- W porządku. Będę czekał w hallu.

Dziewczyna mieszkała w południowozachodniej części miasta, w dzielnicy Friedenau. Wysiedli z windy na drugim piętrze, zatrzymali się przed drzwiami i Fischer nacisnął przycisk dzwonka.

Miała około trzydziestu lat, długie jasne włosy i prezentowała się bardzo atrakcyjnie w obcisłych legginsach, płóciennych pantoflach na płaskim obcasie oraz białej bawełnianej bluzce, ciasno opinającej dorodne piersi. Z pewnością nie jest typem niewinnej dziewczynki, pomyślał Joseph, obserwując ją, kiedy szła przed nimi do pokoju.

Urządzone w nowoczesnym stylu mieszkanie było oświetlone kilkoma lampami dającymi łagodny, przyćmiony blask. Na ścianach wisiało kilka abstrakcyjnych płócien oraz sporo wykonanych węglem aktów oprawionych w kosztowne metalowe ramy.

Jakob Fischer pokazał dziewczynie legitymację, lecz ona ledwie raczyła rzucić na nią okiem, Josepha zaś potraktowała tak, jakby był powietrzem.

- Powiedziałam już wszystko waszym ludziom. Przesłuchiwali mnie co najmniej dziesięć razy, więc chyba zdążyli nauczyć się tego na pamięć.

- Rozumiem, Frau Worch, ale mimo to mój kolega chciałby zadać pani jeszcze parę pytań.

Kobieta dopiero teraz skierowała obojętne spojrzenie na Volkmana.

- Jak długo znała pani Herberta Rauschera?

- Dwa lata.

- Czy słyszała pani kiedyś o człowieku nazwiskiem Dieter Winter?

- Nie.

- A może Rauscher znał kogoś o tym nazwisku? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Volkman kolejno wymieniał nazwiska, lecz żadne z nich nie wywołało reakcji ze strony kobiety.

- Nie znałam ludzi, z którymi robił interesy, ani jego przyjaciół - powiedziała ze zniecierpliwieniem. - Kiedy z nim byłam, odwiedzali go tylko dwaj czy trzej fotografowie, których zatrudniał.

- I w rozmowie nigdy nie padły te nazwiska?

- Nigdy.

- Proszę się dobrze zastanowić, Frau Worch.

- Już się zastanowiłam. Nie słyszałam tych nazwisk i nic na to nie poradzę.

Dziewczyna spoglądała na niego z irytacją, ale bez niepokoju. Albo była znakomitą aktorką, albo mówiła prawdę.

- Czy Rauscher angażował się w działalność polityczną?

- W jaki sposób?

- Na przykład, czy mówił pani o swoich sympatiach politycznych?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Powtarzał tylko czasem, jak paskudnie żyło się pod sowiecką okupacją. Czy o to panu chodzi?

- I nic więcej?

Przez twarz dziewczyny przemknął uśmiech.

- Zazwyczaj mówił tylko o seksie, o tym, ile zarobi pieniędzy i jaki sobie kupi następny samochód.

- Czy zdarzało mu się wygłaszać rasistowskie opinie?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Na przykład o to, czy wyrażał się nieprzychylnie o emigrantach żyjących w tym kraju?

Dziewczyna spojrzała ze zdziwieniem na Fischera.

- O co wam chodzi, do diabła?

- Proszę odpowiadać na pytania, Frau Worch. Przeniosła wzrok z powrotem na Volkmana.

- Nie.

- Miał może przyjaciół albo wrogów wśród lewicowych lub prawicowych ekstremistów?

- Wśród kogo?

- Ekstremistów. Neonazistów. Terrorystów. Dziewczyna parsknęła śmiechem.

Obfite piersi zafalowały pod cienkim materiałem bluzki.

- Czy to ma być jakiś dowcip?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, Frau Worch - upomniał ją Fischer.

- Herbert nie zadawałby się z takim gównem.

- Jak wyglądała jego przeszłość?

- A jak niby miała wyglądać?

- Chodzi mi o to, czy o niej opowiadał, czy wspominał rodziców, krewnych...

Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami.

- Jasne, zdarzało mu się, ale raczej rzadko.

- Proszę powtórzyć, co pani powiedział.

- Matka umarła, kiedy miał dwadzieścia lat, a ojca nigdy nie poznał.

- Dlaczego?

- Bo stary zginął w jakimś obozie, czy czymś takim.

- Ma pani na myśli obóz koncentracyjny?

- Nie - odparła dziewczyna, a w jej oczach zamigotało coś jakby iskiereki humoru. - Jedno z tych miejsc na Syberii, dokąd Rosjanie wysyłali po wojnie naszych żołnierzy.

- Dlaczego trafił tam ojciec Rauschera?

- Był nazistą, zdaje się, że jakimś wysokim oficerem czy kimś w tym rodzaju. Nie wiem dokładnie. Herbert wspomniał o tym tylko raz, kiedy był zupełnie pijany.

- Co dokładnie powiedział?

- Że pod koniec wojny, już podczas obrony Berlina, ojciec został ranny, a później dostał się do rosyjskiej niewoli i trafił na Syberię. Właśnie za to, że był oficerem.

- Pamięta pani coś jeszcze?

- Nie. Tylko to, co panu powtórzyłam. On bardzo niechętnie mówił o przeszłości.

- Ale jest pani pewna, że jego ojciec był wysokim oficerem?

- Tak przynajmniej twierdził. - Dziewczyna najwyraźniej zaczynała tracić cierpliwość. - Czy to jeszcze długo potrwa?

- Ostatnie pytanie. Jak pani myśli, dlaczego Rauscher został zamordowany?

- Nie mam pojęcia. Powtarzałam to już setki razy. Volkmann spojrzał na Fischera i skinął głową, ten zaś podniósł się z fotela.

- Dziękujemy, że zechciała pani poświęcić nam nieco swego cennego czasu - powiedział.

Joseph zaprosił Fischera na drinka do baru, podziękował mu serdecznie za pomoc, a następnie odprowadził do głównego wejścia.

- Co zamierzasz, Joe? Będziesz starał się ustalić los ojca Rauschera?

- Szkoda czasu, Jakob. Mógłbym zwrócić się do Rosjan, ale wątpię, czy nawet oni byliby w stanie mi pomóc. Nie znam jego imienia, daty urodzenia, stopnia i przynależności służbowej, więc Ośrodek Dokumentacji też nie na wiele mi się przyda. Podczas wojny w niemieckiej armii mogły służyć setki oficerów o tym nazwisku.

- Tak czy inaczej, daj mi znać, gdybyś się czegoś dowiedział.

- Jasne. Jeszcze raz wielkie dzięki za pomoc.

- Miło było znowu cię zobaczyć, Joe. Uważaj na siebie. Joseph odprowadził spojrzeniem przyjaciela, po czym wrócił do pokoju, nalał sobie szklaneczkę szkockiej, otworzył okno balkonowe i stanął przy metalowej balustradzie, wpatrzony w nocną panoramę rozjarzonego tysiącami światła Berlina.

Sprawa gmatwała się coraz bardziej. Jeśli Monika Worch mówiła prawdę o ojcu Rauschera, to było zupełnie nieprawdopodobne, żeby on sam stał się celem dla ludzi Wintera. W przeszłości tego człowieka nie było nic, co mogłoby świadczyć o jego powiązaniach z lewicowymi lub prawicowymi ekstremistami. Poza tym w czasie, kiedy jego ojciec piął się po szczeblach kariery w hitlerowskiej armii, Herbert Rauscher był zaledwie dzieckiem.

Jednak czy fakt, że ojciec Rauschera dosłużył się wysokiego stopnia, a więc bez wątpienia należał także do NSDAP, można uznać za zwykły zbieg okoliczności? Po dłuższym zastanowieniu Volkmann doszedł do wniosku, iż wdając się w jałowe rozważania tylko zaciemnia obraz sytuacji. Trzeba poszukać innego podejścia; może wtedy uda się dostrzec coś, co pozwoli ułożyć choć mały fragment nadzwyczaj skomplikowanej łamigłówki?

Przed położeniem się spać zadzwonił do Eriki. Opowiedział jej o spotkaniu z Walterem Massowem oraz powtórzył wszystko, czego dowiedział się o Rauscherze. W odpowiedzi usłyszał głębokie westchnienie, po czym dziewczyna zapytała:

- A co z Heddą Pohl?

- Możemy pojechać nad Jezioro Bodeńskie i rozejrzeć się na miejscu.

- Kiedy wrócisz, Joe?

- Odlatuję jutro z samego rana. Na linii zapadło długie milczenie.

- Joe... - szepnęła wreszcie Erika.

- Tak?

- Bardzo za tobą tęsknię.

- I ja za tobą.

Rozdział 32

Wjeżdżając do uroczego miasteczka Friedrichshafen, położonego nad Jeziorem Bodeńskim, widzieli wznoszące się po drugiej stronie wodnej tafli ośnieżone szczyty gór. Tam była już Szwajcaria. Volkmann zostawił forda na parkingu, po czym razem z dziewczyną ruszył na piechotę zupełnie pustą o tej porze roku promenadą. Prószył śnieg, w oknach domów stały udekorowane choinki, nad ulicami i w sklepowych witrynach migotały niezliczone kolorowe lampki.

Po obiedzie, który zjedli w jednej z przytulnych restauracji nad jeziorem, udali się na posterunek policji. Volkmann nie chciał wzbudzać podejrzeń miejscowych funkcjonariuszy, więc postanowił posłużyć się nie legitymacją DSE, lecz dziennikarską, którą wykorzystał podczas pierwszego spotkania z Lubschem. Zatrzymał wóz kilkadziesiąt metrów od komisariatu i resztę drogi odbył na piechotę. Umówili się, że dziewczyna będzie na niego czekać w samochodzie.

W pomieszczeniu przegrodzonym na pół drewnianą barierką siedziało przy biurkach dwóch umundurowanych policjantów. Joseph przedstawił się, pokazał legitymację i powiedział, że chciałby porozmawiać z którymś z oficerów. Po dziesięciominutowym oczekiwaniu ujrzał nadchodzącego korytarzem mężczyznę o czerwonej, nalanej twarzy, byczym karku, szerokich ramionach i ogromnym brzuchu wylewającym się ze spodni. Mężczyzna przedstawił się jako detektyw Heinz Steiner. Joseph zapytał, czy mógłby zamienić z nim kilka słów na osobności, na co Steiner wzruszył ramionami i zaprowadził go do niewielkiego pokoiku, gdzie wskazał Volkmannowi krzesło, sam natomiast zasiadł w mocno sfatygowanym fotelu za drewnianym, obdrapanym stołem.

- Czym mogę panu służyć, Herr Volkmann?

Joseph wyjaśnił, że obecnie pracuje dla jednego z wysokonakładowych pism nad serią artykułów o nie wyjaśnionych zabójstwach i w związku z tym chciałby porozmawiać o morderstwie Heddy Pohl, które miało miejsce przed pięcioma miesiącami. Detektyw zapytał, skąd wzięło się zainteresowanie właśnie tym

zdarzeniem, na co Joseph odparł, iż przypadkowo natrafił na wzmiankę w jednej z monachijskich gazet i pomyślał, iż mogłoby ono zainteresować szersze grono czytelników.

- Czego konkretnie chciałby się pan dowiedzieć?

- Wszystkiego, co dotyczy tej kobiety, Herr Steiner. Kim była, skąd pochodziła, czym się zajmowała... Naturalnie jeśli wie pan już albo przynajmniej domyśla się, dlaczego i przez kogo została zamordowana, byłbym ogromnie wdzięczny także za te informacje.

Steiner pokręcił głową i westchnął głęboko.

- Niestety, w dalszym ciągu nie udało nam się trafić na żaden trop - odparł znacznie mniej oficjalnym tonem. - Ale nie zamykamy śledztwa, Volkmann, i nie zamkniemy go, dopóki nie dowiemy się czegoś konkretnego.

Joseph wyjął z kieszeni notes i długopis.

- W jaki sposób dokonano zabójstwa?

Steiner zapalił papierosa, wydmuchnął w górę kłąb sinoniebieskiego dymu, po czym spojrzał na rozmówcę.

- Trzema strzałami oddanymi z bliskiej odległości. Jeden trafił w pierś, dwa w tył głowy. Pociski kalibru 38. Pewnego wieczoru powiedziała synowi, że jedzie na promenadę, żeby trochę pospacerować, wsiadła do samochodu i pojechała w kierunku miasta, ale z tego, co wiemy, nie dotarta tam. Dwa dni później pewien autostopowicz znalazł jej ciało w lesie, prawie dwa kilometry od jeziora. Przy zwłokach była torebka, ale bez portmonetki. - Steiner zmarszczył brwi. - Zastanawiająca sprawa.

- W jakim sensie, Herr Steiner?

- Jest pan przecież dziennikarzem, Volkmann. Powinien pan wiedzieć, że w tych okolicach zabójstwo z użyciem broni palnej to prawdziwa rzadkość.

- Tak, oczywiście... Myślałem, że ma pan na myśli osobę ofiary.

- To także. Hedda Pohl nie należała do osób, które spotyka taki koniec.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Miała sześćdziesiąt dwa lata, była wdową - to prawda, że dość zamożną, ale bez przesady - nigdy nie weszła w konflikt z prawem, nie manifestowała swoich przekonań, nigdy nawet nie dostała mandatu za niewłaściwe parkowanie, a tymczasem zginęła jak członek gangu, który naraził się kumplom, a ci postanowili raz na zawsze wyrównać rachunki. Wszyscy znali ją jako spokojną, godną szacunku starszą panią, zaangażowaną w działalność społeczną i charytatywną. - Steiner umilkł na chwilę, po czym dodał: - Jest jeszcze jedna sprawa. W pobliżu znaleźliśmy jej samochód. Nie było w nim żadnych obcych odcisków palców, więc wyglądało na to, że sama tam przyjechała, żeby się z kimś spotkać, ale nikt nie wie, kto to mógłby być.

Volkman zanotował tę informację, po czym zapytał:

- Czy była aktywna politycznie? Steiner uniósł brwi.

- Ani trochę. Dlaczego przyszło to panu do głowy?

- Bez żadnego powodu. Po prostu chcę uzyskać jak najpełniejszy obraz sytuacji. Znał ją pan osobiście, Herr Steiner?

Policjant otworzył usta, zamknął je, przez kilka sekund mierzył rozmówcę uważnym spojrzeniem, po czym odparł:

- Tak. Całkiem dobrze.

Joseph odniósł wrażenie, że detektyw początkowo zamierzał powiedzieć coś innego.

- Wie pan może o czymś jeszcze, co mogłoby mi się przydać? Policjant wzruszył ramionami.

- Jej mąż był powszechnie szanowanym biznesmenem. Umarł jakieś dziesięć lat temu.

- A może on miał kłopoty z wymiarem sprawiedliwości? Steiner roześmiał się głośno.

- Nic z tego. Tacy jak on idą prosto do nieba. To był naprawdę wyjątkowo porządny człowiek.

- W jaki sposób umarł?

- Zdaje się, że na atak serca.

- A co z resztą rodziny?

- Też nie ma się do kogo przyczepić. To zwyczajni, uczciwi ludzie; nikomu nie wadzą, więc nie ściągają na siebie niczyjej niechęci ani zawiści. - Steiner bezradnie rozłożył ręce. - Jeśli chodzi o morderstwo, to na razie trzymamy się teorii, że zatrzymała się po drodze, by zabrać autostopowicza, a on zabił ją i obrabował. Chwilowo nie udało nam się wymyślić nic bardziej sensownego.

- Znaleźliście jakieś ślady?

Detektyw wypuścił kolejny kłęb dymu i potrząsnął głową.

- Żadnych. Ani odcisków palców, ani śladów stóp, ani jednego włosa. Wygląda na to, że mamy do czynienia z doświadczonym przestępcą, może nawet wielokrotnym zabójcą. Naturalnie sprawdziliśmy wszystkich z jej otoczenia - rodzinę, przyjaciół, znajomych - ale są poza wszelkimi podejrzeniami.

Volkman zamknął notes, schował go do kieszeni, po czym spojrzał na zegarek.

- Dziękuję panu za pomoc, Herr Steiner. Z pewnością ma pan wiele obowiązków, więc nie będę zajmował panu więcej czasu.

- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że przyśle mi pan egzemplarz pisma z pańskim artykułem?

- Oczywiście.

Śnieg przestał padać, ale od jeziora nadal wiał zimny, przenikliwy wiatr. Joseph i Erika szli wolno promenadą. Dziewczyna wsunęła rękę pod ramię Josepha, a kiedy usiedli na jednej z ławek zwróconych przodem do rozległej tafli wody, powiedziała:

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego ludzie Wintera mieliby zabić tę kobietę. Nic nie łączyło jej z terrorystami, nie była notowana przez policję...

- Jestem pewien, że między Rauscherem, Heddą Pohl i Massowem istnieje jakiś związek - przerwał jej Joseph. - Tyle że na razie nie potrafimy go dostrzec.

- W takim razie, co teraz zrobimy?

- Żebym to ja wiedział... - westchnął Volkmann, wzruszając bezradnie ramionami.

Odniosł wrażenie, że dziewczyna chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Przytuliła się tylko mocniej do niego, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Co się stało? - zapytał, spoglądając na nią uważnie.

- Nic.

- Jesteś pewna? Uśmiechnęła się do niego.

- Po prostu zrobiło mi się zimno. Wracajmy do samochodu, Joe.

Wstali z ławki. Po jeziorze, kilkadziesiąt metrów od brzegu, płynęła żaglowa łódź, zmagając się z falami i silnym wiatrem. Joseph odniósł wrażenie, że widok ten stanowi doskonałą ilustrację jego stanu psychicznego: czuł się zagubiony, niepewny, miały nim sprzeczne uczucia i wątpliwości. Postanowił skontaktować się z Wernerem Barglem z berlińskiego Landesamtu; może od niego dowie się czegoś, co przynajmniej częściowo rozproszy otaczające go ciemności?

Landesamt stanowił niemiecki odpowiednik MI5, jego funkcjonariusze zaś zajmowali się głównie tropieniem terrorystów wszelkiej maści. Było to jedyne źródło, gdzie można było uzyskać jakieś nowe informacje o Kesserze i Winterze. Archiwum Landesamtu powinno zawierać szczegółowy życiorys każdego z nich. Naturalnie istniało niebezpieczeństwo, że Bargel potraktuje jego życzenie jako oficjalną prośbę DSE, ale Joseph zdawał sobie sprawę, iż nie ma wyboru, ponieważ wykorzystał już wszystkie inne możliwości.

Spoglądając na wzburzone wody jeziora zastanawiał się, czy Sanchez posunął się dalej w swoim śledztwie. Raczej nie, bo gdyby tak było, z pewnością by się z nim skontaktował. Joseph westchnął ciężko, objął ramieniem Erikę i ruszył w kierunku samochodu.

Mexico City godz. 1.02

Kruger stał obok basenu, wpatrywał się w połyskującą tajemniczo w ciemności wodę i palił papierosa. Wciąż wracał myślami do niedawnego telefonu z

Asunción. Westchnął po raz kolejny, a następnie przesunął ręką po ciemnych włosach.

Niepokojące. Bardzo niepokojące.

Tak blisko do celu... I nagle coś takiego.

Na razie nie pozostało mu nic innego, jak czekać na przybycie Liebera. Usłyszy od niego pełną relację, ale nawet to, czego już się dowiedział, mocno go poruszyło. Zresztą nie tylko jego. Halder powiedział, że Brandt pojechał do siebie, zapowiadając powrót na spotkanie z Lieberem. Pozostali poszli spać, zostawiając Krugera sam na sam z jego myślami.

Zdusił niedopałek w popielniczce stojącej na ogrodowym stoliku, po czym wrócił do domu i nie zatrzymując się przeszedł przez hali, cztery pokoje oraz kuchnię, by wreszcie dotrzeć do ogrodu rozciągającego się z tyłu posesji. Przystanąwszy na chwilę, zerknął na zegarek oświetlony blaskiem księżyca, a następnie ruszył przed siebie nieco szybszym krokiem.

Noc była piękna, wypełniona głosami świerszczy i zapachem eukaliptusów, ale Kruger miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami. Co prawda zanim przywiozą tu Liebera z lotniska, upewnią się, że tamten nie ciągnie za sobą żadnego „ogona”, ale lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność.

Dotarł do kępy drzew rosnących na skraju trawnika i ponownie spojrzął na zegarek. Minęły dokładnie dwie minuty.

Już raz sprawdził, ile czasu zajmuje dojście spokojnym, ale dość szybkim krokiem do ukrytego za drzewami garażu, lecz mimo to postanowił powtórzyć próbę. Mijając uzbrojonego strażnika odpowiedział skinieniem głowy na jego pozdrowienie, otworzył boczne drzwi niewielkiego budyneczku i wszedł do środka. Ogarnęła go ciemność, a także intensywna woń smarów i paliwa. Podwójne drewniane drzwi były zamknięte na skobel.

Przecisnął się obok samochodu, otworzył ciężkie wrota i pchnął je z całej siły. Jego oczom ukazała się częściowo zarośnięta, gruntowa droga, ledwo widoczna nawet w silnym świetle księżyca. Niemal natychmiast skręcała ostro w lewo, niknąc

za drzewami.

Halder powiedział mu o garażu oraz o ukrytym samochodzie zaraz po tym, jak Kruger zamieszkał w willi. Prawdopodobieństwo, że trzeba będzie korzystać z awaryjnej drogi ucieczki, było minimalne, lecz starzec lubił zabezpieczać się ze wszystkich stron. Garaż stał około stu metrów od willi, ukryty w kępie drzew eukaliptusowych; zarośnięta droga łączyła go z inną, nieco szerszą, która z kolei nikła w labiryncie krętych uliczek i zaułków Chapultepec. Nikt nie wiedział o jej istnieniu, trudno było dostrzec ją nawet z powietrza, niemniej wóz z mocnym silnikiem mógł rozwinąć na niej dość znaczną prędkość.

„Oficjalną” tylną bramę, usytuowaną kilkadziesiąt metrów z boku, można było łatwo zablokować, nie wspominając już o wzięciu pod obserwację. Nawet gdyby tak się stało, dzięki wąskiej, krętej dróżce istniała szansa na dyskretne opuszczenie terenu posiadłości.

Kruger mocno wątpił, czy kiedykolwiek zajdzie taka potrzeba, jednak wyznawał zasadę, że ostrożności nigdy za wiele. Zarówno on, jak i Schmidt zapoznali się nie tylko z główną drogą dojazdową do willi, ale także z tą ukrytą, aby w razie zagrożenia łatwo móc zorientować się w terenie.

Cofnął się do garażu, zamknął ciężkie dwuskrzydłowe drzwi i wyłączył światło. Blask nagiej żarówki wiszącej pod sufitem oświetlił ciemnego, nie wyróżniającego się niczym szczególnym forda. Samochód miał pełny bak paliwa, Schmidt zaś codziennie sprawdzał ciśnienie w oponach oraz stan akumulatora. Tak na wszelki wypadek.

Kruger obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem wewnątrz garażu, wyłączył światło, wyszedł bocznymi drzwiami, zamknął je za sobą, po czym ruszył w drogę powrotną do willi, uważnie licząc kroki.

Rozdział 33

Mexico City wtorek, 20 grudnia, godz. 15.15

Inspektor Eduardo Gonzales był szczupłym, energicznym pięćdziesięcioletkiem o twarzy, jakiej nie powstydziliby się najbardziej bezwzględny rzezimieszek. Jednak za tą groźną aparycją kryły się przenikliwy umysł i duża inteligencja.

Chociaż Gonzales miał szczupłą, wysportowaną sylwetkę, to jednak nie był zdrowym człowiekiem, ponieważ od z górną trzydziestu lat palił co najmniej trzy paczki papierosów dziennie. W związku z tym mówił cichym, zachrypniętym głosem, a niemal każde zdanie przerywał mu dokuczliwy kaszel. Jego palce szpeciły niemożliwe do usunięcia, żółte nikotynowe plamy, lecz szary mundur z czerwonymi epoletami był zawsze nienagannie czysty i wyprasowany.

Z okien gabinetu inspektora roztaczał się widok na Plaža de San Fernando oraz na Mexico City - wielomilionową metropolię, której mała część znajdowała się pod jego jurysdykcją. Sam gabinet był funkcjonalnie urządzony i utrzymany w doskonałym porządku; jedyny zgrzyt stanowiły wypełnione niedopałkami popielniczki rozstawione w strategicznych punktach, to znaczy przy oknie, na metalowej szafce z aktami oraz na biurku, gdzie znalazło się miejsce aż dla dwóch popielniczek: jedna była zwyczajna, z grubego szkła, druga natomiast stanowiła prawdziwe dzieło sztuki. Górna część, wyrzeźbiona przez paragwajskiego Indianina w kawałku twardego drewna, spoczywała na podstawie z bryły lśniącego, mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy kwarcu. Gonzales otrzymał ją w prezencie od przyjaciela, kapitana Vellaresa Sancheza.

Mimo iż popielniczka od wielu lat pracowicie wypełniała swoją funkcję, ciemne drewno wciąż jeszcze wydzielало delikatny, aromatyczny zapach. Na zewnętrznej powierzchni czaszy dłuto prowadzone ręką artysty wyrzeźbiło ponure twarze o szczelnie zamkniętych oczach. Toporne, o grubych rysach, niektóre wykrzywione okrutnym grymasem, trochę przypominały zmniejszone przez amazońskich Indian głowy pokonanych nieprzyjaciół, które można było oglądać w muzeum, lecz mimo to nie wywoływały wstrętu ani przerażenia. Raczej przypominały, że zło, którego stanowiły uosobienie, musi i może zostać ujarzmione

przez silną rękę, na przykład taką, jak ręka rzeźbiarza. Piękno i porządek zawsze triumfują nad złem i brzydotą.

Przynajmniej według Indian.

Tak właśnie powiedział wiele lat temu Sanchez, kiedy z tajemniczym uśmiechem na ustach wręczył mu w Caracas ten upominek. Gonzalesowi spodobała się symboliczna wymowa daru, choć zawodowe doświadczenie podpowiadało mu, iż nawet mądrzy Indianie mogą się czasem mylić. W zwariowanym, położonym na wysokości dwóch tysięcy metrów nad powierzchnią morza mieście, gdzie kłębiło się dwadzieścia milionów istnień ludzkich, najwięcej do powiedzenia miały chaos, anarchia i ślepy przypadek. Niemniej prezent od Sancheza zajął poczesne miejsce na biurku, a kiedy ktoś pytał o pochodzenie niezwyklego przedmiotu, Gonzales chętnie opowiadał jego historię.

Słońce świeciło wyjątkowo mocno jak na tę porę roku. Było bardzo gorąco - przypuszczalnie za sprawą jakiegoś cholernego wyżu nasuwającego się od Zatoki Meksykańskiej. Z zainstalowanego w górnej części okna klimatyzatora sączył się leniwie strumyk chłodnego powietrza, stanowczo zbyt nikły, żeby choć trochę obniżyć temperaturę panującą w pomieszczeniu.

Na biurku Gonzalesa stała metalowa taca z butelkami gazowanej wody, czterema szklankami i dzbankiem wymieszanego z lodem świeżego soku limonowego. Pomimo upału zarówno sok, jak i woda były nie tknięte, choć młody policjant przyniósł je już ponad kwadrans temu.

Wokół biurka siedziało czterech mężczyzn: po jednej stronie Gonzales i jeden z jego najlepszych detektywów nazwiskiem Juales, po drugiej Sanchez i Cavales.

Eduardo Gonzales zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się głęboko, po czym przez dłuższą chwilę walczył z suchym kaszlem. Kiedy wreszcie udało mu się nad nim zapanować, strząsnął popiół, a następnie spojrzał na dwóch mężczyzn siedzących w fotelach naprzeciwko niego. Obaj sprawiali wrażenie mocno zmęczonych długą podróżą, obaj też chyba nie czuli się najlepiej w ubogiej w tlen atmosferze.

Przybysze zjawiający się w Mexico City potrzebowali zazwyczaj około czterdziestu ośmiu godzin na pełną aklimatyzację, ci dwaj natomiast byli w mieście zaledwie od godziny. Z lotniska przyjechali pędzącym na sygnale policyjnym radiowozem. Gonzales domyślał się, że dokucza im nieznośne pieczenie w płucach oraz ciągle zawroty głowy, ale żaden nie poskarżył się ani słowem.

Po serdecznym przywitaniu i wymianie uprzejmości Sanchez wyjaśnił powody, dla których przyleciał do Meksyku w ślad za Franzem Lieberem alias Juliusem Monckiem. Gonzales słuchał go uważnie, ze zmarszczonymi brwiami, a kiedy Sanchez skończył, inspektor zakasłał i powiedział:

- W porządku. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, posłuchamy teraz, co porabia wasz znajomy.

Skinał głową Jualesowi, który pochylił się do przodu w fotelu i zaczął mówić cicho, lecz wyraźnie, spoglądając to na słuchaczy, to do trzymanego na kolanach notesu. Miał na sobie przepisowe granatowe spodnie, białą koszulę i krawat, przy pasie zaś, oprócz służbowego rewolweru Smith & Wesson, wisiało walkietalkie.

- Julius Monck, alias Franz Lieber, przybył do Mexico City przed dwiema godzinami, o trzynastej szesnastie czasu miejscowego. W hali przylotów czekało na niego sześciu naszych ludzi, natomiast dwaj inni, w przebraniu pracowników lotniska, zidentyfikowali go zaraz po tym, jak wysiadł z samolotu. Nie mieliśmy z tym żadnego problemu dzięki fotografii, którą przesłał nam pan faksem.

Spojrzał na Sancheza, a następnie znowu zerknął do notatek.

- Po odebraniu bagażu chciał przejść przez bramkę dla podróżnych nie zgłaszających nic do oclenia, ale jeden z celników zatrzymał go na naszą prośbę i dokładnie przejrzał zawartość walizki. Nie znalazł nic podejrzanego. Oto szczegółowa lista, gdybyście panowie byli zainteresowani. Sanchez machnął niecierpliwie ręką.

- Może później. Proszę mówić dalej.

- O trzynastej czterdzieści siedem obiekt zadzwonił do kogoś z hali przylotów, po czym udał się do punktu wymiany walut, gdzie zamienił dolary na peso. Żaden z

wywiadowców nie zauważył, jaki wystukuje numer, ponieważ stał bardzo blisko aparatu i zasłaniał sobą klawiaturę. Rozmowa trwała niespełna sześćdziesiąt sekund, obiekt zaś sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego. Zaraz potem wypił w barze szklanekę soku owocowego i o trzynastej pięćdziesiąt sześć wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki. Pół godziny później przyjechał do hotelu Sheraton, gdzie zameldował się jako Julius Monck. - Juales oderwał wzrok od zapisków. - Był tam jeszcze kwadrans temu. Pokój 215.

- A teraz? - zapytał z niepokojem Sanchez. Juales poklepał przytroczony do pasa radiotelefon.

- Mamy tam sześciu agentów po cywilnemu. Jeśli Lieber wyjdzie z pokoju albo jeżeli ktoś go odwiedzi, natychmiast będziemy o tym wiedzieć.

- Co z tą rozmową telefoniczną? - wtrącił się Gonzales. - Udało wam się coś ustalić?

Juales pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym. - Przeniósł wzrok na Sancheza i Cavalesa. - Jestem winien panom wyjaśnienie. Otóż jak tylko Lieber wyszedł z hali przylotów, moi ludzie podbiegli do aparatu, wcisnęli guzik „redial” i nagrali elektroniczne odgłosy towarzyszące ponownemu wyborowi numeru. Na tej podstawie nasi technicy powinni ustalić numer, pod który dzwonił Lieber. - Zerknął na zegarek. - Myślę, że skończą lada chwila.

Sanchez skinął z uznaniem głową, natomiast Gonzales uśmiechnął się, odsłaniając żółte zęby.

- Ta nowoczesna technika... - Machnął ręką, w której trzymał papierosa. - Starzy policjanci, tacy jak ja, niewiele z tego rozumieją. W porównaniu z nami każdy z tych młodych chłopców z laboratoriów w podziemiach to Einstein. Dla nich komputer nie ma żadnych tajemnic, a ja, jeśli posadzą mnie przed klawiaturą, głupieję najdalej po pięciu minutach.

Sanchez przytaknął mu ze zrozumieniem. Bolały go wszystkie kości, miał kłopoty z oddychaniem, w głowie czuł dokuczliwy, pulsujący ból. Zerknął na

Cavalesa i zobaczył, że tamten pociera zaczerwienione oczy. Na pewno czuje się tak samo jak ja, pomyślał Sanchez. Przydałby się nam porządny prysznic, a potem trochę snu, ale nie czas na to. Jeszcze nie.

Zaschło mu w ustach, lecz choć dzbanek z zimnym sokiem był zaledwie o wyciągnięcie ręki, oparł się pokusie i przeniósł wzrok na Gonzalesa.

- Czy Lieber przekraczał już kiedyś granicę Meksyku posługując się tym paszportem co dzisiaj?

Inspektor zakasłał, odchrząknął, dwa razy uderzył się pięścią w pierś, po czym odparł:

- Nie, przynajmniej nie drogą lotniczą. Sanchez spojrzał na Jualesa.

- Na jak długo Lieber zatrzymał się w Sheratonie?

- W recepcji powiedział, że zostanie dzień albo dwa, ale jeszcze nie wie na pewno.

- Czy macie jakieś dojsie do hotelu?

- Rozmawialiśmy z kierownikiem - odparł Juales. - Okazał się bardzo chętny do współpracy. Nawet dał nam pokój w pobliżu tego, który wynajął Lieber. Jest tam dwóch naszych ludzi. Jak tylko wyjdzie z hotelu, wślizgną się dyskretnie i zainstalują dwa albo trzy mikrofony na wypadek, gdyby mieli się tam zjawić jacyś goście.

- A co z telefonem?

- Już się tym zajęliśmy. Kierownik nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy podłączyli się do hotelowej centrali, ale najpierw chciał zobaczyć nakaz. - Juales spojrzał na zegarek. - Nasi technicy są już w drodze. Najdalej za pół godziny wszystko będzie gotowe.

Sanchez przeniósł wzrok na Gonzalesa i skinął z wdzięcznością głową.

- Nie oczekiwałem aż takiej pomocy, Eduardo. Jestem ci ogromnie zobowiązany.

Gonzales wzruszył ramionami, otworzył usta, by coś powiedzieć, ale przegrał z kolejnym atakiem kaszlu, więc tylko machnął lekceważąco ręką i wskazał na

prezent od Sancheza; ponure, zawzięte twarze zdawały się przypatrywać im zamkniętymi oczami.

- Tylko w ten sposób możemy poradzić sobie z upiorami tego świata - wychrypiał z uśmiechem, odzyskawszy wreszcie głos.

Sanchez także się uśmiechnął, ale bez większego przekonania.

Gonzales wstał z fotela, podciągnął granatowe spodnie i popatrzył na nie tknięte napoje. Atmosfera w gabinecie była napięta, zupełnie jak w poczekalni oddziału położniczego, gdzie zatroskani mężowie czekają na wieści z sali porodowej. Tutaj z pewnością nie uda im się odprężyć.

- Nic nie wymyślimy, dopóki Lieber nie wykona pierwszego ruchu - oświadczył. - Na końcu korytarza jest przytulna salka konferencyjna; może byśmy się tam przenieśli? Na pewno będzie wam wygodniej niż tutaj. Juales ma przy sobie radiotelefon, więc będziemy o wszystkim informowani na bieżąco. - Mrugnął porozumiewawczo do Sancheza. - Poza tym to jedyna szansa, żeby trochę poplotkować. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni widzieliśmy się w Caracas.

16.40

Franz Lieber stał przy oknie w pokoju na czwartym piętrze hotelu Sheraton. Przed chwilą wypił do końca już drugą whisky z wodą i teraz spoglądał na panoramę miasta, ściskając w potężnej ręce szklaneczkę z grubego, rżniętego szkła. Cichy szmer klimatyzacji, na który zazwyczaj nie zwracał najmniejszej uwagi, teraz z każdą chwilą coraz bardziej działał mu na nerwy.

Był ogromnie zmęczony. W szerokiej piersi czuł niezliczone bolesne ukłucia, jakby przebiegał przez nią prąd, a mimo dość niskiej temperatury panującej w pokoju, po skroniach i czole ściekały mu strużki potu.

Wszystko przez ten cholerny stres.

Po raz kolejny otarł czoło.

Już sama podróż była wystarczająco wyczerpująca: z Asunción do Sao Paulo, tam nocleg, a potem długi przelot do Mexico City. Do tych obciążeń należało dodać inne, wynikające ze świadomości powagi sytuacji. Nawet teraz niepokojące myśli nie

dawały mu spokoju, wracając z uporem i wgrzając mu się w mózg niczym wygłodniałe szczury. Tak, złe samopoczucie nie było spowodowane wyłącznie zmianą klimatu.

Wziął głęboki wdech, następnie powoli wypuścił powietrze. Powtórzył tę operację trzy razy, usiłując jednocześnie odprężyć wszystkie mięśnie, ale zdawał sobie sprawę, iż jego wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie.

Mexico City przypominało mu ogarnięte szaleństwem mrowisko wzniesione na szczycie góry gówna. Nienawidził takich miast: ogromnych, kipiących życiem, rozrastających się w nie kontrolowany sposób.

Kobieta na pewno pomogłaby mu pozbyć się części napięcia, ale Kruger kategorycznie zabronił mu wychodzić z pokoju oraz przyjmować jakichkolwiek gości. Miał spokojnie siedzieć i czekać na telefon.

Najpierw sprawdzą hotel, by upewnić się, że nie przyciągnął za sobą jakiegoś „ogona”. Rozmawiając z Krugerem z automatu na lotnisku usiłował mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że zachował wszelkie środki ostrożności, lecz jego zapewnienia nie spotkały się ze zrozumieniem.

- Siedz w pokoju i nie wychylaj nosa. Skontaktuję się z tobą.

- Kiedy?

- Jak tylko będę mógł. Tymczasem nie wykonuj żadnych ruchów - polecił mu Kruger i odłożył słuchawkę.

Lieber pokręcił głową, zaklął szpetnie, po raz nie wiadomo który otarł pot z czoła. Czekać! Dobrze sobie. Jeszcze trochę, a oszaleje, zamknięty w czterech ścianach.

Jak długo może trwać to sprawdzanie? Siedzi w pokoju już prawie od dwóch godzin. W chwili, gdy podszedł do minibaru, żeby nalać sobie kolejną porcję whisky, zadzwonił telefon. Lieber aż podskoczył, jakby był podłączony do dzwonka, przez kilka sekund stał jak sparaliżowany, po czym odstawił szklanekę i schylił się, by podnieść słuchawkę.

Sanchez siedział rozparty w fotelu w zacisznej salce konferencyjnej. Otaczały go białe ściany, pod stopami miał puszysty szary dywan, jego wzrok przesuwiał się

po starych, sprawiających wrażenie solidnych meblach oraz wykonanych tuszem rysunkach, przedstawiających widoki podpatrzone na ulicach miasta. Kościoły. Uliczni sprzedawcy. Jakiś festyn. Aztecka świątynia. W kącie pokoju stała maszyna do kawy, roztaczająca dokoła orzeźwiający, intensywny zapach, obok niej zaś szafka z napojami chłodzącymi. Przez okno widać było imponujące wieże katedry oraz ciemny masyw Zocalo.

Po dziesięciminutowej pogawędce z Gonzalesem ogarnęło go tak wielkie zmęczenie, że umilkł i ograniczył się do przysłuchiwania rozmowie. Teraz leniwie popijał sok pomarańczowy z celuloidowego kubka, skubiąc bez zapału leżący przed nim na papierowym talerzu placek polany pikantnym sosem chili. Co prawda żołądek domagał się pożywienia, ale umysł był wciąż zajęty innymi sprawami. Gdyby nie to, że nie chciał sprawić przykrości gospodarzowi, w ogóle nie tknąłby jedzenia.

Rozmowa toczyła się dalej, choć należałoby raczej nazwać ją monologiem, ponieważ mówił prawie wyłącznie Gonzales. Opowiadał o starych dobrych czasach, o problemach związanych z pracą w Mexico City, o interesujących przypadkach.

Juales siedział wsłuchany w słowa szefa, od czasu do czasu kiwając z namaszczeniem głową. Jego krótka szyja zupełnie zniknęła w kołnierzyku koszuli, w związku z czym wyglądał tak, jakby jej w ogóle nie miał. Na Sanchezie wywarł wrażenie inteligentnego, sumiennego oficera. Gonzales dobrze wybrał najbliższego współpracownika.

Juales spojrzał na Sancheza, jakby odgadując, że ten właśnie o nim myśli, uśmiechnął się przelotnie, a następnie ponownie utkwiał wzrok w swoim przełożonym.

- Myśli pan, że Asunción to piekło? - zwrócił się Gonzales do Cavalesa, tak samo jak on palącego papierosa. - W takim razie powinien pan przenieść się na miesiąc tu, do nas. Dwadzieścia trzy miliony ludzi, amigo. Coś jakby połączenie zoo z zakładem dla obłąkanych, tyle że bez ścian.

Sanchez zamknął na chwilę oczy, zacisnął mocno powieki, otworzył je znowu.

Miasto widoczne za oknem sięgało aż po horyzont, a przypuszczalnie znacznie dalej. W jaki sposób Gonzales i jego ludzie dawali sobie tu radę? Tyle przestępstw, tylu nieobliczalnych szaleńców... Same problemy organizacyjne z pewnością mogły przyprawić o ból głowy.

Właśnie: czuł się tak, jakby wsadził głowę pod młot parowy. Niedostatek tlenu sprawiał, że oddychało się ciężko, mięśnie reagowały z opóźnieniem na polecenia wysyłane przez mózg, procesy myślowe natomiast zdawały się przebiegać w zwolnionym tempie, jakby organizm bronił się przed jakimkolwiek wysiłkiem, wszystko jedno, fizycznym czy umysłowym.

Długa podróż - z Asunción do Limy, z Limy do Bogoty, a stamtąd do Mexico City - była nadzwyczaj wyczerpująca, a do tego należało dodać jeszcze skumulowane efekty braku snu przez minione dwa tygodnie. Prawdziwa mieszanka piorunująca. Po raz pierwszy od bardzo dawna odezwały się znajome, niepokojące dolegliwości w klatce piersiowej.

Coś jednak wisiało w powietrzu. Był tego pewien.

Kolejny ruch należał do Liebera. Sanchezowi nie pozostało nic innego, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Z czegoś w rodzaju letargu, w który zapadł uśpiony monotonnym szmerem rozmowy, wyrwał go odgłos otwieranych drzwi. Zwróciwszy głowę w tamtą stronę zobaczył młodego, przystojnego mężczyznę w kremowym garniturze, z plikiem papierów w rękach. Nowo przybyły skinął głową gościom z Paragwaju, po czym zwrócił się do Jualesa:

- Kapitanie, mogę pana prosić na minutkę?

Juales podniósł się z fotela i obaj mężczyźni wyszli na korytarz. W pokoju zapadła cisza. Nawet Gonzales umilkł i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w zamknięte drzwi. Mniej więcej po minucie Juales wrócił, trzymając w ręce pojedynczą kartkę.

- Udało się ustalić, dokąd Lieber dzwonił z lotniska - oznajmił.

- No i...? - ponaglił go przełożony.

- To posiadłość w Lomas de Chapultepec.

- Bardzo zamożna dzielnica - mruknął Gonzales. - Wiecie już, kto tam mieszka?

Juales pokręcił głową.

- Jeszcze nie, ale mój człowiek zdążył zasięgnąć nieco informacji. Otóż rezydencja należy do firmy Cancun Enterprises, której właścicielem jest niejaki Josef Halder. To stary człowiek, bardzo zamożny.

- Słyszałem o nim. - Gonzales zaciągnął się dymem i spojrzał na gości, którzy wpatrywali się w niego z oczekiwaniem. - Halder urodził się w Niemczech - wyjaśnił. - Jest nie tyle zamożny, ile wręcz nieprzyzwoicie bogaty. Ma kilka posiadłości w mieście i okolicy. - Zakasłał, po czym uśmiechnął się chytrze. - Jeśli się nad tym zastanowić, to trochę przypomina tego twojego starca, jak mu tam...

- Tsarkina?

- Właśnie.

- W jakim sensie?

- Halder przyjechał do nas z Brazylii jakieś czterdzieści lat temu i od razu zaczął robić interesy na wielką skalę. Teraz ma chyba około osiemdziesiątki, jest powszechnie znany, wyrobił sobie znajomości w bardzo wpływowych kręgach. Kiedy pracowałem w komendzie głównej, Francuzi zwrócili się do nas z wnioskiem o ekstradycję, twierdząc, że podczas wojny Halder służył w gestapo i jest odpowiedzialny za zbrodnie popełnione na terenie Francji. Wniosek został odrzucony - przypuszczam, że Haldera musiało to sporo kosztować, ale zapewniam was, że miał z czego płacić, a poza tym skorzystał z pomocy potężnych przyjaciół. Francuzi nie chcieli się pogodzić z tą decyzją, lecz w końcu musieli dać za wygraną, ponieważ Halder złożył pod przysięgą pisemne oświadczenie, w którym stwierdził, że nie popełnił żadnego z zarzucanych mu czynów. - Inspektor uśmiechnął się z przekąsem. - Nie uważasz, że pewne sprawy stają się znacznie prostsze, kiedy masz wystarczająco dużo na koncie?

Sanchez skinął głową.

- Powiadasz więc, że posiadłość należy do niego?

- Na to wygląda. To zamożna, elegancka dzielnica, położona z dala od osiedli robotniczych. Wzgórza, doliny, mnóstwo zieleni... Naprawdę piękne miejsce. I modne. Tylko najbogatszych stać na kupienie rezydencji w tym rejonie.

- Możecie sprawdzić, kto tam teraz mieszka?

- Moglibyśmy, ale tylko poprzez firmę Haldera, a to byłoby tak, jakbyśmy zaczęli machać mu przed oczami czerwoną flagą. - Gonzales pokręcił głową. - Wolę posłać na miejsce kilku ludzi, którzy będą obserwować teren i fotografować każdego, kto wchodzi albo wychodzi. Co ty na to?

- Będę ci ogromnie wdzięczny, Eduardo.

- Nie ma sprawy, amigo. Juales zaraz się tym zajmie. Nagle rozległo się elektroniczne popiskiwanie. Juales odpiął od paska radiotelefon i przyłożył do ucha. Przez chwilę słuchał ze zmarszczonymi brwiami, po czym zaczął ostrym tonem zadawać pytania:

- Kiedy?... Zapisaliście numer?... Zawiadomcie wszystkie patrole, ale niech się do nich nie zbliżają, tylko jadą w bezpiecznej odległości, zrozumiano? - Wyłączył radiotelefon, położył go na stole i spojrzał na Gonzalesa. - Ktoś dzwonił do Liebera.

Inspektor uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Oczywiście nagraliście rozmowę? Juales pokręcił głową.

- Nie, bo nasi technicy dopiero kończyli instalować podsłuch. Kiedy włączyli magnetofon, Lieber odłożył już słuchawkę.

- Cholera!

- To nie wszystko. Dwie minuty temu opuścił hotel, przeszedł na drugą stronę ulicy i kupił gazetę. Zaraz potem podjechał samochód, Lieber wskoczył na fotel pasażera i wóz ruszył z piskiem opon.

- Taksówka?

- Nie, prywatny samochód. Garbus.

- Nasi ludzie ruszyli za nim?

- Tak, ale...

- Ale co?

Juales z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Zgubili go dwadzieścia sekund temu.

Rozdział 34

godz. 17.14

Spocony jak mysz Lieber siedział obok kierowcy, który ze zdumiewającą swobodą prowadził białego volkswagena w gęstym ruchu, na pierwszy rzut oka nie podlegającym żadnym regułom. Wrzeszczący bez pamięci, gwałtownie gestykulujący ludzie wychylali się przez okna innych samochodów, niezdyscyplinowani piesi, mrowie ulicznych sprzedawców, żebraków, włóczęgów... Wszystko to przypominało sceny z jakiegoś koszmarnego snu.

Lieber czuł się fatalnie. Bolała go głowa, świeża koszula, którą założył przed wyjściem z hotelu, była już całkiem przepocona, miał sucho w ustach. Pocieszające było tylko to, że zdaniem Krugera był „czysty”. Dwaj ludzie Haldera przez prawie dwie godziny obserwowali ulicę przed hotelem oraz główny hall, lecz nie zauważyli niczego podejrzanego. Żadnych policjantów, żadnych wywiadowców w cywilnych ubraniach.

Naturalnie mogło to oznaczać, że śledzą go wyjątkowo dobrze wyszkoleni zawodowcy, lecz Lieber mocno w to wątpił. Poruszał się szybko, był ostrożny, a o Latynosach miał wyrobione zdanie: są do niczego. Naturalnie z wyjątkiem kobiet, których ciała w kształcie klepsydr zostały stworzone wyłącznie w celu dawania rozkoszy. Sanchez stanowił coś w rodzaju wyjątku, ale po bliższym zastanowieniu należało stwierdzić, że on także jest kretynem. Może nie całkowitym, ale jednak kretynem.

Mimo opuszczonych szyb Lieber miał wrażenie, że dusi się w ciasnym wnętrzu volkswagena. Samochód prowadził jeden z ludzi Haldera, ubrany w przepocony podkoszulek i szorty. Ze zmarszczonymi brwiami wykonywał

gwałtowne ruchy kierownicą, wykorzystując każdą lukę między sunącymi powoli pojazdami.

Z wolna zapadała ciemność, zapalało się coraz więcej świateł, na ulicach zaś - o ile było to jeszcze możliwe - ruch gęstniał z każdą chwilą. Na szczęście kierowca doskonale znał miasto, omijał największe korki, przemykając bocznymi zaułkami i alejkami, nie zwracając uwagi na wściekłe wrzaski ulicznych sprzedawców, którzy nierzadko w ostatniej chwili uskakiwali wraz ze swymi przenośnymi kramami spod kół maszyny. W miarę jak biały volkswagen wspinał się wyżej, oddalając się od centrum, tłok stawał się coraz mniejszy a powietrze czystsze. Chwilami Lieber odnosił wrażenie, że znalazł się w prawdziwych górach; silnik wył na wysokich obrotach, a co pewien czas to z lewej, to z prawej strony ukazywała się zapierająca dech w piersi panorama gigantycznego miasta.

Kilkupiętrowe budynki mieszkalne o brudnych, pokrytych napisami murach ustąpiły miejsca eleganckim willom otoczonym pięknie utrzymanymi ogrodami. Przy bramach z kutego żelaza stali uzbrojeni strażnicy, uważnie obserwując przejeżdżające samochody.

Lieber był już kilka lat temu w Mexico City, więc wulkaniczny masyw Chapultepec stanowił dla niego znajomy widok. Tutaj, za wysokimi parkanami, wśród szmeru sztucznych strumyków, w cieniu rozłożystych drzew, żyła elita mieszkańców stolicy: najlepsi z najlepszych, najbogatsi z najbogatszych.

Volkswagen raptownie skręcił w boczną alejkę i zatrzymał się z piskiem opon przed potężną bramą z żelaznych prętów. Strażnik w milczeniu zajrzał do wnętrza samochodu, a następnie otworzył bramę, wpuszczając ich na teren posiadłości.

Samochód ruszył pod górę krętą żwirową drogą, która kończyła się obszernym podjazdem przed wejściem do pięknej białej willi otoczonej mnóstwem roślin, wśród których nawet niezbyt wprawne oczy Liebera dostrzegły poinsecje oraz zempoazuchitl, zwany także „kwiatem śmierci”. Zadbane trawniki, okalające wysmukłe drzewa palmowe, były rzęsiście oświetlone, świeciło się też we wszystkich oknach rezydencji. Willa przytłaczała luksusem: rozległa, o urozmaiconej

linii dachu, mnóstwie okien, tarasów, krużganków i balkonów, wywierała ogromne wrażenie, obiecując nie tylko wygodę, ale także całkowite bezpieczeństwo.

Z okna samochodu Lieber dostrzegł basen wypełniony turkusową wodą, wyłożone kamiennymi płytami patio, oraz znajomych strażników, Wenera i Rotmana. Ubrani w lekkie obuwie, szorty i sportowe bluzy patrolowali ogród, uzbrojeni w pistolety maszynowe Heckler & Koch MP5K. Kilka metrów dalej stał potężnie zbudowany Schmidt z kaburą pod lewą pachą. Nigdzie nie było widać noża, lecz Lieber doskonale wiedział, że olbrzym nie rozstaje się z nim ani na chwilę.

W salonie, za odsłoniętymi oknami, czekało czterech mężczyzn: wysoki, o srebrzystych włosach oraz Kruger stali przy barku, natomiast stary Halder siedział w rozłożystym fotelu, ściskając w drżących dłoniach gotowy do użytku inhalator. Pomarszczony, słaby jak dziecko, zniedołężniały Halder, który podobno dawno temu zabijał ludzi gołymi rękami, wydzierał im oczy, gwałcił kobiety i roztrzaskiwał czaszki noworodkom. Teraz wyglądał jak nieszkodliwy starzec, co prawda stojący już nad grobem, ale wciąż potężny, wciąż w sieci.

Czwartym oczekującym był Ernesto Brandt, Mischling, syn Niemca i Brazylijki. Brązowe, przeredzone włosy, brązowe oczy, śniada cera, grube szkła w drucianych oprawkach oraz wysokie czoło sprawiały, że przypominał humanoida lub ekscentrycznego naukowca. Z pewnością przekroczył już pięćdziesiątkę, lecz wyglądał znacznie młodziej. On także był bardzo ważny; bez niego cały skomplikowany plan nie mógłby się powieść.

Samochód zatrzymał się z szurgotem opon przed wejściem, ale Lieber jeszcze przez kilka sekund siedział nieruchomo, zbierając siły przed czekającą go rozmową.

Ci czterej ludzie czekali na niego. godz. 17.20

Samochody poruszały się w ślimaczym tempie zderzak przy zderzaku. Sanchez czuł, jak pot strumieniami spływa mu po ciele; nie dość, że był zmęczony i podenerwowany, to jeszcze coraz bardziej dokuczał mu niedostatek tlenu w powietrzu.

Gonzales, który siedział obok kierowcy i przez cały czas nerwowo bębnił

palcami w krawędź drzwi, wreszcie nie wytrzymał, zaklął szpetnie, wystawił na zewnątrz niebieskiego „koguta” i włączył syrenę. Migające jaskrawe światło oraz zawodzący jęk w okamgnieniu utorowały im drogę; zanim Sanchez zdążył się obejrzeć, minęli korek i nabierając prędkości ruszyli ulicą prowadzącą stromo pod górę. Szczęście nie trwało jednak długo; za kolejnym zakrętem ujrzeli następane zablokowane skrzyżowanie.

- Skręcaj w lewo! - polecił Gonzales kierowcy.

Ten posłusznie wykonał polecenie. Przemknęli wąską, przeznaczoną tylko dla pieszych alejką, ściągając na siebie zaintrygowane spojrzenia przechodniów, przeskoczyli przez wysoki krawężnik, po czym z donośnym łoskotem wylądowali na jezdni sąsiedniej, równoległej ulicy.

Gonzales odwrócił się i spojrzał z uśmiechem na pasażerów uczepionych kurczowo uchwyty nad tylnymi drzwiami.

- To jedyny sposób, żeby o tej porze w miarę szybko dotrzeć do celu - wyjaśnił.

Pięć minut wcześniej Juales odebrał przez swój radiotelefon radosny meldunek:

- Zauważyliśmy białego volkswagena! Jedzie w kierunku Chapultepec. Utrzymujemy kontakt wzrokowy.

Zaraz po tym wskoczyli do nie oznakowanego policyjnego samochodu.

- Co zrobimy, kiedy dotrzemy na miejsce? - zapytał Sanchez.

Gonzales ponownie odwrócił się w jego stronę.

- Będziemy siedzieć i patrzeć. W bagażniku mamy cztery wielkokalibrowe browningi, ale to tylko na wypadek, gdyby zrobiło się naprawdę gorąco. Chyba potraficie posługiwać się tymi armatami? Nie chciałbym mieć durszlaka zamiast dupy.

Sanchez i Cavales niemal jednocześnie uśmiechnęli się i skinęli głowami.

Samochody wyraźnie się przerzedziły, zmianie uległo także otoczenie, w którym przestały dominować wielopiętrowe, zaniedbane bloki, pojawiły się

natomiast eleganckie domki z ogródkami, a wreszcie piękne, wielopokojowe wille. Gonzales schował „koguta” i wyłączył syrenę.

Po raz kolejny zapiszczał radiotelefon Jualesa. Detektyw przez chwilę słuchał w milczeniu, a następnie powiedział:

- W porządku, nie ruszajcie się z miejsca. Będziemy najdalej za dziesięć minut.

Przypiął urządzenie do pasa, po czym zwrócił się do pozostałych:

- Volkswagen właśnie wjechał na teren posiadłości, do której dzwonił Lieber z lotniska. Przy bramie stoi strażnik, więc nasi ludzie zatrzymali się sto metrów dalej, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Gonzales zatarł ręce.

- To ci, których szukacie - powiedział do Sancheza. - Założę się, że wszyscy czekają w willi na Liebera.

- Ja też tak myślę.

- Chętnie bym ich zgarnął, ale sam rozumiesz, jak to jest: nie mogę tam wejść bez nakazu. Tacy jak Halder mają wysoko postawionych przyjaciół, więc będziemy musieli postępować ściśle według przepisów.

- Co proponujesz?

Gonzales z namysłem potarł brodę.

- Przede wszystkim muszę mieć nakaz rewizji. Znam pewnego sędziego nazwiskiem Manza. Parę razy współpracowaliśmy ze sobą i chyba mnie polubił. Myślę, że zechce mi pomóc.

- A co z posiadłością?

- Chłopcy pilnują głównej bramy, ale na wszelki wypadek każę im objechać posiadłość dookoła, żeby sprawdzili, czy nie ma jakichś bocznych furtek czy czegoś w tym rodzaju. Byłoby też dobrze, gdyby znaleźli miejsce, z którego widać cały teren. Przede wszystkim jednak trzeba pogadać z sędzią. - Sięgnął po radiotelefon zainstalowany pod tablicą przyrządów samochodu. - Centrala? Mówi inspektor Gonzales. Połączcie mnie jak najprędzej z sędzią Ricardo Manzą...

Ulica była dobrze oświetlona blaskiem księżyca, lecz Jualesowi udało się

znaleźć w miarę zacienione miejsce na szczycie wzniesienia, pod wysokim, słodko pachnącym eukaliptusem. Roztaczał się stąd widok na położoną kilkadziesiąt metrów niżej posiadłość, drogę dojazdową oraz zwirowy owalny podjazd przed głównym wejściem do willi.

Przez otwarte okna do wnętrza samochodu przedostawało się znacznie chłodniejsze niż za dnia powietrze, przesycone łagodnym zapachem eukaliptusów i poinsecji. Sanchez w napięciu słuchał przeciągającej się rozmowy Gonzalesa z sędzią. Dyskusja była bardzo zażarta, ale ostatecznie Manza zgodził się podpisać nakaz przeszukania.

- Tylko uważaj co robisz, Gonzi - usłyszał Sanchez zniekształcony głos dobiegający z głośnika radiostacji. - Nie chcę obudzić się z ręką w nocniku.

- Może pan spać spokojnie - odparł inspektor, pożegnał się uprzejmie i odłożył mikrofon.

- Jeden z moich ludzi już jedzie do domu sędziego. Najdalej za dziesięć minut będziemy mieli nakaz:

- I co wtedy, Eduardo? Gonzales spojrzał na Sancheza.

- Jeśli zjawimy się przy głównej bramie, pokażemy nakaz i zażądamy wpuszczenia na teren posiadłości, strażnik natychmiast zaalarmuje ludzi, którzy są w willi, a potem bez trudu przetrzyma nas tam co najmniej przez kilka minut. Najlepiej będzie, jeśli nasz człowiek przedostanie się na drugą stronę ogrodzenia jeszcze zanim Juales pochwali się nakazem; dzięki temu strażnik nie będzie miał czasu, żeby ostrzec chlebowców. Wiem, że to bardzo ryzykowne, bo teren mogą patrolować uzbrojone patrole, ale nie widzę innego sposobu. Nam pozostanie tylko modlić się o to, żeby po drugiej stronie ogrodzenia nie było psów ani siatki pod napięciem.

- Co potem?

- Jak tylko nasz człowiek otworzy bramę albo zmusi strażnika, żeby to uczynił, ruszamy z kopyta w stronę willi. Naturalnie przy bramie musi zostać ktoś z naszych. Syreny i światła włączymy dopiero w ostatniej chwili. Dzięki temu nikt

nam nie zarzuci, że działaliśmy niezgodnie z przepisami, a jednocześnie wykorzystamy do maksimum element zaskoczenia. Nawet jeśli zdążą rzucić się do ucieczki, to będą uciekać w panice, jak zające. - Gonzales umilkł na chwilę, po czym dodał: - Na początku lepiej się nie odzywajcie. Dopiero kiedy skończę, zaprosicie na pogawędkę Liebera i kogo tam jeszcze zechcecie.

- Ci ludzie mogą być uzbrojeni - zauważył Cavales. Inspektor wzruszył ramionami.

- Tutaj, w Chapultepec, wszyscy są uzbrojeni, amigo. I to całkowicie legalnie. Byliby jednak szaleńcami, gdyby zdecydowali się otworzyć ogień do policji... Chyba że znudziło im się to miejsce i chcą się prędko przenieść w inne, jeszcze bardziej ustronne.

Ktoś zastukał w dach samochodu po stronie Jualesa. Sanchez aż podskoczył, ale zaraz potem przekonał się, że to jeden z ubranych po cywilnemu wywiadowców.

- O co chodzi? - zapytał Juales.

- Zaobserwowaliśmy ruch na zewnątrz willi. Przed chwilą kilku mężczyzn wyszło na patio. Usiedli przy stoliku obok basenu. Wygląda na to, że mają jakieś spotkanie albo coś w tym rodzaju. - Wywiadowca sięgnął po zawieszony na szyi przedmiot podobny do lornetki. - Chce pan popatrzeć przez noktowizor? Musielibyście tylko minąć szczyt wzniesienia.

Juales skinął głową i podał noktowizor Gonzalesowi, który zapytał podwładnego:

- Znaleźliście tylne wejście na teren posesji?

- Tak jest, panie inspektorze. Jest tam samochód z trzema naszymi ludźmi.

- To dobrze. Macie jeszcze jeden noktowizor?

- Tak. Barca przez cały czas obserwuje willę.

- W takim razie ten zostanie u nas. Dziękuję, Madera. Mężczyzna odwrócił się i zniknął w cieniu drzew, natomiast

Juales spojrzął na Gonzalesa.

- Ma pan ochotę rzucić na nich okiem? - zapytał.

Inspektor skinął głową, a wówczas Juales przekręcił kluczyk w stacyjce, przesunął samochód o jakieś dwadzieścia metrów i wyłączył silnik. Z miejsca, w którym się znaleźli, widzieli całą boczną ścianę willi oraz basen z podświetloną wodą. Gonzales wysiadł z wozu, przyłożył do oczu noktowizor, przez chwilę wpatrywał się w położony kilkadziesiąt metrów niżej budynek, po czym przekazał przyrząd Sanchezowi.

- Niestety, niewiele widać. Żadnych twarzy, tylko rozmazane sylwetki.

Sanchez spojrział w okular noktowizora. Najpierw dostrzegł basen przypominający jaskrawozieloną plamę, zaraz potem zaś kilka również zielonych, jakby lekko fosforyzujących postaci. Odległość była zbyt duża, żeby dało się dojrzeć jakieś szczegóły.

Za plecami mężczyzn rozległ się szelest liści i z mroku wyłonił się ten sam policjant, który niedawno przyniósł noktowizor. Tym razem wręczył Gonzalesowi złożoną w pół kartkę. Był to podpisany przez sędziego Manzę nakaz przeszukania. Inspektor rozłożył kartkę, pospiesznie przebiegł wzrokiem treść pisma, po czym spojrział z namysłem na podwładnego.

- Czy droga dojazdowa biegnie bezpośrednio obok basenu? Ubrany po cywilnemu policjant pokręcił głową.

- Nie, ale można pojechać przez trawnik. Rośnie tam kilka drzew, ale niezbyt gęsto, więc bez trudu da się je wyminąć.

- Dziękuję, Madera.

Wywiadowca sądził, że to wszystko, ale mylił się, gdyż inspektor poinformował go jeszcze, iż to właśnie on ma przedostać się przez ogrodzenie na krótko przed tym, jak Juales pokaże wartownikowi nakaz rewizji. Madera nie wydawał się zachwycony pomysłem, lecz nie zaprotestował ani słowem.

- Macie w swoim wozie jakieś grube rękawiczki?

- Nie, panie inspektorze.

- Więc weź je z drugiego samochodu. Tylko prędko. Aha, daj swoje ubranie któremuś z ludzi, a sam załóż jego mundur. I nie zapomnij o rękawiczkach; jeśli

ogrodzenie jest pod napięciem i dotkniesz go gołymi rękami, usmażysz się jak frytka. Niech wszyscy czekają w pełnej gotowości na mój sygnał.

Funkcjonariusz skinął głową, po czym odwrócił się i pobiegł w ciemność.

Przez kilka sekund czterej mężczyźni siedzieli w milczeniu.

- Mamy pięć samochodów, a w każdym trzech ludzi, z wyjątkiem tego - odezwał się wreszcie Gonzales. - W sumie jest nas szesnastu, z tego sześciu w mundurach. - Umilkł, zapalił papierosa, wydmuchnął kłęb dymu i mówił dalej: - Trzy wozy zostaną na zewnątrz; dwa z przodu, jeden z tyłu. Na teren posiadłości wjeżdżamy my i jeszcze jeden samochód. Czy są jakieś pytania?

Odpowiedziała mu cisza.

Inspektor jeszcze raz spojrział przez noktowizor, by zaraz potem przekazać go Sanchezowi. Obraz wciąż był niezbyt wyraźny, ale nie ulegało wątpliwości, że zebranie przy basenie jeszcze się nie zakończyło. Sanchez przez dłuższą chwilę przyglądał się rozmazanym, zielonkawym sylwetkom (jedna raptownie poruszyła głową, inna pochyliła się i wyciągnęła rękę, jakby sięgała po coś stojącego na stoliku), a następnie odłożył urządzenie.

- Może rozdałbyś broń? - zwrócił się Gonzales do Jualesa, ten zaś natychmiast wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i niebawem wrócił z dwoma wielkokalibrowymi browningami oraz dwoma pudełkami amunicji. Wręczył karabiny Sanchezowi i Cavalesowi, którzy bezzwłocznie załadowali broń. Gonzales jeszcze raz spojrział przez noktowizor, a następnie odwrócił się na fotelu i spojrział na Sancheza.

- Po terenie szwenda się paru typków, ale nie widać ich zbyt wyraźnie.

- Myślisz, że mają broń? Inspektor wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Będziemy musieli zaryzykować. Wszyscy gotowi?

Skinęli głowami.

Gonzales wydobyl z kabury służbowego smith & wessona, położył go przed sobą na półce, po czym wziął do ręki mikrofon i wcisnął przycisk nadawania.

- Numer jeden do wszystkich jednostek Nocnego Patrolu! Powtarzam: numer

jeden do wszystkich jednostek Nocnego Patrolu... godz. 18.02

Na sygnał Gonzalesa Juales wyskoczył z samochodu i z rewolwerem w ręce pognął w dół po stromym zboczu. Niemal jednocześnie od strony zaparkowanego w odległości dwudziestu metrów radiowozu nadszedł Madera i ruszył w ślad za Jualesem. Inspektor, Sanchez i Cavales najpierw dostrzegli parę śnieżnobiałych rękawiczek, dopiero potem zaś samego policjanta.

- O Jezu... - jęknął Gonzales.

Sanchez nie spuszczał wzroku z Jualesa. W odległości jakichś dziesięciu metrów od bramy detektyw przycisnął się plecami do muru i zamarł w oczekiwaniu. Madera zjawił się przy nim kilka sekund później, a wówczas Juales położył na ziemi nakaz i rewolwer, złączył ręce i pomógł koledze wspiąć się na ogrodzenie. Dopiero za trzecim razem Madera zdołał chwycić się szczytu muru, podciągnął się ostrożnie, przez sekundę lub dwie spoglądał w dół, usiłując wypatrzeć ewentualne zasadzki czyhające w ciemności, po czym zniknął za ogrodzeniem.

Juales bezzwłocznie podniósł rewolwer i nakaz przeszukania, a następnie zbliżył się do bramy. Niemal jednocześnie z głębokiego cienia wyłonił się jadący powoli radiowóz. Gonzales już kilkanaście sekund wcześniej uruchomił silnik; wrzucił pierwszy bieg i czekał w napięciu na rozwój wydarzeń, jedną stopą wciskając pedał sprzęgła, drugą delikatnie dotykając pedału gazu.

Juales ponownie przycisnął się do muru, tym razem w odległości zaledwie metra lub dwóch od bramy. Zaraz potem za ogrodzeniem rozległ się wystrzał, a po nim drugi. W nocnej ciszy oba zabrzmiały niczym ogłuszające eksplozje.

- Niech to szlag trafi! - zaklął pod nosem Gonzales.

Czekali z zapartym tchem na rozwój wydarzeń. Przez kilkanaście sekund nic się nie działo, potem zobaczyli, jak Juales podbiega do bramy, ta zaś otwiera się bezszelestnie na doskonale naoliwionych zawiasach. Mignął im Madera z pistoletem w ręce, lecz zaraz zniknął w mroku. Juales poszedł w jego ślady, ale zdążył jeszcze machnąć ponagłajaco ręką, w której wciąż ścisnął bielejący w ciemności nakaz przeszukania.

- W porządku - mruknął inspektor. - Ruszamy. Wcisnął gaz, zwolnił sprzęgło i nie oznakowany samochód popędził prowadzącą stromo w dół ulicą, kierując się ku otwartej na oścież bramie. Tuż za nim, z wyłączonymi światłami i syreną, gnał policyjny radiowóz.

Pięciu mężczyzn siedziało wokół stolika przy basenie, którego woda, oświetlona zainstalowanymi przy samym dnie reflektorami, miała barwę najczystszej turkus. Dwaj służący przynieśli drinki, po czym oddalili się dyskretnie. Zebranie zostało przeniesione pod gołe niebo na życzenie Haldera, któremu było zbyt duszno we wnętrzu willi.

Lieber opowiedział ze szczegółami o wydarzeniach, których był uczestnikiem, po czym umilkł, czekając na reakcję pozostałych.

Milczenie przerwał Halder, który zakasłał słabo, ściągając na siebie spojrzenia zebranych, po czym wsunął do ust końcówkę inhalatora, wziął głęboki wdech, a następnie powoli i z wysiłkiem wyprostował plecy, zgarbione pod spoczywającym na jego barkach ciężarem lat.

- Jak to możliwe, Franz? - zwrócił się do Liebera. Przy każdym słowie z jego ust pryskały kropelki śliny. - Jak to możliwe, żeby była jeszcze jedna taśma?

Głos starego człowieka przypominał zduszony, przedśmiertny charkot.

Lieber westchnął i rozłożył bezradnie ręce.

- Albo zniszczyliśmy nie tę co trzeba, albo od początku były dwa egzemplarze. Nie widzę innego wyjaśnienia.

Przy stoliku zapadło długie milczenie. Halder powoli podniósł rękę o cienkich, przypominających szpony palcach, potarł zmarszczone czoło, przez chwilę zastanawiał się z na wpół przymkniętymi powiekami.

- Czy twój informator z seguridad był całkowicie pewien tego, co mówi?

- Na sto procent.

Ponownie zapadła cisza. Nikt nie śmiał się odezwać, czekając na słowa starego człowieka.

- Dokonajmy całościowego przeglądu sytuacji - przemówił wreszcie Halder. -

Chyba nikt nie ma nic przeciwko temu?

Zadając pytanie spoglądał wyłącznie na mężczyznę o srebrnosiwych włosach, jakby chodziło mu tylko o jego zgodę. Kiedy ten ledwo dostrzegalnie skinął głową, starzec przeniósł wzrok na Krugera.

- Czy w hotelu rozmawialiście o szczegółowych założeniach naszego planu oraz o sposobie, w jaki zamierzamy wprowadzić go w życie?

Kruger pokręcił głową.

- Zajmowaliśmy się tylko końcową fazą operacji, ale...

- Konkrety, Hans. Interesują mnie wyłącznie konkrety - przerwał mu Halder. Przez chwilę słuchał w milczeniu wyjaśnień młodszego mężczyzny, po czym zapytał: - Czy możemy nawiązać kontakt z dziewczyną?

- Wystarczy wydać polecenie Meyerowi.

Halder dość długo ważył w myślach decyzję, by wreszcie oznajmić:

- Sytuacja jest poważna, lecz nie beznadziejna. Kruger i Meyer muszą zrobić to, co konieczne. Pamiętajmy, że zostały już tylko cztery dni. Wszyscy wiemy, co nastąpi potem.

Starzec umilkł, przeniósł spojrzenie najpierw na Ernesto Brandta, potem zaś na mężczyznę o srebrnosiwych włosach. Otwierał już usta, aby coś jeszcze powiedzieć, lecz nie uczynił tego, ponieważ z dala dobiegł przytłumiony odgłos strzału, a w chwilę później jeszcze jeden. Kruger poderwał się jak ukłuty nożem i wyteżył wzrok, wpatrując się w jakiś punkt nad ramieniem i daleko za plecami starca. Ten odwrócił się z trudem, by ujrzeć jednego ze strażników; mężczyzna co sił w nogach pędził przez rozległy trawnik, przyciskając do piersi pistolet maszynowy. Kruger wybiegł mu na spotkanie, wysłuchał złożonej zadyszczanym głosem relacji, a następnie odwrócił się na pięcie i wrócił do mężczyzn zgromadzonych przy stole. Wraz z silniejszym podmuchem wiatru nadleciał szybko zbliżający się ryk silników pracujących na wysokich obrotach.

- Mamy gości - poinformował lakonicznie Kruger opanowanym tonem. - Dwa samochody właśnie przedarły się przez główną bramę. Rotman, Werner, osłaniajcie

nas!

Wyszarpnął z kabury potężnego walthera, lecz w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy jęk policyjnych syren, a zza niezbyt szczelnej zasłony roślinności przedarło się jaskrawobłękitne migające światło. Sekundę później na wysypiany żwirem podjazd wypadł jakiś samochód, skręcił ostro i nie zmniejszając prędkości popędził przez trawnik w kierunku basenu.

- Wszyscy do środka! - ryknął Kruger, po czym wraz z innymi pognął co sił w nogach w stronę domu. Kątem oka dostrzegł jeszcze drugi samochód, chyba radiowóz, który wyjechał spomiędzy drzew kilkanaście metrów za pierwszym.

Strażnicy byli na miejscu. Werner stanął spokojnie w rozkroku i nacisnął spust. Pistolet maszynowy zagdakał gniewnie w jego rękach, a w kierunku pędzącego pojazdu pomknął grad kul.

Kruger zobaczył rozbryzgującą się przednią szybę, usłyszał głuchy łomot, z jakim pociski uderzały w blachę; samochód raptownie skręcił w lewo, uderzył z impetem w gruby pień drzewa i znieruchomiał jak zepsuta zabawka. Syrena wydała odgłos, jaki czasem wywołuje wiatr huczący w kominie, po czym umilkła na dobre.

Ułamek sekundy później Werner został trafiony w pierś; pocisk musiał być wielkiego kalibru, ponieważ przez potworną ranę wylotową w plecach wytrysnęły fontanny krwi i poszarpane fragmenty płuc, strażnik zaś przeleciał co najmniej pięć metrów, by runąć ciężko na ziemię. Przypuszczalnie umarł, zanim jego ciało znieruchomiało po upadku.

Kruger zaklął głośno i popędził za innymi, ale tuż przed szerokimi, sięgającymi do ziemi oknami, przez które wchodziło się od strony patia do wnętrza domu, zatrzymał się gwałtownie, ponieważ w ścianę po jego lewej stronie uderzyło kilka, może nawet kilkanaście pocisków. Strzelano z drugiego samochodu, który nie zmniejszając prędkości gnał w kierunku willi. Mężczyzna o srebrzystych włosach zbladł jak ściana, spojrzał na Krugera i ponaglił go ruchem ręki.

- Do drugiej bramy, Hans! Szybko!

Schmidt wyszarpnął z kabury magnum, przyklęknął na jedno kolano,

starannie wycelował, po czym dwukrotnie nacisnął spust.

- Kryć się! - wrzasnął Kruger.

Wepchnął wszystkich do środka, ale sam został na zewnątrz, dzięki czemu widział, jak w rozpędzony samochód trafia seria wystrzelona przez Rotmana, usłyszał trzask pękających szyb, przeraźliwy krzyk, zobaczył jak kierowca osuwa się bezwładnie na deskę rozdzielczą, radiowóz zaś - bo to jednak był radiowóz - skręca nieco w lewo, wyskakuje w powietrze i jak na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie wpada z donośnym pluskiem do basenu.

Strażnik odrzucił opróżniony magazynek, w największym pośpiechu sięgnął po nowy.

- Kryj nas, Rotman! - ryknął Kruger.

Tamten nawet się nie obejrzał, ale machnął ręką na znak, że słyszy, po czym zgiął się wpół i ukrył za kępą krzewów.

Nagle Kruger dostrzegł kątem oka jakieś poruszenie. Z pierwszego samochodu wypęzł człowiek, przetoczył się na bok, a następnie ukrył za drzewem, w które uderzył rozpędzony pojazd. Kruger nie celując oddał w tamtym kierunku trzy strzały z walthera, po czym odwrócił się i zniknął we wnętrzu willi.

Rozdział 35

godz. 18.07

Spocony, zdyszany Sanchez leżał w trawie czując, jak serce łomocze mu w piersi. Mężczyzna, który oddał trzy strzały z pistoletu, odwrócił się i wbiegł do budynku.

Samochód znieruchomiał w kępie krzewów, za grubym pniem eukaliptusa, w który wrył się lewą połową maski. Kiedy Sanchez spróbował się poruszyć, przez jego prawą nogę przebiegła błyskawica bólu.

Niemal na oślep wyskoczył z samochodu i wylądował twardo na trawie, ponieważ nie zdążył zamortyzować upadku. Teraz miał wrażenie, jakby w prawe

biodro ktoś wbijał mu rozżarzony pręt. Od samochodu dzieliło go jakieś pięć metrów. Z tego miejsca nie widział, co dzieje się w środku, ale z pewnością nikt się tam nie poruszał. Na szczęście mimo upadku nie wypuścił z rąk karabinu.

- Gonzales! - zawołał półgłosem, starając się nie zwracać uwagi na dokuczliwy ból. - Cavales!

Cisza. Czekał z zapartym tchem, aż wreszcie, po kilku sekundach, które jemu wydawały się wiecznością, nadeszła odpowiedź - najpierw jęk, a potem słowo wypowiedziane zduszonym głosem:

- Tutaj!...

Kątem oka Sanchez dostrzegł jakieś poruszenie przy basenie i odwrócił głowę w tamtą stronę. W pobliżu basenu, za ozdobnym krzewem przykucnął człowiek uzbrojony w pistolet maszynowy. W chwili, gdy Sanchez na niego spojrzał, wychylił się zza krzaka i nacisnął spust. Z lufy wytrysnął ogień, a na krzaki, w których leżał Sanchez, posypał się grad kul.

Kapitan przetoczył się na bok, wycelowwał i strzelił. Siła odrzutu była ogromna, huk ogłuszający, ale przeciwnik zdążył już ukryć się w głębokim cieniu palm rosnących kilkanaście metrów od rezydencji.

Straż tylna, pomyślał Vellares. Zostawili go, żeby osłaniał odwrot.

Krzaki, w których leżał, z pewnością nie dawały wystarczającej ochrony, ale na razie nie miał wyboru. Dwadzieścia metrów od niego radiowóz powoli tonął w basenie; niebieskie światła wciąż migotały na dachu, ale syrena umilkła, dzięki czemu wyraźnie słychać było bulgot uciekających baniek powietrza. W nieskazitelnie do tej pory błękitnej wodzie pojawiło się kilka szkarłatnych smug. Lewe tylne drzwi, posiekane kulami tak samo jak niemal całe nadwozie, były otwarte, z wnętrza zaś wychyliły się zwłoki jednego z policjantów. W wytrzeszczonych oczach funkcjonariusza zamarł wyraz zdumienia, a usta były szeroko otwarte jak do krzyku.

Sanchez przypomniał sobie o Cavalesie i Jualesie. Czy żyją? Gonzales na pewno ocalał, ponieważ z wnętrza rozbitego samochodu dobiegały jego coraz donośniejsze przekleństwa.

- Nie ruszaj się stamtąd! - ostrzegł go Sanchez.

Uczył to w samą porę, gdyż niewidoczny przeciwnik ponownie otworzył ogień. Kilka pocisków ugrzęzło w pniu, kilka zrykoszutowało od blach nadwozia, po czym zapadła cisza, którą jednak niemal natychmiast przerwało kolejne przekleństwo Gonzalesa.

- Nic ci nie jest? - zapytał po cichu Sanchez.

- W każdym razie żyję. Widzisz tego sukinsyna z pistoletem maszynowym?

- Nie, ale wiem gdzie jest. Jakies trzydzieści metrów stąd, przy basenie. Będziesz mógł mnie osłaniać?

- Spróbuję. Tylko uważaj na siebie, amigo.

Sanchez odpełził w głąb zarośli, starając się nie zwracać uwagi na ból. Doskonale zdawał sobie sprawę, że każda upływająca sekunda zmniejsza szansę na dogonienie uciekającej piątki. Czołgał się z wysiłkiem, przeklinając w duchu potwornie ciężki, nieporęczny karabin. Wreszcie dotarł do sąsiedniego drzewa, oddalonego o jakieś dziesięć metrów, ostrożnie wysunął zza niego głowę i wpatrzył się w spowite ciemnością miejsce, gdzie po raz ostatni widział przyczajoną sylwetkę.

Nic. Żadnego ruchu.

Czas mijał nieubłaganie. Jeśli chciał schwytać Liebera i jego kompanów, musiał działać najszybciej, jak to było możliwe.

Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie po lewej stronie, usłyszał też delikatny szelest. Wyteżywszy wzrok dostrzegł nieruchomą sylwetkę mężczyzny z pistoletem maszynowym. Sprawiał wrażenie gotowego do skoku, jakby czekał na sposobność, żeby przebiec przez trawnik. Sanchez powoli, centymetr po centymetrze, począł pełznąć w jego stronę. Kiedy znalazł się najwyżej dwanaście metrów za plecami strażnika, bezszelestnie podniósł się na nogi (prawa była prawie bezużyteczna, więc niemal cały ciężar ciała musiał przenieść na lewą). Tamten z pewnością niczego nie usłyszał, lecz mimo to odwrócił się gwałtownie, wiedziony chyba przecuciem. Sanchez dostrzegł oświetloną blaskiem księżyca zdumioną twarz i nie namyślając się nacisnął spust. Trafiony w pierś mężczyzna przeleciał w powietrzu parę metrów, po

czym runął na ziemię.

W tej samej chwili Sanchez usłyszał dobiegający z daleka jęk syren. Bezzwłocznie odwrócił się, kuśtykając wrócił do rozbitego samochodu i ukląkł przy Gonzalesie, który tymczasem zdołał wyczołgać się z wraka. Po wykrzywionej grymasem bólu twarzy inspektora spływały strużki potu. Lewą ręką podtrzymywał bezwładnie zwisające prawe ramię; ciemna plama na koszuli wskazywała miejsce, w które trafił pocisk.

- Paskudnie dostałeś, Eduardo.

- To tylko draśnięcie. Na szczęście kość jest cała... Chyba jesteśmy już za starzy na takie popisy, amigo. Powinniśmy raczej siedzieć za biurkiem. Dostałeś tego drania?

Sanchez skinął głową, po czym szybko zbadał ranę Gonzalesa. Istotnie, pocisk przeszedł przez mięsień, omijając kość. Rana była bolesna, ale na szczęście niegroźna.

- Co z innymi? - zapytał Gonzales, podpierając się zdrową ręką.

Kapitan przeniósł wzrok na rozbity, podziurawiony kulami samochód. Miał wrażenie, że zamiast serca kołocze mu w piersi ciężki kamień. Z wysiłkiem dźwignął się na nogi, po czym ruszył w kierunku wraka. Z każdym chwiejnym krokiem ogarniała go coraz większa wściekłość, której towarzyszył przesywający żal. Sanchez domyślał się, co za chwilę zobaczy, niemniej kiedy jego oczom ukazał się przerażający widok, poczuł się tak, jakby cały świat zwałił mu się nagle na głowę.

W blasku księżyca sączącym się przez otwory po szybach widać było oba ciała. Juales leżał bezwładnie na fotelu pasażera, z odchyloną na bok głową. Porozrywana przez pociski koszula była cała przesiąknięta krwią. Sanchez zbliżył rękę do ust mężczyzny i ku swemu zdumieniu wyczuł delikatny, bardzo słaby oddech. Czym prędzej przeniósł wzrok na tylne siedzenie, w nadziei, że Cavales także daje jeszcze oznaki życia.

Niestety, w tym przypadku nie było najmniejszych wątpliwości. W policzku detektywa ział czarny otwór, górna część czaszki natomiast, którą wyleciał pocisk,

właściwie przestała istnieć. Niewiele brakowało, by Sancheza chwyciły torsje, ale zdołał się jakoś opanować. Z pewnością pomogła mu w tym wściekłość, która sprawiła, że mało brakowało, by nie zważając na paralizujący ból w prawej nodze popędził za Lieberem i pozostałymi - nie po to, żeby ich zatrzymać, lecz po to, by każdemu po kolei wpakować kulę w łeb.

Obejrzał się, zaalarmowany szmerem, który rozległ się za jego plecami. Gonzales, wciąż podtrzymując zranione ramię, stał przy odkształconej masce samochodu i w milczeniu przyglądał się okropnej scenie.

- Juales jeszcze żyje - przemówił Sanchez nie swoim, zachrypniętym głosem. - Spróbuj, może uda ci się mu pomóc.

- Dokąd idziesz, Vellares?

Ale Sanchez nie słuchał. Utykając na prawą nogę, z karabinem w dłoniach zmierzał powoli w kierunku willi. Jak przez mgłę docierało do niego zawodzenie syren radiowozów, które jeden za drugim wpadały na żwirowy podjazd i hamowały z szurgotem opon.

- Dopadnę ich, Eduardo. Wszystkich. Nie uciekną mi, możesz być pewien.

- Oszalałeś? - wykrzyknął rozpaczliwie Gonzales. - Vellares, zaczekaj! Moi ludzie zaraz się tym zajmą...

Sanchez nie odpowiedział. Wpatrzony w ciemność za otwartymi na oścież, wysokimi oknami, z bronią gotową do strzału zbliżał się powoli do budynku. godz. 18.08

Kruger szedł jako ostatni, ubezpieczając tyły. Co prawda pocił się obficie, a serce waliło mu jak młotem, ale myślał jasno i precyzyjnie. Zdarzyła się największa z możliwych awaria, należało więc wprowadzić w życie plan awaryjny: czym prędzej przedostać się do ukrytego garażu (mogło to nastęrczyć nieco trudności, gdyż droga prowadziła przez odkryty teren), wsiąść do samochodu i opuścić teren posiadłości przez tylną bramę.

Przede wszystkim liczyła się szybkość.

Najpierw należało przejść przez pięć pomieszczeń. Teraz byli w trzecim" a

więc do garażu mogliby dotrzeć za niespełna dwie minuty. Jednak nie wszystko działało się zgodnie z planem, przede wszystkim ze względu na Haldera. Niech go szlag trafi! Staruch poruszał się przeraźliwie powoli, okupując każdy krok ogromnym wysiłkiem.

Wreszcie zniecierpliwiony Kruger polecił Lieberowi i Brandtowi, żeby wzięli starca między siebie. Tempo od razu wzrosło, ponieważ Halder ważył tak mało, że dwaj silni mężczyźni bez trudu poruszali się szybkim krokiem, trzymając go pod ramiona. Stopy starego człowieka kołysały się bezradnie kilkanaście centymetrów nad podłogą.

Schmidt, z magnum gotowym do strzału, poruszał się jak przyczajone zwierzę. W domu było mnóstwo światła, stanowczo za dużo. W każdym pomieszczeniu, które opuszczali, wyłączali oświetlenie. Temu, kto za nimi pójdzie, będzie trudno poruszać się w ciemności.

Niespodziewanie w korytarzu pojawił się jeden ze służących i wybałuszył na nich przerażone oczy. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć albo choćby usunąć się z drogi, Schmidt podniósł pistolet i wystrzelił. Śniadoskóry mężczyzna został rzucony z ogromną siłą na ścianę korytarza, by zaraz potem osunąć się bezwładnie na podłogę, znacząc białą powierzchnię smugą krwi.

Kruger zaklął pod nosem. Odgłos wystrzału mógł sprowadzić im na kark policyjny pościg.

Ominęli nieruchome ciało i weszli do kolejnego pokoju, a potem do jeszcze następnego. Trzecie z kolei drzwi prowadziły do kuchni; uciekinierzy znaleźli się wśród lśniących blatów, szafek z naczyniami, chromowanych uchwytych, kranów i zlewozmywaków. Od tylnego wyjścia z budynku dzieliło ich już tylko kilka kroków. Przez okno widać było rozległy trawnik, oświetlony blaskiem księżyca, a za nim czarną kępę drzew, w której był ukryty garaż.

Daleko. Nawet bardzo daleko. Prawie sześćdziesiąt sekund szybkim krokiem, na pewno więcej ze względu na Haldera. Starzec pojękiwał cicho, ale Kruger nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Uda się. Musi się udać.

Byle prędko.

Schmidt podkraść się do drzwi, otworzył je ostrożnie, wysunął głowę i rozejrzał się we wszystkie strony, po czym dał znak ręką; droga wolna.

Wyślizgnął się na zewnątrz jako pierwszy, pozostali ruszyli za nim. Halder jęczał coraz głośniejsze. Kruger czuł, jak ogarnia go wściekłość. Powinien był od razu palnąć w łeb temu niedołądze! Teraz, kiedy wszystko zależy od czasu, jest jak kula u nogi!

Kruger wyszedł jako ostatni. W progu zawahał się, spojrzął na wyłącznik, ale nie zgasił światła. Z głębi domu dobiegł słaby, lecz wyraźny odgłos, jakby ktoś po ciemku potracił krzesło albo stół.

Nie zwlekając dołączył do pozostałych.

Dziesięć sekund później, kiedy - nadal jako ostatni - nie spuszczał oka z budynku cofał się w kierunku wciąż jeszcze przeraźliwie odległej kępy drzew, zobaczył jak uchylone drzwi kuchenne lekko się poruszają. Odległość wynosiła piętnaście, może dwadzieścia metrów, i rosła bardzo powoli, ponieważ ciężar Haldera jednak zaczął się już trochę dawać we znaki niosącemu go mężczyznom. Zostało im do przebycia jeszcze co najmniej dwie trzecie drogi.

Kruger celowo zostawił w kuchni włączone światło, by utrudnić zadanie temu, kto chciałby zobaczyć coś z wnętrza budynku, a ułatwić je sobie; stąd, z ciemności, bez trudu mógł dostrzec każde, nawet najmniejsze poruszenie.

Dostrzegł je, ale nie zdążył zareagować. Drzwi otworzyły się raptownie, jakaś postać mignęła na tle jasnego prostokąta, po czym natychmiast rozplynęła się w mroku.

Kruger zaklął, uniósł pistolet, ale nie wystrzelił, ponieważ zdawał sobie sprawę, że tylko zmarnuje pocisk. Za plecami słyszał ciężkie sapanie.

- Pospieszcie się, do cholery!

Zatrzymał się, przyklęknął na jedno kolano i wycelował w kierunku przymkniętych drzwi w nadziei, że znowu pojawi się tam ciemna sylwetka, tym razem na tyle długo, żeby zdążył oddać celny strzał. W duchu liczył upływające

sekundy. Dwie... trzy... Ciągłe nic. Sześć... siedem...

Rozległ się huk wystrzału, ale to nie on nacisnął spust. Światło w kuchni zgasło.

Kurwa mać!

Tamten drań przejrzał jego zamiary. Teraz, w ciemności, szansę się wyrównały.

Kruger wciąż czekał, wytyczając wzrok, z palcem na spuście. Dziesięć sekund... jedenastie... dwanaście...

Tam, po lewej!

Błyskawicznie przesunął broń i oddał trzy strzały. Posypało się szkło, szczerknął metal... Zapadła cisza.

Przerwał ją krzyk, który rozległ się za jego plecami:

- Kruger! - To był głos Liebera. - Coś się stało Halderowi!

- Szybko, nie zatrzymywać się! - ryknął Kruger. Pieprzyć Haldera.

Chwilę później do jego uszu dotarł głośny jęk i mimowolnie odwrócił się w kierunku uciekinierów. Część z nich dotarła już prawie do garażu, ale Lieber i Brandt zwolnili, zostali wyraźnie z tyłu, wreszcie zatrzymali się i położyli na ziemi jęczącego głośno starca. Kruger otarł pot z czoła, spojrzął ponownie w kierunku budynku; w samą porę, gdyż kątem oka dostrzegł kolejne poruszenie, tym razem na prawo od drzwi. Ponownie wystrzelił trzy razy, ponownie usłyszał brzęk szkła i głucho plaśnięcia świadczące o tym, że pociski utkwiły w ścianie...

A potem go zobaczył.

O ile mógł dojrzeć w blasku księżyca, mężczyzna był niewysoki, chyba dość gruby, ubrany w garnitur. W rękach trzymał karabin o grubej długiej lufie i utykając szedł prosto na nich przez trawnik.

- Altol

Kruger wystrzelił nie celując. Trzy pociski pomknęły w stronę mężczyzny, który na chwilę przypadł do ziemi, ale zaraz potem wstał i ponownie ruszył w ich stronę.

Tym razem Kruger starannie wymierzył, delikatnie nacisnął spust...

I usłyszał suchy trzask. Magazynek był pusty. Błyskawicznie rzucił go na trawę, wsadził następny.

- Altol

Drań był coraz bliżej.

Kruger wycelował broń, strzelił raz, chybił, zamierzał ponownie nacisnąć spust, lecz nie zdążył, ponieważ zbliżający się człowiek podniósł karabin... Huk był potworny, Kruger usłyszał świst przemykającego mu obok głowy pocisku. Zaraz potem nastąpiła druga detonacja, a potem kolejne, jakby ktoś prowadził ogień nie z karabinu, lecz co najmniej z rusznicy przeciwpancernej.

Jezus, Maria...

Za plecami Krugera rozległ się przeraźliwy krzyk i niemal w tej samej chwili poczuł silne uderzenie w lewy bark. Runął na ziemię, a padając dostrzegł jeszcze Brandta i Liebera leżących nieruchomo na trawniku, między nimi zaś skurczoną sylwetkę Haldera. Pistolet wypadł mu z ręki. Szukał go po omacku, ale na próżno. Cholera... Pal licha pistolet. Kruger skoncentrował uwagę na przeciwniku, który zatrzymał się w odległości jakichś piętnastu metrów i spokojnie, jakby nigdy nic, załadował nowy magazynek. Taka okazja mogła się już nie nadarzyć.

Nie zważając na ból w barku ruszył na czworakach wstecz, minął nieruchome ciała - nie zadał sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy może któryś z mężczyzn daje jeszcze oznaki życia - podniósł się na nogi i co tchu w piersi pognał w kierunku zbawczej kępy drzew. Podświadomie spodziewał się, że lada chwila rozlegnie się huk wystrzału i wielkokalibrowy pocisk ugodzi go w plecy.

Nic takiego się nie stało.

Zadyszany, mokry od potu Kruger dopadł drzwi garażu, otworzył je gwałtownym szarpnięciem i skrył się we wnętrzu.

Sanchez stał pośrodku rozległego trawnika, zajęty przeładowywaniem broni.

Co prawda dostrzegł niewyraźną sylwetkę mknącą co sił w nogach ku kępie rosnących nie opodal drzew, ale odległość była zbyt duża, żeby pokusić się o celny

strzał.

Prawe ramię, w które trafiły dwa pociski, miał prawie zupełnie bezwładne. Na razie nie czuł bólu, lecz zdawał sobie sprawę, że ten prędzej czy później nadejdzie.

Wprowadził pierwszy pocisk do komory, po czym ruszył truchtem w pościg, ale natychmiast zwolnił, ponieważ prawa noga ugięła się pod nim, a ból promieniujący z biodra był tak silny, że Sanchez musiał zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć.

Człowiek, którego ścigał, nie dał mu wyboru. Musiał otworzyć ogień, bo gdyby tego nie zrobił, byłby już trupem. Strzelił, ale chybił; pociski ugodziły w mężczyzn poruszających się dziwnie powoli za plecami uzbrojonego przeciwnika.

Cholerny pech!

Był pewien, że zabił tych, na których najbardziej mu zależało. Chciał dostać ich żywcem, by wydobyć od nich kluczowe informacje, a tymczasem... Chociaż, może któryś jeszcze żyje?

Zbliżał się powoli, z karabinem gotowym do strzału. Najpierw zobaczył zwróconą ku niebu twarz Franza Liebera, na której zamarł wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Sanchez zaklął w duchu. Ten człowiek miał odpowiedzieć na wiele pytań, a tymczasem...

Usłyszał słaby jęk, zatrzymał się i pochylił. Obok Liebera leżał łysiejący mężczyzna w okularach. To on jęknął. Twarz wykrzywiał mu grymas bólu, koszula na plecach i lewym barku była przesiąknięta krwią.

Trzeci człowiek leżał na brzuchu. Był znacznie niższy i szczuplejszy od dwóch pozostałych; miał na sobie jasny garnitur, w którego kierunku Sanchez niedawno odruchowo wycelował broń. Przewróciwszy trupa na plecy, kapitan ujrzał twarz pokrytą licznymi zmarszczkami, o zapadniętych policzkach i wąskich ustach. Jedna ze szponiastych rąk była lekko uniesiona, jakby starzec zamierzał udzielić błogosławieństwa. Sanchez uważnie przyjrzał się zwłokom; nie, tego człowieka z pewnością nie było na fotografii, podobnie jak łysiejącego okularnika.

Rozległ się kolejny jęk, lecz Vellares już przestał zaprzętać sobie głowę rannym mężczyzną. Zajmą się nim ludzie Gonzalesa.

Nagle daleko z tyłu rozległy się jakieś hałasy. Sanchez odwrócił się gwałtownie, lecz nikogo nie zauważył; odgłosy dobiegały z wnętrza domu, przetrząsanego już zapewne przez policjantów. Ponownie skoncentrował uwagę na niewielkim budyneczku ukrytym wśród drzew. Tam właśnie uciekł człowiek, który do niego strzelał, tam też znajdowali się pozostali uciekinierzy.

Krok za krokiem, chwiejąc się i utykając, podążył w kierunku budynku.

Oczy zalewał mu pot, więc co chwila potrząsał głową i przymykał powieki, a wtedy przez głowę przesuwaly mu się okropne obrazy: zmasakrowane ciała Rudiego Hernandeza i dziewczyny, Cavales z odstrzelonym szczytem czaszki, ciężko ranny Juales, policyjny radiowóz z trzema trupami w środku, tonący powoli w basenie... Ponownie ogarnęła go wściekłość. Przestał troszczyć się o swoje bezpieczeństwo; myślał tylko o tym, by jak najprędzej dopaść tych ludzi, wydusić z nich całą prawdę, kazać im zapłacić za zbrodnię.

Jego uwagi nie umknął fakt, że uzbrojony w pistolet mężczyzna nawet nie zatrzymał się przy ciałach towarzyszy, aby sprawdzić, czy któryś z nich potrzebuje pomocy. Tchórz. Cholerny, przeklęty tchórz, potrafiący tylko zabijać.

Od małego budynku dzieliło go już tylko dziesięć metrów. Zapomniał o bólu promieniującym z biodra, zapomniał o ramieniu przeszytym dwoma pociskami.

Plama księżycowego światła padała na drewniane drzwi. Sanchez uniósł karabin, wycelował i dwukrotnie nacisnął spust. Efekt był piorunujący: drzwi dosłownie rozpadły się na kawałki, to zaś, co z nich pozostało, wpadło do środka. Rozległ się metaliczny dźwięk, jakby kawałki drewna i fragmenty metalowych okuć uderzyły w blachę, po czym zapadła cisza.

We wnętrzu panowała całkowita ciemność. Sanchez przywarł plecami do ściany przy wejściu, ostrożnie wysunął głowę, zajrzał do środka, jednocześnie wytyżając słuch. Cisza. Jeśli jednak ktoś tam był - a był prawie na pewno - to należało się spodziewać, że nie wykona najmniejszego ruchu, czekając z zapartym tchem na

rozwój wydarzeń.

Poczuł wyraźny zapach benzyny i oleju. Czyżby to był garaż? Ponownie zajrzał do środka; wzrok zdążył już przyzwyczać się do ciemności na tyle, że tym razem dostrzegł zarys samochodu, błysk chromowanych zderzaków, delikatne lśnienie szyb. Zobaczył także drugie drzwi, znacznie szersze, otwarte na oścież; czyżby ci, których ścigał, zdążyli uciec? A może czekali na niego? Jeśli są w garażu, to będzie musiał uczynić wszystko, żeby nie dać się zabić, a jednocześnie wziąć ich żywcem. Biorąc pod uwagę niszczycielską siłę broni, jaką dysponował, zadanie nie należało do najłatwiejszych. Będzie musiał być bardzo, ale to bardzo ostrożny.

Cały zamienił się w słuch, lecz do jego uszu nie dotarł żaden, nawet najlżejszy szmer. Cóż, nie może przecież czekać w nieskończoność.

Wziął głęboki wdech, ścisnął mocniej karabin w dłoniach i wślizgnął się do środka.

Ułamek sekundy później zapłonęło światło pod sufitem, całkowicie go oślepiając. Był tak zaskoczony, że z trudem usłyszał rzuconą chrapliwym głosem komendę:

- Schmidt!

Zza samochodu runął na niego ogromny jasnowłosy mężczyzna. W jego prawej ręce błysnęła stal. Sanchez odruchowo skierował broń w stronę napastnika i nacisnął spust. Potworny huk zabrzmiał w niewielkim pomieszczeniu z siłą gromu. Pocisk trafił tamtego w pierś, zatrzymując go na ułamek sekundy w powietrzu. W potężnej klatce piersiowej pojawiła się wielka, krwawiąca dziura, mężczyzna zachwiał się, po czym runął bezwładnie na Sancheza. Wyraz zwierzęcej wściekłości widoczny do tej pory na twarzy jasnowłosego olbrzyma ustąpił miejsca okropnemu grymasowi bólu i przerażenia. Sanchez, padając pod ciężarem, ku swemu zdumieniu poczuł na policzku oddech napastnika. Ten człowiek jeszcze żył! Co prawda umierał, ale jeszcze żył!

Szarpnął się rozpaczliwie, próbując uwolnić ręce, ale bez skutku. Kątem oka dostrzegł dwóch pozostałych mężczyzn; młodego, ciemnowłosego, z potężnym

magnum w ręce, oraz znacznie starszego, bardzo wysokiego, o przedziwnych srebrzystosiwych włosach. Obaj zjawili się nie wiadomo skąd. Nie miał najmniejszego problemu z ich rozpoznaniem; to oni widnieli na fotografii znalezionej w domu Liebera.

Sanchez zebrał wszystkie siły i odepchnął leżącego na nim blondyna, lecz nie dało to żadnego rezultatu. Napastnik - jak to możliwe, żeby jeszcze żył?! - powoli uniósł rękę, w której ścisnął myśliwski nóż o długim ostrzu, po czym opuścił ją w chwili, gdy Vellares zdołał wreszcie przesunąć karabin i sięgnąć do spustu. Ostrze przebiło ramię, przyszpilając go do podłogi, a niemal w tym samym ułamku sekundy padł drugi strzał. Głowa blondyna dosłownie rozpadła się na kawałki, w twarz Sanchez'a trysnęła fontanna krwi wymieszanej z kawałkami kości i strzępami mózgu, potem zaś wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie.

Dwaj mężczyźni znaleźli się przy nim; młodszy przyłożył mu do skroni lufę magnum, starszy gwałtownym szarpnięciem wyrwał mu browninga ze zdrętwiałych palców. Kapitan uświadomił sobie, że szaleńczy atak blondyna miał tylko odwrócić jego uwagę; tamci dwaj z premedytacją skazali kamrata na śmierć.

Człowiek o srebrzystosiwych włosach przyglądał mu się uważnie. Co prawda jego błękitne oczy miały spokojne, łagodne spojrzenie, ale było w nich coś, czego Vellares nie potrafił nazwać, a co sprawiało, że krew zakrzepła mu w żyłach. Co to mogło być?

Nieważne. Teraz i tak nie miało to żadnego znaczenia.

Siwy szepnął coś do swego towarzysza, lecz Sanchez nie dosłyszał. Z zewnątrz dobiegały głosy ludzi Gonzalesa; byli zbyt daleko, żeby mu pomóc. Stanowczo zbyt daleko.

Człowiek uzbrojony w magnum skinął głową, a następnie nacisnął spust.

Sanchez zawsze przypuszczał, że ten, kto ginie od kuli, nie słyszy wystrzału, ale teraz przekonał się, że nie miał racji. To nieprawda, że śmierć spływa łagodnie, jak ciemność, i że nie czuć żadnego bólu.

Wszystko to kłamstwo.

Usłyszał strzał.

Potworny, ogłuszający huk.

A potem poczuł.

Okropny, gorący ból, który wybuchł w samym środku mózgu.

To nieprawda, że umiera się od razu.

Zdażył jeszcze usłyszeć drugi wystrzał i poczuć, jak kolejny pocisk roztrzaskuje mu czaszkę.

Dopiero potem zapadła ciemność, ale na tyle powoli, że Sanchez zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego zabójcy wskakują do samochodu. Ostatnim odgłosem, jaki usłyszał, zanim wreszcie pograżył się w bezdennej otchłani, był warkot uruchamianego silnika. godz. 18.20

Na rozległym trawniku skąpanym w blasku księżyca aż roilo się od postaci w mundurach. Większość z nich miała latarki, których żółtawe światło kładło się na trawie niespokojnymi, roztańczonymi plamami.

Kiedy karetki odjechały z wyciem syren, jeden z detektywów zaprowadził Gonzalesa do garażu. Na widok zwłok Sancheza inspektor poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, lecz ku swemu zdziwieniu jednak się nie rozplakał.

Bardzo długo wpatrywał się w trupa skulonego pod ścianą, w sterczący z rany nóż, w głowę zmasakrowaną dwoma strzałami oddanymi z niewielkiej odległości. Krew, która utworzyła sporą kałużę, zdążyła już częściowo wsiąknąć w betonową posadzkę.

Potem przeniósł wzrok na zwłoki barczystego jasnowłosego mężczyzny, a raczej na to, co z niego zostało. W garażu czuć było smród ludzkich ekskrementów. Obaj w chwili śmierci oddali kał. Normalne.

Co prawda Sanchez załatwił aż czterech sukinsynów, ale stanowiło to niewielką pociechę. Właściwie żadną. Poza tym prawie na pewno nie zginął z ręki jasnowłosego olbrzyma, bowiem ten nie miał przy sobie żadnej broni. Policja zdążyła już zablokować niemal wszystkie drogi wyjazdowe z Chapultepec, lecz szansę na schwytanie zabójców nie były zbyt duże.

Kiedy wreszcie wyszedł z garażu, natychmiast zwymiotował na trawę, a potem długo stał bez ruchu, ciężko oddychając. Wreszcie ktoś podał mu zapalonego papierosa. Gonzales otarł usta, zaciągnął się dymem, następnie wyprostował się i otarł czoło pokryte zimnym potem.

- Co z Jualesem? - zapytał ochrypłym szeptem stojącego obok detektywa.

- Niestety umarł, zanim zdążyliśmy przenieść go do karetki. Gonzales zamknął oczy, przytłoczony tragiczną wiadomością.

- Ilu jeszcze?

Detektyw pokręcił głową, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co miał powiedzieć.

- Czterech naszych ludzi, dwaj pańscy przyjaciele z Asunción, sześciu z willi, w tym także Hal der i strażnik przy bramie, którego sprzątnął Madera... - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Wydałem polecenie, żeby zablokować nie tylko dzielnicę, ale całe miasto. Każdą, nawet najmniejszą ścieżkę. Jeden z naszych, młody chłopak, twierdzi, że zaraz po ostatnim strzale usłyszał warkot silnika, ale panowało takie zamieszanie, że mogło mu się tylko wydawać, a w środku za bardzo śmierdzi prochem i gównem, żeby poczuć zapach spalin. - Detektyw z wysiłkiem przełknął ślinę. - W każdym razie drzwi garażu były otwarte, a na jednym skrzydle znaleźliśmy trochę zdrapanego lakieru, ale trzeba będzie poczekać na wynik analizy. Możliwe, że jednak część drani uciekła.

- Blokada ma być szczelna jak nigdy - polecił Gonzales nieco mocniejszym głosem, ale zaraz westchnął i bezradnie pokręcił głową. - Najgorsze, że nie bardzo wiemy, kogo szukać... Co z tym człowiekiem, którego znaleźliśmy żywego na trawniku?

- Rana nie jest bardzo poważna, ale stracił mnóstwo krwi. Dwóch chłopców pojechało z nim do szpitala. Przycisną go, jak tylko lekarze pozwolą z nim gadać.

- A służba?

- Jednego znaleźliśmy żywego w piwnicy, drugiego martwego w willi. Dostał kulę w pierś. Pewnie miał pecha wejść im w drogę, kiedy uciekali przed nami. A

więc w sumie mamy trzynaście trupów. Ten, który przeżył, na zmianę rzyga i sra ze strachu. Dostał środek uspokajający, bo wyglądał, jakby miał zamiar lada chwila umrzeć.

Gonzales wycelował w detektywa palec wskazujący.

- Wyciągnijcie z niego co się da, a potem przyslijcie go do centrali razem z tym podziurawionym z trawnika. Dowiedzcie się, ile osób przebywało na terenie posiadłości, spiszcie nazwiska, sporządźcie rysopisy... - Ponownie zaciągnął się głęboko dymem, przymknął oczy i potrząsnął bezradnie głową. - Trzynaście trupów... Trudno uwierzyć. - Splunął na ziemię, po czym dodał zachrypniętym głosem: - Nie dopuście żadnego z nich do telefonu. Mam w dupie przepisy. Potrzebujemy jak najwięcej informacji, i to w możliwie najkrótszym czasie.

Detektyw stuknął obcasami, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Gonzales został sam. Spoglądał na garaż, w którym rozegrały się tragiczne wydarzenia, na trawnik i na elegancką willę. Dlaczego do tego doszło? Kim byli ci ludzie? Co tu się naprawdę działo, do jasnej cholery?

Z zamyślenia wyrwał go jęk syreny ambulansu zbliżającego się do willi zwirową drogą. Za późno. Dużo za późno, przynajmniej dla Sancheza. Vellares postąpił jak loco. Bez sensu. Zupełnie jakby miał do wyrównania jakieś osobiste porachunki.

- Panie inspektorze...

Odwróciwszy się gwałtownie ujrzał młodego policjanta, który wpatrywał się w niego z niepewną miną.

- O co chodzi?

- Przyjechał jakiś człowiek, który przedstawił się jako sędzia Felipe Cortes...

- Czego chce?

- Rozmawiać z dowodzącym oficerem. Jest bardzo rozzłoszczony. Co chwilę pyta, czy wiemy, z kim mamy do czynienia, i domaga się wyjaśnień. Powtarza w kółko, że Chapultepec to porządna dzielnica, a nie osiedle robotnicze, i żebyśmy gdzie indziej urządzali sobie ćwiczenia w strzelaniu.

Gonzales skrzywił się z niesmakiem. Dobrze znał Cortesa, nadętego, tłustego fanfarona. Sędzia mieszkał niedaleko stąd, w ogromnym domu, z mnóstwem służących i żoną jeszcze grubszą od niego. Był skorumpowany do szpiku kości, podobnie jak zdecydowana większość jego sąsiadów.

- Powiedz mu, że jestem zajęty - warknął.

- Już mu to mówiłem, panie inspektorze, ale on ciągle nalega.

- W takim razie... - Gonzales sam się zdziwił, słysząc w swoim głosie nie tyle gniew, ile wręcz wściekłość grożącą w każdej chwili wybuchem. - W takim razie powiedz mu, żeby się odpieprzył, a jeśli zaraz się stąd nie wyniesie, to wsadzę go do paki za przeszkadzanie policji w wykonywaniu obowiązków.

Młody policjant wybałuszył na niego oczy. Inspektor zaciągnął się dymem, rzucił niedopałek na trawnik i przydeptał go obcasem.

- Nie bój się - mruknął, po czym westchnął głęboko. - Sam mu to powiem.

Powoli, ze spuszczoną głową, ruszył w kierunku willi.

Rozdział 36

Berlin werner Bargel siedział za biurkiem w swoim gabinecie na drugim piętrze budynku w berlińskiej dzielnicy Dahlem. Na widok Josepha Volkmana podniósł się z miejsca i uprzejmym gestem wskazał mu fotel visavis.

Czterdziestodwuletni Bargel był najmłodszym w historii zastępcą dyrektora Landesamt für Verfassungsschutz, czyli Krajowego Urzędu Ochrony Konstytucji, powszechnie znanego pod skrótem LfV.

LfV spełnia w Niemczech podobne zadania jak MI5 w Wielkiej Brytanii, to znaczy zbiera wszelkie dostępne informacje o terrorystach, organizacjach ekstremistycznych oraz obcych siatkach szpiegowskich stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego, z tą tylko różnicą, że regionalne oddziały Urzędu zajmują się przede wszystkim sprawami dotyczącymi danego miasta lub kraju związkowego.

W przeciwieństwie do brytyjskiego, niemiecki kontrwywiad jest w znacznej mierze zdecentralizowany oraz szalenie zbiurokratyzowany. Najogólniej rzecz biorąc, dzieli się na dziewiętnaście oddziałów krajowych, podporządkowanych organizacyjnie Bundesamt für Verfassungsschutz, czyli Federalnemu Urzędowi Ochrony Konstytucji w Kolonii; każdy oddział krajowy dysponuje znaczną autonomią, jednak decyzje w sprawach najwyższej wagi zapadają wyłącznie w Kolonii.

Otynkowana na beżowo, zaledwie dwupiętrowa siedziba berlińskiego Landesamtu nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale w jej wnętrzu ponad stu wykwalifikowanych pracowników przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zajmuje się analizowaniem i opracowywaniem informacji o wielkim znaczeniu dla bezpieczeństwa miasta, jego władz i mieszkańców, na bieżąco uzupełniając dane o wszystkich osobach, które kiedykolwiek zaangażowały się w jakąś podejrzaną działalność. Zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, przy tej samej ulicy, urzęduje rezydent CIA w Berlinie.

Jak we wszystkich regionalnych Urzędach Ochrony Konstytucji, także w Berlinie dyrektor jest mianowany przez władze krajowe, w związku z czym zmiana na tym stanowisku może nastąpić po każdych wyborach, a nawet wcześniej, w przypadku zmian w rządzącej koalicji. Jednak funkcję jego zastępcy zawsze pełni doświadczony oficer wywiadu, na którego barkach spoczywa rzeczywista odpowiedzialność za funkcjonowanie Urzędu.

Wysoki, szczupły, o chłopięcej twarzy, Werner Bargel bardziej przypominał młodego księgowego niż oficera wywiadu z wieloletnim doświadczeniem.

- Co cię sprowadza do Berlina, Joe? - zapytał z uśmiechem. - Nie widzieliśmy się już ładnych parę lat.

- Co najmniej trzy, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Czym więc mogę ci służyć?

- Potrzebuję informacji, Wernerze, a oprócz tego chcę prosić cię o przysługę.

Bargel uniósł brwi.

- Pracujesz nad czymś, co wchodzi w zakres naszych zainteresowań?

- Jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć coś konkretnego.

- O jakie informacje ci chodzi?

- Na przykład, czy ostatnio zaobserwowaliście wzmożoną aktywność organizacji ekstremistycznych?

Werner Bargel rozparł się wygodnie w fotelu i założył ręce za głowę.

- W okresie recesji zawsze dają o sobie znać zarówno ci ze skrajnej lewicy, jak i prawicy. Chyba dostajesz nasze comiesięczne raporty z Kolonii?

- Oczywiście.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, w najświeższym są podane dokładne wyliczenia procentowe.

- Czy na prawym skrzydle pojawiły się jakieś nowe grupy?

- Kilka, ale do tej pory żadna nie przysporzyła nam większych problemów. Inaczej wygląda sytuacja z weteranami; ci mogą każdego przyprawić o ból głowy. Nie dalej niż w zeszłym miesiącu trzeba było ewakuować schronisko dla azylantów w Hoyerswerdzie, po tym jak przez trzy dni oblegały je gangi rozwydrzonych nastolatków z wygolonymi głowami. Tydzień później na ulicy w Lipsku zasztyletowano dwóch Murzynów, a tego samego dnia w Essen wyrzucono z drugiego piętra tureckiego chłopca, który zmarł w wyniku odniesionych obrażeń... To wszystko też znajdziesz w raporcie.

- Czy was to nie niepokoi? Bargel uśmiechnął się krzywo.

- Oczywiście, że nas to niepokoi. Staramy się utrzymać ten żywioł pod kontrolą, ale nie zawsze nam się to udaje. Tak samo mają się sprawy w wielu innych krajach.

- Jak przedstawia się sytuacja z ekstremistycznymi ugrupowaniami emigrantów?

- Co masz na myśli?

- Czy próbują się rewanżować?

- Komu?

- Na przykład neonazistom. Bargel wzruszył ramionami.

- Owszem, istnieją gangi, które czasem przechodzą do kontrataku, ale jest ich niewiele i zazwyczaj ograniczają się do działań defensywnych.

Volkman przez chwilę patrzył przez okno na niewielkie, wyłożone kostką podwórze, na którym stało kilka samochodów. Kiedy ponownie przeniósł wzrok na gospodarza, napotkał jego uważne spojrzenie.

- Czy właśnie dlatego przyjechałeś do Berlina, Joe? Żeby dowiedzieć się ode mnie tego, co mógłbyś wyczytać w naszym biuletynie informacyjnym?

- Już ci powiedziałem, Wernerze: chcę prosić cię o przysługę.

- Jaka?

- Mniej więcej miesiąc temu tutaj, w Berlinie, został zastrzelony młody człowiek nazwiskiem Dieter Winter. Pamiętasz może ten przypadek?

Bargel zastanawiał się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

- Czy to było w pobliżu zoo?

- Właśnie tam.

- Co chcesz wiedzieć?

- Czy macie w swoim archiwum teczkę Wintera? W raporcie policji, który nam udostępniono, było bardzo mało informacji.

Bargel uśmiechnął się z satysfakcją.

- To zrozumiałe, bo oni nie zadają sobie trudu, żeby grzebać tak głęboko, jak my to robimy. Nie ma sprawy, każę to sprawdzić. Coś jeszcze?

- Jutro lecę do Monachium. Winter mieszkał tam kiedyś, ale policja nie miała o tym pojęcia. Chciałbym, żebyś skontaktował się z monachijskim LfV i poprosił ich, żeby pozwolili mi rozejrzeć się po mieszkaniu Wintera - naturalnie jeśli znają adres. Oprócz tego interesuje mnie niejaki Lothar Kesser, urodzony gdzieś w Bawarii. Cztery lata temu ukończył wydział informatyki uniwersytetu w Monachium. Jeśli macie jego zdjęcie, to też chętnie rzuciłbym na nie okiem, podobnie jak na wszelkie informacje na jego temat.

- Skoro jest z Bawarii, to powinni go mieć chłopcy z Monachium, ale to żaden

problem. Jeśli cokolwiek znajdą, prześlą nam to w ciągu kilku minut. Czy Winter współpracował z ugrupowaniami ultrapravicowymi?

- Tego właśnie usiłuję się dowiedzieć. Broń, z której zastrzelono go w Berlinie, rok wcześniej została użyta podczas zamachu na brytyjskiego przedsiębiorcę w Hamburgu.

- A co z tym Kesserem? Volkmann zawahał się nieco.

- Na razie poruszam się po omacku, Wernerze. Między tymi dwoma może istnieć jakiś związek, ale równie dobrze może go wcale nie być.

- Przypuszczasz, że Wintera mogła sprzątnąć jakaś ekstremistyczna grupa imigrantów?

Volkmann uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Naprawdę nie mam pojęcia.

- Ale zawiadomisz mnie, gdybyś natrafił na coś, co mogłoby nas zainteresować?

- Oczywiście.

- Na wszelki wypadek dostaniesz także nasz aktualny raport - powiedział Bargel, podnosząc się z fotela.

- Jestem ci ogromnie zobowiązany, Wernerze.

- Zostajesz na noc w Berlinie?

- Tak. Hotel Schweizerhof.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poproszę sekretarkę, żeby zarezerwowała nam na wieczór stół w Le Bou Bou.

- Z przyjemnością. Będziemy mogli spokojnie pogadać o dawnych czasach.

Restauracja przy Kurfurstendamm była prawie pusta, obsługa zaś wyśmienita, tak jak zawsze.

Bargel przyniósł wszystkie materiały, o których udostępnienie prosił Joseph, ale nie powiedział ani słowa na ich temat. Wspomnił tylko, że uprzedził monachijski LfV o wizycie Volkmana i poprosił, by ktoś zawiózł go do opuszczonego mieszkania Wintera. Pozostałe dwie godziny upłynęły im na

pogawędce o starych dobrych czasach, a kiedy posiłek dobiegł końca, Bargel zaproponował, że odprowadzi kolegę do hotelu.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu Kurfurstendamm w kierunku Budapesterstrasse, aż wreszcie Bargel zapytał:

- Widujesz się może z Iwanem Molke? Volkmann pokręcił głową.

- Słyszałem tylko, że mieszka teraz w Monachium.

- Zgadza się - potwierdził Bargel. - Przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Może spróbowałbyś do niego zadzwonić? Podam ci jego numer.

- Pewnie, czemu nie.

- Kiedyś byliście sobie bardzo bliscy...

- Chyba tak.

- Joe, czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jasne.

- Co wtedy zrobiliście z Felderem?

- Myślałem, że wiesz. - Volkmann dostrzegł kątem oka, że Bargel kręci przecząco głową, więc dodał beznamiętnym tonem: - Wywieźliśmy go do Griinewaldu.

- A więc drań dostał to, na co sobie zasłużył. - Niemiec spojrzał współczująco na kolegę. - Wiem, co czujesz, ale wtedy nie było innego wyjścia. Ktoś musiał to zrobić.

- Wciąż jeszcze zatrudniasz ludzi od mokrej roboty?

- Już nie. W tamtych czasach walczyliśmy ze Stasi i KGB, teraz sprawy mają się zupełnie inaczej. Po zburzeniu muru oddział, który zajmował się tymi sprawami, został rozwiązany.

- Na pewno?

- Na pewno. Molke powie ci to samo. - Bargel uśmiechnął się lekko. - Obecnie jesteśmy czysti i niewinni jak nowo narodzone dzieci.

Volkmann zawahał się, po czym zapytał:

- A policja i armia? Czy są tam zwolennicy skrajnie prawicowych ugrupowań?

Bargel wzruszył ramionami.

- Policja i wojsko są apolityczne, a przynajmniej powinny takie być, chociaż, rzecz jasna, każdy funkcjonariusz, żołnierz i oficer może mieć własne przekonania. Przypuszczam, że znajdzie się sporo ludzi, którzy sympatyzują z neofaszystami, ale mają do tego pełne prawo; naturalnie pod warunkiem, że nie afiszują się z tym podczas wykonywania obowiązków służbowych. - Bystre, inteligentne oczy wpatrywały się uważnie w Volkmana. - Dlaczego o to pytasz, Joe?

- Ponieważ liczba neonazistowskich ekscesów ciągle rośnie. Wygląda na to, że wasi ludzie nie odnoszą wielu błyskotliwych sukcesów.

- Działają na bardzo trudnym terenie, Joe. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę. Jasne, że najłatwiej byłoby tamtych pozamykać, ale wtedy natychmiast podnieśliby krzyk liberałowie i obrońcy praw człowieka. Że wprowadzamy policyjny terror, zamykamy ludzi w obozach koncentracyjnych i tak dalej. Dla nas, Niemców, to szalenie delikatne tematy. - Potrząsnął głową. - Nie ma łatwych rozwiązań, Joe. Niektórym ugrupowaniom zakazano działalności; to trochę uciszyło krzykaczy z wygolonymi łbami, ale nie na długo. Zresztą, co ci będę mówił; wystarczy, że weźmiesz do ręki pierwszą z brzegu gazetę.

- Czy ci ludzie mają poparcie w społeczeństwie?

- Trochę, ale zdecydowana większość Niemców nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Ilu ich może być?

- Neonazistów? W samych Niemczech co najmniej sześćdziesiąt tysięcy.

- Mówisz o tych najbardziej aktywnych?

- Tak jest. Jeśli chcesz brać pod uwagę także nie do końca zdeklarowanych, musisz pomnożyć tę liczbę przez trzy.

- To dużo, Wernerze. Bardzo dużo. Bargel spojrzął Volkmannowi prosto w oczy.

- Zapewne zastanawiasz się, czy historia może się powtórzyć, czy jakaś nowa partia podobna do NSDAP może przejąć władzę w Niemczech?

- O ile mnie pamięć nie myli, w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, kiedy Hitler usiłował dokonać zamachu stanu, nazistów było zaledwie nieco ponad pięć tysięcy. Dziesięć lat później, kiedy ubiegał się o stanowisko kanclerza Niemiec, do NSDAP należało ponad ćwierć miliona ludzi.

Bargel gwałtownie pokręcił głową.

- To już się nie powtórzy, Joe. Cała nasza konstytucja została zredagowana z myślą o tym, aby nie dopuścić do takiego rozwoju wydarzeń. Działać mogą tylko te partie i organizacje, które ściśle przestrzegają jej założeń. Właśnie dzięki temu komuniści i neonaziści zostali zepchnięci na margines życia politycznego. Oprócz tego istnieje też coś takiego jak pięcioprocentowy próg wyborczy. Żadna partia, która zdobyła w wyborach mniej niż pięć procent głosów, nie wejdzie do Bundestagu. Jeśli tego wszystkiego ci mało, to przyjmij moje zapewnienie, że ludzie są teraz znacznie mądrzejsi. Jasne, mamy kłopoty z neonazistami. Wystarczy, żeby stuosobowa banda wszczęła burdę w centrum dużego miasta, a już światowe agencje nadają alarmujące depesze, sugerując, że lada dzień powstanie coś w rodzaju Czwartej Rzeszy. W rzeczywistości ci szaleńcy mają minimalne poparcie w społeczeństwie, a ich zwolennicy rekrutują się głównie spośród marginesu społecznego. Bojówki napadające na Żydów i imigrantów w większości nie mają żadnej struktury organizacyjnej, te zaś, które zdążyły się zorganizować, przez cały czas mamy na oku.

- Jednak chyba przyznasz, że trudno nie zauważyć pewnych niepokojących analogii - odparł Volkmann. - Zamieszki uliczne. Podpalanie schronisk dla azylantów. Nawoływanie do pozbycia się cudzoziemców. Narastające problemy społeczne i ekonomiczne, bardzo podobne do tych, które gnębiły wasze społeczeństwo w okresie, kiedy naziści rośli w siłę...

Bargel skinął głową.

- Oczywiście, paralele można tworzyć w każdej sytuacji, ale pomysł, że do władzy dojdzie partia będąca spadkobierczynią NSDAP? Nie, to po prostu niemożliwe. Żaden myślący Niemiec nie dopuści do czegoś takiego. Wtedy, w trzydziestym trzecim, sprawy przedstawiały się jednak zupełnie inaczej. Przede

wszystkim sam kraj był całkiem inny. Okoliczności, choć na pierwszy rzut oka podobne, także się zmieniły. Nie zapominaj też, że codziennie widzimy w telewizji, czytamy w gazetach, słyszymy w radiu i oglądamy w kinach, czego dopuszczono się w naszym imieniu zaledwie pół wieku temu. Nie pozwolimy, żeby ktoś spróbował zrobić to samo. Nowa NSDAP u władzy? Zapomnij o tym, Joe. Jedyne sposoby, w jakie dałoby się coś takiego przeprowadzić, to zamach stanu, a naprawdę nie widzę, kto miałby go dokonać. Zgadzam się: problemy istnieją, a niektóre z nich, zamiast maleć, stają się coraz bardziej nabrzmiałe, lecz prędzej czy później z pewnością uda się je wszystkie rozwiązać.

- W jaki sposób?

- Mówi ci coś nazwisko Konrad Weber?

- Oczywiście. To wicekanclerz.

- I zarazem federalny minister spraw wewnętrznych. Dobry człowiek, z zasadami, może odrobinę zbyt konserwatywny, ale odpowiedzialny. To on doprowadził do zdelegalizowania wielu organizacji ekstremistycznych, ostatecznie zaś często zabiera publicznie głos w sprawie działalności tych, które wciąż mogą legalnie funkcjonować, twierdząc, że ich istnienie stanowi skazę na honorze każdego Niemca. Dotarły do mnie przecieki, że podobno szykuje jakieś zmiany w przepisach, żeby raz na zawsze rozprawić się z tymi bydlakami.

- Co konkretnie zamierza zrobić?

- Nawet gdybym wiedział, na pewno bym ci tego nie powiedział - odparł Bargel z uśmiechem. - Zapewniam cię jednak, iż Weber już niedługo weźmie się ostro do pracy.

- „Niedługo”, czyli kiedy? Niemiec uśmiechnął się tajemniczo.

- Jego ludzie twierdzą, że zażądał zwołania nadzwyczajnego posiedzenia rządu. Na razie nic więcej ze mnie nie wydusisz.

Przed wejściem do hotelu Bargel wręczył Volkmannowi grubą kopertę, zawierającą kopie dokumentów.

- Tylko nie zapomnij tego zniszczyć, kiedy już ze wszystkim się zapoznasz.

- Nie ma obawy. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.
- Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, daj mi znać.
- Dziękuję, Wernerze.
- I nie zapomnij mnie zawiadomić, gdybyś trafił na coś naprawdę interesującego - dodał Bargel na odchodnym.

Zaraz po powrocie do pokoju Volkmann zagłębił się w lekturze materiałów dostarczonych przez Wenera Bargla.

O Winterze dowiedział się niewiele nowego; wychowany w katolickim sierocińcu w pobliżu BadenBaden, rodzice nieznani. Można było się domyślać, iż takie właśnie a nie inne dzieciństwo sprawiło, że później odczuwał potrzebę przynależności do jakiejś silnej grupy, z której ideałami mógłby się utożsamiać. Z raportu noszącego datę sprzed trzech lat wynikało, że uczestniczył w Lipsku w demonstracji, w trakcie której poważne obrażenia odniosło dwóch policjantów. Nigdzie jednak nie wspomniano ani słowem, by należał do którejś z ultrapravicowych organizacji.

O Kesserze Urząd Ochrony Konstytucji wiedział jeszcze mniej niż o Winterze. Z czarnobiałego zdjęcia spoglądał przystojny młody człowiek o nieco przeredzonych włosach i wystających kościach policzkowych. Ukończył studia na uniwersytecie w Monachium równocześnie z Winterem, by później przez rok pracować jako programista dla nie wymienionej z nazwy agencji rządowej, a wreszcie wylądować w komercyjnym banku z siedzibą w Norymberdze. Volkmann przypuszczał, że owa tajemnicza agencja rządowa musiała mieć coś wspólnego z wojskiem.

Nigdzie nie natrafił na wzmiankę o przynależności do jakichkolwiek skrajnie prawicowych ugrupowań. Ostatnio Kesser mieszkał przy Leopoldstrasse w monachijskiej dzielnicy Swabbing, o aktualnym miejscu zatrudnienia nie zająknięto się ani słowem. Ta lakoniczność informacji kazała się domyślać, iż powiązania Kessera z instytucjami pracującymi na rzecz obronności kraju nie uległy całkowitemu zerwaniu.

Z comiesięcznego raportu dołączonego przez Wenera Bargla wynikało, że w ostatnim czasie zaobserwowano osiemnastoprocentowy wzrost liczby zakłóceń porządku publicznego, aktów wandalizmu, a także zwykłych przestępstw popełnionych przez członków różnych skrajnie prawicowych ugrupowań. Autorzy raportu nie omieszkali jednak zaznaczyć, iż fakt ten wynika częściowo z sezonowego wzrostu bezrobocia; młodzi ludzie pozbawieni stałego zajęcia chętnie wyładowują agresję na tych, którzy nie bardzo mogą się bronić, a jednocześnie stanowią łatwy cel oskarżeń o to, że są jedną z przyczyn pogarszania się sytuacji ekonomicznej znacznej części niemieckiego społeczeństwa. Podano nawet przykłady kilku niedawnych incydentów: zaledwie przed czterema dniami prawicowi ekstremiści zaatakowali dom mieszkalny w Hamburgu, ciężko raniąc dwóch Turków, natomiast w Lipsku od zadanych nożami ran zmarło dwóch azjatyckich imigrantów. Zanotowano również dwa wypadki, kiedy gangi złożone z przybyszów z zagranicy dokonały akcji odwetowych: w Rostocku pewien Grek wrzucił butelkę z płynem zapalającym do baru często odwiedzanego przez neonazistów, w Hamburgu zaś grupa Azjatów ciężko pobiła kilku prawicowych bojówkarzy podczas regularnej bitwy, jaka rozegrała się w otoczonej nie najlepszą sławą dzielnicy St Pauli. Raport kończyła informacja o spodziewanym dalszym nasileniu aktywności grup neonazistów oraz o powstaniu dwóch nowych komórek, w Regensburgu oraz Cottbus, blisko granicy z Polską.

Uporawszy się z lekturą, Volkmann starannie złożył wszystkie papiery i schował je z powrotem do koperty, po czym nalał sobie nieco whisky, a następnie stanął przy otwartym oknie i długo zastanawiał się, co też może teraz robić Erika.

Nad opustoszałym Tiergarten powoli zapadała ciemność. W oddali widać było oświetloną blaskiem reflektorów Bramę Brandenburską, a także poślacaną, uskrzydloną postać wieńczącą szczyt Kolumny Zwycięstwa.

Josephowi przemykały przed oczami obrazy, które kilka lat temu nadawały z Berlina wszystkie stacje telewizyjne: burzony mur, uszczęśliwieni ludzie powiewiający flagami Republiki Federalnej Niemiec, chłopcy wspinający się na

szczyt Bramy Brandenburskiej, błyszczące oczy i rozradowane twarze tłumu śpiewającego „Deutschland, Deutschland iiber alles”... Ciekawe, czy to możliwe, by w ciągu półwiecza zmienić narodowy charakter?

Z zamyślenia wyrwał go przytłumiony ryk lwa, dobiegający z pobliskiego ogrodu zoologicznego. Zamknął okno, rzucił pożegnalne spojrzenie w kierunku Bramy i dachu budynku Reichstagu, po czym zaciągnął zasłony i położył się do łóżka.

Monachium powitało go przenikliwym zimnem. Punktualnie o dziesiątej samochód prowadzony przez miejscowego funkcjonariusza Landesamtu, który czekał na niego na lotnisku, zatrzymał się przed domem w Haidhausen, gdzie kiedyś mieszkał Dieter Winter. Jego mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze.

Weszli razem do środka, ale wówczas przedstawiciel bawarskiego Urzędu Ochrony Konstytucji wręczył Volkmannowi klucze i oświadczył, że zaczeka na zewnątrz, w samochodzie.

W mieszkaniu cuchnęło stęchlizną, a w kątach i nad parapetami pyszniły się wspaniałe pajęczyny. Pomieszczeń nie było zbyt wiele: sypialnia, salon, łazienka i kuchnia. Na podłodze przy łóżku leżał stos płyt gramofonowych - głównie z niemieckimi balladami i jazzem tradycyjnym - na biurku zaś stała wieża hifi.

W kuchni panował bałagan. W szafce pod zlewozmywakiem stało kilka pustych butelek po amerykańskiej whisky oraz cztery nie otwarte puszki holenderskiego piwa, w samym zlewie zostało sporo nie pozmywanych naczyń, na półkach stały konserwy. Choć plastikowy kubeł na śmieci był pusty, Volkmann wyraźnie czuł smród zepsutej żywności. Z całą pewnością Winter nie należał do osób ceniących rozkosze podniebienia, a już na pewno nie czerpał przyjemności z przygotowywania wyszukanych potraw.

Na ścianie nad łóżkiem wisiały półki z książkami, pościel leżała w nieładzie, przypuszczalnie zostawiona w tym stanie przez policjantów, którzy przeszukiwali mieszkanie. Wśród książek zwracały uwagę dzieła Spenglera oraz mocno zniszczony egzemplarz „Mein Kampf”, obowiązkowej lektury dla kogoś, kto studiował w

Niemczech historię; resztę stanowiły głównie tanie wydania powieści sensacyjnych. W całym mieszkaniu nie było ani jednej fotografii.

W trakcie podróży z lotniska funkcjonariusz Urzędu powiedział Volkmannowi, że choć przeszukania dokonano niemal natychmiast po otrzymaniu wiadomości o śmierci Wintera, to jednak wiele wskazywało na to, iż ktoś był tam wcześniej. Zniknęła większość rzeczy osobistych denata, podobnie jak zawartość niemal wszystkich szuflad biurka. Rewizja przeprowadzona przez policję nie dała żadnych rezultatów.

Mimo to Volkmann spędził w mieszkaniu prawie pół godziny, zanim wreszcie dał za wygraną, starannie zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół, do samochodu. Kierowca zawiózł go do hotelu Penta przy Hochstrasse; zaraz po wejściu do pokoju Joseph usiadł przy telefonie i zadzwonił pod numer, który otrzymał w Berlinie od Wenera Bargla.

Odebrała siostra Molkego. Okazało się, że Iwan pojechał w interesach do Wiednia i wróci dopiero późnym popołudniem. Joseph podziękował jej, zapowiedział, że w takim razie zadzwoni wieczorem, po czym odłożył słuchawkę.

Kwadrans później, już rozpakowany, po krótkim, ale gorącym prysznicu, zadzwonił do biura wynajmu samochodów.

Kilka minut po dwunastej zatrzymał za rogiem nie rzucającego się w oczy opła, wysiadł z samochodu i wrócił na piechotę przed budynek, w którym mieszkał Lothar Kesser. Wszystko się zgadzało: pod podanym numerem na domofonie figurowało nazwisko Kessera.

Nie zważając na deszcz, który właśnie zaczął siąpić, Joseph poszedł dalej, w pasażu handlowym za rogiem znalazł sklep z artykułami biurowymi, kupił duży kajet w sztywnych plastikowych okładkach, po czym wrócił przed budynek, spisał nazwiska mieszkańców, następnie zaś nacisnął wszystkie przyciski z wyjątkiem tego obok nazwiska Kessera. Zgodnie z jego oczekiwaniami odpowiedział mu nieskoordynowany chór głosów oraz brzęczyk domofonu. Najwyraźniej ktoś spodziewał się odwiedzin.

Wszedłszy na klatkę schodową, napotkał badawcze spojrzenie kobiety, która wystawiła głowę zza uchylonych drzwi mieszkania na parterze.

- Obsługa techniczna - poinformował ją z uśmiechem, wskazując kajet. - Zgłaszano nam jakieś kłopoty z hydrauliką.

Kobieta skinęła głową i zamknęła drzwi.

Volkman wszedł schodami na piętro, zastukał do drzwi Kessera, zaczekał chwilę, zastukał ponownie. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wyjął z kieszeni scyzoryk o specjalnie spiłowanych ostrzach, po czym zaczął manipulować przy zamku. Spodziewał się, że zajmie mu to co najmniej kilkadziesiąt sekund, tymczasem zaledwie po dziesięciu usłyszał cichy trzask, pchnął drzwi, które otworzyły się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach, wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Mieszkanie, choć zaledwie dwupokojowe, było gustownie urządzone. Panował w nim nienaganny porządek. W pokoju dziennym w oczy rzucała się przede wszystkim szafka z telewizorem, magnetowidem oraz kosztownym zestawem hifi.

Pierwsze kroki Joseph skierował do sypialni, gdzie zaczął przeszukiwanie od zajmującej całą ścianę szafy o rozsuwanych lustrzanych drzwiach. W środku znalazł walizkę z mocno zniszczonymi ubraniami turystycznymi i butami do wspinaczki, obok kilka par męskich i damskich butów, a także stare płyty gramofonowe, co najmniej kilkadziesiąt sztuk, zapakowane w foliowe worki. W jednej z szuflad leżała paczka z wyprawką dla niemowlęcia. Joseph sprawdził jeszcze pod łóżkiem i materacem, po czym zajął się kuchnią i łazienką.

Salon zostawił sobie na koniec. Przez kilka sekund przyglądał się ustawionej na parapecie fotografii przedstawiającej Kessera w towarzystwie ładnej jasnowłosej dziewczyny, po czym zajął się półkami, na których stało sporo książek. W większości dotyczyły informatyki ze szczególnym uwzględnieniem programowania komputerów, ale znalazło się tam również kilka broszur z tajnymi kodami używanymi przez Bundeswehrę, wszystkie opatrzone nadrukiem Ścisłe tajne. W

grubym albumie znajdowały się fotografie z dzieciństwa oraz lat studenckich Kessera; na jednej z nich Volkmann ujrzał go obejmującego się przyjaźnie z Winterem. Zdjęcie zrobiono w jakiejś piwiarni; obaj uśmiechali się szeroko do obiektywu.

Volkmann przerzucił kilkanaście stron, cofając się na początek albumu. Wśród wielu czarnobiałych zdjęć dostrzegł jedno lekko pożółkłe ze starości; przedstawiało ono mężczyznę trochę podobnego do Kessera, w mundurze generała dywizji SS Leibstandarte, opartego niedbale o wypalony wrak rosyjskiego czołgu. Zdjęcie było opatrzone dedykacją: Hildegardzie, z serdecznymi całusami, Manfred. Październik 1943.

Nieco dalej znajdowała się inna fotografia, tym razem kolorowa, z tym samym człowiekiem, tyle że znacznie starszym. Siedział w bujanym fotelu na tle górzystego krajobrazu, z małym chłopcem na kolanach. Volkmann domyślił się, iż ów chłopiec to nie kto inny jak Lothar Kesser. Podpis informował, że zdjęcie wykonano 4 lipca 1977 roku.

Zza okna dobiegł odgłos pracującego na niskich obrotach silnika, rozległo się skrzypnięcie hamulców, po czym zapadła cisza. Volkmann zamknął album, odstawił go na półkę i podszedł do okna. Z szarego volkswagena wysiedli młody mężczyzna oraz atrakcyjna blondynka w ciąży. Joseph bez trudu rozpoznał Kessera i dziewczynę z fotografii na parapecie.

Zerknął na aparat, pospiesznie zanotował numer telefonu i wyszedł z mieszkania. W hallu na parterze minął Kessera i dziewczynę, ale oni, zajęci wnoszeniem do windy toreb z zakupami, nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Z bliska dziewczyna okazała się jeszcze ładniejsza; ani ona, ani Kesser nie mieli obrączek.

Na zewnątrz Joseph zapisał jeszcze numer rejestracyjny szarego volkswagena, po czym wsiadł do samochodu i wrócił do hotelu. W pokoju nalał sobie nieco whisky, stanął przy oknie i zapatrzył się na mokrą od deszczu Hochstrasse. Całe niebo było pokryte ciemnymi, ołowianymi chmurami. Joseph myślał o zdjęciu, które

znalazł w albumie Kessera; według wszelkiego prawdopodobieństwa mężczyzna w generalskim mundurze był jego ojcem, gdyż podobieństwo rysów twarzy natychmiast rzucało się w oczy.

Joseph jednym haustem opróżnił szklanę, rozebrał się i położył do łóżka.

Wstał o szóstej, wziął prysznic, zjadł lekką kolację w hotelowej restauracji, po czym wrócił do pokoju, by zatelefonować do Iwana Molkego.

Rozdział 37

Monachium dojście na targ warzywny i odnalezienie właściwej piwiarni zajęło mu dokładnie godzinę i dziesięć minut.

Przy stolikach nie było ani jednego wolnego miejsca, w kącie zaś, przy długiej niskiej ławie siedziała grupa młodych ludzi śpiewających wesołe piosenki. Joseph nagle przypomniał sobie, że do świąt został niespełna tydzień. Zatrzymał się i rozejrzał po pograżonym w półmroku wnętrzu; dopiero po dłuższej chwili dostrzegł przy barze sylwetkę zgarbionego nad piwem Iwana Molkego.

Zamiast pozornie niedbałego, choć zawsze starannie dobranego sportowego stroju, Molke miał na sobie nie rzucający się w oczy szary garnitur. Sam także jakby zszarzał; energia, która kiedyś zdawała się rozsadzać go od środka, teraz znikła bez śladu. On również zauważył Volkmana i pomachał mu ręką.

- Miło znowu cię widzieć, Joe - powiedział, kiedy uścisnęli sobie dłonie. Wyprostował się i przez chwilę można było odnieść wrażenie, że zniknął przygniatający jego barki ciężar lat i bolesnych doświadczeń. - Na zapleczu mają pokój, w którym będziemy mogli spokojnie pogadać.

Zamówił piwo dla Volkmana, a kiedy barman podał napełniony kufel, zaprowadził kolegę do niewielkiego, przytulnie urządzonego pomieszczenia. Dzięki drewnianym meblom oraz belkowanemu sufitowi pokój wyglądał tak, jakby znajdował się we wnętrzu jakiejś starej wiejskiej chaty. Wrażenie psuł tylko krzykliwie kolorowy plakat zachwalający turystyczne uroki Bawarii. W powietrzu

czuć było stęchliznę, jakby nikt dawno nie wietrzył pomieszczenia. Molke wyjaśnił, że właściciel lokalu jest jego przyjacielem, i dlatego udostępnił im ką, do którego nie docierają hałasy z głównej sali.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie.

- Słyszałem o twoim ojcu, Joe - powiedział Molke po dłuższej chwili. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Volkmann w milczeniu skinął głową.

- Od razu domyśliłem się, że nie dzwonisz do mnie tylko po to, żeby pogadać o dawnych czasach - ciągnął Niemiec. - Lepiej od razu wyduś z siebie, o co chodzi.

- Potrzebuję twojej pomocy, Iwan.

- Pracujesz dla DSE? Joseph skinął głową.

- A ty jesteś jeszcze w obiegu? Molke wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak mówią: jeśli raz w to wdepniesz, nigdy nie uda ci się wyjść. Oficjalnie przeszedłem na emeryturę już dwa lata temu i przenieśliem się tutaj, na południe, ale o tym już ci powiedzieli. - Molke pociągnął łyk piwa. - Jestem współwłaścicielem agencji detektywistycznej. Specjalizujemy się w walce ze szpiegostwem przemysłowym. - Uśmiechnął się melancholijnie. - Może to nie aż tak ekscytujące zajęcie jak to, co dawno temu robiłem w Berlinie, ale przynajmniej mam całkiem niezły dodatek do emerytury.

- Domyślam się, że starzy przyjaciele wciąż pamiętają o tobie?

- Co najmniej dwa razy do roku nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zaprasza mnie do Bonn w charakterze konsultanta. Jak udało ci się zdobyć mój numer?

- Dał mi go Werner Bargel.

Molke skinął głową, jakby to właśnie spodziewał się usłyszeć.

- A więc co jest grane, Joe?

Kwadrans później, kiedy już Volkmann opowiedział mu ze szczegółami o całej sprawie oraz pokazał znaleziony w Chaco fragment fotografii, Iwan Molke potarł zmarszczone czoło, a następnie mruknął:

- Interesujące... Naprawdę interesujące. Nie rozumiem tylko, na czym polega związek między przeszłością i teraźniejszością, między Ameryką Południową i Niemcami.

- Ja tego też nie rozumiem, ale wiem, że taki związek istnieje, i muszę za wszelką cenę go odkryć. Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Udało ci się ustalić, kim była ta młoda osoba z fotografii? Volkmann pokręcił głową.

- Niestety nie. To dawne czasy, a w dodatku dziewczyna mogła nie mieć nic wspólnego ze Schmeltzem. Naprawdę istotny jest mężczyzna, którego trzyma pod rękę - tyle, że nawet nie wiemy, jak wyglądał.

Molke zastanawiał się przez chwilę.

- Ponad dwadzieścia lat temu, kiedy dzięki Willy'emu Brandtowi nasze instytucje, których zadanie miało polegać na ściganiu zbrodniarzy hitlerowskich, nareszcie wzięły się uczciwie do roboty, zaczęły korzystać z pomocy ekspertów, których zadanie polegało między innymi na identyfikowaniu różnych osób uwiecznionych na zdjęciach z okresu III Rzeszy. Część z nich była historykami specjalizującymi się w badaniu tamtych czasów, część należała kiedyś do elity NSDAP. Jeśli chcesz, mogę zasięgnąć języka. Jeżeli ta dziewczyna była kimś ważnym, któryś z nich może ją rozpoznać.

- Będę ci ogromnie wdzięczny, Iwan. Molke uśmiechnął się lekko.

- Naturalnie nie mogę dać ci gwarancji, że cokolwiek w ten sposób osiągnę, ale nie zaszkodzi spróbować. Wracając do teraźniejszości: co masz zamiar począć z tym Kesserem, którego mieszkanie przeszukałeś?

- Powłóczę się za nim przez parę dni. Kto wie, może trafię na coś interesującego? Aha, jeszcze jedna sprawa: dopilnuję, żeby zapłacili ci jako konsultantowi.

Niemiec lekceważąco machnął ręką.

- Potraktujmy to jako przyjacielską przysługę, Joe. Kiedy chcesz zacząć?

- Jeszcze dziś wieczorem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Molke zerknął na

zegarek.

- W porządku, ale wobec tego muszę odwołać pewne spotkanie. Nie przejmuj się, to nic ważnego. Gdyby sprawa zajęła nam więcej czasu niż przypuszczam, z samego rana zadzwonię do biura i powiem, że będę trochę później. - Podniósł się z miejsca. - Dobra, idę do telefonu. Gdzie się zatrzymałeś?

- W hotelu Penta. Pokój sto dwadzieścia osiem.

- Wpadnę do ciebie za godzinę.

- Wielkie dzięki, Iwan.

- Nie ma sprawy, Joe. Będziemy się poruszać jednym samochodem czy dwoma?

- Raczej dwoma.

- Wobec tego wezmę krótkofalówki, żebyśmy mogli przez cały czas być w kontakcie. To najnowszy model, mają cholernie duży zasięg.

Volkman w milczeniu skinął głową.

O wpół do dziewiątej wysiedli z samochodów kilkadziesiąt metrów od domu, w którym mieszkał Kesser, i przebyli resztę drogi na piechotę. Przestało już padać, w oknach na pierwszym piętrze było jasno, a szary volkswagen stał na parkingu przed budynkiem.

Wrócili do wozów, lecz tym razem obaj wsiedli do zielonego BMW Molkego, podjechali bliżej i zatrzymali samochód przy parku po drugiej stronie ulicy, skąd widać było zarówno wejście do budynku, jak i okna mieszkania Kessera. Molke wręczył Volkmannowi jedną z nowoczesnych krótkofalówek, ten zaś pokazał mu fotografię Kessera.

O północy światła na pierwszym piętrze zgasły. Pół godziny później mężczyźni uznali, że pora kończyć pracę. Umówili się na spotkanie w tym samym miejscu, wpół do szóstej rano.

Volkman wstał o piątej, wziął prysznic, ogolił się, po czym zszedł do samochodu. Kiedy o wyznaczonej porze zajechał przed park, panowały jeszcze kompletne ciemności, ale Molke był już na posterunku w swoim BMW. Jedyne

oświetlone okno w budynku należało do salonu Kessera. Na tle jasnych zasłon widać było poruszający się cień.

- Zapalił światło dziesięć minut temu, ledwo zdążyłem wyłączyć silnik - powitał go Ivan Molke. - Wygląda na to, że się dokądś wybiera. Chcesz jechać jako pierwszy?

- Jasne.

- Tylko nie zapomnij włączyć krótkofalówki. Będziemy zmieniać się co dziesięć minut. O tej porze ruch jest niewielki, więc trzeba uważać, żeby nasz ptaszek nie nabrał podejrzeń.

- W porządku.

- Miejmy nadzieję, że nie jest zwolennikiem porannego biegania po parku - dodał z uśmiechem Molke. - Chyba szlag by mnie trafił, gdyby się okazało, że na próżno wstawałem o tej kretyńskiej porze.

Volkmann także się uśmiechnął, po czym wysiadł z BMW i zajął miejsce za kierownicą wypożyczonego opla.

Pół godziny później na ulicy pojawił się Kesser w czarnej nieprzemakalnej kurtce i z teczką w ręku.

Zaczął padać deszcz, jeszcze bardziej intensywny niż poprzedniego dnia. Volkmann zaczekał, aż szary volkswagen oddali się na jakieś pięćdziesiąt metrów, po czym ruszył za nim. We wstecznym lusterku widział reflektory samochodu Molkego.

Po kwadransie Kesser zatrzymał się na stacji benzynowej przy monachijskiej obwodnicy, zatankował, potem zaś wszedł do restauracji, gdzie spędził pół godziny przy śniadaniu oraz lekturze porannej gazety. Następnie wsiadł do wozu i ruszył w kierunku Bad Tolz.

O tej porze - minęła już siódma trzydzieści - ruch znacznie przybrał na sile. Godzinę później Kesser zjechał z autostrady w boczną, mniej uczęszczaną drogę, w związku z czym Molke i Volkmann musieli znacznie zwiększyć odległość od jadącego przed nimi samochodu. Wreszcie, po kolejnych kilkunastu minutach, szary

volkswagen wjechał na wąski gruntowy trakt, pnący się stromo w górę.

Volkmann zatrzymał opla jakieś sto metrów dalej. Przy górskiej drodze zamiast drogowskazu stała tabliczka z ostrzeżeniem, że od tego miejsca zaczyna się teren prywatny. Wysoko w górze widać było ośnieżony szczyt, wystrzelający z masywu porośniętego gęstym świerkowym lasem. O skalistą grań ocierały się brzuchami ciężkie, szare chmury.

Metr za oplem zatrzymało się zielone BMW. Molke wyłączył silnik i przesiadł się do Volkmana.

- Co o tym myślisz, Joe? - zapytał, spoglądając na niedostępny górzysty teren.
- Chcesz zaryzykować i ruszyć za nim?

Volkmann zawahał się.

- Wiesz może, co to za góra?

- Zdaje się, że Kaalberg - odparł Molke. - Tam wysoko musi coś być, skoro Kesser przyjechał tu aż z Monachium. Może odegrasz rolę zabłąkanego turysty? W miasteczku, przez które niedawno przejeżdżaliśmy, zauważyłem sklep myśliwski. Mogę tam wrócić i kupić kurtki nieprzemakalne, plecaki, czy czego będziemy potrzebować. Odrobina górskiej wspinaczki na pewno dobrze by nam zrobiła.

- Chyba masz rację.

Molke uśmiechnął się i wysiadł z samochodu.

- Gdyby Kesser nagle się pojawił, zawiadom mnie przez radio - rzucił na odchodnym. - Przyjadę najprędzej, jak będę mógł.

Volkmann przesunął samochód jeszcze o jakieś pięćdziesiąt metrów. Pnąc się stromo w górę zbocze było porośnięte sosnami, po lewej stronie natomiast otwierała się głęboka, także zalesiona dolina. Hen, daleko, przez migotliwą zasłonę mżawki dało się dostrzec drewniane zabudowania jakiejś wioski.

Siedział bez ruchu, paląc papierosa za papierosem i słuchając radia. Zielone BMW zjawiło się po godzinie. Iwan Molke wyjął z bagażnika dwa solidne, okute kije, także dwie oliwkowozielone nieprzemakalne peleryny oraz silną lornetkę, po czym skinął na Josepha, któremu nie pozostało nic innego, jak zadusić niedopałek w

popielniczce i także wysiąść z wozu.

Postanowili wspinać się przez las, w sporej odległości od gruntowej drogi, w którą skręcił Kesser. Gdzieś w zacienionych miejscach leżały już splachetki śniegu, mżawka zaś, choć niezbyt intensywna, z każdą chwilą stawała się coraz zimniej - sza. Podążając prosto pod górę dwukrotnie przecinali drogę, która biegła serpentyną po zboczu; przy okazji przekonali się, że chyba jednak ktoś dość często z niej korzystał, ponieważ zadano sobie trud, by wysypać ją tłuczniem i znajdowała się w całkiem przyzwoitym stanie. Po pewnym czasie, kiedy dzieliło ich od niej jakieś sto metrów, Molke zatrzymał się, poklepał Volkmana po ramieniu i wskazał mu kierunek wyciągniętą ręką.

Przez lornetkę Joseph dostrzegł drewnianą budkę strażniczą oraz dwóch stojących przed nią mężczyzn. Na prawo od budki lśniła zamknięta, pomalowana na srebrnoszary kolor brama z metalowych prętów. Obaj mężczyźni mieli na sobie cywilne ubrania, obaj od niechcienia trzymali pod pachami przewieszane przez ramię pistolety maszynowe. Jeden z nich palił papierosa. Brama przedzielała wysypaną tłuczniem drogę, która biegła jeszcze dalej, wciąż stromo pod górę.

Za zasłony drzew widać było fragmenty dachu górskiej chaty, ale nic więcej. Co prawda Volkman odniósł wrażenie, iż dostrzega coś w rodzaju obszernego balkonu, a może tarasu, usytuowanego w tylnej części budynku, ale nie dałby za to głowy. Nieco na uboczu majaczyły zarysy znacznie mniejszej budowli, najprawdopodobniej z betonu albo metalu, tuż obok niej natomiast stały dwie znacznie lepiej widoczne drewniane szopy o spadzistych dachach.

Kwadrans później Volkman i Molke siedzieli w przytulnym, ciepłym wnętrzu zielonego BMW.

- Co o tym myślisz, Joe? - zapytał Niemiec, podając koledze zapalonego papierosa.

Volkman pokręcił głową.

- Czy wasz rząd ma w tej części kraju ośrodki, w których prowadzi się jakieś tajne badania, albo coś w tym rodzaju?

- Dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ kilka lat temu Kesser był zatrudniony przy takim właśnie, tajnym programie rządowym, a chłopcy przy bramie, choć ubrani po cywilnemu, mieli pistolety maszynowe Heckler & Koch.

- Jasne, że w Bawarii znajdzie się parę zakątków, w których dzieją się różne tajne rzeczy, ale nie mam pojęcia, gdzie one są ani ile ich jest. Chcesz, żebym się dowiedział?

- Owszem, ale musisz działać wyjątkowo ostrożnie - odparł Volkmann po krótkim namyśle. - Wolałbym, żeby Ferguson nie dostał po uszach za to, że przekracza swoje kompetencje.

- W porządku. Jak tylko poczuję smród, natychmiast wycofam się i będę udawał, że o niczym nie wiem. Kończymy na dzisiaj?

Volkmann skinął głową.

- Ale Kesser powinien być obserwowany jeszcze co najmniej przez kilka dni. Wiesz, chodzi o to co zwykle: dokąd jeździ, z kim się spotyka, jakich gości przyjmuje...

- Chcesz, żebym się tym zajął?

- Byłbym ci ogromnie wdzięczny. Gdyby tak bardzo nie zależało mi na zachowaniu dyskrecji, załatwiłbym to przez DSE, ale to oznaczałoby konieczność zawiadomienia Sekcji Niemieckiej. Myślę, że minęłoby co najmniej kilka dni, zanim sprawa ruszyłaby z miejsca. Molke skinął głową.

- Nie ma sprawy. Zlecę to ludziom z mojej agencji. Co myślisz o zainstalowaniu podsłuchu w aparacie Kessera?

- Mógłbyś to zrobić? Niemiec wzruszył ramionami.

- Pod warunkiem, że oboje co najmniej na godzinę wyjdą z mieszkania.

- Tylko uprzedź swoich ludzi, że muszą zachować maksymalną ostrożność. Kesser może być uzbrojony. Jeśli pozwolisz, spróbuję złapać cię telefonicznie w domu.

- Bardzo proszę. Gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość. Dziś wieczorem ja

pierwszy zajmę się naszym milusińskim.

Volkmann zabrał rzeczy z hotelu i oddał samochód w wypożyczalni. Dwie godziny później zielone BMW skręciło z Brennerstrasse w kierunku lotniska. Mijając Dachauerstrasse zobaczyli białoniebieski autokar turystyczny skręcający w stronę obozu koncentracyjnego.

Obóz w Dachau, oddalony zaledwie o kilka kilometrów, przetrwał wojnę w prawie nienaruszonym stanie, jako jedna z niewielu pozostałości po Trzeciej Rzeszy. Obecnie stanowił cel wycieczek turystów z niemal całego świata. Joseph był tam już kiedyś, jeszcze podczas studiów; stał na tym samym placu apelowym, na którym kilkadziesiąt lat wcześniej stał godzinami jego ojciec, czekając na jakże skromny wieczorny posiłek - często jedyny, jaki więźniowie dostawali przez cały dzień. Widział ogrodzenia z drutu kolczastego, wieżyczki strażnicze, komory gazowe i piece krematoryjne. Zobaczył na własne oczy wszystko, co wcześniej znał jedynie z koszmarnych wspomnień ojca.

Za mokrymi od deszczu szybami mignęły mu twarze pasażerów: młodzi, w większości ciemnowłosi ludzie, niektórzy w żydowskich jarmułkach. Tabliczka umieszczona za przednią szybą informowała, że autokar wiezie wycieczkę studentów uniwersytetu w Tel Awiwie.

Zerknął na poważną, nieruchomą twarz Molkego, ale nie odezwał się ani słowem.

Mimo że kiedy wylądował w Strasburgu było już po siódmej, prosto z lotniska pojechał do biura i przejrzał papiery leżące na biurku. Nie znalazł żadnych interesujących wiadomości, stwierdził także, iż w Sekcji Brytyjskiej jest już zupełnie pusto. W hallu, obok maszyny z napojami, spotkał dwóch Włochów oraz Jana de Vries; pogawędził z nimi dziesięć minut, po czym zadzwonił do Eriki, wsiadł do samochodu i pojechał do domu.

Dziewczyna sprawiała wrażenie autentycznie uradowanej z jego powrotu, on zaś z lekkim zdziwieniem stwierdził, iż bardzo się za nią stęsknił. Pojechali na kolację do Petite France. Podczas posiłku zapytała go, co robił przez minione dwa

dni, ale Joseph nie wdawał się w szczegóły; ograniczył się do stwierdzenia, że zdobył nieco nowych informacji o Winterze i Kesserze, ale trzeba je jeszcze zweryfikować, na razie zaś są okryte ścisłą tajemnicą. Erika nie nalegała, choć w jej oczach dostrzegł błysk zainteresowania.

Po kolacji poszli na spacer. O tej porze stara część miasta, z wąskimi brukowanymi uliczkami i ubiegłowiecznymi kamienicami, zupełnie pustoszała. W pewnej chwili Volkmann zatrzymał się i długo patrzył w dół, ku dostojnie toczącej ciemne wody rzece. Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna go obserwuje; istotnie, odwróciwszy się w jej stronę napotkał nieruchome, badawcze spojrzenie błękitnych oczu.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz ona delikatnie położyła na nich palec, musnęła ustami jego policzek, po czym wzięła go pod rękę. Powoli, nie spiesząc się, wracali do samochodu.

Obejrzał się dwa razy, ale nikt ich nie śledził.

Rozdział 38

Mexico City 21 grudnia, godz. 00.10

W mieszczącym się w piwnicy pokoju przesłuchań panowała wysoka temperatura, atmosfera zaś była niemal naładowana elektrycznością.

Jedynе oświetlenie pomieszczenia stanowiła silna żarówka, wisząca pod sufitem na krótkim kablu. W jej blasku szare, obdrapane ściany sprawiały wrażenie znacznie jaśniejszych i czystszych niż w rzeczywistości.

Gonzales po raz kolejny zacisnął zęby, mierząc wściekłym spojrzeniem siedzącego po drugiej stronie stołu Ernesto Brandta. Brazylijczyk miał zabandażowane lewe ramię; co prawda trzymał je na temblaku, ale sądząc po jego minie, rana była bardzo bolesna. Widocznie przestał już działać zastrzyk przeciwbólowy, który zaaplikowano mu w szpitalu.

Inspektora opatrzył jeden z sanitariuszy, którzy zjawili się w willi, po czym

dał mu garść żółtych pastylek i kazał jak najszybciej zgłosić się do lekarza. Co prawda przykre pulsowanie w ramieniu nie ustało, lecz mimo to lekarz musiał poczekać. Zbyt wiele było do zrobienia, a czas uciekał w zawrotnym tempie.

Żeby ten cholerny drań zaczął wreszcie mówić!

Brazylijczyk miał przerzedzone kasztanowe włosy, na jego nosie zaś tkwiły okulary o grubych szklach, do których zupełnie nie pasowała druciana oprawka. Wyglądał jak jakiś profesor albo ktoś w tym rodzaju. Siedział nieruchomy jak posąg i tylko od czasu do czasu przez jego twarz przemykał grymas bólu. Od trzech godzin - już tyle czasu minęło od początku przesłuchania - nie odezwał się ani słowem.

Przez pierwszą godzinę pracowali nad nim dwaj najlepsi specjaliści od wydobywania z ludzi wiadomości, jacy akurat mieli służbę, potem do dzieła przystąpił sam Gonzales. Zerknął niecierpliwie na zegarek; cholera, już po północy.

Tłumacz, lekko wystraszony młody człowiek, także w okularach, siedział skromnie w kącie. Tracił tylko czas, bo do tej pory Brandt nie zareagował na żadne pytanie. Przydał się tylko na samym początku, kiedy poinformował zatrzymanego, czego ten może się spodziewać. Gonzales mówił trochę po portugalsku, zależało mu jednak, by szczególnie w tej kwestii nie było najmniejszych nieporozumień. Żadnego prawnika. Żadnego jedzenia, wody ani środków przeciwbólowych, dopóki Brandt nie zacznie mówić. W nadzwyczajnych sytuacjach trzeba bez wahania sięgać po nadzwyczajne środki. Jednak godzina mijała za godziną, a inspektor czuł się tak, jakby przez cały czas przemawiał do głuchoniemego.

Kiedy zjechał windą do piwnicy po długiej i zażartej dyskusji z szefem miejskiej policji - była to trudna rozmowa, która mocno nadszarpnęła jego i tak już nadwątlone siły - wywołał z pokoju jednego z dwóch funkcjonariuszy prowadzących przesłuchanie.

- Gadam do ściany! - westchnął z rezygnacją policjant.

- Co ustaliliście?

- Że nazywa się Ernesto Brandt.

- A więc jednak coś wam powiedział? Funkcjonariusz pokręcił głową.

- Ani słowa. Siedzi i gapi się przed siebie. W kieszeni miał kartę kodową od drzwi w hotelu Conrad. Posłałem tam człowieka, który ustalił jego tożsamość w recepcji, a potem przeszukał pokój.

- I co?

- Nasz milczący przyjaciel zamieszkał tam dwa dni temu, bezpośrednio po przylocie z Rio. Sprawdziliśmy bagaż; nic ciekawego, z wyjątkiem brazylijskiego paszportu na nazwisko Ernesto Brandt, lat pięćdziesiąt, urodzony w Rio. Paszport wygląda na autentyczny.

Gonzales uniósł brwi.

- Poprosiliście o pomoc chłopców z ambasady brazylijskiej?

- Tak. Sprawdzają jego dane w Brasili. Mają dać znać, jak tylko czegoś się dowiedzą.

Gonzales westchnął ciężko i otarł czoło.

- A co z blokadą dróg? - zapytał detektyw. - Są jakieś rezultaty?

Inspektor w milczeniu potrząsnął głową. Blokada nie dała żadnych efektów, ale w gruncie rzeczy nie należało się temu dziwić, bo przecież sami nie bardzo wiedzieli czego, a raczej kogo szukają. To poważne utrudnienie, szczególnie w mieście liczącym dwadzieścia milionów mieszkańców. Brandt z pewnością wie, ilu ludzi uciekło z willi, kim są i jakim samochodem się posługiwali. Na razie, naturalnie oprócz niego, udało się zidentyfikować Liebera, który posługiwał się fałszywym paszportem na nazwisko Monck, oraz dwóch służących. Niestety - ten, który przeżył, miał bardzo niewiele do powiedzenia. Został przysłany przez firmę, z której usług często korzystał Halder, ale tragiczne wydarzenia tak bardzo nim wstrząsnęły, iż wciąż jeszcze znajdował się w stanie głębokiego szoku. Nietrudno było to zrozumieć, jeśli wzięło się pod uwagę fakt, iż zaledwie przed dwoma miesiącami wyszedł z zakładu psychiat - rycznego, dokąd trafił po ciężkim załamaniu nerwowym. Zaraz po strzelaninie zażył potężną dawkę środków uspokajających, w związku z czym obecnie bardziej przypominał bezwolną marionetkę niż człowieka. Umieszczono go w szpitalu Valparaise przy Calle Ciudad. Opiekujący się nim

psychiatrzy stwierdzili, że może za jakieś dwadzieścia cztery godziny będzie mógł odpowiedzieć na parę pytań, lecz do tego czasu nie ma mowy o nawiązaniu z pacjentem żadnego kontaktu.

- Równie dobrze moglibyście rozmawiać ze ścianą - oświadczył jeden z lekarzy.

Zamieszanie, krzyki, strzały i widok krwi ponownie wtrąciły nieszczęśnika w otchłań depresji. Co prawda przy jego łóżku czuwał policjant gotów w każdej chwili spisać zeznania, ale wiele wskazywało na to, iż upłynie jeszcze wiele czasu, zanim służący będzie w stanie powiedzieć coś sensownego.

A Gonzalesowi najbardziej zależało właśnie na czasie.

Rozwścieczyła go wiadomość o tym, że Halder wcale nie był martwy, kiedy teren posiadłości zajęła policja. Doznał zawału serca, lecz umarł dopiero pół godziny później, gdy przenoszono go do karetki. Gdyby pomoc nadeszła wcześniej, starego drania być może udałoby się uratować, a wtedy kto wie, może powiedziałby coś interesującego.

- Chce pan sam się przekonać? - zapytał detektyw, wskazując ruchem głowy w kierunku pokoju przesłuchań. - Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że prędzej dogada się pan z szympansem w zoo. Skurczybyk milczy jak nieboszczyk.

Inspektor skrzywił się, po czym ruszył do drzwi.

- Mimo wszystko spróbuję.

W chwili, gdy Gonzales wszedł do pokoju, zatrzymany skierował na niego czujne spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem. Inspektor poczuł, jak narasta w nim złość; ogarnęła go trudna do przewyciężenia pokusa, żeby rzucić się z pięściami na Brandta, stłuc go jak psa, wydobyć z niego siłą wszystko, co wie... Juales nie żyje. Tak samo jak Cavales i Sanchez. I jedenastu innych.

Trzyście trupów. Prawdziwa krwawa łaźnia.

A mimo to ten człowiek milczy jak zaklęty. Jest spokojny i opanowany, nie daje po sobie poznać lęku, mimo że z pewnością zмага się z dokuczliwym bólem. Groźby, walenie pięścią w stół, zachęty, obietnice - wszystko bez rezultatu.

Gonzales postanowił spróbować jeszcze raz.

- Jak się nazywasz? Milczenie.

- Co robiłeś w willi?

Całkowity brak reakcji. Tylko to puste spojrzenie wbite w ścianę. Inspektor zacisnął zęby.

- Kto tam był oprócz ciebie? Nic. Nawet mrugnięcia powieką.

- Mów, do jasnej cholery!

Tym razem Brandt zwilżył językiem górną wargę, ale to było wszystko, co udało się osiągnąć Gonzalesowi.

Inspektor nabrał w płuca powietrza, a następnie wypuścił je powoli. Ten człowiek doprowadzał go do szału. Najchętniej dałby mu taki wycisk, że tamten zostałby inwalidą do końca życia - naturalnie jeśli wyszedłby stąd żywy.

- Daję ci ostatnią szansę - wycedził z udawanym spokojem. - Możesz poprawić swoją sytuację albo jeszcze bardziej ją pogorszyć. Wybór należy do ciebie. Ciężą na tobie poważne zarzuty: współudział w zabójstwie sześciu funkcjonariuszy policji, stawianie czynnego oporu, próba ucieczki z miejsca przestępstwa... Mógłbym wyliczać jeszcze długo, ale brakuje mi cierpliwości. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Jeśli tak, to zacznij wreszcie mówić. Co robiłeś w willi? Z kim spotkał się Lieber?

Milczenie.

- Mów!

Brandt nadal siedział nieruchomo jak posąg. Wściekłość uderzyła Gonzalesowi do głowy.

- Gadaj, ty pieprzony skurwysynu! Gadaj, do jasnej cholery! Brazylijczyk wciąż uparcie milczał.

Gonzales zerwał się z miejsca, doskoczył do Brandta, zdrową ręką chwycił go za połą marynarki po stronie zranionego barku i szarpnął z całej siły, jednocześnie zamierzając się drugą, zabandażowaną ręką.

Mężczyzna wreszcie wydał z siebie głos. Niestety, był to tylko nieartykułowany, bolesny skowyt.

Zaciśnięta pięść Gonzalesa zatrzymała się pół centymetra od szczęki Brandta. Po kilku sekundach inspektor zwolnił uchwyt, pozwolił zatrzymanemu opaść na krzesło, po czym ze spuszczoną głową wrócił na swoje miejsce. Chyba po raz pierwszy w trakcie służby w policji zdarzyło mu się stracić panowanie nad sobą, ale też nigdy do tej pory nie spotkał się z tak niewzruszonym oporem. Wszyscy, nawet najbardziej zatwardziali bandziorzy, prędzej czy później zaczynali jednak mówić. Choćby sprawiali wrażenie nie wiadomo jak pewnych siebie, bez trudu dało się wyczuć, że w głębi duszy jednak się boją i że wystarczy odpowiednio silna perswazja, by złamać ich opór. Jednak w tym wypadku sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Brandt był niezwruszony jak skała.

Gonzales kilka razy odetchnął głęboko, a następnie powiedział spokojnym, lecz groźnym tonem:

- Posłuchaj mnie, Brandt, czy jak tam naprawdę się nazywasz. Posłuchaj mnie uważnie. Zginęło trzynastu ludzi, w tym kilku policjantów, moich przyjaciół. Bliskich przyjaciół. To byli porządni ludzie. Uczciwi i z zasadami, nie tacy jak ty.

Umilkł na chwilę, zdusił wzbierającą na nowo wściekłość, po czym ciągnął:

- Wdepnąłeś w niezłe bagno, ale jeśli mi pomożesz, jeśli powiesz wszystko, co wiesz, wtedy ja też będę mógł ci pomóc. Powiem w czasie rozprawy, że współpracowałeś z organami ścigania, a to na pewno wpłynie na złagodzenie wyroku.

Przerwał w nadziei, że jego słowa uturują sobie drogę do świadomości siedzącego przed nim mężczyzny. W pokoju zapadła całkowita cisza, w której słychać było tylko ciężkie oddechy siedzących nieruchomo ludzi. W jaskrawym blasku nagiej żarówki wszyscy wyglądali jak woskowe figury.

Wreszcie, po bardzo długim czasie - Gonzales gotów byłby przysiąc, że minęły całe wieki - Brandt poruszył powiekami i przeniósł spojrzenie na inspektora.

Będzie mówił, pomyślał triumfalnie Gonzales. Drań będzie mówił!

Istotnie, mężczyzna otworzył usta, ale to, co powiedział po hiszpańsku tonem przepełnionym trudną do wyobrażenia pogardą, sprawiło, że inspektora znowu

ogarnęła ślepa wściekłość.

- Nie mam nic do powiedzenia. Absolutnie nic. I chcę jak najprędzej skontaktować się z adwokatem.

Niewiele brakowało, a Gonzales ponownie rzuciłby się na niego, tym razem jednak po to, żeby zabić, żeby pogruchotać kości, wyłupać oczy spoglądające na niego z wyższością i politowaniem. Na szczęście właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi i chwilę potem do pokoju wszedł młody policjant.

Gonzales spiorunował go spojrzeniem.

- Wynoś się! - ryknął.

Chłopak zawahał się i przestąpił z nogi na nogę, ale nie zastosował się do rozkazu. Jednocześnie Gonzales usłyszał dobiegający z korytarza gwar podniesionych głosów.

- Panie inspektorze, chyba powinien pan tu przyjść... - wydukał młody funkcjonariusz niepewnym, łamiącym się głosem.

Rybacka wioska leżała trzysta kilometrów na północny wschód od Mexico City, nad brzegiem Zatoki Meksykańskiej.

Obszerna willa otoczona dwumetrowym murem stała samotnie na wzgórzu, z którego roztaczał się wspaniały widok na Morze. Nikt niepowołany nie mógł dostrzec, co dzieje się w wypielęgnowanym ogrodzie między ogrodzeniem a pomalowanymi na biało ścianami budynku.

Stara, zdezelowana furgonetka zatrzymała się przed tylnym wejściem na teren posiadłości. Z samochodu wygramolili się trzej mężczyźni. Jeden z nich skrzywił się z odrazą, kiedy podmuch wiatru przyniósł smród ryb i wodorostów z położonej nieco niżej, oddalonej o kilkaset metrów wioski. Nawet słodki zapach rosnących za murem kwiatów i krzewów nie mógł poradzić sobie z tą nieprzyjemną wonią.

Wszyscy trzej mieli na sobie stroje ubogich peonów, na głowach zaś słomkowe kapelusze o szerokich rondach. Na pierwszy rzut oka można było wziąć ich za chłopów wracających do domów po całym dniu znoej pracy w polu.

Furtkę otworzył im uzbrojony strażnik, a kiedy weszli na teren posiadłości,

natychmiast starannie zamknął ją na klucz. Odnieśli wrażenie, że zanurzają się w basenie wypełnionym rozkosznym aromatem storczyków i poinseji.

Z budynku wyszedł im naprzeciw szczupły człowiek w średnim wieku, ubrany w biały lniany garnitur, z krawatem zawiązanym ciasno pod szyją. Uśmiechał się szeroko, jakby widok trzech prostych wieśniaków sprawił mu autentyczną przyjemność.

Mężczyźni ruszyli w kierunku willi. Smród ryb ustąpił miejsca słodkiemu, niemal duszącemu zapachowi kwiatów. Skąpany w blasku słońca ogród wyglądał prawie nierealnie, jakby został przeniesiony z fantastycznego snu.

- Wszystko gotowe? - zapytał Kruger. Właściciel willi skinął głową.

- Łódź już na was czeka. Doszliśmy do wniosku, że będzie pewniejsza niż samolot, bo w tej okolicy kontrola ruchu powietrznego działa wyjątkowo sprawnie. Przyszykowaliśmy też paszporty. Jak tylko dotrzecie do Vera Cruz, przejmą was nasi ludzie i odstawią do samolotu, który zawiezie was do Miami. Wszystko powinno się odbyć bez najmniejszych problemów.

Wysoki mężczyzna o srebrzystosiwych włosach położył mu rękę na ramieniu.

- Wybacz nam, Fredericku, ale musimy zadzwonić w pilnej sprawie.

Człowiek w białym garniturze skłonił głowę z szacunkiem graniczącym z czołobitnością. - Oczywiście. Proszę za mną. Poszedł pierwszy w kierunku willi.

Mężczyzna siedzący w fotelu po drugiej stronie biurka był wysoki, szpakowaty, o przystojnej, mocno opalanej twarzy. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur z materiału najwyższej jakości. Byli w gabinecie tylko we dwóch: on i Gonzales. Za otwartym oknem migotały niezliczone światła ogromnego miasta.

Inspektor trzymał w lewej ręce wizytówkę, którą gość wręczył mu kilka minut temu w piwnicy. Wizytówka została wydrukowana na kosztownym czerpanym papierze. Pierwszy Sekretarz Jego Ekscelencji Ambasadora Brazylii - głosiły złote litery. Pod spodem znajdowało się nazwisko mężczyzny.

- Byłoby chyba dobrze, gdyby zechciał pan poinformować mnie o aktualnej sytuacji - powiedział Brazylijczyk po hiszpańsku nadzwyczaj uprzejmym tonem.

Gonzales spełnił jego prośbę, ale oszczędził sobie zarówno wstępów, jak i owijania w bawełnę. Pokrótce opisał wydarzenia, jakie rozegrały się na terenie posiadłości, wymienił liczbę zabitych. Dyplomata słuchał w milczeniu, z nieruchomą twarzą. Dopiero kiedy usłyszał, ile było ofiar, uniósł lekko jedną brew i westchnął cicho.

Gonzales szybko zakończył relację. W gabinecie przez chwilę panowała cisza, po czym Brazylijczyk przemówił takim samym jak poprzednio, uprzejmym tonem:

- Jak tylko wasz człowiek zwrócił się do nas z prośbą o pomoc, skontaktowaliśmy się z centralą policji w Brasili. Okazało się, że ów Brandt posługuje się autentycznym paszportem, natomiast jeśli chodzi o niego samego, to przypuszczam, iż już wkrótce nasz szef policji skontaktuje się w jego sprawie z pańskim zwierzchnikiem.

Mężczyzna umilkł i nerwowo zwilżył wargi językiem. Zupełnie jakby się czegoś bał, pomyślał Gonzales. Kiedy spotkali się w podziemiach komendy, dyplomata poprosił, żeby pozwolono mu zobaczyć zatrzymanego; zobaczyć, nie porozmawiać. Co najmniej przez pół minuty wpatrywał się w milczeniu w twarz Brandta, po czym pobrał wyraźnie i dał znak Gonzalesowi, że jest gotów wracać na górę.

- Proszę mówić dalej - zachęcił go inspektor. Dyplomata zawahał się wyraźnie, a następnie oświadczył:

- To sprawa dość delikatnej natury, jeśli rozumie pan, co mam na myśli... Byłoby chyba lepiej, gdybym porozmawiał bezpośrednio z pańskim przełożonym.

Gonzales zmarszczył brwi, spojrzał rozmówcy prosto w oczy i powiedział stanowczym, nie znoszącym sprzeciwu tonem:

- Ja prowadzę tę sprawę, więc będzie pan rozmawiał ze mną, z nikim innym. Pański rodak ma coś wspólnego ze śmiercią trzynastu ludzi, w tym wielu policjantów. Chcę poznać prawdę, i to szybko, do jasnej cholery! Kim jest Brandt? Dlaczego wiadomość o jego zatrzymaniu tak wami wstrząsnęła, że przyjechał pan tu osobiście, zamiast przysłać byle jakiego urzędnika albo załatwić sprawę przez

telefon? Stanowczo domagam się wyjaśnień. Im szybciej mi pan ich udzieli, tym lepiej.

Elegancki Brazylijczyk aż poczerwieniał z oburzenia.

Pewnie jeszcze nikt nigdy nie mówił do ciebie w ten sposób, pomyślał Gonzales. Pieprzę cię razem z całym dyplomatycznym protokołem. To zbyt poważna sprawa, żeby tracić czas na jakieś pierdoły.

Pierwszy sekretarz ambasady Brazylii wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę, zapalił papierosa, wydmuchnął kłęb dymu i skierował spojrzenie ku sufitowi, jakby wzywał niebiosa na świadka obrazy, jaka go przed chwilą spotkała. Przez dłuższą chwilę w pokoju panowało milczenie. Dyplomata, choć wyraźnie obrażony, wciąż sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

- Nie mam zbyt wiele czasu, señor - odezwał się wreszcie inspektor. - Czekam na wyjaśnienia.

Niewiele brakowało, żeby dodał „ty dupku”, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Brazylijczyk zmiażdżył go pogardliwym spojrzeniem, westchnął głęboko, a następnie przemówił zaskakująco pogodnym, wręcz poufałym tonem:

- W porządku, inspektorze. Co prawda bez wątpienia usłyszaliby pan to od swego przełożonego zaraz po jego rozmowie z naszym komendantem policji, ale skoro pan nalega, to mogę sam panu powiedzieć. Informacje są nadzwyczaj delikatnej natury, ściśle tajne, przeznaczone dla bardzo wąskiego kręgu wtajemniczonych... godz. 1.02

Powierzchnia Zatoki Meksykańskiej była gładka jak stół, a wiatr tak słaby, że prawie niewyczuwalny. Łódź wypłynęła z portu, po czym zwiększyła prędkość i skierowała się na wschód.

Godzinę później srebrzystowłosa mężczyzna wyszedł ze sterówki, przez chwilę stał przy zielonej lampie rufowej, a następnie skierował się na dziób łodzi. Na rozgwieżdżonym niebie nie było ani jednej chmurki. Mężczyzna miał na sobie inne ubranie niż to, w którym dotarł do willi na wzgórzu: ciepłe spodnie, grubą koszulę,

sweter oraz pikowaną kurtkę. Długi gorący prysznic, który wziął w willi, pomógł mu odzyskać nadwątlone siły, a przede wszystkim pozwolił zmyć brud i kurz stanowiące pozostałość po długiej, męczącej podróży.

W milczeniu wpatrywał się w spieniony ślad powstający w miejscu, w którym ostry dziób rozciął czarną powierzchnię morza. Najważniejsze, że zadzwonił tam, gdzie należało. Przekazał wiadomość. Tę jedyną, najistotniejszą.

Jak niewiele brakowało, by doszło do katastrofy, by ogromna praca, tytaniczny wysiłek wielu ludzi poszedł na marne!

Na szczęście on wyszedł z tego bez szwanku. Szkoda, że Schmidt zginął, ale przynajmniej jego śmierć posłużyła jakiemuś celowi.

Jego, a także Haldera. Stary towarzysz, sprawdzony w wielu niebezpiecznych sytuacjach... Chyba za stary. Śmierć od dawna krążyła wokół niego. Cóż, będą musieli obejść się bez jego doświadczenia i głęboko przemyślanych, mądrych rad.

Ten Mischling, Brandt, spisał się na medal. Ładunek dotarł bezpiecznie na miejsce. Jeden z wielu elementów, bez których plan musiałby spalić na panewce.

Łódź podskoczyła na jednej z nielicznych fal, zakołysała się gwałtownie. Mężczyzna zacisnął palce na relingu.

Był pewien dwóch rzeczy.

Po pierwsze, plan będzie nadal realizowany.

Po drugie, ludzie odpowiedzialni za to, co zdarzyło się w Mexico City, umrą, a wraz z nimi wszyscy, którzy przedstawiają sobą jakiekolwiek zagrożenie. W niedawnej rozmowie telefonicznej nie omieszkał podkreślić, jak wielką wagę przywiązuje do spełnienia tego warunku.

Naturalnie z dziewczyną sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Była jedną z nich. Należała do sieci, jak jej ojciec. Dostarczane przez nią informacje mogły okazać się wręcz bezcenne. Nadeszła chwila, by o wszystkim jej powiedzieć. To zadanie dla Meyera.

Skierował wzrok w górę, na niebo.

To nieprawda, że gwiazdy tworzą przyszłość. Przyszłość zależy wyłącznie od

nas samych.

No, może w niewielkiej części także od gwiazd.

Ponownie spojrzął na spokojne morze, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku rufy.

Dyplomata mówił bez przerwy przez pięć minut.

Gonzales słuchał w milczeniu, nie przerywając. W miarę upływu czasu spoglądał na Brazylijczyka z coraz większym zdumieniem i przerażeniem. Teraz rozumiał, dlaczego Brandt nie przejawiał najmniejszej ochoty do składania zeznań.

Kiedy pierwszy sekretarz ambasady umilkł, inspektor bardzo długo siedział nieruchomo za biurkiem. Upewniwszy się, że gość nie ma nic do dodania, podziękował mu za wyjaśnienia, odprowadził do drzwi, następnie zaś wrócił na swój fotel.

Ledwo zdążył na nim usiąść, kiedy rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwonił szef policji w Mexico City.

Rozmowa trwała niespełna dwie minuty. Odłożywszy słuchawkę, Gonzales połączył się z innego aparatu z dowództwem wojsk lotniczych, straży granicznej oraz marynarki. Załogi wszystkich stacji radarowych, okrętów patrolowych oraz posterunków granicznych miały natychmiast zostać postawione w stan pełnej gotowości.

Na koniec spróbował zadzwonić na Komendę Główną w Asunción, lecz linia była zajęta. Podał numer telefonistce z centrali, poprosił, żeby próbowała aż do skutku, po czym odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Niebawem będzie musiał pojechać do Tacubaya i poinformować żonę Jualesa o śmierci męża. Przykry obowiązek. Juales był nie tylko uczciwym i zdolnym policjantem, ale także dobrym przyjacielem.

Z tego wszystkiego rozboleła go głowa. Podniósł się z fotela, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i stanął przy otwartym oknie. W ranie wciąż czuł nieprzyjemne pulsowanie, ale starał się nie zwracać na to uwagi, podobnie jak na ucisk opatrunku założonego przez sanitariusza.

Mrowie świateł sięgało aż do Wzgórz Chapultepec i dalej, do Sierra de las Cruces. Wielkie miasto. Zbyt wielkie. Tyle kryjówek, tyle dróg ucieczki... Nie robił sobie zbyt dużych nadziei.

Ludzie tacy jak Halder mają przyjaciół na wysokich stanowiskach, a takich Halderów było bardzo wielu. Jak nazywała się ta organizacja, która działała przed laty? Die Spinne. Pająk. Doskonale pamiętał opowieści, jakie słyszał od starych policjantów, kiedy zaraz po szkole zaczynał pracę w stolicy. Organizację założyli gringos, którzy zjawili się w Meksyku po wojnie, przywożąc złoto i pieniądze. Kupowali wille w Chapultepec oraz w najmodniejszych kurortach nad morzem. Działali potajemnie i bez rozgłosu, ale za to skutecznie.

Szansę na schwytanie uciekinierów były niewielkie, lecz mimo to należało spróbować. Jednocześnie warto zacząć działać od innej strony: przekopać stare archiwa, dotrzeć do emerytowanych funkcjonariuszy, którzy mogli coś wiedzieć na ten temat... Zapowiadało się, że najbliższy dzień będzie długi, męczący, oraz że przyniesie kolejne rozczarowania, ale na to nie było rady. Zrobi to dla Jualesa i jego ludzi, a także dla Sancheza i jego kolegi, leżących teraz na metalowych stołach w policyjnej kostnicy.

Zadzwoił telefon. Zaskoczony Gonzales odwrócił się od okna i przez chwilę wpatrywał w aparat.

Czyżby połączono go z Asunción? Miał nadzieję, że tak. Tam, w Paragwaju, powinni jak najprędzej dowiedzieć się o śmierci Sancheza i Cavalesa; kiedy zginęli, w jaki sposób, a przede wszystkim dlaczego.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Nic dziwnego, że tamci chcieli za wszelką cenę wymknąć się policji.

Po trzecim dzwonku podszedł szybkim krokiem do biurka, zdusił niedopałek w popielniczkę i podniósł słuchawkę.

Rozdział 39

Genua poniedziałek, 19 grudnia

Wszystko przez tę robotę na nocnej zmianie, pomyślał po raz kolejny Franco. Wszyscy wiedzą, że kiedy pracujesz zamiast spać, różne dziwne rzeczy dzieją się z twoją przemianą materii. Pół litra wina, które wypił w barze przy Palazzo San Giorgio, niewiele mu pomogło; wciąż czuł się tak, jakby miał kamienie w żołądku.

Krótko mówiąc, czuł się paskudnie.

Ale Il Peste też nie wyglądał najlepiej. Stojąc przy wejściu do magazynu, Franco obserwował zbliżającego się celnika. Tłuszcioch sprawiał wrażenie mocno zafrasowanego, jakby dręczyły go niewesołe myśli. Naturalnie jeśli przyjąć, że tego dupka w ogóle nawiedzają czasem jakieś myśli. Sprawiał wrażenie kogoś, kogo wystarczy zaprogramować, a potem pchnąć we właściwym kierunku i...

- Buona notte - powiedział Franco.

- Jesteś pewien, że to dobry wieczór?

- O co chodzi? Masz jakieś problemy?

- Nie, amico - odparł celnik. - To ty masz problemy.

No, tak. Tylko tego jeszcze było mu trzeba. Problemy. Nie ulegało wątpliwości, że urzędnik znajdował się w fatalnym nastroju. Praca od zmroku do świtu wszystkim dawała się mocno we znaki. Franco spróbował się uśmiechnąć, lecz stwierdził, że nie jest w stanie tego dokonać. Widok Il Peste w każdej sytuacji działał na niego przygnębiająco, teraz zaś, kiedy bolał go żołądek...

- Chcę zobaczyć listy przewozowe - poinformował go celnik oschłym tonem.

- Przecież pokazałem ci je dwie godziny temu, jak tylko wpłynął ten statek z Pireusu...

- Nie te. Z ubiegłego tygodnia. Chodzi o „Marię Escobar”.

- Jak to?

- Przecież słyszysz. Chcę zobaczyć listy przewozowe z „Marii Escobar”.

- Po co?

- Nie twoja sprawa, Franco. Proszę cię, nie utrudniaj mi życia. Czeka mnie ciężka noc.

- Ale ja naprawdę nic nie rozumiem... - bąknął Franco. Z każdą chwilą ogarniał go coraz większy niepokój. Il Peste zawsze zachowywał się jak wrzód na dupie, ale tym razem był wyjątkowo spięty i agresywny.

- Nie musisz. Po prostu rób, co ci mówię. Gdzie je masz?

- Na górze, w kantorku.

Na czoło Franco wystąpiły krople potu. Jakiś głos szeptał mu do ucha, że zbliżają się poważne kłopoty, takie, z jakimi jeszcze nigdy nie miał do czynienia.

- Policja zażądała, żebyśmy ponownie sprawdzili wszystkie dokumenty statków, które w ciągu ostatniego miesiąca przywiozły towar z Ameryki Południowej - wyjaśnił niespodziewanie celnik. - Załatwiłem już wszystkie z wyjątkiem „Marii Escobar”. Nigdzie nie mogę znaleźć kopii jej listów przewozowych. Bądź taki dobry i pospiesz się trochę, bo jestem cholernie zmęczony.

Franco też był zmęczony, a do tego mocno wystraszony. Krew odpłynęła mu z twarzy, nogi zaś ugięły się pod nim, jakby były z waty.

- Już, zaraz... - wyjąkał, szcękając zębami. - Tylko przyniosę klucze...

- Będę ci ogromnie zobowiązany.

Wspinając się po schodach, Franco potykał się na co drugim stopniu.

- O co chodzi policji? - zapytał, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- A skąd mam wiedzieć? - odburknął Il Peste. - Mam tylko sprawdzić dokumenty i skontrolować, czy we wszystkich znajdują się takie same informacje.

Niewiele brakowało, by z piersi Franco wyrwało się głośne westchnienie ulgi.

- Tylko tyle?

- Wystarczy. W ciągu najbliższych dwóch godzin mają przyplłynąć trzy statki, więc lepiej się pospiesz.

Franco od razu poczuł się lepiej. Nie miał się czego obawiać; dokumenty dotyczące kontenera były w całkowitym porządku.

Zatrzymał się na metalowym podeście, włożył klucz do zamka, przekręcił go, otworzył drzwi i wszedł pierwszy do środka. W niewielkim pomieszczeniu panował zaduch, więc najpierw otworzył na oścież okno, a potem skierował się do metalowej

szafy z segregatorami. Zdjął z półki właściwy, otworzył go, wyjął plik dokumentów i wręczył celnikowi.

Il Peste położył papiery na biurku, a następnie wyjął z kieszeni długopis i notes, a także kilka złożonych, lekko wymiętych formularzy.

Franco stał w milczeniu, pogrążony głęboko w myślach. Czego mogła szukać policja? Pudła, które przekazał tamtym ludziom w wyznaczonym miejscu? A może czegoś zupełnie innego? Nie, na pewno chodziło o pudło. Musiało w nim być coś naprawdę ważnego. Gliny nie urządzałyby takiej operacji, gdyby chodziło o jakąś błahostkę. Nagle ponownie ogarnął go niepokój; gruby celnik ze zmarszczonymi brwiami podliczał jakieś kolumny liczb, dwukrotnie sprawdził wynik, po czym zerknął na jedną z wymiętych kartek i z zastanowieniem zaczął ssać końcówkę długopisu.

- O co chodzi? - zapytał Franco zachrypniętym głosem. Il Peste spojrzał na niego spod oka.

- O jeden z kontenerów, które przywiozła „Maria Escobar”. Waga podana w dokumentach nie zgadza się z tą, jaką zarejestrowano przy wyjeździe ciężarówki.

- Ile wynosi różnica?

- Dwadzieścia kilogramów.

Franco wzruszył lekceważąco ramionami.

- Dwadzieścia? A co to jest dwadzieścia kilogramów? - Przecież Il Peste nie pracuje tu od wczoraj! Powinien doskonale wiedzieć, że różnica może dochodzić nawet do pięćdziesięciu kilogramów. Celnicy nabierają podejrzeń dopiero wtedy, kiedy przekracza tę granicę. O co tu chodzi, do diabła? - Daj spokój, Paulo. Szkoda twojego i mojego czasu. Obaj mamy mnóstwo roboty, więc...

Il Peste postukał palcem w jeden z dokumentów.

- Zdaje się, że sprawdzałem właśnie ten kontener, prawda? Franco umilkł i spojrzał na rubrykę, przy której zatrzymał się gruby paluch. Widniał w niej numer kontenera ze skrytką w podwójnej ścianie. Rozpaczliwie spróbował przełknąć ślinę, ale stwierdził, że zupełnie zaschło mu w gardle.

- Ja... Eee... To znaczy, nie pamiętam - wychrypiał nie swoim głosem.

- Na pewno pamiętasz. Opukiwałem ściany, ale nie doszedłem do końca, bo spieszyłem się na chrzest dziecka Stefano.

- Ach, tak... Teraz sobie przypominam.

Il Peste wciąż zastanawiał się nad czymś ze zmarszczonym czołem.

- Dwadzieścia kilogramów... - mruknął z powątpiewaniem, jeszcze raz porównując liczby.

Franco wstrzymał oddech. Dlaczego ten kretyń zawraca sobie głowę tak niewielką różnicą?

- To naprawdę głupstwo - powtórzył. - Takie niedokładności trafiają się w każdym transporcie.

- Jasne. Albo ktoś pomylił się przy wpisywaniu, albo waga działała nie tak jak należy, albo coś tam jeszcze... - Otyły celnik podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. - Tyle że to nie powinno się zdarzać, Franco.

- Oczywiście masz rację, ale przecież każdy może popełnić błąd.

- Zgadza się - odparł Il Peste, po czym potrząsnął głową. - Chociaż gdyby popełniali ich trochę mniej, znacznie ułatwiliby mi pracę.

- Tak, tak - potwierdził skwapliwie Franco. - Naturalnie. Ale dlaczego zawracasz sobie głowę tymi dwudziestoma kilogramami?

- Ze względu na policję, amico. Mamy informować ich o wszystkich wątpliwościach dotyczących ładunków, które w ciągu ostatniego miesiąca dostarczono z Ameryki Południowej. „Maria Escobar” była jedynym statkiem, który stamtąd przyplłynął.

No tak, tylko tego mi jeszcze potrzeba, pomyślał Franco. Gliniarze na nabrzeżu, w magazynie, w biurze, wtykający wszędzie nosy, próbujący dobrać mu się do skóry.

- A czego oni właściwie szukają? - zapytał z udawaną obojętnością,

- Kto to może wiedzieć? Przypuszczalnie narkotyków, bo co innego można przemycać z Ameryki Południowej? - Grubas zgarnął papiery z biurka i wręczył je

Franco. - Zresztą, i tak jest już chyba za późno. Nawet jeśli coś rzeczywiście było w tym kontenerze, już dawno przepadło bez wieści. Na przyszłość trzeba poświęcać więcej uwagi ważeniu kontenerów.

- Zgadzam się - zawtórował mu Franco, kiwając z powagą głową. - To by rozwiązało wiele problemów.

Il Peste podniósł się z krzesła, ale zamiast ruszyć ku drzwiom, z zamyśloną miną wpatrzył się w okno, za którym widać było wstęgę asfaltu oświetloną jaskrawym blaskiem lamp.

- Będę mógł już zamknąć interes? - zapytał nieśmiało Franco.

Celnik drgnął raptownie, jakby obudzono go ze snu, po czym odwrócił się powoli w jego stronę.

- Zdaje się, że dokładnie sprawdziłem ten ostatni kontener? - wymamrotał, jakby nie słyszał pytania.

Franco spróbował się uśmiechnąć.

- Jasne. Bardzo dokładnie.

- Nawet opukałem ściany...

- Tak, pamiętam.

- Wiesz, moja córka Bianca całkiem nieźle gra na pianinie. Mówiła mi już parę razy, że mam dobry słuch. Potrafię wychwycić każdy błąd, każdą różnicę dźwięku.

Nogi Franco znowu zaczęły robić się miękkie, jakby były z ciepłej plasteliny.

- Naprawdę?

- Tak. Zupełnie nie znam się na nutach, ale kiedy ktoś zagra za nisko albo za wysoko, natychmiast to słyszę.

Uśmiechaj się, powtarzał Franco w duchu. Uśmiechaj się, do jasnej cholery.

- Ten kontener...

Il Peste zawiesił głos. Wpatrywał się przed siebie, w jakiś odległy punkt, nie widząc ani Franco, ani nawet ścian biura.

- Co z nim?

- Tak, teraz sobie przypominam. Ściany wydawały dziwny odgłos. Nie taki,

jak powinny.

Franco wzruszył ramionami. Kosztowało go to tyle wysiłku, jakby dźwigał na barkach pięćdziesięciokilogramowy worek cementu.

- Możliwe, aleja o niczym nie wiem. Robię co do mnie należy i nic więcej mnie nie obchodzi. Wy jesteście po to, żeby zawracać sobie głowę takimi sprawami.

Tym razem nie ulegało wątpliwości, że Il Peste patrzy prosto na niego. Franco nie odwrócił wzroku, lecz okupił ten wysiłek tak znaczną utratą sił, że kiedy celnik wreszcie skierował spojrzenie ponownie na okno, wydawało mu się, iż lada chwila zemdleje.

- Szkoda, że wtedy tak mi się spieszyło - powiedział cicho grubas. - Gdybym miał więcej czasu, na pewno przyjrzałbym mu się dokładniej. - Umilkł na chwilę, po czym dodał znacznie raźniejszym tonem: - Na szczęście nic straconego. Zapisałem sobie numer tego kontenera; wygląda na to, że za kilka dni zobaczymy go ponownie, bo ma trafić na pokład tego statku, który będzie odpływał do Pireusu. Wtedy jeszcze raz rzucę na niego okiem.

Odwrócił się i wyszedł bez słowa pożegnania.

Franco został sam. Przez kilka sekund wsłuchiwał się w cichnące kroki celnika, po czym westchnął głośno i otarł pot z czoła. Czuł się coraz gorzej, a do tego bał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

Co się dzieje, do wszystkich diabłów? Jeśli Il Peste znajdzie skrytkę, natychmiast domyśli się, że był w niej jakiś ładunek. On, Franco, będzie udawał idiotę: o niczym nie wie, o niczym nie słyszał, nic nie widział. Nie mają przeciwko niemu żadnych dowodów. Żadnych.

Ponownie otarł spocone czoło. Jesteś bezpieczny, powtarzał sobie w duchu. Całkowicie bezpieczny. Uspokój się.

Odetchnął głęboko kilka razy, ale kiedy już wydawało mu się, że wrócił do normy, poczuł nagły, bolesny skurcz żołądka. Pospiesznie wyłączył światło, zamknął drzwi i zbiegł po schodach do toalety.

Rozdział 40

Strasburg; wtorek, 20 grudnia

Kiedy we wtorek o dziesiątej rano Volkmann zjawił się w swoim gabinecie, zastał na biurku kartkę z informacją, że telefonowali Ted Birken z Zurychu oraz Iwan Molke z Monachium; obaj mieli do przekazania ważne informacje i prosili, żeby Joseph skontaktował się z nimi najszybciej, jak to będzie możliwe.

Najpierw zadzwonił do Monachium, lecz sekretarka Molkego powiedziała, że szef umówił się z kimś na mieście. Tak, oczywiście przekaże mu, że telefonował Joseph Volkmann ze Strasburga.

W Zurychu miał więcej szczęścia. Już po drugim sygnale usłyszał uprzejmy, pogodny głos Teda Birkena.

- Udało mi się ruszyć naprzód, Joe. Masz pod ręką długopis i kawałek papieru?

Volkmann sięgnął po przybory do pisania.

- Czy to dobre wiadomości, Ted?

- Na razie trudno ocenić. W każdym razie na pewno lepsze niż się spodziewałem. Co prawda mój znajomy z archiwum w Koblencji już tam nie pracuje, ale przekazał moją prośbę przyjacielowi piastującemu funkcję dyrektora Ośrodka Dokumentacji w Berlinie, niejakiemu Maxwellowi. Maxwell miał przejrzeć teczki osobowe członków NSDAP i wyłowić tych z numerami legitymacji zbliżonymi do numeru Erharda Schmeltza. Od razu przypomniał sobie, że już raz prosiliśmy o informacje dotyczące Schmeltza, więc zadzwonił do mnie z pytaniem, o co w tym wszystkim chodzi. Wyjaśniłem mu pokrótce, a on powiedział, że zadzwoni jeszcze raz później. Widocznie potrzebował trochę czasu, żeby mnie sprawdzić. Chyba nie miał do mnie żadnych zastrzeżeń, bo dotrzymał słowa i obiecał, że jego ludzie podadzą mi nazwiska pięćdziesięciu członków NSDAP; dwudziestu pięciu z numerami legitymacji wyższymi od numeru Schmeltza i dwudziestu pięciu z niższymi. Jak tylko uzyskałem te nazwiska, sprawdziłem wszystkie po kolei.

Okazało się, że z tej pięćdziesiątki żyje jeszcze tylko czterech ludzi, z tego dwóch w Ameryce Południowej. Dwaj pozostali mieszkają w Niemczech. Pierwszy nazywa się Otto Klagen, legitymacja numer 68948. Urodzony w Berlinie w roku 1910, a więc wstąpił do partii jako bardzo młody człowiek. Na podaniu figuruje data 1 listopada 1927.

- Gdzie jest teraz?

Ted Birken westchnął ciężko.

- Właśnie na tym polega problem. Ostatnio mieszkał w domu starców w Diisseldorfie. Naturalnie od razu tam zadzwoniłem, tylko po to jednak, by się dowiedzieć, że dwa miesiące temu Herr Klagen doznał wylewu krwi do mózgu i od tej pory znajduje się w bardzo poważnym stanie. Prawie nie mówi, jest częściowo sparaliżowany. Obecnie leży w szpitalu przy Gratilingerstrasse. Wątpię, czy przyda ci się do czegoś, nawet jeśli znał Erharda Schmeltza, chociaż, rzecz jasna, możesz spróbować. Poza tym dowiedziałem się od Maxwella, że dwadzieścia lat temu sami Niemcy wzięli go pod lupę. Podczas wojny służył w SS i był poszukiwany w związku z licznymi zbrodniami wojennymi, jakie popełnił na terenie Polski, ale, jak to często bywa w takich przypadkach, prokuratura nie zdołała zgromadzić przekonujących dowodów winy i nawet nie doszło do procesu.

Volkman znotował adres szpitala, po czym zapytał:

- A ten drugi?

- Walter Busch, legitymacja partyjna numer 68978. Podobnie jak Schmeltz złożył podanie w Monachium.

- Masz jego adres?

Okazało się, że Busch mieszka w Dachau, na przedmieściach Monachium.

- Powinien teraz mieć osiemdziesiąt parę lat, ale mam nadzieję, że jest w lepszej formie niż Klagen. Jeśli nie, tylko stracisz mnóstwo czasu.

- Może najpierw do niego zadzwonię?

- Albo nie ma telefonu, albo zastrzegł numer. Będzie chyba najlepiej, jeśli zjawisz się bez uprzedzenia, bo w przeciwnym razie mógłby nawet nie zgodzić się

na rozmowę.

- Wiesz może, co robił podczas wojny?

- Służył w Abwehrze. Nie poszukiwano go w związku z żadnymi przestępstwami, a w czterdziestym piątym był zaledwie kapitanem, co jest dość dziwne, ponieważ ci, którzy wstąpili do partii przed 1930 rokiem byli uważani niemal za nazistowską arystokrację. Busch powinien był zajść znacznie wyżej, szczególnie służąc pod admirałem Canarisem, chyba że coś przeszkrobał albo w inny sposób naraził się zwierzchnikom.

- A po wojnie?

- W tej sprawie Maxwell skontaktował się z placówką CIA w Berlinie. Okazało się, że przez dziesięć lat Busch pracował dla Gehlena, w organizacji stanowiącej załączek późniejszych tajnych służb. Roilo się tam od eksnazistów, więc nie musiał się wstydić swojej przeszłości. Trzydzieści lat temu założył własną agencję detektywistyczną. Obecnie żyje z emerytury.

- Bardzo ci dziękuję, Ted. Naprawdę ogromnie mi pomogłeś.

- Nie ma sprawy, chłopcze. Aha, gdybyś w przyszłości potrzebował czegoś z Ośrodka Dokumentacji w Berlinie, możesz kontaktować się bezpośrednio z Edem Maxwellem. Wystarczy, że powołasz się na mnie.

W południe zadzwonił Iwan Molke.

- Joe, koniecznie musimy spotkać się i porozmawiać.

- Jakies kłopoty, Iwan? - zapytał Volkmann, zaniepokojony tonem głosu przyjaciela.

- Raczej tak. Wycofałem ludzi, którzy śledzili Kessera.

- Co się stało?

- Wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Możemy się spotkać? Chcę ci coś pokazać.

- Myślę, że około trzeciej mógłbym być w Monachium.

- Wobec tego umówmy się w Augsburgu. Będiesz miał krótszą drogę, a poza tym dzięki temu będę mógł wyrwać się z biura. Wiesz, gdzie jest Dworzec Główny?

- Nie, ale myślę, że uda mi się go znaleźć.

- Będę czekał w głównym barze o wpół do trzeciej. Aha, jeszcze jedno: bądź tak dobry i wyświadczyć mi przysługę.

- Co tylko zechcesz.

- Po drodze uważnie patrz we wsteczne lusterko. Volkmann zmarszczył brwi.

- O co chodzi, Iwan? «

- Powiem ci, kiedy się zobaczymy, ale pamiętaj, o co cię prosiłem - odparł Molke, po czym odłożył słuchawkę.

Joseph zjawił się na dworcu kilka minut przed wyznaczoną godziną. Samochód zostawił na odległym o kilkaset metrów podziemnym parkingu.

Stosując się do rady Molkego, w drodze ze Strasburga do Augsburga co chwila zerkał we wsteczne lusterko, starając się zapamiętać jadące za nim samochody, ale nie zauważył niczego podejrzanego, choć na wszelki wypadek zatrzymywał się co najmniej pięć razy na parkingach lub stacjach benzynowych. O ile mógł stwierdzić, nikt go nie śledził.

Iwan Molke siedział w kącie pomieszczenia nad filiżanką kawy. Palił papierosa, na jego zmęczonej twarzy malował się wyraz napięcia i oczekiwania. Ujrawszy Volkmana dał mu znak, by do niego dołączył. Joseph zamówił piwo, a pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł usiadłszy przy stoliku naprzeciwko przyjaciela, były ciemne worki pod jego oczami.

- Nikt za tobą nie jechał?

- Nikt. O co chodzi, Iwan?

Molke zdusił niedopałek w popielniczce.

- Czy jesteś pewien, że powiedziałeś mi o tym Kesserze wszystko, co powinienem wiedzieć?

- Oczywiście! Dlaczego pytasz? Molke spojrzał Josephowi prosto w oczy.

- Zgodnie z naszą umową przedwczoraj kazałem dwóm ludziom z mojej agencji śledzić Kessera. Jednemu z nich udało się wczoraj dostać do jego mieszkania, kiedy oboje pojechali do lekarza. Dziewczyna ma na imię Ingrid i przypuszczalnie

jest w szóstym miesiącu ciąży.

- Bardzo się cieszę, ale chyba nie chciałeś spotkać się ze mną tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie, Joe. Mój człowiek był w mieszkaniu około dziesięciu minut, bo tyle czasu upłynęło do powrotu Kessera. Miał za mało czasu, żeby założyć podsłuch, ale zdążył sfotografować kilka stron z notesu, który leżał przy telefonie, i zrobić odciski z zapasowych kluczy. Wyszedł w chwili, kiedy Kesser wchodził już po schodach. Wczoraj o dziewiątej wieczorem otrzymałem szczegółowy raport, odciski kluczy oraz zdjęcia.

Molke przerwał na chwilę, zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się dymem, po czym mówił dalej:

- W środku nocy, w odstępie dziesięciu minut, dostaję dwa alarmujące telefony. Dzwonią moi ludzie, którzy śledzili Kessera. Pierwszy mówi, że jego żona wstała o drugiej i zeszła na dół do kuchni, żeby się czegoś napić. Zauważyła, że drzwi do gabinetu są otwarte, więc włączyła światło i ujrzała jakiegoś obcego faceta grzebiącego w teczce męża. Narobiła krzyku, a tamten wyciągnął z kieszeni pistolet i wymierzył do niej, jakby miał zamiar rozwalić jej głowę. Kiedy mój człowiek zbiegł na dół, tamtego już nie było, a żona leżała zemdlona na podłodze.

Niemiec umilkł, jakby chciał, żeby jego relacja wryła się głębiej w pamięć Volkmana, a następnie odezwał się ponownie:

- Drugi opowiedział mi następującą historię: Po wizycie u mnie pojechał jeszcze do przyjaciółki, trochę się u niej zasiedział, a wracając nocą do domu zauważył jadącego za nim ciemnego volkswagena z dwoma mężczyznami w środku. Nie mógł odczytać numerów, bo tablica rejestracyjna była bardzo zabrudzona. W domu nie włączył światła, tylko od razu podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, lecz nikogo nie zauważył. Pół godziny później usłyszał jakieś szepty za drzwiami, więc włączył muzykę i zaczął hałasować, żeby sprawić wrażenie, że nie jest sam, a potem zadzwonił do mnie. Przyjechałem do niego po dziesięciu minutach. Co prawda przed drzwiami nikogo już nie zastałem, ale znaleźliśmy ślady świadczące o

tym, iż ktoś grzebał w zamku.

Molke umilkł. Joseph bardzo długo nie przerywał ciszy, jaka zapadła przy stoliku w barze, aż w końcu zapytał:

- Jesteś pewien, że to ma związek ze śledzeniem Kessera?

- Całkowicie - odparł Niemiec bez wahania. - Nie pracujemy obecnie nad żadną sprawą, która mogłaby spowodować taką reakcję.

- Wobec tego co proponujesz?

- Odwołałem chłopców. Wy działacie w majestacie prawa i nosicie broń, dla nich to byłaby zbyt niebezpieczna zabawa. Nie mogę ryzykować ich życiem, Joe. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz? *

Volkman skinął głową.

- Myślisz, że Kesser zorientował się, że miał odwiedziny?

- Ich też o to zapytałem i wiesz, co mi odpowiedzieli? Otóż ich zdaniem Kesser nie ma o niczym pojęcia i z pewnością nie wie nawet, że był obserwowany.

- Może więc ktoś jeszcze ma go na oku?

- Co prawda nikogo nie zauważyli, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Mogli być zbyt zajęci uważaniem na niego.

- Co robił Kesser przez te dwa dni?

Molke wydobył z kieszeni duży notes i przewrócił kilka kartek.

- Dwa razy pojechał w góry. Nawiasem mówiąc, miałem rację: ten szczyt rzeczywiście nazywa się Kaalberg. Zarówno wczoraj, jak i przedwczoraj zjawił się wcześniej, około siódmej, a wyjechał około południa.

- Czy twoi chłopcy zaobserwowali jakiś ruch na tym terenie?

- Oprócz Kessera nikt nie przyjeżdżał ani nie wyjeżdżał, a wartownicy nie oddalali się od bramy.

- Sprawdziłeś to, o co cię prosiłem?

- Masz na myśli tajne laboratorium albo coś w tym rodzaju?

- Właśnie.

- Rozmawiałem z przyjaciółmi z ministerstwa. Wszyscy zgodnie stwierdzili,

że w Bawarii jest kilka miejsc, w których ludzie pracujący na zlecenie rządu badają różne paskudne substancje chemiczne albo testują nowe rodzaje broni, ale nie chcieli wdawać się w szczegóły, a ja nie nalegałem, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Spróbowałem za to innego podejścia: pojechałem do wsi, w której kupiłem sprzęt turystyczny, i popytałem dookoła.

- Czego się dowiedziałeś?

- Właściwie tylko tego, że całkiem niedaleko znajduje się rozległy prywatny teren, przypuszczalnie o powierzchni kilku kilometrów kwadratowych. Głównie las, krzewy i skały, więc nie ma mowy, żeby zimą jeździć na nartach. Jest tam duży dom, przypuszczalnie ten, który widzieliśmy, jakieś stodoły oraz niski betonowy budynek, jakby bunkier, w którym istotnie mogłoby mieścić się laboratorium, a poza tym tylko budka strażnicza przy bramie. Kiedyś ta okolica należała do prywatnego sanatorium, ale po tym, jak kilka lat temu uległo likwidacji, wszystko kupił jakiś zamożny człowiek; niestety, nikt z miejscowych nie wie, kto to jest ani czym się zajmuje. Niektórzy podejrzewają, że w rzeczywistości teren należy do rządu, ale tego też nikt nie jest pewien. Jedno nie ulega wątpliwości: gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie pełno tabliczek z napisami „Teren prywatny” i „Wstęp surowo wzbroniony”.

Volkmann westchnął, przez chwilę spoglądał na tłum wypełniający perony i halę dworca, po czym skierował wzrok na Molkego.

- A co ty o tym myślisz, Iwan? Niemiec wzruszył ramionami.

- To rzeczywiście może być jakieś tajne rządowe laboratorium. Sam przecież wspomniałeś, że w mieszkaniu Kessera stoją na półce wojskowe książki kodowe, więc kto wie, czy nasz podopieczny nie został ponownie zwerbowany do pracy nad jakimś tajnym projektem. Biorąc pod uwagę, co spotkało moich ludzi, wydaje mi się to nawet bardzo prawdopodobne. Taką robotę mogliby wykonać chłopcy z Landesamtu. Mają zwyczaj pilnować swoich pupiłków i jak tylko zwęszą coś podejrzanego, natychmiast bezpardonowo wkraczają do akcji. Problem polega na tym, Joe, że ja naprawdę nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Jeśli zabiorą mi licencję, moi ludzie stracą pracę, a ja zostanę bez środków do życia. Właśnie dlatego

postanowiłem ich wycofać.

Joseph zmarszczył brwi, przez kilka sekund tarł z namysłem czoło, a wreszcie powiedział:

- Gdyby Kesser istotnie pracował dla rządu, nikt w Landesamcie nie pokazałby mi jego teczki.

Iwan Molke spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że Werner Bargel bez żadnych oporów udostępnił mi wyciąg z jego teczki, a dane ludzi zatrudnionych przez rząd, szczególnie tych, którzy pracują przy jakichś tajnych projektach, są zazwyczaj okryte ścisłą tajemnicą.

Molke wzruszył ramionami.

- Bargel mógł podejrzewać, że trafiliście na trop afery, w której maczał palce Kesser. Gdyby tak było, z pewnością zależałoby mu, aby wam choć trochę pomóc, bo wtedy odwalilibyście za niego kawał roboty. Czy poprosił cię, żebyś dał mu znać, jeśli trafisz na coś interesującego?

- Owszem.

- A więc sam widzisz.

- Być może... A co z tobą? Zdaje się, że masz jakieś wątpliwości?

Molke zawahał się lekko.

- Coś tu nie gra. Nie powiedziałem ci jeszcze o sfotografowanym notesie Kessera. Według tego, co mówi Pieber, było tam kilkanaście stron wypełnionych nazwiskami oraz kilka pokrytych jakby szkicami czy diagramami. Niestety, udało mu się sfotografować tylko dwie z nich.

Dziewczyna, która do tej pory stała za barem, podeszła do nich, by wymienić popielniczkę na czystą i wytrzeć stół ściereczką. Kiedy zajęła się sąsiednim stolikiem, Molke wyjął z kieszeni kopertę i podał Volkmannowi.

- Myślę, że powinieneś rzucić na to okiem.

Joseph otworzył kopertę i wyjął zawartość: dwie powiększone odbitki fotograficzne wąskich, pokrytych ledwo widocznymi liniami stron. Na jednej z nich

znajdowały się trzy nazwiska, wszystkie opatrzone niewielkimi krzyżykami, na drugiej natomiast widniało coś w rodzaju naszkicowanego w pośpiechu planu wnętrza jakiegoś budynku oraz również wykonana odręcznie mapka z zaznaczonymi kilkoma miastami i kierunkami geograficznymi. Obok mapy ktoś napisał drukowanymi literami słowo Kloster i otoczył je obwódką.

„Kloster”, czyli klasztor.

Volkmann najpierw skoncentrował uwagę na nazwiskach.

Horst Klee.

Jurgen Trautman.

Frederick Henkle.

- Wiesz, kto to może być? - zapytał, spoglądając na Molkego.

- Nie mam pojęcia. Poza tym, jak już wspomniałem, w notesie było znacznie więcej nazwisk, co najmniej kilkadziesiąt.

- A ta mapa?

- Przyjrzałem jej się dzisiaj rano.

- I co?

- Sprawa okazała się dość prosta. Chodzi o stary, opuszczony klasztor, położony w pobliżu autostrady do Salzburga, jakąś godzinę jazdy od Monachium. Od dawna nikt tam nie mieszka, ale budynek znajduje się w całkiem niezłym stanie. Możesz sam to sprawdzić, jeśli masz ochotę. Na wszelki wypadek narysowałem ci trochę dokładniejszą mapkę.

Molke podał Volkmannowi jeszcze jedną kopertę.

- Kto jest obecnie właścicielem klasztoru? - zapytał Joseph, chowając kopertę do kieszeni.

- Zakonnicy sprzedali go rządowi, ale ten przez dwadzieścia lat nie potrafi go zagospodarować. - Niemiec wzruszył ramionami. - Możliwe, że teraz ktoś wpadł na pomysł, żeby ulokować tam zespół pracujący nad jakimś tajnym projektem, więc na twoim miejscu zachowałbym ostrożność. Ludzie chroniący takie obiekty z reguły nie znają się na żartach.

Volkmann zastanawiał się nad czymś przez kilkanaście sekund, po czym wskazał na leżące przed nim odbitki.

- Mogę je zatrzymać?

- Tak, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Jeśli zjawią się u mnie chłopcy z Landesamtu, wyjaśnisz im, że ja i moi ludzie współpracowaliśmy z instytucją, którą reprezentujesz, i że teraz nie mamy już nic wspólnego z tą sprawą.

- W porządku.

Molke wręczył Volkmannowi pęk kluczy.

- Od mieszkania Kessera. Kazałem zrobić je z odcisków na wypadek, gdybyś chciał to jeszcze ciągnąć, ale ja wysiadam, Joe. Od tej pory na polu boju zostajesz wyłącznie ty i DSE. Aha, naturalnie nic nie wiem o żadnych kluczach.

Joseph skinął głową i schował klucze, Molke zaś dopił kawę, odstawił filiżankę na spodek i odsunął na środek stolika.

- Myślę też, że przydałoby mi się coś na piśmie. Tak na wszelki wypadek.

- Jasne. Poproszę Fergusona, żeby pokrył wszystkie wydatki, a sam napiszę krótki liścik. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny, Iwan.

- Jeszcze jedna sprawa, Joe. Pamiętasz to nadpalone zdjęcie, które mi dałeś?

- Co z nim?

- Skontaktowałem się z ludźmi, którzy często występują w charakterze ekspertów podczas procesów zbrodniarzy hitlerowskich. Niestety, żaden nie rozpoznał dziewczyny, ale jest jeszcze pewna kobieta, historyk, do której nie udało mi się dotrzeć. Możliwe, że ona będzie mogła ci pomóc. - Molke wzruszył bezradnie ramionami. - To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

- Jak się nazywa?

- Hanah Richter. Dwadzieścia lat temu pracowała na wydziale historycznym Uniwersytetu w Stuttgarcie, ale teraz zapewne jest na emeryturze. O ile jeszcze w ogóle żyje, ma się rozumieć.

- W porządku. Spróbujemy ją znaleźć.

Volkman wracał na parking okrężną drogą, często zmieniając kierunek, wchodząc do sklepów i zatrzymując się przed wystawami, aby upewnić się, że nikt go nie śledzi.

Ulice były wypełnione tłumem spacerowiczów i kupujących. Dotarwszy do samochodu Joseph usiadł za kierownicą i przez prawie dziesięć minut rozmyślał o tym, czego dowiedział się od Molkego o Kesslerze. Z każdą chwilą cała sprawa wydawała się mieć coraz mniej sensu. A może to on popełnił błąd i skoncentrował uwagę na niewłaściwym człowieku?

Poza zeznaniami Wolfganga Lubscha i dwiema fotografiami znalezionymi w mieszkaniu Kessera - jedna przedstawiała mężczyznę w mundurze generała SS, przypuszczalnie jego ojca, druga zaś jego samego w towarzystwie Wintera - nie istniały żadne poszlaki wskazujące na to, że uczestniczył w działalności jakichś ekstremistycznych lub terrorystycznych organizacji. Wręcz przeciwnie: jak na razie wszystko zdawało się świadczyć o tym, że Lothar Kesser pracuje dla rządu, przypuszczalnie uczestnicząc w okrytych ścisłą tajemnicą badaniach.

Joseph zgasił niedopałek, zapalił kolejnego papierosa, wydmuchnął kłęb dymu i zapatrzył się w sinobłękitne smugi.

Ostatecznie postanowił skoncentrować się na jedynym konkretnym tropie, jaki pojawił się w zasięgu wzroku, czyli na zdobytych przez Teda Birkena nazwiskach dwóch członków NSDAP, którzy wstąpili do partii niemal jednocześnie ze Schmeltzem, oraz na szkicu sfotografowanym w notesie Kessera. Naturalnie były jeszcze trzy kolejne nazwiska, także z notesu Kessera, ale te mogłby podać później przez telefon oficerowi dyżurnemu i poprosić o informacje na temat tych ludzi. Nie, to niedobry pomysł; nagle przyszło mu do głowy, że przecież mogą to być współpracownicy Kessera zatrudnieni, podobnie jak on, przy rządowym projekcie. Gdyby tak właśnie przedstawiała się sprawa, wszczynanie wokół nich zamieszania byłoby co najmniej nie na miejscu.

Sfrustrowany, uderzył pięścią w kierownicę, po czym zgasił wypalonego

zaledwie do połowy papierosa, uruchomił silnik i wyjechał z podziemnego parkingu.

Skierował się najpierw na szosę prowadzącą w kierunku Friedbergu, skąd miał bardzo blisko do autostrady Eli, którą mógł wrócić do Monachium. Dotarłszy do miasteczka, zatrzymał się przy pierwszym hotelu, wszedł do środka i zamknął się w jednej z dwóch kabin telefonicznych w głównym hallu.

Zaczął od połączenia się z informacją telefoniczną Północnej NadreniiWestfalii, a uzyskawszy numer szpitala w Diisseldorfie, gdzie leżał Klagen, natychmiast tam zadzwonił.

Telefon odebrała jakaś dziewczyna, przypuszczalnie pielęgniarka. Joseph przedstawił się jako bliski krewny Otto Klageny i zapytał, czy taka osoba wciąż jeszcze znajduje się w rejestrze szpitala. Po chwili uzyskał informację, że owszem, wobec czego poprosił o połączenie z lekarzem zajmującym się tym pacjentem.

Musiał uzbroić się w cierpliwość, gdyż dopiero po niemal dziesięciu minutach w słuchawce rozległ się rzeczowy głos pani doktor, przypuszczalnie bardzo energicznej osoby w średnim wieku. Joseph powtórzył swoją historyjkę: jest siostrzeńcem Otto Klageny, dzwoni z Bawarii i chce się dowiedzieć, czy może odwiedzić wuja.

- A więc nie poinformowano pana o jego stanie?

- Właśnie wróciłem z zagranicy. Czyżby było z nim aż tak źle, pani doktor?

- Pański wuj miał poważny udar mózgu, Herr Klagen. Ma sparaliżowaną prawą połowę ciała i prawie nie może mówić.

Wątpię, czy udałoby się panu nawiązać z nim kontakt, choć naturalnie nic nie stoi na przeszkodzie, aby złożył mu pan wizytę.

- Czy pani zdaniem odzyska kiedyś mowę?

- To zależy od reakcji organizmu na terapię, ale nie będę ukrywać, że na razie rokowania nie są najlepsze. Poza tym, biorąc pod uwagę jego zaawansowany wiek... Chyba rozumie pan, co mam na myśli?

Volkman podziękował lekarce za informacje, obiecał, że skontaktuje się później, po czym nacisnął widelki i wykręcił numer swojego mieszkania. Musiał

trochę zaczekać, zanim Erika podeszła do telefonu. Powiedział jej gdzie jest, podzielił się z nią informacjami uzyskanymi od Teda Birkena i wyjaśnił, co stało się z Klagenem, lecz ani słowem nie wspomniał o tym, co usłyszał od Iwana Molkego.

- A co z tym drugim, Buschem? - zapytała, kiedy przerwał dla nabrania oddechu.

- Stąd jest już tylko godzina jazdy do Dachau, więc chyba od razu go odwiedzę. Mam nadzieję, że powiesz mi się lepiej niż z Klagenem.

- Kiedy wrócisz?

- To zależy od tego, czy i kiedy znajdę Buscha, ale najprawdopodobniej jutro. Jesteś pewna, że wytrzymasz tak długo sama?

- Przed południem pójde na długi spacer, a potem będę piła twoje wino i oglądała telewizję. Może jednak mogłabym się do czegoś przydać?

- Wygrzej mi łóżko - odparł Volkmann z uśmiechem. - I trzymaj kciuki, żeby Busch znajdował się w lepszej formie niż Klagen. Wkrótce się zobaczymy.

Była już prawie czwarta, kiedy Joseph dotarł do starego miasteczka Dachau, oddalonego o kilkanaście kilometrów na północ od stolicy Bawarii. Położone u stóp potężnego zamku urzekło urodą i panującym w nim spokojem. Wprost nie chciało się wierzyć, iż większości ludzi w różnych częściach świata jego nazwa kojarzy się przede wszystkim z cierpieniem i śmiercią. Volkmann także nie mógł oprzeć się wrażeniu, że krzykliwe dekoracje sklepowych wystaw oraz migające kolorowe lampki, zdobiące ogromną choinkę w parku niedaleko stacji kolejowej, są jakby trochę nie na miejscu.

Bez trudu trafił pod adres otrzymany od Teda Birkena. Był to jeden z kilkunastu szarych, jeszcze przedwojennych jednorodzinnych domków, stojących rzędem przy bocznej ulicy, zaledwie dziesięć minut spacerem od drogi łączącej miasteczko z obozem koncentracyjnym. W oknie stała udekorowana choinka z włączonymi lampkami, ale mimo że Joseph kilka razy nacisnął przycisk dzwonka, nikt mu nie otworzył, a z wnętrza nie dobiegł żaden odgłos.

Wciąż jeszcze stał na schodkach, zastanawiając się co począć, kiedy przed

furtkę zajechał biały volkswagen. Wysiadła z niego jasnowłosa, najwyżej dwudziestoletnia kobieta, wydobyła z bagażnika kilka wypchanych toreb z zakupami, po czym ruszyła wąską wybetonowaną ścieżką. Volkmann pomógł jej ustawić zakupy przed drzwiami.

- Danke schön.

Uśmiechnęła się i sięgnęła do torebki po klucze, po czym spojrzała na niego jeszcze raz, tym razem jakby trochę nieufnie.

- Przepraszam, ale czy my się znamy?

Volkmann zdążył zauważyć, że dziewczyna nie ma obrączki.

- Szukam Waltera Buscha. Mam nadzieję, że tu jeszcze mieszka?

- Pan jest znajomym dziadka?

- Niestety nie.

Joseph pokazał legitymację. Dziewczyna przyjrzała się jej uważnie, po czym gwałtownie pobrała.

- Pan jest z policji? Czyżby dziadek miał jakieś kłopoty?

- Żadnych kłopotów, daję pani słowo - zapewnił ją z uśmiechem. - Czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Niestety, nie ma go w domu.

- A gdzie mogę go zastać?

- Mój narzeczony zawiózł go do Salzburga, do chorej siostry.

- Kiedy dziadek wróci?

- Chyba jutro. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

- Dziękuję, ale wolałbym porozmawiać z nim osobiście. To prywatna sprawa.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Wobec tego powiem mu tylko, że pan o niego pytał. Proszę przyjechać jutro, jeśli tak bardzo chce się pan z nim zobaczyć.

Powiedziawszy to przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i znikła we wnętrzu domu.

Joseph wynajął pokój w niewielkim hoteliku naprzeciwko dworca. Nie lubił

bezczylnego oczekiwania, ale tym razem nie miał wyboru. Ponieważ był bez bagażu - w kufrze forda leżała tylko pusta torba - kupił w kiosku kilka jednorazowych maszynek do golenia i piankę w aerozolu, w jednym ze sklepików zaś w pobliżu ratusza zaopatrzył się w skarpetki, slipy oraz koszulę.

Okno pokoju wychodziło na niewielki park sąsiadujący z dworcem. Joseph wziął prysznic, ogolił się, w hotelowym barze wypił jedno piwo, zjadł kolację w przytulnej restauracji mieszczącej się przy tej samej ulicy, następnie zaś postanowił jeszcze raz rzucić okiem na dom Buscha, na wypadek gdyby starzec wrócił nieco wcześniej z wyprawy do Salzburga; jednak w bocznej uliczce nadal stał tylko biały volkswagen, w skromnym domku zaś światło paliło się jedynie na parterze.

Zamierzał już zawrócić w kierunku miasta, kiedy zorientował się, że jadąc prosto dotarłby do obozu. Po krótkim namyśle doszedł jednak do wniosku, iż jest już za późno na wycieczki; wrócił do Dachau, zostawił samochód na hotelowym parkingu, po czym zadzwonił z pokoju do oficera dyżurnego w Strasburgu.

Okazało się, że tego dnia służbę pełni młody Francuz nazwiskiem Delon. Volkmann wyjaśnił, że chodzi mu o zebranie informacji na temat trzech osób, po czym przeliterował imiona i nazwiska sfotografowane w notesie Kessera.

- Masz ich adresy albo rysopisy?

- Niestety nie.

- To niedobrze. A czego szukasz? Zależy ci na czymś konkretnym?

- Chcę tylko wiedzieć, czy figurują w naszej kartotece i czy mają ze sobą coś wspólnego.

- Chodzi o działalność przestępczą?

- Nie wiem, więc lepiej nie zawężać kręgu poszukiwań. Najważniejsze to ustalić, czy coś ich łączy.

Francuz westchnął ciężko.

- To trochę potrwa, Joseph.

- Wiem, ale sprawa jest bardzo pilna. Gdyby twoje komputery niczego nie znalazły, poproś o pomoc chłopców z Sekcji Niemieckiej. Istnieje możliwość, że

wszyscy trzej pracują dla rządu, więc jeśli usłyszysz, że ich akta są zastrzeżone, grzecznie podziękuj i wycofaj się, niczego nie wyjaśniając. Oprócz tego spróbuj też zlokalizować pewną kobietę.

Podał Francuzowi przekazane przez Molkego informacje na temat Hanah Richter.

- W porządku, zapisałem - odparł Delon. - Wygląda na to, że będę miał co robić do końca dyżuru. Gdzie mogę cię złapać?

- Jeśli nie zastaniesz mnie w biurze, zostaw wiadomość w mieszkaniu. Telefon powinna odebrać pewna dziewczyna.

- Dziewczyna? Przynajmniej ładna?

- Nawet bardzo. Trzymaj się, Andre.

Postanowił przespacerować się przed snem, by choć na chwilę przestać myśleć o nie dających mu spokoju zagadkach.

Podziwiając skąpany w blasku reflektorów zamek uświadomił sobie, że gdyby ten widok ujrzał jakiś nie znający historii turysta, z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że niedaleko stąd znajduje się miejsce, gdzie zaledwie kilkadziesiąt lat temu z zimną krwią dokonywano bestialskich mordów. Dachau wyglądało tak samo jak setki innych, starych miasteczek rozrzuconych na terenie Niemiec: na ulicach, w barach i piwiarniach roiło się od pewnych siebie, wesołych młodych ludzi, rozmawiających podniesionymi głosami, śmiejących się hałaśliwie i wznoszących toasty. Joseph długo się im przysłuchiwał, wędrując bez celu wąskimi, brukowanymi uliczkami zabytkowego centrum.

Do hotelu wrócił dopiero o północy. Przed pójściem do pokoju zajrzał jeszcze do baru i zamówił podwójną szkocką. Później, leżąc już w łóżku i wpatrując się w sufit, słyszał śpiewy młodych Niemców, wracających do domów po wieczorze spędzonym w towarzystwie przyjaciół i znajomych. Wreszcie głosy ucichły, a nocną ciszę zakłócał od czasu do czasu jedynie dobiegający od strony dworca stukot kół i poskrzypywanie osi wagonów.

Rozdział 41

Nazajutrz obudził się o ósmej, zjadł śniadanie, po czym zwolnił pokój i ponownie pojechał na ulicę, przy której mieszkał Walter Busch.

Nie bardzo liczył na to, że zostanie go w domu, ale na wszelki wypadek postanowił się upewnić. Biały volkswagen zniknął sprzed furtki, a kiedy Joseph zadzwonił do drzwi, odpowiedziała mu martwa cisza.

Rad nie rad wrócił do miasta, przez kilkanaście minut wędrował bez celu krętymi uliczkami, po czym spędził godzinę w parku, czytając „Frankfurter Zeitung”. Ponieważ na najbliższą dobę zapowiadano ochłodzenie i opady śniegu, postanowił, że jeśli nie zostanie Buscha wczesnym popołudniem, pojedzie do starego klasztoru i rozejrzy się tam przed pogorszeniem pogody, a następnie znowu wróci do Dachau.

Na razie pozostawało mu tylko czekać. Wsiadł do samochodu, przejechał przez most na rzece Amper, tam zaś ujrzał tabliczkę z napisem Niebelungenstrasse. Niewiele myśląc skręcił w lewo, w kierunku obozu.

Dotarwszy tam pięć minut później przekonał się, że parking przeznaczony dla autokarów turystycznych jest zupełnie pusty. Zostawił forda na skraju placu i ruszył powoli w kierunku bramy. Tory kolejowe zniknęły bez śladu, pozostała natomiast stara, zarośnięta chwastami rampa. Niedaleko wznosiły się wieżyczki strażnicze ustawione w równych odstępach wokół całego terenu.

Brama była otwarta, lecz zawieszona na ogrodzeniu tabliczka informowała, że obóz jest zamknięty dla zwiedzających. Kilka metrów dalej stała ciężarówka wypełniona żwirem, ale nigdzie nie było widać ani żywej duszy. Po krótkim wahaniu Volkmann wkroczył na teren obozu.

Wszystko wyglądało tu tak jak podczas wojny, tyle że znacznie porządniej i czystiej. Blockhaus, czyli barak w kształcie podkowy, w którym niegdyś mieściły się magazyny i administracja, został zaadaptowany dla potrzeb muzeum i kina. Po prawej stronie znajdowały się cele przeznaczone dla więźniów znajdujących się pod

„szczególną opieką” SS.

Obóz nadal otaczał betonowy mur i ogrodzenie z drutów kolczastych, ale zamiast dziesiątków drewnianych baraków stały tylko dwie makiety, mające dać zwiedzającym wyobrażenie o warunkach, w jakich musiały tu żyć tysiące ludzi. Z Blockhausu wychodziło się prosto na Apellplatz, gdzie codziennie rano gromadzono wszystkich więźniów. Tutaj właśnie brała początek Lagerstrasse, długa ulica biegnąca przez środek obozu.

Dawna brama główna, zwieńczona ułożonym z metalowych liter napisem Arbeit macht frei, wznosiła się nieco dalej po lewej stronie, tuż obok solidnej wartowni z czerwonej cegły. Z kępy drzew wystrzelał w górę także ceglany komin, ponura pozostałość po krematorium.

Na ścianie pochodzącej bez wątplenia ze współczesnych czasów przybudówki ustawionej obok Blockhausu, widniała tabliczka z napisem Verwaltungsgebäude, czyli budynek administracyjny.

Nacisnąwszy klamkę przekonał się, że drzwi są otwarte. Wszedł do obszernego, pustego pomieszczenia. Przy jednej ze ścian stały metalowe regały zastawione książkami, a napis nad kolejnymi drzwiami, usytuowanymi w ścianie po prawej stronie, głosił Muzeum.

Joseph tam właśnie skierował kroki. Ktoś zostawił włączone oświetlenie; blask żarówek mieszał się z bladym dziennym światłem sącącym się przez wysokie okna, umieszczone po obu stronach sali w mniej więcej dwumetrowych odstępach. W jego smugach widać było tańczące drobinki kurzu.

Na ścianach wisiały powiększone do ogromnych rozmiarów fotografie, szklane gabloty zaś były wypełnione eksponatami.

W jednej z nich leżała sterta pogniecionych, splątanych oprawek, przypominających jakąś abstrakcyjną rzeźbę, w innej pasiasta, postrzępiona bluza w bladoniebieskie pasy z żółtą gwiazdą Dawida na rękawie. Pośrodku pomieszczenia stał eksponat przypominający o zwyczajach, jakie obowiązywały w obozie: zбитy z surowych desek kozioł z przymocowanymi postronkami, do którego

przywiązywano więźniów skazanych na karę chłosty.

Zdjęcia przedstawiały ofiary paranaukowych eksperymentów, bydłecze wagony wypełnione trupami, sterty zwłok mężczyzn, kobiet i dzieci. Na jednej z nich widać było trupa młodej kobiety, nawet po śmierci tulącej do siebie ciało maleńkiego dziecka. Tuż obok stał w rozkroku szeroko uśmiechnięty oficer SS z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Joseph nie miał pojęcia, dlaczego tu przyszedł. Bardzo długo spoglądał na przerażające pamiątki, czując jak powoli ogarnia go coraz większa odraza i nienawiść. Z zamyślenia wyrwał go jakiś szelest za plecami; odwróciwszy się ujrzał kobietę z naręczem papierów, która właśnie weszła do sali. Ona także sprawiała wrażenie zaskoczonej jego widokiem.

- Czy pan należy do ekipy remontowej? - zapytała. Volkmann pokręcił głową.

- Wobec tego co pan tutaj robi? Obóz jest zamknięty dla zwiedzających. Nie widział pan tabliczki przy bramie?

Bez słowa minął kobietę i wyszedł na zewnątrz.

Kiedy kilka minut później ruszał z parkingu, myślał o swoim ojcu. Chyba właśnie dlatego nie zwrócił uwagi na zielonego volkswagena, który podążył za nim w odległości jakichś stu metrów.

Przed domkiem Buscha wciąż nie było żadnego samochodu, niemniej Joseph postanowił zatrzymać się i jeszcze raz spróbować szczęścia.

Okazało się, że słusznie, gdyż po drugim dzwonku dostrzegł przez wąską mleczną szybkę jakieś poruszenie, chwilę potem zaś drzwi otworzył mu wiekowy, ale wciąż jeszcze krzepki i zdrowo wyglądający mężczyzna. Miał grube szkła w ciemnych oprawkach oraz gęste, siwe włosy zaczesane do tyłu, dzięki czemu jego opalona, pokryta gęstą siecią zmarszczek twarz wydawała się większa niż w istocie.

- Słucham? - zapytał, mierząc Volkmana nieufnym spojrzeniem.

Głos miał ostry, wręcz agresywny. Przyjrząwszy się dokładniej, Joseph stwierdził, że to, co w pierwszej chwili wziął za opaleniznę, w rzeczywistości jest niezdrowym, lekko żółtawym zabarwieniem skóry.

- Herr Walter Busch?

- Tak, jestem Walter Busch. Czego pan chce?

- Porozmawiać z panem, jeśli to możliwe.

- O czym? I kim pan właściwie jest?

Volkmann pokazał legitymację. Starzec wziął ją do ręki, przyjrzał się uważnie, po czym zwrócił legitymację Josephowi.

- A więc to pan był tu wczoraj. Wnuczka powiedziała mi, że ktoś o mnie pytał. Czego pan chce?

Ton, jakim Busch powtórzył pytanie, wciąż był daleki od życzliwości.

- Miałem nadzieję, że będzie mógł mi pan pomóc. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

- Na jaki temat?

- To dłuższa historia. Może porozmawialibyśmy w środku? Busch otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale właśnie w tej chwili chwycił go silny kaszel. Dopiero po dobrych kilkunastu sekundach starzec zapanował nad nim na tyle, by przycisnąć do ust chusteczkę i powoli, ostrożnie, nabrać powietrza w płuca. Minęło jeszcze trochę czasu, zanim odzyskał siły, wytarł usta, schował chusteczkę do kieszeni i wzruszył ramionami.

- No dobrze - burknął. - Niech pan wejdzie. Poprowadził Volkmana krótkim korytarzem, po czym wskazał drzwi po prawej stronie.

- Proszę tam zaczekać - rzucił przez ramię, a następnie odszedł w głąb domu.

Joseph zastosował się do polecenia. Salonik nie był duży, ale przytulnie urządzone i łączył się bezpośrednio z czymś w rodzaju niewielkiej cieplarni. Promienie zimowego słońca wpadające przez szklany dach sprawiały, że w pomieszczeniu było zaskakująco ciepło. Szeroko otwarte drzwi prowadziły do ogródka, w którym stały ogrodowe meble, nieco głębiej zaś widać było szopę na narzędzia. Pozbawione liści gałęzie drzew i krzewów owocowych poruszały się lekko w słabych podmuchach wiatru.

Wśród fotografii wiszących na ścianach przeważały kolorowe,

przedstawiające zapewne rodzinę Buscha, ale była też jedna czarnobiała, na której widać było samego gospodarza w oficerskim mundurze.

Joseph usiadł w wiklinowym fotelu.

Mniej więcej po minucie do pokoju wszedł Busch. Jak na swoje lata trzymał się całkiem nieźle, ale zajmwszy miejsce naprzeciwko Volkmana przycisnął rękę do piersi i powiedział lekko zachrypniętym głosem:

- Oto konsekwencje podeszłego wieku i zbyt wielu wypalonych papierosów. Lekarstwa pomagają, ale tylko na trochę. Czego chce się pan dowiedzieć, Herr Volkmann?

Jego sposób mówienia bardzo irytował Josepha; tak mógł wystawiać się ktoś przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Ponieważ miał świeżo w pamięci zdjęcia eksponowane w muzeum, widok fotografii przedstawiającej Buscha w mundurze SS sprawił, że musiał zacisnąć zęby, aby zapanować nad gniewem i odrazą.

- Herr Busch, czy wie pan, co to jest DSE? - zapytał rzeczowym tonem.

- Słyszałem o was.

- Po wojnie należał pan do organizacji Gehlena, a więc był pan kimś w rodzaju oficera wywiadu.

- Rzeczywiście, ale jaki to ma związek z...

- Natomiast podczas wojny, jeśli się nie mylę, służył pan w Abwehrze?

Busch przez chwilę przyglądał mu się nieufnie.

- To było dawno temu - powiedział. - Może wreszcie zdradzi mi pan, czego pan ode mnie chce?

- Po prostu prowadzę śledztwo w pewnej sprawie i liczyłem na to, że będzie mógł mi pan pomóc.

Starzec zawahał się wyraźnie, po czym odparł nieco łagodniejszym tonem:

- Herr Volkmann, już od wielu lat jestem na emeryturze i nie mam żadnego związku z moją dawną pracą. Naprawdę nie wiem, dlaczego uważa pan, że mógłbym się na coś przydać.

Volkmann w dużym skrócie opowiedział mu o zabójstwie Hernandeza oraz o

sprawie, nad którą pracował dziennikarz. Kiedy wspomniał o domu w Chaco i o jego właścicielu, przez twarz Buscha przemknął dziwny grymas.

- Herr Busch, ten człowiek wstąpił do NSDAP w Monachium, w roku 1927. Miał legitymację numer 68964, zaledwie czternaście pozycji od pana.

Busch opuścił głowę i potarł pomarszczone czoło.

- Rozumiem... - powiedział z westchnieniem. - A więc do tego jestem panu potrzebny. - Podniósł wzrok na Josepha. - W jaki sposób udało się panu mnie odnaleźć?

- Słyszał pan o Ośrodku Dokumentacji w Berlinie?

- Oczywiście.

- Na moją prośbę sprawdzono tam kartotekę z nazwiskami byłych członków NSDAP, potem zaś zwróciłem się do instytucji odpowiedzialnej za przydzielanie i wypłacanie emerytur wojskowych, gdzie bez trudu zdobyłem pański adres. Zainteresowałem się panem dlatego, że jest pan jednym z dwóch ludzi żyjących na terenie Niemiec, którzy mają legitymacje o numerze zbliżonym do numeru legitymacji człowieka, o którym zbieram informacje.

- Kto jest tym drugim?

Joseph opowiedział starcowi o Otto Klagenie, Busch zaś w milczeniu skinął głową, po czym skierował wzrok ku otwartym drzwiom wiodącym do ogrodu i przez parę minut nie odzywał się ani słowem. W pokoju połączonym z cieplarnią z każdą chwilą robiło się coraz bardziej gorąco.

- Powiedział pan, że ten człowiek z Paragwaju nie żyje - przemówił wreszcie. - Wobec tego jaki może mieć związek z zabójstwem dziennikarza?

- Prawdopodobnie żadnego, Herr Busch, ale kiedyś był właścicielem domu i posiadłości, na której terenie znaleźliśmy fotografię, a jego przeszłość jest bardzo niejasna. Przypuszczalnie w hacjendzie mieszkał ktoś blisko z nim związany, kto mógł współuczestniczyć w morderstwie. Każda informacja o tym człowieku ogromnie by mi pomogła, bo wciąż jeszcze nie udało nam się uzupełnić wielu luk w śledztwie. - Volkmann umilkł na kilka sekund, po czym dodał: - Zdołaliśmy

natomiast ustalić, że mieszkając w Paragwaju człowiek ów otrzymywał znaczne sumy pieniędzy z Niemiec, i to zarówno przed wojną, jak i w trakcie jej trwania. Nie mam pojęcia od kogo ani dlaczego. Ponieważ wstąpiliście niemal jednocześnie do partii, po cichu liczyłem na to, że go pan pamięta. Szczerze mówiąc, Herr Busch, stanowi pan moją jedyną nadzieję.

Gospodarz uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową.

- To wszystko działo się tak dawno temu...

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Proszę pana tylko o to, by zechciał pan rzucić okiem na zdjęcie i powiedzieć, czy rozpoznaje pan tego człowieka.

Nie czekając na reakcję Buscha, Joseph wyjął z portfela fotografię Erharda Schmeltza i podsunął ją staremu człowiekowi.

Niemiec westchnął ciężko, wziął zdjęcie od Volkmana, rzucił na nie okiem, po czym jeszcze raz pokręcił głową.

- Przykro mi. Nie pamiętam tej twarzy, a poza tym moje oczy już nie są takie jak dawniej. Przykro mi, że stracił pan tyle czasu. - Zwrócił zdjęcie. - Powiada pan, że jak on się nazywał?

- Schmeltz. Erhard Schmeltz. Pochodził z Hamburga, ale, jak już wspomniałem, wstąpił do partii w Monachium.

Stary człowiek drgnął raptownie, ponownie spojrzął na fotografię, a kiedy przeniósł wzrok na Volkmana, na jego pomarszczonej twarzy malował się wyraz niedowierzania i zdumienia.

- A więc pamięta go pan? - zapytał z nadzieją Joseph.

- Tak... - odparł powoli Busch. - Pamiętam.

- Jest pan pewien? Starzec wyraźnie poblądł.

- Widywałem go wiele razy. Nie mam żadnych wątpliwości. To rzeczywiście jest Erhard Schmeltz.

- Może pan powiedzieć mi o nim coś więcej?

Busch zawahał się, rozluźnił i tak już rozpięty kołnierzyk, po czym rozejrzał się dokoła.

- Herr Volkmann, czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy wyszli do ogródka? Tu jest tak gorąco... Potrzebuję świeżego powietrza.

- Oczywiście, jak pan sobie życzy.

Volkmann zaczekał, aż starzec podniesie się z fotela, po czym ruszył za nim w kierunku otwartych na oścież, przeszklonych drzwi.

Usiedli naprzeciwko siebie na ogrodowych krzeselkach. Busch wciąż trzymał w drżących palcach zdjęcie Erharda Schmeltza i spoglądał na nie od czasu do czasu. Mówił drżącym głosem, a kiedy odrywał wzrok od fotografii, kierował go nie na Volkmana, lecz ku pozbawionym liści krzewom rosnącym w głębi ogródka.

- Erhard Schmeltz z Hamburga... Tak jest, Herr Volkmann. Znałem go, i to dobrze.

- Co może mi pan o nim powiedzieć?

- A co chce pan usłyszeć?

- Jakim był człowiekiem, w jaki sposób się poznaliście... Każda informacja ma dla mnie ogromną wartość.

Busch na chwilę przymknął powieki, jakby koncentrował się, aby sięgnąć w głąb pamięci.

- Znał mojego ojca. Służył w wojsku już podczas pierwszej wojny światowej, więc musiał być znacznie starszy ode mnie. Przez pewien czas on i mój ojciec pracowali w tym samym miejscu. Jakim był człowiekiem? Pod względem fizycznym bardzo potężnym, a oprócz tego solidnym, godnym zaufania, choć na pewno nie intelektualistą. W gruncie rzeczy można nazwać go prostakiem: takim, który nie wydaje rozkazów, tylko je wykonuje.

- W jaki sposób się poznaliście?

- To było zimą 1927, tuż przed moim wstąpieniem do partii. W tamtych latach naziści zdobywali coraz większą popularność. Niemcy nic nie zyskali na wojnie, za to wiele stracili, więc ludzie byli niezadowoleni. Niektórzy twierdzą, że teraz jest źle, ale wtedy było znacznie gorzej, może mi pan wierzyć. Widział pan kiedyś człowieka, który taszczy do piekarni walizkę pieniędzy, żeby kupić bochenek chleba? Czyste

wariactwo, ale wtedy, w latach dwudziestych, tak właśnie wyglądało życie.

Codziennie wybuchały zamieszki, organizowano marsze protestacyjne, a na ulicach roiło się od uzbrojonych anarchistów. Niemcy pogrążyły się w chaosie. Nie sposób było znaleźć sensownej pracy, a kiedy profesorowie uniwersytetów musieli zacząć sprzedawać zapalki, żeby utrzymać się przy życiu, wielu ludzi zrozumiało, że zbliża się koniec. - Busch zdjął okulary i zaczął masować nasadę nosa. - Mój ojciec, podobnie jak Schmeltz, walczył na wojnie jako prosty żołnierz. Kiedy wrócił do domu, okazało się, że czeka go ciężka, fizyczna, słabo opłacana praca. Wciąż zmienialiśmy mieszkania, przenosząc się do coraz uboższych dzielnic, a i tak nie zawsze starczało nam na czynsz, zaś dni, kiedy wszyscy najadaliśmy się do syta, należały do rzadkości.

Właśnie w takiej chwili pojawili się naziści. Obiecywali dobrobyt, pracę i nadzieję, obiecywali, że odbudują wielkość Niemiec. Tonący chwytą się brzytwy, a my, Niemcy, znajdowaliśmy się wówczas właśnie w sytuacji tonącego. Naturalnie przyszło nam zapłacić za to okrutną cenę, lecz dopiero później. Znacznie później.

Busch umilkł, wciąż trąc nasadę nosa, po czym niespodziewanie założył okulary i skierował na Volkmana spojrzenie wyblakłych niebieskich oczu.

- Mógłby pan zapytać, co to wszystko ma wspólnego z Erhardem Schmeltzem? Ano nic. Po prostu chcę, żeby zdawał pan sobie sprawę, jak wyglądała sytuacja, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Schmeltz i mój ojciec pracowali w tej samej fabryce w Monachium. Pewnego dnia na początku 1927 roku fabrykę zamknięto. Ojciec poszedł z kolegami do knajpy, żeby upić się z rozpacz, a potem przyprowadził paru z nich do domu.

Wszyscy znajdowali się w paskudnym nastroju. Wśród nich był także Erhard Schmeltz. Usiedli przy stole w kuchni, a matka poczęstowała ich cienką zupą z chlebem. Rozmawiali o przyszłości Niemiec; chyba jest oczywiste, że widzieli ją w czarnych barwach. Ja siedziałem z nimi. Pamiętam, że Schmeltz przez dłuższy czas nie odzywał się ani słowem. W fabryce pełnił funkcję majstra. Cenili go zarówno

zwierzchnicy, jak i współpracownicy, a utrata posady ogromnie go przygnębiła. Kiedy wreszcie zabrał głos, zaczął mówić o nazistach. Większość obecnych sympatyzowała z komunistami albo socjalistami, kilku, tak jak mój ojciec, zupełnie nie interesowało się polityką, natomiast Schmeltz oświadczył, że zamierza wstąpić w szeregi partii nazistowskiej, ponieważ tylko jej program daje Niemcom szansę na odbicie się od dna. Namawiał pozostałych, by poszli w jego ślady, a kiedy spotkała go odmowa, skoncentrował swoje wysiłki na mnie. Byłem młody i naiwny, a opowieści Schmeltza o tym, że podczas Wielkiej Wojny służył razem z Hitlerem i wieloma obecnymi dygnitarzami partyjnymi wywarły na mnie ogromne wrażenie. Tydzień później ja także wypełniłem deklarację członkowską i zostałem przyjęty do NSDAP.

- Jak często widywał się pan ze Schmeltzem?

- Po raz kolejny spotkałem Erharda dopiero po roku. Wstąpiłem do partii bez jego pomocy ani rekomendacji. Nie byliśmy przyjaciółmi, chyba między innymi ze względu na różnicę wieku. Powiedziałbym raczej, że utrzymywaliśmy dość luźne kontakty towarzyskie.

- Wspomniał pan, że Schmeltz znał osobiście wielu czołowych nazistów. Kogo konkretnie?

Busch przez dłuższą chwilę spoglądał w zamyśleniu na korony drzew.

- Himmlera, Göringa, Bormanna... A nawet samego Hitlera. Twierdził, że są dobrymi przyjaciółmi, ponieważ służyli w tym samym oddziale. Później dowiedziałem się, że jego prośbę o przyjęcie do partii poparł sam Heinrich Himmler, ale Schmeltz nigdy się tym nie chełpił. Był dość skrytym człowiekiem, choć inni naturalnie wiedzieli o jego koneksjach, dzięki czemu cieszył się znacznym prestiżem.

- Jakie stanowisko piastował w partii?

- Nic wielkiego - odparł Busch, wzruszając ramionami. - Był po prostu jednym z niezliczonych funkcjonariuszy niższego szczebla, którzy organizowali demonstracje, parady i mityngi, czasem zabawiał się w ochroniarza. Widywałem go podczas festynów partyjnych w Monachium, kiedy kręcił się w pobliżu największych

szych, a szczególnie Bormanna i Himmlera. Nie należał jednak do ludzi, którzy potrafią wykorzystać układy, żeby samemu wdrapać się na szczyt. Jak już powiedziałem, był prostakiem. Przez wiele lat prowadził własne gospodarstwo, aż do czasu, kiedy musiał je sprzedać i w poszukiwaniu chleba zjawiał się wraz z siostrą w Monachium. Prochu by nie wymyślił, ale na pewno cechowała go lojalność i odpowiedzialność.

- Czy chodził czasem w mundurze?

- Owszem. W czarnych butach z cholewami, brunatnej koszuli i kepi. Jak wszyscy członkowie SA.

- Wyemigrował do Ameryki Południowej. Wiedział pan o tym?

- Nie miałem pojęcia. A więc to dlatego... Cóż, właśnie wyjaśnił pan liczącą sobie ponad pół wieku tajemnicę.

- Jak to?

- W 1931 roku Erhard Schmeltz po prostu zniknął. Nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało, ale jeśli to co pan mówi jest prawdą, teraz wszystko stało się jasne.

Tym razem to Volkmann skierował wzrok na nagie, poruszające się lekko gałęzie i przez dłuższą chwilę myślał nad czymś intensywnie.

- Jak pan sądzi, dlaczego Schmeltz wyjechał do Paragwaju? - zapytał wreszcie.

- Dlaczego taki lojalny członek partii nazistowskiej miałby opuszczać Niemcy w przededniu przejęcia przez nią pełni władzy?

Busch obserwował go uważnie.

- A dlaczego tak bardzo zależy panu na znalezieniu odpowiedzi na te pytania? Przecież minęło już ponad pół wieku. Jakie znaczenie mogą mieć teraz tamte wydarzenia?

- Jeszcze nie wiem, ale przeczuwam, że mają, i to znaczne. Powtórzę pytanie: czy wie pan, dlaczego Erhard Schmeltz wyemigrował do Paragwaju?

Starzec powoli pokręcił głową.

- Nie wiem, Herr Volkmann. Ale pamiętam plotki, które towarzyszyły jego zniknięciu.

- Jakie plotki?

- Na przykład, że naraził się jednemu z partyjnych bossów i został zamordowany. - Busch wzruszył ramionami. - Było też wiele innych. Że wysłano go za granicę z tajną misją albo że popełnił nadużycia finansowe i sam uciekł z kraju... Naprawdę wiedziałem tylko tyle, że pewnego dnia był, następnego zaś zniknął jak kamfora. Akurat wtedy działo się tyle różnych rzeczy, że prędko o nim zapomnieliśmy. - Gospodarz zmarszczył brwi. - Powiada pan, że na terenie jego posiadłości znaleźliście zdjęcie jakiejś kobiety?

- Owszem.

- Mogę je zobaczyć?

Volkmann podał mu fotografię. Starzec zmrużył oczy i dość długo wpatrywał się w nią z natężeniem.

- Widział pan kiedyś tę kobietę? Busch oderwał wzrok od zdjęcia.

- Herr Volkmann, w moim wieku trudno odróżnić twarze, tym bardziej, że zawodzi mnie nie tylko pamięć, ale także wzrok. Wie pan chociaż, jak ona się nazywa?

Joseph pokręcił głową.

- Niestety nie. Na odwrocie oryginału była tylko data: 11 lipca 1931.

- I to wszystko?

- Tak jest.

Stary człowiek ponownie spojrzał na zdjęcie.

- Niestety, obawiam się, że nigdy jej nie widziałem.

- Czy to mógł być ktoś z rodziny Schmeltza?

Busch zastanowił się, po czym wzruszył ramionami i oddał zdjęcie Volkmannowi.

- Owszem. W pierwszej chwili wydawało mi się, że to jego siostra, ale teraz widzę, że nie miałem racji, widziałem ją wiele razy, więc myślę, że nie miałbym kłopotu z jej rozpoznaniem.

- W takim razie może żona albo przyjaciółka?

Starzec ponownie pokręcił głową, tym razem znacznie energiczniej.

- Z pewnością nie, Herr Volkmann. Schmeltz nie był człowiekiem, który fotografowałby się z kobietami. W ich towarzystwie zawsze czuł się niezręcznie i zapominał języka w gębie. Wątpię, czy mógłby znaleźć sobie żonę albo chociaż dziewczynę.

Busch otworzył usta, jakby zamierzał coś dodać, lecz w ostatniej chwili rozmyślił się. Dopiero kiedy Volkmann schował fotografię, starzec zapytał cicho:

- Pan chyba nie powiedział mi wszystkiego, prawda, Herr Volkmann?

Słońce skryło się za chmurami i natychmiast powiało chłodem. Wiatr przybrał na sile, szeleszcząc martwymi liśćmi tworzącymi pod drzewami głęboki szarobrazowy dywan.

- Erhard Schmeltz wyemigrował do Paragwaju w listopadzie 1931 roku. Według dokumentów, które zachowały się w Asunción, przyjechał z żoną Inge oraz dzieckiem, chłopczykiem imieniem Karl. Zadeklarował przywóz pięciu tysięcy dolarów. Już dwa miesiące później otrzymał z Niemiec przekaz na kolejne pięć tysięcy. Takie same przekazy nadchodziły później regularnie co pół roku aż do lutego 1945. Nic się nie zmieniło nawet w chwili śmierci Schmeltza, która nastąpiła w 1943 roku; potem adresatką była jego żona. Chciałbym się dowiedzieć, kto i dlaczego przysyłał mu te pieniądze. To może nie mieć najmniejszego związku ze sprawą, nad którą pracuję, niemniej chcę ustalić wszystkie okoliczności i szczegóły.

W gasnącym blasku dnia dostrzegł, jak stary człowiek ponownie blednie, otwiera usta, porusza nimi nie wydając głosu, po czym zamyka je i tylko wpatruje się w niego wyblakłymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

- Czy coś się stało, Herr Busch? - zapytał Joseph. Starzec niepewnie pokręcił głową.

- A może jednak? Czyżbym powiedział coś, co pana zaskoczyło?

- Wszystko, czego dowiedziałem się od pana o Erhardzie Schmeltzu, stanowi dla mnie zaskoczenie - odparł Busch po krótkim milczeniu. Jego twarz wciąż była śmiertelnie blada. - Wie pan może, kto wysyłał mu te pieniądze?

- Nie mam pojęcia, ale na pewno ktoś wysoko postawiony, skoro w sprawie był zamieszany Reichsbank.

- Herr Volkmann, czy mogę pana o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Jak pan myśli, po co pieniądze trafiały na konto Schmeltza? Joseph wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem. - Spojrzał uważnie na Buscha. - Widzę jednak, że wiadomość o tych przekazach trochę pana zdziwiła?

- Naturalnie. Schmeltz z pewnością nie był zamożnym człowiekiem... To znaczy, przynajmniej wtedy, kiedy go znałem. Doprawdy, nie jestem w stanie wymyślić żadnego powodu, dla którego ktoś miałby przysyłać mu tak znaczne sumy.

- A może Schmeltz pełnił funkcję bankiera, pomagając w transferze pieniędzy komuś, kto szykował sobie przytulne gniazdko za granicą? Mógł to być na przykład jakiś partyjny dostojnik.

Busch zastanawiał się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

- To możliwe - przyznał wreszcie. - Kiedy po wojnie pracowałem dla Gehlena, ujawniliśmy wiele podobnych afer. Niektórzy Niemcy mieszkający za granicą pomagali nazistom w transferze majątku, ale najczęściej działo się to pod koniec wojny, kiedy dla wszystkich stało się jasne, że klęska jest nieunikniona, nigdy przed jej wybuchem. Poza tym większość rachunków otwierano w bankach szwajcarskich.

- Czy w tym kontekście padło kiedykolwiek nazwisko Erharda Schmeltza?

- Nigdy, Herr Volkmann.

Joseph w milczeniu przyglądał się staremu człowiekowi. Nie ulegało wątpliwości, że coś go gnębi, ponieważ Niemiec miał zamysłone, nieobecne spojrzenie i zmarszczone brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć albo skojarzyć.

- Jeszcze jedno pytanie, Herr Busch - powiedział wreszcie. Starzec drgnął, po czym odwrócił się w stronę rozmówcy. - Czy pracując w Abwehrze zdarzało się panu mieć do czynienia z oficerami dywizji SS Leibstandarte?

- Owszem, z niektórymi.

- Byli może wśród nich Heinrich Reimer i Lothar Kesser?

- Obaj z Leibstandarte?

- Tak. Pierwszy w roku 1944 był majorem, drugi generałem. Busch myślał intensywnie.

- Heinricha Reimera nie znam i nigdy o nim nie słyszałem - odparł po dłuższym czasie. - Natomiast jeśli chodzi o Lothara Kessera, to chyba gdzieś mignęło mi jego nazwisko, ale nie wydaje mi się, żebym poznał go osobiście.

- A słyszał pan może o czymś takim jak Testament Brandenburski?

Busch wbił przeszywające spojrzenie w twarz Volkmana.

- Czy to ma związek z tematem naszej rozmowy?

- Być może, ale nie jestem tego pewien. Rozumiem, że ta nazwa nie jest panu obca?

- Nie.

- Proszę mi więc powiedzieć, co to takiego.

- Wymysł hitlerowskiej propagandy, Herr Volkman.

- To znaczy?

- W ostatnich dniach lutego 1945 roku, na dwa miesiące przed końcem wojny, w bunkrze Hitlera w Berlinie, niedaleko Bramy Brandenburskiej, rzekomo odbyło się tajne spotkanie. Nawet jeśli istotnie coś takiego miało miejsce, to nie udało się utrzymać tajemnicy, ponieważ w Abwehrze aż huczało od plotek. Podobno w spotkaniu uczestniczyli najbardziej zaufani członkowie SS, przede wszystkim właśnie z Leibstandarte, czyli przyboczna gwardia Hitlera - ci, którym mógł ufać do końca. Nawet oni zdawali sobie sprawę z nieuchronności klęski, lecz żaden nie ośmieliłby się powiedzieć tego głośno. W obecności wodza wciąż jeszcze planowali przegrupowanie sił i szykowali się do przeprowadzenia kontrnatarcia. Testament Brandenburski miał być pomysłem Heinricha Himmlera, zatwierdzonym i wprowadzonym w życie osobiście przez Hitlera.

- Na czym polegał ów pomysł?

- Herr Volkmann, to naprawdę tylko propagandowe brednie. Ręczę głową.

- Mimo to proszę mi opowiedzieć.

- Otóż w wypadku klęski Trzeciej Rzeszy złote sztaby i monety przechowywane w skarbcach Reichsbanku miały zostać potajemnie przewiezione do Ameryki Południowej, częściowo zaś ukryte w niedostępnych miejscach na terenie Niemiec, by za jakiś czas, przy sprzyjających okolicznościach, posłużyć do odbudowy potęgi partii nazistowskiej. Kiedy pogłoski o tym planie dotarły do Abwehry, uśmialiśmy się do rozpuku. Pod koniec wojny obiecywano nam różne cuda, z których żaden się nie spełnił. Miały stanowić jedynie pożywkę dla naiwnych umysłów, dać nadzieję ludziom, którzy byli jej już pozbawieni - na przykład Wilkołaki Goebbelsa, podziemna armia, która rzekomo miała nękać aliantów okupujących Niemcy. - Busch wzruszył ramionami. - Pomysł z Testamentem także spalił na panewce. Co prawda złoto istotnie trafiło do Ameryki Południowej, ale zostało zużyte na to, by zapewnić komfort i bezpieczeństwo nielicznym wybranym. Zważywszy na czas oraz wysokość sum, które otrzymywał, Schmeltz z pewnością się do nich nie zaliczał.

Volkmann przytaknął mu bez słowa.

W ogrodzie zapadło milczenie. Z każdą chwilą robiło się coraz chłodniej. Wreszcie gospodarz spojrzął na zegarek i z wysiłkiem dźwignął się z krzeselka.

- Przykro mi, ale będę musiał pana opuścić. Czekają na mnie inne zajęcia.

Volkmann także wstał z miejsca.

- Dziękuję panu za pomoc.

Stary człowiek odprowadził go do drzwi. Kiedy zatrzymali się na ganku, lekko dotknął ręką jego ramienia i zapytał:

- Czy sądzi pan, że w tej operacji przemytniczej chodziło właśnie o złoto?

- Naprawdę nie wiem, Herr Busch.

Starzec uśmiechnął się, ale wyblakłe błękitne oczy, które spoglądały na Josepha zza grubych szkielec, pozostały poważne.

- Ta cała historia z Testamentem Brandenburskim to wierutna bzdura. Może

mi pan wierzyć.

Volkmann skinął głową, ale wciąż nie odchodził, ponieważ odniósł wrażenie, że gospodarz chce mu jeszcze coś powiedzieć. Nie mylił się.

- Jeszcze jedno, Herr Volkmann... Myślę, że powinien pan o tym wiedzieć, choć sprawa jest dość błaha i nie przypuszczam, by miała większe znaczenie. - Busch umilkł na kilka chwil, potarł z namysłem nos, a następnie podjął na nowo: - Chodzi o Erharda Schmeltza. Wspomniał pan, że przyjechał do Ameryki Południowej z żoną i dzieckiem...

- Tę informację znaleźliśmy w dokumentach przechowywanych w Asunción.

- Jak miał na imię chłopiec?

- Karl.

- A kiedy się urodził?

- Cztery miesiące przed przybyciem do Paragwaju. Busch pokręcił energicznie głową.

- Herr Volkmann, to nie mógł być syn Erharda Schmeltza, a ta kobieta nie mogła być jego żoną.

Joseph spojrział z niedowierzaniem na starego człowieka.

- Dlaczego?

- Ponieważ Erhard Schmeltz nigdy się nie ożenił, a w każdym razie nie w Niemczech. I nie miał dzieci. Wspomniałem panu, że był nieśmiały w stosunku do kobiet i niezbyt chętnie przebywał w ich towarzystwie. Kobieta, która wyemigrowała z nim do Ameryki Południowej, mogła być jego siostrą. Pomyślałem sobie, że to ona jest na tej fotografii, ale się pomyliłem. Pamiętam, że na imię miała Inge i była niezbyt atrakcyjną, nieokrzesaną wiejską dziewczyną, niezamężną i bezdzietną. Mieszkała z bratem, zniknęła zaś bez śladu dokładnie w tym samym czasie, co on. - Busch ponownie pokręcił głową. - Nie mam pojęcia co to za chłopiec, którego zabrali ze sobą do Paragwaju, ale na pewno nie był ich synem.

Rozdział 42

O wpół do szóstej Volkmann dotarł do Schliersee, dwadzieścia minut później zaś zostawił za sobą ostatnie zabudowania Hundham, jadąc wciąż pod górę, w kierunku niewidocznego masywu Wendelstein.

Często porównywał sporządzony przez Molkego szkic z mapą. Klasztor powinien znajdować się jakieś osiem kilometrów na południowy wschód od miasteczka, przy drodze na Waldweg.

Szczyty pobliskich wzgórz były pokryte cienką warstwą śniegu. Na szosie panował spory ruch; mieszkańcy okolicznych miejscowości wracali z Monachium do domów. Jednak po dziesięciu minutach, kiedy Joseph skręcił w boczną, wąską drogę, znalazł się na niej zupełnie sam. Wkrótce dostrzegł kierunkowskaz z napisem Waldweg, skręcił powtórnie i ostrożnie, na drugim biegu, pojechał gruntową drogą wijącą się przez świerkowy las. Za kolejnym zakrętem reflektory forda wydobyły z ciemności wąski kamienny most, za którym wznosiły się mury klasztoru. Masywna drewniana brama sprawiała wrażenie, jakby nikt z niej nie korzystał co najmniej od stu lat.

Volkmann przekręcił kluczyk w stacyjce, ale nie wyłączył świateł. W ustronnym zakątku zapadła niczym nie zmacona cisza. Otworzył drzwi, ale jakiś głos szepnął mu do ucha, żeby zabrał ze sobą broń. Wyjął ze schowka beretę, włożył ją do kieszeni, do drugiej wsunął latarkę oraz zapasowe baterie i dopiero wtedy wysiadł z samochodu.

Potężne bloki piaskowca w wielu miejscach pokryły się siatką pęknięć, zaprawa zaś wykruszyła się, pozostawiając szerokie szczeliny, ale wysokie mury wciąż jeszcze pięły się dumnie ku niebu, otaczając zabudowania zabytkowego klasztoru. Nad bramą wisiał zardzewiały metalowy krzyż, w bramie natomiast znajdował się duży, zamykany metalową klapką judasz. Volkmann rozejrzał się uważnie, wrócił do samochodu, wyłączył światła, po czym włączył latarkę i wrócił przed bramę. Oparłszy rękę o prawe skrzydło pchnął z całej siły; ciężkie wrota przez

chwile stawały opór, aż wreszcie otworzyły się niechętnie z cichym skrzypnięciem.

Joseph postąpił kilka kroków naprzód i znalazł się na obszernym brukowanym dziedzińcu, otoczonym ze wszystkich stron krużgankami. Snop światła rzucany przez latarkę wydobył z ciemności zardzewiałe resztki jakiegoś wózka oraz mnóstwo trudnych do zidentyfikowania odpadków leżących na bruku dziedzińca. Choć starał się poruszać jak najciszej, jego kroki obudziły wiekowe echa śpiące w zakamarkach budowli.

Po drugiej stronie dziedzińca majaczyły zarysy jakiegoś budynku o spadzistym dachu, tuż obok zaś stało coś jakby dzwonnica.

Volkmann skręcił w lewo i wszedł na jeden z krużganków.

Cuchnęło tam zgnilizną, ekskrementami oraz wilgotnym tynkiem. W ścianie, w równych odstępach, znajdowały się liczne drzwi. Jedne z nich wisiały na wyłamanych zawiasach; Joseph pchnął je lekko, po czym wkroczył do pomieszczenia. Sądząc po resztkach mebli, kiedyś mieściło się tu chyba coś w rodzaju biura. Smród był jeszcze bardziej dokuczliwy niż na zewnątrz. Stał przez dłuższą chwilę, omiatając światłem latarki wszystkie kąty, aż wreszcie odór tak bardzo dał mu się we znaki, że odwrócił się i wrócił na krużganek.

Zwieńczone łukiem przejście prowadziło na kolejny, mniejszy dziedziniec. Gdzeniegdzie rosły cherlawe, częściowo uschnięte drzewka owocowe, a przez środek czegoś, co dawno temu mogło być ogródkiem warzywnym - zachowały się jeszcze niewyraźne ślady grządek, choć latem, kiedy wszystko porastały bujne chwasty, z pewnością nie dałoby się ich dojrzeć - biegła ścieżka ułożona z dużych płaskich kamieni. W okrągłym basenie fontanny zgromadziła się deszczówka. Volkmann stał nieruchomo w cieniu krużganka, rozglądając się dokoła, aż wreszcie jego wzrok spoczął na oświetlonym blaskiem księżyca budynku.

Był to niewielki jednonawowy kościół z dość wysoką dzwonnica. Drzwi prowadzące do zakrystii, częściowo zasłonięte nagimi pnączami winorośli, stały otworem. Volkmann ostrożnie wszedł do środka. Już po pierwszym kroku coś zachrząściło mu głośno pod stopą; poświeciwszy w dół, pod nogi, ujrzął niezliczone

fragmenty rostrzaskanych na drobne kawałki witraży. Niektóre szkiełka załśniły w blasku latarki purpurą, zielenią i błękitem, ale większość, pokryta grubą warstwą kurzu, przypominała szare, nijakie kamyki. Tutaj także cuchnęło zgnilizną i rozkładem.

Volkmann miał zamiar cofnąć się na mały dziedziniec, ale jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Snop światła z latarki wydobył z mroku jakiś cień na pobliskiej ścianie. Przyjrawszy się uważniej stwierdził, iż rzekomy cień to czarne przejście na klatkę schodową. Kamienne stopnie prowadziły w dół, niknąc w ciemności. Volkmann poświecił tam, ale niewiele zobaczył, ponieważ na spiralnej klatce schodowej światło docierało tylko do krzywizny ściany.

Ostrożnie ruszył w dół po schodach, by po dość długiej wędrówce dotrzeć do podziemi kościoła. Wstępu broniły dwuskrzydłowe drewniane drzwi; wystarczyło jednak, że Joseph nacisnął zardzewiałą klamkę, by otworzyły się zaskakująco lekko, choć z donośnym, wywołującym gęsią skórkę, skrzypieniem.

Znalazł się w obszernym magazynie.

Pod ścianami leżały starannie poukładane worki z wapnem i cementem, w kącie zaś wznosiły się szafki puszek z farbą. Volkmann pochylił się i przyjrzał materiałom; wyglądały na całkiem świeże, było ich zaś tyle, jakby ktoś szykował się do przeprowadzenia prac remontowych zakrojonych na wielką skalę.

Nagle w ciszy spowijającej stary klasztor rozległ się wyraźny odgłos kroków.

Joseph zamarł w bezruchu.

Kroki dobiegały z góry, z kościoła.

Błyskawicznie wydobył z kieszeni pistolet i odbezpieczył.

Odgłos powtórzył się, wyraźniejszy niż poprzednio.

Joseph bezszelestnie podbiegł do drzwi, wyłączył latarkę i szybko wspiął się po krętych schodach. Dotarłszy do ich szczytu zatrzymał się, po czym ostrożnie rozejrzał po pograżonym w mroku wnętrzu kościoła, lecz nie zauważył niczego podejrzanego.

Chwilę potem znowu usłyszał czyjeś kroki, po prawej stronie, w pobliżu

wejścia do zakrystii.

Uniół beretę i powoli zagłębił się w ciemność. Przy drzwiach prowadzących do zakrystii ponownie zatrzymał się i zamienił w słuch. Po kilku sekundach usłyszał cichy, ale wyraźny szmer dobiegający z wnętrza.

Czując, jak po czole i skroniach ściekają mu krople potu, posuwał się naprzód centymetr po centymetrze, by wreszcie włączyć latarkę i błyskawicznie omieść pomieszczenie snopem światła, jednocześnie przesuwając lufę pistoletu w poszukiwaniu celu.

Pokój był pusty, panowała w nim całkowita cisza. Volkmann dostrzegł wąskie, ukryte w płytkiej wnęce drzwi, które za pierwszym razem umknęły jego uwagi. Przeszedłszy przez nie znalazł się w ogrodzie znacznie większym od poprzedniego, otoczonym z trzech stron ścianami, wzdłuż których biegły ozdobne krużganki. Za czwartym krużgankiem otwierała się ciemność.

Kroki rozległy się ponownie, lecz tym razem były znacznie ostrożniej sze

Joseph poświecił latarką dokoła, kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie, skierował w tamtą stronę snop światła i zobaczył czarną postać umykającą co sił w nogach w kierunku ogrodu. Ułamek sekundy później niewyraźna sylwetka zniknęła w mroku, natomiast do uszu Volkmana dotarł donośny tupot stóp uderzających w kamienną nawierzchnię.

Niewiele myśląc odwrócił się na pięcie i nisko schylony pomknął z powrotem w kierunku mniejszego ogrodu, przebiegł go nie zatrzymując się ani na chwilę, a kiedy wypadł na pierwszy, brukowany dziedziniec, ujrzał na jednym z krużganków jakiś cień. Nim zdążył zareagować, tamten odwrócił się gwałtownie i strzelił dwa razy. Pociski uderzyły w ścianę nad głową Josepha, który cofnął się, uniósł pistolet i trzykrotnie nacisnął spust. Na otoczonym wysokimi ścianami dziedzińcu strzały zabrzmiały potwornie głośno, zawtórował im zaś chichot jednego z pocisków, który zrykoszetował na twardszym od innych kamieniu. Czarna postać zdążyła skryć się w mroku, a kiedy przebrzmiało echo wystrzałów? na dziedzińcu zapanowała niczym nie zmaćcona cisza.

Trwała jednak tylko kilkanaście sekund, ponieważ nagle na zewnątrz rozległ się ryk silnika, padły jeszcze dwa strzały, po czym trzasnęły zamykane drzwi i jakiś samochód ruszył z piskiem opon.

Joseph popędził co sił w nogach w kierunku bramy. Dobiegając do niej ujrzał w szczelinie między skrzydłami znikające za zakrętem drogi tylne czerwone światła. Tknięty niedobrym przecuciem podszedł do forda, obejrzał go uważnie, po czym zaklął głośno: obie przednie opony były przestrelone.

Nagły powiew wiatru przyniósł cichnący warkot silnika, zza zasłony drzew jeszcze raz błysnęły czerwienią światła postojowe, po czym zapadła ciemność.

Dotarcie do najbliższej stacji obsługi przy autostradzie zajęło Josephowi prawie godzinę, ale nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że jechał bez powietrza w jednej oponie (drugie przestrelone koło wymienił na zapasowe). Po kolejnej półgodzinie dwie nowe opony znalazły się na obręczach, koła zostały wyważone i zamontowane, a mamroczący coś niezycliwie pod nosem mechanik otrzymał napiwek w wysokości dziesięciu marek, co natychmiast w widoczny sposób poprawiło mu humor. Zbliżała się już dziewiąta, niemniej Volkmann wrócił do klasztoru, by się tam dokładnie rozejrzeć, lecz tym razem zostawił wóz pół kilometra od budowli, na poboczu nie uczęszczanej drogi.

Ruszający raptownie samochód zostawił wyraźne ślady na starym, popękany asfalcie, lecz poza tym Joseph nie zauważył niczego nadzwyczajnego. Przechodząc przez kamienny mostek, przystanął na chwilę i skierował snop światła w dół, na strumień płynący dnem głębokiej fosy.

Zabudowania klasztoru, otoczone ze wszystkich stron wysokim murem, zajmowały teren o powierzchni około siedmiu akrów i mimo upływu lat znajdowały się w całkiem dobrym stanie. Cały kompleks, choć z pewnością wzbudzający szacunek swymi rozmiarami, nie zwracał na siebie uwagi niczym nadzwyczajnym. Dlaczego więc Kesser uznał za stosowne naszkicować w notesie mapkę i zaznaczyć usytuowanie klasztoru, mimo iż każdy posiadacz atlasu samochodowego mógł tu trafić bez większych problemów?

Joseph dokładnie zbadał grunt w miejscu, gdzie zniknęła tajemnicza postać, lecz nie znalazł ani jednej łuski. Wynikało z tego, iż strzelano do niego nie z pistoletu, lecz z rewolweru.

Zajrzał także na stary cmentarz i przeszedł między grobami, oświetlając je latarką. Większość nosiła daty sprzed wojny, ostatni zaś pochówek odbył się dwadzieścia lat temu. Nigdzie nie było widać śladów świadczących o tym, że ktoś tu niedawno kopał, a wszystkie nagrobki znajdowały się w nienaruszonym stanie.

Wracał autostradą prowadzącą w kierunku Augsburga. Dwukrotnie zatrzymał się na kawę, ale choć uważnie obserwował samochody na parkingu, nie dostrzegł żadnego, który wcześniej rzuciłby mu się w oczy we wstecznym lusterku. Zresztą o tej porze ruch był tak niewielki, że z pewnością zwróciłby uwagę na każdy pojazd, który jechałby za nim dłużej niż kilka minut.

Kim byli ludzie, których wypłoszył z klasztoru? Pracowali dla Kessera czy dla Landesamtu? Gdyby w grę wchodziła druga ewentualność, przypuszczalnie zachowywaliby się inaczej, a już na pewno nie strzelaliby do niego ani nie starali się unieruchomić samochodu. A więc przysłał ich Kesser. Wnioski wypływające z tego faktu nie były wesołe: w drodze ze Strasburga do Augsburga z pewnością nie był śledzony, jedyną zaś osobą, która wiedziała o jego wyprawie do Dachau, była Erika...

O trzeciej nad ranem otworzył drzwi mieszkania i po cichu wszedł do środka. Dziewczyna spała przy włączonej nocnej lampce. Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, spoglądając na jasne włosy rozrzucone na poduszce i na śliczną twarz. Myślał o wielu sprawach, ale przede wszystkim zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, okazując jej zbyt duże zaufanie.

Wreszcie wyłączył światło, delikatnie zamknął drzwi sypialni, nalał sobie w kuchni sporą porcję whisky, wypił połowę jednym haustem, po czym przeszedł do pokoju, gdzie przy telefonie zastał kartkę z wiadomością: Dzwonił jakiś Andre. Prosił, żebyś się z nim skontaktował.

Natychmiast podniósł słuchawkę i wykręcił numer oficera dyżurnego DSE.

- I jak, poszcęściło ci się z tymi nazwiskami?

- Zależy, co nazywasz szczęściem. W naszym komputerze ich nie było - to znaczy był jeden Klee, ale okazał się Holendrem zamieszany w handel narkotykami - więc zgodnie z twoją sugestią poprosiłem o pomoc Niemców.

- I co?

- Odpowiedzieli zaskakująco szybko. Koniecznie chcieli wiedzieć, czy zdobyliśmy jakieś informacje o tych ludziach i dlaczego się nimi interesujemy, ale ja udałem głupiego i powiedziałem im, że dostałem do sprawdzenia trzy nazwiska, o niczym nie wiem, a jak się dowiem, to na pewno dam im znać.

- Chyba jednak puścili trochę farby?

- Owszem. Cała trójka zginęła nagłą śmiercią w ciągu minionych sześciu miesięcy.

- Co takiego? W jaki sposób?

- Henkle został potrącony przez samochód, choć wiele poszlak wskazuje na morderstwo. Klee został zastrzelony, tak samo jak Trautman. Klee zginął cztery miesiące temu, Trautman pięć, Henkle sześć. Żaden nie miał kryminalnej przeszłości ani zatargów z prawem. Wszyscy byli w średnim wieku, średnio zamożni, nie rzucający się w oczy. Nie zgłosił się ani jeden świadek, nikogo nie zatrzymano, ba, do dzisiaj nie ma żadnych podejrzanych. Dlatego Niemcy tak bardzo chcieli wiedzieć, czy coś o nich mamy. - Francuz umilkł na chwilę, po czym zapytał: - W czym ty się babrzesz, Joe?

- Sam jeszcze nie wiem, Andre. - Volkmann pośpiesznie notował uzyskane informacje. - Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Tylko gołe fakty. Henkle i Trautman pochodzili z Essen, Klee z Rostocku. Henkle był zawodowym oficerem, majorem, miał pięćdziesiąt dwa lata, żonę i dwoje dorosłych dzieci. Trautman, o rok starszy, rozwodnik, prowadził własny interes. Klee był urzędnikiem państwowym, który po zburzeniu muru został oddelegowany do wschodnich landów. Żonaty, bezdzietny, czterdzieści osiem lat. I to wszystko. Jeśli chcesz zapoznać się z raportami dotyczącymi zabójstw, musisz skontaktować się bezpośrednio z niemiecką policją.

- Czy ci trzej mieli ze sobą coś wspólnego?

- O to samo zapytałem chłopców z Sekcji Niemieckiej. Na razie wygląda na to, że trzech nieszczęśników łączy tylko to, że zginęli w dość gwałtowny sposób, ale nasi przyjaciele wciąż szukają innych powiązań i będą wdzięczni za wszelkie informacje. Czy teraz jesteś mądrzejszy?

- Nie wiem, Andre. W każdym razie nawet to jest lepsze niż nic. A co z kobietą?

- Na uniwersytecie zaczęła się już przerwa świąteczna, ale zdobyłem domowy numer dziekana wydziału historycznego. Miałem szczęście, bo złapałem go tuż przed wyjazdem na narty. Doskonale ją pamięta. Dziesięć lat temu przeszła na emeryturę i wyjechała do Nicolassee w Berlinie, skąd pochodzi jej rodzina. Znalazł nawet jej adres, ale nie miał numeru telefonu, więc musiałem zadzwonić do informacji. Podyktować ci?

- Jasne.

Volkman zapisał adres i numer.

- Wielkie dzięki, Andre.

- Nie ma sprawy. Pozdrów ode mnie dziewczynę. Zakochałem się w jej głosie. Aż strach pomyśleć co by było, gdybym ją zobaczył.

Joseph siedział na kanapie, sącząc whisky i analizując informacje przekazane przez Francuza.

Otoczający Kessera pierścień podejrzeń przybierał coraz bardziej realne kształty. Nawet jeśli informatyk istotnie pracował dla rządu, to fakt, że w jego notesie znajdowały się nazwiska trzech ludzi, którzy w niewielkich odstępach czasu zginęli gwałtowną śmiercią, stanowił spore obciążenie. Następnym krokiem powinno być zatrzymanie Kessera, lecz aby do tego doprowadzić, należało wtajemniczyć Sekcję Niemiecką.

Jednocześnie sprawa widziana jako całość nadal była niejasna i pogmatwana, a poszczególne fragmenty łamigłówki nie dawały się do siebie dopasować. Henkle, Trautman i Klee, podobnie jak Rauscher i Hedda Pohl, przyszedli na świat w okresie,

kiedy naziści sprawowali w Niemczech władzę, lecz trudno było uznać ten fakt za mający istotne znaczenie.

A tajemnicza postać w klasztorze? Skąd się tam wzięła? Po namyśle doszedł do wniosku, że samochód jechał za nim boczną drogą z wyłączonymi światłami. Oczywiście wiązało się z tym pewne ryzyko, lecz doświadczony kierowca, w dodatku znający teren, mógł sobie poradzić.

Wyjął z teczki kasetę i włożył ją do magnetofonu, ale minęło sporo czasu, zanim założył słuchawki i wcisnął klawisz odtwarzania. Słuchał z przymkniętymi powiekami, wiedząc jakie słowa padną za chwilę, znając na pamięć każde wahnięcie głosu, każde pytanie i każdą odpowiedź.

- Co z dostawą?

- Zgodnie z planem ładunek będzie dostarczony do Genui.

- A Włoch?

- Zostanie zlikwidowany, ale nie to jest najważniejsze. W tej chwili najbardziej zależy mi na tym, żeby transport nie ściągnął na siebie niczyich podejrzeń. Moim zdaniem trzeba poczekać, aż Brandenburg wejdzie w końcowy etap realizacji, i dopiero wtedy rozprawić się z Włochem oraz pozostałymi.

Chwila ciszy.

- Ci, którzy złożyli przysięgę lojalności... Musimy być ich całkowicie pewni.

- Potwierdzili już swoją decyzję. Ich rodowód jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Co z Turkiem?

- Nie przewiduję żadnych problemów.

- A dziewczyna? Czy aby na pewno można na niej polegać?

- Nie zawiedzie nas. Ręczę za to głową. Krótkie milczenie.

- Przypuszczam, że na liście nie zaszły żadne zmiany?

- Nie. Ci ludzie muszą zginąć.

Kiedy wreszcie zmoгло go zmęczenie, wyłączył magnetofon, zdjął słuchawki, a następnie podszedł do okna i spojrzał w dół, na parking przed domem. Nie

dostrzegł tam żadnego obcego samochodu, żadnego poruszenia.

Dziewczyna wymamrotała coś przez sen, odwróciła się na drugi bok, po czym w sypialni znowu zapadła cisza.

Joseph był tak zmęczony, że postanowił położyć się na kanapie w pokoju. Poza tym zależało mu na tym, by nie obudzić Eriki. Nie był przygotowany na rozmowę z nią, nie wiedział, jak odpowiedzieć na pytania, którymi z pewnością by go zasypała.

Bolała go głowa. Wiele minut leżał na wznak z zamkniętymi oczami, masując skronie i próbując uspokoić rozbiegane myśli. Na próżno; w uszach wciąż brzmiały mu głosy zarejestrowane na taśmie. O jaką dostawę chodziło? Kim był tajemniczy Włoch? A Turek? I kto miał zginąć? Ludzie z listy w notesie Kessera?

A przede wszystkim: kim była dziewczyna? Ojciec Eriki służył w dywizji Leibstandarte, tak samo jak Tsarkin i ojciec Kessera. Podczas studiów w Heidelbergu poznała Wintera, więc może...

Volkmann gwałtownie potrząsnął głową. Bardzo chciał jej zaufać, bardzo chciał jej uwierzyć, ale wątpliwości nie znikwały, wręcz przeciwnie, stawały się coraz wyraźniejsze i nie dawały mu spokoju.

Kiedy tak leżał na kanapie, przy wciąż włączonej lampie, jego myśli powędrowały ku powiększonym zdjęciom wiszącym na ścianach muzeum w Dachau: białe ciała leżące nie kończącymi się rzędami w promieniach słońca, wielkie, przerażone nawet po śmierci oczy kobiety tulącej do piersi martwe dziecko, uśmiechnięta twarz spoglądającego na nich z góry SSmana...

Z całej siły zacisnął powieki, jakby chciał usunąć ten widok z pamięci.

Powoli osuwał się w otchłań snu, kiedy nagle, całkiem niespodziewanie, z kłębowiska wirujących chaotycznie doznań, wspomnień i myśli wypłynęło jedno zdanie, które padło podczas rozmowy w hotelu.

Leżał jak sparaliżowany, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zwrócił na nie uwagi.

Serce waliło mu w szaleńczym tempie, o żadnym śnie nie mogło już być

mowy. Zaniedbał najbardziej oczywistą sprawę, zignorował doskonale widoczną ścieżkę, która mogła zaprowadzić go wprost do rozwiązania zagadki. Teraz było już za późno, żeby cokolwiek zrobić w tej sprawie; musi poczekać do rana, a wtedy natychmiast skontaktuje się z Berlinem.

Czy to tylko złudzenie, czy dostrzegł światełko migoczące na końcu tunelu?

Rozdział 43

Obudził się trzy godziny później, wziął prysznic, ogolił się, po czym pojechał do biura. Dziewczyna jeszcze spała, więc zostawił na stole w kuchni kartkę z wiadomością, że wróci około południa.

W Niemczech urzędy pracują zazwyczaj od ósmej do szesnastej; kiedy zadzwonił do Ośrodka Dokumentacji w Berlinie, ścienny zegar wskazywał punktualnie ósmą.

Poprosił o połączenie z biurem pana Maxwella, przedstawił się jego sekretarce, zapytał, czy może rozmawiać z szefem, a wreszcie usłyszał w słuchawce męski spokojny głos, mówiący z wyraźnym amerykańskim akcentem.

Volkman wyjaśnił, iż jest przyjacielem Teda Birkena, który powiedział mu, że w razie potrzeby może kontaktować się bezpośrednio z Maxwellem. Amerykanin wydawał się nieco zaskoczony, kiedy zaraz potem Joseph podał listę nazwisk i sprecyzował, jakiego rodzaju informacje są mu potrzebne.

- Co tam się u was dzieje w tym waszym DSE? Ostatnio można odnieść wrażenie, że pracujemy wyłącznie na wasze potrzeby!

- Obawiam się, że na razie jest jeszcze za wcześnie, żeby mówić o konkretach. Myśli pan, że uda wam się dokopać do tego, na czym mi zależy?

Maxwell westchnął ciężko.

- Chyba tak... Ale to będzie musiało trochę potrwać.

- Jak długo?

- Dzień, może dwa. Brakuje nam pracowników, a w dodatku zbliżają się

święta. Szczerze mówiąc, wolałbym zająć się tym już po Nowym Roku.

- Zdaję sobie sprawę, że nadużywam pańskiej uprzejmości, ale potrzebuję tych informacji jeszcze dzisiaj. Czy to da się zrobić?

Maxwell westchnął ponownie, tym razem z rezygnacją.

- Wszystko zależy od tego, ile będę miał szczęścia. Trzeba sięgnąć do wielu źródeł. O ile dobrze zrozumiałem, chce pan ustalić, czy ci ludzie byli ze sobą w jakiś sposób powiązani, gdzie przebywali ze swymi oddziałami w czasie, który pan określił, oraz kiedy przyszedli na świat ich dzieci, naturalnie jeśli je mieli?

- Tak jest.

Maxwell westchnął po raz trzeci.

- To oznacza konieczność przekopania się przez kilkadziesiąt teczek, najpierw zaś trzeba stwierdzić, czy takie teczki w ogóle istnieją. Nawet przy pomocy komputera nie da się tego załatwić w pięć minut, tym bardziej, że podał mi pan tylko nazwiska, bez stopni wojskowych i dat urodzenia.

- Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana, ale, jak już wspomniałem, sprawa jest nadzwyczaj pilna.

Maxwell zawahał się przez chwilę, po czym odparł:

- W porządku, zobaczę, co się da zrobić. Na razie jednak niczego nie mogę panu obiecać.

Volkman podziękował mu, rozłączył się, a następnie wystukał berliński numer Hanah Richter.

Kobieta, która podniosła słuchawkę, poinformowała go, że Frau Richter wyszła, ale wróci jeszcze przed południem. Volkman przedstawił się, podał swój numer telefonu i poprosił, by Frau Richter zechciała zadzwonić do niego zaraz po powrocie.

Godzinę później rozległ się brzęczyk telefonu.

- Mówi Hanah Richter - przedstawiła się kobieta energicznym głosem, nawykłym do wydawania poleceń. - W jakiej sprawie chciał pan ze mną rozmawiać, Herr Volkman?

Joseph zaczął od tego, że pracuje dla DSE, po czym wyjaśnił, w jaki sposób zdobył jej numer telefonu, dowiedziawszy się, że w latach sześćdziesiątych pełniła funkcję eksperta podczas wielu procesów zbrodniarzy hitlerowskich. W związku z tym miałby ogromną prośbę: czy Frau Richter zechciałaby rzucić okiem na zdjęcie pewnej kobiety wykonane w 1931 roku? Ocalała tylko część fotografii; na tej, która uległa zniszczeniu, znajdował się zapewne mężczyzna w mundurze wysokiego rangą oficera SS. Być może Frau Richter zdoła zidentyfikować tę kobietę, albo przynajmniej wskazać kogoś, kto mógłby to uczynić...

- Czy pan prowadzi oficjalne śledztwo?

- Tak.

- I tropi ukrywających się nazistów?

- Nie, Frau Richter.

Wyjaśnił, że na razie nie może zdradzić jej więcej szczegółów, ale byłby niezmiernie wdzięczny za pomoc.

- Sięga pan daleko w przeszłość, Herr Volkmann. Bardzo daleko.

Joseph zapytał, czy mógłby odwiedzić ją jutro w Berlinie, ale kobieta odpowiedziała przecząco.

- Ma pan pecha, Herr Volkmann. Jutro z samego rana jadę do przyjaciół w Lipsku i wracam dopiero po świętach. Poza tym już od dawna nie zajmuję się tymi sprawami.

- Nie chciałbym być natrętny ani sprawiać pani kłopotu, ale czy wobec tego mogę przylecieć jeszcze dziś wieczorem?

- Czyżby sprawa była aż tak poważna?

- Owszem, Frau Richter.

- Ta młoda kobieta... Nie domyśla się pan, kim mogła być?

- Żoną, może przyjaciółką jakiegoś oficera SS albo partyjnego dygnitarza, ale nie mam pewności. Jak już wspomniałem, fotografia pochodzi z 1931 roku.

Hannah Richter milczała przez kilka sekund, po czym westchnęła głęboko.

- Herr Volkmann, być może powiedziano panu, że jestem specjalistką od

okresu hitleryzmu, ale to wcale nie oznacza, że znam wszystkich nazistów, ich rodziny i przyjaciółki. Poza tym w 1931 Hitler nie był jeszcze u władzy...

- Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pani - przerwał jej Volkmann najuprzejmiej, jak potrafił. - Niemniej gdyby zechciała pani chociaż rzucić okiem na to zdjęcie...

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- W porządku, Herr Volkmann - odezwała się wreszcie kobieta. - Wytłumaczę panu, jak do mnie trafić.

Natychmiast zadzwonił w sprawie biletu do Wydziału Operacyjnego. Okazało się, że wszystkie miejsca w samolotach odlatujących z Frankfurtu są zajęte, jest natomiast kilka wolnych w maszynie startującej o szóstej po południu ze Stuttgartu. Volkmann polecił, by zarezerwowano mu miejsce i odłożył słuchawkę.

O drugiej zatelefonował Maxwell. Joseph słuchał w milczeniu, zapisując najistotniejsze szczegóły, a kiedy Amerykanin skończył, zamyślił się głęboko, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na notatki.

- Jest pan tam jeszcze? - zainteresował się Maxwell.

- Tak, oczywiście.

- I co, przydałem się panu na coś?

- Myślę, że tak - odparł Joseph z uśmiechem.

- Więc czy teraz powie mi pan dokładniej, o co chodzi, czy sprawa jest nadal tajna?

- Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy, ale na pewno dam panu znać, jak tylko uzyskam jaśniejszy obraz sytuacji.

- Trzymam pana za słowo.

- Aha, jeszcze jedno, panie Maxwell...

- Tak?

- Wesółych Świąt.

- Dziękuję. I nawzajem.

Volkmann odłożył słuchawkę, przez chwilę wpatrywał się w zapiski, po czym

wystukał pierwszy numer telefonu. Czekają go wiele rozmów.

Pół godziny później miał już wszystko, czego potrzebował. Czując, jak pot ścieka mu strużkami po grzbiecie, rzucił słuchawkę na widełki i odsunął aparat.

Z mocno bijącym sercem jechał z powrotem do domu. Mieszkanie było puste, ale w kuchni zastał kartkę z informacją, że Erika poszła na spacer do parku.

Zbiegł na dół, wsiadł do samochodu, pojechał do Oranżerii i zostawił wóz na parkingu przed głównym wejściem. Bez trudu znalazł dziewczynę nad jeziorkiem. Usiedli na ławce, po czym Joseph opowiedział jej o wszystkim, co spotkało go minionego dnia. Kiedy dotarł do wydarzeń, które rozegrały się w starym klasztorze, na twarzy dziewczyny dostrzegł wyraz niepokoju i zdziwienia.

- Ten, kto do mnie strzelał, chyba nie chciał mnie zabić. Stanowiłem doskonały cel, a jednak wszystkie pociski przeszły górą. Poza tym jest jeszcze jedna dziwna sprawa...

- Tak?

- Przez cały czas prześladowało mnie wrażenie, że już tam kiedyś byłem. To znaczy, może nie dokładnie tam, ale w jakimś bardzo podobnym miejscu.

- Jak to?

- Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. W książkach nazywają to uczucie *deja vu*.

Musnęła palcami jego twarz.

- Obiecuj mi, że będziesz na siebie bardzo uważał, dobrze? Coraz bardziej się o ciebie boję, szczególnie po tym, co spotkało ludzi Molkego... Myślisz, że te sprawy mają ze sobą jakiś związek? Że to robota tych samych ludzi?

- Być może.

- Urząd Ochrony Konstytucji?

- Całkiem możliwe, szczególnie jeśli przyjmiemy hipotezę, że Kesser pracuje w jakiejś tajnej placówce rządowej.

- Czyżby w ten sposób starali się go chronić?

- Tego także nie sposób wykluczyć.

Powiedział dziewczynie, że jeszcze tego samego dnia wieczorem leci do

Berlina na spotkanie z Hanah Richter i wyjaśnił jej dlaczego.

- Może zdoła zidentyfikować dziewczynę na zdjęciu, a nawet jeśli nie, to poproszę ją, żeby skontaktowała mnie z kimś, kto byłby w stanie tego dokonać.

- Czy Busch wiedział co mówi twierdząc, jakoby chłopiec, z którym Schmeltz zjawiał się w Paragwaju, nie był dzieckiem ani jego, ani siostry?

- Wydawał się nie mieć żadnych wątpliwości. Poza tym siostra Schmeltza była za stara na tak małe dziecko. W związku z tym pojawia się kolejne pytanie: czyje to dziecko, skoro nie ich?

- A jego opowieść o Testamencie Brandenburskim? Sądzisz, że może mieć jakieś znaczenie?

- Tak - odparł bez wahania Joseph, patrząc jej prosto w oczy.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Skąd ta pewność, Joe?

Milczał przez dłuższą chwilę, przyglądając się ślicznej twarzy okolonej jasnymi włosami. Wreszcie podjął decyzję.

- Ponieważ zwróciłem się do Ośrodka Dokumentacji w Berlinie z prośbą o ustalenie kilku faktów. Na początek weźmy Lothara Kessera. Według dokumentów był generałem SS, dywizja Leibstandarte. W okresie, kiedy miał powstać ów hipotetyczny testament, stacjonował w Berlinie, z czego należy wnioskować, iż przechwałki młodego Kessera, które tak bardzo utkwily w pamięci Lubscha, miały realne podstawy. - Zawiesił głos, wciąż nie spuszczać wzroku z twarzy Eriki, po czym dodał: - Poprosiłem też, żeby sprawdzono siedem innych nazwisk.

- Jakich?

- Przede wszystkim te, które znaleźliśmy w notesie Kessera: Trautman, Klee, Henkle. Oprócz tego inne, należące do ludzi, których miał zabić Lubsch: Massow, Pohl, Rauscher...

- Dlaczego zwróciłeś się z tym do Ośrodka Dokumentacji? Przecież sam powiedziałeś, że tylko ojciec Rauschera był nazistą, a do tego oficerem?

- W rozmowie, którą nagrał Rudi, padło szczególne słowo. Tego samego słowa

użył później Lubsch mówiąc o Kesserze: rodowód. Wtedy nie zwróciłem na nie uwagi, ale teraz, kiedy jeszcze raz zobaczyłem fotografię z Chaco, natychmiast sobie przypomniałem. Chodzi o tę opaskę ze swastyką na rękawie munduru. - Joseph umilkł, przesunął ręką po twarzy, jakby zdejmował z niej pajęczynę, po czym mówił dalej: - Tylko to mogło łączyć tych wszystkich ludzi. Jak się okazało, miałem rację. Materiały dostarczone przez Centrum Informacji w Berlinie dowodzą niezbicie, że Massow, Rauscher, Pohl, Trautman, Klee i Henkle mieli jednak ze sobą coś wspólnego, oprócz podobnego wieku oraz faktu, że pochodzili ze średnio zamożnych mieszczańskich rodzin.

- Co? Przecież żadne z nich nie należało do partii nazistowskiej! Byli nawet za młodzi, żeby brać udział w wojnie.

- Nie mówię o nich, tylko o ich ojcach. Każdy z nich był oficerem w dywizji SS Leibstandarte, a pod koniec wojny wszyscy stacjonowali w Berlinie, czyli tam, gdzie spisano Testament Brandenburski.

- Jesteś tego pewien?

- Całkowicie. Weźmy najpierw trójkę, której zabicie Kesser zlecił Lubschowi: Massow, Rauscher i Pohl. Ocalałe dokumenty stwierdzają jednoznacznie, że w szeregach dywizji Leibstandarte służyło trzech oficerów o tych nazwiskach, wszyscy w randze Standartenfuhrer a, czyli majora. To samo dotyczy ojców trzech ludzi, których nazwiska znajdowały się w notesie Kessera: Trautmana, Klee oraz Henklego. Podczas wojny byli trzej oficerowie SS o tych nazwiskach. W okresie, o którym mówił Busch, cała szóstka stacjonowała w Berlinie, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żeby byli świadkami sporządzenia Testamentu. Ludzie, którzy zginęli na przestrzeni minionych lat, byli ich dziećmi.

- Przecież w SS mogły służyć dziesiątki oficerów o takich nazwiskach! Skąd możesz mieć pewność, że chodzi właśnie o dzieci tych, a nie innych ludzi?

- W teczce osobowej każdego oficera SS znajdowała się informacja na temat jego stanu cywilnego i liczby dzieci, jeśli takie miał, plus daty przyjścia na świat dzieci oraz żony. Wszystko się zgadzało, jeśli chodzi o Massowa, Rauschera i Pohl.

Jak tylko uzyskałem tę wiadomość, zadzwoniłem do Waltera Massowa. Przyznał, że jego ojciec był oficerem Leibstandarte, po wojnie sądzonym i skazanym za zbrodnie przeciw ludzkości. Możliwe, iż właśnie dlatego tak bardzo stara się pomagać ludziom jako polityk; kto wie, czy nie traktuje tego jako swego rodzaju rekompensaty za czyny ojca. Funkcjonariusz policji z Friedrichshafen także potwierdził, że ojciec Heddy Pohl był oficerem i służył w dywizji Leibstandarte.

- A co z Herbertem Rauscherem?

- W Ośrodku Dokumentacji znajduje sięteczka osobowa niejakiego Wilhelma Rauschera, majora SS. Po zaskakująco krótkich poszukiwaniach udało się ustalić, że w kwietniu 1945 roku na gruzach Berlina dostał się do rosyjskiej niewoli i trafił do obozu jenieckiego na Syberii, gdzie przypuszczalnie zmarł. To z pewnością ten sam Rauscher, gdyż mieszkał w Lipsku, a więc tam, gdzie przyszedł na świat Herbert.

Volkmann umilkł i czekał cierpliwie, aż dziewczyna przetrawi uzyskane informacje.

- Nie rozumiem... - szepnęła wreszcie z wahaniem. - Dlaczego Kesserowi miałyby zależeć na usunięciu tych osób? Przecież jest faszystą, zdeklarowanym neonazistą. Po co miałyby mordować Massowa, Pohl, Rauschera i pozostałych, jeśli ci ludzie byli dziećmi wysokich oficerów SS?

Joseph rozłożył bezradnie ramiona, po czym potrząsnął głową.

- Jednego jestem całkowicie pewien: chodzi nie tylko o śmierć Rudiego i pozostałych, ale o coś znacznie więcej, o coś, co sięga korzeniami daleko w przeszłość. Co najmniej do ostatnich miesięcy wojny w oblężonym Berlinie, kiedy ich ojcowie przysięgli wierność Hitlerowi. Musi istnieć jakiś powód, dla którego zginęli. Może wiedzieli za dużo? Może znali tajemnicę, na której ukryciu komuś bardzo zależy? Tak bardzo, że nie zawahał się przed wielokrotnym morderstwem. Pamiętaj, że w grę wchodzi nie tylko ta szóstka, bo w notesie Kessera było znacznie więcej nazwisk. Nie zdziwiłaby mnie wiadomość, że wszyscy już nie żyją albo mają niedługo umrzeć. Może to właśnie miał na myśli jeden z ludzi, których rozmowę podsłuchał Rudi, mówiąc, że wszyscy zostaną zlikwidowani... Pytanie brzmi:

dlaczego? Co takiego wiedziały dzieci tamtych oficerów, że Kesser wydał na nie wyrok śmierci?

- Massow jednak przeżył. Zapytałeś go, czy znał pozostałych?

Volkmann skinął głową.

- Powiedziałem mu maksimum tego co mogłem, ale on sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego. Nikt nie nagabywał go o przeszłość jego ojca, bo nikt o niej nie wiedział, on zaś chciał, by tak pozostało. Nie znał też nikogo z tamtych ludzi, nie ma pojęcia o żadnej tajemnicy, którą miałyby znać jego ojciec. Nawet jeśli była jakaś tajemnica, to Massow senior zabrał ją ze sobą do grobu, ponieważ umarł w więzieniu ponad dwadzieścia lat temu.

- Powiesz o tym wszystkim Fergusonowi?

- Dopiero kiedy ustalę, dlaczego zamordowano tych ludzi. Cokolwiek to jest, na pewno ma ścisły związek z dywizją SS Leibstandarte, jej wyższymi oficerami oraz przysięgą, którą według relacji Buscha złożyli pod koniec wojny. Dzieci tych oficerów są w jakiś sposób powiązane z tą sprawą. Tak przynajmniej uważam. Być może ma to również coś wspólnego z operacją przemytniczą w Ameryce Południowej.

- Sądzisz, że Rodriguez przemycał złoto?

- Kto wie... Wydaje mi się jednak, że chodzi o coś więcej niż o zwykłą kontrabandę. Trzeba będzie przycisnąć Kessera.

Erika przez kilka sekund milczała z opuszczoną głową, po czym spojrzała Volkmannowi w oczy i zapytała cicho:

- Powiedziałeś, że zażądałeś informacji o siedmiu osobach, nie licząc Lothara Kessera, ale wymieniłeś tylko sześć nazwisk. Jak brzmi siódme?

Czekał na to pytanie, lecz kiedy wreszcie padło, ku swemu zdziwieniu poczuł, jak ogarnia go coś w rodzaju wstydu.

- To nazwisko twojego ojca. Był w Berlinie w tym samym czasie, co pozostali. W styczniu 1945 został skierowany na placówkę w byłej szkole oficerów SS w dzielnicy Lichterfelde.

- Dlaczego... Dlaczego to zrobiłeś?

- Ponieważ był oficerem, tak jak tamci. Ponieważ mógł być jednym z ludzi, o których mówił Busch.

- Ale to chyba nie wszystko, prawda, Joe? Nie ufałeś mi i chciałeś się przekonać, jak zareaguję na tę wiadomość. Nadal mi nie ufasz. Patrzysz mi prosto w oczy, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy kłamię, czy mówię prawdę.

- Bardzo chcę ci uwierzyć, Eriko.

Dziewczyna odwróciła wzrok, przez pewien czas patrzyła na jeziorko, a następnie skierowała spojrzenie z powrotem na Volkmana.

- Gdybym pracowała dla Kessera, czy zwróciłabym się do was z prośbą o pomoc? Czy prosiłabym cię, żebyś odszukał morderców Rudiego? Sam powiedz, Joe! Czy zrobiłabym to wszystko?

Milczał, ponieważ nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Prawie nie znałam ojca - ciągnęła Erika głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Nigdy nie podzielałam jego poglądów, nie wierzyłam w jego ideały, nie identyfikowałam się z prawicowymi ekstremistami, takimi jak Kesser. Musisz mi uwierzyć, Joe! Musisz mi zaufać. Nie miałam pojęcia, że ojciec był w Berlinie akurat wtedy, kiedy spisywano Testament, naprawdę! Dowiedziałam się o tym dopiero od ciebie.

Spoglądał w błękitne oczy, wspominając dotyk ciepłego ciała i pieszczoty w ciemności, i zastanawiając się, jak to możliwe, że zwątpił w szczerą intencję dziewczyny.

Erika powoli, jakby z wahaniem uniosła rękę, przesunęła opuszkami palców po jego twarzy.

- Udowodnij, że mi jeszcze ufasz - szepnęła błagalnym tonem. - Proszę.

- W jaki sposób?

- Po prostu uwierz mi. I nie zostawiaj mnie samej. Chyba oszaleję, jeśli będę musiała spędzić jeszcze kilka dni w zupełnie pustym mieszkaniu. Weź mnie ze sobą do Berlina. Po tym, co przydarzyło się tobie i ludziom Molkego, będę czuła się

bezpieczniej.

Zawahał się.

- O której lecisz?

- O szóstej.

- Zabierzesz mnie, Joe?

Wciąż się wahał, czując na sobie jej rozpaczliwe spojrzenie.

- W porządku - powiedział wreszcie z głębokim westchnieniem. - Każę zarezerwować ci bilet.

- Czy musisz jeszcze wstąpić do biura?

- Dlaczego pytasz?

- Bo mamy jeszcze całą godzinę, a ja chciałabym cię o coś prosić.

- O co?

- Weź mnie do łóżka, Joe. Bardzo się za tobą stęskniłam. Uśmiechnęła się, a on wstał z ławki, wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku wyjścia z parku.

Byli tak zajęci sobą, że żadne nie zwróciło uwagi na dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w zaparkowanym nieopodal samochodzie, obserwując ich zza szpaleru nagich drzew.

Rozdział 44

Bawaria 22 grudnia, godz. 23.58

Daleko w dolinie mignęły światła małej tyrolskiej wioski. Potężny mercedes, prowadzony pewną ręką przez Meyera, z groźnym pomrukiem piał się krętą górską drogą po zboczu Kaalbergu.

Gałęzie świerków oraz ziemię w bardziej odsłoniętych miejscach pokrywała cienka warstwa roziskrzonego śniegu. W pewnej chwili, po ostrzejszym od innych zakręcie, mercedes wjechał na prosty, niemal poziomy odcinek drogi, zakończony czymś w rodzaju małej polany, otoczonej rosnącą półkolem kosodrzewiną. Po prawej stronie znajdowała się zamknięta metalowa brama, opatrzona tabliczką z napisem

ułożonym z jaskrawoczerwonych liter: Eintritt Verboten Dalej droga biegła przez gęsty las.

Meyer zatrzymał samochód na polanie, wyłączył silnik, po czym mrugnął trzy razy światłami i nacisnął klawisz w podłokietniku; elektryczny silniczek zamruczał cicho, a boczna szyba po stronie kierowcy opuściła się, by zupełnie zniknąć w drzwiach.

Do wnętrza wtargnęło rześkie powietrze przesycone zapachem żywicy. Zza drzew po prawej stronie, gdzie była ukryta niewielka budka strażnicza, wyszedł jeden z wartowników i z pistoletem maszynowym przewieszonym przez pierś ruszył w kierunku samochodu. Kiedy od mercedesa dzieliło go zaledwie kilka kroków, niespodziewanie włączył silną latarkę, omiótł snopem światła wnętrze limuzyny, a następnie skinął obojętnie głową.

Meyer uruchomił silnik i włączył światła. W ich blasku zobaczył, jak drugi strażnik otwiera bramę. Kiedy tamten machnął ręką, Meyer delikatnie dodał gazu i mercedes potoczył się naprzód wąską drogą wśród drzew.

Kesser i Meyer przeszli w poprzek zwirowego podjazdu, kierując się w stronę niskiego budynku o betonowych ścianach. Kesser otworzył dwa zamki w szarych metalowych drzwiach i sięgnął do włącznika. Wnętrze budowli zalało jaskrawe białe światło.

Panowało tam przenikliwe zimno, lecz łatwo można było o tym zapomnieć, a to ze względu na zdumiewający widok, jaki ukazałby się oczom każdego, kto towarzyszyłby dwóm mężczyznom.

Środek pomieszczenia zajmowała błyszcząca stalowa wyrzutnia o ustawionej pod kątem 45 stopni prowadnicy, na której spoczywał przypominający kształtem cygaro pocisk raketowy z zainstalowaną głowicą bojową. Pod wyrzutnią znajdowała się głęboka co najmniej na trzy metry betonowa studnia o takiej samej średnicy; ściany oraz dno były wyłożone grubą warstwą tkaniny azbestowej. Meyer wiedział, iż tam właśnie ma uderzyć płomień odrzutu.

W płaskim dachu umieszczono szerokie rozsuwane wrota, ściany zaś i sufit

pomalowano na stalowoszary kolor. Kilka metrów obok wyrzutni stała budząca szacunek swymi rozmiarami jednostka główna komputera, zwieńczona dużym monitorem i klawiaturą. Z dnem studni łączył ją gruby pęk różnokolorowych kabli.

Na biurku przy komputerze tłoczyły się aparat telefoniczny, termos, do połowy napęczniony kubek z kawą oraz otwarta teczka Kessera, z której wysypywały się sterty komputerowych wydruków.

Kesser usiadł na jednym z dwóch krzeseł ustawionych przed komputerem, pstryknął włącznikiem i po chwili ekran ożył różnokolorowymi napisami.

- Przetestowałem program - poinformował Kesser Meyera. - Wszystko w porządku. Żadnych wirusów.

- Czy to bezpieczne? - zapytał Meyer z niepokojem w głosie.

- Oczywiście. Głowica nie jest uzbrojona. Na razie wprowadzam program do pamięci operacyjnej. To potrwa jeszcze jakąś minutę.

Ekran monitora zamigotał, zrobił się niebieski, pojawiły się na nim kolumny jakichś cyfr, a kiedy znikły, w lewym górnym rogu pozostał samotny, migający kursor.

- Gotowe - oznajmił Kesser, po czym ruchem głowy wskazał monitor. - Patrz uważnie.

Wprowadził kilka poleceń i na ekranie pojawiła się narysowana białą kreską na niebieskim tle mapa Niemiec, poszatkowana szarymi liniami współrzędnych geograficznych.

Kesser nacisnął jeszcze jeden klawisz. W górze rozległ się przeciągły łoskot, a kiedy Meyer podniósł wzrok, zobaczył jak stalowe wrota odsuwają się powoli na boki. Do wnętrza natychmiast wdarło się zimne górskie powietrze; Meyer zadrżał częściowo z chłodu, a częściowo z przejęcia, kiedy w szybko poszerzającej się szczelinie ukazało się ciemne, rozgwieżdżone niebo.

Zaraz potem zamruczały elektryczne silniki, przypominający cygaro pocisk drgnął, a następnie zaczął się powoli przesuwac, by wreszcie znieruchomic w zaprogramowanej pozycji.

Wnętrze bunkra ponownie wypełniła cisza.

- Patrz na ekran - polecił Kesser.

Na elektronicznej mapie w rejonie Berlina kilkakrotnie zamrugało białe kółko, po czym zostało tam, nieruchome i dziwnie niepokojące.

- Wszystko się zgadza - stwierdził z zadowoleniem Kesser. - Mierzymy prosto w cel. Jeśli chcesz, mogę zmienić skalę, żebyś zobaczył usytuowanie punktu zero na mapie Berlina, ale i tak przekonałeś się już, jakie to proste. Epicentrum wybuchu znajdzie się dokładnie w połowie drogi między Bramą Brandenburską a południowym skrzydłem Reichstagu.

Meyer nabrał w płuca powietrza i wypuścił je powoli. W betonowym pomieszczeniu z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Chociaż postawił kołnierz grubej ocieplanej kurtki, jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Chłód czy strach? Trudno powiedzieć.

- Rzecz jasna, to tylko na postrach - dodał Kesser. - Jak tylko dowiedzą się o naszych zamiarach, na pewno ustąpią, mam rację?

Meyer nie odpowiedział; zbliżył się do wyrzutni, wyciągnął rękę i ostrożnie położył ją na chłodnym cielsku rakiety.

Nagle zadzwonił stojący na biurku telefon. Obaj mężczyźni drgnęli raptownie, po czym Kesser podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał w milczeniu, następnie wyciągnął rękę w stronę Meyera.

- To do ciebie. Bardzo pilne.

Wieczorny lot do Berlina był opóźniony, więc kiedy wylądowali na lotnisku Tegel, minęła już ósma.

Wsiadli do taksówki i najpierw kazali się zawieźć do niewielkiego hoteliku przy Kurfiirstendamm; dziewczyna została w samochodzie, Volkmann natomiast wpisał się do książki hotelowej i zostawił skromny bagaż w pokoju z oknem wychodzącym na Wilhelmskirche. Pół godziny później taksówka zatrzymała się przed domkiem blisko brzegu Nicolassee.

Była to jedna z zadbanych przedwojennych willi, pomalowana na brązowo i

biało, z zamkniętymi okiennicami, które miały chronić okna przed gwałtownymi podmuchami północnego, wiejącego od Bałtyku wiatru. Po oświetlonym blaskiem księżycy niebie gnały postrzępione czarne obłoki.

Volkman poprosił kierowcę, żeby nie odjeżdżał, po czym wraz z dziewczyną wysiadł z samochodu. Było bardzo zimno. Nad gankiem zapłonęło światło, a za przeszkłonymi drzwiami pojawiła się sylwetka zaawansowanej wiekiem, ale wciąż jeszcze bardzo zwawej i trzymającej się prosto kobiety. Kiedy otworzyła, stwierdzili, że z pewnością ma ponad sześćdziesiąt lat, ubrana zaś jest w ciepłą pikowaną podomkę.

- Dziękujemy, że zechciała pani nas przyjąć mimo tak późnej pory.

Kobieta obdarzyła ich uśmiechem.

- Proszę wejść.

Zaprowadziła ich do saloniku, z którego okien za dnia przypuszczalnie roztaczał się widok na jezioro. Latem musiało tu być bardzo przyjemnie, lecz teraz, zimą, okiennice były szczelnie zamknięte. Przed jednym z okien stało nieduże, eleganckie biurko, na nim zaś popielniczka z kilkoma niedopałkami. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się sięgające sufitu regały z książkami; sądząc po tytułach, zdecydowana większość z nich dotyczyła okresu III Rzeszy. Na jednej z półek stała oprawiona w ramki, opatrzona zamaszystym autografem fotografia Konrada Adenauera, pierwszego kanclerza powojennych Niemiec.

Joseph przedstawił Erikę, a kiedy kobiety wymieniły uścisk dłoni, gospodyni wskazała im miejsca w głębokich fotelach.

Hannah Richter była zaskakująco wysoka, miała twarz nie tyle ładną, co raczej przystojną oraz siwiejące włosy zebrane z tyłu głowy w gruby węzeł. Żywe błękitne oczy, błyszczące niespotykaną energią, z całą pewnością należały do osoby, która stara się wykorzystać każdą sekundę życia.

Do pokoju weszła starsza od niej kobieta z tacą, na której stały trzy filiżanki wypełnione parującym płynem.

- Czekolada na gorąco - wyjaśniła Hannah Richter. - Tej słabości ulegam bez

większych wyrzutów sumienia. Pomyślałam sobie, że zmarzliście w drodze, bo pogoda dziś naprawdę paskudna. Możecie to potraktować jako coś w rodzaju rekompensaty na wypadek, gdyby okazało się, że facygowaliście się na próżno. Aha, to jest Hildegarda. Prowadziła dom już wtedy, kiedy byłam dzieckiem.

Podziękowała staruszce, ta zaś uśmiechnęła się, życzyła im dobrej nocy i wyszła.

Przez dłuższą chwilę pili w milczeniu gorący napój. Czekolada smakowała znakomicie. Gospodyni zapaliła papierosa, zaciągnęła się dymem i zapytała:

- A więc na czym polega niezwykłość tej fotografii, Herr Volkmann?

- Trudno powiedzieć, żeby była niezwykła, skoro nawet nie wiemy, kogo przedstawia... Na zdjęciu, które, jeśli wierzyć dacie na odwrocie, wykonano 11 lipca 1931 roku, jest młoda kobieta w wieku około...

- Czy nie byłoby prościej, gdyby po prostu pokazał mi pan tę fotografię? - przerwała mu delikatnie Hanah Richter.

Joseph sięgnął po portfel, wyjął z niego zdjęcie, ale przed podaniem go kobiecie sam jeszcze raz rzucił okiem na jasnowłosą dziewczynę trzymającą pod rękę tajemniczego mężczyznę w mundurze i uśmiechającą się do fotografa. Hanah Richter wzięła odbitkę w obie ręce, przez długą chwilę przyglądała się jej w milczeniu, by wreszcie podnieść wzrok i zapytać:

- Wspomniał pan, że zdjęcie wykonano 11 lipca 1931 roku?

- Taka data widniała na odwrocie oryginału. Niestety, nie sposób ustalić, czy tak było w istocie. - Volkmann spojrział na nią uważnie. - Wolno wiedzieć, dlaczego pani pyta?

Hanah Richter potrząsnęła niecierpliwie głową, jakby prosiła, żeby jej nie przeszkadzano, żeby pozwolono się skupić. Ponownie skierowała wzrok na fotografię, po pewnym czasie zaś wyjęła z kieszeni podomki okulary do czytania i założyła je na czubek nosa.

Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Na zewnątrz wiatr huczał coraz donośniej, z furią atakując zamknięte okiennice, lecz w ciepłym wnętrzu willi

panował całkowity spokój. Milczenie przedłużało się i nic nie wskazywało na to, że kobieta zechce przerwać je jako pierwsza.

Volkmann wreszcie nie wytrzymał, poruszył się niepewnie w fotelu, odchrząknął, po czym zapytał:

- Czy poznaje pani tę dziewczynę?

- Tak - odparła po prostu Hanah Richter, odrywając wzrok od fotografii.

Część 6

Rozdział 45

Nicolassee, Berlin

Nazywała się Angela Raubal. Wypowiedziawszy to zdanie, Hanah Richter ponownie opuściła wzrok na fotografię. W kominku trzaskały żywiczne polana trawione przez płomienie, których żar pozwalał zapomnieć o huczącym na zewnątrz lodowatym wietrze.

- Kim była? - zapytał cicho Volkmann.

- Siostrzenicą Adolfa Hitlera - odparła kobieta nie podnosząc głowy. - Córka jego przyrodniej siostry, która także nazywała się Angela Raubal. Dziewczynę nazywano Geli, żeby odróżnić ją od matki.

- Nie myli się pani?

- Na pewno nie. Wielokrotnie oglądałam jej fotografie, choć akurat tę widzę po raz pierwszy.

- I jest pani całkowicie pewna, że przedstawia tę samą dziewczynę, co tamte zdjęcia?

Hanah Richter podniosła wzrok na Volkmana i skinęła głową.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jeszcze jako pracownik naukowy uniwersytetu napisałam kilka rozpraw dotyczących osobistego życia Hitlera w latach 1929-31. Nie mogłam pominąć w nich Geli Raubal. Dokładnie zbadałam jej przeszłość, zapoznałam się ze wszystkimi faktami z jej życia. To był bardzo trudny

okres dla Hitlera, który zmagał się wtedy z mnóstwem problemów. Ta młoda osoba była jednym z nich. - Hanah Richter jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, a następnie położyła je na stoliku i przeniosła wzrok na Volkmana. - Czy mogę wiedzieć, gdzie zdobył pan tę fotografię?

- W Ameryce Południowej.

Kobieta uniosła brwi. Joseph spodziewał się, że zada mu kolejne pytanie, lecz w ostatniej chwili zmieniła zamiar.

- Nie wygląda pan na całkowicie przekonanego, Herr Volkmann.

Joseph zerknął na Erikę. Dziewczyna nie odezwała się jeszcze ani słowem, za to wpatrywała się w niego intensywnie, jakby usiłowała odczytać jego myśli.

- Może pani to nazwać zawodową ostrożnością. Musimy mieć stuprocentową pewność.

- Jeśli nie wierzy mi pan na słowo, mogę pokazać inne zdjęcia tej samej osoby. Porówna je pan i sam wyciągnie wnioski. Czy to by panu pomogło?

- Nawet bardzo, Frau Richter.

- Proszę mówić do mnie Hanah.

Kobieta wstała z fotela, podeszła do regału, znowu wsadziła na nos okulary, po czym przez dłuższą chwilę szukała na półce, by wreszcie zdjąć z niej dwie książki i wrócić na miejsce. Położyła obie książki na stoliku tak, by padało na nie światło stojącej lampy. Obie nosiły ślady częstego przeglądania, w obu znajdowało się sporo zakładek i kartek z notatkami.

- Oto podstawowa lektura dla każdego, kto interesuje się tym okresem. Ta książka - wskazała leżącą na wierzchu - to biografia Adolfa Hitlera pióra Tolanda, znakomitego eksperta w tej dziedzinie. Poznałam go kiedyś w Harvardzie. Fascynujący człowiek... Drugą książkę napisałam sama. - Uśmiechnęła się z pogodną ironią. - Tak, i mnie było dane posmakować przez króciutką chwilę, czym jest literacka sława. - Musnęła pieszczotliwie ręką grzbiet dość grubego tomu w granatowej obwolucie. - Jestem pewna, że gdyby zajrzał pan do pierwszego z brzegu antykwariatu, bez trudu znalazłby pan przynajmniej jeden egzemplarz. Ta tematyka

mało kogo dziś interesuje, naturalnie jeśli nie liczyć wąskiego kręgu specjalistów.

Otworzyła pierwszą książkę, przeczuciła kilka stron z czarnobiałymi reprodukcjami i wreszcie znalazła to, czego szukała. Szczupły, pokryty nikotynowymi plamami palec wskazywał zdjęcie ciemnowłosej dziewczyny stojącej obok czarnego daimlera. W tle widać było lekko zamazany las. Volkmann ocenił, że samochód pochodził z połowy lat dwudziestych. Dziewczyna, ubrana w luźną bluzę bez rękawów i ciemną spódniczkę za kolana, postawiła jedną stopę na progu, a prawą rękę oparła nonszalancko na biodrze.

- Tę fotografię wykonano latem 1930 roku. Volkmann i Erika uważnie przyjrzeni się zdjęciu. Twarz dziewczyny była dość ładna, mimo wyraźnie zarysowanej, nieco za dużej szczęki. Młoda osóbka, która przybrała marsową minę, żeby wyglądać poważnie na fotografii. Istotnie, przypominała dziewczynę ze zdjęcia znalezionej w Chaco, choć podobieństwo nie było uderzające.

- Nie jest blondynką - zauważył Joseph.

Hannah Richter spojrzała z uśmiechem na Erikę, po czym przeniosła wzrok na Volkmana.

- Kobiety od wieków farbują sobie włosy, Herr Volkmann. Nowy kolor oznacza nowy wygląd, ale twarz zostaje ta sama. Proszę nie dać się zwieść pozorom. Jeśli przyjrzy się pan dokładniej, z pewnością dojdzie pan do wniosku, że to ta sama osoba.

Otworzyła środkową szufladę biurka, wyjęła stamtąd szkło powiększające i wręczyła Josephowi.

- Proszę spróbować.

Tak, mimo grubego ziarna fotografii nie ulegało wątpliwości, że na obu zdjęciach widnieje ta sama twarz o mocno zarysowanej szczęce, wystających kościach policzkowych, melancholijnych oczach i dość wąskich, dużych ustach.

- Dostrzega pan podobieństwo? Volkmann skinął głową.

- Ale nadal nie jest pan do końca przekonany, prawda? Wciąż chodzi o kolor włosów?

- Owszem. A także o figurę.

Hanah Richter uśmiechnęła się pogodnie.

- To prawda: na tym zdjęciu dziewczyna jest dość szczupła, na pańskim natomiast raczej pulchna. Pozwoli pan, że pokażę mu inną fotografię, zrobioną wiosną 1931 roku?

Nie czekając na odpowiedź otworzyła drugą książkę, ponownie przeczuciła kilka stron, znalazła właściwą i podsunęła książkę Volkmannowi.

Zdjęcie wykonano w bawarskiej knajpie. Przy stoliku siedziało czworo ludzi: dwie kobiety i dwaj mężczyźni. Obie kobiety miały jasne włosy, lecz jedna była bardzo młoda, druga natomiast w średnim wieku. Młodsza z nich wyglądała identycznie jak dziewczyna z fotografii Volkmana: zaokrąglona twarz, tlenione włosy uczesane zgodnie z obowiązującą wówczas modą. Miała na sobie ludowy bawarski strój obszyty licznymi koronkami i śmiała się wesoło, jakby ktoś przed chwilą opowiedział jej znakomity żart.

Joseph bez najmniejszego trudu rozpoznał dwóch mężczyzn siedzących przy stoliku. Miejsce po lewej stronie dziewczyny zajmował Adolf Hitler z ramionami skrzyżowanymi na piersi i ledwo dostrzegalnym uśmiechem na zaciśniętych wargach, naprzeciwko zaś rozparł się mały, jakby zasuszony Joseph Goebbels, szef nazistowskiej propagandy. Drugą, starszą kobietą, siedziała tuż obok, trzymając go pod rękę.

- Dziewczyna towarzysząca Hitlerowi to Geli Raubal - oświadczyła Hanah Richter. - Tym razem blondynka, tak jak pan sobie życzył. Kobieta siedząca obok Goebbelsa to Gerda, jego żona. Na tym zdjęciu jest pewien bardzo interesujący szczegół, szczególnie jeśli porównamy je z pańską fotografią. Czy mogę prosić o szkło powiększające?

Volkmann wręczył jej lupę, kobieta zaś położyła nadpalone zdjęcie z Chaco obok reprodukcji zamieszczonej w książce.

- Teraz proszę się uważnie przyjrzeć.

Wskazała mu, który fragment fotografii powinien obejrzeć przez szkło

powiększające. Erika także pochyliła głowę, wpatrując się z uwagą w fotografię.

- Zwróćcie uwagę na przegub dziewczyny - poradziła im gospodyni. - Jestem pewna, że zobaczycie tam coś, co was zaintryguje.

Geli Raubal miała na ręku błyszczącą bransoletkę. Ta sama bransoletka lśniła na jej ręku na fotografii Volkmana.

- To prezent od Hitlera - wyjaśniła Hanah Richter. - Wręczył jej go w październiku 1929 roku, podczas partyjnego zjazdu w Norymberdze. Bransoletka wykonana z białego złota, wysadzana rubinami i szafirami. Hitler wspomniał o tym podarunku w liście do jednego z bliskich przyjaciół. Geli Raubal nie rozstawała się z nią ani na chwilę. - Hanah Richter spojrzała na nich znad okularów. - Traktuję to tylko jako dowód uzupełniający, bo twarz na obu fotografiach jest identyczna. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Volkman ponownie wziął lupę do ręki. Długo spoglądał to na jedno zdjęcie, to na drugie, porównując najbardziej charakterystyczne szczegóły. Te same usta, te same kości policzkowe, te same oczy, ten sam kształt twarzy. Spojrzał na Erikę, lecz w jej oczach nie dostrzegł ani potwierdzenia, ani zaprzeczenia.

- Zdaję sobie sprawę, że jest już bardzo późno, ale czy mogłabyś opowiedzieć nam coś więcej o tej dziewczynie? - zwrócił się do obserwującej go spokojnie gospodyni. - Wspomniałaś, że była jednym z problemów trapiących Hitlera. Dlaczego?

- Ponieważ popełniła samobójstwo.

- Kiedy?

- Nieco ponad miesiąc po dniu, w którym wykonano twoje zdjęcie. Po kłótni z Hitlerem, która miała miejsce w jego monachijskim mieszkaniu, złapała pistolet i strzeliła sobie w serce. Musicie wiedzieć, że ona i Hitler przez długi czas byli kochankami.

Volkman i Erika z niedowierzaniem wybałuszyli oczy. Hanah Richter milczała przez kilka sekund, po czym westchnęła ciężko i powiedziała:

- Obawiam się, że rozbudziliście moją ciekawość. Czy to naprawdę takie

ważne?

- Jeszcze nie wiemy, ale nie da się tego wykluczyć - odparł Joseph.

- Z jakiego powodu, jeśli można wiedzieć? Volkmann zawahał się lekko.

- Na razie nie mogę ujawnić ci więcej szczegółów, Hanah. Wybacz, ale chodzi o dobro śledztwa.

- Śledztwa? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Co masz na myśli? Czyżby chodziło o dziewczynę?

Joseph pokręcił głową.

- Nie. O kogoś innego.

- Ale jaki ona może mieć związek z tą sprawą? Przecież umarła tyle lat temu...

- Przykro mi, Hanah. W tej chwili naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej.

Hanah Richter przez dłuższą chwilę przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami, a następnie oparła głowę na oparciu fotela, złączyła ręce na podołku i powiedziała rzeczowym tonem, w którym jednak dało się usłyszeć nutę rozczarowania:

- W porządku, skoro tak twierdzisz. Czego chcecie się dowiedzieć o Geli Raubal?

- Wszystkiego - odparł po prostu Volkmann. - Wszystkiego, co o niej wiesz.

Hanah Richter poczęstowała ich papierosami, sama także wzięła jednego, podała ogień, zapaliła i zaciągnęła się głęboko dymem.

Volkmann pochylił się do przodu w fotelu.

- Wspomniałaś, że Hitler i dziewczyna byli kochankami - powiedział, nie spuszczać wzroku z twarzy kobiety. - Czy znasz więcej szczegółów na ten temat?

Hanah Richter ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

- Co do tego, że stosunki między nimi wykaczały daleko poza ramy zwykłych rodzinnych kontaktów, nie ma żadnych wątpliwości. Wszystko zaczęło się w roku 1927, kiedy Hitler zamieszkał w swojej górskiej rezydencji w Berchtesgaden. Bardzo szybko ściągnął tam swoją przyrodnią siostrę, żeby prowadziła mu dom, ona zaś, co całkiem zrozumiałe, zabrała ze sobą córki, Friedl i Geli.

- A co z ich ojcem? - przerwał jej Volkmann.

- Umarł, kiedy Geli była jeszcze mała. Kto wie, może stąd wzięła się fascynacja dziewczyny Hitlerem? Prędko zaczęła traktować go jako surogat ojca. Była bardzo energiczną osobką, dość nieznośną, jeśli wierzyć autorom podręczników historii. - Przez twarz Hanah Richter przemknął cień uśmiechu. - Przyszła na świat w Wiedniu, więc to też mogło odegrać jakąś rolę... Rzecz jasna najważniejszą kobietą w życiu Hitlera była Ewa Braun, ale przed nią zjawiała się Geli Raubal. To ona stała się pierwszym obiektem romantycznych westchnień Fihrera; celowo nie używam słowa „miłość”, ponieważ ten człowiek był pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć, a więc nie mógł też nikogo pokochać. Pozostańmy przy określeniu „romantyczne zadurzenie”, zresztą w pełni odwzajemnione. Ona uwielbiała wujka, on zaś ją.

Przez pewien czas prawie się nie rozstawali, a kiedy Hitler przeprowadził się do Monachium, Geli Raubal pojechała za nim. Zmiana miejsca zamieszkania była jej bardzo na rękę, ponieważ studiowała medycynę na monachijskim uniwersytecie, ale znajomi i przyjaciele doskonale zdawali sobie sprawę, iż chodzi o coś więcej niż wygodę, że oboje traktują to jako świetny pretekst, żeby być razem.

- Dlaczego od razu „pretekst”? Czy było w tym coś nienaturalnego?

- Raczej tak, przynajmniej w tamtych czasach. Pomyślcie tylko: wuj i siostrzenica mieszkający razem, nie rozstający się całymi tygodniami... W chwili śmierci Geli miała zaledwie dwadzieścia trzy lata. Rzecz jasna, w partii aż huczało od plotek. Upodobanie Hitlera do młodych dziewcząt dla nikogo nie stanowiło tajemnicy; brało się to zapewne stąd, że czuł lęk przed kobietami w jego wieku. Poza tym, dwudziestoletnie panienki łatwiej jest okiełznać i prościej nimi manipulować. Spośród siedmiu kobiet, z którymi ponad wszelką wątpliwość nawiązał bliższe stosunki, niemal wszystkie były bardzo młode. Sześć z nich popełniło samobójstwo lub usiłowało targnąć się na swoje życie. Jak widzicie, Geli Raubal nie była wyjątkiem.

Hitler wywierał hipnotyczny wpływ na kobiety, zarówno na te, które stały się jego wybrankami, jak i później na większość Niemek, kiedy już został Führerem.

Tak więc nie tylko Geli Raubal uległa jego urokowi. Zrobiłaby dla niego wszystko, a już na pewno wyszłaby za niego za męża, nie zważając na bliskie pokrewieństwo. Zresztą przez pewien czas Hitler udawał, że czyni starania o jej rękę, a przy kilku okazjach wspomniawszy swoim partyjnym towarzyszom, iż nie wyklucza ożenku. - Hannah Richter przeniosła spojrzenie z Volkmana na Erikę, a następnie znów utkwiła wzrok w twarzy Josepha. - To z pewnością odrażające, ale pamiętajmy, że wtedy jeszcze nie ujawniła się w pełni jego brutalność ani zezwierzęcenie. Robił karierę polityczną, stawał się coraz bardziej znany, wielu uważało go za męża opatrznościowego Niemiec... Geli Raubal bez namysłu wyszłaby za obdarzonego charyzmą wujka, mimo wynoszącej dziewiętnaście lat różnicy wieku, więc flirtowała z nim z największą ochotą. Chyba można powiedzieć, że robiła wszystko, aby go uwieść.

Wiatr załomotał okiennicami, płomień zatańczył żywiej w kominku. Volkman przez chwilę wpatrywał się w ogień, po czym przeniósł spojrzenie na gospodynię.

- Ta absurdalna sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Bliscy współpracownicy Hitlera ze ścisłego kierownictwa NSDAP byli coraz bardziej przerażeni: pan w średnim wieku, zamierzający poślubić dwudziestoletnią siostrzenicę... Choć wielu nazistów było ludźmi zepsutymi do szpiku kości, to jednak bardzo zależało im na tym, by na zewnątrz utrzymać pozory moralności. Takie zachowanie ze strony Hitlera było nie do pomyślenia, szczególnie że zbliżały się wybory. Gdyby nazistom nie udało się odnieść zwycięstwa, mogli pożegnać się z myślami o nim na wiele, wiele lat. Liczyło się tylko ono, nic więcej. Skandal, jaki z pewnością wywołałoby małżeństwo Hitlera z dwukrotnie młodszą dziewczyną, w dodatku bliską krewną, wywołałoby katastrofalne skutki. Nie zapominajmy, o jakich czasach mówimy; takie wydarzenie nie służyłoby umacnianiu wizerunku Hitlera jako odpowiedzialnego polityka, gotowego wziąć na barki ciężar sterowania państwem i poprowadzić je ku lepszej przyszłości. Osobiście uważam jednak, że traktował nieszczęsną dziewczynę jak zabawkę, by porzucić ją, kiedy mu się znudziła, i przenieść zainteresowanie na

Ewę Braun.

- Dlaczego Geli Raubal popełniła samobójstwo? - zapytał Joseph, spoglądając na zdjęcie w otwartej książce i to leżące obok na stoliku.

Hanah Richter dość długo zwlekała z odpowiedzią.

- Jeśli wierzyć podręcznikom historii - odezwała się wreszcie spokojnym, cichym głosem - dziewczyna przeżyła coś w rodzaju załamania nerwowego, być może dlatego, że zdała sobie wreszcie sprawę, iż Hitler powoli ale stanowczo zmierza do zerwania ich związku. 17 sierpnia 1931 roku w monachijskim mieszkaniu Hitlera przy Prinzregentenplatz doszło do zażartej kłótni. Hitler wyszedł trzaskając drzwiami, Geli Raubal natomiast zamknęła się w swoim pokoju. Nazajutrz rano znaleziono ją martwą; pocisk, wystrzelony z bardzo małej odległości, trafił prosto w serce. Obok zwłok na podłodze leżał damski pistolet. Bawarska policja ustaliła, że śmierć nastąpiła we wczesnych godzinach rannych 18 sierpnia.

Wiadomość o samobójstwie siostrzenicy dotarła do Hitlera w Norymberdze. Sprawiał wrażenie kompletnie załamane, ale jego bliscy współpracownicy podejrzewali, iż w głębi serca jest zadowolony, że kłopotliwa sprawa została w ten sposób raz na zawsze zakończona. Rzecz jasna, pojawiły się nowe plotki gorliwie podsycane przez prasę, która poświęciła sporo uwagi tej tragedii.

- Jakie plotki?

Kąciki ust Hanah Richter na krótko powędrowały w górę.

- Rozmaite. Od całkiem prawdopodobnych po zupełnie nierealne.

- Na przykład?

- Że Hitler zabił dziewczynę w ataku szału po tym, jak wyznała mu, że spotyka się z kimś innym. Z całą pewnością już wtedy zdarzały mu się napady niepohamowanej wściekłości; podczas jednego z nich złamał jej nos. Mógł także kazać ją zabić, albo bez jego wiedzy, ale za cichym pozwoleniem, uczynili to partyjni towarzysze, zaniepokojeni konsekwencjami podtrzymywania tego związku. Ja jednak uważam, że zdesperowana dziewczyna sama odebrała sobie życie. Kto wie, czy jakiejś roli nie odegrał nieszczęśliwy zbieg okoliczności: może nie przypuszczała,

że pistolet jest nabity, albo niechcący nacisnęła spust? Naturalnie to wszystko tylko domysły, bo prawdy nigdy już się nie dowiemy.

- O czym jeszcze pisały gazety? Siwowłosa kobieta rozłożyła ręce.

- Plotki, same plotki. Choćby o tym, że Hitler zamordował kochankę, by na zawsze zamknąć jej usta, bo gdyby zechciała, mogła ujawnić wiele kompromitujących szczegółów z jego prywatnego życia. Policyjne śledztwo nie doprowadziło do postawienia żadnych zarzutów, choć niektórzy podejrzewali, iż ówczesny minister sprawiedliwości, niejaki Giirtner, kazał zniszczyć teczkę ze zgromadzonymi dowodami. Teczka istotnie znikła bez śladu, a wraz z nią materiały, które ewentualnie mogły obciążyć przyszłego Fuhrera.

Po dojściu Hitlera do władzy Herr Giirtner zaczął błyskawicznie piąć się po szczeblach kariery partyjnej, co zdawałoby się potwierdzać te podejrzenia. Możliwe, że istotnie pomógł Hitlerowi zniszczyć jakieś kompromitujące materiały, czegokolwiek one dotyczyły. - Hanah Richter wzruszyła ramionami. - Jak więc widzicie, okoliczności śmierci dziewczyny są otoczone mgiełką tajemnicy, choć w powszechnym przekonaniu wersja o jej samobójstwie, być może przypadkowym, wydaje się najbardziej prawdopodobna. Biedaczka wpadła w depresję, sięgnęła po pistolet... a potem padł strzał i było już po wszystkim. Nie lubię ferować ostatecznych wyroków, lecz w tym przypadku sędzę, że tak właśnie wygląda prawda.

Volkmann długo, chyba przez minutę, wpatrywał się bez słowa w uśmiechniętą twarz na fotografii, w wypełniające tło góry, w ramię zagadkowego mężczyzny z nazistowską opaską na rękawie, po czym zapytał:

- Jak myślisz, Hanah, kim był ten człowiek na zdjęciu?

- Całkiem możliwe, że to Hitler. W tamtym okresie jeszcze dość często się widywali, choć już nie tak otwarcie jak przedtem. Jednym z powodów był wzmagający się nacisk ze strony najwyższych dygnitarzy partyjnych, którzy pragnęli jak najszybciej doprowadzić do zerwania związku, innym zaś reakcja Hitlera na fakt, że Geli zaczęła potajemnie spotykać się z jego szoferem Mauricem, przypuszczalnie

po to, by zrobić na złość wujowikochankowi. Naturalnie Hitler wyrzucił Maurica na zbity pysk, po czym odwiedzał dziewczynę zachowując znacznie większą dyskrecję.

- 11 lipca 1931... - szepnął Joseph. - Czy to jakaś szczególna data?

- Z punktu widzenia Geli Raubal?

- Właśnie.

Hanah Richter zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Zginęła 18 sierpnia, a więc zdjęcie wykonano nieco ponad pięć tygodni przed jej śmiercią... Tydzień wcześniej trafiła do szpitala w związku z jakąś drobną dolegliwością, dwa tygodnie potem zaś, jeśli mnie pamięć nie myli, odwiedziła przyjaciół we Freiburgu. Naturalnie przez cały ten czas widywała się z Hitlerem, ale on miał głowę zaprzątniętą kampanią wyborczą i nie mógł poświęcić dziewczynie tyle czasu, ile ona by sobie życzyła. - Gospodyni zmarszczyła brwi, jakby usilnie starała się sobie coś przypomnieć. - Nie, bardzo mi przykro - powiedziała wreszcie z westchnieniem. - Ta data nic mi nie mówi. Gdyby to było coś ważnego, przypuszczam, że utkwiliby mi w pamięci.

- Jeszcze jedno pytanie: czy Geli była kiedykolwiek w Ameryce Południowej?

Hanah Richter stanowczo pokręciła głową.

- Na pewno nie. Podróżowała wyłącznie po Niemczech i Austrii.

- A czy mówi ci coś nazwisko Erhard Schmeltz? Kobieta ponownie zmarszczyła brwi.

- Kto to był?

- Członek NSDAP. Znał Hitlera jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej.

Hanah Richter bezradnie rozłożyła ręce.

- Niestety, nigdy o nim nie słyszałam. Widocznie nie zajmował żadnego eksponowanego stanowiska.

- Jak myślisz, Hanah, w jaki sposób to zdjęcie mogło trafić aż do Ameryki Południowej?

- A jesteście zupełnie pewni, że to był oryginał, nie współczesna odbitka?

- Raczej tak.

- Pod koniec wojny wielu Niemców wyemigrowało do Ameryki Południowej. Przypuszczalnie fotografię zabrał ze sobą ktoś, kto znał Hitlera albo dziewczynę. - Gospodyni wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia, kto to mógł być. Ludzie tacy jak Eichmann i Mengele w ogóle nie wiedzieli o jej istnieniu, jeśli zaś chodzi o Bormanna... Owszem, mógł ją poznać, a nawet dość często widywać w towarzystwie Hitlera, ale jest absolutnie wykluczone, żeby udało mu się przeżyć i przedostać do Argentyny albo Paragwaju. Pozostają więc wyżsi funkcjonariusze NSDAP lub oficerowie SS, lecz tych było tak wielu, że nie sposób wyłowić tego jednego, właściwego. - Gospodyni zerknęła ukradkiem na zegarek. - Czy odpowiedziałam już na wszystkie pytania?

Volkman skinął głową.

- Dziękujemy za pomoc, Hanah. I przepraszamy za najście o tak późnej porze.

- Nic nie szkodzi - odparła z uśmiechem, podnosząc się z fotela, po czym dodała, widząc, że Joseph chowa fotografię do portfela. - Chętnie dołączyłabym to zdjęcie do mego prywatnego archiwum. Mógłbyś przysłać mi odbitkę?

- Oczywiście.

Gospodyni odprowadziła ich do drzwi i uściśnęła rękę. Taksówka wciąż czekała na zewnątrz. Mieli już wyjść, ale Volkman zatrzymał się w sieni i zapytał:

- Gdzie pochowano Geli Raubal?

- Na starym cmentarzu miejskim w Wiedniu.

- Czy grób zachował się do naszych czasów? Kobieta pokręciła głową.

- Niestety, w 1941 roku naziści polecieli przekopać tę część cmentarza.

- Dlaczego?

- Tego nie wiadomo. Sprawa jest wyjątkowo tajemnicza. Nikt nawet nie wie, kto wydał taki rozkaz. Myślę, że w związku z tym wydarzeniem śmierć dziewczyny wydaje się jeszcze bardziej zagadkowa.

- Czyżby naziści starali się coś ukryć?

- Masz na myśli tę historię z samobójstwem i tak dalej? Nie sposób tego wykluczyć, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę tajemnicze zaginięcie materiałów

dowodowych zgromadzonych w śledztwie. Obawiam się jednak, że już nigdy się tego nie dowiemy.

Volkman położył rękę na klawiszach.

- Wybacz, Hannah, ale właśnie coś mi przyszło do głowy.

- Tak?

- Wspomniałaś, że Geli Raubal przebywała w szpitalu. Kiedy to było?

- Pod koniec czerwca 1931. Spędziła kilka dni w prywatnej klinice w Garmisch-Partenkirchen.

- Z jakiego powodu?

- Niektórzy twierdzą, że przyczyną była depresja, w jaką popadła dowiedziawszy się o związku Hitlera z Ewą Braun, inni, że poddała się jakiemś drobnemu zabiegowi chirurgicznemu. W archiwum kliniki z pewnością nie ma na ten temat ani słowa. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby już dawno temu zostało całkowicie zniszczone. Wolno wiedzieć, dlaczego pytasz?

Volkman spoglądał przez wąską, półprzezroczystą szybkę w czekającą na zewnątrz ciemność, słysząc uderzenia wiatru, który z nie słabnącą energią atakował zamknięte drzwi, jakby pragnąc czym prędzej zniszczyć tę oazę ciepła i spokoju, jaką stanowiło przytulne wnętrze domu. Mijały sekundy. Wreszcie Joseph odwrócił się, popatrzył na dwie kobiety, starą i młodą, po czym odparł:

- Wiem, że to zabrzmiało dość niezwykle, ale... Czy nie wydaje ci się, że Geli Raubal mogła być w ciąży?

W przedsionku zapadła całkowita cisza. Można było odnieść wrażenie, iż nawet wiatr wstrzymał oddech.

- Ten pomysł także pojawił się w prasowych spekulacjach - odparła powoli Hannah Richter. - Gdyby tak naprawdę było, natychmiast stałoby się jasne, dlaczego dziewczyna musiała zginąć, wszystko jedno, z ręki Hitlera czy któregoś z jego partyjnych towarzyszy. Nikt jednak nigdy nie zdołał udowodnić tej hipotezy. Człowiek, który był jej najgorętszym zwolennikiem nazywał się Fritz Gerlich i pracował jako reporter w jednej z monachijskich gazet.

- Co się z nim stało?

- Po dojściu Hitlera do władzy został aresztowany i osadzony w Dachau, gdzie wszelki ślad po nim zagał. Podkreślam jednak, że nikomu nie udało się udowodnić tej teorii, hitlerowcy zaś mieli co najmniej kilka powodów, żeby pozbyć się Gerlicha.

- Na przykład jakich?

- Był znany z antynazistowskich przekonań i w swoich artykułach często atakował Hitlera. - Kobieta uniosła brwi. - Czy to ci wystarczy?

- A jeśli Geli Raubal jednak była w ciąży i urodziła dziecko?

- Masz na myśli dziecko Hitlera?

- Właśnie.

Kobieta co najmniej przez pół minuty stała bez ruchu z na wpół otwartymi ustami. Także Erika pobladała i wpatrywała się w Josepha spojrzeniem, w którym zdumienie walczyło z niedowierzaniem. Wreszcie Hanah Richter otrząsnęła się z osłupienia.

- Chyba nie myślisz, że coś takiego ukryłoby się przed całą armią historyków?

Wyraz jej twarzy uległ błyskawicznej zmianie; zamiast zdziwienia i zaskoczenia malowała się teraz na niej irytacja i niepokój.

- Przypuszczam, że nie mówisz serio - dodała lodowatym tonem.

Volkman wreszcie nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Do przedsionka wtargnął przenikliwy wiatr, nieomylny zwiastun nadciągającej zimy.

- Oczywiście, że nie - powiedział cicho. - Do zobaczenia, Hanah. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za pomoc.

Rozdział 46

W drodze powrotnej z domu nad jeziorem ani Volkman, ani dziewczyna nie odezwali się ani słowem. Siedzieli w milczeniu na tylnej kanapie taksówki, spoglądając przez okna na przesuwające się obok nich światła Berlina.

Joseph przeniósł wzrok na twarz Eriki dopiero wtedy, gdy samochód zatrzymał się przed hotelem przy Kurfurstendamm. Dziewczyna wciąż jeszcze była blada jak ściana; prawie pół godziny okazało się zbyt krótkim czasem, by otrząsnąć się z szoku, jakiego doznała usłyszawszy pytanie Volkmana.

Zaraz po wejściu do pokoju Joseph przygotował dwa drinki. Erika bez słowa wzięła od niego szklaneczkę z whisky, podeszła do okna, oparła się o parapet, po czym zapytała szeptem:

- Nie mówiłeś tego serio, prawda, Joe? Powiedz mi, że to był tylko niemądry żart! Ona nie mogła urodzić dziecka Adolfa Hitlera!

- Mogła.

- Ależ, Joe!

Volkmann odstawił szklanę.

- Czy nie widzisz, że to doskonale pasuje do wszystkiego, co wiemy o Karlu Schmeltzu i jednocześnie wyjaśnia wiele tajemnic dotyczących tego człowieka? Poza tym sama słyszałaś, co mówiła Hanah Richter: dziewczyna mogła być w ciąży, mogła zostać zabita z tego powodu albo popełnić samobójstwo.

Erika zdecydowanie pokręciła głową.

- Zgoda, Geli Raubal mogła być w ciąży, ale żeby urodziła dziecko? Jak ty to sobie wyobrażasz, Joe? Hanah miała rację: gdyby tak się stało, pisano by o tym we wszystkich podręcznikach historii. Takiej rzeczy nie udałoby się utrzymać w tajemnicy.

Dziewczyna chyba zapomniała o swoim drinku. Volkmann wziął szklanę, opróżnił ją dwoma łykami, po czym odparł cierpliwym tonem, jakby tłumaczył dziecku jakąś pozornie skomplikowaną, choć w rzeczywistości bardzo prostą sprawę:

- Wiem, że na pierwszy rzut oka to zupełnie nie ma sensu, ale jeśli się dobrze zastanowić, wszystko zaczyna wyglądać całkiem logicznie. Erhard Schmeltz i jego siostra pod koniec 1931 roku w tajemniczych okolicznościach wyjeżdżają z Niemiec do Ameryki Południowej, dokładnie dwa miesiące po śmierci Geli Raubal. Zabierają

ze sobą chłopca, który na pewno nie jest ich synem. Pamiętasz, co Walter Busch powiedział o Schmeltzu? Że stronił od kobiet, nie ożenił się i nie miał dzieci. Jeśli chodzi o siostrę Schmeltza, to była od niego znacznie starsza, najprawdopodobniej za stara, żeby mieć tak małe dziecko. Tych dwojga możemy więc nie brać pod uwagę.

- Niby dlaczego? - przerwała mu dziewczyna. - Schmeltz mógł być ojcem dziecka, które urodziła jakaś nie znana nam kobieta, albo jego siostra mogła być matką, ojcem zaś ktoś, o kogo istnieniu nie mamy zielonego pojęcia.

- Gdyby tak było, to dlaczego tak nagle wyjechali z Niemiec, w dodatku z zachowaniem całkowitej tajemnicy? Dlaczego pewnego dnia po prostu zniknęli bez śladu? Wspomniałem ci o plotkach, które towarzyszyły ich zniknięciu; według niektórych z nich Schmeltz został wysłany w nieznanym kierunku w jakiejś tajnej misji: Według wszelkiego prawdopodobieństwa dziecko nie należało do nich, więc powstaje pytanie, do kogo?

W głosie Volkmana rozbrzmiewało coraz większe podniecenie.

- Erhard Schmeltz był przyjacielem Adolfa Hitlera, jego podanie zaś z prośbą o przyjęcie do partii poparł osobiście sam Heinrich Himmler, co oznacza, że Schmeltz cieszył się zaufaniem najwyższych nazistowskich dygnitarzy. Łączyła ich przyjaźń zapoczątkowana jeszcze podczas pierwszej wojny światowej. Pamiętając o tym, zastanów się nad słowami Hanah

Richter: Hitler miał romans z Geli Raubal, o którym doskonale wiedzieli wszyscy jego współpracownicy i towarzysze ze ścisłego kierownictwa NSDAP.

Volkmanm założył ręce do tyłu i przechadzał się po pokoju, przystając co kilka kroków, by spojrzeć na dziewczynę.

- Według tego, co nam powiedziała Hanah, dwa miesiące przed śmiercią Geli Raubal spędziła kilka dni w położonej na uboczu prywatnej klinice. Opuściła ją jako inna osoba: zestresowana, łatwo wpadająca w depresję. Coś musiało ją gnębić, coś bardzo poważnego, skoro kilka tygodni później zdecydowała się popełnić samobójstwo, a nawet jeśli została zamordowana, to także z jakiegoś ważnego powodu. Czym mogła się tak bardzo przejmować? Przecież kocha Hitlera, pragnie

go poślubić, skąd więc biorą się myśli o samobójstwie? Hanah Richter twierdzi, że Hitler zaczął odsuwać dziewczynę na bok, że szykował się do wyborów i musiał ulec namowom partyjnych towarzyszy, którzy obawiali się, że kontynuując romans z siostrzenicą popsuje wizerunek całej partii w oczach społeczeństwa. Jakikolwiek skandal, który Geli mogła wtedy wywołać, był wręcz nie do pomyślenia...

- Ależ, Joe! - przerwała mu Erika. - Zgadza się z tobą, ale nadal twierdzą, że Geli nie miała dziecka. To po prostu niemożliwe.

- Dlaczego? Sama przyznałaś, że mogła być w ciąży, więc czemu miałyby nie urodzić? I czemu to nie miałyby być dziecko Hitlera? Przecież byli kochankami. Załóżmy przez chwilę, że dziewczyna przyjeżdża do kliniki w GarmischPartenkirchen, by urodzić dziecko, którego ojcem jest jej wujek. Hitler dowiaduje się o tym i uświadamia sobie, że taki skandal może zrujnować jego karierę. Ma rację; gdyby wiadomość przedostała się do prasy, jej niezyczliwa mu część podniosłaby taki rwetes, że mógłby pożegnać się z myślami o zwycięstwie w nadchodzących wyborach, a razem z nim szlag by trafił także całą NSDAP. W związku z tym ktoś - może on, a może któryś z jego partyjnych towarzyszy - obmyśla następujący plan: dziecko należy jak najprędzej wysłać gdzieś daleko poza granice Niemiec, oczywiście pod opieką kogoś godnego zaufania. Ludźmi, którym Hitler z pewnością może zaufać, są Erhard Schmeltz i jego siostra. Na miejsce „zesłania” wybierają odległy zakątek Paragwaju, na granicy między pampasami i dżunglą. Tam sekret Hitlera z pewnością będzie bezpieczny.

Erika wpatrywała się w niego oczami okrągłymi jak spodki.

- Taki scenariusz pozwoliłby nam za jednym zamachem wyjaśnić aż trzy zagadki - ciągnął Joseph. - Po pierwsze, skąd Schmeltz wziął pieniądze, które przywiózł ze sobą do Paragwaju. Po drugie, dlaczego wyjechał tak nagle w gorącym okresie przedwyborczym, kiedy Hitler z pewnością mógłby wykorzystać go do pomocy na miejscu, w Niemczech. Wreszcie po trzecie, skąd brały się przekazy pieniężne, które docierały do Paragwaju aż do końca wojny. Tylko ktoś bardzo wysoko postawiony mógł dysponować tak znacznymi sumami i tylko ktoś bardzo

wysoko postawiony mógł utrzymać to w całkowitej tajemnicy. Jeśli wierzyć zapewnieniom Buscha, Erhard Schmeltz nie był zamożnym człowiekiem, a gdyby popadł w niełaskę i musiał uciekać z Niemiec, z całą pewnością nie otrzymywałby znacznych sum za pośrednictwem Reichsbanku. Szantaż także nie wchodzi w grę, ponieważ w takim wypadku dziecko musiałoby pozostać w Niemczech. - Volkmann spojrział dziewczynie prosto w oczy. - Naturalnie istnieje prawdopodobieństwo, że Schmeltz otrzymywał pieniądze w jakimś innym celu, ale nie sądzę, byśmy musieli brać je poważnie pod uwagę. Gdyby chodziło o przeschmuglowanie nielegalnie zdobytego majątku, nie korzystano by z usług Reichsbanku, tylko jakiejś mniej znanej instytucji, na przykład któregoś z niezliczonych banków szwajcarskich, powszechnie znanych ze swojej dyskrecji. Tylko Hitler dysponował wystarczająco dużymi wpływami, żeby działać poprzez Reichsbank, a jednocześnie utrzymać całą rzecz w tajemnicy. Po co to robił? Moim zdaniem po to, by zapewnić środki do życia swemu synowi i jego opiekunom. Fakt, że na terenie hacjendy znaleźliśmy zdjęcie Geli Raubal, stanowi jednoznaczny dowód na istnienie jakiegoś związku między nią a Erhardem Schmeltzem. Przypominam ci jeszcze raz, co powiedziała Hannah Richter: Geli i Hitler byli kochankami. Skoro tak, to czy nie mogli mieć dziecka?

Wciąż nie przekonana Erika pokręciła głową.

- Jeśli tak było, to czemu Hitler po prostu nie kazał jej przerwać ciąży?

- Bo może powiedziała mu o dziecku wtedy, kiedy było już za późno. Bo może chciała je urodzić, a doskonale wiedziała, jaka będzie jego reakcja. Jeśli je urodziła, a wkrótce potem popełniła samobójstwo, oznacza to, że coś nią dogłębnie wstrząsnęło - na przykład fakt odebrania jej dziecka i wysłania go na drugą półkulę. Po porodzie kobiety czasem wpadają w depresję, a ten dodatkowy bodziec mógł okazać się wystarczający, żeby skłonić ją do podjęcia desperackiej decyzji.

- Ktoś jednak musiał o tym wiedzieć, prawda? Nie uwierzę, że wszyscy trzymali języki za zębami. Przez tyle lat tajemnica musiałaby wyjść na światło dzienne.

- Nie zapominaj, że Geli Raubal studiowała medycynę, a więc mogła liczyć na

pomoc kolegów i znajomych lekarzy, którzy zachowali całkowitą dyskrecję. Poza tym, istnieje wiele sposobów, by zmusić ludzi do milczenia. Pamiętasz, co stało się z tym dziennikarzem, Gerlichem? Zaginął bez wieści w Dachau. Kto wie, czy taki sam los nie spotkał wielu innych osób, które coś wiedziały albo nawet tylko podejrzewały?

Erika zawahała się, po czym jeszcze raz pokręciła głową.

- W twojej teorii jest za wiele „kto wie” i „Jeżeli”. Naprawdę chętnie bym ci uwierzyła, bo sporo z tego co mówisz układa się w sensowną całość, ale wciąż mam mnóstwo wątpliwości.

Volkman nie spuszczał z niej wzroku.

- A dlaczego naziści przekopali i zrównali z ziemią część cmentarza, w której znajdował się grób dziewczyny? Dlaczego tak bardzo im zależało na tym, by nikt nie odnalazł jej szczątków? Istnieje tylko jedno, bardzo proste wytłumaczenie: chcieli na zawsze usunąć wszelkie dowody. Autopsja przeprowadzona nawet wiele lat po śmierci pozwoliłaby ustalić, czy Geli Raubal urodziła dziecko.

Erika skrzywiła się, jakby myśl o rozkopywaniu grobów i przeprowadzaniu autopsji przyprawiła ją o mdłości. W pokoju zapadło milczenie. Słychać było tylko ciężki, chrapliwy oddech; Joseph dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że to on dyszy jak po długim biegu. Ręce drżały mu z emocji, a na czoło wystąpiły krople potu. Sądził, że udało mu się przekonać dziewczynę, ona jednak nie zrezygnowała.

- Skoro tak, to czemu od razu nie zniszczono zwłok, żeby usunąć dowody? Chyba byłoby to znacznie prostsze od przekopywania połowy cmentarza?

- Owszem, i dlatego wcale nie jest powiedziane, że tak nie zrobiono.

- Jak to?

- Ponieważ cmentarz został przekopany, nikt nie jest w stanie stwierdzić, czy w grobie Geli Raubal znajdowały się jej zwłoki czy nie. Trzeba by dokładnie zbadać wszystkie szczątki, a identyfikacja właściwych nastęrczyłaby wiele kłopotów, o ile w ogóle byłaby możliwa. - Otarł pot z czoła, gdyż czuł, że jeszcze chwila, a grube krople zaczną ściekać mu po nosie. - Teraz przypomnij sobie wszystko, o czym ci

mówiłem i spróbuj dopasować to do zdarzeń, których świadkami jesteśmy obecnie: do śmierci Rudiego, do innych nie wyjaśnionych zabójstw... Po co zadawać sobie tyle trudu i wywozić lub niszczyć wszystko, dosłownie wszystko, co składało się na wyposażenie hacjendy w odległym zakątku Paragwaju? Co naprawdę starali się ukryć ludzie, którzy tam mieszkali? Z pewnością chodziło o coś więcej niż zwykłą operację przemytniczą, może nawet o więcej niż zatarcie śladów, które mogłyby doprowadzić do zabójców Rudiego. Tutaj w grę wchodzi nie tylko teraźniejszość, ale i przeszłość. W tamtym domu czułaś się jakoś dziwnie, pamiętasz? Zresztą nie tylko ty.

- Joe...

Dziewczyna chciała powiedzieć coś więcej, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa. Wpatrywała się więc w niego z wyrazem twarzy, z którego odczytaniem nie miał najmniejszych kłopotów: Mylisz się. Naprawdę się mylisz. Zrobiłam wszystko co w mojej mocy, żeby cię przekonać, ale bez skutku.

Joseph doskonale zdawał sobie sprawę, jak nieprawdopodobna musi wydawać się jego teoria, lecz mimo to ani na chwilę nie opuszczało go przekonanie, że ma rację, że dotarł do głęboko ukrytej prawdy.

- Wygląda na to, Eriko, że ustaliliśmy tożsamość Karla Schmeltza - powiedział drżącym z emocji głosem. - Karl Schmeltz jest synem Adolfa Hitlera.

Dziewczyna zbladła i zachwiała się, jakby miała zemdleć. Jednocześnie w jej niebieskich oczach pojawiły się niepokój i wahanie. Co najmniej przez minutę spoglądali na siebie w milczeniu, po czym Erika zapytała nie swoim, zduszonym i zaskakująco obojętnym głosem:

- Co zamierzasz zrobić, Joe?

- Opowiedzieć o wszystkim Fergusonowi i Petersowi, a potem modlić się, żeby mi uwierzyli.

- Myślisz, że tak będzie?

- Początkowo nie, ale kiedy przedstawię im dowody, na pewno uwierzą.

- A później?

- Odnaleźć Karla Schmeltza, bo to on odgrywa główną rolę we wszystkim, co działo się do tej pory i co jeszcze się wydarzy.

Ponownie spojrzał jej prosto w oczy, przez chwilę szukał tam czegoś, nie znalazł, potem zaś zaczął mówić spokojnie, choć z drzeniem, które mogło świadczyć wyłącznie o lęku. Niepokój nasilał się, w miarę jak do uszu Josepha docierały jego własne słowa.

- Chodzi o nagraną przez Rudiego rozmowę oraz o przysięgę, którą według Buscha złożono w bunkrze Hitlera. To ta sama sprawa, Eriko. Ludzie, których głosy słyszeliśmy z taśmy, mówili o Brandenburgu, o Testamencie Brandenburskim. O tym, co zdarzyło się ponad sześćdziesiąt lat temu w Niemczech, kiedy nazistów dzielił już tylko krok od przejęcia władzy. - Volkmann umilkł na chwilę, a następnie dokończył znacznie ciszej, prawie szeptem: - Obawiam się, że może nas czekać powtórka z historii...

Sztokholm 23 grudnia, godz. 6.15

Młody mężczyzna o śniadej cerze podszedł szybkim krokiem do stanowiska SASu na lotnisku Arlanda w Sztokholmie. Miał na sobie kosztowny, znakomicie skrojony płaszcz z wielbłądziej wełny oraz jasnoszary garnitur od Armaniego, doskonale harmonizujący z kolorem jego skóry. Był szczupły, proporcjonalnie zbudowany, a jego duże ciemne oczy miały zaskakująco melancholijny wyraz.

Dziewczyna stojąca za kontuarem obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Dzień dobry panu.

Mężczyzna skinął głową i bez słowa wręczył jej bilet pierwszej klasy.

Dziewczyna wprowadziła informacje do komputera: przelot ze Sztokholmu do Amsterdamu, a stamtąd do Berlina. Przymocowała właściwą przywieszkę do rączki sporej skórzanej walizki, po czym jeszcze raz uśmiechnęła się do przystojnego mężczyzny. Tym razem odpowiedział nieśmiałym uśmiechem. Żałowała, że elegancko ubrany pasażer nie widzi jej długich smukłych nóg; kto wie, może przy jakiejś okazji zaprosiłby ją na kolację? Naturalnie jeśli zamierzał jeszcze odwiedzić Szwecję. Wręczyła mu bilet z włożoną do środka kartą pokładową. W chwili gdy

wyciągnął rękę, zobaczyła coś, co sprawiło, iż jej ciałem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia: mnóstwo drobnych, lecz doskonale widocznych blizn na przegubie. Prawie na pewno ślady po samookaleczeniach. A ja chciałam pójść z nim na kolację, pomyślała z niesmakiem.

- Po odprawie paszportowej może pan iść prosto do maszyny, panie Kemal.

- Dziękuję.

Profesjonalny uśmiech, który pojawił się na jej ładnej twarzy, tym razem był cokolwiek wymuszony.

- Podróżuje pan w interesach czy dla przyjemności?

- W interesach.

- Życzę panu przyjemnego lotu, panie Kemal. Mężczyzna odwrócił się bez słowa i odszedł w kierunku stanowiska odprawy paszportowej.

Rozdział 47

Genua czwartek, 22 grudnia, godz. 23.57

Franco...

Głos docierał z głębokiej ciemności, przedzierając się przez otchłań snu.

- Co jest?... - wymamrotał półprzytomnie Franco Scali. Poczuł szturchnięcie w bok.

- Franco, ktoś dobija się do drzwi. Otworzył oczy. W sypialni było zupełnie ciemno.

- Która godzina?

- Północ - odparła żona.

Franco jęknął, zaklął pod nosem i w tej samej chwili usłyszał długi, natarczywy dzwonek do drzwi. Zamrugał raptownie, po czym spojrzał na niedokładnie zasłonięte okno; w małym trójkątnym fragmencie szyby widać było smoliście czarne niebo. Po całym dniu spędzonym na robieniu przedsięwziętych zakupów w Loggia dei Mercanti oboje byli tak zmęczeni, że tylko zapakowali

prezenty (dzieci wysłali na dwa dni do dziadków), zjedli kolację i od razu położyli się spać.

Chyba znowu zapadł w sen, gdyż Rosa potrząsnęła go za ramię.

- Franco!

- Już dobrze, dobrze. Przecież słyszę.

Odgarnął kołdrę, usiadł na łóżku, ostrożnie postawił stopy na podłodze. W pokoju było nieprzyjemnie zimno; nie to, co w rozkosznie wygrzanej pościeli. Włączył lampkę stojącą na nocnym stoliku i pomieszczenie zalał ostry, rażący oczy blask.

Trzeba wreszcie wymienić ten abażur, pomyślał. Rosa odwróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na głowę, jednocześnie odsłaniając łydki, kolana i pulchne uda. Dzwonek rozległ się ponownie.

- Kto to może być, do jasnej cholery? - warknął Franco. - O tej porze? Czy ludzie nie mają zegarków?

- Myślę, że to Aldo Celli. Kiedy usłyszałam dzwonek, wyjrzałam przez okno. Zdaje się, że przy chodniku stoi jego samochód.

- Więc czemu mu nie otworzyłaś, do wszystkich diabłów?! - jęknął Franco.

- Bo to równie dobrze może być ktoś inny. Jest ciemno i nie widać wyraźnie.

Franco westchnął z rezygnacją. Leniwa suka, pomyślał, po czym z wysiłkiem dźwignął się na nogi.

Aldo, Aldo Orzeł. Operator dźwigu. Czego on chce o tej godzinie? Franco wciągnął szlafrok i powłócząc nogami zszedł na dół. Otworzywszy drzwi ujrzał Aldo stojącego na ganku w zapiętej pod szyję kurtce i z postawionym kołnierzem. Franco zadrżał z zimna, kiedy silny podmuch lodowatego wiatru wtargnął do wnętrza, szarpiąc połami szlafroka.

- Czego chcesz, Aldo? Nie wiesz, która godzina?

- Mogę wejść, Franco?

Franco zawahał się, po czym bez słowa skinął głową i zaprowadził potężnie zbudowanego mężczyznę do pokoju stołowego. Włączył górne światło, wskazał

gościowi krzesło, po czym zapytał niezbyt życzliwym tonem:

- O co chodzi, do kurwy nędzy?

Na dużej, mięsistej twarzy Aldo malował się niepokój.

- Gdzieś o ósmej wieczorem ciężarówki przywiozły kontenery na ten statek, co ma płynąć do Pireusu. Na zmianie był akurat Il Peste. Zestawiłem wszystkie, a wtedy on podszedł do jednego, takiego niebieskiego, sprawdził numer, kazał nam otworzyć pudło, wlaź do środka i zaczął węszyć. Powiadam ci, pukał tym swoim kastetem!

- I co z tego?

Aldo zamrugnął, jakby zdziwiony taką reakcją, po czym mówił dalej:

- Zapytałem go o co chodzi, a on mi na to, że to jeden z kontenerów, które dwa tygodnie temu przyplęły z Ameryki Południowej, i że właśnie ten wpadł mu w oko, więc postanowił go jeszcze raz sprawdzić.

Bez żadnego ostrzeżenia żołądek podszedł Franco do gardła.

- On coś tam znalazł! - oznajmił Aldo podekscytowanym szeptem.

Jakimś cudem Franco zdołał zapanować nad nudnościami.

- Co ty powiesz? - zapytał z udawaną obojętnością.

- Tak jest! W bocznej ścianie był jakby schowek, elegancka robota, nie ma co. Niczego nie widać, ale Il Peste w końcu go znalazł, bo opukiwał całe pudło centymetr po centymetrze.

Franco usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, lecz przychodziło mu to z coraz większym trudem.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Bo zaraz potem przyjechała policja. Byli cholernie podnieceni. Wzięli od wszystkich odciski palców i zapowiedzieli, że mamy zostać w robocie, dopóki nie pozwolą nam wrócić do domów, bo muszą nas przesłuchać. Wszystko przez ten trefny kontener.

Franco chciał otrzeć pot z czoła, który mimo niskiej temperatury zaczął już mu ściekać wąskimi strużkami, ale uniósłszy rękę przekonał się, że drży jak w febrze,

więc prędko położył ją z powrotem na kolanie.

- I co dalej?... - wychrypiał.

- Il Peste chciał wiedzieć, kiedy zjawisz się w pracy, więc powiedziałem mu, że dopiero po świętach, bo wzięłaś parę dni zaległego urlopu. Słyszałem, jak podawał twoje nazwisko glinom, a właściwie jednemu z nich. Nazywa się Orsati. Powiedział, że rano złożą ci wizytę.

Niewiele brakowało, żeby Franco zwymiotował wprost na buty Aldo.

Dźwigowy wstał z krzesła.

- Pomyślałem sobie, że wpadnę do ciebie i uprzedzę, co jest grane. Czuję w kościach, że będziemy mieli cholerne kłopoty, Franco. Powiadam ci, gliniarze i celnicy rozpełzli się po całym porcie jak mrówki po cieście.

Franco skinął głową i uśmiechnął się blado.

- Dobrze zrobiłeś, Aldo. Jeśli rzeczywiście mają być jakieś kłopoty, to muszę się odpowiednio przygotować.

- Tak właśnie pomyślałem - powtórzył wielki mężczyzna, po czym spojrzał na zegarek. - Chyba powinienem już wracać, zanim ktoś zauważy, że mnie nie ma.

Franco także podniósł się z krzesła, ale niewiele brakowało, by upadł na dywan, ponieważ nogi ugięły się pod nim, jakby były z waty.

- Jezus, Maria... - mruknął, chwytając się stołu.

- Aha, jeszcze jedno... - wymamrotał Aldo, zatrzymując się w drzwiach pokoju.

- O co chodzi? - zaskrzeczał Franco. Nic gorszego nie mogło go już spotkać. Chociaż, nigdy nie wiadomo.

- Postanowili sprawdzić szafki z rzeczami. Zaczęli jakąś godzinę temu. Jeden z naszych zaczął się ciskać, że nie wolno im tego robić, ale kazali mu się zamknąć. - Aldo przełknął ślinę. - Pewnie szukają jakichś świństw, wiesz... Prochów i takich innych. Do twojej szafki też się dobiorą.

- Znaleźli już coś?

- Nic wielkiego. Jak wychodziłem, zostało im już tylko pięć, w tym twoja.

Franco skinął głową. Pot ściekał mu już nie tylko po czole, ale także po grzbiecie, wsiąkając w pizamę. Nogi wciąż drżały mu jak w ataku febry. Aldo ruszył w kierunku drzwi wyjściowych, ale zanim tam dotarł, Franco zdołał jakoś dowlec się do przedpokoju i powiedzieć słabym głosem:

- Aldo... Mam do ciebie prośbę.

- O co chodzi?

- Gliny... Gdzie oni są? Na nabrzeżu?

- Wszędzie. Zaglądają we wszystkie dziury. Nawet ściągnęli swoich czworonożnych kumpli. Powiadam ci, koniec świata. Il Peste musiał zrobić im niezły prezent na święta.

Franco spróbował przełknąć ślinę, ale bez skutku; gardło miał wyschnięte jak wiór.

- Czy... - Musiał odchrząknąć, ponieważ jego głos przypominał krakanie zdychającej wrony. - Czy udałoby ci się dostać do mojej szafki tak, żeby nikt cię nie widział?

Aldo zawahał się. W półmroku Franco nie widział zbyt dokładnie jego twarzy, ale i tak doskonale wiedział, co się dzieje w umyśle mężczyzny. Aldo Orzeł zdawał sobie sprawę, że kłopoty jednego z nich oznaczają kłopoty dla wszystkich.

- Wiesz, nie chciałbym zadzierać z policją...

- Nie bój się, to naprawdę nic wielkiego. Sprawa osobista, i tyle.

Postawny mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Dobra. Co mam zrobić?

- Na górnej półce mojej szafki znajdziesz pudełko po herbatnikach. Pozbądź się go.

- Co tam jest?

- Takie tam, różne śmieci.

- Franco, w budynku roi się od policjantów i celników!

- Aldo, proszę... Zrób tylko to, co ci mówię.

- Nie chcę mieć kłopotów, amico.

- Nie będziesz miał żadnych kłopotów, daję słowo. Po prostu weź to pudełko i wrzuć je do wody, byle tak, żeby cię nikt nie widział. - Franco podszedł do potężnie zbudowanego dźwigowego i położył mu drżącą rękę na ramieniu. - Odwdzięczę ci się, słowo honoru.

Aldo milczał, zastanawiając się głęboko, aż wreszcie podjął decyzję.

- W porządku, niech ci będzie. Ale musisz mi dać klucz od szafki.

- Zapasowy klucz jest w dolnej szufladzie biurka. Gdyby ktoś akurat był w biurze, powiedz że musisz sprawdzić coś w dokumentach. Nie powinni robić ci żadnych trudności.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Aldo skinął głową.

- Dobra, zrobię to.

Franco od razu poczuł się lepiej.

- Wielkie dzięki, przyjacielu - powiedział, cofając rękę. - Naprawdę nigdy ci tego nie zapomnę.

Franco wpadł pędem do sypialni, zrzucił szlafrok, ściągnął przepoconą piżamę i zaczął ubierać się w pośpiechu. Czuł się fatalnie, jakby lada chwila miał umrzeć.

Albo jakby już był trupem.

Rosa usiadła na łóżku.

- Co się dzieje? - zapytała z niepokojem.

- Nic. Kładź się spać.

- Kto to był?

- Nikt. Coś ci się przyśniło.

- Przyśniło? Przecież słyszałam dzwonek do drzwi, a potem głosy!

- Niczego nie słyszałaś. Muszę wyjść na spacer, zaczerpnąć świeżego powietrza. Wracam za dziesięć minut. Wybiłaś mnie ze snu i teraz nie mógłbym zasnąć.

Nie zważając na protesty żony Franco ubrał się, zbiegł po schodach, zamknął za sobą frontowe drzwi, wskoczył do samochodu i uruchomił silnik. Wszystko to zajęło mu w sumie niespełna trzy minuty. Na odchodnym przykazał Rosie, żeby nie odbierała telefonów i nie otwierała nikomu drzwi.

Pojechał na Piazza delia Vittoria, znalazł czynny automat telefoniczny, wsunął do szczeliny plastikową kartę, którą woził zawsze w schowku, po czym wystukał numer zapisany na skrawku papieru przechowywanym w portfelu.

Mimo późnej pory na placu panował spory ruch; podochoceni goście opuszczali liczne bary i restauracje, a że zbliżały się święta, wszyscy znajdowali się w jeszcze weselszych nastrojach niż zwykle. Głośne śpiewy i radosne nawoływania tylko pogłębiały depresję Franco. W pewnej chwili zabrzmiał donośny klakson; stado przerażonych gołębi zerwało się z łopotem skrzydeł do lotu, Franco zaś aż podskoczył w przeszklonej budce. Nerwy mam zupełnie do niczego, pomyślał, ocierając spocone czoło.

Dopiero po ósmym albo dziewiątym sygnale usłyszał ciche pyknięcie, po czym w słuchawce rozległ się spokojny męski głos:

- Ja?

Franco nie znał niemieckiego. Ogarnięty paniką, przez chwilę nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

- Ja? - powtórzył głos.

- Czy... Czy pan mówi po włosku? - zapytał wreszcie drżącym głosem.

Krótkie milczenie, a potem:

- Si.

Z piersi Włocha wyrwało się donośne westchnienie.

- Bogu dzięki. Wobec tego słuchaj, amico. Mamy poważny problem...

Strasburg 23 grudnia

Ponieważ udało im się dostać bilety na samolot odlatujący z Berlina o siódmej rano, zaledwie kilka minut po ósmej byli już we Frankfurcie. Wsiedli do samochodu, który Volkmann zostawił na parkingu przy lotnisku, i niezwłocznie ruszyli do

Strasburga, by o wpół do dwunastej dotrzeć do kwatery głównej DSE.

Z lotniska Joseph zadzwonił do sekretarki Petersa. Powiedział jej, że będą w biurze przed południem i że muszą koniecznie zobaczyć się z Petersem i Fergusonem w niezwykle ważnej sprawie. Dziewczyna obiecała, iż przekaze wiadomość szefowi, jak tylko ten zjawi się w pracy.

Volkmann zaparkował forda w podziemnym garażu, zaprowadził Erikę do swego biura, sam zaś bezzwłocznie udał się na poszukiwania Petersa. Znalazł go w jego biurze, rozmawiającego z sekretarką Fergusonsona. Na jego widok Peters poderwał się z fotela i wyszedł mu naprzeciw.

- Cieszę się, że jesteś, Joe. Właśnie otrzymaliśmy...

- Musimy porozmawiać, Tom - przerwał mu Joseph. - I to natychmiast. Dostałeś wiadomość ode mnie?

- Tak, naturalnie. Czy wszystko w porządku? - zapytał Peters, zaniepokojony wyrazem twarzy kolegi.

- To zależy, co masz na myśli. Gdzie Ferguson?

- Na świątecznym lunchu z szefami wszystkich sekcji.

- Cholera!

- Marion, czy mogłabyś zostawić nas samych? - zwrócił się Peters do sekretarki, a kiedy ta wyszła, zamykając za sobą drzwi, spojrzał pytająco na Volkmana. - Co się stało, Joe?

- Wolałbym zaczekać na Fergusonsona. Chcę, żebyście obaj to usłyszeli.

- Obawiam się, że to może potrwać - odparł Tom Peters. - Tak jak próbowałem ci powiedzieć, niedawno otrzymaliśmy bardzo interesujący meldunek. Gdyby nie ten lunch, Ferguson z pewnością zająłby się tym osobiście.

- O co chodzi?

- Powinieneś być zachwycony, chłopcze. Policja z Genui zawiadomiła nas, że przypuszczalnie trafili na coś, co może nas zainteresować. Chcą, żebyśmy rzucili okiem na kontener, który dziewiątego grudnia przyplynał na pokładzie statku o nazwie „Maria Escobar”.

- Skąd?

Dopiero teraz Peters nie wytrzymał i uśmiechnął się triumfalnie.

- Z Montevideo. Powiedziałem im, że przylecisz najbliższym samolotem.

- Ile mam czasu?

- Za dwie godziny z Frankfurtu startuje maszyna Al Italii. Powrót jeszcze dziś o dziewiątej wieczorem. Na lotnisku odbierzesz bilet w obie strony. Myślę, że zdążysz ze wszystkim, chyba że wyniknie coś nieoczekiwanego. Załatwiłem ci też przelot małym samolotem ze Strasburga do Frankfurtu nad Menem. Pilot już czeka na lotnisku.

- A co z naszym spotkaniem?

- Zobaczymy się wieczorem w biurze Fergusona. Zadzwoń do mnie, jak tylko wrócisz.

- Mam do ciebie prośbę, Tom. Przez cały czas, kiedy mnie nie będzie, nie odstępuj dziewczyny nawet na krok.

Peters zmarszczył brwi.

- Są jakieś szczególne powody, o których powinienem wiedzieć?

- Po prostu będzie jej różniej.

Przed wyjazdem na lotnisko Yołkmann uprzedził Erikę, żeby ani słowem nie wspomniała Petersowi albo Fergusonowi o jego odkryciu. Uczyni to sam, po powrocie.

Chwilę później do gabinetu wszedł Peters i Joseph dokonał prezentacji.

- Pozwolisz, że zaproszę młodą damę na lunch? - zapytał Tom Peters rozmarzonym tonem. - Potem odwiozę ją do twojego mieszkania. Dziś i tak prawie wszyscy urywają się wcześniej z pracy, więc tylko zostawię Fergusonowi kartkę na biurku, żeby się nie zdziwił, kiedy wszyscy zwalimy się do niego wieczorem.

Zaraz potem Volkman pożegnał się i wyszedł. Jadąc na lotnisko starał się myśleć o różnych obojętnych rzeczach, lecz mimo to nie był w stanie uwolnić się od dręczącego go niepokoju.

Rozdział 48

Strasburg 23 grudnia, godz. 15.02

W chwili, gdy Peters dojeżdżał do budynku przy Quai Ernest, z ciężkich, ołowianych chmur zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu.

Zaparkował samochód na podwórzu, po czym wraz z dziewczyną wszedł na górę. Podczas lunchu, który zjedli w Petite France, Erika prawie się nie odzywała. Peters odniósł wrażenie, że coś ją trapi, ale nie narzucał się z rozmową ani nie dopytywał o przyczyny nie najlepszego nastroju.

Wszedłszy do mieszkania natychmiast dostrzegł zmiany, jakie zaszły od czasu jego poprzedniej wizyty. Wszędzie widać było ślady kobiecej ręki: na półkach, parapetach oraz na biurku panował nienaganny porządek, tu i ówdzie pojawiły się różne zupełnie nieprzydatne, za to sympatyczne drobiazgi, nadające wnętrzu bardziej przytulny charakter. Przez głowę Petersa przemknęło podejrzenie, że dziewczynę i Volkmana łączy coś więcej niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

Erika poszła do kuchni zaparzyć kawę, on zaś, w drodze do łazienki, zajrzał do sypialni Volkmana. Łóżko było starannie zasłane, ale w powietrzu czuć było delikatny zapach perfum. Na nocnym stoliku leżała kosmetyczka, w otwartej szafie zaś wisało kilka sukienek.

Kiedy Peters wrócił do pokoju, Erika właśnie przyniosła kawę.

- Zapomniałam zapytać, jaką pan pije. Ze śmietanką i cukrem?

Skinął głową.

- Dwie łyżeczki, jeśli można prosić.

Poszła po cukier, on zaś zapalił papierosa i stanął przy oknie, za którym sypał coraz gęstszy śnieg. Peters zaciągnął się głęboko dymem. W gruncie rzeczy wzajemne układy Josepha i dziewczyny nie powinny go nic obchodzić. Zbyt długo już pracował w tym fachu, żeby nie wiedzieć, iż ludzkiej natury nie da się oszukać, nawet w najbardziej stresowych i niebezpiecznych sytuacjach, a raczej szczególnie w

nich. Naturalnie Ferguson nie będzie zachwycony, bo według niego było to wysoce nieprofesjonalne postępowanie, ale nawet ci na samej górze muszą się liczyć z realiami życia - zwłaszcza wtedy, gdy kobieta jest tak młoda, ładna i inteligentna.

Mimo wszystko, żeby Volkmann... Peters pokręcił głową. Wydawało mu się, że zna dość dobrze Josepha i mógłby przysiąc, że to zupełnie nie w jego stylu. Volkmann zawsze zachowywał dystans wobec prowadzonych spraw i unikał jak ognia osobistego angażowania się w problemy innych ludzi. A tutaj, ta dziewczyna... W dodatku Niemka. I z taką przeszłością, pomyślał Peters, przypomniawszy sobie pewien szczegół z jej życiorysu.

Odwrócił się od okna, usiadł na kanapie i sięgnął po pilota, by włączyć telewizor. Na stoliku stały już dwie filiżanki wypełnione aromatyczną, gorącą kawą oraz dzbanuszek ze śmietaną, teraz zaś Erika postawiła jeszcze cukiernicę. Peters zauważył spojrzenie, które posłała w kierunku kabury pod jego pachą; bez słowa wstał, odpiął kaburę z pistoletem, położył ją na przewieszonym przez oparcie kanapy płaszczu, po czym usiadł i sięgnął po cukiernicę.

Mercedes trzy razy przejechał powoli ulicą, by dopiero za czwartym zatrzymać się w pobliżu budynku. Kierowca nie wyłączył jednak silnika, a wycieraczki pracowały bez przerwy, zgarniając z szyby sypiący gęsto śnieg.

Człowiek siedzący na fotelu pasażera sprawdził adres, po czym skinął kierowcy głową, postawił kołnierz płaszcza i wysiadł z samochodu.

Kierowca czekał niecierpliwie, bębniąc palcami w osłonę nad zegarami. Uważnie obserwował ulicę, odprowadzając wzrokiem sunące powoli samochody, ale był zupełnie spokojny, ponieważ wiedział, że przy takiej pogodzie mało kto zwraca uwagę na to, co dzieje się dokoła, a już z pewnością nikt nie zawraca sobie głowy zapamiętywaniem wyglądu lub numerów rejestracyjnych pojazdów.

Po trzech minutach pasażer wrócił na swoje miejsce. Włosy i ramiona pokrywała mu warstewka szybko topniejącego śniegu. Kierowca zwiększył ogrzewanie, tamten zaś otarł mokrą twarz wielką ręką o krótkich, grubych palcach i powiedział po niemiecku:

- Tak, to na pewno tutaj. Przy domofonie jest nazwisko Volkmana. Okna wychodzą na drugą stronę. Widziałem dwoje ludzi: mężczyznę i kobietę.

Mężczyzna siedzący za kierownicą zerknął na zegarek.

- W porządku. Objedziemy jeszcze raz okolicę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, a potem wrócimy i bierzemy się do roboty.

Mercedes bezszelestnie włączył się do ruchu, pasażer zaś sięgnął pod fotel i wyjął stamtąd dwa pistolety z zamontowanymi tłumikami.

Genua godz. 15.15

Franco Scali stał przy wejściu do magazynu, obserwując mężczyzn wysiadających z nie oznakowanego policyjnego samochodu, który zatrzymał się parę metrów od bramy. Pod rozpiętymi płaszczami widać było wyraźnie kabury z pistoletami.

Kiedy dwaj cywile zamienili między sobą kilka słów po angielsku, Franco poczuł krótkotrwały przyływ zadowolenia, które jednak szybko ustąpiło miejsca jeszcze większemu niepokojowi. Dobrze zrobił, dzwoniąc pod ten numer telefonu. Zanosilo się na poważne kłopoty. Czuł to przez skórę.

Był rozbity nie tylko psychicznie, ale miał też wrażenie, jakby przepuszczono go przez gigantyczną maszynkę do mięsa. Bolała go każda kość i każdy mięsień. Gdyby ktoś powiedział mu wcześniej, że organizm może w ten sposób reagować na stres i zagrożenie, na pewno by nie uwierzył.

O ósmej rano w jego domu zjawili się dwaj umundurowani policjanci i powiedzieli, że ma natychmiast jechać do portu, pokazać im dokumenty odpraw celnych i odpowiedzieć na kilka pytań. Franco starał się udawać, że nic go to nie obchodzi. Jasne, bardzo proszę. Nie ma sprawy. Zdawał sobie jednak sprawę, iż doświadczony glina potrafi przejrzeć cię na wylot; wystarczy, że rzuci na ciebie okiem i już wie, czy masz coś na sumieniu. Ci dwaj wyglądali właśnie na takich.

Zaczęli od zdjęcia jego odcisków palców, po czym jeden z młodszych policjantów zawiózł je na komendę. Tym akurat Franco nie musiał się przejmować, ponieważ pracując przy kontenerze ani na chwilę nie ściągnął rękawiczek. Potem

zadawali mu pytania dotyczące feralnego kontenera. Któryś zagadnął go mimochodem, czy może ma coś do powiedzenia na ten temat, ale Franco wzruszył ramionami. Oczywiście, że nie. Co można powiedzieć o jakimś cholernym kontenerze, takim samym jak tysiące innych?

Nie mieli na niego żadnego haka. Nawet w szafce nie znaleźli nic, co mogłoby go obciążyć. Aldo dotrzymał słowa. Dobry stary Aldo. Trzeba będzie jakoś mu się odwdziaczyć.

Poza tym, człowiek, z którym rozmawiał przez telefon, obiecał, że mu pomoże. Franco nie miał pojęcia w jaki sposób, ale modlił się w duchu, żeby pomoc nadeszła jak najprędzej. Na razie nie pozostawało mu nic innego, jak tylko grać na zwłokę. Kiedy gliny skończyły przesłuchanie, zapytał, czy może wracać do domu.

- Jeszcze nie - odparł najstarszy stopniem. - Ktoś chce ci zadać parę pytań.

- Znowu? Przecież powiedziałem wszystko co wiem! A kto to taki?

- Zobaczysz - odparł lakonicznie policjant. - Już niedługo. Franco spróbował zjeść trochę pizzy, którą przyniósł jeden z dokerów, zrezygnował, wyszedł przed budynek na papierosa, wrócił i zmusił się, żeby przełknąć choć parę kęsów. Wcale nie czuł głodu, ale starał się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Po siedmiu godzinach oczekiwania każdy powinien nabrać apetytu. Czas włókł się rozpaczliwie wolno, na zewnątrz robiło się coraz ciemniej, on zaś czuł, że znowu zbiera mu się na wymioty. Karabinierzy, którym skarżył się na długotrwałe oczekiwanie, traktowali go jak powietrze.

A potem, nie wiadomo skąd, zjawił się ten samochód i wysiadło z niego kilku ludzi. Franco momentalnie spocił się jak szczur.

Jeden z mężczyzn podszedł do niego, przedstawił się jako detektyw Orsati, po czym wskazał towarzyszącego mu młodego człowieka.

- Signore Volkmann... Franco Scali.

Franco mocno uściśnął dłoń mężczyzny, aby tamten nie poczuł, jak bardzo drży mu ręka. Obaj policjanci - ten Niemiec, czy kto tam, też chyba jest policjantem? - mierzyli go przenikliwym spojrzeniem.

- Bardzo mi miło - wymamrotał. Detektyw lekko skinął głową.

- Myślę, że zaczniemy od kontenera - oświadczył. Franco z najwyższym trudem zdołał się uśmiechnąć.

- Jak pan sobie życzy.

Na uginających się nogach ruszył za policjantem. godz. 15.35

Prowadzony przez Becka fiat wjechał na teren portu i zatrzymał się w odległości około stu metrów od magazynu stojącego na nabrzeżu wyładunkowym. Panowało takie zamieszanie - policyjne samochody, z oznakowaniem i bez, przywoziły ludzi, zabierały innych i odjeżdżały w kierunku miasta - że nikt nie próbował ich zatrzymać.

Kiedy Beck wyłączył silnik, siedzący obok Klein zerknął najpierw na zegarek, potem zaś przeniósł spojrzenie na pojazdy zaparkowane przed magazynem. W pobliżu budynku, wokół granatowoszarego kontenera, zgromadziła się grupka ludzi.

Klein sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu lornetkę Zeissa i skierował ją w tamtą stronę.

Volkmann stał na czarnym wilgotnym asfalcie, lśniącym w blasku potężnych reflektorów zainstalowanych na wysokich metalowych słupach, których wiele stało na terenie portu. Obszar w promieniu dwudziestu metrów od kontenera został odgradzony żółtą plastikową taśmą.

Otyły celnik, który, według słów Orsatiego, znalazł skrytkę, przez dłuższą chwilę dyskutował o czymś z detektywem, a następnie poprowadził do granatowego kontenera z trzema szerokimi szarymi pasami biegnącymi wzdłuż wszystkich czterech ścian.

Volkmann od razu zauważył otwór ziejący w dłuższym boku oraz leżącą na asfalcie pokrywę. Tłusty celnik promieniał zadowoleniem.

- Jak na to wpadł? - zapytał Volkmann detektywa.

- Opukiwał wnętrze kastetem. Ten kontener wpadł mu w oko już poprzednim razem, zaraz po wyładunku. Niestety, nie miał czasu się nim dokładniej zająć, ale

zapisał sobie numer i teraz, kiedy kontener wrócił pusty, zbadał go centymetr po centymetrze.

Orsati ukląkł przy ścianie z karbowanej blachy, zajrzał do skrytki, po czym spojrzał w górę na Volkmana.

- Chce pan rzucić okiem?

Joseph skinął głową. Włoch wręczył mu ołówkową latarkę. Oświetliwszy niewielki schowek, ujrzał metalowe uchwyty przyspawane do drugiej, wewnętrznej ścianki. Czuć było wyraźną woń rdzy i świeżej farby. Volkman wstał i skierował wzrok na Franco, który zrewanżował mu się niepewnym spojrzeniem.

- Czy on mówi po angielsku? - zapytał Joseph detektywa. Orsati zagadnął Scalego, tamten zaś pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Twierdzi, że nie - odparł policjant.

- Myśli pan, że ma z tym coś wspólnego?

- Trudno powiedzieć, ale prawie na pewno coś wie. Ten, kto wykonał skrytkę i coś w niej przemycał, potrzebował pomocy kogoś pracującego na terenie portu.

- Znaleźliście jego odciski palców?

- Nie. Mamy jednak dla niego pewną niespodziankę. Orsati wyjaśnił Volkmannowi co ma na myśli, a ten skinął głową i ponownie spojrzał na urzędnika. Tak, nie ulegało wątpliwości, że Franco Scali bardzo się boi i bezskutecznie stara się to ukryć.

- W magazynie jest małe biuro, gdzie można go przesłuchać - powiedział detektyw. - Jeśli pan pozwoli, wezmę się do tego jako pierwszy. Kiedy skończę, nasz ptaszek będzie śpiewał jak z nut.

- Mam zaczekać na zewnątrz?

- Byłoby dobrze. Na pewno zawołam pana, jak tylko zacznie się przedstawienie.

Klein czekał, aż grupka mężczyzn ruszy z powrotem w kierunku budynku, wyszukał Scalego, po czym lekkim skinieniem głowy dał znak Beckowi, który sięgnął po dwie płaskie teczki leżące na tylnej kanapie samochodu.

Zmontowanie dwóch pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP 5K oraz załadowanie magazynków zajęło im niespełna minutę. Kiedy spojrzeli w kierunku nabrzeża, zobaczyli jak niewielka gromadka zbliża się właśnie do magazynu.

Klein odbezpieczył broń i wprowadził pierwszy pocisk do komory; sekundę później jego kompan uczynił to samo.

Strasburg godz. 15.55

Ferguson siedział za biurkiem w swoim gabinecie, spoglądając w okno, za którym wirowały płatki śniegu. Zaraz po powrocie z uroczystego lunchu z szefami pozostałych sekcji zobaczył wiadomość od Petersa w sprawie spotkania, które miało odbyć się wieczorem w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Chwilowo Peters i dziewczyna byli w mieszkaniu Volkmana. Ferguson zastanawiał się, o co może chodzić, by w końcu dojść do wniosku, że spotkanie ma zapewne dotyczyć nowych szczegółów, które ustalił Volkman w trakcie śledztwa. Zamierzał zadzwonić do jego mieszkania i porozmawiać o tym z Petersem, ale w chwili, gdy sięgał po słuchawkę, rozległ się brzęczyk aparatu.

Telefował Jan de Vries. Z Asunción właśnie nadeszła ściśle tajna depesza, adresowana bezpośrednio do szefa Sekcji Brytyjskiej.

Trzy minuty później de Vries zjawił się w gabinecie. Ferguson zaczekał, aż mężczyzna wyjdzie z pokoju i dopiero wtedy otworzył zapieczętowaną kopertę.

Depesza była krótka, lecz jej treść wywarła na Fergusonie wstrząsające wrażenie. Odłożył kartkę na biurko, wstał i z pobladłą twarzą podszedł do okna. Stał tam nieruchomo pełną minutę, wpatrując się nie widzącym spojrzeniem w sypiący coraz gęściej śnieg, po czym drgnął raptownie, jakby obudzony z głębokiego snu, wrócił za biurko i ponownie przebiegł wzrokiem kilka zdań. Następnie zawahał się przez chwilę, podjął decyzję, chwycił słuchawkę i szybko wystukał numer. Czekał długo, niecierpliwie bębniąc palcami w blat, ale nikt się nie zgłaszał, nacisnął więc widełki prawą ręką i ze zmarszczonymi brwiami wystukał z pamięci inny numer.

Gdyby został przy oknie trochę dłużej, z pewnością zauważyłby, jak przed budynek zajeżdża czarny mercedes i wysiadają z niego dwaj mężczyźni w

obszernych czarnych płaszczach. Jeden z nich niósł w prawej ręce sporą teczkę.

Dziesięć sekund później weszli do hallu, pokazali strażnikowi legitymacje, po czym ruszyli w kierunku windy.

Kilometr dalej, przy Quai Ernest, dwaj inni mężczyźni wysiedli z samochodu, szybkim krokiem przeszli przez pokryte cienką warstwą śniegu podwórze, weszli do budynku i wspięli się po schodach na piętro. Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania Volkmana, kierowca skinął głową; obaj rozchylili płaszcze, pod którymi mieli gotowe do strzału pistolety maszynowe.

Kierowca przysunął się do niewielkiego okna na klatce schodowej i obserwował podwórze, podczas gdy drugi mężczyzna wydobył z kieszeni płaszcza pęk kluczy, wybrał jeden z nich i delikatnie wsunął go do zamka.

Rozdział 49

Genua godz. 15.55

W niewielkim kantorku, nie wiadomo czemu nazywanym biurem, było duszno, jakby nikt nigdy nie otwierał szerokiego okna zajmującego niemal całą ścianę pomieszczenia.

Jak tylko Franco wszedł do pokoju, poczuł ogarniającą go panikę. Jego obawy jeszcze bardziej się nasiliły, kiedy zerknął na Orsatiego i napotkał świdrujące spojrzenie detektywa.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Wiedział, co go czeka, ale wiedział też, że musi dalej grać swoją rolę. Byłoby dobrze, gdyby odegrał ją przekonująco, bo w przeciwnym razie może być z nim marnie.

Umeblowanie pokoju składało się z biurka i dwóch krzeseł. Orsati wskazał mu jedno, sam zaś usiadł na drugim. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdował się jeszcze jeden, znacznie młodszy policjant oraz Il Peste. Tamci dwaj stali, natomiast Orsati wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i długopis, jakby szykował się do spisywania zeznań. Franco przypuszczał, że Il Peste asystował przy

przesłuchaniu w nadziei, że dostanie jakiś cholerny medal albo premię na koniec roku.

Pieprzę cię, pomyślał z nienawiścią. Do niczego się nie przyznam.

Orsati rozchylił płaszcz i złożył ręce za oparciem krzesła, dzięki czemu Franco bez trudu dostrzegł wypukłość kabury rysującą się wyraźnie pod marynarką.

- Zadam ci kilka pytań, Franco - powiedział policjant, uśmiechając się uprzejmie. - Naprawdę chcę ci pomóc, więc byłoby dobrze, żebyś się zastanowił nad każdą odpowiedzią. Łatwo jest kłamać, amico, lecz kłamstwa zazwyczaj wciągają nas w kłopoty, a ty chyba nie chcesz mieć kłopotów, prawda?

Uśmiech stał się jeszcze szerszy, jeszcze bardziej przyjazny, lecz Franco milczał jak zakłętý. Detektyw zaczekał kilka sekund, po czym przestał się uśmiechać i zapytał rzeczowym tonem:

- Co wiesz o kontenerze, w którym znaleziono skrytkę?

- Już panu mówiłem. Tutaj codziennie przeładowuje się setki tych pudeł. Nic nie wiem o tym kontenerze ani o żadnej skrytce.

- To przez twoje ręce przeszły listy przewozowe ładunku, który przywiozła „Maria Escobar”?

- Tak.

- Ale nadal twierdzisz, że nie miałeś pojęcia o kontenerze ze schowkiem w podwójnej ścianie?

- Oczywiście.

- A może jednak zastanowisz się i zmienisz zdanie? Ton, jakim policjant zadał to pytanie, zaniepokoił Franco.

- Niby dlaczego? - zapytał ostrożnie. - Przecież... Orsati podniósł rękę, nakazując mu milczenie, po czym spojrzał na młodszego kolegę i skinął głową.

Policjant bez słowa ruszył do drzwi. Teraz Franco był już pewien, że coś jest nie w porządku. Młody detektyw otworzył drzwi, po czym dał znak komuś czekającemu na zewnątrz.

Do pokoju wszedł z pochyloną głową Aldo Celli. Franco poczuł się tak, że

gdyby nie siedział na krześle, z pewnością runąłby na podłogę. Boże, to już koniec, przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa myśl.

Aldo przestąpił niepewnie z nogi na nogę, podrapał się po skroni, po czym wreszcie zebrał się na odwagę i zerknął spode łba na Franco.

- Wybacz mi, amico. Wzięli mnie ostro w obroty, więc w końcu wyśpiewałem im wszystko o tej szafce...

Franco otworzył usta i poruszył nimi, lecz z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Orsati machnął ręką na znak, że potężnie zbudowany dźwigowy może odejść, a kiedy za Aldo zamknęły się drzwi, spojrzał Franco prosto w oczy i powiedział:

- Jeśli sobie życzysz, mogę zawołać go z powrotem, żeby opowiedział nam ze szczegółami o przysłudze, jaką ci wyświadczył. - Przygładził czarne wąsy, po czym mówił dalej: - Myślę, że należą ci się wyjaśnienia. Otóż ktoś zauważył, jak twój przyjaciel wrzuca do wody niewielki przedmiot. Wezwaliśmy nurków z jednostki specjalnej; powinni tu być lada chwila. Myślę, że odszukanie pudełka nie zajmie im wiele czasu. Na szczęście woda jest w tym miejscu dość płytka, a prąd słaby. Chyba że sam nam powiesz, co w nim było? - Orsati zawiesił głos, spojrzał na zegarek, a następnie znowu skierował wzrok na twarz Franco. - W ten sposób oszczędziłbyś nam kłopotu, a przy okazji trochę pomógł sobie. Więc jak, zdecydujesz się mówić? Na twoim miejscu nie zastanawiałbym się ani chwili.

Franco popatrzył na Il Peste, dostrzegł wredny uśmieszek na tłustej twarzy celnika i poczuł, jak niedawno zjedzona pizza podchodzi mu do gardła.

Pospiesznie przeniósł wzrok za okno, na asfaltowe nabrzeże skąpane w blasku potężnych reflektorów, omiatane w regularnych odstępach czasu snopem światła pobliskiej latarni morskiej, oraz dalej, na pogrążony w półmroku port. Właśnie tam, jakieś sto metrów od budynku, na granicy między światłem i cieniem, jakiś człowiek wysiadł z zaparkowanego samochodu. Promień latarni morskiej zalśnił na metalowym przedmiocie, który ów człowiek trzymał w rękach, lecz odległość była zbyt duża, a Franco zbyt zajęty własnymi myślami, żeby rozpoznać

pistolet maszynowy.

Odetchnął głęboko kilka razy, po czym spojrzął na detektywa. Pot, który ściekał mu po czole grubymi kroplami, spływał do oczu, które piekły i z każdą chwilą coraz bardziej łzawiły.

Orsati wstał z krzesła, odwrócił je oparciem do przodu i usiadł okrakiem.

- Wydaje mi się, Franco, że chyba jednak masz nam coś do powiedzenia.

Podmuch zimnego morskiego wiatru potargał Volkmannowi włosy. Joseph sięgnął do kieszeni po papierosy, nie znalazł ich, sprawdził w pozostałych kieszeniach - z tym samym rezultatem. Widocznie zostawił je w samochodzie.

Niespiesznie ruszył w kierunku wozu, kiedy kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie, więc zatrzymał się i spojrzął w tamtą stronę. W odległości około stu metrów, na granicy światła i cienia, ubrany po cywilnemu mężczyzna poderwał się do biegu. Volkmann z pewnością nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie to, że ciemna sylwetka znalazła się na ułamek sekundy w zasięgu promienia latarni morskiej, a w dodatku silne światło odbiło się w jakimś metalowym przedmiocie, trzymanym oburącz przez mężczyznę.

Volkmann zamarł w bezruchu, posłuszny wewnętrznemu głosowi, który szepnął mu do ucha, że coś jest nie w porządku. Może to jeden z karabinierów? Nie, niemożliwe. Wszyscy byli umundurowani, a poza tym dlaczego policjant miałby ni z tego, ni z owego pędzić na złamanie karku z... Tak, teraz nie było już wątpliwości. Metalowy przedmiot okazał się pistoletem maszynowym.

Tknięty niedobrym przeczuciem, Joseph spojrzął w kierunku magazynu. Niewielkie pomieszczenie, w którym dwaj detektywi przesłuchiwali urzędnika, było rzęsiście oświetlone. Przez wielką szybę widać było wyraźnie sylwetki przebywających wewnątrz ludzi. Wyglądali jak aktorzy występujący w niemym filmie; poruszali ustami, ale ich głosy nie docierały do uszu obserwatora. Stanowili doskonały cel, niemal jak na strzelnicy.

Volkmann ponownie skierował wzrok na nadbiegającego mężczyznę. Od magazynu dzieliło go już najwyżej czterdzieści metrów. Teraz każdy mógł bez trudu

odróżnić typ pistoletu: Heckler & Koch MP 5K.

Joseph sięgnął do kabury po berettę, lecz jego ręka nie natrafiła na znajomy kształt. Uprzytomnił sobie, że przecież zostawił broń w biurze.

Zaklął pod nosem, dwoma susami znalazł się przy samochodzie, otworzył drzwi kierowcy, dał nura do środka i zaczął w pośpiechu grzebać w schowku. Chyba powinni mieć tu jakiś pistolet, do wszystkich diabłów? W głowie kłębiły mu się chaotyczne myśli, najwyraźniej jednak rozbrzmiewały głosy zarejestrowane na taśmie:

„A co z Włochem?” postanie wyeliminowany”.

Chodzi o Scalego! To on jest celem!

Volkmann zaklął ponownie. W schowku były tylko jakieś rupiecie i papiery. Usiłował narzucić sobie spokój, zmusić się do logicznego myślenia. W każdym policyjnym samochodzie, wszystko jedno, oznakowanym czy nie, była ukryta broń. Ale gdzie powinien jej szukać? W bagażniku? W kieszeni na drzwiach? Sprawdził tam, ale bez rezultatu. Może pod fotelami?

Też nic.

Sprawdził, czy kluczyki tkwią w stacyjce. Nie było ich.

Odruchowo, nie myśląc, sięgnął w lewo od fotela kierowcy, przy samej podłodze znalazł dźwignię otwierającą bagażnik, szarpnął mocno. Spojrzenie, które posłał we wsteczne lusterko, poinformowało go o dwóch faktach: że człowiekowi z pistoletem maszynowym zostało jeszcze najwyżej dwadzieścia metrów oraz że kłapa bagażnika powędrowała w górę.

Volkmann wypęził z samochodu przez drzwi po stronie pasażera i zgięty w pół zaczął skradać się w kierunku bagażnika, modląc się, żeby była tam upragniona broń.

W miarę jak Klein zbliżał się do budynku, coraz wyraźniej widział czterech mężczyzn w niewielkim, rzęsiście oświetlonym pomieszczeniu. Dwaj z nich stali, dwaj siedzieli, ale mówił tylko jeden z siedzących. Reszta zdawała się słuchać z napiętą uwagą.

Scali. Zaczął sypać.

Jeszcze tylko piętnaście metrów, a wciąż nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Beck został za kierownicą samochodu, gotów w każdej chwili ruszyć za nim, a potem zawrócić i pełnym gazem uciekać z portu. Kilka przecznic dalej czekał drugi wóz, który zawiezie ich do bezpiecznej kryjówki.

Zadanie było trudne, choć z pewnością do wykonania, tym bardziej, że Meyer kilkakrotnie podkreślił, iż od tego zależy powodzenie całej operacji.

Zamiast krwi Klein miał w żyłach niemal czystą adrenalinę. Jeszcze trochę, jeszcze pięć, może sześć sekund.

Dwanaście metrów. Wciąż żadnych oznak alarmu, wciąż całkowity spokój. Położył palec na spuście, nie zmniejszając tempa schylił się i przebiegł pod żółtą taśmą.

Jeszcze dziesięć metrów. Po prawej stronie, na niewielkim parkingu przylegającym do magazynu, Klein dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Spojrzał w tamtą stronę w samą porę, by ujrzeć jak kłapa jednego z nie oznakowanych policyjnych samochodów podnosi się gwałtownie. Niemal jednocześnie przy bagażniku pojawił się jakiś mężczyzna i zaczął czegoś pospiesznie szukać. Klein nie zobaczył jego twarzy, ale to i tak nie miało żadnego znaczenia. Tamten musiał zginąć.

Błyskawicznie skierował w bok lufę pistoletu maszynowego i posłał krótką serię. Rozległ się donośny terkot, któremu zawtórował brzęk tłuczonego szkła i głucho uderzenia pocisków w blachę, przyczajony mężczyzna zaś zgiął się jeszcze bardziej i dał rozpaczliwego nura za samochód, szukając tam schronienia.

Klein zatrzymał się, stanął w rozkroku, przez krótką chwilę rozkoszował się widokiem przerażonych, zdumionych twarzy wpatrujących się w niego zza szyby, a następnie nacisnął spust.

Szkoło rozprysło się w drobny mak, a ulewa pocisków spadła na meble, ściany i ludzi, dziurawiąc drewno, metal, gips i ciała. Klein nie zdejmował palca ze spustu, zataczając lufą niewielkie półkola, obserwując, jak cztery sylwetki miotają się w rozpaczliwych konwulsjach, podobne do marionetek animowanych przez mało

wprawnego, nerwowego lalkarza.

Nagle rozległ się suchy trzask i zapadła cisza. Magazynek był pusty.

Klein sprawnym ruchem wyszarpnął go, cisnął na asfalt, włożył nowy i już zamierzał dokończyć dzieła zniszczenia, kiedy kryjący się za samochodem człowiek zerwał się na nogi i ponownie sięgnął po coś do otwartego bagażnika.

Niewiele myśląc, Klein skierował lufę w jego stronę, po czym nacisnął spust.

Volkman czaił się za policyjnym samochodem, bezsilnie obserwując, jak pociski wystrzeliwane z heckler & kocha rozszarpują mężczyznę w biurze na parterze magazynu. Człowiek, który z zimną krwią prowadził ogień, skoncentrował uwagę na bezbronnych celach; Volkman natychmiast spróbował wykorzystać szansę, sięgając na oślep do bagażnika. Macał na oślep, gdyż nie śmiał wychylić się z za samochodu.

Nic.

A potem, kiedy już stracił nadzieję, jego palce zacisnęły się na chłodnej metalowej kolbie.

Pociągnął bardzo ostrożnie, potem trochę mocniej, ale bez rezultatu. Cholera! Zapewne broń była przypięta gumowymi paskami. Co robić? Jak się do niej dostać?

Zastanawiał się gorączkowo, usiłując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, kiedy nagle niemal ogłuszyła go niespodziewana cisza. Napastnikowi skończyła się amunicja. Volkman ostrożnie wysunął głowę i zobaczył, jak tamten wyrzuca pusty magazyneczek i sięga po nowy.

Teraz! Niewiele myśląc zerwał się na nogi, sięgnął oburącz do bagażnika, zwolnił klamry i wyszarpnął z uchwytów pistolet maszynowy. Znajomy kształt: uzi. Boże, żeby tylko był naładowany!

Ułamek sekundy później znalazł się pod ostrzałem. Pociski padały wokół niego jak grad, grzęznąc w błotnikach, rozbijając szyby, rykoszetując ze wściekłym chichotem od masek, dachów i bagażników. Joseph runął na asfalt, przetoczył się za samochód, błyskawicznie odbezpieczył broń i rozłożył kolbę, po czym ustawił przełącznik na ogień ciągły.

Przeciwnik zbliżał się krok za krokiem, wciąż strzelając na oślep przed siebie. Volkmann ponownie przetoczył się po asfalcie, tym razem w przeciwną stronę, a następnie, prawie nie celując, nacisnął spust.

Uzi zatańczył mu w rękach.

Seria trafiła mężczyznę w klatkę piersiową i brzuch. Z pewnością zginął w ułamku sekundy, lecz jego ciało jeszcze przez kilka sekund tańczyło szaleńczy, chaotyczny taniec śmierci, by wreszcie runąć na asfalt i znieruchomieć jak zakrwawiona sterta łachmanów.

Trzask.

Magazynek był pusty.

Cisza.

Volkmann wypuścił broń z rąk, wstał z ziemi i spojrzał w kierunku magazynu, rozbitego okna i zdemolowanego pomieszczenia. Nie dostrzegł żadnego ruchu, za to usłyszał jęki i wołania o pomoc.

Właśnie zamierzał ruszyć w tamtym kierunku, kiedy daleko po prawej stronie zapłonęły dwa reflektory i rozległ się ryk silnika.

Siedzący za kierownicą Beck widział wszystko jak na dłoni. Cholera! Tak niewiele brakowało! Zacisnął kurczowo pięści, kiedy Klein runął na ziemię, niemal przecięty na pół serią z pistoletu maszynowego. Chwilę potem zza posiekanego kulami samochodu wyłonił się jego zabójca.

Niewiele myśląc, Beck uruchomił silnik, włączył światła i ostro ruszył z miejsca. Jedną ręką trzymał kierownicę, w drugą zaś chwycił leżący obok niego na fotelu pasażera pistolet maszynowy.

Samochód zbliżał się w szybkim tempie.

Osiemdziesiąt metrów.

Siedemdziesiąt.

Sześćdziesiąt.

Rozległ się terkot broni maszynowej i w asfalt po lewej stronie uderzyło kilka pocisków. Volkmann skulił się, przypadł do ziemi, lecz ani na chwilę nie spuszczał z

oczu rozpędzonego pojazdu.

Pięćdziesiąt metrów.

Czterdzieści.

Reflektory samochodu przypominały ślepią ogarniętego szałem zwierzęcia: przeraźliwe, dzikie, zbliżające się z przerażającą prędkością.

Bezużyteczny uzi z opróżnionym magazynkiem leżał na asfalcie w odległości pięciu metrów. Umysł Volkmana pracował na najwyższych obrotach. Co robić? Jak się ratować?

Odpowiedź nadeszła przypadkiem, kiedy odruchowo osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem i dostrzegł broń martwego mężczyzny spoczywającą na asfalcie obok nieruchomych zwłok. Natychmiast popędził w tamtą stronę, rzucił się szczupakiem, ostatnie dwa metry pokonał tocząc się po wilgotnej nawierzchni, rozpaczliwie wyciągnął ręce, chwycił heckler & kocha, szarpnął, obejrzał się na samochód.

Trzydzieści metrów.

Dwadzieścia.

Wyciągnął broń przed siebie i nie celując posłał serię w kierunku pędzącego fiata.

Pociski strzaskały lewy reflektor i lewą część przedniej szyby, ale samochód wciąż zbliżał się z nie zmniejszoną prędkością, zarzucając tyłem to w lewo, to w prawo. Za ocalałą częścią szyby mignęła wykrzywiona wściekłym grymasem twarz kierowcy, a zaraz potem w kierunku Volkmana znowu pomknęły kule.

Joseph przerwał na chwilę ostrzał, przetoczył się dwa metry w lewo, znieruchomiał na asfalcie i znowu nacisnął spust, tym razem mierząc dokładniej. Krótka seria trafiła kierowcę w głowę, niemal ją urywając. Fiat zatoczył się, skręcił w lewo, przemknął obok Volkmana mało co nie zawadzając go pogiętym błotnikiem, po czym z potworną siłą rąbnął w pokiereszowany samochód policyjny. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt giętego metalu, a sekundę później nastąpiła eksplozja paliwa; ognisty gejzer strzelił wysoko w nocne niebo, podmuch zaś był tak silny, że

przetoczył Volkmana kilka metrów po asfalcie. Oszołomiony i częściowo ogłuszony usiadł z trudem, potrząsnął głową, odwrócił twarz od żaru, po czym z wysiłkiem dźwignął się na nogi i lekko się zataczając ruszył w kierunku magazynu.

W zdewastowanym pomieszczeniu wciąż jeszcze płonęło światło; jakimś cudem żaden z pocisków nie trafił w żarówkę. Wśród szczątków mebli i sprzętów panowała całkowita cisza, nikt się nie poruszał.

Niespodziewanie ktoś podniósł się mozolnie z podłogi, oparł o ścianę, osunął się, lecz zaraz potem znowu stanął na nogi. Był to Orsati z zakrwawioną twarzą, przyciskający rękę do rany w policzku.

Niemal jednocześnie w porcie zaroilo się od ludzi i samochodów. Zawyły syreny, nie wiadomo skąd nadszedły radiowozy, z których wysypali się umundurowani karabinierzy z bronią gotową do strzału.

Volkman wyprostował kurczowo zaciśnięte palce; heckler & koch wypadł mu z rąk i z łoskotem upadł na asfalt.

Dwaj policjanci zbliżali się ostrożnie, mierząc do niego z pistoletów. Obaj spoglądali z niedowierzaniem to na płonące wraki samochodów, to na roztrzaskane okno biura i wewnątrz posiekane niezliczonymi pociskami.

Volkman wolał nie wystawiać na próbę domyślności i odporności nerwowej karabinierów, dlatego powoli podniósł ręce nad głowę, po czym złączył je na karku.

Syreny milkły jedna za drugą, aż wreszcie na nabrzeżu, skąpanym już nie tylko w blasku potężnych reflektorów, ale także w niespokojnym, migającym świetle policyjnych lamp, słyszeć było jedynie trzask płomieni oraz podekscytowane głosy ludzi w mundurach, usiłujących dociec, co tu się stało.

Strasburg godz. 16.03

Dwaj mężczyźni wysiedli z windy i ruszyli przed siebie pustym korytarzem.

Ten z teczką szedł jako pierwszy. Odszukanie właściwych drzwi zajęło im niespełna dwadzieścia sekund. Nie mieli z tym najmniejszego problemu, ponieważ wszędzie wisiły tabliczki z nazwiskami.

Kiedy wtargnęli do biura, Ferguson właśnie rozmawiał przez telefon. W

drugiej ręce trzymał tajną depezę z Asunción. Ujrawszy dwóch ludzi z pistoletami w dłoniach otworzył usta, ale nie zdążył wydać głosu, gdyż w następnej chwili cztery pociski trafiły go w pierś, dwa zaś w głowę, wyrzucając z fotela pod przeciwległą ścianę.

Człowiek z teczką podszedł do zwłok i na wszelki wypadek wpakował jeszcze dwie kule w głowę, następnie zaś obaj zabójcy błyskawicznie przeszukali gabinet; jeden zajął się biurkiem, drugi regałem i szafkami. Pół minuty później było już po wszystkim. Ten z teczką ustawił mechanizm zegarowy, wsunął teczkę pod biurko, a następnie obaj wyszli z pokoju, zostawiając w nim martwego Fergusona oraz gotową do wybuchu bombę.

Żaden nie zwrócił uwagi na zakrwawioną kartkę z depezą, sterczącą z kurczowo zaciśniętej dłoni.

Erica siedziała sama w sypialni. Przeniosła się tu z salonu, gdyż Peters próbował wciągnąć ją w rozmowę, ona zaś nie miała najmniejszej ochoty na towarzyską konwersację. Marzyła wyłącznie o tym, by się położyć i odpocząć.

Gwałtowniejszy podmuch wiatru sypnął w szybę gęstym śniegiem. Dziewczyna drgnęła, wyrwana z zamyślenia, wstała z łóżka i podeszła do okna, by zaciągnąć zasłonę. W tej samej chwili do jej uszu dotarł tupot szybkich kroków. Zaniepokojona otworzyła drzwi prowadzące do salonu i zobaczyła Petersa, który właśnie podrywał się z kanapy ze wzrokiem skierowanym w stronę przedpokoju.

- Co jest... - odezwał się podniesionym głosem, ale nie skończył, tylko czym prędzej rzucił się w kierunku pistoletu leżącego na kanapie obok płaszcza.

Nie zdążył jednak wyszarpnąć go z kabury, ponieważ coś świsnęło dwa razy, rozległy się dwa ciche pyknięcia, na jego białej koszuli pojawiły się dwie czerwone plamki, on zaś runął twarzą na dół na dywan, przewracając po drodze stolik. W polu widzenia Eriki pojawili się dwaj mężczyźni w płaszczech; obaj trzymali wyciągnięte przed siebie pistolety z tłumikami i wciąż strzelając zblizali się do ciała, faszując je ołowiem.

Dziewczyna zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Mercedes zatrzymał się na Quai Perge. Człowiek siedzący na fotelu obok kierowcy spojrzął na zegarek.

Piętnaście sekund później z oddali dobiegł przytłumiony huk eksplozji. Mężczyzna skinął głową, a wtedy kierowca włączył kierunkowskaz i ostro dodał gazu. Po minucie zaczęły ich mijać pędzące na sygnale wozy straży pożarnej i karetki pogotowia, lecz żaden z nich nie pofatygował się, by odprowadzić je wzrokiem.

Być może właśnie dlatego nie zauważyli dużego ciemnego kombi, które jechało za nimi w odległości pięćdziesięciu metrów.

Rozdział 50

Bonn piątek, 23 grudnia, godz. 9.30

Kanclerz Franz Dollman z ponurą miną siedział na tylnej kanapie czarnego mercedesa. Przed, za oraz po obu stronach opancerzonej limuzyny o kuloodpornych szybach jechali policjanci na motocyklach, eskortując ją przez ulice stolicy Niemiec.

W chwili, gdy samochód mijał Miinsterplatz, Dollman oderwał wzrok od dokumentów, które właśnie przeglądał, i spojrzął przez okno na udekorowaną migającymi lampkami ogromną jodłę, ustawioną na środku placu. Zazwyczaj myśl o zbliżających się świętach wprawiała go w podły nastrój, tym razem jednak oczekiwał z utęsknieniem na kilkudniową przerwę w sprawowaniu obowiązków. Przerwa świąteczna powinna trwać już od tygodnia, jednak rząd nadal zbierał się codziennie na posiedzeniach, by debatować nad wciąż pogarszającą się sytuacją.

Dollman westchnął ciężko i oparł głowę na skórzanym zagłówku. Wstał o szóstej rano, przespawszy zaledwie cztery godziny po nocnej rozmowie z premierem rządu Bawarii, zjadł niewielkie śniadanie na pokładzie samolotu lecącego z Monachium, dla wzmocnienia nadwątłych sił wypił małego Schnappsa, teraz zaś jechał na kolejne nadzwyczajne posiedzenie gabinetu w willi Schaumberg.

Zazwyczaj rząd zbierał się tam tylko w środy na cotygodniowych obradach, teraz jednak, w nadzwyczajnej sytuacji, spotkania odbywały się znacznie częściej.

Przysłuchując się stanowczo zbyt długim wystąpieniom ministrów, z których nie wynikało nic konkretnego, kanclerz nieraz zastanawiał się, jakim cudem jego kraj nie tylko zdołał otrząsnąć się z gorzkiego ciężaru przeszłości, ale także śmiało podążał drogą wiodącą ku lepszej przyszłości. Jego zdaniem należało to zawdzięczać wyłącznie pracowitości, uporowi i zdrowemu rozsądkowi większości zwykłych Niemców.

Jeszcze niedawno istotnie stanowili oni większość społeczeństwa, ale czy tak było nadal? Dollman miał co do tego spore wątpliwości.

Mijając Marktplatz spoglądał ponuro na powybijane okna wystawowe, szkło i śmieci walające się na chodnikach, osmalone ściany. A więc tutaj też doszło do zamieszek. Odwrócił głowę w stronę Rittera, swego osobistego ochroniarza, który siedział obok niego żując beztrosko gumę, i zapytał:

- Co tu się działo?

- Zaczęło się od demonstracji przeciwko bezrobociu - odparł Ritter nie przestając żuć gumy. - Potem przyłączyły się prawicowe bojówki, no i zrobiło się zamieszanie.

Z piersi kanclerza wyrwało się kolejne westchnienie.

- Są ofiary śmiertelne? Ritter pokręcił głową.

- Nie tym razem. Zaraz po północy do akcji wkroczyła policja i nabiła prowodyrom parę guzów, to wszystko. Słyszałem jednak, że dziś wieczorem pod ratuszem odbędzie się pikiet imigrantów. - Ritter poruszył szczęką jeszcze energiczniej niż do tej pory. - Gdyby to ode mnie zależało, panie kanclerzu, wsadziłbym tych wszystkich demonstrantów do pudła.

Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Mercedes skręcił w kierunku Hofgarten, a następnie pomknął na południe, w stronę Renu i Willi Schaumburg. Także tutaj po obu stronach ulicy straszyły porozbijane witryny, gdzieś tam widać było barykady, wzniesione naprędce z powyrywanych płyt chodnikowych, ławek oraz pojemników na śmieci.

Dollman nie uznał za stosowne zareagować na uwagę Rittera. Jego osobisty

ochroniarz był znakomitym specjalistą w swojej dziedzinie, zdecydowanym, dyskretnym i odważnym, ale z pewnością nie grzeszył inteligencją. Istotnie, gdyby to od niego zależało, co najmniej połowa ludzkości siedziałaby za kratkami.

Ostatnio wszędzie działo się to samo: demonstracje, pikiety, zamieszki. A wszystko w związku z imigrantami. Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu francuski minister spraw wewnętrznych skarżył mu się, że tylko z najwyższym trudem daje sobie jeszcze radę z tym problemem.

- Zamknąć drani na cztery spusty i wyrzucić klucze - wycedził Ritter. - Od razu zrobiłoby się spokojniej.

Gdyby to było takie proste, pomyślał melancholijnie Dollman. Chętnie skorzystałby z tej rady, na początek umieszczając w odosobnieniu większość członków rządu, marnujących cenny czas na nie kończące się sprzeczki i spory kompetencyjne.

Czarny mercedes skręcił na owalny podjazd i zatrzymał się przed głównym wejściem do willi. Dollman miał nadzieję, że po posiedzeniu zdąży zobaczyć się z żoną, zanim pojedzie na lotnisko i wsiądzie do samolotu, który miał zawieźć go do Berlina, do Pałacu Charlottenburg. Kolejny nudny obowiązek, a jutro z samego rana spotkanie z Weberem. Dobrze, że przynajmniej będzie mógł zostać na noc w Berlinie, a konkretnie w Wannsee.

Podniesiony nieco na duchu tą perspektywą kanclerz zaczekał, aż kierowca otworzy tylne drzwi limuzyny, po czym zgarnął dokumenty do teczki, wręczył ją Ritterowi, sam zaś wysiadł z samochodu.

W drzwiach willi czekał już Eckart, minister finansów. Sądząc po wyrazie jego twarzy, miał do przekazania nie najlepsze wiadomości. Cóż, właściwie nie należało się temu dziwić.

Dollman westchnął ciężko, po czym ruszył do wejścia.

Posiedzenie trwało ponad dwie godziny i prawie niczym nie różniło się od tych, które odbywały się codziennie już od kilkunastu dni. Nawet miny ministrów siedzących przy owalnym stole w jadalni były takie same jak wczoraj, przedwczoraj i

tydzień temu.

No, może trochę bardziej ponure.

Minionej nocy zamieszki wybuchły w Berlinie, Monachium, Bonn, Frankfurcie, a nawet w rodzinnym, ukochanym Mannheimie Dollmana. Wiadomości dotyczące spraw finansowych mogły wpędzić w depresję nawet najbardziej niepoprawnego optymistę. Przedstawiając poufny raport, Eckart bez przerwy splatał i rozplatał palce, od czasu do czasu zaciskając je tak mocno, że aż trzeszczały stawy.

Dollman wyjął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę i otarł spocone czoło. W pokoju było gorąco, ponieważ grzejniki pracowały pełną mocą, by odeprzeć chłód wciskający się z zewnątrz. Za grubymi kuloodpornymi szybami nagie korony drzew kołysały się gwałtownie, szarpane podmuchami lodowatego wiatru.

Dollman był wysokim, sześćdziesięcioletnim mężczyzną o arystokratycznym wyglądzie i takim samym sposobie bycia. Pełnił swą funkcję od półtora roku, przez osiemnaście długich, ciężkich miesięcy. Wielokrotnie nawiedzały go myśli o rezygnacji; parę razy był już bardzo bliski podjęcia decyzji o ustąpieniu ze stanowiska, ale powstrzymywała go świadomość, że jest jedynym człowiekiem spośród wielu tłoczących się na szczytach władzy, który w tych wymagających czasach jest w stanie pełnić rolę przywódcy.

Schowwał chusteczkę do kieszeni marynarki i oderwał wzrok od papierów leżących przed nim na błyszczącym blacie stołu. W posiedzeniu uczestniczyli wszyscy członkowie rządu z wyjątkiem wicekanclerza Webera, który miał dołączyć później. Poleciał do Lipska, gdzie z samego rana doszło do rozruchów na wielką skalę. Dollman nie zazdrościł swemu zastępcy; co prawda Weber był ambitnym człowiekiem nie lękającym się ani obowiązków, ani odpowiedzialności, ale sprawy takie jak ta w Lipsku mogły każdego przyprawić o permanentny ból głowy. Na szczęście to nie jego rzecz, tylko Webera.

Przy owalnym stole oprócz niego siedziało siedemnastu mężczyzn.

Dollman usłyszał ciche chrząknięcie, spojrzał w lewo i napotkał pytające spojrzenie ministra finansów.

- Czy mogę, panie kanclerzu? Dollman zerknął na zegarek.

- A co nam jeszcze zostało?

- Sprawy ekonomiczne i raport dotyczący bezpieczeństwa, ale wicekanclerz Weber jeszcze nie wrócił z Lipska. Jeśli nie zjawi się w ciągu paru najbliższych minut, proponuję, żebyśmy przerwali obrady i spotkali się ponownie po lunchu.

Kanclerz z rezygnacją skinął głową.

- W porządku, Eckart. Może pan zaczynać.

Dzięki wcześniejszej rozmowie z ministrem znał już treść przygotowanego przez niego raportu, dlatego też mógł sobie pozwolić na to, by przenieść się myślami gdzie indziej, a konkretnie do małego domku w dzielnicy Wannsee. Jak dobrze pójdzie, zdąży zajrzeć tam w drodze do Charlottenburga, a także później, po uporaniu się z męczącymi obowiązkami. Zadzwoił już wczoraj wieczorem i zapowiedział się na noc. Na samo wspomnienie zmysłowego głosu oraz ciała o cudownych kształtach Dollman poczuł przypływ pożądania. Ta kobieta stanowiła uosobienie marzeń nie tylko większości mężczyzn, lecz także, a może przede wszystkim, każdego polityka: była piękna, zmysłowa i lubieżna, oprócz tego zaś dyskretna i wyrozumiała. Pobyt w jej towarzystwie zawsze dodawał mu sił.

Niewiele brakowało, by uśmiechnął się do swoich myśli, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, gdzie jest. Do jego uszu docierały strzępy przygnębiającego monologu Eckarta:

- ...problemy z zapewnieniem środków na świadczenia społeczne... ponad trzymiesięczne zaległości we wpłatach do kasy Wspólnoty... rosnące zadłużenie nie pozwala myśleć o zwiększeniu... gwałtowny spadek kursu marki nie tylko nie uległ zahamowaniu, lecz nawet... rządy Hesji i Bawarii, które poprosiły o wsparcie finansowe ze strony rządu federalnego, informują o wciąż pogarszającej się...

Jednostajny głos ministra finansów przypominał irytujące brzęczenie muchy, która wpadła w pułapkę między dwiema szybami i teraz uparcie, choć bezskutecznie, próbuje wydostać się na wolność. Kanclerz pomyślał, że powinien osobiście przeczytać raport Eckarta; w ten sposób oszczędziłby katuszy sobie i

pozostałym ministrom, a przy okazji być może zdołałby z niego trochę więcej zrozumieć. Jednak ponieważ tak się nie stało, nawet nie zadawał sobie trudu, by wyłowić z tego chaosu najistotniejsze wiadomości. Myślał wyłącznie o czekającej go nocy, modląc się w duchu, żeby jak najprędzej znaleźć się w Berlinie.

- ...I to by było wszystko. Dziękuję panom za uwagę.

Za uwagę? Za jaką uwagę, do jasnej cholery? - przemknęło Dollmanowi przez głowę. Połowa ministrów spała z otwartymi oczami, druga połowa myślała o niebieskich migdałach, a wszyscy ledwo żyli z nudów. Rozległo się trochę pokasływań, tu i ówdzie ktoś poprawił się na krześle, po czym zapadła cisza. Jeden z mężczyzn podniósł rękę, prosząc o głos.

- Tak, Franks?

- Panie kanclerzu, jakie kroki zamierza pan podjąć w związku z sytuacją w Hesji i Bawarii?

- Cieszę się, że zadał pan to pytanie. Jestem pewien, iż na naszym następnym spotkaniu minister Eckart przedstawi pakiet propozycji. Do tego czasu nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zachować cierpliwość.

Była to odpowiedź godna wytrawnego polityka. Dollman udał, że nie dostrzega przenikliwego spojrzenia Franksa ani niechętnego grymasu, który przemknął przez twarz Eckarta.

- Czy są jeszcze jakieś pytania?

Rozległ się szmer przyciszonych rozmów, po przeciwnej stronie stołu powstało nawet jakieś zamieszanie, ktoś gestykułował z ożywieniem, tłumacząc coś szeptem sąsiadom, ale nikt nie zdecydował się zabrać głosu. Dollman przerwał wahania, spoglądając znacząco na zegarek:

- Panowie, wobec tego proponuję, żebyśmy spotkali się w tym samym gronie po lunchu w celu wysłuchania raportu wicekanclerza Webera. Jestem pewien, że jako minister spraw wewnętrznych będzie nam miał do powiedzenia wiele interesujących rzeczy.

W chwili gdy Dollman umilkł, otworzyły się drzwi i do sali wszedł Konrad

Weber. W jednej ręce trzymał gruby plik dokumentów w plastikowych okładkach, w drugiej czarną skórzaną teczkę. Był wysokim mężczyzną o wiecznie zatroskanej twarzy, lubiącym konkrety i traktującym poważnie swoje obowiązki - czasem może nawet zbyt poważnie, pomyślał Dollman. Jednak między innymi właśnie dzięki temu Weber znakomicie wywiązywał się z roli wicekanclerza i ministra spraw wewnętrznych, a gdyby udało mu się wprowadzić w życie wszystkie pomysły, zarówno prawicowi, jak i lewicowi ekstremiści zniknęliby z ulic, zapelniając więzienia. Dollman był bardzo zadowolony mając go po swojej stronie, lecz teraz, spoglądając na jeszcze bardziej niż zwykle poważną twarz o niemal ascetycznych rysach, poczuł, jak ogarniają go niedobre przeczucia.

- Panie kanclerzu, panowie... Proszę mi wybaczyć spóźnienie.

- Siadaj, Konradzie. Masz gotowy ten raport, o którym wspominałeś?

Raporty Webera, choć rzadko kiedy optymistyczne, miały jedną niezaprzeczalną zaletę: kierowały na niego ogień pytań i wątpliwości pozostałych ministrów, dzięki czemu kanclerz przynajmniej wtedy mógł się czuć względnie bezpiecznie. Zanosilo się na to, że tym razem będzie podobnie.

Wicekanclerz skłonił się lekko Dollmanowi i podszedł do swego miejsca przy stole, nie usiadł jednak, tylko postawił teczkę na podłodze, położył na blacie plik dokumentów i przewrócił kilka stron. Dollman bez trudu dostrzegł czerwony stempel Urzędu Ochrony Konstytucji z napisem Ścisłe tajne.

Jęknął w duchu. A więc przeczucia go nie omyliły. Jakby jeszcze było mało tego, o czym się przed chwilą dowiedzieli, Weber przyniósł kolejne złe wieści. Sądząc po jego minie i zachowaniu, musiały być naprawdę nieprzyjemne. Pozostali członkowie wpatrywali się w wicekanclerza z różnymi wyrazami twarzy, od niepokoju poczynając, na zrezygnowanej obojętności kończąc, większość jednak wyglądała tak, jakby zamierzała lada chwila zerwać się z miejsc i z krzykiem popędzić ku wysokim, sięgającym od podłogi do sufitu, oknom.

Dollman na próżno usiłował się odprężyć, zapomnieć o kłopotach, skoncentrować na czekających go zadaniach. Dopiero wspomnienie rozkosznie

ciepłego, pełnego ciała Lisi sprawiło, że spłynęło na niego ukojenie. Teraz był gotów stawić czoło nawet najgorszej rzeczywistości.

Gdyby nie dziewczyna, pierwszy poderwałby się z miejsca i rzucił do ucieczki.

Rozdział 51

Genua godz. 17.30

Volkmann czekał na swoją kolej w gabinecie komisarza, mieszczącym się w budynku przy Płaza di Fortunesca. Atmosfera była gęsta nie tylko od papierosowego dymu, ale i od łatwo wyczuwalnego napięcia. Detektyw Orsati siedział na krześle pod zwisającą z sufitu lampą, z zabandażowaną głową i opatrunkiem zakrywającym znaczną część prawego policzka. Lekarze zajęli się nim jeszcze w porcie, ale policjant kategorycznie odmówił udania się do szpitala, wobec czego poprzestali na założeniu grubszego opatrunku i zaaplikowaniu solidnej dawki środków przeciwbólowych. Teraz detektyw uśmiechnął się do Volkmana i powiedział dość rażnym, choć wciąż jeszcze lekko drżącym głosem:

- Nic wielkiego. Zwykłe draśnięcie.

Spod białego bandaża spowijającego głowę policjanta wypływały grube krople potu. Orsati był blady i z pewnością osłabiony, niemniej starał się odpowiadać na pytania rzeczowo, z sensem, nie pomijając żadnych szczegółów.

Oprócz Volkmana i Orsatiego w pokoju znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn. Jednym z nich był komisarz, którego nazwiska Volkmann nie zdołał zapamiętać: przystojny człowiek w średnim wieku, w okularach, ubrany w elegancki szary garnitur, białą koszulę i bladoniebieski krawat. Z kieszonki marynarki sterczał rąbek nienagannie wyprasowanej chusteczki. Na pierwszy rzut oka wyglądał dość fircykowato, lecz Joseph zdążył się już przekonać, że komisarz jest doświadczonym specjalistą w swoim fachu; jego bystre brązowe oczy o przenikliwym spojrzeniu, rejestrujące każdy ruch i ani na chwilę nie przerywające wędrówki po twarzach,

świadczyły o ponadprzeciętnej inteligencji.

Drugi, znacznie starszy, o bladej cerze i gęstych siwiejących włosach, był miejscowym sędzią śledczym. Miał na sobie strój składający się z czarnej skórzanej kurtki, szarych spodni, ciemnych półbutów i białego golfa, z pewnością nie licujący z powagą jego urzędu, lecz sędzia był całkowicie usprawiedliwiony, gdyż przyjechał prosto ze świątecznego przyjęcia u przyjaciół.

Orsati powtórzył już to, co zdążył powiedzieć Scali, zanim zginął trafiony w głowę i pierś serią z pistoletu maszynowego. Przesyłka, którą odebrał, miała być ostatnią i składała się tylko z jednego, za to bardzo ciężkiego pudełka. Podobne transporty docierały do Genui od roku, w nieregularnych odstępach czasu, zawsze w skrytce w podwójnej ścianie kontenera. Scali przypuszczał, że chodzi o broń albo złoto, lecz były to tylko domysły, ponieważ nigdy nie zajrzał do żadnego z pakunków. Jedyne, na co zwrócił uwagę, to fakt, że ta przesyłka ważyła więcej niż inne.

Orsati poinformował także komisarza, który przez cały czas siedział za biurkiem żując nie zapalone cygaro, że w laboratorium wciąż prowadzone są badania mikrośladów znalezionych w skrytce, ale na rezultaty trzeba będzie jeszcze poczekać.

Kiedy detektyw umilkł, głos zabrał sędzia śledczy. Mówił głośno i z przejęciem, gestykulując z ożywieniem i nieprzerwanie paląc mocne papierosy.

Volkmann przysłuchiwał się uważnie, lecz był w stanie wychwycić tylko pojedyncze słowa. Nie pozostało mu więc nic innego, jak cierpliwie czekać, aż sędzia skończy i przetłumaczy swoją przemowę na angielski; przekonał się już, że siwowłosa mężczyzna całkiem znośnie włada tym językiem, w przeciwieństwie do komisarza, który zna tylko kilka podstawowych słów.

Sędzia mówił już od pięciu minut, co jakiś czas wskazując na Volkmana i Orsatiego. Wcześniej Joseph przedstawił mu pokrótce swoją historię, nie wzbudzając jednak szczególnego zainteresowania. Włoch znacznie bardziej niż jakimś tajemniczym międzynarodowym śledztwem zdawał się przejmować faktem, że na

terenie podległym jego jurysdykcji doszło do potężnej strzelaniny, w wyniku której czterech ludzi poniosło śmierć, w tym funkcjonariusz służb celnych Paulo Bonefacio, dwóch w stanie ciężkim trafiło do szpitala Santo Giorgio, a dwóch dalszych odniosło lekkie obrażenia.

Jeśli chodzi o zabójców, to obaj mieli na sobie ubrania wyprodukowane w Niemczech, ale nie znaleziono przy nich żadnych dokumentów, w związku z czym z identyfikacją trzeba było jeszcze poczekać.

- Zachowywali się jak jacyś pieprzeni kamikadze - mruknął Orsati. - Zupełnie bez sensu.

Sędzia śledczy wreszcie zakończył przemowę i zwrócił się do Josepha:

- Wyjaśniłem już wszystko komisarzowi. Teraz wie tyle, ile ja dowiedziałem się od pana i detektywa Orsatiego. Wydaje mi się jednak, że musimy jeszcze wyjaśnić parę rzeczy. Przede wszystkim: czy domyśla się pan, dlaczego Franco Scali stał się celem tego szaleńczego ataku?

Volkmann odwrócił wzrok w stronę okna wypełnionego czarnym bezgwiezdnym niebem, przez chwilę milczał, by następnie spojrzeć na sędziego i powiedzieć:

- Mogę tylko powtórzyć panu to, co już powiedziałem. Otrzymaliśmy informację o planowanym przemyśle niewiadomego ładunku z Ameryki Południowej. Wiedzieliśmy, że jednym z portów branych pod uwagę jako punkt tranzytowy jest Genua, więc zawiadomiliśmy waszych ludzi w DSE i poprosiliśmy, żeby dokładnie zbadano wszystkie ładunki przybywające drogą morską z tamtego rejonu świata, a szczególnie z Montevideo oraz Sao Paulo. Podałem panu nazwisko pewnego człowieka oraz jego numer telefonu w Strasburgu. Byłbym wdzięczny, gdyby ktoś skontaktował się z nim jak najszybciej i powiedział mu, co się tu wydarzyło.

Siwowłosa mężczyzna westchnął i bezradnie rozłożył ręce.

- Signore Volkmann, może pan nam wierzyć, że czynimy wszystko co w naszej mocy, żeby zawiadomić pańskiego przełożonego, ale mamy pewne trudności,

a tymczasem bardzo by nam się przydała pańska pomoc. Naturalnie nie ma mowy o tym, by wniesiono przeciwko panu jakieś zarzuty, bo przecież działał pan w obronie własnej, liczymy jednak na pańską współpracę. - Przez kilka sekund spoglądał Josephowi prosto w oczy. - Naprawdę nie ma pan nic do dodania?

- Nic.

Sędzia ponownie westchnął ciężko.

- Z naszej strony uczyniliśmy już wszystko, co możliwe, aby zabezpieczyć ślady i zebrać materiał dowodowy. Niestety, nie wiemy od czego zacząć, więc teraz kolej na pana. Zginęło czterech ludzi, a ja nadal nie wiem dlaczego. Może pan zechce mi to wyjaśnić?

Sędzia bez wątpienia był zdesperowany, lecz bez zgody Fergusona Joseph nie mógł powiedzieć ani słowa więcej. Sam nie chciał decydować czy, a jeśli tak, to w jakim stopniu, może dopuścić Włochów do tajemnicy.

- Muszę mieć zgodę przełożonego - stwierdził stanowczo.

- A więc ta sprawa ma drugie, głębsze dno? - zapytał sędzia.

Vołkmann w milczeniu skinął głową.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby skontaktować się z pańskim biurem, ale na razie to niemożliwe. Albo nastąpiła awaria kabla, albo...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł młody policjant, zasalutował i poprosił śledczego na zewnątrz. Dwaj mężczyźni przez chwilę rozmawiali półgłosem, po czym komisarz wrócił do gabinetu. Jego twarz, i tak dość blada, teraz była biała jak kreda. Przeniósł wzrok z Orsatiego na komisarza, by wreszcie spojrzeć Volkmannowi prosto w oczy i powiedzieć głosem niewiele donośniejszym od szeptu:

- Zadzwoniliśmy do domu naszego oficera łącznikowego w Strasburgu... - Przerwał, kilka razy odetchnął głęboko, po czym odezwał się ponownie: - Powiedział, że w waszej sekcji nastąpiła silna eksplozja. Na razie nic nie wiadomo o ofiarach w ludziach, ale sprawa z pewnością dotyczy wyłącznie Sekcji Brytyjskiej.

Wysoki mężczyzna zawahał się, potarł czoło, a następnie dodał:

- To nie wszystko, *signore* Volkmann. Nasi ludzie z laboratorium pojechali do portu, żeby obejrzeć na miejscu kontener... Mieli ze sobą licznik Geigera. Stwierdzili, że wewnątrz skrytki jest bardzo napromieniowane. Wszystko wskazuje na to, iż przesyłka, którą odebrał Scali, zawierała substancje promieniotwórcze.

Wannsee, Berlin 23 grudnia

Kilka minut po szóstej wieczorem czarny mercedes zajechał przed niezbyt dużą, nowoczesną willę nad jeziorem Wannsee. Wzniesiona dwadzieścia metrów od prowadzącej wokół jeziora szosy i otoczona topolami, już z daleka wyróżniała się spośród przedwojennych domków, których wiele znajdowało się w okolicy.

Z samochodu wysiedli Ritter i Dollman, po czym skierowali się prosto do frontowych drzwi. Dwaj pozostali członkowie osobistej ochrony kanclerza zostali w limuzynie.

Piękna młoda kobieta przywitała serdecznym uśmiechem Dollmana, natomiast całkowicie zignorowała Rittera. Ochroniarz od razu skierował kroki do salonu, kanclerz zaś i kobieta bezzwłocznie udali się na piętro.

Kwadrans później kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Franz Dollman leżał nagi jak go Bóg stworzył na łóżku w sypialni, wsłuchując się w dobiegające z głośników dźwięki jednej z uwertur Wagnera. Tylko przy tej muzyce mógł się naprawdę odprężyć. Wsparty na miękkich poduszkach trzymał w prawej ręce lampkę szampana i spoglądał w górę, na sufitowe lustro, w którym odbijała się różowa pościel oraz dwa nagie ciała, jego i dziewczyny.

Na twarzy Dollmana już od kilku minut rozgościł się wyraz bezgranicznej rozkoszy. Jasne włosy dziewczyny leżały rozrzucone na jego podbrzuszu, jej palce o długich, pomalowanych na jaskrawy kolor paznokciach pieściły wewnętrzną stronę ud wędrując w górę i dół, w górę i dół. drażniąc, ugniatając i głaszcząc. Lisi była wręcz niesamowita, prawdziwy dar niebios; dzięki niej mógł przynajmniej na jakiś czas zapomnieć o obowiązkach i odpowiedzialności związanych z pełnieniem urzędu, odsunąć myśli o troskach, których ostatnio miał aż nadto.

Jeszcze rok temu, zanim ją poznał, w jego życiu brakowało niezwykle

ważnego elementu; prawie nie sypiał z żoną. Naturalnie na użytek publiczny tworzyli obraz idealnie dobranej, kochającej się pary, i nawet nie musieli za bardzo udawać, ponieważ Karin była idealną żoną dla polityka: lojalną, przestrzegającą zasad moralności, konserwatywną. Niestety, nie odczuwała niemal żadnych potrzeb seksualnych. Natomiast Lisi...

Dwadzieścia trzy lata i ciało stworzone do dawania rozkoszy.

Przesunęła polakierowanymi na różowo paznokciami po jego piersi, posłała mu całusa, po czym przesunęła rękę niżej, znacznie niżej, i zaczęła nią poruszać w niespiesznym rytmie.

- Dobrze?

- Cudownie... - westchnął Dollman.

- Mam się ubrać, tak jak lubisz?

- Oczywiście, złotko.

- A jeśli spóźnisz się do pałacu?

- Do diabła z nimi wszystkimi!

Dziewczyna uśmiechnęła się, cofnęła rękę, a następnie odwróciła się na czworakach, prezentując wypięte, cudownie naprężone, gładkie pośladki.

Dollman nie spuszczał z niej wzroku, kiedy powoli schodziła z łóżka i kołysząc biodrami szła w kierunku szafki. Stanąwszy w wyzywającej pozycji, wysunęła górną szufladę, wyjęła z niej parę jaskraworóżowych pończoch i rzucając mu uwodzicielskie spojrzenia zaczęła je powoli zakładać.

Potem przyszła kolej na pas. Wsuwała go powoli na biodra, celebrując każdy ruch. Dollman z najwyższym trudem oparł się pokusie, żeby poderwać się z łóżka, chwycić dziewczynę w objęcia, cisnąć na pościel i posiąść już, natychmiast, do końca.

Założyła pomarańczowe pantofle na wysokich obcasach i stanęła w lekkim rozkroku.

- Chodź do mnie... - wyszeptał Dollman głosem zachrypniętym z podniecenia.

- Chodź...

- Nie tak prędko, skarbie.

Bawiła się nim jak kot myszą. Robiła to dość często, dając chyba w ten sposób upust drzemiącym w niej sadystycznym instynktom, ale Dollman nie miał nic przeciwko temu. Położyła się obok niego na łóżku, ponownie przesunęła paznokciami po łydce, udzie, podbrzuszu...

Ciałem kanclerza wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

I pomyśleć, że będzie musiał spędzić całe święta w domu, w towarzystwie nudnej rodziny i nudnej żony, podczas gdy mógłby być tutaj, z tą cudowną kobietą, którą wielbi i której tak pożąda!

Inne z pewnością wykorzystywałyby każdą okazję, żeby uskarżać się na samotność, zasypywać go pretensjami o to, że poświęca im za mało czasu, dopominać się o więcej zainteresowania z jego strony. Lisi taka nie była.

„Doskonale cię rozumiem, Liebchen. W święta twoje miejsce jest przy rodzinie”.

Mruczała jak kotka, poruszając ręką coraz szybciej, coraz bardziej zaciskając uchwyt. Dollman z przymkniętymi powiekami poddawał się rozkosznemu, pobudzającemu, a zarazem kojącemu rytmowi.

Bez większego trudu udało mu się utrzymać w tajemnicy istnienie Lisi oraz ich związek. Między członkami rządu istniało nieformalne porozumienie, w myśl którego życie prywatne każdego z nich stanowiło jego osobistą sprawę. Choć wiedzieli o sobie różne rzeczy, nikomu nie przyszłoby do głowy zrobić z nich użytek. Partyjnych kolegów obowiązywała lojalność wsparta świadomością, że żaden nie ma zupełnie czystego sumienia. Co innego, gdyby sprawa przedostała się do prasy; wówczas nie pozostawało nic innego, jak zapierać się wszystkiego w żywe oczy albo od razu uznać się za pokonanego i złożyć dymisję. Wiele zależało od partnerki w nieformalnym związku, od jej dyskrecji i umiejętności pozostania w cieniu. Pod tymi względami, podobnie jak pod wieloma innymi, Lisi stanowiła prawdziwy ideał.

- Jak było na posiedzeniu?

Jednocześnie ruchy ręki stały się wolniejsze, uścisk zelżał. Nie przestawaj!

krzyczało coś w Dollmanie. Szybciej! Mocniej!

- Webera jak zwykle nawiedzają apokaliptyczne wizje. Na jutro rano zwołał nadzwyczajne zebranie poświęcone problemom bezpieczeństwa państwa.

- W Bonn?

- Nie, w Reichstagu. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Czy sytuacja jest aż tak poważna?

- Owszem, przynajmniej zdaniem Webera.

Dollman nie widział potrzeby, aby wdawać się w szczegóły. Bądź co bądź, o tych sprawach lepiej nie dyskutować nawet z kochanką, a poza tym istniało niebezpieczeństwo, że zanudziłby ją na śmierć. Nie powiedział jej więc, że Weber przygotował projekt drakońskiej ustawy, dzięki której władza uzyskałaby możliwość prowadzenia skuteczniejszej walki z ekstremistami.

Spotkanie miało się odbyć w tajnym pokoju numer 4, o którego istnieniu wiedziało zaledwie kilkanaście najważniejszych osób w państwie. Było to specjalnie przygotowane pomieszczenie, zabezpieczone przed wszystkimi znanymi rodzajami podsłuchu, przypominające betonową klatkę zawieszoną na stalowych prętach, izolowane od świata zewnętrznego nie tylko grubymi ścianami i potrójnymi stalowymi drzwiami, ale także polem elektromagnetycznym oraz warstwą powietrza.

Poczuł muśnięcie delikatnych palców na udzie.

- To znaczy, że będziesz mógł zostać na noc - zauważyła Lisi z uśmiechem.

Dollman także się uśmiechnął. Perspektywa spędzenia całej nocy w towarzystwie pięknej dziewczyny napełniała go radosną energią. Z pałacu powinien wrócić najdalej o północy, zostanie im więc ładnych parę godzin nie tylko na sen, ale także na inne, znacznie przyjemniejsze rzeczy.

Dziewczyna otarła się o jego tors jędrnymi, pełnymi piersiami.

- Przygotuję specjalną kolację - obiecała zmysłowym szeptem. - Tylko dla nas dwojga.

Dollman spojrzał na szczelnie zasłonięte okno. Nawet teraz, kiedy leżał w

objęciach kochanki, jego bezpieczeństwa strzegło trzech uzbrojonych ludzi w samochodach stojących przed willą, jeszcze trzech w nie rzucającym się w oczy pojeździe zaparkowanym na ulicy, oraz Ritter w saloniku na parterze. Ochroniarzowi brakowało może polotu, ale na jego wierność i dyskrecję zawsze można było liczyć.

Miniaturowy nadajnik, który Dollman nosił zawsze przy sobie, leżał obok na nocnej szafce, natomiast pistolet kalibru 9 mm - z nim także nie powinien rozstawać się ani na chwilę - został w mercedesie. Kanclerz nie lubił broni; jej widok zawsze wprawiał go w niedobry nastrój, nasuwając myśli o gwałtownej śmierci. Rzec jasna rozumiał, że te środki ostrożności są niezbędne, często jednak rezygnował z nich, przedkładając wygodę i komfort psychiczny nad - jakże często złudne - poczucie bezpieczeństwa.

Dziewczyna znowu poruszała miarowo ręką. Jej pełne piersi kołysały się zaledwie kilkanaście centymetrów od jego twarzy.

Mój Boże, co za ciało! Oczekiwanie na spełnienie dawało bolesną rozkosz, najwspanialszą, jakiej kiedykolwiek zaznał w życiu.

- Spóźnisz się do pałacu - powiedziała z przekornym uśmiechem.

Nic go to nie obchodziło. W zainstalowanym pod sufitem lustrze widział odbicie swego sześćdziesięcioletniego, pomarszczonego ciała. Mimo wszystko nie miał się czego wstydzić; niewielu mężczyzn w jego wieku mogło pochwalić się taką sylwetką i kondycją, ale także niewielu miało okazję wspomagać siły witalne kontaktami z taką wspaniałą, piękną dziewczyną. Sam jej widok napępiał człowieka wigorem i chęcią do życia. Czy w tym kontekście można sobie wyobrazić coś nudniejszego od uroczystego spotkania z władzami Berlina w Pałacu Charlottenburg?

Przesunął spojrzeniem po doskonale gładkich udach, bujnych piersiach, cudownie zaokrąglonych biodrach.

- Chodź do mnie...

Na chwilę przestała go pieścić. Dollman wyciągnął rękę i delikatnie pogładził

jej piers.

- Kiedy wrócisz?

- Nie później niż o północy.

- Obiecujesz?

Gdyby go poprosiła, przyrzekłby jej nawet posadę ambasadora przy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Obiecuję.

W saloniku na parterze Ritter usadowił się wygodnie na kanapie i położył stopy na oparciu fotela. Z głośnika miniaturowej krótkofalówki leżącej przed nim na stoliku do kawy dobiegały przytłumione dźwięki muzyki oraz ekstatyczne westchnienia. Także na stoliku, w zasięgu ręki ochroniarza, spoczywał pistolet Sig & Sauer kalibru 9 mm.

Wsluchując się w coraz gwałtowniejsze jęki, Ritter podłożył ręce pod głowę i uśmiechnął się do siebie.

Rozdział 52

Strasburg

Mały odrzutowiec typu lear wylądował kilkanaście minut po siódmej wieczorem.

Zaraz po wejściu do budynku dworca lotniczego Volkmann zadzwonił z automatu do swego mieszkania, ale nikt się nie zgłosił. Pomyślał, że albo nastąpiło jakieś uszkodzenie na linii, albo Peters dowiedział się o wydarzeniach w Genui i na wszelki wypadek zabrał dziewczynę w inne miejsce.

Odebrał samochód z piętrowego parkingu przy lotnisku i dwadzieścia minut później znalazł się przed siedzibą DSE. Teren przylegający do budowli został odgrodzony żółtymi i pomarańczowymi taśmami, na ulicy stało kilka wozów policyjnych, trzy karetki i dwa samochody straży pożarnej z migającymi niebieskimi lampami na dachach. Budynek był pogrążony w ciemności; tylko na parterze

uruchomiono kilka silnych reflektorów, zasilanych z przenośnego agregatu prądotwórczego, którego donośny terkot górował nad gwarem podekscytowanych głosów, okrzykami i tupotem wielu nóg. Strażacy już uporali się z zadaniem, więc stali beczynnymi w niewielkich grupkach, paląc papierosy i rozmawiając, do pracy natomiast przystąpili ubrani w ciemne kombinezony funkcjonariusze wydziału śledczego, zabezpieczając ślady, które mogły okazać się pomocne w trakcie śledztwa.

Wybuch nastąpił na trzecim piętrze, w gabinecie Fergusona. Siła eksplozji była tak wielka, że zewnętrzna ściana pomieszczenia przestała istnieć; z czarnej, osmalonej czeluści wciąż jeszcze wydobywał się dym. W większości innych pokoi powylały szyby, gdzieś widać było ślady ognia.

W sporym tłumie, jaki zebrał się na ulicy, Joseph dostrzegł kilka znajomych twarzy, lecz nigdzie nie mógł doszukać się Eriki i Petersa. Z każdą chwilą ogarniał go coraz większy niepokój. Przez chwilę zastanawiał się, czy podejść do oficera dowodzącego akcją, który właśnie wyłonił się z budynku otoczony wianuszkami swoich ludzi, ale jakiś wewnętrzny głos ostrzegł go, by tego nie czynił.

Stał jeszcze około pięciu minut, nie bardzo wiedząc co począć, aż wreszcie odwrócił się i ruszył w kierunku budki telefonicznej, którą zauważył przy najbliższej przecznicy. Tym razem udało mu się uzyskać połączenie. Telefon odebrał Delon.

- Gdzie jesteś, do wszystkich diabłów?! - wykrzyknął Francuz, ledwie Volkmann zdążył się przedstawić.

- Powiedz mi, co się stało - zażądał Joseph, ignorując pytanie. Delon westchnął ciężko, a następnie powiedział ponurym tonem:

- Ferguson nie żyje. Dwie godziny temu w jego biurze eksplodowała bomba. Ja miałem wtedy służbę w podziemiach. Znaleźliśmy go zaraz po wybuchu, ale było za późno na ratunek. Rozerwało go na strzępy. Szczątki są w policyjnej kostnicy. Jan de Vries leży w szpitalu miejskim z poważnymi obrażeniami głowy i kończyn. Przejąłem po nim dyżur.

- Jak do tego doszło?

- Kwadrans przed wybuchem do budynku weszło dwóch mężczyzn, którzy

pokazali strażnikowi legitymacje pracowników Sekcji Belgijskiej. Wyglądały na stuprocentowo autentyczne. Wjechali windą na trzecie piętro, ale już nią nie zjechali. Znaleźliśmy otwarte drzwi wyjścia awaryjnego. - W głosie Delona zabrzmiała nuta hysterii. - Powiadam ci, Joe, to było prawdziwe piekło. Do tej pory ludzie nie otrząsnęli się jeszcze z szoku.

- Czy tylko ty pełnisz służbę?

- Nie. Jest ze mną Reauld z Sekcji Belgijskiej. Niedługo obejmuje dyżur. Teraz rozmawia z drugiego aparatu ze swoimi szefami o tych legitymacjach, ale na razie niczego nie udało się ustalić.

- Kto był wtedy przy drzwiach?

- Jeden z naszych, młody chłopak. Trzy miesiące temu przysłali go nam z jakiejś dziury na północy Francji. Zażądam, żeby zabrali go sobie z powrotem, bo idiota nawet nie kazał tym dwóm wpisać się do książki wejść.

- A może przynajmniej zapamiętał, jak wyglądali?

- Padał dość gęsty śnieg, więc mieli postawione kołnierze płaszczy. Obaj wysocy, jasnowłosi, w wieku około trzydziestu lat. To wszystko. Nie odezwali się ani słowem, tylko pokazali legitymacje. Sprawiali wrażenie doskonale zorientowanych w rozkładzie wnętrza.

- O której Reauld przejmuje dyżur?

- Za pół godziny. Wybuch był tak silny, że usłyszał go w swoim mieszkaniu i przyszedł wcześniej, żeby zobaczyć, co się stało. - Delon umilkł na chwilę, po czym dodał: - Wciąż próbuję skontaktować się z Petersem, ale nikt u niego nie odbiera. To samo u ciebie. Aha, tuż przed eksplozją Ferguson otrzymał ściśle tajną depeszę.

- Skąd?

- Z Ameryki Południowej. Przyniósł mu ją de Vries, a zaraz potem nastąpił wybuch. Wydaje mi się, któryś z was, ty albo Peters, powinien ją zobaczyć.

- Czego dotyczy?

- Wolę nie mówić o tym przez telefon. Na szczęście zdobyłem kopię z centrali łączności.

- Czy w budynku jest ktoś z Sekcji Niemieckiej?

- Jeden albo dwóch ludzi - odparł Delon. - Dlaczego pytasz?

- Nikomu nie pokazuj tej depeszy, rozumiesz? Pod żadnym pozorem. Po prostu nie masz jej, o niczym nie wiesz, i już.

- W porządku.

- Spotkamy się w moim mieszkaniu przy Quai Ernest. Przyjedź tam, jak tylko skończysz służbę, ale nikomu nie mów, że jesteś ze mną umówiony. I nie zapomnij przywieźć depeszy.

- Co tu się właściwie dzieje, Joe?

- Na razie o nic nie pytaj, tylko rób, co ci mówię. - Joseph podał Francuzowi dokładny adres, po czym zapytał: - Kiedy po raz ostatni widziałeś Petersa?

- Po południu, z jakąś dziewczyną. Coś nie w porządku?

- Nie wiem, Andre. Wkrótce się przekonamy.

Dotarcie na Quai Ernest zajęło Volkmannowi niespełna dwie minuty. Na podwórzu stało lekko przysypane śniegiem volvo Petersa. Biały puch nie zdążył jeszcze zatrzeć śladów dwóch osób wiodących od samochodu w kierunku wejścia do budynku.

Wszedłszy na piętro zawahał się i przystanął. Drzwi jego mieszkania były zamknięte, lecz z wnętrza dobiegały jakieś przytłumione, trudne do zidentyfikowania odgłosy. Joseph nie włożył klucza do zamka, tylko nacisnął przycisk dzwonka. Po chwili uczynił to powtórnie, a kiedy i tym razem nikt nie zareagował, wycofał się po cichu do schodów i wrócił do samochodu po pistolet.

Beretta leżała tam, gdzie ją zostawił: pod fotelem kierowcy. Odbezpieczywszy broń wsunął ją do kieszeni, po czym przeszedł na skraj podwórza, skąd widać było okna jego mieszkania. W pokoju świeciło się światło; sądząc po ledwo dostrzegalnym migotaniu, działał także telewizor. To tłumaczyłoby, skąd wzięły się zagadkowe odgłosy. W sypialni płonęła żółtym blaskiem nocna lampka, ale na tle zasłoniętych okien nie było widać żadnego poruszenia. Czując, jak serce łomocze mu gwałtownie w piersi, wszedł do budynku i ponownie wspiął się po schodach na

piętro.

Tym razem nie dzwonił, tylko najciszej jak mógł otworzył zamek, po czym wślizgnął się do wnętrza z bronią gotową do strzału. Niemal od razu poczuł charakterystyczną, ostrą woń kordytu. Pierwsze kroki skierował do pokoju; widok, jaki tam ujrzał, sprawił, że ugięły się pod nim nogi.

Nieruchome ciało Petersa leżało przewieszane przez fotel. Krew była niemal wszędzie: na kanapie, fotelu, dywanie, nawet na zasłonach. Jeden pocisk trafił Petersa w czoło tuż nad prawym okiem, dwa inne w klatkę piersiową. Volkmanna ogarnęła potworna wściekłość, której towarzyszyły rozpacz i lęk. Zbliżył się do trupa, po czym, rozglądając się ostrożnie we wszystkie strony, dotknął jego przegubu. Ciało było już zupełnie zimne.

Przeszukanie pozostałych pomieszczeń zajęło mu niespełna piętnaście sekund. Kiedy skończył, po czole spływały mu krople lodowatego potu. Drzwi sypialni zostały wyłamane siłą, telefon zrzucony na podłogę, obok łóżka leżał pantofel Eriki. Fakt, że nie znalazł jej ciała, w pierwszej chwili napętnił go otuchą, zaraz potem jednak poczuł strach. Wściekłość nie opuszczała go ani na moment.

Długo, bardzo długo stał bez ruchu pośrodku pokoju, wpatrzony w krwawą scenę. Zdawał sobie sprawę, że dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i że powinien jak najszybciej podjąć działanie, by ją uwolnić, ale opanowała go całkowita niemoc. Wiedział tylko tyle, że porwali ją ludzie Kessera, nie miał natomiast pojęcia, jak mógłby jej pomóc.

Dopiero po kilku minutach zdołał zapanować nad uniemożliwiającą racjonalne myślenie żądzą zemsty, zabezpieczył pistolet, schował go do kieszeni, następnie zaś przyniósł z łazienki ręcznik i nakrył nim twarz Petersa.

Potem usiadł przy drzwiach na krześle, czekając na Delona.

Volkmann na chwilę zdjął zakrwawiony ręcznik, po czym położył go z powrotem na twarzy trupa.

Francuz stał jak rażony piorunem, kurczowo zaciskając pięści i wpatrując się z niedowierzaniem w zwłoki Petersa.

- Boże...

Potrząsnął głową, jakby wciąż nie wierzył własnym oczom, a następnie rozejrzał się po zdemolowanym pokoju.

- Nie żyje co najmniej od kilku godzin - powiedział cicho Volkmann.

- Kto to mógł zrobić?

- Ci sami ludzie, którzy zabili Fergusona.

Andre był tak wstrząśnięty, że Volkmann zaczął się obawiać, iż Francuz zaraz zemdleje. Jednak po krótkiej chwili Delon opanował się i skierował na Josepha przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu.

- Joe, chyba powinienes mi wyjaśnić, co się właściwie dzieje - powiedział rzeczowym tonem.

Volkmann puścił jego słowa mimo uszu.

- Przyniosłeś depezę? - zapytał.

Delon zawahał się, wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza złożoną na pół kopertę, otworzył ją i wręczył Josephowi.

- Jeśli uznasz, że ta informacja ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią Fergusona i Petersa, byłoby dobrze, gdybyś wprowadził mnie w sprawę. Bądź co bądź, mnie ona także dotyczy.

Volkmann spojrzał Delonowi w oczy, ale nic nie powiedział, tylko wyjął z koperty pojedynczą kartkę i przebiegł wzrokiem treść depezy.

DO: Szef Sekcji Brytyjskiej DSE.

OD: Komendant Seguridad Paraguaya, Asunción.

STATUS: ściśle tajne, pilne.

(1) Z przykrością informujemy o śmierci kapitana Vellaresa Sancheza i detektywa Eduardo Cavalesa. Obaj zginęli 20 grudnia w Mexico City około godz. 20.00, w trakcie policyjnej operacji prowadzonej w dzielnicy Chapultepec. Celem operacji było zatrzymanie Franza Liebera alias Juliusa Moncka z Asunción. Lieber, który miał bliskie powiązania z Nicolasem Tsarkinem, także poniósł śmierć na miejscu. Dwaj ludzie, którzy przebywali z nim na terenie posiadłości, zdołali

wymknąć się obławie. Obaj są rasy białej, nazywają się Karl Schmeltz i Hans Kruger. Sprawą zajmuje się obecnie inspektor Gonzales z Mexico City. Jego zdaniem obaj mężczyźni opuścili już terytorium Meksyku. Posiadłość, na której doszło do strzelaniny, stanowi własność niejakiego Josefa Haldera, naturalizowanego obywatela Meksyku, przed laty poszukiwanego w związku z oskarżeniami o popełnienie licznych zbrodni wojennych. Halder także poniósł śmierć podczas akcji. Śledztwo trwa, ewentualne dalsze informacje na ten temat prześle inspektor Gonzales z Mexico City.

(2) Wśród zatrzymanych w trakcie wspomnianej operacji znajduje się Ernesto Brandt, obywatel Brazylii. Co prawda jak do tej pory odmawia współpracy z policją, ale pierwszy sekretarz Ambasady Brazylii w Meksyku potwierdził, że Brandt uczestniczył w prowadzonych na zlecenie rządu pracach badawczych nad pokojowym wykorzystaniem energii jądrowej i był zamieszany w aferę związaną ze zniknięciem 12 kilogramów wzbogaconego plutonu. Śledztwo w toku.

Volkman powoli złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

- Więc jak? - zapytał niecierpliwie Delon. - Czy to ma coś wspólnego z tym...

Nie dokończył, tylko wskazał ruchem głowy nieruchome ciało Petersa.

- Tak - odparł po prostu Volkman.

- W takim razie wydaje mi się, że sprawa przerasta nas co najmniej o głowę.

Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, Joe?

- Czy ktoś jeszcze widział tę depezę? - zapytał Joseph, ignorując uwagę Francuza.

- Tylko de Vries.

- Wobec tego wysłuchaj mnie, zanim skontaktujesz się z kimkolwiek. Ludzie, którzy to zrobili, którzy zamordowali Fergusona i Petersa, uprowadzili pewną osobę.

- Kogo?

- Dziewczynę, Niemkę. Tę samą, którą widziałeś z Petersem, kiedy wychodził z budynku. Zatrzymała się u mnie, on zaś miał ją chronić.

Delon zmarszczył brwi.

- Kim ona jest?

- Dziennikarką. To ona nadała nam tę sprawę. - Volkmann poklepał się po kieszeni, do której schował depezę. - Właśnie dlatego ją porwali. Ten, kto za tym stoi, chce wiedzieć z kim rozmawiała i z kim podzieliła się swoimi podejrzeniami. Ci dwaj policjanci zabici w Mexico City, Sanchez i Cavales, też zajmowali się tą sprawą.

Delon zerknął niepewnie na zwłoki Petersa, po czym spojrzał na Volkmana i bezradnie rozłożył ramiona.

- Nadal nic nie rozumiem, Joe. Kto to właściwie zrobił?

- Neonaziści - odparł Joseph głuchym tonem. - Ci Niemcy, o których sprawdzenie prosiłem cię niedawno - ciągnął, nie zwracając uwagi na wyraz zdumienia malujący się na twarzy Francuza. - Nie wiem, dlaczego konkretnie zamordowali tamtych dwóch, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że to wszystko ma ze sobą ścisły związek.

- A więc chcesz powiedzieć, że zabójcy Fergusona i Petersa są w posiadaniu plutonu, który zaginął w Brazylii?

- Tak jest. Oraz że co najmniej od roku przemycają go w niewielkich porcjach do Europy. Ostatni transport dotarł do Genui zaledwie kilkanaście dni temu.

Volkmann opowiedział w skrócie Delonowi o wydarzeniach, jakie niedawno miały miejsce we Włoszech, a także o taśmie z rozmową zarejestrowaną w Asunción przez Rudiego Hernandeza.

Delon poblądł wyraźnie, przez chwilę milczał, po czym zapytał z oburzeniem:

- Dlaczego wcześniej nas nie zawiadomiliście? Zresztą nie tylko nas; to sprawa dla całego DSE, Interpolu i Bóg wie, kogo jeszcze!

- Ponieważ do tej pory nie miałem pojęcia, że chodzi o materiały rozszczepialne. Przez cały czas podejrzewaliśmy, że przemycają broń albo złoto, ale żeby pluton... Dopiero teraz fragmenty tej cholernej łamigłówki zaczynają tworzyć jakąś sensowną całość.

Francuz potrząsnął głową.

- A więc sam rozumiesz, że muszę zawiadomić przełożonych. To zbyt

poważna sprawa.

- Proszę cię, daj mi trochę czasu. Jeden Bóg wie, co się zdarzy, jeśli ci ludzie dowiedzą się, że odkryliśmy ich tajemnicę.

Delon skierował na Volkmana pytające spojrzenie.

- Co masz na myśli? W jaki sposób mieliby się dowiedzieć?

- Jestem pewien, że planują zamach stanu.

Delon pobrał jeszcze bardziej i powoli pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że coś takiego jest możliwe.

- Skąd... Skąd o tym wiesz? - zapytał ochrypłym szeptem.

- Nieważne, skąd wiem, ważne, że tak się właśnie stanie. Ta depeza stanowi ostateczny dowód. Ludzie, o których w niej mowa, mają zwolenników i sympatyków w niemieckiej policji, armii oraz rządzie. Gdybyś przekazał informację do Sekcji Niemieckiej, jestem całkowicie pewien, że w bardzo krótkim czasie nastąpiłby przeciek.

Francuz przyglądał mu się z powątpiewaniem.

- A po co im ten pluton?

- Żeby odstraszyć tych, którzy ewentualnie zamierzaliby interweniować. To jedyne logiczne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Niemcy nie mają własnej broni nuklearnej, a gdyby tym zbrodniarzom udało się ją zdobyć, byłiby zdolni do wszystkiego.

Delon powoli podszedł do kanapy i opadł na nią z ciężkim westchnieniem. Na jego otwartej, przystojnej twarzy malował się wyraz głębokiego namysłu. O niezdecydowaniu Francuza świadczyły także poruszenia jego rąk: zacierał je przez chwilę, złączył za głową, wreszcie ukrył twarz w dłoniach.

Volkman obserwował go w milczeniu. Postanowił oszczędzić mu rewelacji o Schmeltzu, gdyż nadmiar zdumiewających wiadomości mogłoby utrudnić młodemu człowiekowi podjęcie decyzji. Delon bardzo długo siedział na kanapie z pochyloną głową, a kiedy wreszcie podniósł ją i spojrzał na Josepha, wyglądał jak człowiek, który właśnie wyszedł z głębokiego szoku.

- Nie mogę, Joe - powiedział cicho, ale bez wahania. - Naprawdę nie mogę. To za duże ryzyko. Zbyt wiele ode mnie żądasz. - Niebieskie oczy zdawały się błagać o litość. - Ta dziewczyna... Zależy ci na niej?

- Tak.

- A więc masz emocjonalny stosunek do sprawy, a to uniemożliwia ci podejmowanie racjonalnych decyzji. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Joseph zdecydowanie pokręcił głową.

- Mylisz się, Andre. Daję ci słowo.

- Wobec tego odpowiedz mi na takie pytanie: Na jakie poparcie mogą, twoim zdaniem, liczyć ci ludzie?

- Nie wiem, ale jeśli zdobyli broń atomową, to nie muszą mieć żadnego poparcia. Cały kraj, wszyscy jego obywatele staną się ich zakładnikami.

Delon zastanawiał się przez chwilę.

- Twierdzisz, że potrzebujesz czasu; co konkretnie zamierzasz zrobić?

- Jeden z nich, niejaki Kesser, mieszka w Monachium. Całkiem możliwe, że wie, gdzie ukryto materiał rozszczepialny. Daj mi osiem godzin. Jeśli zdobędę tę informację, natychmiast do ciebie zadzwonię, a tymczasem skontaktuj się osobiście ze wszystkimi szefami sekcji, ale unikaj jak ognia Sekcji Niemieckiej. Powtórz im to, czego dowiedziałeś się ode mnie. W Berlinie są ludzie, którym mogę zaufać, ale z nimi też wolę rozmawiać w cztery oczy. W tej chwili najważniejsze jest odnalezienie plutonu. Uruchom naszych ludzi. Pokaż im depezę z Asunción i zawiadom o moich planach.

- Jak sądzisz, kiedy ma nastąpić ten zamach?

- Moim zdaniem już niedługo. Zbliżają się święta, we wszystkich armiach mnóstwo żołnierzy i oficerów dostaje przepustki, czujność nie jest taka jak zwykle... Nikt nie będzie się tego spodziewał,

- A co się stanie, jeśli minie te osiem godzin, a ty nie dasz znaku życia?

- Wtedy sprawą muszą się zająć rządy naszych krajów. Mam nadzieję, że nie będą się wahać, nawet gdyby trzeba było dokonać inwazji, by powstrzymać tych

szaleńców.

Francuz westchnął ciężko i otarł czoło. Joseph wiedział już, że zwyciężył.

- Mogę zatrzymać depeszę? - zapytał.

- Oczywiście. To kopia, oryginał został w sejfie w podziemiach.

- Podaj mi numer, pod którym będę mógł cię złapać. Delon wręczył Volkmannowi świstek z nagryzmołonym pospiesznie numerem telefonu.

- Ten jest do domu, na wypadek gdyby nie udało ci się dodzwonić do biura. Po wybuchu szlag trafił prawie wszystkie linie, ale sytuacja stopniowo wraca do normy. Spotkam się z szefami sekcji i powiem im, co jest grane. Mam nadzieję, że mi uwierzą. - Spojrzał z niepokojem na Josepha. - Jesteś pewien, że nie potrzebujesz wsparcia?

Volkmann pokręcił głową.

- Nie ma na to czasu, Andre. Trzeba działać.

- I nadal uważasz, że to najlepszy sposób?

- Nie wiem, czy najlepszy, ale na pewno jedyny.

- W takim razie trzymam za ciebie kciuki, przyjacielu.

Volkmann obliczył, że jadąc cały czas autostradą, zamiast co prawda krótszą, ale wąską i krętą drogą przez Schwarzwald, powinien dotrzeć do Monachium w ciągu trzech godzin.

Koło Ulm zaczął prószyć śnieg, w okolicach Augsburga zaś rozpętała się prawdziwa śnieżycą. Temperatura chyba spadła do zera, ponieważ na polach gromadziła się coraz grubsza warstwa białego puchu.

Ruch na autostradzie był niewielki. Za Augsburgiem Joseph dogonił jadącą powoli prawym pasem kolumnę złożoną z sześciu wojskowych ciężarówek wypełnionych żołnierzami oraz trzech wozów sztabowych. Zwolnił nieco, usiłując odczytać oznaczenia na drzwiach ciężarówek, ale uniemożliwił mu to padający gęsto śnieg. Kwadrans później zatrzymał się na stacji benzynowej i zadzwonił z automatu; rozmowa trwała niespełna minutę.

Wsiadłszy do samochodu uruchomił silnik, po czym spojrzął na zegarek. Było

piętnaście po dziesiątej.

Rozdział 53

Berlin godz. 20.15

Zefir Ozalid wysiadł na stacji Wannsee z zatłoczonego wagonika kolei miejskiej.

Ubrany w grube palto, z wełnianym szalikiem na szyi, w rękawiczkach, niezwłocznie ruszył w kierunku jeziora, by zniknąć w cieniu między dwiema oddalonymi od siebie latarniami. W ręku trzymał czarną teczkę. Z miejsca, w którym się zatrzymał, widać było molo oraz czarne sylwetki łodzi wyciągniętych na brzeg. Od strony jeziora wiał przenikliwy wiatr, ale Turek nie czuł chłodu; jego serce pracowało w przyspieszonym rytmie, pompując w tętnice gorącą krew.

Przy wyjściu ze stacji obejrzał się dyskretnie, aby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Teraz uczynił to powtórnie, zapalając papierosa.

Był sam, jeśli nie liczyć kilkudziesięciu osób, które o tej późnej porze wracały z miasta do domu, ale żadna z nich nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Zaczekał jeszcze trochę, po czym skręcił w wąską uliczkę biegnącą równoległe do brzegu jeziora. Dziesięć minut później dotarł na miejsce.

Na parterze płonęło światło, w jednym z okien zaś stała przystrojona choinka, ale lampa na ganku była wyłączona. Okrążył teren posesji, znalazł drewnianą furtkę w ogrodzeniu, sięgnął ręką na drugą stronę, podniósł haczyk i prześlizgnął się przez wąską szczelinę. Zamykając za sobą furtkę rozglądał się uważnie dokoła, lecz nie zauważył niczego podejrzanego. Przed wzrokiem ciekawskich sąsiadów chronił go gęsty wysoki żywopłot.

Tyłna część budynku była nie oświetlona, lecz wzrok szybko przyzwyczał się do ciemności, dzięki czemu Ozalid bez trudu dostrzegł otwarte piwniczne okienko. Okazało się na tyle duże, że bez trudu wcisnął się do środka. Miętko zeskoczył na betonową posadzkę, otrzepał spodnie, starannie zamknął za sobą okno, po czym

wyjął z kieszeni ołówkową latarkę i poświecił dokoła.

Ściany były pomalowane na zgniłozielony kolor, a przy jednej z nich, tej najbardziej oddalonej od okna, stało pięć drewnianych skrzyń. Nieco bliżej, w kącie pomieszczenia, ustawiono sfatygowaną kanapę pokrytą czerwonym pluszem. Na górę prowadziły proste drewniane schody. Turek postawił teczkę na podłodze i szybko ruszył po schodach, stawiając stopy blisko bocznej krawędzi stopni, aby uniknąć skrzypienia.

Ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi uchylły się na kilka centymetrów, a wówczas z głębi domu dotarły przytłumione dźwięki muzyki. Mężczyzna poczuł na twarzy podmuch ciepłego powietrza przesyconego zapachem perfum. Nigdzie nie widział dziewczyny, ale domyślił się, że jest na piętrze, w jednej z sypialni.

Delikatnie zamknął drzwi, wrócił do piwnicy, podszedł do kanapy, otworzył ją i poświecił latarką do środka. Jego oczom ukazały się wymięte, wrzucone byle jak, kobiece ubrania: swetry, bluzki, spódnice, a także koronkowa bielizna. Opuściwszy siedzisko, opadł na nie ciężko, położył teczkę na kolanach, otworzył ją, a następnie wyjął z niej berettę, tłumik oraz dwa pełne magazynki. Zamknawszy teczkę, położył ją obok siebie na wysiedzianych poduszkach.

Założenie tłumika i wsunięcie magazynka zajęło mu kilkanaście sekund. Drugi magazynek trafił do lewej kieszeni płaszcza. Upewnił się, czy pistolet jest zabezpieczony, lecz nie schował go, tylko położył na kolanach.

Z samego rana wyszedł z małego hoteliku przy Witzleben i przyjechał do Wannsee, by przyjrzeć się domowi i otaczającemu go ogrodowi oraz porównać stan faktyczny z planami i zdjęciami, które otrzymał w Sztokholmie od Niemca. Poświecił ponad godzinę na spacer wąskimi uliczkami wijącymi się przez malownicze osiedle nad brzegiem jeziora, po czym wrócił do hotelu i zamknął się w pokoju. Godzinę później rozległo się pukanie do drzwi.

Młody jasnowłosy człowiek, który stał w hotelowym korytarzu, najpierw zmierzył go uważnym spojrzeniem, potem zaś wręczył pakunek zawinięty w zwykły brązowy papier, odwrócił się i odszedł bez słowa. Ozalid natychmiast rozpakował

przesyłkę; zawierała lśniąca naoliwioną berettę, tłumik oraz dwa magazynki z pociskami kalibru 9 mm, wszystko w przezroczystej foliowej torbie.

Doskonale znał tę broń, ponieważ nie tak dawno przez prawie dziesięć godzin ćwiczył się w strzelaniu z niej w lesie niedaleko Sztokholmu. Nieruchomy cel, odległość dwanaście kroków. Okazał się zaskakująco dobrym strzelcem, choć w duchu przypuszczał, iż miało to związek nie tyle z wrodzonymi zdolnościami, co raczej z solidną motywacją.

Starannie sprawdził działanie mechanizmu spustowego, wyjął pociski z magazynków, włożył je ponownie, następnie umieścił broń w teczce wypełnionej specjalnie uformowaną wkładką z pianogumy. Uporawszy się z tym zadaniem, położył się na wznak, po czym wypalił kolejno cztery papierosy. Zamknął oczy, usiłując zasnąć, lecz był zanadto podekscytowany. Wstał więc z łóżka, przeszedł do łazienki, ogolił się i wziął gorącą kąpiel. Przeleżał w wannie prawie godzinę, powtarzając w myślach cały plan, aż wreszcie rozbolała go głowa. Wyszedł z wanny, wytarł się i założył czyste ubranie.

Co prawda nie miał ze sobą niebieskiego dywanika, na którym zwykle odprawiał modły, ale przesunął na środek pokoju wąski kawałek wykładziny leżący na podłodze przy łóżku, ukląkł zwrócony twarzą w kierunku Mekki i z namaszczeniem odprawił doskonale znany, przynoszący ukojenie rytuał. Na koniec zmówił jeszcze jedną, dodatkową modlitwę za Laylę, dotknął czołem podłogi i dziarsko poderwał się na nogi. Pięć minut później podązał z teczką w rękę w kierunku stacji szybkiej kolei miejskiej.

Teraz, siedząc na sfatygowanej kanapie w chłodnej piwnicy, spojrzał na zegarek. Była ósma czterdzieści pięć. Jeszcze cztery godziny.

Za cztery godziny Dollman umrze, a Layla zostanie pomszczona.

Wyłączywszy latarkę, siedział cierpliwie w ciemności, wsłuchany w szmer swojego oddechu i przytłumione dźwięki muzyki dobiegające z głębi domu.

Monachium

Dokładnie za kwadrans jedenasta Volkmann zatrzymał samochód przed

skromną willą w dzielnicy Starnberg.

W chwili, gdy wyłączył silnik, ujrzał Iwana Molke, czekającego na niego na ganku. Starszy mężczyzna nie tracąc czasu zaprowadził go do gabinetu o ścianach obitych ciemną boazerią. W niewielkim kominku płonął ogień.

- Co się właściwie stało, Joe? - zapytał gospodarz, kiedy usiedli w fotelach. - Przez telefon byłeś bardzo tajemniczy. Czy to ma jakiś związek z wydarzeniami w Strasburgu? Widziałem relację w dzienniku.

Volkman długo wpatrywał się bez słowa w twarz Niemca, a kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie bez trudu dało się usłyszeć tłumione emocje. Wyjaśnienie sytuacji zajęło mu pięć minut; w tym czasie wyraz twarzy Molkego zmieniał się niemal bez przerwy, od niedowierzania poczynając, na lęku kończąc. Gdy opowieść Josepha dobiegła końca, Niemiec spojrzał na przyjaciela szeroko otwartymi oczami.

- Czy to jakiś absurdalny żart?

- Nie, Iwan. Przecież znasz mnie i wiesz, że nie żartowałbym w taki sposób.

Molke pokręcił powoli głową, a następnie sięgnął po leżące na stoliku pudełko papierosów, wyjął jednego, włożył do ust i zapalił. Płomień zapalniczki drżał jak czerwony jesienny liść.

- Mój Boże... - westchnął, wypuszczając z ust kłęb dymu. Jego twarz przypominała barwę kredę. - Czy to pewne, jeśli chodzi o tę dziewczynę z fotografii?

- Hannah Richter nie miała najmniejszych wątpliwości. Cała reszta to tylko domysły, ale chyba sam przyznasz, że tworzą logiczną całość. Dopiero teraz fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować.

- Karl Schmeltz synem Adolfa Hitlera? - Molke ponownie pokręcił głową, po czym wstał z fotela. - To szaleństwo, Joe - ciągnął drżącym głosem. - Owszem, mogę sobie wyobrazić próbę zamachu stanu w wykonaniu neonazistów, ale nie nowego Hitlera. W żaden sposób, Joe. Naprawdę.

Volkman bez słowa wyjął z kieszeni kopię depezy nadesłanej z Asunción i wręczył Molkemu, który przeczytał ją raz, potem drugi, by wreszcie oderwać wzrok od kartki, podejść wolnym krokiem do kominka i zapatrzeć się w ogień nie

widzącym spojrzeniem. Minęła co najmniej minuta, zanim wreszcie odwrócił się do Volkmana.

- Joe, powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz mi, że śnię, a to wszystko jest tylko sennym koszmarem.

- Wierz mi, sam chciałbym, żeby tak było.

- Myślisz, że ci, co śledzili moich chłopców, pracowali dla Kessera?

- Nie wiem, ale to całkiem możliwe. Czy od tamtego czasu ktoś deptał ci po piętach albo obserwował twój dom?

Molke pokręcił głową.

- Nikogo nie zauważyłem, a możesz być pewny, że miałem oczy dokoła głowy. Po tym, co spotkało moich ludzi, przedsięwzięłem odpowiednie środki ostrożności. - Molke wyjął z kieszeni spodni niewielkiego automatycznego browninga i pokazał go Josephowi. - Na wszelki wypadek nie rozstaję się z tym ani na chwilę. - Położył broń na biurku, po czym zapytał przyciszonym głosem: - Domyślasz się, gdzie teraz może być dziewczyna?

- Na pewno w rękach ludzi Kessera. O ile jeszcze żyje, ma się rozumieć.

- A gdzie się podziewa Schmeltz? Volkman wzruszył ramionami.

- Po tym, co zdarzyło się w Meksyku, przypuszczalnie dotarł już do Niemiec albo będzie tu lada chwila.

Molke długo przyglądał się w milczeniu przyjacielowi, a następnie zapytał:

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Czy znasz kogoś godnego zaufania w ministerstwie spraw wewnętrznych? Kogoś stuprocentowo uczciwego i nie skorumpowanego?

- Aż tak daleko bym się nie posunął - mruknął Molke. - To w większości karierowicze gotowi wykorzystać każdą nadarzącą się okazję do awansu, ale jeden z nich wydaje mi się przyzwoitszy od pozostałych. Nazywa się Grinzing i być może zechce mnie wysłuchać.

- Wobec tego jeszcze dziś w nocy dostarczysz mu do rąk własnych list, w którym będzie spisane wszystko, czego się ode mnie dowiedziałeś, z wyjątkiem

informacji dotyczących Karla Schmeltza. Bez wątpienia ów Grinzing będzie wypytywał cię o mnie; szczególnie o to, czy nie jestem szaleńcem. Możesz mu powiedzieć, kim jestem i co robię, możesz mu powiedzieć, co zechcesz, byle tylko uwierzył. - Joseph spojrział Molkemu prosto w oczy. - Znasz mnie, Iwan. Przez cztery lata pracowaliśmy razem w Berlinie. Wiesz, że możesz mi zaufać. Powiedz mu to, kiedy o mnie zapyta, ale przede wszystkim uświadom mu, jak wiele zależy od jego reakcji. Jeśli chce, może sprawdzić autentyczność depeszy w Strasburgu, a przy okazji uzyskać informacje na mój temat.

- Dlaczego nie chcesz, żebym powiedział mu o Schmeltzu?

- Bo w to na pewno by nie uwierzył, a nie mamy czasu na to, by go przekonywać. Nie wiem, kiedy tamci zamierzają rozpocząć akcję, ale wiele wskazuje na to, że już niedługo.

- Co będzie, jeśli Grinzing jednak mi nie uwierzy?

- Wtedy spróbujesz dotrzeć do swoich znajomych w Berlinie oraz w bawarskim Urzędzie Ochrony Konstytucji. Powtórzysz im słowo w słowo to samo; może wśród nich znajdzie się ktoś obdarzony wystarczającą wyobraźnią, żeby zacząć działać?

- Naprawdę tak myślisz? Volkmann pokręcił głową.

- Sam już nie wiem, co myślę, ale nie ulega wątpliwości, że jesteś moją jedyną nadzieją.

- Co ty będziesz robił w tym czasie?

- Pojadę do Kessera. Nawet jeśli go nie zastanę, to może przynajmniej uda mi się złapać jego dziewczynę. Ona też może coś wiedzieć. Jeśli jej także nie będzie, pojadę prosto na Kaalberg.

- Po co?

- Żeby znaleźć Kessera. Wydobędę od niego plany operacji, a także nazwiska ludzi ze szczytów władzy, którzy popierają zamachowców.

Molke energicznie potrząsnął głową.

- Nie ma mowy, Joe. Przecież sam widziałeś ogrodzenie i uzbrojonych

strażników. To zbyt niebezpieczne. Weź ze sobą paru moich ludzi, żeby cię osłaniali.

- Nie ma już na to czasu, Iwan. Poza tym jeden człowiek łatwiej się prześlizgnie niż kilku. Ty tylko dostarcz list, nic więcej.

Molke westchnął, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz przyjaciela, by wreszcie otrzeć pot z czoła i bezradnie wzruszyć ramionami.

- Wiesz, nigdy nie przypuszczałem, że w Niemczech może znowu dojść do czegoś takiego. Przynajmniej nie za mojego życia. Jasne, nigdy nie brakowało zidiociałych ekstremistów, którzy podpalali schroniska dla imigrantów i wywoływali zamieszki, kretynów z ogolonymi na łyso łbami, którzy w każdą rocznicę urodzin Hitlera maszerowali z rękami podniesionymi w nazistowskim pozdrowieniu, ale...

Iwan Molke przerwał w pół zdania, ponownie pokręcił głową i zdusił niedopałek papierosa w popielniczce stojącej na biurku.

Joseph starał się nie myśleć o Erice, lecz wspomnienie jej ślicznej twarzy o wielkich niebieskich oczach towarzyszyło mu przez całą drogę do mieszkania Kessera przy Leopoldstrasse. Kiedy dotarł tam dwadzieścia minut później, śnieg przestał padać. Wysiadł z samochodu, usiłując narzucić sobie spokój, skupić się na czekającej go konfrontacji z Kesserem lub dziewczyną.

W oknach okolicznych domów stały choinki przystrojone bombkami i migającymi lampkami, ale w mieszkaniu Kessera było ciemno. Z parkingu zniknął także szary volkswagen. Volkmanna zaniepokoiła myśl, która wcześniej nie przyszła mu do głowy: co będzie, jeśli nikogo nie zastanie w mieszkaniu?

Sprawdził, czy ma w kieszeni pistolet, za pomocą jednego z kluczy dostarczonych przez Molkego otworzył drzwi wejściowe do budynku i wszedł na klatkę schodową.

Zatrzymawszy się przed drzwiami mieszkania, zastukał mocno raz, potem drugi i trzeci. Ponieważ nikt nie zareagował, przekręcił klucz w zamku i wślizgnął się do środka.

Panowała tam całkowita ciemność. Nacisnął włącznik, lecz bez efektu, a

sekundę później oślepił go blask silnej latarki trzymanej przez kogoś nie dalej niż dwa metry od jego twarzy. Błyskawicznie sięgnął do kieszeni po pistolet, lecz zanim zdążył go wyciągnąć, poczuł silne uderzenie w tył głowy, potem jeszcze jedno w szczękę. Padając na podłogę odniósł wrażenie, jakby w lewe ramię ukąsił go jakiś owad.

Mimo wszystko nie stracił przytomności, lecz niewiele mógł działać, kiedy kilkoro silnych ramion zamknęło go w niemożliwym do rozerwania uścisku i zniosło na dół. Otworzyły się drzwi samochodu, Joseph został brutalnie wepchnięty do środka, chwilę później zaś zakręciło mu się w głowie i runął w bezdenną otchłań wypełnioną przeraźliwie jaskrawym światłem.

Odzyskawszy świadomość, zobaczył poruszające się rytmicznie wycieraczki oraz oświetloną blaskiem reflektorów zaśnieżoną drogę. Spróbował poruszyć głowę, ale natychmiast zrezygnował, ponieważ umiejscowiony w tylnej części czaszki ból był tak silny, że przez chwilę zrobiło mu się czarno przed oczami. Do jego uszu docierał warkot silnika pracującego na wysokich obrotach; samochód piął się powoli stromą drogą poprowadzoną serpentynami po zboczu jakiegoś wzniesienia. Joseph spojrzął w bok, ale nawet ten wysiłek okazał się zbyt wielki.

Na chwilę przed ponowną utratą przytomności Volkmann dostrzegł jeszcze pistolet w ręku siedzącego obok niego mężczyzny.

Rozdział 54

Kwadrans przed północą Iwan Molke ujrzał czarne BMW zajeżdżające przed rezydencję w Bogenhausen, eleganckiej dzielnicy Monachium, położonej po drugiej stronie Izery.

Przez telefon powiedziano mu, że Johann Grinzing uczestniczy w świątecznym przyjęciu wydanym w hotelu Steigenberger na Hofplatz. Natychmiast zadzwonił tam, tylko po to, by dowiedzieć się po kilkuminutowym oczekiwaniu, że Grinzinga już nie ma, ponieważ postanowił wrócić wcześniej do domu. Molke

wsiadł więc w samochód, nie zważając na śliską nawierzchnię pomknął na drugą stronę Izery i zatrzymał się przed bramą wjazdową na teren rezydencji. Pokazał legitymację policjantowi siedzącemu w przeszklonej budce, ten zaś połączył się z kolegą w willi. Okazało się, że Grinzing jeszcze nie dotarł z przyjęcia. Molke poinformował policjanta, że zaczeka w samochodzie, tamten zaś przyjrzał mu się nieufnie, po czym co kilka minut oświetlał wóz silną latarką, aby upewnić się, że Iwan jest sam. Kilka minut później od strony willi nadszedł funkcjonariusz w cywilu, jak się okazało, stary znajomy Molkego.

- Cześć, Iwan - powiedział, pochylając się do otwartego okna po stronie kierowcy. - Co jest grane?

- Czekam na Grinzinga. Mam do niego interes.

- Jesteś umówiony?

- Nie.

- Wobec tego nie możesz tu sterczeć, chyba że sam Grinzing się na to zgodzi.

Na szczęście właśnie w tej chwili przed okazały budynek zajechało czarne BMW, po minucie umundurowany policjant jeszcze raz połączył się z willą i Molke został wpuszczony na teren posiadłości. Grinzing czekał na niego w gabinecie. Zajmujące jedną ze ścian półki uginały się pod ciężarem kosztownych, oprawionych w skórę woluminów.

Czterdziestodwuletni Grinzing był wysoki, miał jasne przerzedzone włosy i wysokie czoło. W doskonale skrojonym garniturze, dobranym krawacie i nienagannie białej koszuli wyglądał na człowieka, którego pewność siebie ma mocne podstawy w odnoszonych przez niego sukcesach. Bardziej interesujący niż przystojny, cieszył się opinią lwa salonowego i zdobywcy serc kobiecych. Molke przypuszczał, że spora różnica czasu dzieląca chwilę, kiedy Grinzing opuścił przyjęcie w hotelu, do momentu przyjazdu do willi, wynikała z faktu, że po drodze złożył wizytę którejś z atrakcyjnych sekretarek zatrudnionych w ministerstwie. Słabość do kobiet z pewnością nie stanowiła zalety, lecz mimo to Molke uważał, że może mu zaufać.

Grinzing zapalił papierosa i usiadł za biurkiem, po czym wskazał gościowi jeden z głębokich skórzanych foteli, zerknął przelotnie na zegarek i spojrzał z zainteresowaniem na Molkego.

- Co cię sprowadza o tak późnej porze, Iwan? Jakież problemy?

Molke skinął głową.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- A więc słucham. - Grinzing ponownie spojrzał na zegarek. - Tylko streszczaj się, jeśli łaska. Jutro mam ciężki dzień, więc chciałbym w miarę wcześnie położyć się do łóżka, a tam też czekają mnie obowiązki. - Uśmiechnął się porozumiewawczo, ale widząc, że jego gościowi nie żarty w głowie, natychmiast spoważniał i zapytał: - Co mogę dla ciebie zrobić?

Molke sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął kopertę z listem, ale zanim wręczył ją gospodarzowi, spojrzał mu prosto w oczy.

- Dwie rzeczy możesz zrobić, Johann. Po pierwsze, wysłuchać mnie uważnie, po drugie, zapoznać się z zawartością tej koperty.

- A co w niej jest?

- Mój przyjaciel poprosił mnie o przekazanie jej komuś z bawarskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Komuś wpływowemu, a jednocześnie godnemu zaufania. Moim zdaniem właśnie ty jesteś taką osobą.

- Miło mi, ale nadal nic nie rozumiem.

- Mój przyjaciel nazywa się Joseph Volkmann i jest oficerem DSE.

Grinzing uniósł lekko brwi.

- Czy to ma coś wspólnego z bezpieczeństwem?

- Owszem.

- Bawarii czy całego kraju?

- Nas wszystkich. Właściwie powinienem pójść z tym prosto do Webera, ale nie znam nikogo, kto załatwiłby mi możliwość porozmawiania z nim w cztery oczy.

Grinzing zaciągnął się dymem, powoli wypuścił go z płuc, przez chwilę spoglądał w sufit, jakby zastanawiając się nad czymś głęboko, po czym skierował

wzrok na Molkego.

- W takim razie słucham.

- Przede wszystkim musisz wiedzieć o kilku rzeczach. Dziś po południu w siedzibie DSE w Strasburgu eksplodował silny ładunek wybuchowy.

Grinzing skinął głową.

- Słyszałem o tym przez radio. Czy to ma coś wspólnego ze sprawą, z którą do mnie przyszedłeś?

- Owszem. Być może słyszałeś też, że w wyniku wybuchu zginął szef Sekcji Brytyjskiej DSE, a jeden z jej pracowników został zastrzelony przez nieznaną sprawców?

- Tak, ale jeśli się nie mylę, zginął jeszcze jeden oficer.

- To właśnie Volkman. Postanowił chwilowo nie ujawniać się swoim szefom w Londynie.

Brwi Grinzinga powędrowały jeszcze wyżej.

- Mów dalej, proszę.

- Volkman jest stuprocentowo pewny. Przez kilka lat pracowałem z nim w Berlinie. To jeden z niewielu ludzi, którym bez wahania powierzyłbym swoje życie.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Ponieważ jestem pewien, że pierwszą rzeczą, jaką zrobisz po przeczytaniu listu, będzie zadanie mi pytania, czy ufam temu człowiekowi. Informuję cię więc zawczasu, że tak, ufam. Bardziej niż komukolwiek na świecie.

- W porządku - odparł zniecierpliwiony Grinzing. - Skończyłeś już z tym wstępem?

- Tak.

- Mogę więc zobaczyć list?

- Bardzo proszę.

Molke wręczył gospodarzowi kopertę, a ten rozerwał ją, wyjął złożone we czworo kartki, rozprostował je i pogrzyżył się w lekturze. Iwan dostrzegł krople potu zbierające się powoli na czole Grinzinga; polityk sprawiał wrażenie mocno

zaintrygowanego, ale szósty zmysł ostrzegał go przed wiszącym w powietrzu niebezpieczeństwem.

Trzy minuty później Grinzing odłożył list na biurko i zwrócił pobladłą twarz w stronę Molkego.

- Czy to ma być jakiś idiotyczny żart?

- Zapewniam cię, że nie.

- I nadal twierdzisz, że ufasz temu Volkmannowi? - zapytał z niedowierzaniem gospodarz.

- Już ci to powiedziałem, Johann. Najlepiej od razu uwierz we wszystko, co przeczytałeś, bo to stuprocentowa prawda.

Grinzing powoli pokręcił głową.

- Niewiarygodne... - Spojrzał na leżące przed nim kartki, a potem znów skierował wzrok na Molkego. - Naprawdę chcesz, żebym poszedł z tym do ministra spraw wewnętrznych i ostrzegł go przed grupą neonazistów, którzy weszli w posiadanie broni jądrowej i planują dokonanie zamachu stanu?

- Jeśli ty tego nie zrobisz, ja będę musiał spróbować. Zostało niewiele czasu, Johann. Kilka, najwyżej kilkanaście godzin.

- Gdzie teraz jest ten Volkmann?

- Tutaj, w Monachium.

Grinzing uderzył otwartą dłoń w list.

- Przecież zostanę wyśmiany! Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- A ty chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli ci ludzie wprowadzą w życie swoje plany, nasz kraj cofnie się o pięćdziesiąt lat i wszystko zacznie się od nowa?

- Doprawdy trudno w to uwierzyć. Nawet gdyby taki plan rzeczywiście istniał, nikomu nie uda się w ciągu kilku godzin zdemontować struktur silnego demokratycznego państwa! Tym razem to Molke spojrzał znacząco na zegarek.

- Mają poparcie wśród członków rządu i parlamentu, a także w siłach zbrojnych i policji. Gdyby tak nie było, nie zawracałbym ci głowy. Naprawdę niewiele trzeba, żeby pogрузić cały kraj w chaosie, a wtedy mogą wydarzyć się

różne rzeczy, w tym również takie, z jakimi mieliśmy do czynienia przed pięćdziesięciu laty.

Grinzing znowu potrząsnął głową.

- Nie wierzę, Iwan - powiedział zachrypniętym głosem. - To niemożliwe.

Z piersi Molkego wyrwało się głębokie westchnienie.

- Cóż, skoro tak uważasz... Możesz zwrócić mi list? Sam dostarczę go ministrowi, nawet gdybym musiał siłą wdrzeć się do jego sypialni.

Mężczyzna zawahał się. Przez kilka sekund wpatrywał się w leżące na biurku kartki, po czym przeniósł spojrzenie na Molkego.

- Zakładając, że uwierzyłby ci, w co osobiście wątpię... Czego byś od niego zażądał?

- Żeby zaalarmował najwyższe władze w Bonn i Berlinie, a także postawił w stan gotowości wszystkie krajowe urzędy ochrony konstytucji. Tylko tam pracują ludzie, których lojalności można być pewnym. Trzeba uruchomić procedury awaryjne. Każde demokratyczne państwo powinno być przygotowane do obrony przed zamachem stanu.

- A jeśli ci nie uwierzy?

- Wówczas zwrócę się do przyjaciół w Berlinie, którzy z pewnością mnie wysłuchają. - Iwan Molke zacisnął ręce na podłokietnikach. - Na miłość boską, Johann! Musimy coś zrobić!

Nawet jeśli Grinzinga nie przekonały jego słowa, to uczynił to ton, jakim je wypowiedział.

- Zechcesz coś dla mnie zrobić, Iwan? - zapytał polityk, patrząc Molkemu prosto w oczy.

- Jasne. Byle szybko.

- Daj mi pięć minut. Muszę się nad tym spokojnie zastanowić. Zrozum, podjęcie takiej decyzji to nie błażostka. Od tego może zależeć cała moja kariera.

Molke zerknął na zegarek, po czym skinął głową.

- W porządku, Johann. Pięć minut. I ani sekundy więcej.

Kiedy za Grinzingiem zamknęły się drzwi, z piersi Iwana Molkego wyrwało się donośne westchnienie. A więc jeszcze jest nadzieja. Osiągnął przynajmniej tyle, że jego słowa zostały potraktowane serio, a nie jak brednie zrodzone w głowie szaleńca opętanego manią prześladowczą.

W hallu Johann Grinzing minął strażnika siedzącego w fotelu pod portretem ojca obecnego właściciela rezydencji. Umundurowany funkcjonariusz odłożył na bok gazetę, w lekturze której był pogrążony, i wykonał ruch, jakby chciał poderwać się z fotela, lecz Grinzing powstrzymał go machnięciem ręki, po czym wszedł do kuchni, przemierzył ją kilkoma szybkimi krokami, otworzył tylne drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Na nagich gałęziach jabłoni i grusz zgromadziło się już sporo białego puchu, powietrze zaś było zimne i wilgotne. W domu panowała cisza. Żona i obie córki pojechały na święta do dziadków nad Jezioro Bodeńskie, a służba dostała wolne. Grinzing kilka razy odetchnął głęboko, przez chwilę walczył z pokusą, ale wreszcie nie wytrzymał i zapalił kolejnego papierosa.

Śnieg przestał padać, ale wysoka wilgotność powietrza zwiastowała kolejne opady. Na szczęście ustał nieprzyjemny, porywisty wiatr i w pogrążonym w ciemności ogrodzie panowała kojąca cisza. Johann Grinzing był z tego bardzo zadowolony, gdyż po tym, czego dowiedział się od Molkego, potrzebował przede wszystkim spokoju.

Otarł chusteczką spoczone czoło.

Już od osiemnastu lat był urzędnikiem państwowym, powoli, lecz stale pnącym się po szczeblach zawodowej kariery, ale jeszcze nigdy nie stanął wobec konieczności podjęcia tak ważnej decyzji. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w lewej ręce ściska list zawierający niesłychane, niewiarygodne oskarżenia. Wszystko wskazywało jednak, że są prawdziwe. Molke nie mylił się, choć nie znał całej prawdy: istotnie, w urzędzie ochrony konstytucji pracowało wielu ludzi lojalnych wobec demokratycznie wybranej władzy, ale było ich sporo także w innych instytucjach. W razie nagłej potrzeby istniała możliwość ich błyskawicznego

uaktywnienia i skierowania w najbardziej newralgiczne miejsca.

Przez głowę przemknęła mu myśl, żeby zadzwonić do kogoś z prośbą o radę, ale natychmiast ją odrzucił. Był zdany na własne siły. Sam musiał podjąć decyzję i sam ponieść jej konsekwencje.

Jeśli mądrze rozegra tę sprawę, być może zdoła osiągnąć dla siebie znaczne korzyści, ale jak to zrobić? Co uczynić, żeby nie narazić się na zbędne ryzyko, a jednocześnie sprostać spoczywającej na nim odpowiedzialności? Myślał intensywnie, zdając sobie sprawę z uciekającego czasu.

Trzy minuty później, mimo przejmującego chłodu mokry jak mysz pod miotłą, wiedział już, jak należy postąpić. Ponownie otarł pot z czoła, schował chusteczkę do kieszeni i wszedł do budynku, starannie zamykając za sobą drzwi, lecz zapominając o wytarciu butów. Tym razem strażnik nie próbował podnieść się z fotela, tylko skinął mu z szacunkiem głową.

Przez niespełna sekundę Grinzing spoglądał na portret swego ojca. Przystojny mężczyzna w granatowym garniturze stał wyprostowany jak na paradzie, w tle zaś widać było sylwetę monachijskiego ratusza z powiewającymi na wieży dwiema flagami: bawarską i narodową. Bawarczyk z dziada pradziada, lojalny do szpiku kości. Błękitne oczy zdawały się spoglądać z obrazu wprost na niego, jakby ojciec chciał ostrzec go przed podjęciem błędnej decyzji. Johann doskonale zdawał sobie sprawę z jej wagi; od tego, czy będzie błędna czy słuszna, zależała nie tylko przyszłość jego i jego rodziny, ale także całego Vaterlandu.

Oczy były takie same jak we wspomnieniach z dzieciństwa: niebieskie, uczciwe, o przenikliwym spojrzeniu. Oczy człowieka oddanego całym sercem ojczyźnie i narodowi. Tylko granatowy garnitur był zupełnie nie na miejscu.

Zamiast niego mężczyzna na portrecie powinien mieć na sobie czarny mundur dywizji SS Leibstandarte.

Grinzing wszedł do gabinetu, starannie, zamknął za sobą drzwi, powoli przeszedł do biurka i usiadł w fotelu.

- Zdecydowałeś się? - zapytał Molke.

- Tak.

- Więc co zrobisz?

- Zanim ci o tym powiem, chciałbym, żebyś dowiedział się o paru sprawach.

Nie spiesząc się wysunął środkową szufladę biurka, sięgnął do niej, wyjął potężnego walthera i wycelował go w pierś rozmówcy.

Molke wytrzeszczył oczy, otworzył usta i poruszał nimi przez chwilę jak ryba wyrzucona na brzeg, ale nie zdołał wydać żadnego dźwięku.

- Radzę ci, żebyś mnie uważnie wysłuchał - ciągnął Grinzing. - Od twojej reakcji zależy, czy będziesz żył, czy za kilka minut będziesz musiał zginąć.

Iwan Molke wciąż wpatrywał się w niego z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Widzę, że sprawiłem ci niespodziankę, ale to jeszcze nic. Zaraz spotka cię jeszcze większa. Otóż ludzie, o których wspomniałeś... Ja także do nich należę, Iwan. Ja oraz wielu, wielu innych.

Molke wreszcie odzyskał głos.

- Dlaczego? - wykrztusił z trudem. - Dlaczego, do jasnej cholery?!

Przez twarz polityka przemknął nerwowy uśmiech.

- Zaraz ci wyjaśnię dlaczego. Otóż dlatego, że po raz pierwszy od ponad pięćdziesięciu lat pojawiła się szansa, że tym krajem znowu zaczną rządzić silni, kompetentni ludzie, którym będzie zależało na odbudowie jego potęgi, którzy przestaną przeproszać wszystkich dokoła za to, co wydarzyło się w przeszłości, którzy oczyszczą Niemcy z brudnego, zawszonego plugastwa zabierającego prawdziwym obywatelom miejsca pracy i korzystającego z dobrodziejstw opieki społecznej. Dlatego, że chcemy przywrócić ludziom poczucie dumy z faktu, że są Niemcami. Chyba sam przyznasz, iż w nowej rzeczywistości, którą zamierzamy stworzyć, przed kimś takim jak ja rysują się wspaniałe perspektywy?

- Jesteś idiotą, Johann. Za takie coś trafisz do więzienia i nie wyjdiesz stamtąd do końca życia. Ten szalony plan nie może się powieść.

- Wręcz przeciwnie, powiedzie się z pewnością. Zbyt wiele wysiłku zostało włożone w jego przygotowanie. Nie ma w nim słabych punktów, wszystko jest

zapięte na ostatni guzik.

- Naprawdę sądzisz, że Dollman wraz ze swoim rządem będzie siedział beczynnie i przyglądał się, jak ty i twoi przyjaciele wciągacie kraj z powrotem do rynsztoka?

- Dollman nie zdoła nam przeszkodzić, ponieważ będzie trupem, a co do pozostałych członków rządu... - Grinzing uśmiechnął się lekceważąco. - Nieważne. I tak powiedziałem już zbyt wiele. W każdym razie możesz być pewien, że nie uda im się pokrzyżować naszych planów.

- Oszalałeś, Johann. Wszyscy oszaleliście. Naród nigdy nie poprze ludzi, którzy zamordowali kanclerza. Nigdy. W ten sposób wszyscy wydacie na siebie wyroki śmierci.

- Nawet nie przypuszczasz, jak bardzo się mylisz. Opracowaliśmy strategię, która zapewni nam poparcie przeważającej części społeczeństwa. Ludzie od razu rozumieją, że tylko my jesteśmy w stanie przywrócić państwu dawną pozycję, zbudować nową, potężną i zamożną Rzeszę stanowiącą obiekt dumy wszystkich obywateli. To się da zrobić, zapewniam cię. Chyba przyznasz, że taka perspektywa wywołuje dreszcz emocji?

- Raczej dreszcz przerażenia. To piękna przemowa, Johann, choć opiera się na wariackim założeniu i cholernie mało w niej rzeczowych argumentów. Ile czasu zajęło ci jej przygotowanie?

Grinzing pokiwał głową z pobłażliwym uśmiechem.

- Jeśli usiłujesz mnie zirytować, żeby odwrócić moją uwagę i obezwładnić mnie albo zrobić jakieś inne głupstwo, to oszczędź sobie trudu. Wpakuję ci kulę w łeb, zanim zdążysz podnieść się z fotela. Wierz mi, jestem znakomitym strzelcem, ale, rzecz jasna, możesz spróbować. Kiedy wpadną tu ludzie z ochrony, zobaczą mnie z pistoletem w ręce i zwłoki na podłodze. Trupa człowieka, który czekał na mój powrót z przyjęcia i sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego. Jeden ze strażników zapytał mnie nawet, czy nie chcę, żeby był obecny przy rozmowie. Widocznie wywarłeś na nim nie najlepsze wrażenie, Iwan. Chyba nie będę miał

kłopotu z przekonaniem ich, że działałem w obronie własnej, ponieważ rzuciłeś się na mnie jak dzikie zwierzę. Nawet najbardziej wścibscy dziennikarze nie znajdują powodu, dla którego mogliby podważyć moje zeznania.

- Zamiast mi grozić, może spróbowałbyś mnie przekonać? Grinzing uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Przekonać? Już przedstawiłem ci wszystkie argumenty. Moim zdaniem jest ich wystarczająco dużo.

- A po co wam substancje radioaktywne?

- To chyba oczywiste. Dysponujemy pociskiem raketowym z głowicą nuklearną. Dzięki temu mamy w ręku kartę przetargową, która uchroni nas przed interwencją wojsk NATO i da wiele do myślenia rządowi wszystkich państw świata. Jednocześnie nie należy zapominać, że Niemcy dysponują największymi siłami konwencjonalnymi w Europie Zachodniej. - Grinzing umilkł i przez chwilę obserwował w milczeniu Molkego, po czym dodał: - Naturalnie po przewrocie nastanie czas rozliczeń. Oddzielimy tych, co udzielili nam wsparcia, od tych, którzy wystąpili przeciwko nam. Możesz być pewien, że tych drugich spotka los szczególnie godny pozazdroszczenia.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdybyście znowu zaczęli budować obozy koncentracyjne - warknął Molke.

Johann Grinzing uśmiechnął się chłodno.

- Z pewnością do tego dojdzie, jeśli imigranci nie zdecydują się w porę na dobrowolne opuszczenie naszego kraju. Będziemy musieli zastosować ten konieczny środek, aby uwolnić społeczeństwo od niepożądanych elementów. - Zawiesił na chwilę głos. - Zawsze uważałem cię za rozsądnego człowieka. Nadeszła chwila, kiedy musisz podjąć najważniejszą decyzję w życiu. Po prawej stronie widzisz drzwi prowadzące do garażu. - Wskazał je ruchem głowy. - Mogę zadzwonić do szefa ochrony i powiedzieć mu, że wyjeżdżamy. Jeśli zachowasz się rozsądnie, najdalej jutro w południe nasi przywódcy dowiedzą się o twojej, powiedzmy... milczącej zgodzie i odzyskasz wolność.

Molke zerknął na drzwi, by zaraz ponownie wbić spojrzenie w twarz Grinzinga.

- Teraz też jestem wolny.

- Oczywiście. Tyle że w ręce trzymam pistolet wycelowany w twoją pierś i nie zawaham się go użyć, jeżeli wykonasz jakiś podejrzany ruch.

W gabinecie zapadło milczenie. Molke wpatrywał się przed siebie pustym spojrzeniem, aż wreszcie, po upływie co najmniej kilku minut, potrząsnął głową i ponownie popatrzył na Grinzinga-

- Chcę ci coś powiedzieć, Johann, a także prosić cię o radę. Pozwolisz, że najpierw zapalę?

Polityk zawahał się, po czym, nie spuszczać wzroku z Molkego, wytrząsnął z pudełka papierosa, zapalił go i podał rozmówcy, a następnie zerknął na zegarek.

- Mów, tylko szybko.

Molke zaciągnął się głęboko dymem.

- Chodzi o mojego ojca. Grinzing zmarszczył brwi.

- Bardzo go kochałem. Przypuszczam, że co najmniej tak samo jak ty swojego.

Czy tam, w hallu, wisi jego portret?

- Tak.

Molke skinął głową.

- Od razu tak pomyślałem. Jesteś do niego podobny. Z pewnością wywarł znaczny wpływ na kształtowanie twojej osobowości.

- Do czego zmierzasz, Iwan? Pospiesz się, bo tracę cierpliwość.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że należał do NSDAP...

- Owszem, a także do SS. Służył w dywizji Leibstandarte. - Grinzing powiedział to z autentyczną dumą. - Słyszałeś o tej jednostce?

- Tak. To byli zwyrodniali mordercy.

- Wręcz przeciwnie. Należeli do niej najlepsi, najwierniejsi żołnierze, jakich kiedykolwiek miała nasza armia. Prawdziwa śmietanka niemieckiej młodzieży i korpusu oficerskiego. Wierni ideałom, rycerscy, nieustraszeni... Elita. A teraz słuchaj

mnie uważnie: mój ojciec znalazł się wśród tych, którzy złożyli przysięgę wierności Adolfowi Hitlerowi i Trzeciej Rzeszy. Dali słowo, że będą do ostatniego tchu walczyć o ideały, którym byli wierni przez całe życie, oraz że zawsze i wszędzie na pierwszym miejscu stawiać będą dobro ojczyzny. Jedynymi ludźmi, którzy teraz mają moralne prawo i obowiązek wprowadzić Niemcy na nową, lepszą drogę, są ich dzieci oraz wnukowie. Jestem jednym z nich. Długo musieliśmy czekać na sposobność, lecz oto wreszcie nadeszła upragniona chwila. Rozejrzyj się dokoła, zobacz, co się dzieje. Coraz więcej ludzi twierdzi, że Trzecia Rzesza miała także sporo zalet. Dlaczego? Ponieważ uświadomili sobie, iż nadeszła pora, aby wprowadzić porządek w tym kraju, żeby obudzić się i znowu poczuć dumę z tego, że jesteśmy Niemcami, zrzucić ciężar winy za wydarzenia z przeszłości. Miałeś rację: jest nas wielu, mężczyzn i kobiet zajmujących często bardzo wysokie stanowiska, którzy długo czekali na nadejście tej chwili. Mamy moralny obowiązek spełnić przysięgę złożoną przez naszych ojców i możesz być pewien, że nie zawahamy się tego uczynić.

- Czy ty naprawdę przypuszczasz, że możecie liczyć na tak wielkie poparcie? - zapytał z niedowierzaniem Molke. - Jeśli tak, to jesteś szalony. Wątpię, czy nawet synowie i córki byłych esesmanów zdecydują się na udział w tym szaleństwie.

Grinzing uśmiechnął się lekceważąco.

- Ci, którzy tego nie uczynią, zostaną ukarani. Część z nich już spotkała zasłużoną karę, ponieważ odmówili nam pomocy, ale cała reszta nie zawaha się połączyć wysiłków w celu zbudowania nowych, lepszych Niemiec. To w większości wykształceni, zamożni ludzie, często piastujący odpowiedzialne stanowiska i dysponujący poważną władzą. Dobrze się nad tym zastanów, zanim udzielisz mi ostatecznej odpowiedzi.

Molke milczą! przez dłuższą chwilę, wpatrując się w twarz rozmówcy, na której malował się wyraz euforii, po czym odparł spokojnym tonem:

- Powiem ci, co myślę, Johann, i przypuszczam, że kto jak kto, ale ty na pewno mnie zrozumiesz.

- Dlaczego?

Iwan Molke zawahał się, a następnie zaczął mówić głosem wypranym z wszelkich emocji:

- W 1935 roku mój ojciec miał dwadzieścia lat, żonę i małe dziecko. Był socjalistą, mieszkał w Berlinie. Wkrótce po dojściu do władzy naziści zaczęli prześladować ludzi o odmiennych poglądach, a szczególnie komunistów i socjalistów, ale ty przecież dobrze o tym wiesz...

- Nudzisz mnie, Iwan. Radzę ci, żebyś zaczął się streszczać.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, bo potem, jak skończę, poproszę cię o radę. - Molke wytrzymał bez drgnięcia powieki badawcze spojrzenie Grinzinga. - Pewnej nocy ojciec został aresztowany przez gestapo, zawieziony do Spandau i skatowany niemal na śmierć. Za co? Właśnie za to, że był socjalistą, że ośmielił się należeć do innej partii niż NSDAP. Ponieważ według nazistowskiej propagandy był jednym z antypaństwowych wichrzycieli. Za to wszystko spędził dziesięć lat w obozach koncentracyjnych, gdzie pracował ponad ludzkie siły, był bity, dręczony i traktowany gorzej niż zwierzę. Za najmniejsze przewinienie więźniowie otrzymywali karę chłosty, która dla wielu z nich kończyła się śmiercią. Mój ojciec był wrażliwym, myślącym człowiekiem, więc ten pokaz bestialstwa i pogardy dla bliźniego wstrząsnął nim do głębi. Widział ludzi mordowanych tylko dlatego, że nie spodobali się strażnikowi albo dla zapewnienia rozrywki sadystycznemu komendantowi. Widział dwunasto - i piętnastoletnie dzieci wieszane na szubienicy przez nudzących się esesmanów, którzy przedtem robili między sobą zakłady o to, które będzie najdłużej szarpało się po zaciśnięciu pętli. Widział...

- Nadużywasz mojej cierpliwości, Iwan.

- Już kończę. Mój ojciec przeżył obóz, ale kiedy wrócił do domu, nie był już moim ojcem, tylko żywym trupem. Widmem, które egzystowało z dnia na dzień, odgródzone od nas wszystkich murem cierpienia. W Niemczech nie ma już prawie Żydów, na których skoncentrowała się nienawiść hitlerowców, ale są Turcy, Serbowie, Polacy oraz wielu innych, którzy mogą odegrać rolę kozłów ofiarnych.

Czy spotka ich ten sam los co Żydów? Czy oni także pójdą do pieca?

Molke powoli podniósł się z fotela i zaczął pochylać się w kierunku Grinzinga, który cofał się centymetr po centymetrze, wciąż mierząc mu w pierś z pistoletu.

- W związku z tym mam do ciebie pytanie, Johann. Jak postąpiłbyś na moim miejscu? Czy gdyby twojego ojca spotkało to, co mojego, czy przyłączyłbyś się do ludzi pragnących zgotować innym ten sam los? Czy pomógłbyś dojść do władzy człowiekowi, którego uważacie za syna Hitlera? Powiedz mi, jaką podjąłbyś decyzję? Udziel mi rady, Johann.

Na twarzy Grinzinga pojawił się pogardliwy uśmiech, który jednak błyskawicznie ustąpił miejsca wyrazowi przerażenia, kiedy Molke sięgnął do kieszeni i jednocześnie rzucił się w prawą stronę, by zejść z linii strzału.

W ciągu niespełna sekundy rozległ się huk trzech wystrzałów. Pierwszy pocisk kalibru 9 mm trafił Molkego w ramię; siła uderzenia była tak wielka, że mężczyzna został rzucony na ścianę jak szmaciana lalka. Druga kula ugodziła go tuż nad sercem, rozrywając tętnicę.

Ale trzeci strzał padł z browninga Molkego. Jeden jedyny, ponieważ były oficer służb specjalnych nie miał już siły, by nacisnąć spust po raz kolejny. Pocisk trafił Grinzinga w nasadę nosa, przebił czaszkę, a opuszczając ją pozostawił po sobie ogromny otwór, w którym bez trudu zmieściłaby się pięść.

Molke osunął się bezwładnie na podłogę. W chwili, gdy jego głowa zetknęła się z miękką wykładziną, usłyszał dobiegające z hallu krzyki i tupot licznych stóp. Zaraz potem drzwi otworzyły się gwałtownie, do gabinetu wpadło kilku ludzi; dwóch z nich rzuciło się na niego, przycisnęło do podłogi, zupełnie niepotrzebnie unieruchomiło ramiona w żelaznym uścisku.

Iwan Molke miał wrażenie, że powoli osuwa się w czarną, wypełnioną chłodną nicością otchłań. W odległości dwóch metrów widział twarz leżącego nieruchomo Grinzinga; w jego szeroko otwartych oczach, między którymi ział otwór wlotowy rany pozostawionej przez pocisk, zamarł wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

Molke spróbował się uśmiechnąć, ale nie zdążył, ponieważ ogarnęła go

ciemność.

Rozdział 55

Volkmann odzyskał przytomność w chwili, kiedy samochód zatrzymał się gwałtownie.

Kierowca wyłączył światła, ale ciemność rozjaśniał blask samotnej lampy wiszącej na ganku niewielkiego drewnianego domku. Nieco dalej, po prawej stronie, znajdował się także drewniany garaż, dokoła zaś rosły dorodne sosny, między którymi widać było migoczące daleko w dole światła wielkiego miasta. Volkmann domyślił się, że jest w górach, gdzieś w pobliżu Monachium. W chwili, gdy ponownie spojrział w kierunku domu, zobaczył Wolfganga Lubscha stojącego bez ruchu na ganku i przyglądającego się mu w milczeniu. Twarz terrorysty była ukryta w cieniu, ale światło lampy odbijało się w jego okularach, które błyszcząły tajemniczo w ciemności.

Człowiek, który siedział obok Volkmana z pistoletem w ręce oraz kierowca chwycili go pod ramiona i zawlekli do wnętrza chaty, do dużego, elegancko umeblowanego pokoju. Szerokie, przeszklone drzwi prowadziły na obszerny taras, a na stole stała opróżniona do połowy butelka wódki oraz kilka kieliszków.

Lubsch wszedł za nimi i nogą podsunął Josephowi krzesło.

- Siadaj, Volkmann.

Joseph nie zastosował się do polecenia.

- Na twoim miejscu nie próbowałbym się stawiać, bo w normalnych warunkach bez wahania wpakowałbym ci kulę w łeb - ostrzegł go terrorysta. -
Wiem, że nie jesteś żadnym dziennikarzem.

Volkmann wpatrywał się w milczeniu w niewysokiego mężczyznę w okularach. Zimny wiatr, który owionął go w drodze z samochodu do budynku, pomógł mu częściowo wrócić do siebie, jednak w dalszym ciągu miał poważne kłopoty z zebraniem myśli.

Lubsch zapalił papierosa, wypuścił kłąb dymu, po czym spojrzał spod oka na Josepha.

- Ustaliłem to bez większego trudu. Tacy jak ty i ja potrafią się wyczuć z daleka, jak pies i kot. Po naszej ostatniej rozmowie nad jeziorem zacząłeś mnie naprawdę intrygować. Kim jesteś? Dlaczego tak bardzo zależy ci na wyjaśnieniu okoliczności śmierci Wintera? Czemu nie trzymałeś się ode mnie z daleka, mimo wyraźnego ostrzeżenia?

- Na lotnisku w Zurychu... - wymamrotał Volkmann, z trudem poruszając wargami. - To byli twoi ludzie?

Lubsch zaciągnął się głęboko, odprowadził wzrokiem ulatujący ku belkowanemu sufitowi kłąb dymu i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie.

- Oczywiście. Śledziliśmy was oboje od chwili, kiedy w tak mało elegancki sposób rozstałeś się ze mną nad jeziorem. Z pewnością nie zdajesz sobie sprawy, jak niewiele brakowało, żebyś nie wrócił żywy z klasztoru.

- Jak... W jaki sposób?...

- Chodzi ci o to, w jaki sposób mogliśmy wszędzie za wami trafić? - Lubsch rozsiadł się wygodnie na jednym z krzeseł. - Z dziewczyną sprawa była dziecinnie prosta, natomiast jeśli chodzi o ciebie... - Wyjął z kieszeni niewielkie pudełeczko z kilkucentymetrową anteną i położył je na dłoni. - Prosty nadajnik przymocowany do twojego samochodu. Takie same towarzyszyły twojemu przyjacielowi Molkemu i jego ludziom. Powiem ci szczerze, Volkmann, że zabiłeś nam tęgiego ćwieka. Nie mogliśmy dociec, o co ci właściwie chodzi... Aż do tej pory.

- Więc ty nie współpracujesz z Kesserem?

- Naprawdę tak nisko mnie oceniasz? Na pewnym etapie skorzystaliśmy z jego pomocy, ale tylko dlatego, że to było konieczne.

- Gdzie jesteście?

- W spokojnym, zacisznym miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Volkmann rozejrzył się po pokoju. Dwaj ludzie Lubscha stali przy drzwiach prowadzących do hallu. Jeden z nich trzymał w ręce potężnego walthera. Joseph bez

problemu rozpoznał obu terrorystów; byli to ci sami osobnicy, z którymi miał wątpliwą przyjemność zetknąć się podczas pierwszego spotkania z Lubschem. Teraz wpatrywali się w niego pustym wzrokiem, z twarzami pozbawionymi wyrazu.

- Dlaczego kazałeś mnie tu przywieźć? - zwrócił się ponownie do Lubscha. - Żeby twoi przyjaciele mogli wyrównać dawne rachunki?

- Ależ skąd. Po prostu musimy porozmawiać.

- O czym?

- O czymś bardzo ważnym dla nas obu. - Niski mężczyzna w okularach umilkł na chwilę. - Musisz wybaczyć moim ludziom - odezwał się ponownie. - Spodziewaliśmy się kogoś z kumpli Kessera, a tymczasem okazało się, że to ty. Przyznam, że znowu udało ci się nas zaskoczyć.

Volkmann spojrzał mu prosto w oczy.

- Gdzie jest Kesser? Macie go?

Lubsch zignorował pytanie, wstał z krzesła, podszedł do drzwi balkonowych, przez kilka sekund spoglądał przez okno, a następnie odwrócił się do Volkmana.

- My, Niemcy, jesteśmy dziwnym narodem. Potrafimy być bezwzględni, agresywni, nieufni i nieprzewidywalni, ale to nie oznacza, że wszyscy z nas są dzikimi zwierzętami. Nawet wśród tak zwanych terrorystów. I nie wszyscy pragniemy zbudować Czwartą Rzeszę.

- A więc znasz zamiary Kessera?

- Tak.

- Czy sam ci powiedział?

- Niestety nie. Trupy mało mówią albo nawet wcale. Joseph otworzył usta, lecz Lubsch nie pozwolił mu dojść do głosu.

- Dwaj moi ludzie czekali na niego przed domem. Wydałem im polecenie, żeby schwytali go żywcem, bo chciałem zadać mu sporo pytań. Kesser wsiadł do samochodu i ruszył w stronę góry, a oni pojechali za nim. W połowie drogi wyprzedzili go i zajęchali mu drogę, ale on zdążył sięgnąć po broń. Zabił jednego z moich, a wtedy drugi strzelił trzy razy. Jeden z pocisków trafił Kessera w głowę. Żył

jeszcze, kiedy wieźliśmy go do naszej kryjówki, ale wkrótce potem zmarł.

Volkmann zacisnął pięści, przez jakiś czas oddychał głęboko, po czym zapytał z wściekłością:

- Zdajesz sobie sprawę, co zrobiliście?

- Możesz mi wierzyć, że świat doskonale obejdzie się bez takich jak on, a może nawet stanie się trochę lepszy.

- Czy śmierć Wintera to też wasza robota?

- Nie. Jego zabili ludzie Kessera.

- Dlaczego?

- Już ci to wyjaśniłem nad jeziorem. Winter był gadułą. Wystarczyło, żeby sobie trochę popił, i od razu zaczynał rozpowiadać o nowym porządku, który zamierza wprowadzić razem z przyjaciółmi, o nowych Niemczech i tych wszystkich bzdurach. Im mniej czasu pozostawało do wprowadzenia planu w życie, tym bardziej gadatliwy stawał się Winter i tym rzadziej Kesser korzystał z jego usług. Pewnego dnia do Kessera dotarła wiadomość, że Winter siedzi w barze w Berlinie i opowiada każdemu, kto zechce go wysłuchać, o tym, kim to on jest i co zamierza zrobić. W ten sposób wydał na siebie wyrok śmierci. Kesser kazał zastrzelić go w pobliżu dworca Zoo, żeby wyglądało to na porachunki gangów handlujących narkotykami.

Za oknem widać było morze światła wielkiego miasta częściowo przesłonięte zasłoną z padającego śniegu. Volkmann oderwał wzrok od zapierającego dech w piersi widoku i spojrzał na Lubscha.

- Dlaczego zależało wam na schwytaniu Kessera?

- Z tego samego powodu, dla którego ty chciałeś to zrobić. Żeby poznać jego plany. Dwaj moi ludzie obserwowali twoje mieszkanie w Strasburgu i widzieli, jak jacyś mężczyźni wyprowadzają dziewczynę do czarnego mercedesa. Chwilę później nastąpił wybuch w siedzibie DSE. Pojechali za mercedesem, ale w okolicy Augsburga zgubili go w zamieci śnieżnej. Mieliśmy podstawy podejrzewać, że w tej sprawie maczali palce ludzie Kessera, więc postanowiliśmy złożyć mu wizytę.

- Wiecie, gdzie teraz jest dziewczyna? - zapytał Joseph wpatrując się z napięciem w twarz terrorysty.

- Tam, dokąd dotarłeś śledząc Kessera. Na zboczu Kaalbergu.

- Żyje?

- Nie mam pojęcia.

- A skąd wiesz, że tam właśnie ją zawieźli?

- Z tego samego źródła, z którego dowiedziałem się o Winterze. Po wpadce z Kesserem wróciliśmy po jego przyjaciółkę. Początkowo nie chciała z nami rozmawiać, ale zmiękła, jak tylko zobaczyła jego ciało. Starła się być lojalna wobec swoich, lecz nie miała najmniejszego zamiaru narażać dla nich życia. Kesser zgarnął twoją dziewczynę, żeby ustalić, jak dużo wiecie na jego temat.

- Co jeszcze powiedziała wam przyjaciółka Kessera?

- Wszystko - odparł Lubsch, patrząc Volkmannowi w oczy. - Nazwiska ludzi, którzy za tym stoją. Jakie mają zamiary. Kiedy chcą wprowadzić je w życie.

- Mów, Lubsch. Ja też chcę to wiedzieć.

Terrorysta zawahał się, po czym sięgnął po stojącą na stole butelkę, napełnił jeden z kieliszków i podał go Volkmannowi, lecz ten pokręcił głową.

- Nie chcę wódki. Zależy mi wyłącznie na tym, czego dowiedzieliście się od dziewczyny.

- Na twoim miejscu napiłbym się, Volkmann. Nawet nie podejrzewasz, co cię czeka. Potem, kiedy trochę ochłoniesz, powiem ci, jakie mam zamiary.

Za oknem wciąż sypał śnieg. Volkmann jednym haustem opróżnił kieliszek i odstawił go na stół, Lubsch natomiast napełnił swój, wziął go do ręki i stanął przy kominku, w którym wesoło trzaskał ogień.

- W bazie na Kaalbergu zainstalowali wyrzutnię z pociskiem wyposażonym w nuklearną głowicę bojową - powiedział bezbarwnym tonem. - Mają spore poparcie w armii, policji, a nawet w najwyższych kręgach władzy. Ten człowiek, o którego pytałeś mnie nad jeziorem, Schmeltz, też tam jest. To on pociąga za sznurki. Chcą powtórzyć z sukcesem to, co nie udało się nazistom w 1923, tyle że teraz dysponują

straszakiem w postaci broni jądrowej. Gdyby ktoś chciał im się przeciwstawić, ryzykowałby straszliwą tragedię. - On także jednym ruchem wlał w siebie zawartość kieliszka i przełknął, krzywiąc się lekko. - Dziewczyna Kessera nie wie wszystkiego, ale i tak powiedziała nam tyle, że włosy zjeżyły mi się na głowie. Na początek zamierzają zlikwidować DoUmana oraz wszystkich ministrów.

- W jaki sposób? - zapytał z niedowierzaniem Volkmann.

- Dollman ma w Berlinie kochankę, Lisi Henning. Mieszka w Wannsee i należy do organizacji Kessera. Kanclerz powinien zjawić się u niej około północy, a tam czeka już na niego Turek nazwiskiem Kefir Ozalid, który wpakuje mu kulkę w głowę.

- A członkowie rządu?

- Dziewczyna nie potrafiła powiedzieć, w jaki sposób zamierzają dobrać się im do skóry, ale była pewna, że wszyscy zginą niemal jednocześnie z Dollmanem.

Volkmann przypomniał sobie rozmowę zarejestrowaną na taśmie. Niezrozumiałe do tej pory wypowiedzi teraz stały się nagle przerażająco jasne.

- Dlaczego Turek, a nie któryś z ludzi Kessera?

- Bo to są szczone lisy. Jak tylko Ozalid naciśnie spust i kanclerz dostanie kulę w łeb, ulice zapełnią się oburzonymi Niemcami domagającymi się zemsty na imigrantach. Przyjaciele Kessera o wszystkim pomyśleli. Winą za śmierć Dollmana oraz pozostałych członków rządu zostaną obarczone ekstremistyczne organizacje imigrantów, więc w pierwszej chwili nawet zwyczajni, porządni ludzie mogą ulec zbiorowej histerii i uznać za słuszne nawoływania do pociągnięcia tamtych do zbiorowej odpowiedzialności. - Lubsch postawił kieliszek na okapie kominka. - Mają plan opracowany z najdrobniejszymi szczegółami. Na przykład ten klasztor, w którym byłeś; jak myślisz, do czego jest im potrzebny? Otóż postanowili urządzić tam miejsce odosobnienia dla ewentualnych oponentów. Coś jakby drugie Dachau. Możesz być pewny, że nie jedyne. Kesser przygotował długą listę podobnych zakątków, choć wcale bym się nie zdziwił, gdyby, przynajmniej w początkowym okresie, wcale nie potrzebowali ich tak wielu, bo działając według tego sprytnego

scenariusza mogą chwilowo przeciągnąć na swoją stronę znaczną część społeczeństwa, a potem... Potem będzie już za późno.

W pokoju zapadło milczenie. Volkmann wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w wirujące za szybami płatki śniegu, aż wreszcie otrząsnął się z zamyślenia i zapytał:

- Co zamierzacie zrobić?

- Jedyne, co możemy. Nie ma mowy, żebyśmy zdołali zaalarmować kogoś w Bonn albo w Berlinie - zresztą kto by nam uwierzył - ale Kaalberg jest zaledwie pół godziny jazdy stąd. Spróbujemy zdobyć ich bazę i rozbroić pocisk.

- Popęlniasz błąd, Lubsch. Sami nie zdołacie tego dokonać. Pozwól mi skontaktować się z Berlinem, namówić ich, żeby przysłali komandosów...

Lubsch pokręcił głową.

- Jak sądzisz, ile czasu będziesz potrzebował, żeby ich przekonać? Kiedy wreszcie zrozumieją, co się dzieje, będzie za późno.

- A na jakiej podstawie ty uważasz, że sami dacie sobie radę?

- Przy tej pogodzie będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle zdołamy się tam dostać, ale jeśli nam się to uda, wtedy kto wie... Samo zawiadomienie Berlina z pewnością niczego nie da. Dziewczyna Kessera nie wiedziała, w jaki sposób zamierzają sprzątnąć członków rządu, ale ktoś z tych, którzy są na Kaalbergu, na pewno będzie wiedział. Jeśli zginie tylko Dollman, wtedy jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli zginie cały rząd, rozpęta się prawdziwe piekło, a wtedy nic nie powstrzyma kumpli Kessera. Według naszych ustaleń terenu bazy pilnuje pięciu, może sześciu uzbrojonych strażników. Nas jest czterech, a z tobą nawet pięciu, więc szansę są wyrównane.

- Potrzebujecie broni.

- Mamy ją. Pistolety maszynowe, granaty... Co tylko zechcesz. - Lubsch uśmiechnął się z przekąsem. - Nawiasem mówiąc, dostarczyli je nam ludzie Kessera. Zabawne, nie sądzisz? - Terrorysta szybko spowaźniał i spojrzał Volkmannowi prosto w oczy. - Więc jak, Volkmann? Idziesz z nami?

Joseph po raz kolejny spojrział przez okno na padający coraz gęściej śnieg. Światła miasta prawie zupełnie znikły za zasłoną z wirujących płatków.

- Dlaczego to robisz, Lubsch? - zapytał, odwracając się w stronę niewysokiego mężczyzny w okularach. - Dlaczego mi pomagasz?

- Już ci powiedziałem. Po prostu nie chcę Trzeciej, Czwartej ani żadnej innej Rzeszy. Uważasz mnie za zwykłego terrorystę, ale ja wierzę głęboko, że mój kraj czeka lepsza przyszłość. Tobie ona chyba by się nie spodobała, ale to już zupełnie inna sprawa. Jednego jestem całkowicie pewien: nie ma w niej miejsca dla ludzi takich jak Kesser. Nie chcę, żebyśmy powtarzali błędy przeszłości. Gdyby nastąpiła powtórka z historii, Niemcy przestałyby istnieć. Już na zawsze. - Lubsch uśmiechnął się ponuro. - Wiem, że nasz sojusz może wydawać się absurdalny, ale tego wymaga sytuacja i żaden z nas nic na to nie poradzi. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się nieruchomym spojrzeniem w twarz Volkmana. - Jaką podjąłeś decyzję? Joseph zawahał się, po czym odparł:

- Zgoda, ale pod dwoma warunkami.

- Jakimi?

- Po pierwsze, pozwolisz mi jednak zawiadomić Berlin. Lubsch co prawda niechętnie, ale jednak skinął głową.

- A drugi warunek?

- Chodzi o Schmeltza.

- Co z nim?

- Jeśli nam się uda... Jeżeli zdobędziemy bazę... Musi być mój.

Lubsch bardzo długo przyglądał mu się w milczeniu.

- Nie chodzi ci tylko o dziewczynę, prawda? To nie tylko ze względu na nią?

Volkman potrząsnął głową.

- Wiem o Schmeltzu coś, o czym ty nie masz pojęcia.

- Mylisz się, Volkman - odparł terrorysta. - Ja też o tym wiem, ale nie wspomniałem ani słowem, bo bałem się, że uznasz mnie za niespełna rozumu. - Lubsch potarł czoło i poprawił okulary, które zsunęły mu się na czubek nosa. - A

więc to jednak prawda... Niektórzy twierdzą, że historia lubi się powtarzać, ale żeby aż do tego stopnia? - Umilkł, wciąż trąc zmarszczone czoło, a następnie popatrzył ze smutkiem na Josepha. - Po co ci on, Volkmann? Zamierzasz wystąpić w roli rzecznika umarłych?

Rozdział 56

Berlin sobota, 24 grudnia, godz. 0.16

Opancerzony mercedes zatrzymał się z szurgotem opon na żwirowym podjeździe.

Na ganku płonęło światło. Ritter wysiadł jako pierwszy, obszedł limuzynę i otworzył drzwi Dollmanowi, który pospiesznie przemknął do budynku.

Dziewczyna czekała w hallu. Ritter, jak zwykle, zniknął w saloniku, ona zaś starannie zamknęła frontowe drzwi, ujęła kanclerza pod ramię i zaprowadziła do jadalni.

Na stole czekała już kolacja na zimno oraz butelka dom perignon chłodząca się w wiaderku z lodem. Pokój zdobiły bukiety świeżych kwiatów, odpowiedni nastrój tworzyły zaś płonące świece i ogień trzaskający w kominku. Dollman z westchnieniem ulgi opadł na skórzany fotel stojący przy kominku, dziewczyna natomiast starannie zaciągnęła zasłony, by odgrodzić się od ciekawskich spojrzeń ochroniarzy, a następnie podeszła do fotela, zatrzymała się za oparciem i zaczęła delikatnie masować ramiona kanclerza.

Dollman jęknął z rozkoszy, przeciągnął się, po czym sięgnął do tyłu, złapał Lisi za przedramię i pociągnął mocno, zmuszając do zrobienia dwóch kroków naprzód. Znalazłszy się przed nim, ujrzała wyraz pożądania i niecierpliwości malujący się na jego twarzy. Uśmiechał się, nie odrywając wzroku od obfitych piersi opiętych cienkim materiałem bluzki.

- Musisz jeszcze trochę zaczekać... - szepnęła, grożąc mu żartobliwie palcem. - Najpierw kolacja.

Przesunął palcami po jej udzie, ale nie protestował, kiedy wzięła go za rękę i zaprowadziła do stołu.

Dollman jadł jak wygłodniały wilk. Wypił do posiłku trzy kieliszki szampana, a kiedy nadeszła pora deseru i dziewczyna podniosła się z krzesła, by przynieść z kuchni mus czekoladowy, chwycił ją w pól, przyciągnął do siebie, wsunął rękę między uda obleczone przezroczystymi czarnymi pończochami i przesunął ją wyżej, tam gdzie zaczynało się nagie ciało.

Lisi uśmiechnęła się do niego.

- Nie masz ochoty na deser, kochanie?

- Owszem, pod warunkiem, że to ty nim będziesz.

Nie protestowała, kiedy wstał, objął ją ramieniem, a następnie zaprowadził na górę, do sypialni.

Pięć minut później leżał nagi w łóżku obserwując, jak dziewczyna wkłada płytę do odtwarzacza i zaczyna powoli się rozbierać. Minęło kilka długich chwil wypełnionych rozkosznie bolesnym oczekiwaniem, zanim wreszcie znalazła się obok niego w różowej pościeli. Pieszczoty trwały krótko; Dollman niemal natychmiast wszedł w nią z całej siły, a zaledwie kilkanaście sekund później jego ciałem wstrząsnął dreszcz i kanclerz osunął się na prześcieradło, spocony, zadyszany, wreszcie szczęśliwy.

Przez chwilę sapał ciężko, a kiedy jego oddech wrócił do normy, pocałował dziewczynę w ramię i sięgnął ręką w dół, by ją zaspokoić, lecz ona odepchnęła go delikatnie.

- Śpij, Liebchen. Musisz być bardzo zmęczony. Wymamrotał coś, zadowolony z odprawy, po czym odwrócił się na drugi bok.

Dziewczyna leżała nieruchomo kilkanaście minut, zanim bezszelestnie wstała z łóżka, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz przez szczelinę między zasłonami. Na podjeździe stały dwa samochody, trzeci na ulicy przed bramą; co prawda nigdzie nie było widać żadnego ruchu, ale Lisi doskonale wiedziała, że we wszystkich pojazdach czuwają członkowie osobistej ochrony kanclerza. Był też jeszcze Ritter w

saloniku na parterze.

Od strony łóżka dobiegło głośnie chrapanie. Dziewczyna spojrzała na zegarek, przemknęła na palcach do zestawu hifi, przesunęła potencjometr wzmacniacza na zero, zaczekała równo minutę, po czym zwiększyła głośność do poprzedniego poziomu. Następnie zarzuciła na nagie ciało półprzeźroczysty peniuar i usiadła przy toalecie. Zapalając papierosa stwierdziła, że ręce drżą jej jak jeszcze nigdy w życiu. Ponownie spojrzała na zegarek: dziesięć po pierwszej.

Za kolejne dziesięć minut będzie po wszystkim.

Kiedy ścisły dźwięki muzyki, siedzący nieruchomo na kanapie w piwnicy Kefir Ozalid włączył ołówkową latarkę i spojrzał na zegarek; wskazówka sekundnika zatoczyła pełne koło, a wówczas muzyka Wagnera zabrzmiała równie głośno jak poprzednio.

Wcześniej słyszał warkot silników, kroki i głosy, ale przez ostatnie pół godziny w domu i wokół niego panował całkowity spokój. Aż do tej pory.

Zegarek wskazywał dziesięć po pierwszej. Wyłączył latarkę, wstał z kanapy i napiął mięśnie, które zdrętwiały mu od długiego siedzenia bez ruchu. Serce waliło mu jak młotem, a w głowie kręciło się z emocji, lecz mimo to był gotów wykonać zadanie, którego podjął się z tak wielką ochotą.

Położył berettę na podłodze przy kanapie, rozmasował zdrętwiałą łydkę, po czym usiadł na poprzednim miejscu.

Na wszelki wypadek zaczeka jeszcze pięć minut, a potem przystąpi do działania. godz. 0.46

Christian Bauer, dyrektor berlińskiego Landesamtu, był wysokim szczupłym mężczyzną po pięćdziesiątce, o szpakowatych włosach i sympatycznej, przystojnej twarzy. Nawet teraz, kiedy miał na sobie szlafrok i wymiętą piżamę w granatowe paski, wyglądał równie dostojnie jak wtedy, gdy siedział za biurkiem w swoim gabinecie.

Zaparzył Wernerowi kawę, lecz ten zignorował stojącą przed nim filiżankę z parującą, aromatyczną zawartością. Także kiedy z piętra dobiegło donośne chrapanie

żony Bauera i gospodarz uśmiechnął się przepaszająco, jego asystent nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Werner Bargel zadzwonił do szefa pięć minut temu, by poinformować, że zaraz zjawi się u niego w bardzo pilnej sprawie. Sądząc po wyrazie jego twarzy, sprawa istotnie musiała być niezwyklej wagi.

- O co chodzi, Wernerze? - zapytał Bauer z takim spokojem, jakby fakt, że został wyrwany ze snu w środku nocy nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

- Przed kilkunastu minutami otrzymałem dwa telefony z Monachium - zaczął mówić Bargel drżącym głosem. - Oba bardzo pilne. Najpierw zadzwonił człowiek nazwiskiem Volkmann. Obecnie jest oficerem Sekcji Brytyjskiej DSE, ale parę lat temu pracował tu, w Berlinie, jako agent SIS.

Bargel umilkł i otarł pobladałą twarz, choć nie było na niej ani kropli potu.

'- Mów dalej, Wernerze - zachęcił go Bauer.

- Volkmann przekazał mi wiadomość, że niejaki Kefir Ozalid zamierza zastrzelić kanclerza Dollmana oraz że niemal jednocześnie zostanie przeprowadzony zamach na pozostałych członków rządu.

- Co takiego?! - wykrztusił ze zdumieniem dyrektor berlińskiego Landesamtu.

- Kiedy?

- Jeszcze tej nocy, proszę pana. Nie wiedział, w jaki sposób zamachowcy chcą zabić ministrów, ale twierdził, iż nastąpi to bezpośrednio po zastrzeleniu kanclerza. - Bargel z wysiłkiem przełknął ślinę. - Tak się składa, że członkowie rządu są niemal w komplecie w Berlinie, ponieważ dziś rano mają zebrać się w Reichstagu na posiedzeniu poświęconym problemom bezpieczeństwa, które zostało zwołane z inicjatywy wicekanclerza Webera.

Bauer odstawił filiżankę. Jego przystojna twarz przypominała barwę kawałek kredy.

Asystent dyrektora zerknął na zegarek, po czym poinformował szefa:

- Przed przyjazdem do pana kazałem sprawdzić tego Ozalida w naszej komputerowej kartotece i wydałem polecenie odszukania kanclerza.

Bauer, choć bez wątplenia wstrząśnięty bulwersującymi informacjami, nie dał

tego po sobie poznać.

- Czego się dowiedziałeś?

- Że niejaki Kefir Ozalid, imigrant pochodzenia tureckiego, lat dwadzieścia siedem, otrzymał kategorię „stwarzający potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa”.

Christian Bauer podniósł się z fotela i zaczął przechadzać się po pokoju.

- A co z motywem? Dlaczego miałby zabić Dollmana?

- Dwa lata temu Ozalid spędził trzy miesiące w więzieniu w związku z czynną napaścią, jakiej dopuścił się w Bonn wobec urzędnika państwowego wysokiej rangi. Z pewnością dostałby większy wyrok, gdyby sąd nie wziął pod uwagę okoliczności łagodzących.

Bauer uniósł brwi.

- Jakie to okoliczności?

- Ozalid wraz z żoną zostali napadnięci przez bojówkę neonazistów. On wywinął się oparzeniami, kiedy tuż obok niego eksplodowała butelka z płynem zapalającym, ale ona umarła w wyniku odniesionych obrażeń. Co gorsza, była w ciąży. Napastników nie schwytano. - Bargel umilkł na krótko, po czym mówił dalej: - Dollman był wtedy ministrem spraw wewnętrznych. Ozalid wielokrotnie pisał do niego, oskarżając go o ukrywanie sprawców zbrodni. Urzędnik, którego zaatakował w Bonn, był bliskim współpracownikiem Dollmana.

- Mój Boże... - Bargel przesunął ręką po twarzy, jakby usiłował zetrzeć z niej resztki snu, po czym spojrzał ostro na asystenta. - Czy wiemy, gdzie teraz przebywa?

- Wyjechał z Niemiec rok temu, ostatnio mieszkał w Sztokholmie. Mógł jednak wrócić posługując się fałszywym paszportem.

Dyrektor berlińskiego Urzędu Ochrony Konstytucji zastanawiał się przez chwilę.

- A ten Volkmann? Ufasz mu?

- Tak.

- Możemy się z nim jakoś skontaktować?

Bargel pokręcił głową. Tym razem pot wystąpił mu na czoło grubymi kroplami, lecz on nie zadał sobie trudu, by go wytrzeć.

- Nie podałeś swojego numeru. Zadzwoń do mnie do domu, powiedział to, co panu przekazałem, i odłożył słuchawkę. To znaczy, jeszcze nie wszystko panu powtórzyłem...

Bauer nie odwracał wzroku od twarzy podwładnego.

- Tak?

Bargel nabrał w płuca powietrza, po czym wypuścił je z głośnym westchnieniem.

- Zdaniem Volkmana, zabójstwa Dollmana oraz członków rządu mają stanowić jedynie wstęp do zamachu stanu.

Christian Bauer wybałuszył oczy.

- A kto miałby go dokonać? - zapytał z niedowierzaniem. Wysłuchawszy odpowiedzi asystenta, pokręcił głową i przygładził włosy drżącą ręką.

- Jezus, Maria... - wyszeptał.

Bargel opowiedział szefowi o tajnej bazie w górach i o gotowym do wystrzelenia pocisku z głowicą jądrową. Kiedy wreszcie umilkł, przyjrzał się z niepokojem zwierzchnikowi, gdyż ten wyglądał jak człowiek, który lada chwila może dostać zawału serca.

Minęło kilka sekund, zanim dyrektor berlińskiego Landesamtu odzyskał siły na tyle, by zapytać słabym głosem:

- Gdzie teraz jest Dollman?

- U dziewczyny.

- Której?

- Ochrona przypuszcza, że u tej blondynki, Lisi Henning, ale nie są pewni. Zadzwoń, jak tylko sprawdzą. - Bargel przełknął ślinę. - Volkmann twierdzi, że ona też jest w to zamieszana.

- Wymienił ją z nazwiska?

- Tak, proszę pana. Poleciałem, by jak najprędzej skontaktowano się z Ritterem,

osobistym ochroniarzem kanclerza, i poinformowano go o niebezpieczeństwie. Pozostałe rozkazy, które wydałem, muszą zostać zatwierdzone przez pana, ponieważ sytuacja jest nadzwyczaj złożona, a gra toczy się o wysoką stawkę.

- Jakie to rozkazy?

- Dałem oficerowi dyżurnemu listę wysokich rangą oficerów sił zbrojnych oraz funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, którzy mają się tu natychmiast zjawić. Wysłałem dwudziestoosobowy oddział do domu dziewczyny w Wannsee. - Bargel zerknął na zegarek. - Najdalej za kilka minut powinni dotrzeć na miejsce. Inny oddział czeka w pogotowiu w Monachium, żeby ruszyć na Kaalberg. Rzecz jasna, jeśli uzna pan za stosowne, może pan jeszcze odwołać każde z tych poleceń.

- A co z rządem?

- Rozkazałem wzmocnić osobistą ochronę ministrów i uprzedziłem strzegących ich funkcjonariuszy o zagrożeniu.

W pokoju zapadła cisza. Bargel wpatrywał się z napięciem w twarz zwierzchnika, który przez chwilę zastanawiał się ze zmarszczonymi brwiami, po czym skinął głową.

- W porządku, niczego nie będziemy zmieniać. Działamy według twojego planu.

- A co z ministrem spraw wewnętrznych, proszę pana? Powinniśmy zawiadomić go o naszych działaniach.

Bauer także zdawał sobie z tego sprawę, tym bardziej, że funkcję ministra pełnił wicekanclerz Weber, czyli druga osoba w państwie. Problem polegał tylko na tym, że liczyła się każda minuta.

- Sam się tym zajmę - warknął dyrektor. - Przede wszystkim jednak trzeba skontaktować się z Ritterem!

Niespodziewanie zaświergotał telefon komórkowy Bargla. Asystent Bauera przyłożył aparat do ucha, przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym zakrył mikrofon i poinformował szefa:

- Wiemy już na pewno, że Dollman i jego ochrona są w Wannsee.

Wysłuchawszy kilku kolejnych zdań zmarszczył brwi i rzucił ostro do telefonu:

- Więc próbujcie, na litość boską! Próbujcie aż do skutku!

Kiedy odłożył aparat i spojrzał na Bauera, ten aż się przestraszył, ujrawszy zaciśnięte wargi podwładnego i ponury wyraz jego oczu.

- O co chodzi? - zapytał szybko. Bargel potrząsnął z wściekłością głową.

- Wciąż nie możemy skontaktować się z Ritterem...

Karl Schmeltz postawił kołnierz ciepłej zielonej kurtki, zaciągnął suwak pod szyję i wyszedł na balkon. Śnieg padał bez przerwy, a podmuchy lodowatego wiatru sypały mu w twarz zmarzniętymi, boleśnie kłującymi płatkami.

Upiory.

Wszędzie zjawy i upiory.

Niżej, w dolinie osłoniętej przed wiatrem wysokimi zboczami, panowała znacznie lepsza pogoda, tutaj natomiast, na stoku góry, wiatr świszczął w uszach i zmuszał do tańca drobinki białego puchu.

Schmeltz wiedział na pewno, że już tu kiedyś był. Czuł to w kościach, przez skórę. Wreszcie odnalazł... Właśnie, co? Swoje korzenie? Ojczyznę? Można i tak to nazwać. Należał do tego miejsca, a ono należało do niego. Odnalazł swoje przeznaczenie. Takie myśli zazwyczaj napełniały go melancholią, tym razem jednak odczuwał coś w rodzaju pogodnego wzruszenia, a może nawet radości.

Wiatr znowu sypnął mu w twarz zmarzniętymi płatkami. Nie miał nic przeciwko temu. Już dawno nie rozpierała go tak wielka energia.

Zimno. Bardzo zimno.

Wziął głęboki wdech, zachłysnął się lodowatym powietrzem, które wypełniło jego płuca cudowną rzeźkością.

Wspaniale.

Dwa razy, kiedy był jeszcze dzieckiem, przywieziono go tutaj, na południe. Zapamiętał twarze ludzi, których nazwiska poznał sporo później: Bormann, Mengele, Eichmann... Potajemne spotkania i długie rozmowy. Tak, to właśnie ten

chłopiec. Przyjrzyjcie mu się dobrze. Kiedyś, może nie za waszego życia, ale całkiem niedługo... Kiedy nadarzą się sprzyjające okoliczności...

A potem mocne uściski rąk, stukot obcasów, zapewnienia o dozgonnej wierności. I twarze, wiele twarzy, starych i młodych. Czy ktoś mógł przypuszczać, że trzeba będzie czekać aż tak długo?

Gwałtowniejszy podmuch wiatru sypnął Schmeltzowi w twarz twardym jak żwir śniegiem. Mężczyzna zacisnął ręce na balustradzie i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

Już niedługo.

Usłyszał jakiś szmer i spojrzał w kierunku drzwi balkonowych. Z pokoju wyszedł Meyer, czterema szybkimi krokami pokonał dzielącą ich odległość, zatrzymał się i powiedział głośno, by nie dać się zagłuszyć wiatrowi:

- Przeprowadziliśmy dziewczynę.

Schmeltz skinął głową, po czym obaj skryli się we wnętrzu budynku.

Ozalid włączył latarkę. Czternaście po pierwszej.

A więc minęły cztery minuty wypełnione pełnym napięciem oczekiwaniem. Słyszał każde uderzenie swego serca, każdy szmer dobiegający z głębi domu, każde poruszenie na zewnątrz, w przysypanym śniegiem ogrodzie.

Wyłączył latarkę i ponownie znalazł się w całkowitej ciemności.

Oddychał powoli, głęboko, starając się zapanować nad zniecierpliwieniem. Pragnął, żeby było już po wszystkim. Teraz, natychmiast.

Przymknąwszy powieki ujrzął przed sobą śliczną, uśmiechniętą twarz Layli, usłyszał jej głos, poczuł zapach długich czarnych włosów... Lecz zaraz potem przypomniał sobie, co zrobili z nią mężczyźni w skórzanych kurtkach i o ogolonych głowach, i poczuł się tak, jakby tuż obok niego uderzyła oślepiająca błyskawica.

Zrób to!

Nie czas na wspomnienia.

Po prostu zrób to i już.

Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał ze wstrzymanym oddechem, czy w

ogrodzie nie rozlegnie się jakiś podejrzany hałas, lecz mijały sekundy, a w domu oraz dokoła niego panował całkowity spokój. Po raz kolejny włączył latarkę i świecąc pod nogi ruszył szybko w kierunku schodów. Kiedy wszedł na pierwszy stopień, poczuł jak, uginają się pod nim kolana.

Przystanął, odetchnął głęboko kilka razy, policzył w myśli do dwudziestu. Ruszył dalej dopiero wtedy, kiedy nabrał pewności, że nogi nagle nie odmówią mu posłuszeństwa.

Dotarłszy do drzwi odbezpieczył pistolet, wyłączył latarkę, schował ją do kieszeni, po czym delikatnie nacisnął klamkę.

Drzwi uchyliły się na dwa, może trzy centymetry. Przez szczelinę widać było świecąca się lampę na stoliku przy ścianie oraz zamknięte drzwi do saloniku. W szparze między ich dolną krawędzią a podłogą było ciemno.

Ozalid pchnął drzwi i bezszelestnie wślizgnął się do hallu.

Schody prowadzące na piętro spowijała ciemność, ale właśnie stamtąd, z góry, dobiegały dźwięki muzyki. Skulony, gotów błyskawicznie zareagować na każdy podejrzany odgłos, ruszył w górę po wyłożonych miękkim chodnikiem stopniach. Nie czuł strachu; towarzyszyło mu za to uczucie przedziwnej lekkości, jakby ważył niewiele więcej od powietrza i gdyby tylko chciał, mógłby popłynąć przez nie jak nurek przez morską głębinę.

Szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy.

Dotarłszy na piętro zawahał się i rozejrzył dokoła. Drzwi sypialni były lekko uchylone, przez szparę zaś wydobywała się wąska smuga światła.

Ozalid odetchnął głęboko, uniósł zaopatrzoną w tłumik berettę na wysokość biodra, po czym krok za krokiem zaczął zbliżać się do pomieszczenia, w którym przebywała jego nie spodziewająca się niczego ofiara.

Rittera obudził natarczywy sygnał telefonu komórkowego. Poderwał się gwałtownie z kanapy, na której położył się tylko na chwilę, by odpocząć po męczącym dniu. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zasnął, ukołyszany dobiegającymi z góry dźwiękami muzyki Wagnera.

Sięgnął po omacku po telefon, znalazł go po krótkich poszukiwaniach, przyłożył do ucha.

- Tu Ritter - powiedział zaspanym głosem.

- Nareszcie! Mówi Werner Bargel. Co się z tobą działo, do cholery?! Jesteś z kanclerzem?

Ochroniarz włączył stojącą lampę, przy okazji o mało nie zwałając jej na podłogę.

- O co chodzi? Coś się stało?

- Nie mam czasu na wyjaśnienia. Słuchaj uważnie: kanclerzowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Jest planowany zamach na jego życie. Nie odstępuj go ani na krok, rozumiesz? Nie spuszczaaj go z oczu. Wysłaliśmy już posiłki, lada chwila powinny być na miejscu, ale na razie bądź cały czas przy Dollmanie!

Ritter rzucił telefon na kanapę, poderwał się na nogi, chwycił leżącą na stole krótkofalówkę i wcisnął przycisk nadawania.

- Uwaga, ogłaszam czerwony alarm! - ryknął do mikrofonu. - Powtarzam: ogłaszam czerwony alarm! Natychmiast obstawić wszystkie wejścia i zamknąć bramę wjazdową!

Nie czekając na odpowiedź odłożył krótkofalówkę, wy dobył z kabury potężnego sig & sauera kaliber 9 mm, po czym wybiegł do hallu i błyskawicznie rozejrzał się dokoła. Nikogo. Z piętra wciąż dobiegały dźwięki muzyki, lecz teraz towarzyszyły im inne odgłosy, dochodzące z zewnątrz budynku: warkot silników, tupot wielu nóg i nawoływania ochroniarzy zajmujących wyznaczone pozycje.

Ruszył w kierunku schodów wiodących na górę, lecz nagle stanął jak wryty, ujrzawszy otwarte drzwi do piwnicy. Serce zamarło mu w piersi; szósty zmysł podpowiedział mu, że właśnie stamtąd nadeszło niebezpieczeństwo. Wcześniej drzwi z pewnością były zamknięte, więc wszystko wskazuje na to, że...

Boże.

Wokół willi nadal trwała bieżączka, lecz Ritter przestał zwracać na nią uwagę; odwrócił się na pięcie i co sił w nogach pognał na górę, przeskakując po trzy stopnie.

Wślizgnąwszy się do sypialni, Ozalid ujrzał mężczyznę śpiącego w łóżku w różowej pościeli oraz piękną młodą kobietę ubraną jedynie w przezroczysty peniuar, która siedziała przy toaletce i paliła papierosa. Ich wzrok spotkał się, lecz żadne nie odezwało się ani słowem; on stał jak sparaliżowany z pistoletem w wyciągniętej ręce, ona zamarła w bezruchu, trzymając papierosa palcami o długich, pomalowanych na jaskrawy kolor paznokciach.

W tej scenie było coś nierealnego: dwoje wpatrzonych w siebie ludzi, śpiący mężczyzna, operowa muzyka sącząca się z głośników...

Dopiero po chwili Ozalid rozpoznał kobietę, którą wcześniej wielokrotnie widział na zdjęciach. Przeniósł wzrok na broń, a w jej oczach pojawił się lęk; nerwowo spojrzała na łóżko, jakby chciała wskazać mu cel.

Dollman leżał na wznak, przykryty do połowy różową kołdrą. Porośnięta zmierzwionymi siwymi włosami pierś oraz potężny brzuch unosiły się i opadały miarowo, z na pół uchylonych ust zaś wydobywał się chrapliwy oddech. Nagle Turka ogarnęła fala nienawiści. Zacisnąwszy zęby, postąpił krok w kierunku łóżka i wycelował broń, lecz zanim zdążył nacisnąć spust, do jego uszu dotarł jakiś hałas nie mający nic wspólnego z podniosłą muzyką.

Ktoś biegł po schodach.

Zaraz potem drzwi otworzyły się gwałtownie i do sypialni wpadł zadyszany, potężnie zbudowany mężczyzna z pistoletem w ręce.

Ozalid zrozumiał, że wybiła jego godzina. Nie miał nic przeciwko temu, by pogrążyć się w objęciach śmierci, ale pod warunkiem, że przedtem zdąży zrobić tę jedną jedyną rzecz, najważniejszą w całym jego życiu.

Błyskawicznie skierował broń w stronę intruza. Oczy Rittera rozszerzyły się z przerażenia; zareagował odruchowo, nie myśląc, zgodnie z tym, co podpowiedział mu instynkt. Rzucił się gwałtownie w prawo i w tej samej chwili Turek nacisnął spust raz, zaraz potem drugi. Jeden z pocisków trafił Rittera w lewe ramię. Ochroniarz ryknął z bólu, lecz Ozalid przestał się nim zajmować i ponownie wycelował berettę w Dollmana.

Hałas wyrwał kanclerza ze snu. Z wyrazem zdumienia i lęku na twarzy spróbował podnieść się na łokciu, lecz nim zdążył to uczynić zabójca wpakował w niego dwa pociski. Pierwszy trafił kanclerza w lewy policzek i cisnął na poduszkę, druga kula natomiast utkwiała w szerokiej piersi.

Ozalid zamierzał nacisnąć spust po raz trzeci, lecz kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i odwrócił się w tamtym kierunku.

Najpierw poczuł przeszywający ból w piersi, dopiero potem usłyszał huk wystrzału... zaraz potem kolejny... jeszcze jeden... i jeszcze. Impet wystrzelianych z niewielkiej odległości pocisków kalibru 9 mm był tak wielki, że Turek przeleciał w powietrzu dwa metry, z ogromną siłą rąbnął w ścianę i osunął się po niej na pokrytą miękką wykładziną podłogę. Ostatkiem sił, nie celując, nacisnął spust beretty.

Kula trafiła kobietę w gardło. Piękna blondynka w rozpaczliwym geście podniosła ręce do rany, spojrzała z przerażeniem na tryskającą krew, po czym runęła na podłogę.

W pokoju zapadła cisza. Ozalid leżał z twarzą zwróconą w kierunku łóżka. Nie słyszał ani własnego, chrapliwego oddechu, ani łomotu stóp ludzi biegnących po schodach, ani charkotu wydobywającego z gardła śmiertelnie rannej kobiety. Nie poczuł też, jak członkowie ochrony kanclerza chwytają go za ramiona, wykręcają mu je do tyłu i przygważdżają go kolanami do podłogi.

Zamknął powieki, by po raz ostatni ujrzeć piękną twarz Layli.

Czterdzieści sekund później, dokładnie o pierwszej szesnastej, wicekanclerz Konrad Weber otrzymał alarmujący telefon z berlińskiego Landesamtu. Mimo późnej pory jeszcze nie spał; wciąż w garniturze, siedział przy biurku w apartamencie mieszczącym się w hotelu Kempinski przy Kurfiirstendamm i przeglądał ważne papiery.

Niemal sparaliżowany przerażeniem wysłuchał w milczeniu relacji Christiana Bauera z wydarzeń, jakie zaledwie przed kilkudziesięcioma sekundami rozegrały się w willi nad Wannsee. Bauer poinformował go także o planach zamachowców dotyczących zgładzenia wszystkich członków rządu.

Kiedy dyrektor Landesamtu umilkł, zaszokowany Weber milczał przez dłuższą chwilę, po czym wykrztusił tylko jedno słowo:

- Boże...

Zdając sobie sprawę, iż sytuacja wymaga błyskawicznych decyzji, nadludzkim wysiłkiem zdołał otrząsnąć się ze zdumienia i zmusić do zachowania spokoju.

Jego rozmowa z Bauerem trwała równo sześć minut.

Zgodnie z niemiecką konstytucją, w przypadku śmierci lub poważnej choroby kanclerza jego obowiązki przejmuje wicekanclerz i pełni je aż do chwili powołania nowego szefa rządu. Konrad Weber doskonale zdawał sobie sprawę z ciężaru odpowiedzialności, jaka niespodziewanie spoczęła na jego barkach, ale postanowił sprostać zadaniu. Jego precyzyjny, pragmatyczny umysł natychmiast zaczął pracować na najwyższych obrotach, obmyślając strategię, która pozwoliłaby uchronić kraj i naród przed trudną do wyobrażenia katastrofą. Poinformował Bauera, że bezzwłocznie przejmuje obowiązki szefa rządu oraz że najdalej za godzinę zwoła w trybie pilnym nadzwyczajne posiedzenie gabinetu.

Ponieważ zagrożenie życia ministrów oraz samego wicekanclerza było całkiem realne, Weber zgodził się z sugestią Bauera dotyczącą przedsięwzięcia szczególnych środków ostrożności. Oficerowie ochrony udali się już do hoteli, w których zamieszkali członkowie rządu, do Reichstagu natomiast skierowano wzmocnione siły policji i żandarmerii, które miały uniemożliwić przeprowadzenie ewentualnego ataku terrorystycznego na budynek.

Weber postanowił również wprowadzić na terenie całego kraju stan wyjątkowy, obsadzić strategiczne placówki najbardziej zaufanymi ludźmi oraz aż do odwołania zamknąć granice lądowe, wodne i powietrzne. Poprosił Bauera o podanie dokładnych współrzędnych tajnej bazy w Bawarii, lecz kategorycznie zabronił przedsięwzięcia jakichkolwiek kroków zmierzających do opanowania jej siłą aż do chwili, kiedy rząd ustali harmonogram działań. Dyrektor berlińskiego Landesamtu gorąco protestował, lecz Weber stwierdził stanowczo, iż nie zamierza ryzykować

nuklearnej katastrofy, dopóki nie stwierdzi ponad wszelką wątpliwość, że nie ma innego wyjścia. Zależało mu także na tym, by obywatele dowiedzieli się najpierw o zamiarach zamachowców i poznali ich nazwiska. Naturalnie Bauer miał informować go na bieżąco o rozwoju wydarzeń. W grę wchodziły wyłącznie bezpośrednie kontakty, wszystko jedno, przez telefon albo twarzą w twarz. Sytuacja była tak napięta, że nie należało zwiększać ryzyka popełnienia błędu, zdając się na pośrednictwo choćby najbardziej zaufanych współpracowników.

Kiedy wreszcie Konrad Weber odłożył telefon na biurko, stwierdził bez większego zdziwienia, że jest mokry od potu, a jego ręce drżą jak w febrze. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak wielka spoczywa na nim odpowiedzialność. Jego wzrok wciąż kierował się ku brązowej skórzanej teczce leżącej na łóżku; znajdowało się w niej wszystko, czego będzie potrzebował podczas nadzwyczajnego posiedzenia rządu. Podobnie jak do tej pory, teraz także nie wątpił, iż działania, które zdecydował się podjąć, będą służyły autentycznemu dobru Niemiec. W tej chwili przyszłość kraju i narodu zależała wyłącznie od niego.

Otarł pot z czoła, po czym sięgnął po telefon, by obudzić śpiącego w sąsiednim pokoju kierowcę.

Rozdział 57

Samochód zatrzymał się na poboczu górskiej drogi między rosnącymi tu nieco rzadziej drzewami. Kierowca wyłączył silnik i światła, po czym otworzył klapę bagażnika. Z samochodu wysiadło pięciu mężczyzn, którzy w milczeniu zajęli się rozdzielaniem broni, którą był wypełniony bagażnik.

Jeden z terrorystów wcisnął Volkmannowi w rękę kałasznikowa o naoliwionej, lśniącej w mroku lufie. Joseph sprawdził, czy broń jest zabezpieczona, upewnił się, że w magazynku nie brakuje ani jednej sztuki amunicji, po czym przewiesił broń przez ramię. Oprócz pistoletu maszynowego miał też swoją berette, którą zwrócił mu Lubsch.

Spojrzał w kierunku szczytu góry. Pogoda pogarszała się z każdą chwilą; wiał silny wiatr, a śnieg sypał coraz gęściej, ograniczając widoczność do zaledwie dziesięciu metrów. Opel, którym jechali, miał napęd tylko na jedną, tylną oś, więc jedynie z najwyższym trudem udało im się dotrzeć aż tutaj, pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym zaczynała się prywatna droga prowadząca do bazy na zboczu Kaalbergu. Za godzinę lub dwie mogliby tu dojechać wyłącznie terenowym wozem z napędem na cztery koła.

Volkmann usiłował skoncentrować się na czekającej ich wspinaczce, lecz jego myśli wciąż kierowały się ku Erice. Ogromnie niepokoił się o dziewczynę i choćby nie wiadomo jak się starał, nic nie mógł na to poradzić. Wiatr sypał mu w twarz marznącym śniegiem; po dłuższej chwili, kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, Joseph spojrzął na Lubscha, który przyciszonym głosem tłumaczył coś Hartigowi. Zaraz potem dowódca terrorystów poklepał podwładnego po ramieniu, ten zaś skinął w milczeniu głową i z przewieszonym przez pierś kałasznikowem zniknął za zasłoną z płatków śniegu.

Lubsch odprowadził go wzrokiem, a następnie podszedł do Volkmana.

- My dwaj pójdziemy przez las. Kiedy znajdziemy się wystarczająco blisko, dam sygnał moim ludziom. - Pokazał Josephowi miniaturową krótkofalówkę. - Natychmiast otworzą ogień do strażników i nawet jeśli nie uda im się ich wyeliminować, to przynajmniej ściągną na siebie ich uwagę. Wysłałem Hartiga, żeby poszukał przewodów telefonicznych i kabli energetycznych. Jeżeli zdoła przerwać im łączność, zostaną odcięci od świata i nie będą mogli wezwać pomocy, przynajmniej przez telefon. Z kolei gdyby tak się stało, że to my będziemy chcieli zadzwonić, Hartig bez problemu podłączy nas do linii.

- Rozumiem, ale po co zawracać sobie głowę kablami energetycznymi? Przecież oni na pewno mają awaryjne generatory.

- Też tak myślę. Jednak Hartig twierdzi, że uda mu się załatwić to w taki sposób, że prąd z generatorów popłynie wyłącznie do zwykłych instalacji domowych - wiesz, oświetlenie, gniazdka i tak dalej. Ręczy natomiast głową, że nie

uda im się uruchomić ani jednego silnika elektrycznego wymagającego większego napięcia, a więc nie będą mogli ustawić wyrzutni w pożądanym kierunku ani odpalić pocisku. - Lubsch uśmiechnął się blado. - Na wszelki wypadek jednak lepiej na to za bardzo nie liczyć.

Terrorysta westchnął głęboko. Obłok pary, który wydobył się z jego ust, natychmiast uleciał w ciemność, porwany gwałtownym podmuchem wiatru.

- Niestety, nie my rozdajemy karty, ale jeśli wykorzystamy element zaskoczenia, to wcale nie stoimy na straconej pozycji. Pozostaje się tylko modlić, żeby nas za wcześnie nie zauważyli. - Zerknął w kierunku drzew, częściowo przesłoniętych tumanami śniegu. - Szkoda czasu, Volkmann. Na wszelki wypadek patrz uważnie pod nogi. Co prawda dziewczyna Kessera twierdziła, że poza terenem bazy nie przygotowali żadnych niespodzianek, ale mogła o wszystkim nie wiedzieć, a poza tym nikt nam nie zaręczy, że mówiła prawdę.

Lubsch i Volkmann zsynchronizowali zegarki z pozostałymi dwoma mężczyznami, po czym każda para ruszyła w swoją stronę.

Wewnątrz i dokoła rześście oświetlonego budynku Reichstagu górującego nad Placem Republiki trwała gorączkowa krzątanina.

Werner Bargel po raz ostatni widział tu taki ruch owej pamiętnej nocy, kiedy ostatecznie runął mur i rozradowany tłum wypełnił całą przestrzeń między Bramą Brandenburską i odległym o dwieście metrów Reichstagem.

Ta noc też mogła się okazać niezwykle brzemenna w skutki, choć z zupełnie innych powodów.

Bargel przechadzał się nerwowo po stopniach tuż za podwójnymi szklanymi drzwiami wejścia od strony Scheidemannstrasse. Było na tyle zimno, że za każdym oddechem z jego ust wydobywał się obłok pary. Wciąż jeszcze nie mógł otrząsnąć się z szoku po śmierci Dollmana.

Podobnie jak prawie wszyscy dokoła.

Potężny, imponujący gmach parlamentu był świadkiem wielu historycznych wydarzeń: pożaru, który Hitler wykorzystał jako pretekst do rozprawy z opozycją,

szturmu na Berlin, wybudowania, a później zburzenia muru. Teraz, milczący i obojętny, także uczestniczył w tworzeniu historii.

Wyglądało na to, że w okolicy Reichstagu ściągnięto co najmniej połowę sił berlińskiej policji: na placu oraz przylegających ulicach stało około sześćdziesięciu białozielonych osobowych volkswagenów i tyle samo mikrobusów wypełnionych uzbrojonymi w plastikowe tarcze, hełmy i bojowe pałki funkcjonariuszami. W powietrzu nieprzerwanie krążyły cztery śmigłowce; łoskot wirników sprawiał, że chwilami nie można było usłyszeć słów człowieka stojącego w odległości zaledwie dwóch kroków.

Wszędzie kręcili się policjanci w ciemnozielonych mundurach; część z nich zajmowała strategiczne pozycje, z których roztaczał się najlepszy widok na okolicę, inni przeszukiwali pobliski park, świecąc latarkami pod krzaki i drzewa. Przez hałas czyniony przez śmigłowce przebijało się wściekłe ujadanie psów, gwar podniesionych głosów oraz przenikliwy świergot gwizdków. Zupełnie jakby lada chwila miała wybuchnąć trzecia wojna światowa.

Boże.

Bargel z niedowierzaniem pokręcił głową, czując jak drżą mu kolana.

Niepokój wywołany wiadomością o tym, że terroryści weszli w posiadanie pocisku z głowicą jądrową, był wystarczająco nieznośny; teraz doszła do niego świadomość, iż nad głowami członków rządu zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Spojrzał na zegarek.

Dziesięć po drugiej.

Trzech ministrów dotarło już na miejsce bez żadnych przygód. Wszyscy niemal wbiegli po schodach do budynku, nie rozglądając się dokoła, ze wzrokiem wlepionym w drzwi, za którymi mogli czuć się zupełnie bezpieczni. Oni także doznali nie lada wstrząsu, dowiedziawszy się o śmierci kanclerza, a fakt, że ich życie również wisiało na włosku, z pewnością nie dodawał im animuszu. Streicher już wyglądał jak nieboszczyk, natomiast Eckart miał minę człowieka, który czuje na karku dotyk lufy pistoletu.

Bargel przeniósł spojrzenie na stojących w grupkach policjantów. Większość była w mundurach, część zaś w cywilu, ale wszyscy mieli przypięte żółte identyfikatory przygotowane pośpiesznie specjalnie na tę okazję i rozdane przed rozpoczęciem operacji. Jednak fakt posiadania identyfikatora jeszcze o niczym nie świadczył. Każdy, dosłownie każdy z tych ludzi mógł okazać się terrorystą czyhającym na sposobność do oddania strzału.

Naprawdę każdy.

Komu więc można zaufać?

Niech to szlag trafi!

Jednak w głębi duszy Bargel wątpił, czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach zdecydowałby się przeprowadzić teraz atak na członków rządu. Przy tak licznej obstawie i przedsięwziętych środkach ostrożności równałoby się to samobójstwu.

Oprócz ministrów, członków ich ochrony osobistej oraz samego Bargla do budynku nie mógł wejść nikt, kto nie posiadał zezwolenia wydanego osobiście przez szefa berlińskiej policji.

Człowiek ten stał w odległości dziesięciu metrów od bocznego wejścia, przypominając do złudzenia kogoś, kto jakiś czas temu przeciął sobie żyły i właśnie znajduje się w ostatniej fazie wykrwawiania się na śmierć. Rozmawiał z barczystym ciemnowłosym mężczyzną w wieku trzydziestu paru lat; był to Axel Wiglinski, szef ochrony Reichstagu. Obaj co chwila rozglądali się nerwowo dokoła, jakby próbując ustalić, skąd może nadejść ewentualne zagrożenie.

Mimo podjętych środków ostrożności nikt nie mógł dać pełnych gwarancji bezpieczeństwa. Ludzie Wiglinskiego już trzykrotnie przeszukali cały budynek, od piwnic poczynając, a na poddaszu kończąc; zaglądali w każdy zakamarek, do każdego pomieszczenia, każdej szafy, biurka i komody, sprawdzili wszystkie komórki, nie używane pokoje i korytarze, skontrolowali szyby wentylacyjne, magazyny oraz garaże.

Niczego nie znaleźli.

Ani śladu zamachowców, bomb albo materiałów wybuchowych.

Bargel ustalił już z szefem policji metody dalszego postępowania. Członkowie rządu mieli pojechać windą na drugie piętro i przejść do północnego skrzydła gmachu, do pokoju oznaczonego numerem 4. Piesza wędrówka korytarzami powinna trwać nie więcej niż dwie minuty. Kiedy zjawi się Weber, Bargel i Axel Wiglinski osobiście zaprowadzą go na miejsce, gdzie miało odbyć się posiedzenie.

Wśród osób zatrudnionych na stałe w Reichstagu pokój numer 4 był znany jako „pokój na drutach”. Używano go niezmiernie rzadko, jedynie w nadzwyczajnych okolicznościach. Przypominał ogromną dźwiękoszczelną skrzynię z nadzwyczaj wytrzymałego żelazobetonu, zawieszoną na ośmiu stalowych prętach przymocowanych do potężnego, odpornego na wstrząsy szkieletu. Naturalnie był wyposażony w klimatyzację, wchodziło się zaś do niego przed służę o podwójnych drzwiach, podobną trochę do tych, jakie są instalowane na okrętach podwodnych. Nie było mowy o założeniu podsłuchu, nawet najbardziej wyrafinowanego, działającego na odległość, gdyż pokój otaczało dodatkowo pole elektromagnetyczne, zewnętrzne ściany zaś wyłożono grubą warstwą metalu. Jedyne wejścia miały strzec połączone siły ochrony Reichstagu oraz doborowych jednostek antyterrorystycznych.

Bargel ponownie obrzucił szybkim spojrzeniem twarze policjantów, agentów ochrony i funkcjonariuszy oddziałów specjalnych, myśląc o tym, co powiedział mu Volkmann. Każdy z nich mógł być zabójcą, czekającym na okazję do przeprowadzenia zamachu.

Nie, to niemożliwe. Za duże ryzyko, za małe prawdopodobieństwo, że akcja zakończy się sukcesem. Znacznie bardziej prawdopodobna była próba przeprowadzenia zamachu bombowego.

Ale w jaki sposób? Przecież budynek został dokładnie sprawdzony, łącznie z pokojem numer 4, rzeczami osobistymi członków ochrony i kosztami na śmieci w toaletach! Nie znaleziono niczego, co przypominałoby materiał wybuchowy, granat lub bombę... Chyba że ludzie Wiglinskiego popełnili jakiś błąd, lecz to także było mało prawdopodobne. Jednemu zespołowi mogło zdarzyć się przeoczenie, ale nie

trzem, przeszukującym te same pomieszczenia.

Więc jeśli nie bomba, to co?

Niedawna rozmowa z szefem policji utwierdziła go w przekonaniu, że zrobiono wszystko co w ludzkiej mocy, by nie dopuścić do tragedii. Mimo to wciąż dręczył go niepokój; a jeśli jednak o czymś zapomnieli? O czymś niezmiernie ważnym i tak oczywistym, że nikomu nie przyszło do głowy, żeby to sprawdzić?

Z zamyślenia wyrwał go donośny jęk policyjnych syren; chwilę później w Scheidemannstrasse skręciła kawalkada czarnych mercedesów, eskortowanych przez policjantów na motocyklach. Kolejni członkowie rządu przybyli na posiedzenie; wysiadłszy z limuzyn od razu skierowali się w stronę podwójnych szklanych drzwi, przy których czekał na nich Axel Wiglinski. Wewnątrz stali członkowie ochrony budynku; każdy z nich miał towarzyszyć jednemu z ministrów w drodze do pokoju numer cztery.

Ponownie zawodzenie syren, migotanie niebieskich świateł, świergot gwizdków. Cztery kolejne mercedesy, potem jeszcze dwa.

Ostatnim przyjechał Weber.

Zamieszanie, o ile to możliwe, stało się jeszcze większe. Funkcjonariusze z oddziałów antyterrorystycznych utworzyli wąski szpaler, jakby nie dowierzali swoim kolegom w zielonych mundurach i pragnęli własnymi ciałami ochronić Webera przed kulą wystrzeloną przez zamachowca. Bargłowi przemknęła przez głowę niewesoła myśl, że gdyby któryś z tych ludzi okiżdził się zabójcą, wicekanclerz nie miałby najmniejszych wani

Na wszelki wypadek rozpiął płaszcz i marynarkę, by moi bez przeszkód sięgnąć do kabury po potężnego sig & saueni, choć jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że nic się nie stanie, przynajmniej nie tu, na schodach. Czekał przy drzwiach, nie spuszczać wzroku z Webera, który wspinał się po stopniach z bladą twarzą i zaciśniętymi ustami. Po obu stronach szli jego osobiści ochroniarze, na przedzie zaś kroczył szef policji. Dotarłszy do drzwi, Weber bez słowa skinął głową Bargłowi, ten zaś, również w milczeniu, wskazał mu korytarz wiodący do windy i

północnego skrzydła budynku. Zawahał się, nie wiedząc w jaki sposób powinien teraz zwracać się do Webera. „Panie wicekanclerzu”? A może „panie kanclerzu”?

Zdecydował się na bezpieczniejsze rozwiązanie.

- Tędy, proszę pana - powiedział, a następnie ruszył jako pierwszy, już z nieco lżejszym sercem. Wszyscy członkowie rządu dotarli bezpiecznie do Reichstagu.

Weber, jego dwaj ochroniarze oraz Axel Wiglinski podążyli za nim.

Meyer wyszedł z budynku i szybkim krokiem pokonał kilkanaście metrów dzielących go od bunkra. Warstwa śniegu leżącego na ziemi z pewnością przekraczała już pięć centymetrów.

Znalazłszy się w środku, nacisnął przełącznik i wewnątrz budowli zalało jaskrawe światło jarzeniówek. Starannie zamknął za sobą metalowe drzwi, po czym skierował się prosto do telefonu, ale zanim podniósł słuchawkę, przez kilka sekund wpatrywał się w podobny do wielkiego szarego cygara pocisk spoczywający na wyrzutni.

Z aparatu w domu usiłował dodzwonić się do Brennera, człowieka odpowiedzialnego za bezpieczeństwo bazy, lecz w słuchawce panowała głucha cisza. Widocznie nastąpiło jakieś uszkodzenie na linii.

Dwadzieścia minut wcześniej Brenner zadzwonił z najświeższymi informacjami. Pomyślna była tylko jedna: Dollman nie żyje. Pozostałe sprawiły, że Meyerowi zaczęły drżeć ręce, a na czoło wystąpiły krople potu.

Grinzing zginął.

Kesser i jego dziewczyna znikli bez śladu. Ich mieszkanie zostało gruntownie przeszukane.

Brenner obiecał zadzwonić za dziesięć minut. Być może przez ten czas uda mu się zdobyć jakieś wiadomości na temat Kessera.

Nie zadzwonił.

Teraz przynajmniej wiadomo dlaczego.

Meyer zaklął pod nosem, kilkakrotnie nacisnął widelki aparatu w nadziei, że może w ten sposób odblokuje linię, lecz w słuchawce nadal panowała głucha cisza.

Nic, nawet żadnego szumu.

Z wściekłością cisnął słuchawkę na widełki. Donośny stukot, z jakim uderzyła w aparat, sprawił, że dopiero chwilę później Meyer usłyszał dobiegający z daleka, przytłumiony, ale wyraźny terkot broni maszynowej.

Stał bez ruchu, z przekrzywioną głową, nasłuchując jak dzikie zwierzę, które usiłuje się zorientować, skąd zbliża się niebezpieczeństwo. Mijały sekundy, a on wciąż trwał niczym kamienny posąg, by nagle, jak przeniesiona z filmu postać, której ktoś kazał znieruchomieć na stopklatce, a potem niespodziewanie przywrócił do życia, odwrócić się na pięcie i co sił w nogach pognać w kierunku drzwi.

Śnieg wciąż padał, chyba nawet jeszcze intensywniej niż do tej pory, kiedy Volkmann i Lubsch wyszli spomiędzy drzew na prawo od podjazdu.

Zainstalowane na wysokich słupach lampy płonęły intensywnym blaskiem, oświetlając zaśnieżony teren. Biały puch nie zdążył jeszcze zatrzeć śladów opon, zdołał natomiast pokryć dość grubą warstwą dwa osobowe mercedesy zaparkowane w pobliżu wejścia do budynku. Kilkanaście metrów dalej widać było płaski dach bunkra. Dwaj mężczyźni błyskawicznie przemknęli przez odkryty teren i przykucnęli za bagażnikiem jednego z samochodów.

Volkmann ostrożnie wychylił głowę z ukrycia. W oknach budynku płonęły światła, lecz nie było widać żadnego ruchu. Odwrócił się do Lubscha, który zamienił kilka słów przez krótkofalówkę, po czym oznajmił szeptem:

- Hartig przeciął już kable telefoniczne. Miejmy nadzieję, że znajdzie też przewody elektryczne. Jesteś gotów?

Joseph skinął głową.

Terrorysta wydał półgłosem komendę, po czym schował krótkofalówkę do kieszeni kurtki.

Niespełna sekundę później zza drzew dobiegł terkot pistoletów maszynowych. Początkowo strzelało tylko dwóch ludzi, lecz po kilku chwilach skromny duet zamienił się w ogłuszający koncert - częściowo dlatego, że zaskoczeni strażnicy wreszcie odpowiedzieli ogniem, a częściowo za sprawą echa, które

potrzebowało trochę czasu, by wrócić odbite od zboczy dość odległych gór.

Volkman i Lubsch ruszyli w kierunku domu, lecz zaledwie po kilku krokach stanęli jak wryci i odwrócili się błyskawicznie, ponieważ za ich plecami rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Wybiegłszy z bunkra, Meyer ujrzał przed sobą dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Zaskoczenie było obopólne, lecz oni pierwsi otrząsnęli się i wycelowali w niego przewieszzone przez pierś kałasznikowy.

Meyer poczuł, jak jego ręce i nogi robią się bardzo, ale to bardzo ciężkie, głowa natomiast staje się niewyobrażalnie lekka. Niewiele brakowało, a osunąłby się zemdlony na śnieg.

Jeden z mężczyzn, wysoki, o ciemnych włosach, przyłożył palec do ust, a następnie polecił półgłosem:

- Trzymaj gębę na kłódkę, rozumiesz? I ręce z dala od kieszeni. - Zbliżył się o krok. - Gdzie są Schmeltz i dziewczyna?

Kolana ugięły się pod Meyerem. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ciemny otwór lufy wymierzony między jego oczy. Tamten przysunął się jeszcze bliżej.

- Odpowiadaj!

- W domu.

- Jak się nazywasz?

- Meyer.

Ciemnowłosy mężczyzna wskazał ruchem głowy otwarte drzwi bunkra.

- Wracaj tam.

Meyer zawahał się, zerknął na drugiego mężczyznę. Był młodszy, znacznie niższy, a blask silnych lamp odbijał się w metalowych oprawkach jego okularów. Kanonada trwała już od dobrych kilkudziesięciu sekund; dlaczego jeszcze nikt nie wyszedł z domu? - przemknęło mu przez głowę.

Człowiek celujący w niego z kałasznikowa zbliżył się tak bardzo, że koniec lufy prawie dotykał czoła Meyera.

- Rób co ci każę albo dostaniesz kulę w łeb!

W oczach mężczyzny czaiła się wściekłość. Na razie panował nad nią, ale nie ulegało wątpliwości, że będzie w stanie spełnić groźbę.

Meyer odwrócił się i ruszył w kierunku bunkra, lecz nie zdążył zrobić nawet trzech kroków, kiedy z domu wypadł Kruger z walterem w ręce. Na jego twarzy malowały się niepokój i zaskoczenie. Ujrawszy niezwykle widok - dwaj uzbrojeni mężczyźni, Meyer z podniesionymi rękami idący w kierunku bunkra - zawahał się przez ułamek sekundy, po czym podniósł pistolet i nacisnął spust. Niemal jednocześnie Volkmann skierował w jego stronę lufę kałasznikowa, lecz uczynił to odrobinę za późno.

Pierwszy pocisk trafił Meyera w plecy, drugi przeszył rękę Volkmana, wytrącając mu broń. Kolejne uderzyły w betonową ścianę bunkra oraz w ciało Lubscha. Terrorysta krzyknął przeraźliwie, po czym umilkł, Joseph natomiast przetoczył się rozpaczliwie po śniegu, usiłując zejść z linii strzału. Nie na wiele to się jednak zdało, ponieważ zaraz potem poczuł silne uderzenie w prawe ramię. W tej samej chwili palce wyciągniętej rozpaczliwie ręki natrafiły na kolbę kałasznikowa. Volkmann przyciągnął do siebie broń, skierował ją w stronę przeciwnika i prawie nie celując nacisnął spust.

Seria trafiła Krugera w tułów i głowę akurat wtedy, kiedy zaczął wycofywać się tyłem w kierunku budynku. Jego ciało runęło bezwładnie na plecy i znieruchomiało w zakrwawionym śniegu.

Volkmann zdjął palec ze spustu. Do jego uszu jeszcze przez chwilę docierało echo wystrzałów, a następnie zapadła cisza.

Powoli dźwignął się na nogi. Nie czuł bólu, ale miał wrażenie, że jego prawe ramię zamieniło się w kawał drewna. Spojrzał w dół, na przestreloną dłoń, z której sączyła się krew, oraz na strzaskany łokieć. Zdawał sobie sprawę, że na razie jest jeszcze w szoku, ale ten wkrótce minie, zostawiając go sam na sam z trudnym do wytrzymania bólem.

Ciała Lubscha i Meyera leżały obok siebie na śniegu. Meyer wpatrywał się w

niebo szeroko otwartymi oczami, w twarzy Lubscha natomiast ziała ogromna rana po kuli. Roztrzaskane okulary w drucianej oprawce zsunęły się na ziemię.

Od strony bramy wciąż dobiegały odgłosy strzałów. Najwyraźniej ludzie Lubscha napotkali zaciekły opór, ale Volkmana niewiele to obchodziło. Czuł się tak, jakby jakaś nadprzyrodzona siła przeniosła go w inny czas i inne miejsce, gdzie każda sekunda trwała tyle co minuta, minuta zaś tyle co godzina, oraz gdzie panował całkowity, cudowny spokój.

Nagle znalazł się w zupełnej ciemności. Niespodziewana zmiana sprawiła, iż oprzytomniał i rozejrzał się bacznie dokoła. Kilka uderzeń serca później lampy zapłonęły ponownie, lecz dawały znacznie mniej blasku niż przedtem. Najwidoczniej Hartigowi udało się przeciąć kable energetyczne; teraz zasilanie pochodziło wyłącznie z awaryjnego generatora.

Volkmann odwrócił się i spojrzał na bunkier. Drzwi wciąż były otwarte, ale wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność.

Jeśli Hartig nie miał racji...

Kanonada przybrała na sile, po czym umilkła. W ciszy, która spowiła okolicę, było coś niezwykłego i groźnego.

Joseph ponownie odwrócił się w kierunku domu, wypuścił z rąk kałasznikowa i sięgnął zakrwawionymi palcami po berettę, ale nie zdążył jej wyjąć, ponieważ bez żadnego ostrzeżenia, niczym drapieżny ptak spadający na nie spodziewającą się niczego ofiarę, ogarnął go straszliwy ból.

Zacisnął powieki, nappełnił płuca lodowatym górskim powietrzem, po czym otworzył oczy i zamrugał raptownie, usiłując za wszelką cenę zachować przytomność.

Udało mu się. Co prawda ból był wręcz paraliżujący, lecz Joseph miał pewność, że przynajmniej przez kilka minut nie straci przytomności. Zataczając się i potykając minął nieruchome ciało Krugera, wspiał się po stopniach prowadzących na ganek, po czym zniknął we wnętrzu domu.

Rozdział 58

W kominku płonął ogień, a za wysokimi, sięgającymi sufitu oknami szalała zamieć. Porywisty wiatr z wściekłością sypał śniegiem w szybę, lecz mimo to w pokoju było ciepło i przytulnie.

Schmeltz i Erika stali przy kominku. Na twarzy mężczyzny malował się wyraz zdziwienia, ale nie było tam lęku. Dziewczyna otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz spojrzała na pistolet, który Volkmannowi jednak udało się wydobyć z kieszeni, i zrezygnowała z zamiaru.

- Nie ruszać się! - polecił Joseph zachrypniętym głosem.

Z niedowierzaniem wpatrywał się w sielankową scenę: mężczyzna i kobieta stojący blisko siebie, jakby się dobrze znali, jakby mieli sobie wiele do powiedzenia... Zamrugał raptownie powiekami, by odgonić mgłę, która zaczęła osuwać mu się na oczy.

Skoncentrował uwagę na mężczyźnie. Wysoki, wysportowany, opalony. Bardzo przystojny. Jasnobłękitne oczy i włosy barwy srebra. To on, ponad wszelką wątpliwość.

Erika ruszyła w kierunku Volkmana. Schmeltz nie wykonał najmniejszego ruchu, by ją zatrzymać.

- Joe...

Volkmann wycelował w nią pistolet.

- Powiedziałem: nie ruszać się! - syknął. - Rób, co ci każe! Dziewczyna zamarła w pół kroku, wpatrując się w niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

Joseph skierował broń na mężczyznę.

- Odsuń się od niej. - Ruchem głowy wskazał mu kierunek. - Tylko powoli!

Po krótkim wahaniu Schmeltz zastosował się do polecenia. Nagle światło zamigotało, przygasło, by zaraz potem wrócić do normy. Schmeltz zerknął z niepokojem na lampę.

- Usiądź przy stole - rozkazał Joseph. - Ręce połóż na blacie, tak żebym je

widział.

Mężczyzna i tym razem nie protestował. Wykonawszy polecenie skierował na Volkmana spokojne spojrzenie błękitnych oczu i zapytał:

- Kim jesteś?

- Nazywam się Volkmann.

Spojrzenie Schmeltza natychmiast stwardniało, po czym przesunęło się na podłogę, pod nogi Josepha.

Volkmann również tam zerknął. Krew płynęła obficie, wsiąkając w dywan. Czuł, jak wraz z każdą kroplą opuszcza go odrobina życia. Potwornie piekła go twarz, a po czole i policzkach ściekały krople potu, lecz nie miał dość sił, aby je wytrzeć, nie ryzykując jednocześnie, że straci równowagę i runie na podłogę.

- Joe, wysłuchaj mnie, proszę...

W głosie dziewczyny słychać było niepokój i troskę. A może tylko mu się wydawało? Mgła wróciła, znacznie bardziej gęsta niż poprzednio. Dźwięki zdawały się dobiegać z ogromnej odległości.

Ponownie zamrugał, z wysiłkiem skoncentrował spojrzenie na Erice. W samą porę, by dostrzec, że zbliża się do niego powoli. Poruszył gwałtownie pistoletem; dziewczyna znieruchomiała, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

- Powiedziałem ci, że masz się nie ruszać... I nic nie mów.

- Jeśli zjawiłeś się tu, by nas powstrzymać, to na próżno się fatygowałeś - odezwał się niespodziewanie Schmelz, po czym z udawanym współczuciem potrząsnął głową. - Naprawdę, możesz mi wierzyć.

- Dlaczego?

- Bo sprawy zaszły już za daleko. Nawet jeśli mnie zabijesz, to niczego nie zmieni. Zamierzasz mnie zabić, Volkmann?

Joseph zignorował pytanie.

- W Berlinie są ludzie, którzy o wszystkim wiedzą - odparł głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Oni nie pozwolą, żeby wam się udało.

Schmelz odwrócił głowę i przez dłuższą chwilę z obojętną miną przyglądał

się szalejącej za oknem śnieżycy. Kiedy ponownie skierował wzrok na Volkmana, jego błękitne oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

- Nie zdołają nam się przeciwstawić. Dollman już nie żyje. Usunęliśmy go.

- A pozostali? Co zamierzacie z nimi zrobić?

Przez nieruchomą do tej pory twarz Schmeltza przemknął grymas wściekłości i zdumienia. Spojrzał szybko na dziewczynę, po czym wbił w Volkmana przenikliwe spojrzenie i zapytał szeptem:

- Skąd wiedziałeś?

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie. Co się stanie z pozostałymi członkami rządu?

- To także już bez znaczenia. Cokolwiek zrobisz, nie zdołasz ich ocalić.

Volkman powoli zaczął naciskać spust.

- Mogę cię zabić, Schmelz. Czy to także nie ma dla ciebie znaczenia?

Mężczyzna o włosach barwy srebra milczał przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Nie przyszedłeś tu sam, prawda? - odezwał się wreszcie, po czym zerknął na telefon. - Czy to twoi ludzie przecięli kable?

Volkman ledwo dostrzegalnie skinął głową.

- To było bardzo głupie posunięcie - poinformował go Schmelz obojętnym tonem. - Przez telefon mógłbyś jeszcze zawiadomić Berlin, a tak to naprawdę jest już za późno. Możesz mi wierzyć albo nie, ale moja śmierć rzeczywiście nie ma najmniejszego znaczenia. Zaczęliśmy coś, czego nie sposób zatrzymać.

Joseph zrobił jeden chwiejny krok naprzód, potem drugi i trzeci. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy lufa pistoletu dotknęła czoła siwowłosego mężczyzny. Schmelz cofnął się raptownie, lecz Volkman wysunął rękę do przodu i ponownie przyłożył mu lufę do czoła.

- Mów, tylko szybko. Albo już zacznij żegnać się z życiem.

Konrad Weber popatrzył na twarze mężczyzn siedzących przy stole w pokoju numer 4.

W jaskrawym świetle jarzeniówek wszystkie były blade jak śmierć.

Podwójne drzwi zostały starannie zamknięte i posiedzenie rozpoczęło się od przemówienia Webera. Wicekanclerz mówił już od prawie dwóch minut, przedstawiając ministrom sytuację oraz snując prognozy na najbliższą przyszłość. Teraz przerwał na chwilę, obrzucił uważnym spojrzeniem trupioblade twarze siedemnastu mężczyzn, po czym przemówił ponownie:

- Panowie, wydarzenia przybierają coraz groźniejszy obrót. W związku z tym pragnę zaproponować podjęcie nadzwyczajnych środków, które w krótkim czasie powinny pozwolić nam odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Choć mówił rzeczowym, pewnym siebie głosem, jego czoło i górna warga pokryły się drobnymi kropelkami potu.

- Mam nadzieję, że mogę liczyć na pełną współpracę z panów strony. Prezydent został poinformowany o niedawnych zdarzeniach, natomiast oficerowie wojska, policji i sił specjalnych, co do których lojalności nie mamy żadnych zastrzeżeń, zostali już skierowani na newralgiczne placówki. Wszystkie siły, jakimi dysponują Niemcy, są postawione w stan pełnej gotowości. Śmierć kanclerza Dollmana oraz plany tych, którzy są odpowiedzialni za tę zbrodnię, stanowią poważne zagrożenie dla istnienia państwa. Dla tych ludzi nie może być litości, i to nie tylko dlatego, że ich działalność zagraża naszemu życiu. W grę wchodzi także życie tysięcy, może nawet milionów Niemców.

Kilku ministrów ponuro skinęło głowami, pozostali wciąż wpatrywali się w Webera nieruchomymi spojrzeniami. Wicekanclerz odchrząknął, zerknął do notatek, po czym mówił dalej:

- Po pierwsze, na całym obszarze kraju zostanie wprowadzony stan wyjątkowy. Po drugie, na pewien czas przestaną obowiązywać artykuły konstytucji zapewniające wolność zgromadzeń oraz inne prawa obywatelskie. Po trzecie, wszyscy neonaziści i ekstremiści zostaną aresztowani lub internowani. Koordynacją tej operacji zajmie się Federalny Urząd Ochrony Konstytucji. - Weber otarł czoło chusteczką. - Naturalnie nie możemy zapominać o zagrożeniu, jakie stwarza pocisk z

głowicą jądrową. W tej kwestii także podejmiemy nieodzowne działania, ale najpierw Bauer i jego ludzie muszą zebrać więcej informacji, żebyśmy mogli odpowiednio przygotować się do akcji. Nie wolno nam pozwolić sobie na luksus podejmowania pochopnych, nie przemyślanych decyzji... Panowie, jak nigdy dotąd będziemy potrzebować całkowitej jednomyslności, dzięki której, czego jestem całkowicie pewien, zdołamy stawić czoło zagrożeniu.

Tym razem niemal wszyscy skinęli głowami. Weber doskonale zdawał sobie sprawę, że jego twarz wygląda nie lepiej niż twarze pozostałych członków gabinetu. W ciszy, która zapadła po jego wystąpieniu, rozległo się ciche, ale wyraźne tykanie. Wicekanclerz poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Czyżby bomba? Jednak potoczywszy dokoła błędnym spojrzeniem, ujrzał wiszący na ścianie elektryczny zegar. Boże, co za paranoja, pomyślał. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, iż nikt z zebranych nie zdawał sobie sprawy z paniki, jaka go ogarnęła.

- Naturalnie będę jeszcze musiał zadzwonić do prezydenta i uzyskać jego zgodę na zastosowanie tych nadzwyczajnych środków. Proponuję więc, żebyśmy niezwłocznie przystąpili do głosowania.

Zgodnie z wymogami regulaminu Weber wywoływał każdego ministra po nazwisku i zadawał mu to samo pytanie.

Uzyskał siedemnaście twierdzących odpowiedzi.

Śnieg wciąż uderzał w szyby, a w kominku trzaskały żywiczne polana.

Volkmann z coraz większym trudem trzymał berettę wycelowaną w głowę Schmeltza. Był słaby, bardzo słaby... Krew nadal kapłała na podłogę, mgła zasłaniała mu oczy, powoli tracił orientację, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczynają złudzenia. Nabrał w płuca powietrza i zamrugął raptownie, usiłując za wszelką cenę zachować przytomność.

- Joe... - Głos dziewczyny dobiegał z bardzo daleka. - Pomogę ci.

Gdyby pozwolił jej podejść, Schmeltz mógłby wykorzystać sytuację i odebrać mu broń albo rzucić się do ucieczki. Energicznie potrząsnął głową, lecz był to poważny błąd, ponieważ natychmiast stracił równowagę, zatoczył się i z pewnością

runąłby na podłogę, gdyby nie to, że jego rozpaczliwie wyciągnięta ręka natrafiła na oparcie krzesła i zacisnęła się kurczowo.

- Joe, proszę...

- Jeden ruch i zginiesz - ostrzegł ją Volkmann, nie patrząc w jej stronę.

Schmeltz pochylił się do przodu na krześle. Jego błękitne oczy wpatrywały się z uwagą w twarz Josepha.

- Wykrwawisz się na śmierć, Volkmann. Lepiej posłuchaj dziewczyny.

- Odczep się. Mów, co zamierzacie.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem, wiesz o tym?

- Przestań pieprzyć.

- Odkryłeś nasz plan, odnalazłeś mnie... - ciągnął spokojnie Schmeltz. - Twoja inteligencja i odwaga budzą mój niekłamany podziw. - Mężczyzna o srebrzystych włosach umilkł na chwilę, nie spuszczać wzroku z twarzy Josepha, po czym zapytał: - Nosisz niemieckie nazwisko, ale nie jesteś Niemcem, tylko Anglikiem, zgadza się?

- Powiedz mi o wszystkim, Schmeltz. Powiedz mi, kimkolwiek jesteś.

- Przecież dobrze wiesz, Volkmann. Wiesz o mnie wszystko, tak samo jak ja wiem wszystko o tobie i twoim ojcu.

Przez twarz Volkmana przemknął grymas gniewu. Spojrzał szybko na Erikę, a ona powiedziała skruszonym tonem:

- Musiałam mu powiedzieć, Joe. Nie miałam wyjścia. Sprawiała wrażenie przygnębionej, ale czy mógł jej zaufać?

Jeszcze kilka minut temu chciał zasypać ją pytaniami, chciał dowiedzieć się, dlaczego go zdradziła, lecz teraz przestało go to obchodzić. Liczył się tylko Schmeltz, srebrzystowłosy, błękitnooki Schmeltz, przypatrujący się mu z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Możesz być pewien, że nie powtórzymy błędów przeszłości. Bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało twego ojca, ale to już się nie zdarzy. Nigdy.

- Nie wierzę ci, Schmeltz. Ty sam też sobie nie wierzysz. Istotnie, tym razem

może oszczędzicie Żydów - choćby dlatego, że jest ich za mało, by przekonująco odegrali rolę kozłów ofiarnych - ale weźmiecie się za innych. A teraz przestań wreszcie pieprzyć, tylko powiedz mi, co ma się wydarzyć w Berlinie, bo jak nie, to zaraz cię zabiję.

Schmeltz zawahał się, spojrzął w kierunku telefonu, po czym rozparł się wygodnie na krześle.

- I tak jest już za późno, Volkmann. Nie zdążysz ich ostrzec.

- Mów!!! - ryknął Joseph z siłą, o jaką się nie podejrzewał. - Mów, albo strzelam!

Schmeltz stracił część pewności siebie. Przełknął ślinę, po czym odezwał się zachrypniętym głosem:

- Rząd zebrał się w Reichstagu na nadzwyczajnym posiedzeniu. Weber zajął miejsce Dollmana. Zaproponował podjęcie nadzwyczajnych środków w celu niedopuszczenia do zamachu stanu, ale to tylko mydlenie oczu.

- Dlaczego?

- Ponieważ zaraz po głosowaniu Weber pójdzie do swego gabinetu, rzekomo po to, by zatelefonować do prezydenta.

Mężczyzna umilkł, więc Volkmann ponaglił go ruchem pistoletu.

- Mów dalej.

- W pokoju zostanie jego teczka, w której jest ukryty materiał wybuchowy. Bomba eksploduje minutę po jego wyjściu, zabijając wszystkich uczestników posiedzenia. Ministrowie zginą, a Weber przejmie całą władzę.

W pokoju zapadła cisza. Volkmann spojrzął na dziewczynę, na jej twarz wykrzywioną grymasem rozpaczony i na wpatrzone w niego błagalnie oczy. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak zaufać jej, pozwolić, żeby ulżyła jego cierpieniom, lecz jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, by tego nie czynić.

Ból odezwał się ze zdwojoną siłą. Czując, jak po skroniach i karku spływają mu strużki potu, Joseph przeniósł wzrok na Schmeltza.

- Można wiedzieć, jaką rolę przewidziałeś dla siebie? - zapytał.

Niemiec bez zmrużenia oka wpatrywał się w wylot lufy pistoletu.

- Naturalnie Weber po pewnym czasie przestanie nam być potrzebny. Ja go zastąpię, ale nawet gdyby mnie zabrakło, w gruncie rzeczy nic wielkiego by się nie stało. Nie ja jestem tu najważniejszy, Volkmann. Nawet jeśli mnie zabijesz, ziarno zostało już zasiane i nic nie powstrzyma jego wzrostu. Władzę przejmą tacy jak Weber i jemu podobni: synowie i wnukowie szlachejnych ludzi, którzy kiedyś, w oblężonym Berlinie, złożyli przysięgę Fihrerowi. - Pochylił się do przodu na krześle i wbił spojrzenie w oczy Josepha. - Nie zdołasz się temu przeciwstawić, Volkmann - stwierdził z nutą triumfu w głosie. - Nikt nie zdoła.

Volkmann z trudem dźwignął się na nogi. Wysiłek był tak wielki, że kiedy spojrzał na Schmeltza, dostrzegł tylko niewyraźną, zamazaną sylwetkę.

- Czy ona jest jedną z was?

Rozmazana plama poruszyła się lekko, jakby Schmeltz spojrzał na dziewczynę.

- Nie.

Prawda czy kłamstwo? Joseph zerknął na Erikę, ale niewiele mu to dało, ponieważ widział ją jak przez grubą mleczną szybę. Zamrugał szybko, zacisnął zęby, próbując zapanować nad bólem i słabością. Chciał jej uwierzyć, ale nie był w stanie zebrać myśli, nie potrafił dokonać analizy sytuacji.

Ponownie skoncentrował uwagę na Schmeltzu.

- Nie wszyscy Niemcy są zwolennikami nazistów. Nie wszyscy was poprą.

- Ale będzie ich wystarczająco wielu. Zaplanowaliśmy operację z najdrobniejszymi szczegółami, więc to także wzięliśmy pod uwagę.

- To znaczy?

- Weber wyda oświadczenie, w którym odpowiedzialnością za zamachy obarczy ekstremistyczne organizacje imigrantów pragnące doprowadzić do destabilizacji sytuacji wewnętrznej Niemiec. Reakcją będzie nagły rozkwit nacjonalistycznych nastrojów, jakiego nie widziano w tym kraju od ponad pięćdziesięciu lat. - Schmeltz ponownie spojrzał Josephowi w oczy. - Posłuchaj mnie,

Volkmann: rób co ci powiem, a włos nie spadnie ci z głowy. Możesz stąd wyjść zupełnie bezpiecznie. Daję ci słowo, że nic ci się nie stanie. Granica Austrii jest zaledwie...

- Wstań.

Schmeltz umilkł, po czym posłusznie wykonał polecenie. Był wyższy od Volkmana prawie o głowę.

- Co chcesz zrobić?

- Nie ja, tylko ty. Wyjdiesz z dziewczyną do samochodu. Jeśli spotkamy kogoś z twoich ludzi, a ty spróbujesz go zaalarmować, dostaniesz kulę w łeb.

Mężczyzna o srebrzystych włosach nerwowo zwilżył wargi czubkiem języka.

- Nie zdążysz dotrzeć do działającego telefonu. Lada chwila zjawi się tu więcej naszych; na pewno zaniepokoił ich fakt, że nie mogą uzyskać połączenia.

- Ruszaj się!

Volkmann wskazał mu kierunek pistoletem. W tej samej chwili krew popłynęła z rany jeszcze obfitym strumieniem. Joseph zachwiał się, złapał oparcia krzesła, jakimś cudem utrzymał się na nogach.

- Joe, na litość boską... Przecież wykrwawisz się na śmierć! W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Joseph spojrzał na nią, zawahał się...

Schmeltz poderwał się tak szybko, że Volkmann nie zdążył zareagować. Niemiec znalazł się przy nim jednym susem, chwycił pistolet, skierował broń w jego stronę, nacisnął spust.

Erika wrzasnęła przeraźliwie.

Volkmann poczuł gorący podmuch na twarzy i coś zapiekło go przeraźliwie w okolicach skroni. Pocisk rozorał skórę na czaszce, otarł się o kość i pomknął dalej, by utkwic w odległej o kilka metrów ścianie.

Joseph uczeplił się oburącz ramienia przeciwnika. Nie zwracał uwagi ani na paralizujący ból promieniujący z rany, ani na ogarniające go mdłości, ani na dzwonięcie w głowie. Schmeltz szarpał się rozpaczliwie, lecz bez rezultatu. Dwie sekundy później rozległ się donośny trzask łamanej kości, Niemiec krzyknął głośno i

znowu nacisnął spust.

Kula trafiła dziewczynę w bok. Erika nie wydała żadnego głosu, tylko z szeroko otwartymi z przerażenia oczami osunęła się po ścianie.

W następnej chwili dwaj mężczyźni spleceni w śmiertelnym uścisku rozbili okno, przetoczyli się na taras i zatrzymali przy samej balustradzie. Broń wypadła Schmeltzowi z ręki, znieruchomiała na śniegu pół metra od nich.

Volkmann zebrał wszystkie siły, jakie mu zostały, po czym spróbował zrzucić z siebie przeciwnika, ale na próżno. Schmeltz przygniótł go całym ciężarem ciała i czynił wszystko, by chwycić go za gardło.

Wiatr sypał na nich tumanami śniegu.

Ból. Przenikliwe zimno.

Właśnie zimno sprawiło, że Volkmann nie stracił przytomności. Walczył zaciekle, lecz czuł, jak siły opuszczają jego zmaltretowane ciało. Z rany na głowie sączyła się krew, zalewając mu oczy.

Nagle, całkiem niespodziewanie, poczuł, że może się poruszać. Otworzywszy oczy - nawet nie zdawał sobie sprawy z faktu, iż zacisnął powieki - ujrzał rozmazaną sylwetkę Schmeltza niknącą w zawiei. Niemiec dyszał ciężko, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

Volkmann z najwyższym trudem dźwignął się na nogi. Mgła ustąpiła mu na chwilę sprzed oczu, dzięki czemu przekonał się, że przeciwnik nie uciekł, tylko odskoczył na dwa albo trzy metry i teraz rozpaczliwie szuka czegoś w głębokim na dziesięć centymetrów śniegu.

Niewiele myśląc Joseph rzucił się na Schmeltza, wylądował mu na grzbiecie i usłyszał, jak tamten gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc.

Volkmann przygniótł go do ziemi, jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu broni.

Ani śladu.

Nagle Niemiec wykonał gwałtowny obrót, rąbnął go kolanami w brzuch, zacisnął ręce na gardle, przetoczył na wierzch. Joseph zrozumiał, że jeśli zaraz,

natychmiast, nie uwolni się z uchwytu, będzie po nim. Szarpnął się raz, drugi, z całej siły pchnął nogami. Schmeltz wykonał w powietrzu pół salta w tył i runął plecami na śnieg.

Tuż obok niego Volkmann dostrzegł sterczącą z białego puchu rękojeść pistoletu.

Szybko, żeby tamten nie zauważył!

Wyciągnął rękę, nie sięgnął, ponowił próbę.

Boże...

Wreszcie jego palce zacisnęły się na znajomym kształcie. Przyciągnął pistolet do siebie, odwrócił się, w odległości dwóch, może trzech metrów zobaczył Schmeltza pełznącego na czworakach w kierunku tarasu.

- Nie ruszaj się!

Zdziwił się, czyj to głos; dopiero po chwili zorientował się, że jego własny.

Schmeltz zignorował polecenie. Z trudem podniósł się na nogi i zataczając się ruszył w kierunku domu.

- Powiedziałem: nie ruszaj się!

Czas jakby stanął w miejscu. Nawet płatki śniegu zdawały się opadać ku ziemi w zwolnionym tempie.

Niemiec zatrzymał się, odwrócił twarzą do Volkmana. Dwaj mężczyźni, obaj potwornie zdyszani, przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Posłuchaj, Volkmann...

Joseph wstał, zachwiał się, stanął w szerokim rozkroku, z trudem opanował mdłości. Rana na głowie piekła nieznośnie, po twarzy, plecach i piersi spływały strużki krwi wymieszanej z potem.

Zerknął w stronę domu, na strzaskane balkonowe okno, za którym leżało bez ruchu skulone ciało Eriki, i poczuł, jak ogarnia go niepoohamowana wściekłość.

W tej samej chwili w górze, za śnieżną zasłoną, rozległ się łoskot wirnika. Volkmann odruchowo skierował tam wzrok. Hałas przybliżał się coraz bardziej. Sądząc po jego natężeniu, leciały co najmniej dwie maszyny.

Ludzie Bargla.

Albo Schmeltza.

Wycelował pistolet w środek czoła przeciwnika.

Oczy Schmeltza zrobiły się wielkie jak spodki.

Zrób to! - wrzasnął jakiś głos w głowie Volkmana. - Zrób to!

Zacisnął zęby, usiłując zwalczyć pokusę.

Oddaj go w ręce wymiaru sprawiedliwości.

Sam wymierz mu sprawiedliwość.

Przypomniał sobie powiększone fotografie wiszące na ścianach muzeum.

Martwa kobieta przyciskająca do piersi dziecko, uśmiechnięty esesman...

Cierpienia ojca.

Oddychał ciężko, chrapliwie. Zmrużył oczy, by choć częściowo uchronić je przed spływającym z czoła potem.

Zrób to.

- Posłuchaj mnie, Volkman...

Joseph zamrugał gwałtownie. Schmeltz był bliżej niż przed chwilą.

Znowu ogarnęła go fala bólu tak silnego, że aż zakręciło mu się w głowie. Zacisnął zęby, zdołał jakoś ustać na nogach, ale jego ciałem zaczęły wstrząsać silne dreszcze. Czyżby zbliżała się śmierć?

Napełnił płuca powietrzem, wypuścił je powoli. Jeszcze raz. I jeszcze.

Schmeltz wciąż się zbliżał.

- Stój, do cholery! Znieruchomiał.

Łoskot wirników przybliżył się. Niemiec zerknął nerwowo w górę, po czym znowu utkwiał wzrok w twarzy Volkmana.

- Podobno każdy grzech wraca w postaci anioła zemsty - powiedział Joseph tak cicho, że z trudem usłyszał swoje słowa. Niemniej miał całkowitą pewność, iż docierają one także do uszu Schmeltza. - Wierzysz w to?

W milczeniu mierzyli się wzrokiem.

Volkman nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że nigdy nie nadejdzie.

Nacisnął spust.

Odzyskawszy przytomność stwierdził, że leży na noszach.

Śnieg prawie przestał padać, natomiast wiatr wiał z nie zmniejszoną siłą, niosąc ze sobą fragmenty rozkazów wydawanych gardłowymi głosami, strzępy okrzyków, przekleństw i rozmów. Ciemność rozjaśniały migające czerwone i niebieskie lampy, tło zaś dla tego niezwykłego spektaklu stanowił jednostajny łoskot łopat wirników.

W polu widzenia Josepha pojawiła się jakaś postać; mężczyzna był ubrany w biały kombinezon maskujący, miał zaczerwienioną twarz poraną licznymi zmarszczkami i przewieszony przez pierś pistolet maszynowy. Uśmiechnął się do Volkmana i lekko dotknął jego ramienia, jakby pragnąc zasygnalizować, że już wszystko w porządku. Joseph otworzył usta, by powiedzieć mu o Weberze, by ostrzec o planowanym zamachu w Berlinie, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Gdzieś niedaleko rozległ się terkot broni maszynowej. Mężczyzna w kombinezonie odwrócił się, rzucił chrapliwym głosem jakiś rozkaz, po czym zacisnął ręce na uchwycie pistoletu i ruszył truchtem w ciemność.

Volkman czuł, że osuwa się w przepaść. Czarne niebo zakołysało się nad jego głową; dopiero po chwili zorientował się, że jacyś ludzie podnieśli nosze, na których leży, i niosą go w kierunku śmigłowca.

Kilka sekund później stracił przytomność.

Dotarcie do gabinetu na drugim piętrze Reichstagu zajęło Konradowi Weberowi dokładnie trzy minuty. Towarzyszyli mu Werner Bargel, Axel Wiglinski oraz dwaj ludzie z jego osobistej ochrony.

Znalazłszy się w gabinecie, Weber starannie zamknął za sobą drzwi, po czym usiadł w głębokim fotelu za dębowym biurkiem. Drżącymi, spoconymi rękami otworzył środkową szufladę, wyjął z niej miniaturowy nadajnik z wystającym czerwonym przyciskiem, umieścił go w prawej dłoni, po czym oparł głowę na poduszce fotela i odetchnął głęboko kilka razy, usiłując uspokoić rozedrgane nerwy.

Werner Bargel przyłożył telefon komórkowy do ucha ułamek sekundy po tym, jak rozległ się natarczywy, przenikliwy sygnał.

- Gdzie jesteś, Bargel? - usłyszał podekscytowany głos Bauera.

- Przed drzwiami gabinetu wicekanclerza.

- Boże! Słuchaj uważnie, nie ma chwili do stracenia...

Konrad Weber usłyszał podniesione głosy dobiegające z korytarza. Chwilę później rozległ się trzask pękającego drewna, drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu wpadł Bargel z pistoletem w ręce. Skierował broń w stronę mężczyzny siedzącego za biurkiem, ale nim zdążył nacisnąć spust, Weber z całej siły wduśił przycisk.

Z daleka dobiegł stłumiony huk eksplozji, a przez podłogę i ściany przebiegło lekkie drżenie.

Epilog

'wa dni później, kilka minut po dziesiątej rano, Volkmann odzyskał przytomność w separacie monachijskiego Szpitala Miejskiego.

Przez szparę w uchylonych drzwiach sączyły się dźwięki muzyki. „Tannenbaum”. Jego ojciec zawsze płakał, słysząc tę kolędę; Josephowi także łzy nabiegły do oczu, ale nie ze względu na muzykę, tylko dlatego, że żył, że oddychał.

Był podłączony do licznych kroplówek, monitory i wskaźniki jakiegoś bardzo skomplikowanego urządzenia podawały na bieżąco najważniejsze informacje o funkcjonowaniu jego organizmu. Na głowie czuł nieprzyjemny ucisk; podniósłszy lewą rękę dotknął bandaża; przy okazji przekonał się, że całe prawe ramię ma w gipsie, oraz że kolejny opatrunek założono mu na rękę.

Na brzegu łóżka siedział Werner Bargel.

- Jak się czujesz?

Dopiero po chwili Joseph zorientował się, że pytanie zostało skierowane pod jego adresem. Poruszył ustami, lecz minęło sporo czasu, zanim zdołał odpowiedzieć zachrypniętym szeptem:

- Paskudnie...

Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Przekonawszy się, że pacjent odzyskał przytomność, zniknęła, by wkrótce powrócić w towarzystwie kilku lekarzy. Badanie trwało prawie dwadzieścia minut; kiedy dobiegło końca, Joseph poprosił o łyk wody. Cudownie chłodny płyn rozlał się po jego spieczonych wargach i podniebieniu. Oprócz wody dostał kilka pastylek do połknięcia, a pielęgniarka wytarła mu twarz, kark i szyję wilgotną gąbką. Boże, co za cudowne uczucie!

Bargel przez chwilę rozmawiał półgłosem z lekarzami, a potem zostali w pokoju tylko we dwóch.

- Są pewni, że szybko wrócisz do pełni sił - oznajmił Bargel, siadając na krześle przy łóżku. - Jeszcze nie tak dawno nie byli takimi optymistami. Podobno uciekłeś grabarzowi spod łopaty.

Volkmann spróbował się podnieść, ale natychmiast opadł z powrotem na poduszkę. Był słaby jak dziecko, a w dodatku czuł się tak, jakby zamiast głowy miał potężny kocioł, w który ktoś walił bez opamiętania.

- Spokojnie, Joe - ostrzegł go Bargel. - Dali ci środki przeciwbólowe, ale na twoim miejscu przez jakiś czas nie próbowałbym dokazywać. Naprawdę miałeś cholerne szczęście. Ta kula, która drasnęła ci głowę, zostawiła wyraźny ślad na kości. Centymetr albo dwa w lewo i byłbyś trupem. - Pochylił się do przodu na krześle. - Cóż, wygląda jednak na to, że będziesz musiał jeszcze trochę pomęczyć się na tym świecie. Na razie nie myśl o niczym, tylko odpoczywaj. Przez jakiś czas nigdzie stąd nie pójdziesz.

- Co z Eriką?

- Jest w takim samym pokoju jak ten, tyle że piętro niżej. Jej też niewiele brakowało, ale nie musisz się martwić: wyliże się, tak samo jak ty.

Mówiąc te słowa, Bargel uśmiechnął się lekko. Volkmann powoli odwrócił głowę, by rozejrzeć się po separatce, lecz od razu wszystko zaczęło mu tańczyć przed oczami, więc ponownie skierował spojrzenie na Niemca.

- Kiedy zastałeś ją w pokoju ze Schmeltzem, odniosła wrażenie, że postradałeś zmysły - dodał Bargel. - Chodziło o to, że nie wiedziałeś, czy możesz jej zaufać,

prawda?

- Dalej nie wiem.

Bargel skinął głową, jakby spodziewał się to usłyszeć.

- Straciłeś mnóstwo krwi. Dziwne, że udało ci się zachować przytomność. Jeśli chodzi o dziewczynę, to też przeszła prawdziwe piekło. Napompowali ją skopolaminą, żeby wyciągnąć z niej wszystko, co wiedziała. Gdyby tego nie zrobili, nie powiedziałałyby im ani słowa.

- Wiecie już o Schmeltzu? Bargel ponownie skinął głową.

- Od niej. Resztę sami poskładaliśmy kawałek po kawałku.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Dwa dni.

- Opowiedz mi, co się stało.

Bargel mówił nieprzerwanie przez dziesięć minut. Dollman i wszyscy członkowie rządu nie żyli, z wyjątkiem Webera, który trafił do specjalnej celi w berlińskim więzieniu Moabit. Obowiązki kanclerza przejął prezydent, który powołał rząd tymczasowy o nadzwyczajnych uprawnieniach. W sejfie w gabinecie Grinzinga znaleziono listę uczestników spisku; większość z nich trafiła już do więzień, natomiast za nielicznymi, którym udało się zbiec, rozesłano listy gończe. Aresztowano wszystkich znanych działaczy neonazistowskich. Podczas akcji na zboczu Kaalbergu zginął jeden z ludzi Lubscha, pozostali uciekli na krótko przed lądowaniem śmigłowców.

Kiedy Bargel wspomniał nazwisko Molkego, przez twarz Volkmana przemknął grymas bólu.

- Iwan był wspaniałym człowiekiem, Joe. I dobrym Niemcem.

Joseph odwrócił wzrok i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w białą ścianę.

- Wiesz, co wywarło na mnie największe wrażenie? - zapytał wreszcie Bargel, przerywając milczenie. - Postawa Lubscha i jego ludzi. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tego po nich. Może jednak ten kraj ma przed sobą jakąś przyszłość? Kiedy dziewczyna opowiedziała nam o Schmeltzu, w pierwszej chwili

nie chciałem uwierzyć. Stek idiotycznych bzdur. Całkowicie nieprawdopodobne.

- Ale potem zmieniłeś zdanie?

- Owszem, bo jeden z ludzi figurujących na liście Grinzinga zdecydował się mówić. Nazywa się Braun, jest oficerem wojsk lądowych. Miałeś stuprocentową rację: Geli Raubal istotnie urodziła syna, a w 1931 Schmeltzowie wywieźli go do Ameryki Południowej. Opiekowali się nim aż do śmierci, potem zastąpili ich towarzysze z Die Spinne.

- Co się stało z ciałem Schmeltza?

- Pozbyliśmy się go w dyskretny sposób.

- Gdzie?

Bargel potrząsnął głową.

- Tego nawet ja nie wiem i, szczerze mówiąc, chyba nie chcę wiedzieć. Obecnie sytuacja wygląda w ten sposób, że porządku pilnuje wojsko, natomiast jeśli chodzi o informacje, to obowiązuje pełna blokada, która zostanie zniesiona dopiero wtedy, kiedy sytuacja znajdzie się całkowicie pod naszą kontrolą. Niewiele brakowało, żebyśmy cofnęli się o pięćdziesiąt lat. Zdaję sobie sprawę, że przedsięwzięliśmy drakońskie środki, ale tylko w ten sposób możemy mieć pewność, że nie powtórzy się tragedia z przeszłości.

Volkman spjrzał w okno, a następnie ponownie utkwiał wzrok w twarzy Niemca.

- Jednego nie mogę zrozumieć, Wernerze: przecież ojciec Eriki służył w dywizji Leibstandarte. Dlaczego nie wciągnęli jej do spisku, tak jak pozostałych?

- Naturalnie była na ich liście - odparł Bargel. - Ale lista liczyła mnóstwo nazwisk, więc musiało trochę potrwać, zanim dotarli do wszystkich. Z tego co wiemy, na krótko przed śmiercią Winter otrzymał polecenie, by się z nią skontaktować, ale nie spieszył się z tym, bo najwidoczniej uznał, że nie jest wystarczająco ważna. Poza tym znał ją jeszcze z Heidelbergu i wiedział, że raczej nie może liczyć na pomoc, a oprócz tego sam stracił znaczną część zapału już na długo przed tym, zanim wydano na niego wyrok śmierci. Być może chciał ją ocalić, bo

wiedział, że jeśli Erika odmówi, zostanie natychmiast zlikwidowana. - Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, dziewczyna z pewnością zawdzięcza mu życie. - Bargel podniósł się z krzesła. - Jeszcze sobie pogadamy, Joe, a na razie odpocznij sobie. Wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami; nie tylko ja i moi ludzie, ale cały kraj. Chciałbym, żebyś o tym wiedział.

Skierował się do drzwi, ale kiedy położył rękę na klamce, odwrócił się i dodał z uśmiechem:

- Powiem jej, że odzyskałeś przytomność. Nie może się doczekać, żeby z tobą porozmawiać.

Kiedy wsiadali do taksówki na lotnisku Heathrow, prószył drobny śnieg, ale do chwili, gdy samochód zatrzymał się przed schludnym domkiem w stylu wiktoriańskim, wiatr zdążył odegnać szare, ciężkie chmury.

Na przysypanej śniegiem ulicy było zupełnie pusto. Sylwester.

Samolot wystartował z Frankfurtu z niewielkim opóźnieniem. Zaraz po przylocie do Londynu Joseph zadzwonił do matki i uprzedził o swoim przyjeździe. Ogromnie się ucieszyła, a kiedy wspomniał, że jest z nim pewna dziewczyna i że oboje zamierzają zostać co najmniej przez kilka dni, radość starej kobiety sięgnęła szczytu. Jej żywy, energiczny głos przywiódł Josephowi na myśl wspomnienia z lat dzieciństwa, z wakacji spędzanych na plażach Kornwalii. Był to głos silnej, szczęśliwej kobiety, która dzielnie walczyła z przeciwnościami losu i odniosła zwycięstwo.

Wysiedli z taksówki o czwartej po południu. Powoli zapadał mrok, furtka prowadząca do ogródka była otwarta, na przysypanym śniegiem chodniku widać było niewyraźne ślady dorosłego i dziecka, którzy przechodzili tędy jakiś czas temu. Panowała całkowita cisza, jakby weszli w nieruchomy świat utrwalony na czarnobiałej ilustracji.

Zamiast skierować się prosto do domu, skręcili do parku po drugiej stronie ulicy, zatrzymali się przy ławeczce pod dorodną sosną, postawili bagaże na ziemi, odgarnęli cienką warstwę śniegu i usiedli. Przez zasłone z nagich gałęzi drzew widać

było dom; świeciło się we wszystkich oknach, z komina zaś unosiła się strużka dymu.

Okna sąsiednich budynków także wypełniał ciepły żółty blask, gdzieniegdzie wzbogacony migotaniem choinkowych lampek. Do Nowego Roku zostało już tylko osiem godzin.

Wśród gałęzi nad ich głowami zagruchał gołąb. Chwilę później rozległ się łopot skrzydeł i ptak zerwał się do lotu.

- Który to dom? - zapytała Erika.

Volkmann wskazał jej budynek z czerwonej cegły, jeden z wielu stojących wzdłuż ulicy.

- Pasuje do ciebie. Zdziwił się.

- Jak to?

- Wygląda na bardzo solidny - odparła z uśmiechem. - Może trochę staroświecki, ale daje poczucie bezpieczeństwa. - Rozejrzała się po parku. - Więc tu właśnie bawiłeś się, będąc dzieckiem?

- Tak.

Dziewczyna przymknęła powieki.

- Chyba mogę to sobie wyobrazić.

- Jak wyglądam?

- Jesteś poważnym chłopcem, raczej samotnym, ale ciekawym świata. I bardzo kochasz rodziców.

- Potrafisz ocenić to po wyglądzie? Uśmiechnęła się ponownie.

- Oczywiście, że nie. Po prostu tak sobie myślę. - Otworzyła oczy, odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów i spojrzała na skupioną twarz Josepha. - To dla ciebie szczególne miejsce, prawda?

- Owszem. Często przychodziłem tu z ojcem.

Poczuł na ręce muśnięcie jej palców. Nawet ten przelotny dotyk sprawił, że spłynął na niego cudowny spokój. Czy to możliwe, żeby kiedyś, całkiem niedawno, wątpił w szczerść jej intencji?

- Już pomściłeś jego cierpienia, Joe - powiedziała cicho. - Jego, a także wszystkich, którzy przeszli przez to samo co on.

- Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę. Nie dopuściłeś, żeby koszmar powtórzył się od początku. Nareszcie możesz pogrzebać ból swego ojca.

Volkman podniósł jej rękę do ust, pocałował zmarznięte palce, po czym wstał i rozejrzał się po pustym parku.

- Chciałbym w to uwierzyć. - Spojrzał w dół, we wpatrzone w niego błękitne oczy. - Chodźmy, matka już czeka. Cieszę się, że będzie mogła cię poznać.

Dziewczyna także podniosła się z ławki, po czym wzięli bagaże i ruszyli przez park w kierunku domu.

Z okien apartamentu na ostatnim piętrze hotelu Hilton roztaczał się wspaniały widok na miasto oraz otaczające je góry. Madryt przywitał Nowy Rok pogodnym niebem i rześkim, lodowatym powietrzem. Dwaj mężczyźni siedzący przy oknie specjalnie wybrali właśnie ten apartament; w promieniu co najmniej półtora kilometra nie było żadnego wysokiego budynku, z którego za pomocą silnej lornetki można by dostrzec, co dzieje się we wnętrzu lub pokusić się o oddanie celnego strzału z broni zaopatrzonej w celownik optyczny.

Młodszy, trzydziestoparoletni, był szczupły i wysportowany. Na podłodze obok jego nóg leżała otwarta teczka, na stoliku natomiast piętrzył się stos papierów.

Drugi mężczyzna z pewnością przekroczył już pięćdziesiątkę. Po dwóch bezsennych dobach jego mięsista, poorana licznymi bruzdami twarz przypominała obwisłą gumową maskę. W hotelowym komputerze figurował jako Federico Ramirez, ale nie było to jego prawdziwe nazwisko; w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin - tyle czasu zajęło mu dotarcie okreśną drogą z Asunción - już dwa razy zdążył zmienić paszporty.

Nie tracąc czasu na uprzejmości ani nawet nie zaproponowawszy gościowi drinka, od razu przystąpił do rzeczy:

- Masz najświeższe dane dotyczące liczby aresztowań?

- Około dwudziestu trzech tysięcy - odparł młodszy mężczyzna, zairzawszy uprzednio do papierów. - W każdym razie tyle było o północy. - Zerknął niepewnie na rozmówcę, ale porwana bruzdami twarz nie wyrażała żadnych uczuć. - Sytuacja zmienia się z godziny na godzinę, ponieważ władze zamykają nie tylko tych z listy, ale niemal wszystkich, którzy kiedykolwiek okazali nam jakieś wsparcie. Ci z pewnością zostaną wkrótce zwolnieni, ponieważ nie ma przeciwko nim żadnych dowodów.

- A co z komórkami terenowymi?

- W regionie wschodnim pozostały prawie nietknięte. W pozostałych sytuacja wygląda trochę gorzej, ale z całą pewnością nie jest tragiczna. Trzeba przyznać, że mieliśmy sporo szczęścia.

- Szczęścia? - Pięćdziesięciolatek wstał gwałtownie z fotela i zaczął przechadzać się po pokoju. - Ty to nazywasz szczęściem, Raul? Przecież to prawdziwa katastrofa! Dlaczego tak się stało, do wszystkich diabłów? Przecież byliśmy tak blisko!

Młody człowiek westchnął bezradnie i rozłożył ręce.

- W Asunción otrzymał pan wstępny raport. Obawiam się, że na razie jest jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków. Najdalej za kilka dni powinniśmy uzyskać jaśniejszy obraz sytuacji, choć już teraz nie ulega wątpliwości, iż największe szkody wyrządzili nam Volkmann i ta dziewczyna, Erika Kranz. - Pochylił się do przodu, jakby chcąc w ten sposób podkreślić wagę tego, co miał do powiedzenia. - Jednak mimo wszystko możemy wyciągnąć pewne korzyści z tego nieszczęścia. Nie wspominałem o tym w raporcie, ponieważ uważałem, że powinien pan dowiedzieć się osobiście.

- O czym, na litość boską?

- Wśród naszych sympatyków było wielu takich, którzy nie wierzyli, że kiedykolwiek spróbujemy zrealizować nasze zamiary. Teraz, kiedy przekonali się, jak niewiele brakowało do zwycięstwa, nabiorą pewności siebie i staną się bardziej zdecydowani. Poza tym, jeśli wyciągniemy odpowiednie wnioski, następnym razem

będziemy znacznie lepiej przygotowani i unikniemy błędów, które przyczyniły się do porażki. Jak pan doskonale wie, zachodnia demokracja nie jest w stanie poradzić sobie z gnębiącymi ją problemami. Imigracja, bezrobocie, recesja - wszystko to przyczynia się do osłabienia systemu. Wystarczy trochę poczekać, a kiedy ponowimy próbę, powinniśmy mieć znacznie łatwiejsze zadanie.

- „Trochę” to znaczy ile? Młody człowiek pokręcił głową.

- Nie odpowiem panu na to pytanie, przynajmniej nie teraz. Najpierw musimy skoncentrować się na odbudowaniu i wzmocnieniu naszej pozycji.

- Czy mogę przekazać tę wiadomość do Asunción?

- Oczywiście. Jak pan doskonale wie, dysponujemy odpowiednimi środkami.

Reszta jest tylko kwestią czasu.

Starszy mężczyzna usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

- Czy wiemy już, co stało się z ciałem Schmeltza?

- Pięć dni temu zostało poddane kremacji, a popioły pochowano w lesie w pobliżu granicy z Polską.

Człowiek posługujący się nazwiskiem Ramirez westchnął ciężko i potrząsnął ze smutkiem głową, po czym zapytał:

- W jaki sposób Volkmann i dziewczyna wpadli na nasz trop?

- Dzięki zdjęciu Geli Raubał, które znaleźli na hacjendzie. Powiązali tę sprawę ze śmiercią dziennikarza, a reszta była już tylko kwestią czasu... - Młody mężczyzna spojrzał bacznie na zwierzchnika. - Mamy się nimi zająć?

- Jeszcze nie teraz, Raul. Daję ci jednak słowo, że nadejdzie czas, kiedy będą musieli za to zapłacić. - Gospodarz zerknął na zegarek. - Zdaje się, że po południu lecisz do Niemiec?

Raul pokręcił głową.

- Najpierw mam spotkanie z naszymi przyjaciółmi w Paryżu. Mają znacznie większe problemy z imigrantami, więc chcą jak najprędzej nawiązać ścisłą współpracę i koordynować poczynania. To samo w Rzymie. Hass jest już w drodze do Włoch. A jakie pan ma plany?

- Wieczorem do Londynu, a stamtąd do Asunción przez Rio.

- Kiedy będzie pan z nimi rozmawiał, proszę koniecznie podkreślić, że jesteśmy zdecydowani kontynuować naszą działalność. I że niebawem spróbujemy ponownie.

Starszy mężczyzna położył mu rękę na ramieniu.

- Powiem im to, Raul. Na pewno. Dziękuję, że zechciałeś przyjść.

Młody człowiek zebrał leżące przed nim papiery, wrzucił je do teczki, starannie zatrzaskał szyfrowe zamki, po czym wstał z fotela, wziął płaszcz rzucony byle jak na kanapę i w towarzystwie gospodarza skierował się do drzwi.

Na pożegnanie wymienili mocny uścisk dłoni. Młodzieniec otworzył drzwi, uważnie rozejrzał się po korytarzu, a następnie szybkim krokiem skierował się do wind. W chwili, gdy nacisnął przycisk, usłyszał głos starszego mężczyzny:

- Raul...

- Tak?

- Zupełnie zapomniałem: szczęśliwego Nowego Roku.

- Nawzajem, proszę pana.

Posłowie

W 1941 roku, dziesięć lat po tym, jak Geli Raubal została znaleziona martwa w monachijskim mieszkaniu swego wuja, nazistowskie władze Wiednia wydały tajne polecenie zniszczenia tej części cmentarza miejskiego, w której znajdował się grób dziewczyny. Nie podano żadnego uzasadnienia decyzji, polecenie zaś zostało skrupulatnie wykonane.

Po dziś dzień zarośnięta trawą i chwastami kwatery 23e, jedyny spłachetek zieleni wśród marmurowych i kamiennych grobowców, pilnie strzeże swojej tajemnicy. Nikt nie wie, czy spoczywają w niej szczątki Geli Raubal, ponieważ zarząd cmentarza odrzuca wszelkie prośby o pozwolenie na dokonanie ekshumacji.

Bezpośrednio po śmierci dziewczyny, a także przez kilka następnych lat, wielu ludzi twierdziło, iż zna przyczyny zagadkowego „samobójstwa”. Wśród nich znajdował się także wspomniany w tej książce dziennikarz Fritz Gerlich.

Większość z nich zginęła w nie wyjaśnionych okolicznościach.

Czy naprawdę istnieje jakaś tajemnica? Wiele wskazuje na to, że tak.

Miesiąc po śmierci Geli Raubal, Erhard Johann Sebastian Schmeltz, gorliwy nazista i bliski przyjaciel Adolfa Hitlera, zniknął bez śladu wraz ze swoją niezamężną siostrą.

Siedemnaście lat później, a niecałe dwa lata po zakończeniu wojny, pewien były oficer SS, poszukiwany przez aliantów w związku ze śledztwem w sprawie zaginięcia złota stanowiącego rezerwy Reichsbanku, wysłał z Paragwaju list do przyjaciela mieszkającego w Monachium. W liście wspomniał między innymi o zdumiewającym spotkaniu, które miało miejsce w prowincjonalnym miasteczku położonym na północ od Asunción. Otóż autor listu zobaczył na ulicy siostrę starego przyjaciela sprzed wojny, Erharda Schmeltza.

Kobiecie towarzyszył jasnowłosy, mniej więcej siedemnastoletni chłopiec o poważnej twarzy i przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu.

Posłowie

W 1941 roku, dziesięć lat po tym, jak Geli Raubal została znaleziona martwa w monachijskim mieszkaniu swego wuja, nazistowskie władze Wiednia wydały tajne polecenie zniszczenia tej części cmentarza miejskiego, w której znajdował się grób dziewczyny. Nie podano żadnego uzasadnienia decyzji, polecenie zaś zostało skrupulatnie wykonane.

Po dziś dzień zarośnięta trawą i chwastami kwatery 23e, jedyny spłachetek zieleni wśród marmurowych i kamiennych grobowców, pilnie strzeże swojej tajemnicy. Nikt nie wie, czy spoczywają w niej szczątki Geli Raubal, ponieważ zarząd cmentarza odrzuca wszelkie prośby o pozwolenie na dokonanie ekshumacji.

Bezpośrednio po śmierci dziewczyny, a także przez kilka następnych lat, wielu ludzi twierdziło, iż zna przyczyny zagadkowego „samobójstwa”. Wśród nich znajdował się także wspomniany w tej książce dziennikarz Fritz Gerlich.

Większość z nich zginęła w nie wyjaśnionych okolicznościach.

Czy naprawdę istnieje jakaś tajemnica? Wiele wskazuje na to, że tak.

Miesiąc po śmierci Geli Raubal, Erhard Johann Sebastian Schmeltz, gorliwy nazista i bliski przyjaciel Adolfa Hitlera, zniknął bez śladu wraz ze swoją niezamężną siostrą.

Siedemnaście lat później, a niecałe dwa lata po zakończeniu wojny, pewien były oficer SS, poszukiwany przez aliantów w związku ze śledztwem w sprawie zaginięcia złota stanowiącego rezerwy Reichsbanku, wysłał z Paragwaju list do przyjaciela mieszkającego w Monachium. W liście wspomniał między innymi o zdumiewającym spotkaniu, które miało miejsce w prowincjonalnym miasteczku położonym na północ od Asuncion. Otóż autor listu zobaczył na ulicy siostrę starego przyjaciela sprzed wojny, Erharda Schmeltza.

Kobiecie towarzyszył jasnowłosy, mniej więcej siedemnastoletni chłopiec o poważnej twarzy i przenikliwym spojrzeniu błękitnych oczu.